

ERIN BEATY



KREW  
*i*  
KSIĘŻYC



KREW  
*i*  
KSIĘŻYC

ERIN BEATY

PRZEŁOŻYŁA  
MARTA ZIEGLER





Tytuł oryginału: *Blood and Moonlight*

Copyright © 2022 by Erin Beaty  
All rights reserved.

Jacket art © 2022 by Sasha Vinogradova  
Jacket design by Veronica Mang  
Author photograph by Devon Shanor Photography

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © for the translation by Marta Ziegler

Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska  
Korekta: Ida Świerkocka, Renata Kuk  
Skład i łamanie: Hotch Studio Paweł Czarkowski

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-304-4

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)  
[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

*Piszę tę książkę dzień i noc,  
By Tobie, Czytelniku, dać wrażeń moc.  
Jeśli nią wżgardzisz, czy wiesz, co się stanie?  
Złe wiatry zawieją jak na zawołanie.*

# SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Nota od autorki

Podziękowania

*Natalie, która czekała na kryminal*





# ROZDZIAŁ 1



Czekam na księżyc.

Gdy wychylam głowę, by się rozejrzeć, okiennice wszystkich innych parterowych mieszkań w sąsiedztwie są już zatrzaśnięte na noc. Lekki wiaterek zamiata opuszczoną ulicę, niosąc ze sobą zapach deszczu i odległy pomruk nadchodzącej z zachodu burzy. Miasto Collis zbudowano na ogromnym wzgórzu ponad równinami, jednak widok na nadchodzącą nawałnicę blokują mi pochylone dachy. Jeśli uniosę stopy, balansując na biodrach, i wyciągnę szyję najdalej jak potrafię, zdołam zobaczyć w prześwicie pomiędzy domami rozetę i wieżę sanktuarium. Nawet bez światła księżyca jego biała fasada połyskuje na tle hebanowej okrywy nieba, a w porównaniu z nią wszystkie gwiazdy bledną.

Księżyc nadal nie jest wystarczająco wysoko.

Wzdycham i wciągam się z powrotem do środka, gdy mistrz Thomas schodzi po schodach i wkracza do pracowni. Architekt zatrzymuje się na mój widok, a jego brwi unoszą się tak wysoko, że aż znikają w kasztanowych włosach wystających spod czapki.

– Catrin? – mówi. – Myślałem, że już dawno poszłaś spać.

– Nie, mistrzu. – Sięgam po okiennice i zamykam je na zasuwę, po czym odwracam się, by stanąć twarzą w twarz z moim

nachmurzonym pracodawcą.

– Mógłbym pomyśleć – mówi dalej – że jesteś ubrana do wspinaczki.

Po kolacji zamieniłam pracowniczą spódnicę do łydki na wiele krótszą, włożoną na męskie bryczesy, a ciemne loki okiełznałam, związując je i spinając.

– Tak właśnie jest – przyznaję. – Chciałam sprawdzić wygiętą belkę poprzeczną, którą zauważyłam dziś rano na południowych rusztowaniach.

Pomiędzy brwiami mistrza architekta pojawia się jeszcze głębsza zmarszczka.

– Dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej?

– Cóż... – Zaczynam wyliczać powody na palcach. – Cały poranek oprowadzałam hrabiego de Montcuira po budowie, potem sprawdzałam ustawienie systemu odwadniającego, wypisywałam zamówienia na kamień, które musi pan podpisać, poszłam na targ w poszukiwaniu świeżego rozmarynu dla pani la Fontaine i nie wystarczyło mi czasu. – Opuszczam dłonie i wzruszam ramionami. – Poza tym łatwiej mi to sprawdzić, gdy na rusztowaniach nie roi się od pracowników.

– Hm. – Architekt przygląda się mojemu paskowi. Nie przypięłam do niego niewielkiego młotka, który zwykle ze sobą noszę. – I nie ma też żadnych wędrujących dłoni do roztrzaskania. Ile ich było w tym tygodniu? – pyta surowym tonem.

Jego gniew nie jest wycelowany we mnie, więc się uśmiecham.

– Ledwie trzy, może cztery.

Gdyby tylko terminatorzy – i niektórzy starsi rzemieślnicy – trzymali ręce przy sobie, nie musieliby się martwić o swoje dłonie. Za pierwszym razem nie uderzam na tyle mocno, by połamać im palce, ale ten jeden raz zwykle wystarcza.

– W takim razie pokaż mi, co cię martwi. – Mistrz Thomas wskazuje głową makietę świątyni w Collis, która zajmuje większość miejsca w pokoju.

Makieta jest tak stara jak sama świątynia, której budowa rozpoczęła się dekady temu.

Podchodzę do drugiego końca stołu, gdzie dołącza do mnie architekt. Tak naprawdę nazwanie tego makietą nie oddaje temu

modelowi sprawiedliwości. Idealnie odwzorowano w nim każdy kamień, okno i gont – dwie prostokątne wieże przy zachodnim wejściu, długą nawę oraz ramiona wychodzące na północ i południe ołtarza znajdującego się pośrodku – choć w zasadzie środkiem będzie można to nazwać, dopiero gdy konstrukcja tego świętego budynku zostanie zakończona. Nasz projekt trwającej właśnie rozbudowy wydłuży go poza kształt litery T, który miał dotychczas. Teren budowy zaczyna się na skrzydłach nawy poprzecznej; ona również jest ukazana i uaktualniana na makiecie. Znajduje się na niej nawet rusztowanie.

– O, tutaj. – Wskazuję szkarłatną nić, którą zawiązałam, by nie zapomnieć o położeniu usterki, po czym się cofam, by mógł zerknąć.

Znajduje się w sekcji poręczy skomplikowanej jak pajęczyna, wciśniętej w cień wysokiej wieży na końcu południowej nawy poprzecznej.

Gdy mistrz Thomas nachyla się, aby lepiej przyjrzeć się zaznaczonemu miejscu, przybity do ściany pergamin trzepocze. Światło jest zbyt ciemne, bym mogła odczytać zapisane nazwiska, ale znam je wszystkie na pamięć: czternastu ojców, mężów, braci i synów, którzy stracili życie, gdy pięć lat temu zawaliły się rusztowanie i ściana. Ponad listą wisi pozłacany młotek, którego użyto do wbicia słupków wyznaczających teren budowy najnowszego projektu pobłogosławionego przez ważnych kapłanów.

Umieszczenie tych dwóch przedmiotów nie było przypadkowe: mistrz architekt nigdy nie zobaczy symbolu swojego największego osiągnięcia, nie przypominając sobie jednocześnie o największej porażce.

By zapobiec powtórce z tego wydarzenia, rusztowania muszą być bezpieczne i niezawodne jak wapienne ściany, a jedynym sposobem, by to zapewnić, jest zatrudnienie kogoś, kto regularnie się po nich wspina w poszukiwaniu wszelkich wad.

Tym kimś jestem ja. A swoją pracę traktuję bardzo poważnie.

Mistrz Thomas nadal przygląda się makiecie, palcami mierząc odległości, gdy łagodnie bicie dzwonów świątyni przedostaje się przez szpary w okiennicach. Jest już prawie północ, a o tej porze księżyc w pełni znajduje się w najwyższej pozycji, co oznacza, że jego światło będzie dokładnie w tym miejscu, w którym musi się znaleźć,

bym mogła dobrze widzieć. Chociaż nie próbowałam ukrywać swojego planu wyjścia na rusztowanie, teraz mam wrażenie, że powinnam poczekać na pozwolenie. Jednak biorąc pod uwagę nadchodzącą burzę, nie mam zbyt wiele czasu do stracenia.

– Mistrzu, zastanawiasz się czasem, dlaczego bracia zakonnicy w ogóle kładą się spać przed ostatnim poświęceniem? – pytam, głównie po to, by zwrócić jego uwagę na godzinę.

Świątobliwi mężczyźni, którzy są członkami zakonu przynależącego do świątyni, śpią pewnie tylko około dwóch godzin, zanim zostają obudzeni na nabożeństwo o północy.

– Muszą wstać o świcie na kolejną serię pieśni, więc wyobrażam sobie, że po prostu śpią, kiedy mogą – słyszę roztargnioną odpowiedź.

Mistrz przechyla głowę, by z różnych perspektyw spojrzeć na oznaczoną przeze mnie belkę. Choć dwa lata temu skończył czterdzieści lat – mógłby więc być moim ojcem – dwa siwe pasma na skroniach są jedynymi widocznymi oznakami jego wieku. Siwizna na lewej skroni pojawiła się pięć lat temu, po wypadku, z kolei tę z drugiej strony ma według gospodyni od ponad dekady. Biorąc pod uwagę tragedię, z jaką jest związane to najnowsze pasmo, nigdy nie miałam odwagi zapytać, co spowodowało pojawienie się poprzedniego.

Mistrz Thomas kręci głową.

– Rozumiem, dlaczego można byłoby nie dostrzec problemu w tamtym miejscu, ale nawet tobie będzie trudno się tam dostać.

Poręcze rusztowania są ustawione pod nietypowym kątem ze względu na rzeźbione posągi, wystające ze ścian świątyni. Gargulce stanowią część systemu odwadniającego, co czyni je niezbędnymi, jednak to zapewne konieczność ich ominięcia spowodowała problem. Miejsce, do którego muszę dotrzeć, jest naprawdę wysoko i jeszcze nie wiem, jak to zrobić, ale niemal całe siedemnaście lat życia spędziłam, wspinając się po drzewach i wdrapując na ściany budynków.

– Nie martwię się o to.

– Nigdy się nie martwisz. – Prostuje się, by na mnie spojrzeć. – Może powinienem pójść z tobą. Potrzynam latarnię.

Wątpię, że będę potrzebować jego pomocy – i światła – ale w tym momencie przerywa nam donośne walenie w drzwi kuchni. Dziwne. Kto to może być o tej godzinie? W dodatku wszedł od strony bocznej uliczki, a nie głównej drogi?

Chwilę później w drzwiach prowadzących do kuchni pojawia się pani la Fontaine. Po całym dniu pieczenia chleba i krojenia warzyw siwobiałe włosy gospodyni częściowo wydostały się z koka zawiązanego nad karkiem. Z kwaśną, pełną dezaprobaty miną wyciera spracowane dłonie o fartuch.

– Ktoś do pana, mistrzu.

Architekt zaciska szczękę i podejrzliwie mruży oczy.

– Kto to taki?

– Perrete Charpentier.

Córka jednego z czternastu budowniczych, którzy zginęli w wypadku, dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Nic dobrego nie wynika z jej wizyt, jednak architekt czuje się odpowiedzialny za śmierć jej ojca, próbował więc zadbać o to, by miała z czego żyć. Ostatnio jednak okazało się, że dziewczyna nieźle zarabia – i to robiąc dokładnie to, czemu mistrz Thomas chciał zapobiec – a jego postrzega jedynie jako źródło pieniędzy.

– Powiedz jej, by wróciła jutro – odpowiada.

Gospodyni kręci głową.

– Mówi, że jeśli z nią natychmiast nie porozmawiasz, pójdzie prosto do wysokiego kapłana.

Łatwo sobie wyobrazić, jak Perrete wyglądała, gdy odgrażała się gospodyni: dłoń położona na biodrze, wydęte szkarłatne usta, twarz pokryta różem, by uwydatnić pieprzyk na policzku. Bez wątpienia czekała, aż dzwony wybiją północ, by móc spełnić swoją groźbę i zwrócić się do wysokiego kapłana Gervese'a, wracającego ze świątyni do swojej pałacowej rezydencji po modlitwie.

– Dam sobie bez ciebie radę, mistrzu – mówię. – I tak zamierzałam pójść sama.

Kręci głową, ale widzę, że jest rozdarty.

– Może z samego rana zablokujemy ten fragment rusztowania i wtedy mu się przyjrzymy.

– Mistrzu, wiesz, że to nie może czekać – odpowiadam. – Wysoki kapłan już jest sfrustrowany ostatnimi opóźnieniami

spowodowanymi przez pogodę. Będzie zły, jeśli jutro wstrzymamy prace.

„Zły” to mało powiedziane. Kapłan od ponad dwóch lat próbuje zwolnić mistrza Thomasa, a nieustanna podstępna kampania, którą prowadzi z ambony, w końcu sprawiła, że część ludzi się od niego odwróciła. Z tego powodu ofiary na rzecz świątyni zmalowały, spowalniając nasze prace, co zdaje się potwierdzać słowa kapłana, że czas na nowego mistrza architekta.

I właśnie dlatego cały ranek spędziłam, oprowadzając burmistrza i jego synów po budowie. Całe szczęście hrabia de Montcuir był pod wrażeniem i obiecał nam okazały datek. Zabrałam go prosto do witrażownika, by naszkicował jego twarz, która stanie się inspiracją do jednego z witraży w świątyni. Nic nie otwiera kiesy szerzej niż publiczny dowód hojności.

Mistrz architekt przez kilka sekund rozważa mój argument. W końcu wzdycha.

– W porządku. Porozmawiam z nią na osobności, pani la Fontaine. Proszę ją wpuścić.

Z ulgą otwieram drzwi na ulicę.

– Wróć przed deszczem.

– Catrin! – woła za mną architekt. – O czymś zapominasz.

Tłumię w sobie jęk i zatrzymuję się w drzwiach.

– Mistrzu Thomasie, przecież nigdy nie spadłam.

– Aż do ostatniego lata w dzwonnicy nigdy nie uderzył piorun – mówi stanowczo. Wieża przy fasadzie zachodniej, o kilka stóp krótsza od trzech pozostałych, została uszkodzona przez silne uderzenie. – „Nigdy” oznacza po prostu „jeszcze nie”.

Z ciężkim westchnieniem zdejmuję zwiniętą linę bezpieczeństwa z haka zawieszzonego przy drzwiach, obok płaszcza mistrza. Już mam wychodzić, jednak zauważam srogie spojrzenie architekta i zatrzymuję się, by zawiązać jeden koniec wokół talii.

– Lepiej?

Jego usta wykrzywiają się sceptycznie.

– A użyjesz jej?

– Tak, mistrzu – zapewniam go, chociaż będzie mi ona raczej przeszkadzać.

– Uważaj na siebie – mówi, machnięciem dłoni dając mi do zrozumienia, że bym już szła. – Matka Agnes udusiłaby mnie gołymi rękami, gdyby coś ci się stało.

Uśmiecham się szeroko i przerzucam sobie linę przez ramię. Choć przeorysza opactwa Solis właśnie świętowała siedemdziesiąte urodziny, nie jestem przekonana, że przegrałaby to starcie.

Perrete przemyka do pracowni z kokieteryjnym jednostronnym uśmiechem, który ukrywa zgniłą szparę między zębami. Owiewa mnie woń jej perfum, przez co krzywię się, zamykając drzwi. Po jej ostatniej wizycie cały dzień wietrzyliśmy pracownię, by pozbyć się tego zapachu.

Z ulicy widzę wystarczająco duży skrawek nieba, aby się upewnić, że będę miała czas na inspekcję, muszę się jednak pospieszyć. Odwracam się i truchtam w stronę świątyni, niesiona przez wiatr.



## ROZDZIAŁ 2



Problem z szokującą łatwością można dojrzeć przy świetle księżyca. Jest coś w sposobie, w jaki cienie tańczą na prostych liniach i zakrzywieniach poręczy opartych o nową kamienną strukturę. Zupełnie jakby to ciemność zapewniła wadę, że nikt nie patrzy, i tym samym nakłoniła ją, by ta się ujawniła – ale oczywiście wiem, że to bzdura.

Jednak przyjrzenie się jej z dołu nie wystarczy. Muszę zerknąć z bliska, jeśli usterka ma wstrzymać jutrzejsze prace.

W pobliżu nie ma niczego, co by mnie utrzymało, poza kamiennym gargulcem wystającym na trzy stopy ze ściany świątyni. Tę postać przypominającą psa zaprojektowano tak, by wypluwała z pyska, z dala od budynku, deszczówkę płynącą rurami. Jak większość rzeźb ma wyglądać groźnie, jednak okrągły otwór między jej zębami sprawia, że wygląda na zaskoczoną, co jest całkiem zabawne. Wiatr owiewający pysk powoduje piszczenie przywodzące na myśl gospodynię, która właśnie zauważyła mysz, co tylko dodaje komicznego efektu. Rusztowanie obudowuje gargulca, więc stojąc na jego plecach, jestem zmuszona wyciągnąć się do przodu, by sięgnąć wypaczonego słupa. Moje palce natychmiast znajdują pęknięcie w drewnie, którego nie dostrzegłabym ani z góry, ani z dołu.



Wielkie nieba, jest ogromne. Cud, że jeszcze nic się nie stało. W dzień na rusztowaniu wspieranym przez te słupy tłoczą się dziesiątki robotników. Niewielu z nich przeżyłoby upadek z wysokości sześciu pięter prosto na kamienie w różnych stadiach cięcia i kształtowania.

Ustawiam się pod kątem, by wyczuć dłonią długość szczeliny. Jest niemal tak szeroka jak moje przedramię, co oznacza, że nie uda się wzmocnić poręczy liną – a małe świeże drzazgi, które czuję pod palcami, wskazują na to, że wada szybko się powiększa. Chociaż spowoduje to sporo problemów, czuję ulgę, że odpowiedź jest tak jasna: trzeba będzie zdemontować całe rusztowanie w tym miejscu i złożyć je ponownie.

Stracimy przez to dwa dni pracy. Kolejny powód do narzekań wysokiego kapłana.

Ostra drzazga kłuje mnie w środkowy palec, więc odruchowo cofam dłoń. Przykładam do ust paznokiec, pod którym gromadzi się krew. Miedziany smak uderza mój język z zadziwiającą intensywnością, jednak krwawienie jest dość słabe. Po kilku sekundach unoszę zranioną dłoń do księżycy, by sprawdzić, czy na palcu nie zostały jakieś fragmenty drzazgi. Całe szczęście jest czyste.

Moje ramię, nadal wyciągnięte i oparte o belkę, zaczyna się trząść od ciężaru ciała, które podtrzymuje. Zanim udaje mi się podeprzeć drugą ręką, silny podmuch sprawia, że gargulec zaczyna piszczeć wyżej i głośniej, a przenikliwy dźwięk uderza mnie niczym błyskawica, posyłając nieprzyjemną falę w dół kręgosłupa i przez kończyny. Wszystkie mięśnie ciała ścisną się, a ja rozluźniam niepewny chwyt na słupie.

Nagle zaczynam spadać głową w dół w stronę leżących na ziemi kamieni, koziółkuję i przekręcam się w powietrzu, a przed moimi oczami przemykają niebo, rusztowanie i świątynia. Na ścianie przede mną rozbryzguje się krwawy łuk i w tym momencie myślę – wiem – że umrę.

*Nigdy nie pomyślałabym, że to się tak skończy.*

Wzrok w kącikach moich oczu się rozmazuje, wyginam plecy w łuk i chwytam się za gardło w desperackiej próbie powstrzymania krwawienia. Druga dłoń równie daremnie zaczyna drapać ścianę, aż w końcu rozrywa mnie uderzenie w brzuch.

Ból to jedyne, co zostało w moim świecie. Mogę tylko czekać, aż odpłynie ostatnia kropla świadomości.

Ale tak się nie dzieje.

Otoczenie powoli ponownie się wyostrza. Mija kilka sekund, zanim dociera do mnie, że nie leżę martwa na ziemi, a zwisam jakieś trzydzieści stóp ponad nią, z liną bezpieczeństwa zawiązaną boleśnie mocno wokół talii. Oszołomiona, podnoszę wzrok, by spojrzeć na gargulca, w miejscu, gdzie jest widoczne zagięcie liny, którą zawiązałam – i to dość niechętnie – po drugiej stronie rusztowania. Rzeźba gwizdała, jakby nic się nie zmieniło. Czy ten przeraźliwy wrzask wy dobył się z jej pyska? Brzmiał bowiem... ludzko. Jak przerażony człowiek lub ktoś, kto zaraz umrze – a może jedno i drugie. Gdybym nie była absolutnie pewna, że hałas rozległ się, zanim spadłam, pomyślałabym, że to ja krzyczałam.

Na ścianie obok mnie nie ma krwi, a gdy podnoszę roztrzęsione dłonie do księżycy, widzę, że one również są czyste.

Ale widziałam krew. Czułam ją.

Byłam o krok od śmierci. I nie jestem przekonana, że nie umarłam.

Ktoś martwy nie byłby jednak tak obolały. Stękając, układałam się tak, by oprzeć stopy o kamienną ścianę. Moje skórzane buty zostały uszyte specjalnie z myślą o wspinaczce i nawet z roztrzęsionymi dłońmi i siniakami tworzącymi się w okolicy talii z łatwością udaje mi się wejść z powrotem na górę. Najtrudniejsze okazuje się wciągnięcie na gargulca, tak bym mogła na nim stanąć i zeskoczyć na trzciniową platformę.

Gdy tylko się upewniam, że jestem bezpieczna, opadam na gładki wapień świątyni, obiecując sobie, że już nigdy nie będę narzekać na linę bezpieczeństwa. Kiedy zwijam ją w luźny zwój, zauważam, że moje paznokcie i czubki palców nie zostały zniszczone przez drapanie nimi o ścianę. Poza raną po drzazdze, która zmieniła się w idealnie okrągły siniec, dłonie wyglądają na nietknięte. Kręcąc głową, odwiązuję linę z obolałej talii i wyglądam na domy i sklepy otaczające wybrukowany teren przy sanktuarium. Większość widoku zasłaniają mi dachy trzy- i czteropiętrowych budynków. Wokół panuje cisza, ale w głowie nadal słyszę tamten krzyk.

Czy pochodził stamtąd?

Zarzucam linę na ramię, wstaję i zaczynam wspinać się na szczyt sanktuarium po rusztowaniu, tylko w połowie drogi korzystając z drabiny. Najwyższa część rusztowania jest zrównana z główną rynną biegnącą wzdłuż krawędzi nowego fragmentu dachu, a wiatr popycha mnie przez całą długość rozbudowywanej części aż na wschodni koniec, gdzie lwia sylwetka chimery dogląda swoich włości.

– Dobry wieczór, Pierre – mówię, rzucając zwiniętą linę za rzeźbę.

W przeciwieństwie do gargulców chimery pełnią jedynie funkcję dekoracyjną. Każdą z nich nazywam, gdy przez kilka tygodni obserwuję, jak mistrz rzeźbiarski nadaje im formę – jak na razie to Pierre jest moim ulubieńcem. Jego pysk przypomina nietoperza z zadartym noskiem, ma też długie kły, które zakrzywiają się wokół jego paszczy otwartej i gotowej do ryku. Klepię jedno ze skrzydeł rozciągających się pionowo z umięśnionego grzbietu i kontynuuję rozmowę, mimo że nie jestem na tyle niemądra, by spodziewać się odpowiedzi.

– Widziałeś lub słyszałeś tu dziś coś dziwnego?

Z tego miejsca widzę całe wzgórze, na którym wybudowano Collis, oraz rozciągające się poza nim wsie. Mój dom z czasów dzieciństwa, opactwo Solis, leży niemal u podnóża południowego zbocza. Za nim stoją pokryte bluszczem ściany Kwatery Seleńskiej, będącej domem samotniczej sekty religijnej, której członkowie trzymają się godzin księżyca, a nie błogosławionego słońca. Z otwartego placu pośrodku tej okolicy bije blask zbyt nieruchomy, by pochodził z ogniska. Nawet z tej odległości niepokojące melodie ich wyśpiewywanych o północy hymnów docierają do moich uszu.

Nie licząc dzielnicy Seleńczyków, z miasta zniknęli nocni hulacy, prawdopodobnie spodziewając się burzy. Wokoło panuje głucha cisza, przerywana jedynie szybkim rytmem kroków, odbijającym się od ścian i chodników. Nachylam się, by wyrzeć na miasto, a wyciągnięte ramię Pierre'a wydaje się niemal wskazywać na samotną postać na dole. Odziany w płaszcz człowiek – z całą pewnością mężczyzna – porusza się zbyt szybko i zbyt zdecydowanie, by być pijaczną zataczającym się w drodze powrotnej z karczmy. Sądząc po kierunku, z którego nadchodzi, wyszedł właśnie od madame Emeline lub z innego podobnego

przybytku, jednak ja mam wrażenie, jakby niemal przed czymś uciekał.

Nagle ocieniona postać wbiega w boczną uliczkę i znika mi z pola widzenia. Przez ciszę przedziera się upiorny głos:

*Niech ktoś mi pomoże. Błagam.*

Słowa trzepoczą w mojej głowie, lekkie niczym blask księżyca, mają w sobie jednak udrękę tak ciężką, że zapierają mi dech w piersi. To, co matka Agnes zawsze nazywała moją narowistą wyobraźnią, łączy głos i ukryty w nim ból z uciekającym mężczyzną. Być może kogoś obrabował, zostawił rannego i zapłakanego na ulicy. Czy nocni strażnicy miasta znajdą tego kogoś, zanim nadejdzie burza, czy jestem jedyną osobą, która może mu pomóc? Jak w ogóle zacząć poszukiwania?

– Idź do domu, mały kotku.

Odwracam się gwałtownie z walącym sercem i przyciskam plecy do rzeźby. Te słowa na pewno usłyszałam. Skoro dotarł do mnie tak cichy głos, musiał należeć do kogoś, kto stał w pobliżu, a może nawet tuż za mną, ale dookoła jest tylko pustka. Szeroko otwartymi oczami przeszukuję pobliski portyk, dach i rusztowanie, nadal nie będąc w stanie odnaleźć źródła zachrypniętego szeptu, który nie milknie:

– To kiepska noc na wycieczki.

Zabrzmiało to bardziej jak ostrzeżenie niż groźba, a biorąc pod uwagę pogodę i dziwnego mężczyznę biegającego po ulicy, jestem zmuszona zgodzić się z tym fantomowym głosem. Aż w końcu znów słyszę niemy płacz:

*Błagam. Ktokolwiek.*

Nagle pędzę tą samą drogą, którą przyszedłam, schodzę po słupkach i zeskakuję po wiklinowo-trzciniowych platformach, popychana przymusem, którego nie umiem wyjaśnić. Kiedy docieram na ziemię, puszczam się biegiem w kierunku, z którego nadchodził mężczyzna w płaszczu. Gdzieś z tyłu głowy kołacze mi myśl, że robienie tego w pojedynkę jest głupotą. Ale choć Perrete na pewno już sobie poszła, mistrz Thomas nie zgodziłby się kręcić po ulicach o tej porze, zwłaszcza z tak niejasnego powodu.

Skrećam w ulicę łączącą plac sanktuarium z wiekową Świątynią Słońca, reliktem Imperium Hadriańskiego, podczas którego powstała

nasza wiara. Choć oficjalną nazwą ulicy jest Ścieżka Modlitwy, częściej mówi się na nią Droga Rozkoszy, ze względu na dużą liczbę działających tu burdeli. Wiele tutejszych sierot i znajd wychowuje się w zakonie, ale te dziewczyny, które odmówią przyjęcia ślubów Sióstr Światła, niestety często mają problemy ze znalezieniem zatrudnienia o dobrej reputacji. Wiele z nich kończy właśnie tutaj.

Dyszząc, mijam czwarty rząd domów szeregowych, a nagle napaść na moje zmysły zmusza mnie do zatrzymania i rozejrzenia się wokół. Jasny blask księżyca tworzy ostre, kanciaste cienie, które przecinają otoczenie, dzieląc je na postrzępione fragmenty, ale to wiszący w powietrzu słodki metaliczny zapach przyprawia mnie o dreszcze. Ostatni raz tak wyraźnie czułam go, gdy mijałam sklep rzeźnika, który akurat zarzynał tuczniaka na schodach wejściowych.

Krew. Całe mnóstwo krwi.

Ale ja nic nie widzę.

Przenikliwie zimny podmuch wiatru sprawia, że kilka zaschniętych liści muska moje kostki, co przyciąga wzrok do wielkiego, błotnistego odcisku buta. Widzę ich jeszcze parę, biegnących w kierunku sanktuarium. Nikną kawałek dalej, ale zauważam też, że wychodzą z ciemnej uliczki po prawej. Przemykam pod markizę stojącego obok niej budynku i wyglądam ostrożnie za róg.

– Halo?! – wołam cicho.

Żadnej odpowiedzi. Ukośny promień oślepiającego światła księżyca pada na ścianę na drugim końcu drogi. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek tutaj była, jednak jakieś dziwne uczucie powoduje, że to miejsce wydaje się znajome i przyciąga mnie do ocienionego wylotu uliczki.

Ciemność zamyka się wokół mnie niczym kurtyna. Zapach krwi staje się przytłaczający, przysłaniam więc usta i nos jedną ręką, a drugą wyciągam w stronę mroku. Robię niepewny krok w kierunku światła, potem drugi, palcami u stóp odsuwając coś, co – mam nadzieję – jest śmieciem. Kiedy docieram do oświetlonej ściany, widzę szkarłatny łuk rozbryzany na wysokości oczu, upiornie podobny do tego, co dostrzegłam, gdy spadałam z grzbietu gargulca.

To niemożliwe. A jednak przypominam sobie teraz, że nie widziałam wtedy nieskazitelnie czystej i gładkiej wapiennej ściany

sanktuarium, lecz coś chropowatego i brudnego. Jak znajdujący się przede mną szachulec.

W jednym miejscu wzór wyglądał inaczej. Na samym środku ściany po mokrej plamie rozsmarowany był jakiś ślad, jakby przeciągnięto przez nią rozcapierzoną dłoń. Opuszki palców mojej lewej dłoni bołą, jakby to było ich dzieło, a ja, zahipnotyzowana, wyciągam rękę – muszę wiedzieć, czy w dotyku ściana jest taka sama jak w mojej pamięci.

Gdy dzieli mnie od niej zaledwie kilka cali, nagle cała uliczka rozświetla się blaskiem tysiąca świec. Wszystko wokół mnie staje się widoczne – ściany, skrzynie, beczki, z których wylewają się odpady, przemykające obok szczury... i sylwetka leżącej na ziemi kobiety.

Jest ułożona na plecach, stopami w moją stronę. Ma blade łydki, a spod wymiętej spódnicy wystają buty na drewnianym obcasie. Wokół jej głowy i ramion formuje się kałuża krwi tak duża, że ubita ziemia nie zdołała jej wchłonąć, pozostawiając płynną powierzchnię, w której odbijają się gwiazdy i szybujące chmury. Brzuch kobiety zmienił się w płataninę rozdartego materiału i organów wewnętrznych, które dotąd widziałam jedynie u zarżniętych zwierząt.

To wszystko jest okropne, ale nie najgorsze.

Szczeka kobiety zawisła w niemym krzyku, połowa zębów została wybita lub połamana. Jej zmiażdżona twarz zapadła się do wewnątrz, podobnie jak oczy, tworząc papraninę zdruzgotanej tkanki. Ze zmiażdżonych oczodołów płynie strumień krwi, niczym łoża mijająca pieprzyk na jej policzku.

Wydaję z siebie zduszony okrzyk i biorę tak głęboki wdech, że rozpoznaję kwiatowe perfumy, których woń ukrywał zapach krwi. Jednak już wcześniej wiedziałam, kim ona jest.

To Perrete.



## ROZDZIAŁ 3

Moja ręka zamiera w powietrzu, gdy sięgam nią w kierunku ściany, a cała sceneria jest skąpana w świetle tak jasnym, jakby był środek dnia – a może i nawet jaśniejszym, w końcu to miejsce, do którego rzadko docierają promienie słońca.

Widywałam już trupy. Ciała tych, którzy umarli z powodu choroby, wypadków, a nawet przemocy.

Ale nigdy nie widziałam czegoś takiego.

*Błagam. Niech ktoś mi pomoże.*

Coś mokrego przesącza się przez czubek jednego z moich skórzanych butów. Gdy zdaję sobie sprawę, że prawą stopą stoję w kałuży krwi, cofam ją gwałtownie i odsuwam rękę dokładnie w chwili, w której uliczka po raz kolejny pogrąża się w ciemności. Zdezorientowana i zaślepiona mrokiem, pospiesznie próbując stamtąd uciec, potykam się o własne stopy.

*Pomóż mi...*

Uderzenie o ziemię sprawia, że moje zęby zderzają się ze zgrzytem, a przez obolałą talię przepływa kolejny bolesny szok, ale nie zwracam na to uwagi. Wiem, co przenika ziemię i moje ubrania. Przekręcam się, podnoszę na czworaki, po czym z trudem wstaję i ruszam w stronę wyjścia z uliczki.

*...ktokolwiek...*

Od ścian odbijają się krzyki, a ja zdaję sobie sprawę, że to ja je wydaję, gdy wybiegam na ulicę, a ich dźwięk się po niej rozprzestrzenia. Opadam na kolana i wymiotuję na bruk, łkając, dopóki nie zostaje we mnie jedynie wspomnienie tego, co za mną leży.

Gdy odchylam się i siadam na ziemi, kilka budynków dalej z trzaskiem otwiera się okiennica. Wychyła się z niej kobieta, którą widzę z zadziwiającą dokładnością. Oczy ma podkrążone, a góra jej sukni jest poluzowana. Z wnętrza domu dochodzi ciche kwilenie.

– Cisza, pijaczyno! – krzyczy. – Dopiero co uśpiłam dziecko!

Zanim zdążę zareagować, kobieta zatrzaskuje okno, a ja znów zostaję sama.

Rozglądam się. Wygląda na to, że nikomu innemu nie przeszkadzały moje krzyki, ale dochodzę do wniosku, że skoro nikt nie przejął się na tyle, by sprawdzić odgłosy umierającej kobiety, nie powinnam być zdziwiona, że i teraz nikt nie reaguje. Przytłaczający smak krwi w ustach podpowiada mi, że podczas upadku ugryzłam się w język, wycieram więc twarz grzbietem dłoni, zostawiając szkarłatny ślad od nadgarstka aż po knykcie.

Jak mam się zachować? Perrete nie żyje. Nikt nie może jej już pomóc, a jednak zostawienie jej tutaj wydaje się niewłaściwe. Mistrz Thomas będzie wiedział, co robić.

Na łaskę dnia! Jeśli ktokolwiek wiedział, że Perrete udała się dziś do mistrza, podejrzenia padną na niego. Jego niewinność nie będzie miała znaczenia. Skaza spowodowana przez samo oskarżenie oraz to, że się znali, może go kosztować posadę mistrza architekta. Muszę go ostrzec.

Rozproszone burzowe chmury w końcu zasłaniają księżyc, na moment gasząc jego blask. Zimny wiatr spryskuje ziemię przede mną pierwszymi kroplami deszczu. Odpycham się dłońmi od ziemi i wstaję. Jedną z rąk ociera się o przemoczony krwią but.

*Błagam. Niech ktoś mi pomoże.*

– W porządku! – krzyczę w stronę nieba.

Mój głos gubi się w odgłosie grzmotu. Wycieram palce, pozostawiając krwawe smugi na krótkiej spódnicy. Niedaleko jest



przybytek madame Emeline. Ona zapewne jest jedną z nielicznych osób, które w ogóle przejmą się tym, co przydarzyło się Perrete.

Odwracam się i biegnę ulicą, a blask księżyca znika po raz kolejny, tym razem na dobre spowijając świat mrokiem. Ulewa dosięga mnie, gdy docieram do drzwi madame. Otwiera mi sama Emeline, a ja, na wpół przemoczona, przeciskam się do środka.

– Perrete – dyszę, gdy zamyka drzwi.

– Nie pracuje tutaj – kończy za mnie kobieta.

Jej włosy, rozjaśnione do odcienia pomarańcza, są w miarę schludnie zakręcone, a twarz jest w pełni umalowana. Gdy unosi świecę, by na mnie spojrzeć, widzę, że makijaż ust uwydatnia łuk kupidyna. Jej irytacja szybko zostaje zastąpiona niepokojem.

– Co z Perrete?

– Nie żyje – odpowiadam. – Znalazłam jej ciało.

Emeline uspokaja się nieco.

– Jesteś pewna, że nie omdlała po zażyciu skonii? To nie byłoby nic nowego.

Głos samej madame zachrypnął od zapewniającego poczucie euforii narkotyku, który w najtańszej formie podpala się i wdycha.

– Jestem pewna. Ona... – na chwilę odejmuje mi mowę, ale udaje mi się wydukać: – To było straszne.

Emeline wzdycha.

– Możesz powiedzieć nocnym strażnikom. Poinformują burmistrza. – Odwraca się do schodów stojących na tyłach pokoju.

– Ja, cóż, nie byłam w stanie znaleźć żadnego z nich przed deszczem – mówię, choć wcale ich nie szukałam. – Dlatego przyszłam tutaj.

Kobieta odwraca się przez ramię.

– W takim razie dobrze się składa, że dwóch jest właśnie na górze.



Madame Emeline zapewnia strażników miejskich, że nie ujawni ich miejsca pobytu, jeśli w satysfakcjonujący ją sposób uderzą na alarm – co czynią, budząc całą okolicę pomimo burzy.

Podczas gdy jeden z nich biegnie do Pałacu Sprawiedliwości, drugi nie jest w stanie powstrzymać pierwszych gapiów, dopóki na miejscu

nie zjawia się więcej wartowników. Ta garstka szczęśliwców rozpowiada wszystkim o tym, co widzieli, a z każdą kolejną opowieścią szczegóły stają się coraz makabryczniejsze. Większość ludzi korzysta z wątpliwej jakości schronienia, jakie dają markizy i bramy, jednak ja przemykam wokół obrzeży tłumu, nasłuchując informacji na temat tego, gdzie dziś w nocy znajdowała się Perrete. Jak na razie nie dowiedziałam się niczego. Madame Emeline stoi u wylotu uliczki z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ciskając gromy z przekrwionych oczu. Burmistrz powinien już tu być.

Martwię się, że mistrz będzie mnie szukał, ale nie śmiem jeszcze stąd iść. Palce u stóp zdrętwiały mi od zimna, a gdy się poruszam, z butów wyciekają do kałuży cieniutkie strużki krwi.

*...Niech ktoś mi pomoże...*

Zaciskam szczękę, gdy błaganie odbija się w moim umyśle. Upiorny głos Perrete nie ustaje, tak jak deszcz spływający mi po twarzy. Zwróciłam uwagę odpowiednich osób na to, co się jej przydarzyło. Czy to nie wystarczy, by zostawiła mnie w spokoju?

Burza kończy się w ciągu godziny, a na zachodniej części nieba, za rzędzącymi chmurami, błyszczy księżyc w pełni. Z drugiego końca ulicy nadchodzi kilka osób, a znajdująca się wśród nich wysoka postać w płaszczu sprawia, że zamieram. Jednak w przeciwieństwie do mężczyzny, którego widziałam z sanktuarium, wierzchnie odzienie tego człowieka jest w odcieniu nijakiej szarości, a ubrania pod spodem tak ciemnogrnatowe, że niemal czarne. Prześlizguje się pomiędzy cieniami, jakby był jednym z nich, aż w końcu mnie zauważa i zatrzymuje się w pół kroku.

– Tu jesteś.

Stoi zbyt daleko, by jego szorstki szept do mnie dotarł, a jednak tak się dzieje. Poznaję również jego głos. Słyszałam go wcześniej, gdy stałam obok Pierre'a. „Idź do domu, mały kotku”.

Czuję ucisk w żołądku na widok ukrytych głęboko w kapturze srebrnych tęczówek, połyskujących na tle obrysowanych na czarno powiek. Jest Seleńczykiem.

Nie nazwałabym tego strachem, ale zachowuję przy nich czujność jak każdy w Collis. Seleńczycy są jednymi z najznamienitszych medyków, niektórzy wręcz nazywają ich czarownikami. Jedynie najbogatsi z mieszkańców miasta mogą sobie pozwolić na ich usługi,

ale mówi się, że cena jest warta zapłaty tylko wtedy, gdy jest się już na łożu śmierci. A jeśli wierzyć plotkom, to właśnie ludzie nocy są źródłem skonii, narkotyku używanego przez wielu, by znieść jakoś trudy życia. Samotnicza sekta budzi się i zasypia wraz z księżycem, a nie słońcem, a jej członkowie żyją na krawędzi galijskiego prawa. Ponad wszystko kierują się dwiema zasadami: nie opuszczać nocą swojej dzielnicy i nie wtrącać się do spraw niezwiązanych z sektą. Coś jednak sprawiło, że ten mężczyzna złamał obydwie.

Sądząc po jego czynach, tym czymś mogę być tylko ja.

Stoję nieruchomo jak rzeźba z sanktuarium, podczas gdy on taksuje mnie wzrokiem. Gdy nasze spojrzenia się spotykają, kiwa delikatnie głową. Jego szerokie barki się rozluźniają, wprawiając w ruch srebrny łańcuszek, który połyskuje na szyi. Pomimo ciemności widzę, że ukryta pod kapturem twarz jest oszpecona bliznami, a nos – zdecydowanie niesymetryczny. Gdyby Seleńczycy nie byli zadeklarowanymi pacyfistami, założyłabym, że jest dawnym żołnierzem, a przynajmniej lokalnym awanturnikiem.

Seleńczyk cofa się w mrok, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Wracaj do domu – szepcze.

Tak jak wcześniej brzmi to bardziej jak ostrzeżenie niż groźba i kusi mnie, by go posłuchać, jednak akurat zauważam nadchodzącego hrabiego de Montcuira.

Burmistrz wygląda, jakby naprawdę się spieszył – jego ubrania są pomięte, a rdzawa broda i wąsy nie zostały ułożone za pomocą oleju w zwyczajowy schludny sposób. Za nim wlecze się wysoki nieznajomy młodzieniec – jest jeszcze bardziej zmierzwiony, choć ma na sobie szaty tak piękne jak sam szlachcic, uszyte na miarę, by pasowały do jego tyczkowatej sylwetki. To oczywiste, że tak jak większość zgromadzonych został wyciągnięty z łóżka. Jego pozbawione blasku loki z jednej strony są spłaszczone, a z drugiej rozwiane dziko na głowie. Ma minę, jakby był w transie.

Obaj przechodzą obok Seleńczyka, jak gdyby był niewidzialny. A może tak jest naprawdę, bo mężczyzna znika, kiedy tylko nas mijają. Gdy ponownie go zauważam, jest już pół ulicy dalej i oddala się tak cicho, jak się pojawił.

Nie ma szans, że pójde teraz do domu. Dołączam do tłumu, który powiększa się w związku z przybyciem hrabiego de Montcuira

i słabnącym deszczem. Na twarzach zgromadzonych widać ulgę. Przybył mianowany przez króla strażnik sprawiedliwości. Porządek zostanie przywrócony.

– Co tu się dzieje?! – ryczy Montcuir, a w jego głosie słychać ciężar autorytetu.

Wraz ze swoim towarzyszem wchodzi w krąg światła pochodni, a oślepiony jasnością młodzieniec mruga powoli bladoniebieskimi oczami. Mam wrażenie, że z lewym jest coś nie tak, ale z tego miejsca nie widzę dokładnie.

Naprzód wychodzi jeden ze strażników.

– Jakąś godzinę temu znaleziono tu ciało kobiety, wasza łaskawość.

Burmistrz chrząka.

– Czy sprawca zostawił jakieś ślady?

– Nie, wasza łaskawość. – Strażnik kręci głową. – Uciekł na długo przed podniesieniem alarmu.

Zaniedbanie straży nie robi wrażenia na Montcuirze.

– Kim była? – pyta, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Następnie, zauważając właścicielkę domu publicznego, unosi rdzawą brew. – Czy to jedna z twoich dziewczyn, madame Emeline?

Kobieta się jeży.

– Jeśli pytasz, czy łączy nas zawód, to odpowiedź brzmi tak. – Jej makijaż spływa dwoma strumieniami po policzkach od stania na deszczu i być może kilku łez, jednak głos jest wyraźny i niewzruszony. – To nie sprawia, że jest warta mniej niż każdy inny objęty prawem człowiek. A to, co jej zrobiono, wstrząśnie nawet tobą.

Burmistrz przez kilka chwil wytrzymuje jej oskarżycielskie spojrzenie, jednak nie odnosi się do subtelnej bezczelności.

– Kto znalazł ciało? Ty?

Wzrok Emeline odnajduje mnie w tłumie, zadając nieme pytanie na temat tego, czy chcę przyznać się do swojego udziału w tym, co się dzieje. Jeśli zapragnę, pozwoli mi uniknąć wmieszania w tę sprawę. Niepewna, pocieram palcami bryczesy.

*...mi... pomoże...*

– Ja je znalazłam – mówię, czym zaskakuję samą siebie.

Montcuir i dziesiątki innych twarzy odwracają się i wlepiają we mnie swoje spojrzenia, a ja przetykam ślinę, by zachować pewność głosu.

– Usłyszałam jej krzyki.

Hrabia oczywiście mnie rozpoznaje. Ledwie dziś rano oprowadzałam jego oraz jego synów po sanktuarium. Wyciąga mięsisty palec i wskazuje nim siebie, na znak, że mam podejść.

– Weź pochodnię i chodź za mną.

Nie chcę tam wracać. Moje dłonie trzęsą się tak bardzo, że niemal upuszczam pochodnię, którą ktoś wciska mi w dłoń. Montcuir gestem przywołuje również nieznanego.

– Simonie, ty też chodź.

Młodzieniec staje jak wryty.

– Dlaczego?

– Dobrze wiesz dlaczego.

Czuję się zdezorientowana. Hrabia od ponad dwóch dekad jest burmistrzem Collis, a ten cały Simon wygląda, jakby nie skończył nawet dwudziestu lat. Co takiego będzie w stanie zauważyć, czego nie dostrzeże Montcuir?

Blade oczy Simona iskrzą się ze złości, a twarz wykrzywia się buntowniczo, jednak po chwili znów przybiera beznamiętny wyraz. Mężczyzna wychodzi naprzód; jego ruchy są sztywne, mechaniczne. Przepuszczam go, wykorzystując każdą wymówkę, by znaleźć się jak najdalej od ciała. Madame Emeline również idzie za nami i nikt nie próbuje jej powstrzymać. Uliczka wydaje się jeszcze ciemniejsza niż wcześniej, mimo że niosę pochodnię.

Hrabia de Montcuir zatrzymuje się przy nieruchomej sylwetce Perrete, leżącej pod wyświechtanym lnianym prześcieradłem, przemoczonym od deszczu i krwi. Jasnoczerwone kropki rozprzestrzeniają się od środka twarzy i klatki piersiowej.

– Kto zakrył ciało? – pyta.

– Ja – odpowiada Emeline. – Zaraz zobaczysz dlaczego.

Montcuir nachyla się, by odrzucić prześcieradło na bok. Chociaż większość krwi została zmyta, zdewastowane ciało Perrete wygląda tak samo potwornie jak wcześniej. Nie spodziewam się reakcji po weteranie drugiej wojny zaćmienia, a jednak hrabia wygląda na wstrząśniętego.

Simon ledwie się wzdryga.

Przez kilka sekund nikt się nie rusza.

– No i? – mówi w końcu Montcuir, wstając. – Co myślisz, Simonie?

– Nie żyje – odpowiada tamten beznamyślnie.

– I? – Hrabia krzyżuje ręce na piersi. – W grę wchodzi szaleństwo czy coś o wiele prostszego?

Następuje długa cisza, w której trakcie ani ja, ani madame Emeline nie oddychamy.

– Owszem – odpowiada cicho Simon. – To robota szaleńca.

Emeline wydycha z ulgą powietrze, ale ja nie rozumiem, w jaki sposób to miałyby cokolwiek zmienić.

Nie mówiąc nic więcej, hrabia de Montcuir odwraca się i dumnym krokiem wychodzi z powrotem na ulicę. Emeline idzie tuż za nim, a ja biegnę za nimi, natychmiast oddając pochodnię mężczyźnie, który mi ją dał. Simon zostaje z tyłu i zatrzymuje się przy wejściu do uliczki, jakby chciał je zablokować.

W tej chwili na głównej ulicy pojawiają się dorośli synowie hrabiego. Starszy, Lambert, jest mniej więcej wzrostu Simona; ciągnie za sobą o wiele bardziej przysadzistego Oudina, mocno zaciskając dłoń wokół jego łokcia. Gdy docierają na miejsce, Oudin uwalnia się z uścisku Lamberta i potyka się, ale szybko odzyskuje równowagę.

– Przecież szedłem – warczy.

Jego ubrania i oddech cuchną alkoholem z odległości kilku stóp. Oudin niemal bez przerwy jest pijany i niemal tak samo często bojowo nastawiony.

– Za wolno – odpowiada ze spokojem Lambert. Jeszcze nigdy nie słyszałam, by podniósł głos, a dzisiejsza noc nie jest wyjątkiem. – Ojciec kazał się nam spieszyć.

– Tak – odpowiada cierpko Montcuir. – Nie było cię w domu, gdy wychodziłem. Gdzie się podziewałeś?

– Korzystałem z nocnych uciech. – Oudin nie ma wstydu.

Między nim a starszym bratem jest pięć lat różnicy, ale pod względem dojrzałości dzielą ich całe wieki.

Simon wzdycha.

– Dlaczego przyprowadziłeś Juliane, kuzynie?

Córka hrabiego stoi za braćmi z wypisaną na twarzy skruchą, w wątych dłoniach trzymając mosiężną latarnię. Nie było wątpliwości, że luźna suknia lady Juliane została zarzucona na koszulę nocną, by jakoś się prezentowała. Kasztanowe włosy zwisają w strąkach na ramionach, a pod brązowymi oczami widać fioletowawe kręgi, przypominające sińce na boleśnie szczupłej twarzy. Nie widziałam jej od miesiący, ale sądząc po jej wyglądzie, podejrzewam, że chorowała. Osiem lat temu była uważana za jedną z największych piękności w całej Galii. Teraz, w wieku dwudziestu czterech lat, najprawdopodobniej czeka ją już tylko staropanieństwo.

Lambert chmurzy się na pytanie Simona.

– Obudziła się. Nie chciałem zostawiać jej samej.

– Co się stało? – pyta Oudin. – Słyszałem, że ktoś umarł.

– Zamordowano Perrete Charpentier – syczy madame Emeline. – Została zakatowana i porzucona w bocznej uliczce, by tam gniła.

Z twarzy Oudina odpływają niemal wszystkie kolory, zostają na niej jedynie dwie szkarłatne plamy jak u klauna – dowód na to, że nie tylko pił, a również zażywał skonii. Nie palił jej jednak. Stać go na zakup skoncentrowanego proszku, który można wciągać lub położyć pod językiem.

– Perrete? – szepcze zduszonym głosem. – To niemożliwe.

– Dlaczego niemożliwe? – Domaga się odpowiedzi hrabia. – Byłeś z nią tej nocy?

Oudin zamyka usta i próbuje przełknąć ślinę. Po kilku sekundach wewnętrznej walki potakuje.

– Tak – przyznaje. – Ale... nie w taki sposób. Zostawiła mnie kilka godzin temu, mówiąc, że spotkamy się później, ale już nie wróciła.

W mojej głowie rozlega się alarm głośniejszy niż największy dzwon sanktuarium. W tym czasie Perrete odwiedziła mistrza Thomasa, ale czy Oudin o tym wie?

Montcuir rozgląda się, bez wątpienia zauważając podejrzliwe spojrzenia rzucone w stronę młodszego syna. Zaciska zęby.

– Natychmiast zostanie rozpoczęte formalne dochodzenie.

W tłumie zaczyna się poruszenie, rozlegają się szepty. Morderstwo prostytutki zwykle nie jest postrzegane jako godne takiej uwagi, jednak charakter tej zbrodni i możliwy udział w niej syna hrabiego najwyraźniej to zmieniły.

– Simonie z Mesany. – Montcuir robi teatralną pauzę i odwraca się, by stanąć twarzą w twarz z młodzieńcem, który sztywnieje, jakby chciał uciec. – Ty poprowadzisz to śledztwo.

– Dlaczego ja? – parska chłopak. – Nie mam oficjalnej posady w Collis.

– To prawda, ale to ja przydzielam tego rodzaju stanowiska. – Hrabia odwraca się i odchodzi, lekceważąco machając dłonią. Najwyraźniej to kończy dla niego dyskusję. – Wykorzystaj swoje doświadczenie.

Madame Emeline marszczy brwi, gdy zwraca się do Simona:

– Jakież powód może mieć hrabia, by to panu zlecić takie zadanie?

Pięści Simona są zaciśnięte, jakby trzymał się relingu statku podczas sztormu. Chłopak patrzy gniewnie na odchodzącego burmistrza.

– Bo jestem miejscowym specjalistą od szaleństwa – szepcze ponuro.





## ROZDZIAŁ 4



Strażnicy miejscy zachęcają tłum, by się rozpierzchnął. Większość ludzi słucha ich sugestii, na miejscu zostaje jednak rodzeństwo Montcuir, a ja nie mam zamiaru się stąd ruszyć, jeśli istnieje szansa, że dowiem się, czy Oudin wie, że Perrete poszła zobaczyć się z architektem. W pobliżu stoi też gromada kobiet, niektóre z nich trzymają się za ręce. Gołe ramiona i umalowane twarze sprawiają, że ich powód, by tu zostać, staje się jasny – Perrete była jedną z nich.

Ostatni ze strażników przebiera nogami i zerka na Simona, który od dwóch minut nawet nie drgnął. W końcu strażnik kaszle, by zwrócić na siebie uwagę.

– Venatre...

Simon podskakuje.

– Jak mnie nazwałeś?

– Venatre – odpowiada skrępowany strażnik. Nigdy nie słyszałam o Mesanie, ale Simon zapewne nie pochodzi z Galii, skoro nie zna tego słowa. – Tak tytułujemy osoby kierujące śledztwem.

Emeline przytakuje, odsuwając z twarzy przemoknięty strąk włosów w kolorze ognia.

– Jako venatre otrzymujesz pełnomocnictwo samego burmistrza.

– Rozumiem. – Usta Simona wykrzywają się na jedną stronę. – Nie sądzę, że ktokolwiek z was wie, co *venatorae* oznacza w języku starego imperium?

Osobiście byłabym zdziwiona, gdyby Emeline albo strażnik potrafili czytać. I chociaż starożytny język nadal jest używany w świętych rytuałach, nie rozpoznają słowa *venatorae*.

– To słowo oznacza łowcę – odpowiada stojąca za braćmi Juliane. – A dokładniej „tego, który idzie za zwierzęciem do jego kryjówki”.

Spojrzenia Simona i Juliane się spotykają; mam wrażenie, że dzielą się jakąś sekretną wiadomością. Cokolwiek to jest, sprawia, że Simon nieco się odpręża.

Oudin przewraca oczami.

– Czy w takim razie mogę sobie już iść, *venatre*? – pyta, z sarkazmem wymawiając nadany kuzynowi tytuł. – Chciałbym wrócić do domu.

Jego bezduszne zachowanie przyprawia mnie o mdłości. Nawet jeśli naprawdę nie zdaje sobie sprawy z tego, co spotkało Perrete, to przecież kobieta, którą znał, nie żyje.

Simon marszczy brwi.

– Musimy porozmawiać o tym, gdzie dziś byłeś i co robiłeś.

Wstrzymuję oddech, z nadzieją że dane mi będzie usłyszeć tę rozmowę. Stojący obok Juliane Lambert wpatruje się w uliczkę, tak jak większość zgromadzonych tu wcześniej gapiów. Chcę mu powiedzieć, że lepiej dla niego będzie, jeśli nie zobaczy tego, co się w niej kryje.

– Kuzynie – woła do niego Simon – czy możesz odwieźć brata do domu i zostać tam z nim, dopóki nie będę mógł go przesłuchać?!

Jestem rozczarowana, ale oczywiście nie mogę zaprotestować.

Lambert otrząsa się z zamyślenia i kiwa głową, jednak zamiast sięgnąć po łokieć Oudina, chwyta Juliane.

– Chodźmy, sostro. Simon miał rację. Nie powinienem był cię tu przyprowadzać.

Dziewczyna wymyka się z jego uścisku.

– Chcę zostać i pomóc – mówi. – Mogłabym zapisywać spostrzeżenia Simona. – Spogląda na kuzyna i bezgłośnie błaga go, by się zgodził.

– Proszę – mówi samymi ustami. – Nie sprawię kłopotu.

Ku mojemu zaskoczeniu chłopak wzdycha i kiwa głową, po czym skinieniem dłoni przywołuje ją do siebie.

Lambert się chmurzy.

– Nie powinna oglądać takich rzeczy, kuzynie.

– Nie do ciebie należy ta decyzja – odpowiada Juliane, odchodząc od niego.

Simon unosi dłoń, zanim Lambert znów zdąży zaprotestować.

– Nic jej nie będzie, Lambercie. A tylko tobie mogę powierzyć Oudina.

Z oczywistą niechęcią Lambert chwytając brata za ramię i ciągnie go w górę ulicy.

– Przy mnie zdąży też wytrzeźwieć.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że nie zajmie mi to wiele czasu. – Simon odwraca się do madame Emeline. – Gdy skończę, czy zabrałaby pani... – Milknie, zakłopotany.

– Perrete – podpowiada Juliane.

– Właśnie, Perrete. – Simon kiwa głową na znak wdzięczności. – Zabierze ją pani?

Emeline zerka na stojącą z boku grupkę kobiet. Większość z nich nie kryje łez.

– Tak, venatre – mówi kobieta. – Zajmiemy się nią.

Wiedzą, że tylko im zależy na tym, by miała właściwy pochówek.

Simon spuszcza wzrok na Emeline.

– Będę musiał ją zbadać, zanim zostanie przebrana. Potrzebuję też jak najwięcej światła.

Myśl o przyglądaniu się i dotykaniu nagiego ciała martwej kobiety przyprawia mnie o mdłości, jednak madame przytakuje z przejęciem.

– Jeśli to pomoże.

Simon dziękuje jej i odchodzi, by poinstruować strażnika, aby ten zwracał uwagę na każdego, kto zatrzymuje się lub zbyt wolno przechodzi przez okolice miejsca zbrodni. Najwyraźniej wierzy, że morderca może tu wrócić. Chociaż wcześniej zachowywał się, jakby nie był właściwą osobą do poprowadzenia śledztwa, staje się jasne, że wie, co robi.

Przecucie podpowiada mi, że mężczyzna biegnący przez plac sanktuarium jest ważny dla sprawy, ale nie jestem pewna, jak o tym poinformować. Może powinnam porozmawiać z Juliane. Chociaż

uczyła się w opactwie u matki Agnes, byłam zbyt młoda, by się z nią zaprzyjaźnić, wątpię więc, żeby mnie pamiętała. Podejrzewam jednak, że jeśli ktoś ma mnie wysłuchać, to właśnie ona.

Problem polega na tym, że nie można sobie od tak chwycić córki hrabiego za ramię. Postanawiam więc przysunąć się do niej i szepnąć:

– Moja pani, być może widziałam człowieka, który to zrobił.

Zamiast mi odpowiedzieć, Juliane dwukrotnie pstryka palcami prawej ręki, przez co Simon się do niej odwraca. Jego oczy – z lewym na pewno jest coś nie tak – przesuwają się na mnie, a chłopak kiwa nieznacznie głową. Dopiero wtedy Juliane odwraca się do mnie i pyta:

– Co widziałaś?

Czy on właśnie dał jej pozwolenie, by ze mną porozmawiała?

– Chwilę po północy usłyszałam krzyk – odpowiadam, świadoma tego, że obserwuje nas venatre. – Jakiś czas później zobaczyłam mężczyznę biegnącego przez plac sanktuarium.

Simon marszczy brew.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem. Było ciemno, a gdy skręcił w boczną uliczkę, straciłam go z oczu.

– Dlaczego o tak późnej porze nie byłaś w domu? – Venatre zbliża się i przygląda mojemu niecodziennemu strojowi.

– Przeprowadzałam inspekcję dla mistrza architekta.

Spojrzenie Simona zatrzymuje się na moich stopach.

– Na twoich spodniach i butach jest krew. – Jego wzrok przeskakuje z powrotem na moją twarz. – Ach, tak, to ty znalazłaś ciało.

Kiwam głową, zafascynowana tym, co widzę. Jego tęczęwki mają kolor lazurowego nieba na szybach północnego okna sanktuarium, ale błękitną obręcz lewego oka szpeci brązowa drzazga – nigdy czegoś takiego nie widziałam i nie sądziłam, że jest możliwe.

– W takim razie kim jesteś? – pyta. – Córka architekta?

Mistrz Thomas jest dla mnie jak ojciec, ale tak naprawdę nie jesteśmy spokrewnieni. Nie mogę też nazwać się jego uczennicą.

– Pracuję dla niego – odpowiadam po prostu.

Julian unosi latarnię, by przyjrzeć się mojej twarzy.

– Mieszkałaś w opactwie Sióstr Światła.

Jeśli naprawdę mnie pamięta, to zapewne dlatego, że pewnego popołudnia wypuściłam worek ropuch w salonie przeoryszy, przez co lekcja hafciarstwa zakończyła się z wrzaskiem.

– Wiele lat temu – odpowiadam.

Jej twarz się rozpromienia.

– Ach, tak. „Caaaaaa-TRIIIN!” – Juliane perfekcyjnie udaje sposób, w jaki matka Agnes krzyczała na mnie tamtego popołudnia.

Krzywię się.

– Tak, to ja.

Simon unosi brwi, ale nie pyta o szczegóły.

– Będę musiał spisać dokładny przebieg tej nocy, panno Catrin. Czy po południu mogłaby panienka przyjść do domu burmistrza, czy ja powinienem się zjawić u panienki?

– Przyjdę do burmistrza – odpowiadam szybko.

Nie chcę, by venatre zjawił się u mistrza Thomasa.

– Dziękuję. Do zobaczenia. – Odwraca się, a ja zdaję sobie sprawę, że zostałam odprawiona. – Jesteś pewna, że chcesz mi asystować? – pyta Juliane. – To nie będzie nic przyjemnego.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Zabijanie nigdy takie nie jest.

Zaskakuje mnie jej dobór słów. Simon krzywi się, ale zamiast odpowiedzieć, staje twarzą do uliczki i bierze długi, głęboki wdech. Następnie prostuje ramiona i zanurza się w ciemności. Juliane rusza za nim, a jej mosiężna lampa kołysze się w powietrzu.

Cofam się, gdy kobiety Emeline tłoczą się przy wejściu. Strażnik również jest bardzo zainteresowany, dzięki czemu mogę niezauważona prześlizgnąć się w lukę pomiędzy domami w dalszej części ulicy. Jest na tyle wąska, że jestem w stanie wspiąć się w górę, trzymając stopę na ścianie jednego domu, a drugą na ścianie tego naprzeciwko. Ostatnio robiłam coś takiego w dniu, kiedy spotkałam architekta, obserwującego, jak uciekam grupie kieszonkowców, którą właśnie okradłam. Tym razem zamiast wcisnąć się w cień pod okapem, wciągam się na dach domu po lewej stronie, dusząc w sobie stęknienie z bólu, spowodowanego siniakami pod koszulą.

Śliskie od deszczu dachówki i konieczność zachowania ciszy sprawiają, że w drodze do uliczki, w której leży ciało Perrete,

poruszam się wolniej, niżbym chciała. Gdy do niej docieram, kładę się płasko na skośnej krawędzi dachu i wyglądam zza niej. Księżyc wyłonił się zza chmur, ale wisi nisko i nie pomaga mi zbytnio, widzę jednak Simona kucającego przy zwłokach Perrete.

Unosi jedną z zakrwawionych dłoni i przygląda się sztywnym palcom.

– Nie widzę, czy udało się jej go podrapać. – Ściany odbijają jego głos i słyszę go tak wyraźnie, jakbym stała tuż obok. – Cięcia na palcach powstały prawdopodobnie w wyniku trzymania się za jamę brzuszną, gdy była dźgana. – Odkłada dłoń dziewczyny. – Być może morderca ma takie same rany na dłoniach od trzymania noża.

– Przeliteruj proszę „brzuszną”. – Głos Juliane jest skrzekliwy i głośny w porównaniu z głosem Simona. – Co to jest ta jama?

– B-R-Z-U-S-Z-N-A – odpowiada Simon, wstając. – To zwrot, którego medycy używają, gdy mają na myśli okolice żołądka.

Simon jest medykiem?

– Nie jestem w stanie stwierdzić, ile razy została dźgnięta – mówi w zamyśleniu, gestem wskazując Juliane, by uniosła latarnię wyżej, po czym powoli obraca się dookoła i przygląda otoczeniu. – Dowiem się, gdy później przyjrzę się ciału. A teraz... o, tutaj.

Zatrzymuje się, skupiając na zakrwawionej ścianie, a następnie mija Juliane, by stanąć tuż przed nią.

– Tutaj zapewne podciął jej gardło, stojąc do niej tyłem. – Wskazuje ślad, który jest mi tak bardzo znajomy, a następnie niżej, gdzie jest jeszcze więcej krwi, której wcześniej nie zauważyłam. – Potem zaczął ją dźgać. Od tego wzięły się te pionowe smugi.

Nie wiem, czy bardziej niepokojące jest to, że on rozumie, co widzi, czy to, że ja wiem, że ma rację.

Simon idzie śladem ledwie widocznych w błocie tropów prowadzących do ciała.

– Zaciągnął ją tutaj, ale ona nie walczyła, więc musiała być nieprzytomna lub martwa.

– Drobną łaską – komentuje Juliane.

– Zgadza się – mruczy Simon, stając w pobliżu głowy Perrete. – Usunął jej oczy i zmiażdżył twarz czymś ciężkim, nie jestem jednak pewien, co zrobił najpierw.

Znowu się rozgląda, tym razem zajmuje mu to niemal pełną minutę, po czym kręci głową.

– Nie widzę tu jednak niczego, co mogłoby mu do tego posłużyć. – Wzdycha i zaczyna masować skroń. – Wszystko zostało naruszone. Odciski stóp, ulewa, ciało zakryte i ułożone inaczej, niż tuż po zbrodni...

Zdaję sobie sprawę, że ma rację: Perrete leży w innej pozycji niż wtedy, gdy ją znalazłam.

– W tej chwili nie jestem już chyba w stanie dowiedzieć się niczego więcej – mówi. – Lepiej pozwólmy im ją zabrać.

Juliane opuszcza latarnię.

– Pójdziemy z nimi?

– Nie my – podkreśla Simon. – Pójdziemy do domu i porozmawiamy z Oudinem. A gdy wrócę, może wezmę ze sobą Lamberta, ale nie ciebie.

– Ale mogę się przecież upewnić, że nic nie jest...

– Juliane – mówi stanowczo Simon – wiesz przecież, jaka będziesz wtedy zmęczona.

Kobieta wzdycha.

– Masz rację. Dziś będę jeszcze bardziej zmęczona.

Simon oferuje kuzynce ramię, jakby zapraszał ją na spacer, i w ten sposób wychodzą z uliczki. Odsuwam się od krawędzi i czołgam przez dach. Jako dodatkowy środek ostrożności przeskakuję zwinnie przez kolejny rząd domów aż do następnej uliczki i dopiero wtedy schodzę w dół.

Nie udało mi się dowiedzieć, czy mistrz Thomas zostanie uznany za podejrzanego, ale jeśli pojawię się w posiadłości Montcuirów, gdy Juliane będzie sama, wyjawi mi, co powiedział Oudin.

Tymczasem muszę ostrzec architekta.



## ROZDZIAŁ 5



Jestem w połowie drogi do domu, gdy słyszę wołanie.

– Catrin!

Mistrz Thomas biegnie w moją stronę. Jego czapka jest przekrzywiona, a poły płaszcz rozwiane.

– Dzięki światłu! – dyszy. – Gdzieś ty była? Słyszałem, że doszło do morderstwa.

Nie zdaję sobie sprawy z tego, jak słabo wstrzymywałam własne emocje, dopóki nie wpadam mu ze szlochem w ramiona.

– Na wschodzące słońce – szepcze mi we włosy mistrz Thomas. – Jesteś zimna jak lód. – Przez kilka chwil głaszczę moje plecy, po czym odrywa się ode mnie, przytrzymując moją twarz kilka cali od swojej. – Dlaczego, Catrin? – mówi szeptem, ale jeszcze nigdy nie widziałam, by był tak zły. – Dlaczego byłaś tutaj, a nie w sanktuarium?

Łzy płyną mi po policzkach i po kciukach mistrza.

– Przepraszam, przepraszam – bełkoczę. – Byłam w świątyni, ale zobaczyłam... zobaczyłam...

Ręce architekta zaciskają się mocniej wokół mnie.

– Co widziałaś?



– Mężczyznę. W pobliżu sanktuarium. – Biorę głośny wdech. – I usłyszałam...

Milknę. Co właściwie słyszałam?

– Słyszałaś głos morderczynie kobiety? – szepcze przerażony.

Trudno mi kiwnąć głową, gdy ją tak obejmuje, ale jego dłonie powstrzymują mnie przed szcękaniem zębami. Nagle przypominam sobie, dlaczego architekt nie może być widziany nigdzie w pobliżu miejsca zbrodni.

– M-musimy iść – mówię.

– Tak, tak. Przepraszam, że tak się zdenerwowałem. Bałem się. – Zdejmuje swój płaszcz i okrywa nim moje ramiona.

Ciepło uspokaja mnie na tyle, że pozwalam się prowadzić przez mniejsze uliczki aż do naszych tylnych drzwi, gdzie czeka na nas gospodyni, załamując ręce.

Sadzają mnie przy kuchennym palenisku, a pani la Fontaine wyciąga szpilki z moich mokrych włosów. Mistrz Thomas klęka, chwyta mnie za brudne dłonie i patrzy mi w oczy.

– Co się stało, Catrin?

Powoli zaczynam opowiadać o krzyku, który mnie przestraszył, chociaż nie wspominam o upadku ani krwi na ścianie. Następnie opisuję mężczyznę na placu i mówię o tym, jak poszłam odszukać źródło krzyku. Zatajam szepty, które kazały mi wracać do domu.

Mistrz Thomas wzdycha i kręci głową.

– Co cię opętało, by samej zapuszczać się do tamtej części miasta, i to o tej porze?

Jak mam to wyjaśnić?

– Nie wiem. Po prostu... po prostu wiedziałam, że ktoś potrzebuje pomocy.

Architekt powoli wypuszcza powietrze. I zerka na stojącą nade mną gospozię, ściskającą w dłoni garść szpilek.

– Skąd to wiedziałaś? – pyta. – Usłyszałaś coś? Coś więcej niż krzyk?

– Nie wiem – powtarzam, kręcąc głową, i pociągam nosem. – Po prostu wiedziałam. – Z mojej piersi wyrywa się kolejny szloch. – Spóźniłam się!

Mistrz Thomas podnosi się wyżej na kolanach i chwyta mnie za ramiona.

– I dzięki niech będą światłu, że tak się stało.

Odchylam się.

– Jak mistrz może tak mówić?

– Bo nie byłabyś w stanie go powstrzymać! – Potrząsa mną przy każdym słowie. – Ciebie też musiałby zabić, by cię uciszyć! – Milknie i powoli odzyskuje panowanie nad sobą, jak nad latawcem, który mógłby się zerwać przy zbyt gwałtownym pociągnięciu. – Cat, to, co przydarzyło się tamtej kobiecie, nie jest twoją winą!

– On zabił Perrete – szepczę. – Morderca... zrobił jej potworne rzeczy. Jej oczy... – mówię, zaciskając swoje w daremnej próbie odcięcia się od tej wizji.

Pani la Fontaine krzyżuje ręce na piersiach.

– Wiedziałam, że tej dziewczyny nie czeka nic dobrego.

– Cisza – warczy mistrz Thomas. – Nikt nie powinien mówić źle o zmarłych. A zwłaszcza o kimś, kto zginął w tak okropny sposób.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, by tak ostro obchodził się z gospożą, nawet po tym, jak w pożarze kuchni spłonęła połowa domu i wszystkie jego szkice. Nigdy też nie był na mnie tak zły jak dzisiejszej nocy, i to dwukrotnie.

– A jeśli ktoś wie, że tutaj była? – pytam. – Venatre będzie chciał cię przesłuchać.

Mistrz Thomas mruga.

– Przydzielono venatre'a? Dla kogoś takiego jak Perrete?

Przytakuję.

– Ma na imię Simon. Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale jest jakimś krewnym rodziny Montcuirow.

Zapada długa cisza, podczas której architekt gładzi brodę i wpatruje się w ogień. Następnie odsuwa dłoń i nachmurzony rozmasowuje palce. Podejrzewam, że szorstki zarost podrażnił znajdujące się na nich cięte ranki wyglądające na świeże.

– Co mu powiemy, jeśli się zjawi? – pyta pani la Fontaine roztrzęsionym głosem.

– Prawdę – odpowiada, opuszczając dłoń. – Przyszła tutaj, a ja odesłałem ją z kwitkiem.

Gospodyni zaciska usta.

– A co z mężczyzną...

– To nic takiego – przerywa mistrz Thomas. – Nie wspomnisz o nim. – Ponownie skupia na mnie swoją uwagę. – Czy venatre wie, co słyszałaś i widziałaś?

– Tak. Chce mnie przesłuchać po południu.

Mistrz nie wygląda na zadowolonego.

– W takim razie musisz zrobić, o co poprosił, ale opisuj rzeczy najprostszym językiem. Wspomnij o tym, że Perrete tu była, tylko jeśli zostaniesz o to zapytana, i powiedz, że wyszłaś, gdy tylko się zjawiała, więc nic więcej nie wiesz. Nie spekuluj na temat tego, co mogło się wydarzyć. – Świdruje mnie spojrzeniem szarych oczu. – Rozumiesz?

– Tak, mistrzu – szepczę.

– Dobrze. – Wzdycha i siada na piętach. – No dobrze, wiem, że dzisiejsza noc była prawdziwą męką, ale czy będąc w sanktuarium, znalazłaś jakąś usterkę?

Kiwam z przejęciem głową.

– W tej belce, o którą się martwiłam, jest ogromna szpara. W każdej chwili może dojść do wypadku. – Zaczynam wstawać. – Pokażę ci to na modelu, mistrzu.

Popycha mnie z powrotem na krzesło, zanim zdołam unieść się wyżej niż na kilka cali.

– Nie trzeba. Myślisz, że powinniśmy przerwać prace?

Architekt zawsze mi ufał, ale nigdy nie podjął tak ważnej decyzji bez sprawdzenia wszystkiego samodzielnie. Przełykam ślinę.

– Wydaje mi się, że cały segment powinien zostać zdemontowany.

– To mi wystarczy. – Z jękiem podnosi się z kolan, a ja zdaję sobie sprawę, że ma na sobie inne ubrania niż wcześniej. – Pierwsi robotnicy zaczną pojawiać się w ciągu godziny. Zaczniemy, gdy tylko na placu budowy będzie ich wystarczająco dużo.

Pani la Fontaine krząta się już po kuchni – zbiera ser i mięso, długim nożem kroi bochen chleba. Mistrz Thomas nachyla się, by pocałować mnie w policzek.

– Umyj się i prześpij. Gdy dojdiesz do siebie, możesz... – Milknie i lekko się dusi. – Będiesz wiedziała, co robić – mówi w końcu.

Zanim wyjdzie z kuchni, gospodyni wciska mu w dłonie naprędce przygotowane śniadanie. Potem zmusza mnie, żebym zjadła kromkę chleba z masłem, i wyciąga balię. Stojące na zewnątrz beczki

z deszczówką są przepelnione, więc kobieta napełnia wszystkie czajniki i garnki, które mieszczą się nad ogniem, i wypełnia balie jedno wiaderko po drugim. Godzinę zajmuje jej nagrzanie wody do satysfakcjonującej ją temperatury, a ja w tym czasie co najmniej dwa razy przysypiam na krześle.

Gdy w końcu jestem już w balii, pani la Fontaine przepłukuje moje bryczesy i kurtkę w mniejszej miednicy. Widząc, jak bardzo zaplamione są krwią, szoruję całe ciało, by pozbyć się wszystkich jej śladów ze skóry. Gospośia, zajęta czyszczeniem moich butów z błota, za każdym razem, gdy nagrzeje się nowe naczynie z wodą, dolewa ją do mojej balii. Nalega, bym rozwiązała włosy i je wyczesła – jest to zadanie, które w mniej wprawnych rękach mogłoby zająć cały dzień.

Kiedy moje loki zostają okiełznane i zaplecione na nowo, gospodyni ściąga z wysokiej półki ręcznik i dwukrotnie mnie nim opasuje.

– Połóż się. Gdy wypoczniesz, pójdziesz na spotkanie z venatre'em. I będziemy mogli o tym wszystkim zapomnieć.

– On pochodzi z Mesany – mówię. – Wie pani, gdzie to jest?

– Nigdy nie słyszałam o tym miejscu. – Prowadzi mnie do pokoju, jakby chciała mnie ubrać i położyć do łóżka. – Lepiej weź buty, przydadzą ci się.

Nie jestem pewna, o co chodzi, ale robię to, o co prosi.

Przy wejściu do pracowni architekta zatrzymuję się gwałtownie. Wspaniały model sanktuarium leży w kawałkach na podłodze. Niektóre z większych ścian pozostały po części nienaruszone, ale wszędzie są porozrzucane maleńkie bloki kamienia i kawałki tynku. Na szerokim parapecie pod zamkniętymi oknami leżą sterty odłamków witraży z miniaturowych okien. Kilka z nich jest ułożonych we wzory, jakby mistrz Thomas zaczął je składać.

– Co się stało? – pytam, gwałtownie łapiąc powietrze.

– Ta dziewczyna się stała, ot co! – Pani la Fontaine chwyta za miotłę i oczyszcza drogę do schodów. – Mistrz zabronił źle o niej mówić, więc go posłucham, ale nie powiem też o niej nic dobrego.

Perrete to zrobiła? Ale jak?

Odłamki szkła błyszczą na podłodze nawet po tym, jak gospodyni ją zamiotła, wkładam więc buty. Zanim się wyprostuję, podnoszę leżący u moich stóp zmięty pergamin. To papier z nazwiskami ofiar,

zerwany ze ściany i rzucony na drugi koniec pokoju. Podnoszę wzrok. Złoty młotek zniknął z miejsca, w którym został zawieszony.

To jego Perrete użyła, by siać tu takie spustoszenie. Podobnie jak w przypadku makabrycznej sceny w alejce w powietrzu unosi się zapach jej perfum.

Czuję ucisk w brzuchu, a oczy zachodzą mi mgłą, gdy po raz kolejny oglądam szczątki modelu. Naprawa i odbudowa zajmą kilka miesięcy. To miał na myśli mistrz Thomas, gdy powiedział, że będę wiedziała, co trzeba zrobić.

– No już! – woła stojąca u podnóża schodów gospoia. Odkłada miotłę. – Będiesz się o to martwić, gdy się wyśpisz.

Odrętwiała, przechodzę przez pokój i wychodzę po schodach. Sprawdza się moje podejrzenie, że pani la Fontaine zamierza ułożyć mnie do snu jak dziecko, ale jej na to pozwalam. Zamartwiam się, że każdy, kto dowie się, co się stało, założy, że mistrz Thomas nie byłby zwyczajnie zły na Perrete.

Ale czy był wystarczająco wściekły, by ją zabić? Wystarczająco wściekły, by dopuścić się takich potwornych czynów?

Nie wierzę w to. I nie uwierzę. Nigdy.

Tylko co na to venatre?



## ROZDZIAŁ 6



Gdy się budzę, jest już niemal południe. Wkładam czystą spódnicę roboczą, a oczy łzawią mi od bólu spowodowanego przez ciemne siniaki na brzuchu. Skórę również mam obdartą i bolesną, co czuję przy każdym dotyku i ruchu. Te obrażenia przypominają mi, jakie mam szczęście, że przeżyłam, jednak nie mogę się otrząsnąć z tego, co usłyszałam i zobaczyłam w głowie podczas upadku. Część mnie nadal wierzy, że to ja umarłam wczorajszej nocy.

Nawet mając na stopach buty, stąпам ostrożnie przez pracownię skąpaną w mętym świetle. Okiennice są zasłonięte, ale jestem wdzięczna za tę ciemność. Niewłaściwe byłoby, żeby błogosławione słońce wlewało się tu swoim blaskiem, podczas gdy wszystko w naszym życiu zostało wywrócone na drugą stronę i zaczęło zwisać na włosku.

Mój nastrój zmienia się nieco, gdy zauważam młodego chłopaka siedzącego przy kuchennym stole. Podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się szeroko. Przez ostatnie pół roku jego twarz w końcu zmęźniała na tyle, by wpasował się w nią ogromny nos, pod którym wyrasta teraz okazały wąs, zastępujący dziewiczy wąsik. Gdy młodzieniec wstaje, by mnie przywitać, zauważam też, że urósł o kilka cali.

– Na światło dnia, Remi! – wołam z zapartym tchem, rzucając mu się w ramiona. – Dobrze cię widzieć.

Jego dudniący śmiech rezonuje z moim, gdy odwzajemnia uścisk. Zanim zbyt głęboko zatopię się w jego objęciach, przypominam sobie, w jakich okolicznościach pożegnaliśmy się ostatniej jesieni. Czy on również to pamięta?

Odchylam się, nagle czując się niezręcznie. Szorstkie dłonie Remiego dotykają obu stron mojej twarzy i przytrzymują mnie, podczas gdy jego ciemnozielone oczy patrzą prosto w moje. Przygryzam wargę; Remi robi to samo. Na pewno pamięta.

Marszczy brwi.

– Twoje oczy są jakieś inne.

– Bzdura – odpowiada pani la Fontaine znad lady po drugiej stronie kuchni.

Wszystko, co widzę i czuję, podpowiada mi, że kobieta przygotowuje całą gamę ulubionych dań syna.

– Nie, naprawdę. – Remi przechyla głowę na bok. – Kiedyś były ciemniejsze, a teraz zewnętrzne kąciaki są bardziej... wyraźne.

– To wina światła. – Gospodyni uderza o siebie dwoma żeliwnymi garnkami na tyle głośno, że od siebie odskakujemy.

To jasne, że nie podoba jej się to, co między nami widzi, czyli... Cóż, sama nie jestem pewna, co to takiego.

Gdy Remi wyjechał to Lutecji na nauki, pocałował mnie w policzek niczym brat żegnający się z siostrą i powiedział, że po jego powrocie będzie inaczej. Założyłam, że miał na myśli to, że jeśli słońce pozwoli, zda test tak dobrze, że będzie mógł skrócić terminowanie. Potem nazwał mnie „Catrin” – co nie zdarzało się często – i znów mnie pocałował. W usta. Z całą pewnością nie tak, jak bracia całują siostry.

Nie było nieprzyjemnie, ale nie przyprawiło mnie o taki dreszcz, jakiego spodziewałam się po pierwszym pocałunku. Może po prostu byłam zaskoczona.

Remi siada i kopniakiem podsuwa mi krzesło, jakby pomiędzy nami nigdy nie wydarzyło się nic dziwnego. Opadam na nie i pytam:

– Od kiedy jesteś z powrotem?

Zerka na matkę.

– Od wczesnego ranka.

– W takim razie musiałeś zatrzymać się na noc tuż przed miastem – mówię. – Dlaczego nie przyjechałeś od razu do domu?

– Miałbym narobić rabanu tuż przed snem? Mama potrzebuje jak najwięcej snu, by jej uroda nie przeminęła. – Pani la Fontaine odwraca się przez ramię i patrzy na niego spode łba, ale Remi tylko się uśmiecha. – Chociaż słyszałem, że i tak nie spała całą noc, podekscytowana tym, co się tu wczoraj działo.

Mój apetyt natychmiast znika.

– „Podekscytowanie” nie jest słowem, którego bym użyła.

– A właśnie – mówi gospodyni. – Był tu dziś venatre. Chciał z tobą rozmawiać, ale powiedziałam mu, że śpisz i zamierzasz go później odwiedzić, tak jak ustaliliście.

Remi kręci z niedowierzaniem głową.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że rozpoczęto oficjalne dochodzenie w sprawie Perrete.

– Oudin Montcuir przyznał, że był z nią wczorajszej nocy – mówię. – I słyszały to dziesiątki ludzi.

Ramiona pani la Fontaine sztywnieją, ale Remi nachyla się do przodu, skupiony na mnie.

– Syn hrabiego jest podejrzany?

– Sądzę, że to śledztwo ma głównie na celu oczyszczenie go z zarzutów – odpowiadam. – I właśnie dlatego nie prowadzi go ani hrabia, ani jego drugi syn.

– W takim razie kto jest venatre’em?

– Simon z Mesany. To chyba jakiś krewny Montcuirów.

Remi znów opiera się o krzesło.

– Więc wszystko zostaje w rodzinie.

– Wiesz, gdzie leży Mesana? Nigdy nie słyszałam o tym miejscu. – Przyglądam się leżącemu między nami talerzowi babeczek, niepewna, czy uda mi się przełknąć choć jedną.

– Wydaje mi się, że w Prezji – odpowiada. – Na wybrzeżu.

To kilka dni drogi na północ. Mówią tam w innym języku, ale Simon nie ma akcentu, jak inni mieszkańcy Prezji, których spotykałam.

Remi bawi się leżącym na stole widelcem, okręcając go jednym palcem.

– Jaki on jest?



– Venatre? – Wzruszam ramionami. – Na początku sprawiał wrażenie dość opornego, ale wydaje mi się, że wykona skrupulatną robotę.

– Jak bardzo skrupulatną?

Znów wzruszam ramionami, tym razem by ukryć niepokój.

– Chyba dowiem się, gdy będę odpowiadać na jego pytania.

Albo unikać odpowiedzi.

– Lepiej daj mistrzowi znać, że tu jesteś, Remone – mówi nagle pani la Fontaine.

Użycie jego pełnego imienia nie pozostawia miejsca na dyskusję.

Zerkam na leżący przed nim talerz. Nie pozostał na nim choćby okruszek, musiał go więc wylizać do czysta. Nie ma żadnych wątpliwości, że tęsknił za kuchnią matki.

Remi wstaje i przeciąga się z jękiem.

– Dobrze cię znów zobaczyć, koteczku – mówi. – Pogadamy później, co?

Nienawidzę, gdy tak mnie nazywa.

– Do widzenia, Remone – odparowuję, żałując, że nie wymyśliłam żadnego przezwiska, którym mogłabym go dręczyć.

Gdy znika w drzwiach pracowni, pani la Fontaine odwraca się do mnie. W dłoni trzyma tasak.

– Lepiej uważaj na to, co powiesz dziś venatre'owi – mówi. – Nie spodobało mi się ani to, co słyszałam, ani to, co widziałam. Obcokrajowcy nie powinni się wtrącać w nasze sprawy.

To dziwne, że podchodzi do tego w ten sposób, biorąc pod uwagę, że jej mąż urodził się w Taurii, która nie leży nawet na naszym kontynencie. Nikt, kto spojrzy na Remiego, nie zdołałby zaprzeczyć, że jego ojciec, obcokrajowiec, z całą pewnością wtrącił się w jej sprawy.

– Prezja nie jest daleko – mówię. – To niecały tydzień drogi.

– Nie podobają mi się jego oczy – nalega. – Nie są naturalne.

Słyszając ten przesąd, przewracam swoimi. A potem przypominam sobie komentarz Remiego, więc pytam:

– Czy moje oczy się zmieniły, tak jak mówił Remi?

– Nie. – Gospodyni odwraca się z powrotem do warzyw. Rozlega się seria uderzeń. – To tylko światło. – Trach. – Nic więcej.



## ROZDZIAŁ 7



Rodzina Montcuirów mieszka zaledwie kilka ulic dalej, ale po tym, co zdarzyło się ostatniej nocy, nie mam zamiaru schodzić z głównej ulicy nawet w środku dnia, więc udaję się do nich dłuższą drogą, prowadzącą przez plac sanktuarium. Chociaż ten fragment rusztowania, który sprawdziłam wczorajszej nocy, jest daleko stąd, w dodatku zasłonięty przez część poprzecznej nawy oraz wieżę, i tak słyszę, jak go rozbierają. Później będę musiała tam zajść i naszkicować zmiany, by móc nanieść je na model.

Wtedy przypominam sobie, że przecież nie ma już żadnego modelu, i czuję się, jakby ktoś uderzył mnie w posiniaczony brzuch. Jednak teraz, gdy wrócił Remi, może będę miała czas, by zacząć składać go od nowa.

Drzwi otwiera kobieta, którą rozpoznaję jako byłą guwernantkę lady Juliane. Sądząc po chuście na włosach i smudze mąki na okrągłym policzku, zakładam, że została z rodziną i pracuje teraz w kuchni, w nadziei że pewnego dnia zajmie się dziećmi Juliane. Jeśli naprawdę tak jest, to czeka już dość długo. Ledwie się odzywa, gdy prowadzi mnie na drugie piętro. W pokoju na końcu korytarza, przy długim stole siedzi Juliane i coś pisze. Za nią, na ścianie, wisi wyrzeźbione w drewnie, wypolerowane na gładko słońce, odbijające

światło przedostające się przez otwarte okno. W przeciwległych kątach pokoju stoją średniej wielkości łóżko i dębowa szafa, jednak poza tym jest tam tak pusto, że zakładam, że nikt tu nie mieszka.

– Panna Catrin – kobieta przerywa anons, jakby chciała podkreślić, że nie mam nazwiska – mówi, że przyszła na prośbę pana Simona.

Juliane odkłada pióro i wstaje, uśmiechając się w sposób, który mówi, że cieszy się z mojego przybycia i to nie tylko dlatego, że Simon kazał mi się tu zjawić.

– Dziękuję, madame Denise – odpowiada kobiecie, która kłania się i odchodzi bez słowa.

Gdy zostajemy same, Juliane gestem zaprasza mnie do środka.

– Mam nadzieję, że nie poczujesz się niezręcznie w pokoju Simona, ale tylko tutaj mamy odrobinę prywatności.

– Tutaj mieszka venatre? – Rozglądam się ponownie w poszukiwaniu znaków życia, jednak zauważam jedynie podniszczoną skrzynię, na której stoi świecznik z brązu. Biorąc pod uwagę, że dom jest co najmniej cztery razy większy od tego, w którym mieszka architekt, na pierwszym piętrze musi znajdować się wystarczająco dużo pokoi, zastanawiam się więc, co ulokowanie Simona tutaj mówi na temat jego miejsca w rodzinie. – Jest tu tak... pusto.

Juliane wzrusza ramionami.

– On chyba jest przyzwyczajony do prostszego życia. Usiądź, proszę.

Uprzejmie kiwam głową i siadam na ławce naprzeciwko, czekając, aż sama znów usiądzie.

– Simona nie ma w tej chwili w domu – mówi dalej. – Ale wkrótce powinien wrócić.

Wyciąga czysty kawałek pergaminu – nie, papieru – z nieuporządkowanej sterty leżącej pomiędzy nami. Nawet architekt nie używa papieru. Jest zbyt drogi i nie można go użyć ponownie, w przeciwieństwie do pergaminu. W tej chwili jest go przede mną więcej, niż widziałam w całym dotychczasowym życiu.

– Jeśli chcesz, mogę zacząć spisywać twoje zeznania – proponuje.

Zupełnie zasycha mi w ustach. Przyszłam tu wcześniej, w nadziei że dowiem się, co zdążył już odkryć Simon, i nie spodziewałam się,

że to ona będzie mi zadawać pytania.

– W porządku – odpowiadam.

– Świetnie – mówi tak, jakbyśmy miały rozmawiać o czymś miłym i przyjemnym, jak pogoda, a nie morderstwo. – Zacznijmy od twojej pracy. Wspominałaś, że pracujesz dla architekta, ale nie jesteś jego uczennicą?

– Ee, nie do końca. – Wykręcam dłonie spoczywające na kolanach. Kiedyś myślałam, że będę mogła terminować u niego wraz z Remim, ale chociaż mam oko do struktur nośnych, nigdy nie byłam w stanie opanować matematyki w wymaganym stopniu ani rysować odpowiednio precyzyjnych projektów. Dlatego specjalizuję się w rusztowaniach; przy nich nie są potrzebne precyzyjne pomiary, których używa się w przypadku samego sanktuarium. – Jestem jego asystentką – wyjaśniam. – Zajmuję się głównie inspekcją placu budowy.

Juliane moczy pióro w kałamarzu i zapisuje dokładnie moją odpowiedź, włączając w to „ee, nie”, ale dodaje również własne słowa przed nią i po niej.

– I to właśnie robiłaś zeszłej nocy?

Odchrząkuję, by sprawdzić, czy zapisze w jakiś sposób ten odgłos – i owszem, zapisuje.

– Tak, mieliśmy opóźnienie, więc wyszłam, gdy na niebie pojawił się księżyc. – Przemilczam mój upadek, ale wspominam o krzyku i tym, jak wspięłam się na szczyt sanktuarium, by wyrzeć na miasto.

Pióro przez kilka sekund drapie po papierze, po czym się zatrzymuje, a Juliane podnosi wzrok. Jej źrenice są tak rozszerzone, że ciemnobrązowe tęczówki stają się niemal niewidoczne.

– Co stało się potem?

– Zobaczyłam biegnącego mężczyznę. – Opisuję go tak szczegółowo, jak potrafię, podaję również kierunek, w którym się udał.

– Czy był Seleńczykiem?

To pytanie mnie zaskakuje.

– Ach, nie byłam w stanie tego stwierdzić.

Drap, drap. Przerwa.

– Usłyszałaś coś jeszcze?

Poza bezcielesnym głosem, który kazał mi wracać do domu? Kręcę głową.

– Nie.

Juliane marszczy brwi, jakby była zawiedziona.

– Mów dalej, proszę.

Zaczynam streszczać poszukiwania, które doprowadziły mnie do ciała Perrete, opowiadam o tym, jak wybiegłam z krzykiem z uliczki, mówię o kobiecie, która na mnie nakrzyczała, i o tym, że to ja podniosłam alarm. Zawieram jak najwięcej szczegółów, by nadrobić to, o czym nie wspominam, na przykład o dziwnych szeptach i o tym, jak uliczka zdawała się rozjaśniona światłem tysiąca świec.

– Widziałaś Seleńczyka w zgromadzonym tłumie? – pyta Juliane.

– Hm, tak? – Chociaż już o niego pytała, jestem tak zaskoczona, że odpowiadam, nie myśląc wiele. Nie jestem pewna, czy chcę, by ten człowiek miał przeze mnie kłopoty. – Ale odszedł chwilę po tym, jak go zauważyłam.

– Myśli panienka, że ją śledził? – odzywa się męski głos.

Odwracamy się, a naszym oczom ukazuje się oparta o framugę tyczkowata sylwetka Simona. Mężczyzna krzyżuje ręce na piersi. Stoi za nim Lambert, zarumieniony i spocony, w przeciwieństwie do bladego i opanowanego venatre’a.

– Jak długo tutaj jesteś? – pyta Juliane, marszcząc brwi.

– Jakąś minutkę. Całkiem nieźle ci szło. – Simon przenosi spojrzenie na mnie. – Myśli panienka, że tamten Seleńczyk ją śledził? – pyta ponownie.

– Skąd? Z sanktuarium?

Simon przytakuje, a zmęczone cienie pod oczami na krótko ujawniają się nad wydatnymi kośćmi policzkowymi.

– Dlaczego... dlaczego pan tak myśli?

Venatre przez kilka sekund zaciska usta, a jego twarz nie zdradza żadnych emocji. W końcu kiwa głową w kierunku Juliane.

– Pokaż jej zeznanie Oudina.

Juliane upuszcza pióro i zaczyna przeszukiwać stertę papierów, a Simon i Lambert wchodzą do pokoju. Dziewczyna wyciąga trzy kartki i układa je w kolejności, po czym podaje je mnie. Nie wierzę w swoje szczęście – dowiem się wszystkiego, co mówił Oudin.

Tak jak jej zapiski z moich zeznań, te również zdają się relacją słowo po słowie. Nawet biorąc pod uwagę używane przez nią skróty, zastanawiam się, jak udało jej się nadażyć z pisaniem. Kartka na wierzchu nie jest jednak pierwszą stroną, więc brakuje mi początku jego zeznań.

S: *A potem?*

O: *Poszedłem poszukać Perrete.*

S: *Poszedłeś do jej domu?*

O: *Oczywiście. Nie kopuluję po bocznych uliczkach jak jakieś zwierzę.*

Zaciskam zęby. Jak można powiedzieć coś takiego, zwłaszcza gdy wiemy, w jakim miejscu skończyła Perrete.

S: *Znalazłeś ją?*

O: *Tak, ale powiedziała, że najpierw musi się czymś zająć.*

S: *Zdradziła, dokąd idzie?*

O: *Nie, ale uśmiechała się, jakby miała jakąś tajemnicę. Zawsze lubiła się droczyć.*

Oudin nie wiedział, że poszła do mistrza Thomasa. Powoli wypuszczam wstrzymywany oddech, świadoma wpatrującego się we mnie Simona. Lambert opada ciężko na krzesło po drugiej stronie stołu.

S: *Co zrobiłeś później?*

O: *Wróciłem do piwiarni. Powiedziała, że tam się ze mną spotka, jeśli dobrze jej pójdzie.*

S: *Czy będąc tam, brałeś skonię?*

O: *Aresztujesz mnie za to?*

S: *Nie, nie tym się tutaj zajmuję.*

Zastanawiam się, czy venatre ignoruje to ze względu na lojalność w stosunku do rodziny, czy szczerze pragnienie rozwiązania zagadki śmierci Perrete.

O: *W takim razie owszem. Musiałem jakoś spędzić czas.*

S: *Czy to była twoja jedyna działka tej nocy?*

O: *Tak. Co... Aa! Odsuń się!*

S: *Delikatnie opóźniona reakcja.*

Zgaduję, że Simon pstryknął palcami lub zaklaskał w dłonie tuż przed nosem Oudina. Strażnicy miejscy robią tak, by sprawdzić snujących się po ulicy ludzi zamroczonych narkotykami. Najwyraźniej Simon potrafi dokładnie stwierdzić, ile minęło od ostatniej dawki po samych oczach Oudina.

S: *Źrenice średnio rozszerzone. Czas konsumpcji: około pięciu godzin wcześniej. Jeśli doszło do niej wkrótce po tym, jak widział się z Perrete, to sprawia, że Oudin Montcuir był w jej towarzystwie...*

J: *Godzinę przed północą.*

Juliane nie pomija żadnego słowa, nawet własnego. Z kolei w Simonie zauważyłam coś jeszcze. Nawet jeśli nie jest medykiem, ma dużą wiedzę na temat stosowanych przez nich metod i wyrażań. Być może jest jakimś uczonym, chociaż pozbawiony książek pokój raczej temu przeczy.

S: *Dziękuję, Juliane. Co było potem?*

O: *Nie wróciła do karczmy, więc postanowiłem pójść do domu.*

Złe przeczucie rozwija się we mnie jak szpulka taśmy. Plac sanktuarium byłby najprostszą drogą z karczmy.

S: *Czy po drodze widziałeś kogoś lub słyszałeś?*

O: *T-to mogło być od skonii.*

S: *Ja to ocenię. Co widziałeś?*

O: *Seleńczyka. Stał w mroku i patrzył na sanktuarium.*

Juliane w swoich notatkach zauważa, że w mowie Oudina słychać wzburzenie i być może strach. Ja czuję podobny niepokój.

S: *Co robił?*

O: *O-on... rozmawiał z jedną z rzeźb wiszących wysoko na ścianie. Rozmawiał z nią, a ona odleciała.*

Urojenia spowodowane przez skonię często zaczynają się od zobaczenia lub usłyszenia czegoś prawdziwego, ale niespodziewanego, a potem zaczynają odbiegać od tego, co dzieje się naprawdę, zmieniając się w pełnoprawną halucynację. Jeśli Oudin naprawdę zobaczył Seleńczyka, to znaczy, że ktoś mnie obserwował – i śledził – na długo, zanim opuściłam sanktuarium.

Jestem również pewna, że Oudin widział, jak stoję przy Pierze. Gdy się odsunęłam, jego otumaniony umysł zinterpretował to jako odlatującą rzeźbę. Mam wrażenie, że rozwinięta szpula lęku w moim żołądku zapala się na jednym końcu, a ogień błyskawicznie rozprzestrzenia się przez wszystkie zakręty. Wiem, co nadchodzi.

Teraz pytanie zadaje Lambert. Nie miałam pojęcia, że też był przy przesłuchaniu.

L: *Czy Seleńczyk się odezwał?*

O: *Powiedział: „Idź do domu, mały kotku. To kiepska noc na wycieczki”.*





## ROZDZIAŁ 8



Upuszczam kartkę i zakrywam usta dwoma rękami, by powstrzymać krzyk, który próbuje wyrwać mi się z płuc.

Niemożliwe. Nie ma innego sposobu, by opisać to, co przeczytałam.

A jednak dokładnie te same słowa usłyszałam, gdy stałam na ścianie sanktuarium. Głos Seleńczyka dotarł do mnie tak samo jak później, a ani za jednym, ani za drugim razem nie powinno było się to wydarzyć.

Niemożliwe.

Simon stoi obok mnie i trzyma dłoń na moim ramieniu. Ten gest wydaje się zbyt poufały, gdy pochodzi od nieznajomego, jednak jestem wdzięczna za stabilność, jaką oferuje.

– Juliane – mówi. – Czy mogłabyś nam przynieść nieco herbaty na uspokojenie?

– Już idę. – Dziewczyna wychodzi, ale ledwie to zauważam.

Gdy nie przerywam milczenia, głos zabiera Simon:

– Przepraszam, panno Catrin. Nie przewidziałem, że będzie to tak straszne.

On wierzy, że moje przerażenie bierze się z tego, że ktoś mnie obserwował. Nie mam zamiaru go poprawiać.

– Myśli panienska, że mogłaby opisać Seleńczyka, którego później spotkała, albo go rozpoznać? – pyta Lambert, nachylając się z niepokojem.

Owszem, mogłabym. Nie sędzę, że wielu z nich jest tak pooranych bliznami. Jednak nie mam powodu, by myśleć, że był wrogo nastawiony. Prawdę mówiąc, próbował mnie przecież ochronić. Bo inaczej po co – dwukrotnie – namawiałby mnie do powrotu do domu?

To kiepska noc na wycieczki.

– N-nie wiem, czy zdołałabym go rozpoznać – dukam. – Było tak ciemno. A ja byłam roztrzęsiona po tym, jak znalazłam... ciało.

Pojawia się przede mną filiżanka herbaty. Para niesie ze sobą ostry zapach korzenia waleriany i innych ziół, których woni nie rozpoznaję.

– Smakuje lepiej, niż pachnie – mówi uprzejmie Juliane.

Napar parzy mnie w język, ale smak okazuje się bardzo kwiatowy. Upijam kilka powolnych łyków, pozwalając, by mnie rozgrzał. Z każdym wdechem moje ciało staje się lżejsze, jakbym zaczęła się unosić. Mam wrażenie, że za moment uderzę głową o krokwie.

– Jak się panienska teraz czuje? – pyta Simon.

– Lepiej. – Uśmiecham się i ponownie unoszę filiżankę do ust, jednak on chwyta ją z ogromną prędkością, rozlewając gorący napój na swoje palce i moje kolana.

Podnosi filiżankę do nosa.

Jego spojrzenie pada na Juliane.

– Parzyła się całą noc?

Juliane załamuje ręce, a ja jestem zdziwiona, jak bardzo widoczne są knykcie jej szczupłych palców.

– Przyniosłam to, co było w imbryku – mówi. – Jest zbyt mocna?

Simon znów patrzy na mnie.

– Z całą pewnością. Jeszcze nigdy nie widziałem, by tak szybko zadziałała na kogoś z taką mocą.

– Czy nic jej nie będzie? – Lambert zerka na mnie.

Gdy mruga, jego rzęsy omiatają fruujące dookoła drobinki kurzu, wprawiając je w taniec na tle blasku słońca wlewającego się przez okno.

– Wszystko w porządku – zapewniam.

Nie mogę sobie nawet przypomnieć, dlaczego tak się stresowałam. Simon chmurzy się i odstawia filiżankę na bok.

– Wypiła tylko ćwierć porcji, więc się zbytnio nie martwię. – Siada okrakiem na ławce obok mnie. – Ale sądzę, że już niedługo da radę odpowiadać na pytania.

Krzywię się, a irytacja przeciska się przez mgłę zadowolenia.

– Proszę przestać mówić, jakbym was nie rozumiała.

– Oczywiście – mówi Simon. – Proszę wybaczyć, panno Catrin.

– Cat – odpowiadam niewyraźnie.

Mój język zdaje się ciężki jak kamień, z którego zbudowano sanktuarium.

Jego jasne brwi się stykają.

– Co?

– Mam na imię Cat. – Każde słowo wymaga skupienia. – „Panna Catrin” brzmi, jakby mówił pan do kogoś innego.

Usta Simona unoszą się w ledwie widocznym uśmiechu.

– W porządku, Cat. Czy poprzedniej nocy widziałaś lub słyszałaś coś jeszcze?

Słyszałam rozpacz Perrete i słowa Seleńczyka. Widziałam krew na ścianie sanktuarium, dokładnie tak jak potem w uliczce. A może widziałam z sanktuarium ścianę, pod którą leżała Perrete? – Kręcę głową, by wyrzucić z siebie tę myśl.

– Widziałam, co zrobiono Perrete – odpowiadam, świadoma podwójnego znaczenia tych słów.

– Perrete. – Simon odchyła się na krześle, słysząc, że nazywam ją po imieniu. – Znałyście się?

Odpowiedź opuszcza moje usta, zanim zdążę ją powstrzymać:

– Czasem przychodziła do mistrza Thomasa. – Nie, nie mogę tego mówić. – Ale nie po to, o czym pan myśli – dodaję w pośpiechu.

Co było w tej herbacie? Zakrywam oczy dłonią. Skup się. Muszę wyjaśnić to, co właśnie powiedziałam, nie ujawniając niczego, co wzbudzałoby podejrzenia.

– Jej ojciec pracował dla mistrza lata temu, ale zmarł. – Prawda jest najłatwiejszą ścieżką, postanawiam więc nią kroczyć, wybierając słowa tak ostrożnie, jakbym zrywała róże z ciernistych pnączy. – Mistrz Thomas próbował uchronić ją od nędzy, jednak... od

dłuższego czasu nie dawał jej pieniędzy. – Łzy, które napływają mi do oczu, są prawdziwe. – Jej śmierć była dla niego szokiem.

Simon kiwa ze zrozumieniem głową.

– Wyobrażam sobie. – Wzdycha i zerka na Lamberta. – Kuzynie, myślę, że panna... że Cat powinna już wracać do domu. Mógłbyś ją tam odeskortować?

– Oczywiście. – Słyszę, jak Lambert wstaje, chociaż odgłos dochodzi do mnie jakby z dna studni. – Za kilka minut wrócę – mówi i pomaga mi się podnieść.

– Nie spiesz się. – Simon ziewa. – Jestem zbyt zmęczony, by cokolwiek jeszcze dziś robić. Ty zapewne również.

Lambert wyprowadza mnie z pokoju, a jego odziana w rękawiczkę dłoń trzyma mnie za ramię, gdy przechodzimy przez korytarz i schodzimy po schodach. Jakimś cudem udaje mi się zejść na dół i wyjść na zewnątrz, choć nie jestem przekonana, czy moje stopy w ogóle dotknęły ziemi. Lambert jest dla mnie jak kotwica, ale gdy idziemy ulicą, czuję się, jakbym dryfowała ponad nim. Nad nami góruje sanktuarium, wywołując uśmiech na mojej twarzy.

– Jest piękne, prawda? – pytam.

– Jeśli lubi się takie rzeczy – odpowiada.

– Ja lubię – mówię. – Wie pan, że od pięciu lat nie było tam żadnego wypadku? Wie pan dlaczego?

– Dlaczego? – W jego głosie słychać nutę rozbawienia.

– Dzięki mnie – odpowiadam z powagą. – Wspinam się po rusztowaniach i szukam usterek. Po to zostałam zatrudniona.

– A gdzie byłaś wcześniej?

– W opactwie Solis.

Lambert kiwa głową.

– Ach, tak. Juliane wspominała, że stamtąd cię pamięta. – Prowadzi mnie tą samą drogą, którą przyszłam, prawdopodobnie dlatego, że przecinanie uliczek z młodą kobietą dość mocno opierającą się na ramieniu może wydawać się niewłaściwe.

Cały czas skupiam się na świątyni, chociaż odbija się od niej jasny blask słońca. Jest doskonała. Nigdy nie rozumiałam sprzeciwów matki Agnes wobec mojej pracy, w końcu wykonuję ją na chwałę słońca.

– Przeorysza była zdenerwowana, gdy odeszłam – mówię, wypełniając ciszę swoimi myślami. – Raz w tygodniu pijałam z nią herbatę, ale od jakiegoś czasu tego nie robiłam. Tęsknię za nią. – Ostatnie wyznanie jest dla mnie niespodzianką.

Ale to jej wina.

– Ktoś do nas macha – stwierdza Lambert.

Dotarliśmy do placu. W naszym kierunku biegnie Remi z zasepionym obliczem.

– To uczeń mistrza Thomasa – wyjaśniam radośnie.

Remi jest już na tyle blisko, że mnie słyszy.

– Już nie. Teraz jestem czeladnikiem, nie pamiętasz? – Nie czekając na odpowiedź, dopytuje: – Co się stało, Cat?

– Nic. Zu-peł-nie. Nic a nic. – Zaczynam chichotać, choć sama nie jestem pewna, dlaczego te słowa mnie tak bawią.

– Czy ona jest pijana? – Remi odciąga mnie od Lamberta, przez co aż na niego wpadam.

– Nie, nie. – Lambert kręci głową. – Wypiła tylko trochę herbaty. Część pytań, które zadawaliśmy na temat zeszłej nocy, ją zdenerwowała, a herbata miała pomóc.

– Co, na światło słońca, było w tej herbacie? – Remi prawie krzyczy. – Skonia?

– Nie bądź na niego zły – proszę, opierając się na jego ramieniu. Pachnie kamiennym pyłem i potem. To zapach ciężkiej pracy. – To venatre mi ją podał.

– W takim razie on za to odpowie. – Remi zaczyna mnie prowadzić. – Ja się nią zajmę.

Lambert patrzy, jak odchodzimy. Coś we mnie skręca się ze wstydu, gdy posyłam mu pocałunek na pożegnanie.



## ROZDZIAŁ 9



Śpię aż do następnego poranka, co pozwala Remiemu zdać mistrzowi raport z mojego powrotu.

– Nie miała tak zadziałać – próbuję wyjaśnić. Z jakiegoś powodu czuję się zobowiązana bronić tego, co wczoraj zaszło, chociaż gdyby architekt wiedział, że tamtej nocy byłam obserwowana, zapewne nigdy już nie pozwoliłby mi wyjść samej z domu. – Gdy tylko się zorientowali, jak mocna jest herbata, natychmiast ją zabrali. Wypiłam jedynie kilka łyków.

Remi dźga kielbaskę nożem.

– Nie chciałbym zobaczyć nikogo pod wpływem całej filiżanki – mruczy pod nosem. – Ledwie byłaś w stanie sklecić dwa słowa.

– Bo spałam – warknęłam. – Poszłam prosto do łóżka.

– Wiem, Koteczku. Sam cię do niego zaniósłem. – Przewraca oczami, po czym zerka na architekta. – To znaczy zaniósłem cię pod drzwi. – Niewchodzenie do mojego pokoju jest jedyną zasadą, której nigdy nie próbował złamać.

W odpowiedzi na znienawidzone przezwisko orzę powietrze, jakby moje palce miały pazury, i syczę.

– Dość tego – mówi mistrz Thomas. – Co powiedziałaś venatre’owi, Catrin?

Przybieram neutralny wyraz twarzy i odpowiadam:

– Powiedziałaś, że usłyszałam krzyk, widziałam biegnącego mężczyznę, poszłam to sprawdzić i znalazłam jej ciało, mistrzu. Nic więcej.

– Nic o tym, że Perrete tutaj była? – pyta architekt, a zielone oczy Remiego niemal wychodzą z orbit.

Teoretycznie nie.

– Nie. Powiedziałaś, że ją znaleźliśmy i że czasem dawał jej mistrz pieniądze – przyznaję. – Ale dodałam, że od dłuższego czasu już nie.

Mistrza zaciska usta. To znak, że nie jest zadowolony.

Remi przełyka kęs i gwałtownie nabiera powietrza.

– Ona tutaj była?

– Przyszła, domagała się pieniędzy, odmówiłem, wpadła w szal i wyszła – mówi architekt. – To wszystko.

– Wpadła w szal? – Remi wskazuje kciukiem drzwi do pracowni. – To jej sprawka? – Mistrz kiwa ociężale głową. – Zabrała też młotek?

Architekt wzdycha.

– Po tym, jak go użyła, owszem.

Otwieram szeroko oczy. Nie zdawałam sobie sprawy, że młotek zniknął. Gdyby Perrete miała go przy sobie, motywem morderstwa mogła być kradzież. Jednak na narzędziu wygrawerowano nazwisko architekta, dlatego młotek nie mógłby zostać po prostu sprzedany, tylko zapewne przetopiony.

Mistrz skupia się na mnie, a w jego oczach odbija się głęboki smutek.

– Czy venatre kogoś podejrzewa?

Kiwam głową.

– Oudin powiedział, że na placu sanktuarium był tamtej nocy jakiś Seleńczyk. Sądzę, że venatre będzie szukał innych osób, które go widziały.

Mistrz Thomas z odrazą rzuca na talerz widelec o dwóch zębach.

– Przeklinam tego idiotę! Ktoś przez niego zginie.

Remi parska.

– Tylko jakiś Seleńczyk.

– Ludzie nocy, jak sama nazwa wskazuje – mówi ostro architekt – też są ludźmi.

- Wielbiciele księżycy – mruczy Remi w kierunku resztek kielbasy.
- Czarownicy i heretycy.

Mistrz Thomas nachyla się do przodu.

- Nie bądź ignorantem, Remone. Oni czczą księżyc, tak samo jak my czcimy słońce.

Niewiele osób zaprzęta sobie myśli teologią, ale matka Agnes wbiła nam do głowy, że błogosławione słońce jest darem od siły wyższej. Oddajemy mu hołd i cześć, budując świątynie, których zadaniem jest uchwycenie jego piękna i okazanie naszej wdzięczności, ale wiemy, że nie jest bogiem. Nie mam jednak pojęcia, jakim cudem Selenicy mogą tak samo traktować księżyc. Jego światło nie jest tak mocne ani wystarczająco stałe, by samodzielnie podtrzymać jakąkolwiek roślinność. Nawet wilec pokrywający ściany ich dzielnic, zwany księżycowym pnączem, potrzebuje słońca. Wszyscy zgadzamy się jednak, że za granicą nieba znajduje się coś wielkiego.

Architekt mówi dalej:

- Jeśli nie rozumiesz naszej religii, nie będziesz w stanie prawidłowo zbudować sanktuarium takiego jak nasze.

- Nie potrzebuję tych wykładów! – Remi wstaje gwałtownie z krzesła. – Nie jestem dzieckiem!

Mistrz unosi jedynie brew.

- To się tak nie zachowuj.

Remi bez słowa wymaszerowuje z kuchni. Kilka sekund później słyszymy, jak tupie w drodze do swojego pokoju na drugim piętrze. Zaskoczona, zwracam się do architekta:

- Co się tutaj stało?

Mistrz Thomas ze zmęczeniem pociera twarz dłonią, po czym z grymasem zerka na klute ranki na palcach.

- Nie zgodziłem się obiecać, że za dwa lata pokieruje rozbudową transeptu.

- Dlaczego nie? Przecież zdał nauki.

- Owszem, ale nadal musi się sporo nauczyć. Nawet ja nie zostałem mistrzem, dopóki nie skończyłem dwudziestu pięciu lat.

Po ośmiu latach nauki i pracy Remi dowiedział się, że będzie musiał czekać co najmniej kolejnych pięć.

- A jak ty się czułeś w jego wieku, mistrzu? – pytam.



Uśmiecha się, choć jest to uśmiech lekko wymuszony.

– Byłem arogancki. Butny i pełen wielkich planów. Nie doceniałem tych, którzy byli wokół mnie.

– W takim razie Remi robi wszystko zgodnie z harmonogramem.

Architekt śmieje się lekko. Po chwili wstaje i zawija mi za ucho niesforny pukiel włosów.

– Mam prośbę. Niech naprawa modelu będzie przez kolejnych kilka dni twoim priorytetem.

– To zajmie tygodnie. – Począwszy od paru dni samego sprzątnięcia.

Architekt nachyla się, by spojrzeć mi w oczy.

– A pomijając herbatkę z waleriany, im więcej czasu spędzisz z venatre'em, tym bardziej prawdopodobne będzie, że powiesz coś, czego nie chcesz powiedzieć. Złożyłaś zeznania. Zrobiłaś to, co trzeba.

Kiwam głową w geście wyrażającym jednocześnie zgodę i posłuszeństwo, a mistrz opuszcza pomieszczenie.

Zanim Remi przeszedł przez pracownię, zdążyłam zebrać wszystko, czego nie da się uratować, i włożyć to do beczki. Pozostałe kamienne bloki dzielę na sterty ułożone ze względu na wielkość. Kamień węgielny modelu pozostał nienaruszony. Wszystko można więc odbudować, ale najpierw trzeba naprawić stół.

Okno dzielonych drzwi jest otwarte, by wpuścić trochę światła i powietrza, więc cały ranek ludzie zatrzymują się, by zerknąć do środka. Około południa siedzę na środku pokoju, zdrapując tynk z kamiennych bloków, gdy kolejny cień zatrzymuje się, by do mnie zajrzeć.

To Simon z Mesany.

– Jak się dziś panienska czuje, panienko Catrin? – pyta ostrożnie.

– Całkiem w porządku. – Jego mina tak bardzo przypomina wyraz twarzy dziecka, które spodziewa się skarcenia, że muszę spuścić wzrok, by ukryć uśmiech. – Spałam ponad dwanaście godzin.

Simon chrząka.

– Herbata nie miała być tak mocna. Przepraszam.

– Przeprasiny przyjęte. – Podnoszę głowę. – Ale pamiętam, że prosiłam, by mówił pan na mnie Cat. Tak jak wszyscy. – Poza matką Agnes.

I Remim.

– Właśnie dlatego tu jestem – mówi Simon. – Mogę wejść?

Kiwam głową i wskazuję dolną część dzielonych drzwi. Nie mogę odmówić prośbie venatre'a, ale jednocześnie czuję ciekawość.

– Zasuwa jest otwarta.

Pchnięciem otwiera drzwi, wchodzi do środka i omiata ruiny spojrzeniem nietypowych oczu.

– Co się tutaj stało?

– To był model sanktuarium. – Wstaję i wycieram kurz z dłoni. – Jedna część stołu się zawaliła i cóż...

Wzruszam ramionami. To kolejna półprawda. Perrete kopnęła jedną nogę, a drugą zniszczyła.

Simon przygląda się maleńkim odłamkom witraży, które architekt ułożył w sterty.

– Musiał być wyjątkowy.

Wskazuję na stempel z rokiem budowy, przybity na kamieniu węgielnym.

– Był tak stary jak samo sanktuarium. Uaktualnialiśmy go podczas każdej rozbudowy.

Simon podnosi płataninę gałązek i trzcin.

– Uwzględnialiście nawet rusztowanie?

– Tak jest. Przydawało się jako punkt odniesienia. – Czekam, aż odłoży odłamki. – Jaki jest powód pańskiej wizyty?

Okręża zrujnowany stół z dłońmi złączonymi za plecami.

– Wczoraj, po twoim wyjściu, coś nie dawało mi spokoju, ale byłem tak zmęczony, że porzuciłem próby odkrycia, co to takiego. Gdy się wyspałem, zacząłem przeglądać notatki Juliane i zrozumiałem, co to było. – Simon dociera na drugi koniec pokoju i odwraca się, by na mnie spojrzeć. – Masz na imię Cat.

– I? – Wycieram spocone dłonie o fartuch roboczy.

– „Idź do domu, mały kotku” – cytuje Simon. – Tamten Seleńczyk mówił do ciebie. – Gdy nie odpowiadam, zbliża się o kilka kroków. – A ty zdałaś sobie z tego sprawę. I dlatego byłaś tak zdenerwowana.

Twarz Simona jest złożona z krzywizn i kątów, nie licząc czubka nosa, który jest zaokrąglony i lekko uniesiony, co nadaje mu chłopięcy wygląd, mimo że jest tak poważny.

– A co to zmienia? – pytam, po czym kłamię po raz pierwszy: – Nie słyszałam go.

– Ale to znaczy, że cię obserwował i prawdopodobnie za tobą szedł. To bardzo interesujące.

Znów czuję się nieswojo. Z tego, co mi wiadomo, tamten mężczyzna nie zrobił nic złego, a mistrz Thomas martwił się o to, że venatre będzie zainteresowany jego odnalezieniem.

– Przykro mi, ale nie widziałam go zbyt wyraźnie.

Simon wzdycha, jakby wiedział, że nie mówię całej prawdy.

– Czy mogłabyś jednak zwracać uwagę na to, czy nikt cię nie śledzi? I starać się unikać niebezpieczeństw?

Kiwam głową, zanim zdąży wyjaśnić, w jaki sposób miałabym to robić.

– Tak będzie.

– W porządku. – Simon chrząka. – A teraz chciałbym dla odmiany porozmawiać o tym, co widziałaś i co słyszałaś.

Spuszczam wzrok na stertę gruzu.

– Powiedziałam już lady Juliane wszystko, co wiem.

– Tak – odpowiada Simon. – Ale jest w tym kilka nieścisłości. – Patrzę na niego z lękiem, jednak on podnosi dłoń, by mnie uspokoić.

– Chcę przez to powiedzieć, że jest parę rzeczy, które nie do końca rozumiem, i sądzę, że ty możesz je wyjaśnić. To wszystko. Nie masz żadnych kłopotów.

„Im więcej czasu spędzisz z venatre’em, tym bardziej prawdopodobne będzie, że powiesz coś, czego nie chcesz powiedzieć”.

Przygryzam dolną wargę.

– Co mam zrobić?

Na te słowa Simon zdaje się odprężyć.

– Chciałbym, żebyśmy wspólnie zadali kilka pytań mieszkańcom okolicy. – Milknie na moment. – Nie jesteś w Collis obca. Ludzie chętniej porozmawiają z tobą. Potem chciałbym, żebyś pomogła mi lepiej zwizualizować sobie to, co widziałaś tamtej nocy.

Kątem oka dostrzegam, że pani la Fontaine pojawia się przy wejściu do kuchni. Sądząc po jej zmarszczonym czole, słyszała całą naszą rozmowę.

To niebezpieczne, ale chcę pomóc Simonowi. Wydaje mi się, że jemu naprawdę zależy i na Perrete, i na tym, by odkryć prawdę.

Mistrz Thomas jest niewinny; prawda nie może go skrzywdzić.  
A jeśli dowiem się, co myśli venatre, w razie potrzeby będę mogła  
odsunąć podejrzenia od architekta.

– Dobrze, pójdę.



## ROZDZIAŁ 10



– Gdzie są dziś Lambert i lady Juliane? – pytam Simona, gdy okrążamy plac sanktuarium. – Nie pomagają ci?

– Siedzą po uszy w przygotowaniach do ślubu. – Lambert niedawno zaręczył się z lady Genevieve d’Ecre. Simon przesuwa dłonią po blond włosach, po czym zaczepia kciuk o kieszeń tuniki. – To będzie wielkie wydarzenie.

Już więc wiem, dlaczego hrabia podczas oprowadzania po sanktuarium tak się martwił o datę ukończenia łukowego sklepienia w rozbudowywanej części.

– Jaką odgrywasz w nim rolę?

– Najprostszą. Muszę się ładnie ubrać i stanąć tam, gdzie mi każą.

– Uśmiech Simona jest niepewny, jakby od dawna się nie uśmiechał i nie wiedział, czy teraz robi to dobrze.

Jednak nadal jest venatre’em, więc bezpieczniejsze jest prowadzenie konwersacji o nim samym.

– W jaki sposób jesteś spokrewniony z Montcuirami? – pytam.

– Siostra mojej matki była żoną młodszego brata hrabiego. – Simon garbi się i kopie kamień wielkości małej śliwki, posyłając go w pobliże powozu, w którym sprzedają słodycze. – To dalekie pokrewieństwo, ale są jedyną rodziną, jaka mi została. – Uśmiecha

się nieśmiało, jakby znów usiłował sobie przypomnieć, jak to się robi. – Ostatniej zimy przybyłem do Collis z nadzieją, że rodzina pomoże mi znaleźć jakieś praktyki albo inne zajęcie, ale... – zaciska usta – oni mieli inny pomysł.

W takim razie nie jest medykiem. Zerkam na jego ręce w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak pracy, którą mógł się zajmować w przeszłości, ale wnętrza dłoni ma gładkie, a palce bez zgrubień.

– Jakie praktyki chciałeś znaleźć?

Wzrusza ramieniem.

– Przyjąłbym cokolwiek. Nie mam żadnego doświadczenia ani szczególnych umiejętności.

To zdanie tak mnie szokuje, że wlepiam w niego wzrok.

– Nie jesteś trochę za stary, by zaczynać od zera?

– Stary? – Simon unosi brew. – Przyznaję, że osiemnaście lat to trochę więcej niż zwyczajowy wiek rozpoczęcia terminowania, ale nie jestem stary.

– Osiemnaście? – Patrzę przed siebie, by ukryć kolor, którym pokrywają się moje policzki. – Myślałam, że jesteś co najmniej w wieku Juliane.

– Teraz już dziewiętnaście – odpowiada. – Chociaż biorąc pod uwagę powierzone mi zadanie, mam nadzieję, że inni dojdą do takich wniosków jak ty.

Widzę Ścieżkę Modlitwy, ale jesteśmy dopiero w połowie drogi przez plac. Simon chrząka.

– Mogę zapytać o twoją rodzinę?

Czuję, jak w mojej piersi formuje się otchłań.

– Rodzinę, która dała mi życie, rodzinę, która mnie wychowała, czy rodzinę, którą mam teraz?

Simon chichocze ironicznie.

– Widzę, że mamy podobne problemy. Mów o tej, o której chcesz.

Jego empatia coś we mnie odblokowuje.

– Gdy miałam kilka dni, zostawiono mnie u Sióstr Światła. Misją przeoryszy jest nauczanie każdej dziewczynki, którą spotka na swojej drodze, otrzymałam więc dobrą edukację. Gdy miałam dwanaście lat, opuściłam jednak opactwo, by pracować dla architekta.

– I wspinać się po rusztowaniach. – Mówiłam o tym Juliane i Lambertowi, więc nie jest to pytanie.

Kiwam głową.

– Taki był pierwotny powód, ale teraz pomagam mu na różne sposoby.

Mijamy transept, po czym Simon się odzywa, podnosząc głos, bym usłyszała go ponad dźwiękami budowy w tej sekcji.

– Więc teraz to on jest twoją rodziną.

– On i gospodyni. No i Remi.

– Kim jest Remi?

– To uczeń mistrza Thomasa, ale właśnie ukończył kilka tygodni egzaminów w Lutecji u innego mistrza, więc jest już czeladnikiem – wyjaśniam. – To również syn gospodyni. Pani la Fontaine potrzebowała domu po śmierci męża, więc to rozwiązanie pasowało każdemu.

– Ach – odpowiada ze zrozumieniem Simon. – To zapewne ta kobieta, która patrzyła, jak wychodzimy. Czy ona ci matkuje?

Wzruszam ramionami.

– Dogadujemy się.

Pani la Fontaine zawsze dbała o to, bym była najedzona i dobrze wyglądała. Z matką Agnes ciągle się kłóciłam, ale w jakiś sposób jej poirytowanie pokazywało, że bardzo jej na mnie zależy.

Co sprawia jedynie, że jej kłamstwa są jeszcze gorsze.

Docieramy do Ścieżki Modlitwy i odwracamy się od sanktuarium. Hałas cichnie, jednak Simon nie kontynuuje naszej rozmowy, za co jestem mu wdzięczna, bo po części spodziewałam się, że zapyta o moich rodziców. Przeorysza lata temu powiedziała mi, że nie ma pojęcia, kim oni byli. To było jej pierwsze kłamstwo.

Po chwili ciszy zdaję sobie sprawę, że Simon nie powiedział ani słowa o swoich rodzicach.

Zauważam strażnika miejskiego, siedzącego na beczce przy wejściu w uliczkę. Czyści paznokcie niewielkim nożykiem. Gdy jakiś przechodzień zatrzymuje się, by zerknąć w alejkę, mężczyzna podnosi wzrok i warczy, by szedł dalej. I na tym polega jego obserwowanie, czy ktoś zbyt długo nie stoi przy wejściu. Kiedy podchodzimy bliżej, jego wyzywający wzrok pada na Simona.

– On chyba nie wie, kim pan jest – szepczę.

Simon prostuje plecy i podchodzi do strażnika.

– Jestem venatre'em wyznaczonym przez burmistrza. – Wypowiedzenie tego tytułu nie przychodzi mu łatwo, ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że się przydaje. – Czy wydarzyło się coś wartego uwagi?

Mężczyzna podskakuje gwałtownie, odciągając na bok halabardę.

– Nie, proszę pana! – odpowiada z szacunkiem. – Nikt nie próbował wyminąć ani mnie, ani wcześniejszej straży.

Szybka gotowość mężczyzny, by zaakceptować autorytet Simona, bierze się zapewne z tego, że ktoś opisał mu jego wygląd. Dzięki wyróżniającemu się lewemu oku dość łatwo go zidentyfikować.

Simon wzdycha z rozdrażnieniem.

– Tak myślałem. Mam tu trochę roboty, więc daję ci godzinę wolnego.

– Dziękuję, proszę pana. – Strażnik oddala się szybkim krokiem, spiesząc się, by wykorzystać niespodziewaną przerwę.

– A więc, venatre – mówię. – Od czego zaczynamy?

Simon się krzywi.

– Możemy zacząć od tego, że już nigdy mnie tak nie nazwiesz.

Wiedziała, że czuje się niezręcznie z tym tytułem, ale teraz stało się oczywiste, że go nie znosi.

– Przepraszam, mistrzu Simonie.

– Simonie. Po prostu Simonie. – Kręci głową. – Na światło dnia, przecież jesteśmy w tym samym wieku.

– Jesteś dwa lata starszy – poprawiam go.

Mruga.

– Naprawdę? – Nagle jego twarz pokrywa się rumieńcem, a on się odwraca. – Byłem blisko. Będę cię nazywał Cat, jeśli i ty będziesz do mnie mówić po imieniu, zgoda?

– Zgoda. W takim razie od czego zaczynamy, Simonie?

Rozgląda się.

– Zacznijmy od kobiety, którą widziałaś po znalezieniu ciała. Gdzie dokładnie byłaś?

Staję obok beczki.

– Tutaj.

Simon podchodzi do mnie i patrzy w dół ulicy.

– A z którego okna wyglądała?



– Z tamtego. – Wskazuję dom oddalony o sześć budynków. – Tego z naprawioną deską, która nie została jeszcze pomalowana.

Simon marszczy brwi i mruży oczy.

– Widziałas to w nocy?

Opuszki palców nagle zaczynają mnie łaskotać z nerwów.

– Księżyc świecił bardzo jasno.

– W porządku. Zaczniemy od niego. – Simon prowadzi mnie do drzwi pod oknem.

Kobieta, która je otwiera, trzyma na ramieniu niemowlę i wygląda zupełnie jak osoba, którą widziałam tamtej nocy.

– Dzień dobry – zaczyna Simon, a kobieta unosi brwi tak wysoko, że niemal chowają się pod poplamionym potem czepkiem, który ma na głowie. – Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, do którego doszło dwie noce temu. Chciałbym się dowiedzieć, czy pani coś widziała lub słyszała.

– Nic nie słyszałam, dopóki wszyscy nie wyleźli na ulicę. – Cofa się, by zamknąć drzwi.

– Proszę zaczekać! – mówię szybko. – A kobieta, która była wtedy z dzieckiem? – Ignorując zdezorientowane spojrzenie Simona, naciskam dalej: – Jeden z waszych sąsiadów mówił, że skrzyczała kogoś za budzenie maleństwa.

Kobieta parska.

– Zaczekajcie. – Zamyka drzwi.

Simon marszczy brwi.

– Czy to nie ją wtedy widziałas? Mówiłaś, że ma dziecko, więc założyłem...

– Oczy tamtej kobiety były niebieskie.

– Widziałas to z takiej odległości? – Simon zerka do tyłu na uliczkę. – Gdyby stał tam strażnik, jestem niemal pewien, że nie byłbym w stanie stwierdzić, jaki ma kolor oczu, a jest przecież środek dnia.

Całe szczęście w tej chwili drzwi się otwierają i wygląda przez nie kobieta, której wygląd i wiek są zbliżone do tej, z którą rozmawiali przed chwilą.

– Czego chcecie? – pyta.

– Odpowiedzi na proste pytania – wyjaśnia uprzejmie Simon. – Powiedziano mi, że widziała pani kogoś na ulicy w noc...

– Morderstwa? – kończy za niego i przytakuje. – A widziałam, widziałam. Wychyliłam się z tamtego okna – podnosi palec i wskazuje głową – i zobaczyłam, jak jakiś chłop opróżnia se żołądek, o tam.

– Więc już wtedy pani nie spała? – pyta Simon. – Jak długo?

– Brzdąc nie pozwolił mi nawet zmrużyć oka. Gdy w końcu zasnął, zaraz zbudziły go krzyki tamtego idioty. – Wzrusza ramionami. – Potem se pomyślałam, że może to on znalazł tamtą pannę, ale co to za różnica? Nic więcej żem nie widziała.

Robi mi się niedobrze, a Simon podejmuje kolejną próbę.

– A wcześniej? Słyszała coś pani?

– Nie. – Kobieta zaczyna zamykać drzwi.

– Proszę zaczekać! – Wyciągam rękę, by ją zatrzymać. – Nie słyszała pani, jak tamta kobieta krzyczała? Proszę, próbujemy tylko ustalić, o której godzinie zmarła.

– Nie. – Patrzy na mnie, mrużąc oczy. – To była cicha noc. Cichsza niż zwykle, pomimo nadchodzącej burzy.

Nie mogłam być jedyna.

– Myśli pani, że płacz dziecka sprawił, że nic pani nie słyszała?

Kobieta cofa się, kręcąc głową.

– Nie, karmiłam go piersią. To jedyny sposób, by zasnął, ale tamtej nocy akurat mu się nie chciało.

Przechylam się w stronę drzwi.

– Proszę...

– Cat – mówi łagodnie Simon. – Pani niczego nie słyszała.

Drzwi zatrząskują się przed moją twarzą.



## ROZDZIAŁ 11



– Nie rozumiem – szepczę.

Simon uważnie mi się przygląda.

– Chodzi ci o to, dlaczego tylko ty ją słyszałaś?

Odchodzę od drzwi, kiwając otępiałe głową.

– Istnieje kilka możliwych wyjaśnień – mówi. – Po pierwsze, ta kobieta może kłamać.

Kręcę głową.

– Ale po co? Dlaczego miałyby nie chcieć, by ta sprawa została rozwiązana?

Simon gestem wskazuje mi, bym poszła z nim w górę ulicy.

– Wątpi, że tak się stanie, i ma ku temu dobry powód. Im mniejszy jej udział, tym lepiej dla niej, zwłaszcza jeśli jest w to zamieszany syn burmistrza.

Zastanawiam się, czy Simon również uważa tę sprawę za beznadziejną. Pukamy do kolejnych drzwi, ale nikt nie przyznaje, że cokolwiek widział lub słyszał, zanim zaczęłam krzyczeć, a tamta kobieta na mnie nawrzeszczała. Tego typu zakłócenia porządku są tutaj normalne, więc nie zwracano sobie tym głowy, dopóki nie wezwano straży.

– Co innego mogło spowodować, że nikt niczego nie słyszał? – pytam Simona, gdy docieramy do ostatniego domu, z którego widać uliczkę. – Mówiłeś, że powodów jest kilka.

– Akustyka ścian mogła spowodować, że hałas nie przedostał się na główną ulicę, tylko skierował w górę. – Milknie. – Rozumiesz, o czym mówię?

– Oczywiście – odpowiadam, czując się potraktowana protekcjonalnie. – Akustyka to bardzo ważna część projektu sanktuarium.

Chociaż nigdy nie byłam w stanie pojąć geometrii, której znajomość również odgrywała ważną rolę w akustyce, rozumiem ten koncept. Kąty i zakrzywienia ścian są używane do odbijania i pogłaśniania głosów z ołtarza, by niosły się do każdego zakątka świątyni. Zauważyłam ten efekt również wtedy, gdy podsłuchiwałam na dachu rozmowę Simona i Juliane, ale nie wspominam o tym. Jeśli Simon rozumie akustykę oraz potrafi posługiwać się językiem medyków, musiał odbyć edukację co najmniej na poziomie Remiego.

Gdy nikt nie otwiera ostatnich drzwi, wracamy do uliczki, w której znaleziono Perrete.

– Zacznijmy od początku – mówi Simon. – Co zobaczyłaś, gdy zajrzałaś tu tamtej nocy?

Para srebrnych, obramowanych kohlem oczu spogląda na mnie z głównej ulicy. Zamieram, ale znikają, zanim zdążę się na nich skupić.

*Catrin.*

Twarz Simona jest tuż przy mojej, znamię na jego oku wyróżnia się jak ciemny sęk na dębie. Podskakuję.

– Co?

– Coś się stało?

Postać zniknęła – jeśli w ogóle kiedykolwiek tam była.

– Nie, nic – odpowiadam szybko.

Mina Simona zdradza, że nie do końca wierzy moim słowom.

– No dobrze. – Gestem wskazuje uliczkę. – Co widziałaś tamtej nocy?

– Ciemność – odpowiadam zwięźle.

– I postanowiłaś tam wejść?

– Widziałam... – milknę, próbując wrócić do tamtej chwili. – Na ścianie odbijał się blask księżyca, a w ziemi odznaczyły się błotniste odciski butów. Zapach krwi był bardzo silny.

Simon unosi brew.

– I postanowiłaś tam wejść? – powtarza powoli.

Jeżę się.

– Kwestionujesz moje zeznania?

– Kwestionuję twój zdrowy rozsądek – mruczy pod nosem, wchodząc w uliczkę.

Ostrożnie idę za nim, przypominając sobie duszące uczucie, które towarzyszyło mi tamtej nocy, gdy weszłam w mrok. Simon zatrzymuje się przy plamie krwi na ścianie, którą częściowo zdążył zmyć deszcz.

– To zobaczyłaś najpierw?

Przechodzi mnie dreszcz. Tę plamę najpierw zobaczyłam przecież w sanktuarium.

– Tak. Blask księżyca padał prosto na nią.

– I co stało się potem?

– No... – waham się, przypominając sobie potrzebę sprawdzenia, czy ściana jest w dotyku dokładnie taka, jak jakimś cudem pamiętałam. – Pomyślałam sobie, że te smugi wyglądają jak ślady palców, i wyciągnęłam dłoń, by ich dotknąć.

O tym zapomniałam: sięgnęłam dłonią w kierunku ściany.

I wtedy, gdy moje palce znalazły się w miejscu oświetlonym księżycowym blaskiem, zobaczyłam to wszystko. Zresztą nie tylko widziałam, słyszałam też wszystko, czułam zapachy, a moje uczucia były wyjątkowo intensywne. Słyszałam nawet myśli Perrete, jakby wisiały w powietrzu wraz z zapachem jej perfum – i krwi. Ale aż do tamtej chwili byłam pogrążona w ciemności.

Wszystkie inne momenty – gdy słyszałam krzyk Perrete, widziałam jej krew, jakby należała do mnie, uczucie orania paznokciami szorstkiej ściany, klarowność głosu Seleńczyka i twarz kobiety w oknie – wszystko to wydarzyło się w świetle księżyca.

To księżyc. To on coś ze mną zrobił.

Moja ręka nadal jest wyciągnięta, zamarła w bezruchu jak tamtej nocy. Simon delikatnie kładzie mi dłoń na łokciu, a ja podskakuję. Zmarszczka między jego brwiami wskazuje na współczucie.

– I wtedy ją zobaczyłaś?

Z trudem przełykam ślinę.

– Tak.

– Jak wiele widziałaś?

– Wszystko. – Ręka opada z powrotem do boku. Gdy współczucie Simona zmienia się w zdziwienie, szukam w głowie wyjaśnienia. – Rozbłysnął piorun. Na kilka sekund rozświetlił alejkę.

– Ach. – Simon kiwa głową ze zrozumieniem.

Ale to trwało o wiele dłużej niż kilka sekund, a burza nie była jeszcze wtedy tak blisko. No i żaden piorun nie jest w stanie wyjaśnić tego, co słyszałam.

Magia. Nie ma na to innego słowa.

– W zasadzie bardzo łatwo odtworzyć to, co się stało. – Simon podchodzi do ściany i unosi ramiona, jakby chciał przytrzymać niewidzialnego człowieka. – Widać, że jej gardło zostało poderżnięte od tyłu, bo nic nie zablokowało tryskającej krwi. – Zaciska jedną dłoń w pięść i przeciąga nią od lewej do prawej na wysokości szyi. – Krzyk, który usłyszałaś, musiała wydać z siebie tuż przed – mówi dalej cicho. – Potem nie byłaby w stanie narobić hałasu.

Wzdrygam się, wstrząśnięta zarówno tym, jak wiele Simon zdaje się rozumieć, jak i własną pewnością, że ma rację.

– Ale i tak walczyła – szepczę.

Nie mogę mu zdradzić, że wiem, co powiedział na ten temat Juliane tamtej nocy.

– Tak. Zapewne dlatego zaczął ją dźgać. – Simon obniża pięść na wysokość jamy brzusznej i dźga kilkakrotnie niewidzialnym nożem, po czym wskazuje płamę nisko na ścianie. – Może spanikował. Ale krew w tym miejscu pasuje do naszych założeń.

Po raz kolejny mówi coś, o czym wiem, ale nie mogę tego przyznać.

Cofa się i kuca, zginając ramiona, jakby niósł coś ciężkiego.

– Potem zaciągnął ją tutaj.

Zatrzymuje się przy ciemnej plamie na utwardzonej ziemi i się prostuje.

– Ale dlaczego? – Jego usta wykrzywiają się z frustracji, a oczy patrzą gdzieś daleko, jakby próbował dopasować ten fragment do

obrazu, na który patrzy. – Miał tam mnóstwo miejsca, by zrobić to, co chciał. Tutaj jest go w zasadzie mniej.

Ja jednak rozumiem.

– Zaciągnął ją tam, gdzie świecił księżyc.

Simon unosi głowę, by na mnie spojrzeć, jego usta są delikatnie rozchylone.

– Tak, masz rację. Chciał ją widzieć. – Jego głos cichnie do szeptu.

– Ale ona też go widziała, a to mu się nie podobało.

Ze wszystkiego, co powiedział, to było najbardziej mrozące krew w żyłach.

– Myślałam, że mówiłeś, że była już martwa, gdy wydłubał jej oczy.

Nagle zdaję sobie sprawę, że popełniłam błąd. Simon nie wie, że podsłuchiwałam, gdy mówił to Juliane.

Ale on zdaje się tego nie zauważać.

– Była. – Unosi dłoń do brody, a ścięгна na jego nadgarstku widocznie się skręcają, gdy masuje sobie szczękę. – Roztrzaskał też jej twarz czymś ciężkim, ale nie jestem pewien czym.

Na słońce i niebo, młotkiem.

Perrete miała przy sobie młotek architekta i jego właśnie użył morderca. Gdy zostanie odnaleziony, poprowadzi prosto do mistrza Thomasa. Zataczam się do tyłu, szukając złotego połysku w błocie, ale gdyby tam był, z całą pewnością ktoś by go już znalazł.

Simon podbiega i łapie mnie za nadgarstek.

– Cat? Wszystko w porządku?

Myśli, że mdleję. Może tak właśnie jest, biorąc pod uwagę, że nagle zakręciło mi się w głowie. Osuwam się na kolana, a on drugą ręką przytrzymuje mnie w talii i układa tak, bym obejmowała go ramieniem. Dzięki temu może mnie po części wyciągnąć, a po części wynieść z alejki.

Gdy się wyłaniamy, stajemy się celem gapiów, a dwie pary wpatrzonych w nas oczu są obramowane kohlem. A może jest tylko jedna para, a ja widzę podwójnie. Mrugam, ale twarz – lub twarze – znikają, gdy Simon podnosi mnie i usadawia na pobliskiej beczce.

Przykłada dłoń do mojego policzka, bym nie opuszczała głowy.

– Catrin?

Krzywię się.

- Cat - mówię.
- Czy to znaczy, że nie zemdlałaś?

Nie mogę mu powiedzieć, co właśnie do mnie dotarło, ale nie chcę też, by myślał, że jestem słaba.

- Wszystko w porządku.

- Ale tak nie wygląda. - Prostuje się, odsuwając dłonie. - Przepraszam. Tak bardzo pochłonęło mnie wyobrażanie sobie, co się stało, że zapomniałem, jakie to może być... okropne.

Jeśli chce myśleć, że to właśnie sprawiło, że zakręciło mi się w głowie, pozwolę mu na to.

- Co kieruje człowiekiem, który robi komuś coś takiego?

Mam wrażenie, że to pytanie bez odpowiedzi, jednak Simon natychmiast jej udziela:

- Najczęściej furia. Perrete go rozzłościła, ale nie ona jest prawdziwym celem. Morderca nie ma możliwości spotkania z kobietą, na której chce się zemścić: albo się jej boi, albo nie jest w stanie do niej dotrzeć.

Chcę zrozumieć, skąd to wszystko wie, ale na usta ciśnie mi się ważniejsze pytanie:

- Skoro zamordowanie Perrete nie zaspokoi jego żądzy zemsty, to co będzie dalej?

Kręci głową.

- To dopiero początek.



Wracamy do domu architekta, tym razem w milczeniu. Z każdym krokiem słowa Simona wstrząsają moimi kośćmi aż do szpiku.

„To dopiero początek”.

Przez moje myśli bez przerwy przekrada się to, co odkryłam na temat księżycy i jego połączenia z tym, co widziałam i słyszałam tamtej nocy. Im dalej jesteśmy od miejsca zbrodni, tym bardziej dziwaczne się to wydaje.

Gdy docieramy do domu mistrza, Simon mi się kłania.

- Dziękuję za pomoc, pann... to znaczy Cat. Przepraszam, że się przeze mnie zdenerwowałaś.



– Zaczekaj. – Chwytam go za ramię, zanim zdąży odejść. – Mówiłeś poważnie? Morderca naprawdę wróci?

Simon przytakuje, a w jego spojrzeniu zauważam coś starego i zmęczonego, jakby miał więcej niż dziewiętnaście lat.

– Tak. I będzie jeszcze gorzej.

Trudno mi sobie to wyobrazić, ale w jakiś sposób jestem pewna, że on to potrafi.

– Może dziś w nocy, w przyszłym tygodniu albo miesiącu. – Wzrusza ramionami ze zmęczeniem. – Może w przyszłym roku. W innym mieście. Może... – przygryza dolną wargę – może to wcale nie był jego pierwszy raz.

– Jak można kogoś takiego znaleźć? Złapać na gorącym uczynku?

Simon ciężko wzdycha.

– Tylko jeśli nam się poszczęści albo jeśli uda mi się przewidzieć jego kolejny ruch. Niestety trudno będzie to zrobić przy pierwszej ofercie. – Rozmasowuje czoło. – A ja niemal nie znam miasta.

– Architekt ma mapy Collis. Mogłabym ci je jutro przynieść – proponuję. – I z chęcią nadal będę ci pomagać w śledztwie.

Uśmiecha się ponuro.

– Jesteś pewna, że twój żołądek się nie zbuntuje?

Kieruje mną nie tylko pragnienie ochrony mistrza Thomasa. Z trudem ubieram to w słowa:

– Mam wrażenie, że... że to ja miałam znaleźć Perrete. Bo tylko ja mogłam ją usłyszeć.

Simon wzdycha.

– W porządku. Chętnie skorzystam z map, które oferujesz. Możesz je przynieść pojutrze rano.

Podnoszę wzrok. W jego uśmiechu widzę błysk poprzedniej życzliwości. Czy jej powodem jest perspektywa mojego towarzystwa?

– Dlaczego nie jutro?

Jego twarz natychmiast się chmurzy.

– Juliane będzie zbyt zmęczona. Nie czuje się najlepiej.

To jasne, że nie chce za dużo pracować bez jej pomocy. W końcu spisała niemal wszystkie jego notatki. Poza tym jutro jest Dzień Słońca.

– Mam nadzieję, że szybko poczuje się lepiej.

Otwiera usta, by odpowiedzieć, ale po chwili zmienia zdanie. Jego głowa pochyla się w uprzejmym ukłonie.

– Z przyjemnością znów się z tobą zobaczę.

Patrzę, jak odchodzi. Pomimo horroru, jaki się wydarzył, również na to czekam.



– Jak będziesz się tak wtrącać, narobisz tylko kłopotów. – Pani la Fontaine stawia mi przed nosem talerz z kolacją.

– Ja się nie wtrącam – odpowiadam. – Venatre poprosił mnie dziś o pomoc.

– A ty zaproponowałaś, że będziesz mu pomagać dalej. – Gospodyni polewa sosem kawałki mięsa na naszych talerzach, zaczynając od Remiego, który patrzy na mnie spode łba, od kiedy tylko wrócił do domu.

Mistrz Thomas milczy, ale nie stanął jeszcze po żadnej stronie, więc swój apel kieruję do niego – zresztą to on jest prawdziwym autorytetem w tym domu.

– Pokazałam mu jedynie, gdzie byłam i co widziałam tamtej nocy.

– Zabrałaś go na Drogę Rozkoszy – burczy Remi. – Co mu tam pokazywałaś?

Posyłam mu gniewne spojrzenie. Musiał nas widzieć na placu, ale trudno mi uwierzyć, że naprawdę myśli, że zabrałam w to miejsce Simona z innych powodów niż śledztwo.

– Tam doszło do morderstwa.

– A to oznacza, że i ty tam wtedy byłaś.

– Byłam w sanktuarium – cedzę. – Musiałam dokonać inspekcji w środku nocy, bo cały dzień odwalałam twoją robotę, podczas gdy ty nie spieszyłeś się z powrotem z Lutecji.

Remi uderza pięścią w stół.

– Mam prawo dysponować własnym czasem! Nie jestem już na niczyje zawołanie!

– Jesteś, jeśli ktoś płaci ci pensję! – krzyczę.

– Uspokójcie się, oboje – mówi niskim głosem architekt. Oboje wycofujemy się i patrzymy ze skrucą na mistrza Thomasa. – Remi, masz rację, mówiąc, że twój czas należy już wyłącznie do ciebie. Po

latach ciężkiej pracy masz prawo do wzięcia dnia lub dwóch wolnego, by uczcić własne osiągnięcia. Powinieneś być z nich dumny.

Remi uśmiecha się do mnie ironicznie. Mam ochotę pokazać mu język, ale zanim wyskoczył ze swoimi śmiesznymi oskarżeniami, nie przeszkadzało mi zupełnie, że się spóźnia. Słońce wie, że przyda mu się trochę rozrywki.

– Ale – mistrz Thomas kontynuuje stanowczo – twoje postępy nie dają ci prawa mówienia Catrin, co może robić ani z kim się zadawać. Jest moją asystentką, nie twoją. A za tę obrzydliwą insynuację musisz ją przeprosić.

Teraz to ja ironicznie się uśmiecham. Remi zapada się w sobie i mamrocze w kierunku swojego jedzenia coś, co brzmi jak „przepraszam”.

Jednak architekt jeszcze nie skończył.

– Co więcej, nie będziesz o niej w ten sposób mówił przy nikim innym. Jeśli usłyszę jakiegokolwiek plotki i będę w stanie prześledzić, że pochodzą od ciebie, już nigdy nie znajdziesz w Collis żadnej pracy. Nawet przy sprzątanu odchodów wołów.

Uszy Remiego stają się czerwieńsze niż wino. Pani la Fontaine zaciska szczękę tak mocno jak trzymaną w dłoni łyżkę i odwraca się, by odstawić pusty już kocioł. Wątpię, by chciała tu zostać, jeśli jej syn by odszedł, więc to podwójna groźba.

Mistrz Thomas skupia się z powrotem na mnie.

– Cat, zgadzam się z tym, że dzisiejsza pomoc była potrzebna, ale co dobrego możesz jeszcze zrobić?

Tak naprawdę pyta mnie o to, czy pamiętam jego wcześniejsze ostrzeżenie, ale nie wie tego, co wiem ja na temat zaginionego młotka.

– Simon twierdzi, że dojdzie do kolejnych morderstw – odpowiadam.

Remi parska, ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy robi to z powodu opinii venatre’a, czy dlatego, że nazwałam go po imieniu.

– Sądzi również, że Perrete mogła nie być pierwszą ofiarą.

Architekt unosi brew.

– A skąd „Simon” to wie? – Najwyraźniej nie podoba mu się, że spoufalam się z venatre’em.

– Wie, co morderca myślał i czuł i dlaczego tak bardzo ją okaleczył – naciskam. – Nie rozumiem, skąd ma tę wiedzę, ale jestem pewna, że ma rację.

– Może dlatego, że to jego sprawka – mruczy pod nosem Remi.

– Venatre potrzebuje map miasta – mówię. – Obiecałam, że przyniosę mu kilka z twoich starszych zbiorów, mistrzu. Lady Juliane i Lambert Montcuir również mu pomagają. – Mając dzień jutrzejszy jako dowód, dodaję: – Nie będzie mnie potrzebował codziennie.

Architekt wzdycha i spuszcza wzrok na talerz.

– Ty również ciężko pracowałaś, zwłaszcza przez ostatnich kilka tygodni, i zasługujesz na czas wolny. Tak długo jak będziesz odbywać wyznaczone inspekcje, będziesz mogła pomagać venatre'owi. Perrete zasługuje na sprawiedliwość, a jeśli możemy pomóc, powinniśmy to zrobić.

Kiwam ochoczo głową, ale mistrz Thomas mówi dalej:

– Mam jeden dodatkowy warunek: musisz wznowić cotygodniowe wizyty u matki Agnes. Nie zostało jej już wiele czasu pod słońcem, musisz więc odłożyć na bok, cokolwiek cię rozzłościło. Zasługuje na to po wszystkim, co dla ciebie zrobiła.

– Dobrze, mistrzu – zgadzam się z pokorą. – Dziękuję.

Kiwa z aprobatą i odwraca się do Remiego.

– A teraz, Remone, opowiedz mi, proszę, o twoim nowym projekcie sklepienia.

Nic tak nie poprawia Remiemu humoru jak rozmowa o sufitach. Jedząc, słucham ich jednym uchem.

Chociaż zupełnie nie podoba mi się ten pomysł, już wcześniej podjęłam decyzję, że odwiedzę jutro matkę Agnes. Niewiele jest osób, które podróżowały tak dużo jak ona. Jeśli ktoś może mi opowiedzieć o Mesanie, z której pochodzi Simon, to właśnie matka Agnes.



## ROZDZIAŁ 12

Idę ulicą oświetloną promieniami słońca, nieświadomie wpadając w rytm pieśni sióstr, unoszącej się z ogrodu za wschodnim murem klasztoru. Ich psalmy oraz zapachy przekopanej ziemi i świeżo przyciętego rozmarynu wywołują setki słodko-gorzkich wspomnień. W drodze muskam palcami mury z kamienia i cementu. Choć rozumiałam bezpieczeństwo i ochronę, jaką zapewniają sierotom takim jak ja, jednocześnie ich nie znosiłam.

Jeden z kamieni wystaje nieco dalej niż reszta. Stukam zarówno w niego, jak i we wgłębienie wielkości pięści, znajdujące się w zaprawie. Ta sekretna drabina wiele razy pomagała mi wrócić do opactwa bez używania bramy.

Ostatni raz wchodziłam na mur w dniu, w którym mistrz Thomas poszedł za mną i był świadkiem mojej wspinaczki na trzypiętrowy budynek podczas ucieczki przed ulicznym gangiem. Myślałam, że mam kłopoty, że to właśnie jego okradli, ale zamiast tego on zapytał matkę Agnes, czy mógłby mnie zatrudnić.

Wiem też, że gdzieś po drugiej stronie muru za szopą jest zakopana sakwa wypchana monetami. Gdy ukradłam ją kieszonkowcom, nie mając pojęcia, kto jest jej właścicielem, nie czułam winy, że zostawiam ją dla siebie na przyszłość, gdy opuszczę

zakon na zawsze. Praca dla architekta sprawiła, że tego typu oszczędności nie były mi potrzebne, ale pieniądze nadal tam są, gdyby kiedykolwiek miały mi się przydać.

Skręcam w prawo, zgodnie z biegiem muru. Główna brama opactwa znajduje się na południu – tam pada najczęściej słońca, co ma znaczenie symboliczne. Po drugiej stronie ciągnie się północny mur, otaczający Kwaterę Seleńską. Często zastanawiałam się, czy ludzie nocy celowo osiedlili się na obrzeżach Collis, czy może opactwo Sollis zostało zbudowane, by stanąć pomiędzy nimi a resztą miasta. Myślę, że nawet matka Agnes tego nie wie.

Zewnętrzną część muru oraz większość domów i okien wychodzących na osłoniętą północ pokrywa plątanina winorośli; zielone ramiona tworzą łuki ponad kilkoma wąskimi uliczkami prowadzącymi do ich dzielnicy. Delikatne biało-fioletowe księżycowe kwiaty kwitną jedynie nocą, kiedy Seleńczycy zamykają się w swojej kwaterze.

*Kwiecie biały zwinięty w kłęb,  
W dzień nikt nie zajrzy w twego serca głąb.  
Lecz nocą odkrywasz je przed nami,  
Czas wtedy, by Seleńczycy do domu pognali.*

Nucę pod nosem tę melodię, dzwoniąc wykonanym z brązu dzwonkiem przy bramie opactwa. Ta piosenka to jedna z pierwszych rymowanek, których uczą się dzieci w Collis, ale nie myślałam o niej od lat. Czekaając, przypatruję się pokrytym pnączami domom po drugiej stronie i szukam przerw pomiędzy liśćmi w kształcie serca, by znaleźć jakieś znaki wskazujące na to, że jestem obserwowana przez człowieka z bliznami. Cały czas podśpiewuję piosenkę, jakby miała mnie w jakiś sposób przed nim uchronić.

Kobieta, która wychodzi mi na spotkanie, przypomina tę, która nauczyła mnie tej rymowanki. Dłoń o palcach przypominających szpony obmacuje bramę, by znaleźć zamek, a zamglone oczy patrzą gdzieś za mnie.

– Kto tam? – chrypi.

– To ja, matko – odpowiadam, niepewna jej reakcji.

Nasza ostatnia rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych.

Jej pomarszczony uśmiech unosi się jak słońce o wschodzie, a oczy rozświetlają się, choć nadal nie patrzą na mnie.

– Catrin?

– Tak, przyszłam się z tobą zobaczyć.

Radosna odpowiedź matrony jest dla mnie niespodzianką, jednak po chwili rzadkie brwi się unoszą, a usta krzywią sceptycznie. To bardziej do niej pasuje.

– Chcesz czegoś – mówi.

– Mistrz Thomas mówił, że nie czujesz się najlepiej. – Gdy wyraz jej twarzy się nie zmienia, wzdycham. – Chciałam też przeprosić.

– Hmm... – Przeorysza wyciąga pęk kluczy spod szarej wełnianej opończy. Natychmiast wybiera właściwy, ale kilka prób zajmuje jej włożenie go do zamka. – Czegokolwiek chcesz, musisz bardzo tego pragnąć.

Brama otwiera się z zardzewiałym skrzypnięciem, a ja wchodzę pod sklepienie, oślepiona słońcem, i mruganiem odpędzam sprzed oczu fioletowe plamki. Matka Agnes zamyka drzwi na klucz i wiesza pęk z powrotem przy pasku. Dochodzę do wniosku, że być może żart rozwieje niezręczną atmosferę.

– Nie mylisz się co do mojego motywu – mówię. – Od samego sanktuarium czuję imbirowe ciasteczka siostry Louise.

Cienkie wargi matki Agnes się unoszą, a kobieta prowadzi mnie przez ciemne przejście.

– Cóż, skoro przeszłaś taką drogę, równie dobrze możesz napić się herbaty. – Muska mur palcami, tak jak ja robiłam to po drugiej stronie, ale ona zachowuje się tak po to, by wiedzieć, w którym miejscu skręcić, oraz upewnić się, czy dotarła już do drzwi swojego salonu.

Zakonnica podskakuje znad biurka zawałonego księgami i pergaminem.

– Catrin! – wykrzykuje, a jej uśmiech nadal ma w sobie nutę dawnej energii.

Przewracam oczami.

– Nadal wolę „Cat”. Sama nadałaś mi ten przydomek, pamiętasz?

– Oczywiście, że tak. – Marguerite zerka nerwowo na przeoryszkę, a ja zdaję sobie sprawę, że ma na sobie pełny strój Siostry Światła.

Jej włosy są zupełnie zakryte białym welonem, a paciorkowy naszyjnik zwisa aż do talii.

– Kiedy przyjęłaś śluby? – pytam.

Matka Agnes podchodzi do starego krzesła obitego tapicerką, zachowując się, jakby nas nie słuchała, ale ja w to nie wierzę.

– W dzień przesilenia zimowego – odpowiada Marguerite. – Tak każe tradycja.

Ceremonia odbywa się w najkrótszym dniu roku, symbolizując to, że każdego dnia po tym wydarzeniu siostra powinna wzrastać w Świetle.

– Nie zaprosiłaś mnie?

Marguerite wykręca delikatne dłonie, a matka Agnes odpowiada za nią:

– Powiedziałam jej, że zaproszenie musi zostać przekazane osobiście. – Przeorysza siada na krześle. – A ciebie tu nie było, więc nie mogłaś go odebrać.

Niebieskie oczy mojej przyjaciółki napełniają się łzami, ale Marguerite płacze tylko ze smutku, który czuje wobec innych ludzi, nie siebie. Bardzo często robiła to wtedy, gdy byłam za coś karana, więc nic się nie zmieniło. Wzdycham.

– Przykro mi, Marga. Byłam taka...

– Dumna – kończy matka Agnes.

Krzywię się.

– Chciałam powiedzieć zła. – I miałam ku temu powody.

Przeorysza opiera się na krześle z obojętnym wyrazem twarzy.

– Gniew jest formą dumy.

Nie wiem, czy ma rację, i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to. Przykro mi jedynie, że Marguerite przez to cierpiała.

– Czyli ścięłaś włosy? – pytam.

Na samą myśl czuję, jakbym coś straciła. Całe życie zazdrościłam Marguerite wspaniałych warkoczy, i wcale nie tylko dlatego, że ich błyszczący, prawie czarny kolor sprawiał, że moje pasowały barwą do chlewu.

Śmieje się łagodnie.

– Nie. Dostałam dyspensę i mogę je zachować do jesieni, by mogły jeszcze trochę podrosnąć.



– Do jesieni? – pytam. – Dlaczego? Ach. – Wielkie targi kupieckie w Collis. Ludzie wszelkich profesji przyjeżdżają z całej Galii. Również perukarze. – Na aukcji na pewno będzie o nie walczyć kilku licytujących.

Matka Agnes przytakuje.

– Za zarobione pieniądze kupimy nowe krosno, które zwiększy naszą wydajność.

Opactwo jest samowystarczalne, a nawet notuje zyski ze sprzedaży odzieży szytej przez siostry i nowicjuszek, jednak używane przez nich krosno jest starsze od samej przeoryszy.

– Cieszę się, że będę mogła się do tego przyczynić – odpowiada Marguerite.

I wiem, że tak właśnie jest.

– Sostro – mówi przeorysza – będziesz musiała nadrobić stracony czas podczas kolejnej wizyty Catrin. Czy możesz przynieść nam herbaty, podczas gdy my porozmawiamy o tym, z czym przyszła?

Parskam. Matka Agnes brzmi, jakbyśmy się miały targować o cenę wełny.

– Poproszę też o kilka ciasteczek imbirowych – dodaję, siadając na długiej, twardej kanapie po jej prawej stronie.

– Jak idzie rozbudowa sanktuarium? – pyta matka Agnes, gdy drzwi się zamykają.

Takie błahe rozmowy skończą się, gdy tylko Marguerite przyniesie herbatę i ponownie wyjdzie.

– Za kilka tygodni zaczynamy sklepianie dachu – odpowiadam. – Kamieniarze całą zimę spędzili na obrabianiu kamieni do łuków.

Gdy Marguerite wraca z tacą, nadal opowiadam, jak zostaną one przymocowane pod szpiczastym dachem. Moja przyjaciółka szczególną uwagę poświęca precyzyjnemu ustawieniu filiżanki, spodka i ciastek przed przeoryszą, po czym nalewa herbaty i słodkiej śmietanki. Przy mnie z kolei stawia miód, bo wie, że herbatę wolę z nim, i z mrugnięciem oka dodaje podwójną porcję ciasteczek. Ja w tym czasie cały czas zastanawiam się, jak zagadnąć przeoryszę o to, czego chcę się dowiedzieć.

Każdy z trzech mężów matki Agnes żył w innym kraju, widziała więc zapewne więcej kontynentu niż nawet mistrz Thomas. Gdy jej ostatni mąż zmarł, fortuna, którą zebrała – oraz brak dziedziców –

przyciągnął uwagę samego króla. Miał już królową, ale to nie oznaczało, że nie mógł związać bogatej wdowy z kimś, kto był jego dłużnikiem.

Została więc wezwana na królewski dwór, jednak gdy zatrzymała się na odpoczynek w opactwie Solis, postanowiła nigdy go nie opuszczać. Wysłała królowi list, w którym opisała, jak słońce wezwało ją we śnie i rozkazało zostać w Solis i służyć jako Siostra Światła. Jej własność przechodziła teraz na religijnych zwierzchników Collis. Natychmiast została też wybrana na przeoryszkę, który to tytuł będzie ją obowiązywał aż do śmierci. Nawet królewski rozkaz nie mógł tego zmienić.

Przez kolejne czterdzieści lat matka Agnes rozwinęła opactwo ze wspólnoty modlitewnej tuzina sióstr w centrum edukacji religijnej, z którego wychodziło więcej powołań niż z jakiegokolwiek innego miejsca na kontynencie. Większość z nich pochodziła z założonych przez nią domu i szkoły dla bezdomnych dziewcząt, z których duża część szła prosto ze szkoły do klasztoru.

Odsuńmy na bok ten sprytny sposób rekrutacji. Prawda była taka, że życie nie oferuje sierotom takim jak ja czy Marguerite zbyt wielu lepszych opcji.

– Słyszałam, że doszło do morderstwa – mówi matka Agnes, gdy tylko drzwi znowu się zamykają. – I że jesteś jakoś związana ze sprawą.

Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, kto jest źródłem jej informacji, ale zawsze były one prawdziwe.

– Powiedz mi – mówi, unosząc filiżankę do ust. – Dlaczego burmistrz w ogóle fatygował się, by powołać venatre'a w sprawie śmierci tej biednej dziewczyny?

– Z dwóch powodów – odpowiadam. – Zbrodnia była wyjątkowo przerażająca, a Oudin Montcuir przyznał się do, hm, towarzyszenia jej tamtej nocy.

Przeorysza kiwa powoli głową.

– I z tego powodu śledztwa nie prowadzi ani hrabia, ani jego starszy syn.

– Tak jest. Chociaż Lambert Montcuir w nim pomaga. – Stukam palcem w filiżankę. – Venatre, Simon, jest ich dalekim krewnym, ale

bardzo zaangażował się w śledztwo i ma ogromną wiedzę. Pomagam mu, bo to ja znalazłam ciało.

Wyraz twarzy matki Agnes poważnieje.

– Catrin, coś ty robiła na ulicy w środku nocy?

– Inspekcję w sanktuarium – odpowiadam. Przeorysza nigdy nie przepadała za moim zamiłowaniem do wspinaczki, nawet zanim odeszłam przez nie z opactwa. – Mieliliśmy opóźnienie, a ja w świetle księżycy widzę całkiem dobrze.

– Jak dobrze?

Coś jej w tonie głosu sprawia, że włosy na karku stają mi dęba.

– Na tyle dobrze, bym mogła wykonywać swoją pracę.

Przez kilka sekund jedynym dźwiękiem, jaki słyszę, jest jej rżący oddech.

– Nie powinnaś wychodzić w nocy – mówi w końcu. – To niebezpieczne, a tamto morderstwo jedynie tego dowodzi. Mam ochotę napisać do mistrza Thomasa, co myślę o tym, w jaki sposób pozwala ci pracować.

Przez pierwszy rok po moim odejściu raz w tygodniu wysyłała do niego jadowite listy, więc nie sędzę, by miało to jakieś znaczenie.

Matka Agnes chowa nos w filiżance.

– Opowiedz mi o tym Simonie.

– A co z nim? – pytam, zbита z tropu.

Jej pozbawione rżes oczy wpatrują się we mnie, nie mrugając.

– Catrin, może i jestem ślepa, ale nie jestem głucha. Spodobał ci się.

Usiłuję sobie przypomnieć, co takiego powiedziałam. Że zaangażował się w odnalezienie mordercy i że jest inteligentny. Obie cechy są godne podziwu. Ale myśl o jego niepewnym uśmiechu i tym, jak się o mnie martwił, dziwnie mnie rozgrzewa. Jak ona to wyczuła?

– Jest przystojny? – pyta, upajając się moim nagłym zakłopotaniem.

– Jest całkiem, całkiem – mruczę pod nosem. Gdy zdaję sobie sprawę, że nadal czeka, wzdycham. – Ma blond włosy, jest wysoki. – Opisuję go w krótkich salwach słów. – Nie jest przesadnie chudy, ale nie ma ani grama nadprogramowego tłuszczu. Jasna skóra. Dwa lata starszy ode mnie.

– A jego oczy?  
– Są jasnoniebieskie, jak u siostry Alix. – Nie wspominam o brązowej skazie.

– Czyli twoje absolutne przeciwieństwo. – W jej głosie kryje się żartobliwy ton.

– Nie jestem niska – sprzeciwiam się. Nawet nie nosząc pantofli na obcasie, które mam na sobie dziś razem ze strojem na Dzień Słońca, góruję nad większością znanych mi kobiet i całkiem sporą liczbą mężczyzn. – Simon też ma kręcone włosy – dodaje.

Przeorysza parska.

– W takim razie zmieniam zdanie, na pewno wyglądacie jak bliźnięta. W każdym razie – mruganiem odpędza rozbawienie – czy jego wygląd nie odwrócił twej uwagi od tego, co najważniejsze? Charakteru?

Czuję, jak robi mi się gorąco.

– Sprawia wrażenie szczerego.

– To dobry początek.

Wzdycham. Jak można komuś opisać Simona? Spędziłam w jego towarzystwie kilka godzin, a nie jestem pewna, czy rozumiem go choć odrobinę lepiej, niż kiedy po raz pierwszy na niego spojrzałam.

– Wydaje się dobry, ale skryty. Chyba nie podoba mu się to, że jest zależny od Montcuirów.

– Czy kiedyś go poznam?

Wzdrygam się na samą myśl.

– Sądzę, że wyobraża sobie przeorysza więcej, niż tak naprawdę między nami jest. Sama ledwie go znam. – Nadarza się właśnie okazja, by zapytać o to, po co tu przyszłam. – Pochodzi z Mesany. Słyszała przeorysza o niej?

– Oczywiście. – Kobieta nachyla się po ciasteczko, po czym rozsiada z powrotem w fotelu i macza je w herbacie. – To wioska ze sławną kaplicą osoby świetlistej na wybrzeżach Prezji.

Remi miał rację co do położenia, jednak by kaplica mogła nosić miano świetlistej, musi być jej przypisany jakiś cud.

– Kto tam zmarł?

– Księżniczka uciekająca z wyspy na zachód od Brinsulli. To było kilkaset lat temu. – Matka Agnes milknie, by ugryźć ciasteczko

nielicznymi zębami, po czym macza je z powrotem w filiżance. – Jej ojciec śledził ją aż do Mesany, a gdy odmówiła powrotu, zabił ją.

Posłuszeństwo rodzicom jest jednym z dziesięciu filarów życia w wierze, więc jest to dla mnie zaskoczenie.

– Kaplica poświęcona uciekinierce? – pytam.

– Odeszła ze słusznych powodów. Ojciec rozkazał jej go poślubić.

Przez chwilę wydaje mi się, że nie dosłyszałam imienia jakiegoś księcia, któremu została przyrzeczona. Gdy dociera do mnie, co naprawdę powiedziała przeorysza, cofam się gwałtownie w głąb krzesła.

– Chciał wziąć ślub z własną córką?

– Jej matka umarła, a król oszalał z żalu. – Znów wkłada ciasteczko do ust i odgryza kawałek gołymi dziąsłami. – Podobno księżniczka Dimah była do niej bardzo podobna.

– To i tak... – zaczynam. To obrzydliwe. Jednak osoby świetliste ofiarowują cuda związane ze swoim życiem lub śmiercią. – Czy naprawdę istnieje tak wiele osób uciekających od kazirodczych małżeństw i proszących o jej pomoc?

Matka Agnes przełyka i rzuca mi karcące spojrzenie.

– Jej grób stał się miejscem pielgrzymek osób dotkniętych chorobą umysłu: od dzieci chorujących od urodzenia przez tych, którzy słyszą nieistniejące rzeczy, po morderców zjadających ciała swoich ofiar. – Druga połowa ciasteczka trafia do jej ust.

Wyobrażam sobie to, o czym mówi, i czuję, jak robi mi się niedobrze.

– Naprawdę istnieją ludzie tak szaleni, że jedzą ludzkie mięso?

– Rzadko się to zdarza, ale owszem, istnieją.

– Dlaczego ktoś taki nie zostanie po prostu poddany egzekucji?

Matka Agnes wyciąga do mnie filiżankę po dolewkę herbaty, spełniam więc jej prośbę.

– Nasza wiara nie zgadza się z karaniem tych, którzy nie są świadomi ciężaru swojego występku.

Parskam.

– Chce przeorysza powiedzieć, że kara nie ma znaczenia, jeśli karani nie wiedzą, dlaczego cierpią? – Przeorysza nadal wyciąga ku mnie filiżankę, a ja dodaję do niej mniej więcej tyle śmietanki, ile wcześniej podała jej Marguerite.

Ignoruje moją wrogość.

– Rodziny często gorączkowo pragną zapewnienia, że to nie osoba, którą kochają, zrobiła coś tak okropnego, tylko coś, co ją opętało. – Odchyła się w fotelu i wyrównuje habit, po czym upija łyk herbaty. – To dla was często najłatwiejsze wyjaśnienie, zwłaszcza gdy tego, co znajduje się tutaj – stuka palcem w skroń – nie rozumieją dobrze nawet najmądrzejsi uczeni. Istnieją trzy zakony oraz specjalne szpitale poświęcone pomocy pielgrzymom, ale mieszkańcy wioski wielu przyjmują we własnych domach. Oczywiście nie tych agresywnych, tylko tych, którzy nie są w stanie sami się sobą zająć. Wielu medyków spędza czas w Mesanie na obserwacji i rozmowach z tymi o najbardziej niezrównoważonych umysłach, próbując je zrozumieć i przywrócić im równowagę.

Simon nie jest medykiem, jednak to jasne, że spędził z nimi wiele czasu.

– Czy w takim razie cud polega na tym, że chorzy zostają uleczeni w związku ze swoimi wysiłkami lub błogosławieństwem Dimah? – pytam.

Matka Agnes wzrusza ramionami.

– Wiem tyle co ty. Ale Dimah nie zostałaaby dodana do litanii świętych bez dobrego powodu.

Zaczyna mnie martwić wizja życia Simona przed przybyciem do Collis. Urodził się i wychował w Mesanie czy może przybył tam po lekarstwo dla siebie?



## ROZDZIAŁ 13



Z dzwonnicy klasztoru wybrzmiewa wezwanie na popołudniowe modlitwy. Wstaję, biorąc ze sobą nietknięte ciasteczka imbirowe.

– Lepiej już pójdę. Obiecuję, że do mojej następnej wizyty nie minie aż tyle czasu.

Mistrz Thomas miał rację. Pewnie niedługo już w ogóle nie będę mogła jej odwiedzać.

Matka Agnes odprowadza mnie do bramy. Nie poruszamy tematu moich rodziców, którzy byli przedmiotem naszej kłótni przed kilkoma miesiącami. Wpuszcza mnie na zewnątrz bez słowa, a ja osłaniam oczy dłonią, podczas gdy ona zapina klucze na pasku. Zastanawiam się, czy ma zamiar się pożegnać, gdy nagle nachyla się do przodu, wpychając nos między kraty.

– Catrin.

– Tak?

Wpuszcza ciężko powietrze, jakby przygotowywała się do tego, co chce powiedzieć.

– Twoi rodzice nie żyją. To zawsze było prawdą. Ale kochali się, a ty byłaś dzieckiem, którego pragnęli.

Serce rośnie mi w piersi; czekam na jej kolejne słowa, ale ona już się nie odzywa.

– To wszystko? – wypalam w końcu. – Tyle ma mi przeorysza do powiedzenia?

Cofa się, jakby bitwa dobiegła końca.

– To jedyne, co ma znaczenie.

Ani słowa o tym, dlaczego reszta rodziny porzuciła mnie, gdy przy moim brzuchu nadal była zawiązana pępowina. Żadnych wyjaśnień na temat ostrzeżenia wysyczanego mistrzowi Thomasowi w dniu, kiedy zabierał mnie z opactwa, mówiącego o tym, że jeśli „oni” wyczują, że jestem źle traktowana, czekają go konsekwencje. Jakby wierzyła, że kiedyś będą chcieli po mnie wrócić.

Ciasteczka w mojej zaciśniętej dłoni zmieniają się w okruchy.

– Może to ma znaczenie dla przeoryszy – dukam przez zaciśnięte zęby.

Matka Agnes kręci głową.

– Twoja rodzina naprawdę wierzyła w to, że twoje miejsce jest w Świetle.

– Cóż, mylili się – warczę. – Moje miejsce nie jest za wysokimi murami i zamkniętymi bramami. Nie chcę mieszkać w klatce.

– Wszyscy w nich żyjemy, Catrin. A tylko ci, którym dopisuje szczęście, mogą sobie wybrać swoją.

Odwraca się i rusza w stronę kaplicy, nucąc pieśń modlitewną, którą już zaczęły śpiewać siostry.



Złość i mocny blask słońca zasiewają w mojej głowie ziarno bólu, który szybko rozprzestrzenia się niczym bluszcz, owijając ciasno skronie. Gdy docieram do domu, ból staje się trudny do zniesienia, idę więc prosto do pokoju, by się położyć. Okno wychodzi na południe i odrobinę na wschód, a przez kolejnych kilka godzin hałas dochodzący z sanktuarium cichnie, w miarę jak robotnicy kończą pracę. Pierwsi są kowale, którzy przestają wykuwać łańcuchy, gwoździe i żelazne ramy. Ścierają jeszcze sadzę z tego, co zdołali dziś stworzyć, i kłóć się z rzemieślnikami, kto będzie miał jutro większe potrzeby. Następni są kamieniarze i rzeźbiarze, którzy odkładają dłuta, by wykończyć precyzyjnie krawędzie bloków i rzeźb papierem ściernym. Robotnicy wciągający i wykładający kamień



wysoko na ścianach kończą ostatni ładunek. W końcu odjeżdżają wozy – straganiarze i szlifierze ciągną je ręcznie, podczas gdy woły sprowadzają resztę w dół wzgórza.

Miasto wzdycha i się odpręża. Budynek zaczyna otulać dym palenisk, nadając okolicy zapach drewna, do którego po wieczornym posiłku dochodzi woń tysiąca zapalonych fajek. Pani la Fontaine puka do moich drzwi i zaprasza na kolację. Udamę, że śpię, a ona wraca na dół. Dzwony sanktuarium i wielu kaplic rozmieszczonych w całym mieście wzywają wiernych na wieczorne modlitwy. Matka Agnes poprowadzi siostry, część uwagi poświęcając wychwytywaniu brakujących głosów. Później ci, którzy nie zjawili się na liturgii, będą polerować kielichy i lichtarze. Często mi się to zdarzało.

Wiele dziewcząt w opactwie Solis to córki prostytutek – często kobiet, które ledwie kilka lat wcześniej opuściły zakon. Inne były dziećmi zrodzonymi z niewierności – rodziły je młode szlachcianki, które dały się uwieść, lub służące, które uległy zapędom bogaczy. Informacja, że moi rodzice się kochali, wyciąga mnie z tej pierwszej kategorii. Nie wiem, czy staję się w ten sposób częścią drugiej, a może jakiejś zupełnie innej, tak jak Marguerite.

„Twoja rodzina naprawdę wierzyła w to, że twoje miejsce jest przy Świetle”.

Na samo wspomnienie tych słów zaciskam szczękę. Nie mieli prawa decydować za mnie.

Zaraz. Pomyliłam się. Matka Agnes powiedziała, że wierzyli, że moje miejsce jest „w” Świetle, nie przy nim. Czy ta różnica ma znaczenie? Przeorysza nie powiedziała też, kiedy zmarli moi rodzice. Czy to oni zostawili mnie w opactwie, czy ktoś inny? A potem te słowa o życiu w klatce. Chciała przez to powiedzieć, że klasztor był lepszą klatką niż ta, w której żyli oni?

Przekręcam się na łóżku, by przyrzeć się ciemnemu, granatowo-fioletowemu niebu, rozciągającemu się ponad horyzontem. Dzięki zapadającemu mrokowi napięcie za oczami w końcu zaczyna odpuszczać. Remi wspina się po schodach na drugie piętro i wchodzi do swojego pokoju. Chwilę później słyszę panią la Fontaine, ale nic nie wskazuje na to, że mistrz również niedługo się położy. Może składa kolejny witraż. Gdy księżyc wznosi się już na tyle wysoko, że na podłodze mojego pokoju odbija się snop srebrnego światła, ból

głowy jest już tylko wspomnieniem, a ja rozmyślam o czymś zupełnie innym.

Co takiego blask księżyca zrobił ze mną w tamtej alejce?

Im więcej czasu mijało od tego, co dotarło do mnie tamtego dnia przy Simonie, tym bardziej wydawało mi się to absurdalnie, aż w końcu zupełnie wyrzuciłam z głowy pomysł, że w grę wchodzi jakaś magia księżyca. Teraz zastanawiam się nad szeptami. A jeśli były prawdziwe?

Ponad tysiąc lat temu mieszkańcy Imperium Hadriańskiego uważali księżyc za przeklęty i wierzyli, że jego częste zmiany oznaczają, że ma coś do ukrycia. Najpełniejszy księżyc wschodzi o zmierzchu i zachodzi o świcie, bo nie jest w stanie stanąć twarzą w twarz z błogosławionym słońcem i to dlatego Seleńczycy – którzy żyją zgodnie z księżycem – często są uznawani za heretyków. Współcześni Gallijczycy wiedzą, że księżyc nie jest groźny, to samo głoszą wysocy kapłani, jednak wiele osób nadal wierzy w zabobony.

Tylko ludzie przesądni boją się magii i opisują ją jako coś bluźnierczego i nienaturalnego, co można uprawiać jedynie w ciemności. Do niedawna wszystko to było dla mnie bzdurą.

Prostokąt światła rzucany przez księżyc przesuwa się powoli po pokoju, w miarę jak księżyc dociera do najwyższego punktu nieba, po czym znów zaczyna się rozciągać. Jeszcze godzina i zniknie zupełnie. Zmuszam się, by się poruszyć – siadam na łóżku i kładę na ziemi stopy odziane w skarpety. Jedna z desek podłogowych jęczy, gdy czuje na sobie mój ciężar. Waham się, obgryzając poszarpaną końcówkę paznokcia. To w ten palec wbiła mi się drzazga. Wszystko się już zagoiło, poza okrągłym siniakiem w miejscu krwawienia.

Opuszczam dłoń i podchodzę na palcach do okna. Staję tuż obok światła, częściowo dlatego, że tak właśnie stałam wtedy w uliczce, a częściowo z powodu dziwnego głodu, który rośnie we mnie, gdy zbliżam się do okna. Chociaż głód to nie najlepsze słowo. Ta potrzeba jest ukryta o wiele głębiej, rozprzestrzenia się z samej duszy i sprawia, że skóra mrowi mnie ze zniecierpliwienia. Nie wiem, czego się spodziewam, ale wiem, że czegoś pragnę, i to mnie trochę martwi.

Jeśli magia istnieje naprawdę, być może narażam własną duszę. W końcu czy gdyby była dobra, nie pochodziłaby od słońca?

Biorę głęboki oddech i wyciągam lewą rękę tak, jakbym chciała złapać strumień wody.

Świat wybucha kolorami, światłem i dźwiękiem. To, co wcześniej ledwie wyczuwałam, teraz obmywa mnie niczym fale oceanu.

Słyszę, jak Remi przewraca się na łóżku piętro wyżej, i widzę pyłki kurzu opadające z sufitu. Przez szczelinę w deskach podłogowych, tuż u moich stóp, przedziera się smużka dymu o gryzącym zapachu, a ja potrafię rozpoznać, że pochodzi ona z liści palonych przez mistrza w fajce, a nie z paleniska. Mam na stopach grube wełniane skarpety i czuję nie tylko ciasny splot robótki pani la Fontaine, lecz także ziarnistość drewna, na którym stoję, i niewielki sęk pod dużym palcem.

To więcej, niż jestem w stanie za jednym razem pojąć. Nawet powietrze w mojej piersi jest tak ciężkie od różnych zapachów, że mam potrzebę je z siebie wypuścić. Topię się.

Odsuwam się od światła, jakby płonęło, i ku mej uldze – i cierpieniu jednocześnie – wszystko znów wygląda normalnie. Prawie wszystko. Widzę i słyszę dużo lepiej niż wcześniej, ale w żadnym stopniu nie tak dobrze jak wtedy, gdy na moją dłoń padał blask księżycy. Choć te chwile były przytłaczające, było w nich coś... wspaniałego. Potężnego.

Pragnę więcej.

Musi być jakiś sposób, by się do tego przyzwyczaić. Zakrywam uszy dłońmi i zamykam oczy, by odciąć te dwa zmysły. Następnie wypuszczam z płuc powietrze i wchodzę całą sobą w światło.

Trzy. Dwa. Jeden.

Biorę powolny, głęboki wdech, delektując się każdym pojedynczym zapachem, który czuję: drapiące, zbite włókna wełny ze spódnicy, suchy kurz z sufitu, tańczący ze świeżymi kwiatowymi pyłkami wiosny. Nieprzyjemna kwaśna woń z beczki z resztkami, które pani la Fontaine zostawia ulicznym łobuzom. Ten ostatni zapach jest przytłumiony. Wieko nie zostało jeszcze podniesione przez dłonie przeszukujące beczkę.

Gdy rozpoznam każdy zapach, który zdołam wyodrębnić, zaczynam skupiać się na tym, co czuję. Nocne powietrze gładzi moją skórę jak jedwab. Deski podłogowe na szerokość włosa uginają się pod moim ciałem. Jeśli się skupię, wyczuję ośmionogiego pająka

przechodzącego na sąsiednią deskę. Spódnicę mam opuszczoną nisko na biodrach, otula mnie na tyle mocno, że siniaki w talii sprawiają wrażenie świeżych.

Teraz dźwięki. Odkrywam uszy.

Wiatr zawiewa przez framugę głośno niczym miotła. Remi chrapie – nie, to śpiąca w pokoju naprzeciwko niego pani la Fontaine. Skupiam się na tym, co dzieje się na zewnątrz, i rozpoznaję gwałtowne trzepotanie skrzydeł ćmy i szorstki szelest skrzydeł nietoperza, nurkującego w jej kierunku z wysokim piskiem, którego nigdy wcześniej nie byłam w stanie usłyszeć.

Ulicę dalej strażnik jest na patrolu, słyszę jego kroki na przemian ze skrzypieniem zardzewiałej latarni. Cofam się od okna i słyszę drobienie szczurów na strychu domu tuż za naszym, a potem wodę kapiącą z rynny.

Bicie serca człowieka stojącego w uliczce, tuż pod domem.



## ROZDZIAŁ 14



Ktoś stoi przed domem mistrza Thomasa, tuż przy drzwiach kuchni.

Wracam w mrok, otwieram oczy, a rytm jego pulsu znika z moich uszu. Serce wali mi tak głośno, że niemal nie słyszę cichego pukania.

Gdy drzwi się otwierają, do środka wlewa się złote światło. Kimkolwiek jest ten mężczyzna, musiał być spodziewanym gościem, bo mistrz Thomas – jedyna osoba w domu, która jeszcze nie śpi – wpuszcza go do środka. Zastanawiając się, czy uda mi się ich usłyszeć, klękam i przykładam ucho do podłogi.

Słowa są przytłumione, ale ton ich rozmowy wydaje się przyjacielski. Jeszcze kilka sekund temu mogłabym wszystko usłyszeć. Na parapecie nadal świeci księżyc, wyciągam więc ku niemu dłoń. Tak jak chciałam, gdy tylko palce zostają oświetlone blaskiem, efekt powraca. Mocno ściskając framugę, przywieram uchem do podłogi w miejscu, w którym znajduje się szczelina. Zamykam oczy i nasłuchuję.

– ...zostały podwojone. Nie powinieneś wychodzić – mówił mistrz Thomas. – Wiesz, że widziano cię tamtej nocy, prawda?

– Tak, widział mnie człowiek uzależniony od skonii – odpowiada mężczyzna.

Skrzypnięcie drewna i chrząknięcie nieznanego podpowiadają mi, że właśnie siada przy kominku.

– A jeśli chodzi o straż, ci wielbiciel słońca nie widzą dalej, niż pada światło ich latarni.

„Wielbiciel Słońca”. Tylko człowiek nocy odezwałby się tak pogardliwie. A „tamta noc” musi oznaczać tę, podczas której zamordowano Perrete. Nawet bez tych wskazówek natychmiast rozpoznałam mężczyznę po głosie. Wyobrażam sobie cienie rzucone na jego poraną bliznami twarz i blask ognia odbijający się w srebrnych oczach. To dla mnie szok, że mistrz Thomas zna tego Seleńczyka. Dlaczego mi o tym nie powiedział?

– Zdajesz sobie sprawę, po co przyszedłem, prawda? – pyta.

Słyszę pisk korka wyciąganego ze szklanej butelki i odgłos płynu wlewanego do dwóch pucharów.

– Zapewniałeś mnie, że do tego nie dojdzie – mówi architekt.

– Nie czerpię przyjemności z tego błędu – odpowiada Seleńczyk. – I przepraszam cię za niego. Nie masz pojęcia jak bardzo.

Mistrz Thomas jednym haustem wypija zawartość pucharka, po czym kaszle i wyciera usta.

– To ja wysłałem ją w noc. To również moja wina.

Muszą rozmawiać o Perrete. Czuję, jak serce rozrywa mi się na pół na myśl o tym, że architekt wierzy, że ponosi chociaż część winy za jej śmierć.

– To tylko dowód, że nie możemy uciekać przed przeznaczeniem – mówi cicho Seleńczyk. – Tak samo jak nie możemy sprawić, że księżyc przestanie wstawać.

– Ale jednak... – Mistrz Thomas stawia butelkę na stole i opada ciężko na krzesło. – Obiecałem, że będę o nią dbał, i zawiodłem. To tylko kwestia czasu, zanim coś wydarzy się ponownie.

– Tak – zgadza się mężczyzna. – To jak czysta skonia. Gdy raz się jej zasmakuje, już zawsze będzie się jej pożądać.

Tak jak Simon zrozumieli, że morderca uderzy znowu. Że jego furia i żądza zemsty nigdy nie zostaną zaspokojone.

– Tobie udało się to opanować – mówi mistrz Thomas.

– My nie mamy wyjścia. Ale właśnie dlatego z własnej woli w nocy trzymamy się Kwatery. By chronić innych i siebie samych. –

Nieznajomy upija łyk. – Ale ciebie zawsze zapraszamy, byś do nas dołączył.

– Dołączył do czego? Wycia do księżycyca?

Mężczyzna chichocze ponuro, ale nie słyszę jego słów. Sfrustrowana, otwieram oczy i zauważam, że blask księżycyca odpłynął z moich palców, a co gorsza wkrótce w ogóle przestanie świecić w okno. Przesuwam rękę o kilka cali, by znów znalazła się w świetle, i ponownie przyciskam ucho do podłogi, ale i tak straciłam część rozmowy.

– ...musisz mi zaufać w tej sprawie – mówi mężczyzna. – To nie jest coś, co zrozumiesz tak dobrze jak ja.

Mistrz Thomas wzdycha.

– Kiedy?

– Po nowiu, ale przed pełnią.

Simon również przepowiedział kolejną zbrodnię, ale ten mężczyzna wydaje się pewien, że dojdzie do niej w ciągu miesiąca.

– Jak mam chronić Catrin? – pyta mistrz. – Wmieszała się w śledztwo venatre'a i nadal chce mu pomagać.

Nieznajomy upija długi, powolny łyk z kieliszka, po czym odpowiada:

– Hadriańczykami i Seleńczykami rządzą instynkty, które ledwie rozumiemy. Nie pomyślałeś, że może odnalezienie tamtej dziewczyny było jej przeznaczeniem?

Krzesło mistrza Thomasa szura o kamienną podłogę, gdy mężczyzna podskakuje gwałtownie.

– Posłuchaj, co ty mówisz, Gregorze! Nic dziwnego, że ludzie mają was za szaleńców. Ona jest...

Znów przestaję słyszeć. Zaciskam zęby i wyciągam palce przez okno, aż w końcu dar powraca.

– ...księżyc nie powoduje szaleństwa – mówi Seleńczyk. – Ale sprawia, że szaleństwo wierzy, że może się bezpiecznie ujawnić.

Architekt fuka, sfrustrowany, jak w chwilach, gdy przesuwają dłoń po jednym z siwych pasm we włosach. Gdy znów zabiera głos, ten jest zbyt przytłumiony, bym zdołała zrozumieć, co mówi. Siadam na podłodze, szukając blasku księżycyca. Nie uda mi się go dosięgnąć i jednocześnie trzymać głowę tam, gdzie powinna być, bym mogła dobrze słyszeć. Tłumiąc jęk frustracji, obracam się, by oprzeć

o ścianę pod oknem. Kilka minut później Seleńczyk – Gregor, powtarzam w myślach – wychodzi tym samym wejściem, którym przyszedł.

Słyszałam na tyle dużo, by zrozumieć, że obaj mężczyźni zdają sobie sprawę z zagrożenia kolejnymi morderstwami – do których dojdzie raczej wcześniej niż później. Po chwili jednak rozmowa zaczęła dotyczyć mnie.

„Nie pomyślałaś, że może odnalezienie tamtej dziewczyny było jej przeznaczeniem?”

Prawie dokładnie to samo powiedziałam wczoraj Simonowi. Gregor nazwał to instynktem, ale ja wiem, że to coś więcej, bo słyszałam krzyk Perrete, kiedy nie była już w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Jej krew wezwała mnie na powietrzu oświetlonym blaskiem księżyca. Jeśli to nie jest magia, to nie wiem, co nią jest.

Mistrz Thomas w nią nie wierzy, więc jeśli powiem jemu lub Simonowi, że krew przemawia do mnie przez blask księżyca, pomyślą, że moje miejsce jest w Mesanie.

Nadal jestem w pełni ubrana, rozbieram się więc tak cicho, jak potrafię. Mistrz Thomas zostaje w kuchni, a ja z łatwością wyobrażam sobie, jak pali fajkę i wpatruje się w palenisko, jak ma w zwyczaju, gdy coś go trapi. Tuż zanim naciągnę na siebie koszulę nocną, zatrzymuję się, by przyjrzeć siniakom na brzuchu, które z granatowoczarnych zmieniły się w ciemnofioletowe. Przez talię przechodzi pręga pozostawiona przez linę bezpieczeństwa, ale widzę też siedem przypadkowo rozrzuconych owali. Nic dziwnego, że noszenie spódnicy jest bolesne.

Gdy wchodzę z powrotem do łóżka, nie mogę przestać myśleć o słowach Gregora, że blask księżyca nie powoduje szaleństwa, a jedynie sprawia, że to wierzy, iż może się bezpiecznie ujawnić.





## ROZDZIAŁ 15



Do rezydencji Montcuirów docieram na tyle późnym rankiem, że wszyscy zapewne zdążyli już wstać. Mam ze sobą dwa starsze plany ulic naszego miasta, które wzięłam od architekta. Wpuszcza mnie guwernantka, ale zamiast zaprowadzić na górę, wskazuje tylko drogę palcem. Z pokoju Simona na drugim piętrze dochodzą głosy, ale drzwi są otwarte, więc pukam i od razu wchodzę do środka.

Simon, pochylający się właśnie nad ramieniem Juliane, się prostuje. Z jego uśmiechu wyczytuję, że nie tylko jest zadowolony, że przyniosłam obiecane mapy, ale również cieszy go moja obecność.

Przekonanie matki Agnes, że mi się spodobał, nie ma nic wspólnego z moją świeżo upraną spódnicą ani starannie zaplecionymi warkoczami. Zupełnie nic.

Obawiając się, że moja twarz może zdradzać niestosowną ekscytację związaną z przyjściem tutaj, podchodzę do stołu.

– Przyniosłam mapy. Mam nadzieję, że się przydadzą. Na jednej z nich jest rozrysowana okolica sanktuarium, a na drugiej całe miasto. Są trochę przestarzałe, ale naniosłam poprawki. M-mam nadzieję, że się przydadzą.

Najwyraźniej zamiast wyrazem twarzy powinnam była bardziej przejąć się tym, co mówię. Zaciskam usta, zanim przyniosę sobie

jeszcze więcej wstydu.

Juliane podnosi wzrok znad notatek, cienie pod jej oczami nadają jej sowi wygląd, zwłaszcza że bardzo powoli mruga.

– Dziękuję. – Simon zabiera zwinięte pergaminy. – Właśnie tego potrzebowałem, więc ee... dziękuję.

Juliane spogląda na niego, a jej cienkie usta unoszą się z rozbawienia.

Simon natychmiast rozkłada jedną z map i przywołuje Oudina.

– Chodź tutaj, kuzynie, i pokaż mi, w którym miejscu widziałeś tamtej nocy Seleńczyka.

Gregora.

Oparty o ścianę Oudin stęka z irytacją, po czym wykonuje polecenie. Nachyla się nad stołem i wskazuje:

– Tam.

Simon kreśli niewielką literę S woskowym ołówkiem.

– A ty, gdzie wtedy byłeś?

Oudin przesuwa palec o cal.

– Mniej więcej tutaj. – Prostuje się i czeka, aż kuzyn oznaczy to miejsce literą O.

Zniecierpliwiona, by się do czegoś przydać, mówię:

– Ja byłem...

Simon niemal uderza swoją dłoń, odsuwając ją.

– Jeszcze nie.

Cofam się, zawstydzona, podczas gdy on kontynuuje przepytwanie Oudina.

– W którym miejscu ty i twój towarzysz się rozdzieliliście?

Towarzysz? Oudin ponownie wskazuje palcem miejsce na mapie.

– Odprowadził mnie z karczmy na plac, a potem ruszył tą drogą.

Simon kreśli literę F we wskazanym miejscu i rysuje strzałkę w kierunku niewielkiej ulicy, która łączy się z Drogą Rozkoszy w pobliżu alejki, w której zginęła Perrete. Ten znajomy jest oczywistym tropem, jednak Simon chyba się nim nie przejmuje. Dodaje przerywaną linię łączącą F z O, by narysować trasę, którą poruszał się Oudin.

– Czy to tam znalazł cię Lambert? – pyta.

Brat Oudina chodzi w kółko przy wychodzącym na ulicę oknie, zatrzymuje się jednak, gdy słyszy swoje imię.

– Mniej więcej – odpowiada Oudin. – Byłem zbyt przestraszony, by się dokądkolwiek ruszyć, zanim Seleńczyk odszedł, a potem zaczęło lać, więc się schroniłem.

– Czy jest jeszcze coś, co chcesz mi powiedzieć o tej nocy?

– Nie.

Simon przez kilka chwil przygląda się Oudinowi, jakby wyczytywał niewidzialne słowa zapisane na jego twarzy. W końcu kiwa głową.

– Rozumiem. To wszystko.

Oudin kłania się kpiąco.

– Dobrze, venatre. – Następnie zwraca się do stojącego po drugiej stronie pokoju Lamberta: – Jesteś gotowy na starcie z lwem?

Wtedy zdaje sobie sprawę, że obaj bracia mają na sobie stroje, które zwykle nosi się podczas nabożeństw w sanktuarium. Lambert naciąga rękawiczki na palce; jego twarz ma niezdrowo blady kolor.

Juliane zauważa moje zdziwienie.

– Dziś ceremonia złączenia przed ślubem Lamberta.

Oudin uśmiecha się szeroko, podchodząc do starszego brata.

– W końcu pozna tę dziewczynę. – Obejmuje go ramieniem, jednak Lambert jest kilka cali wyższy, więc ten gest ściąga go na jedną stronę. – Jeszcze nie musisz udowadniać swojej męskości. Odpręż się.

Lambert odtrąca go ze złością.

– Na koniec dnia, Oudinie! Są wśród nas kobiety!

Niewzruszony Oudin poprawia swoją oblamowaną aksamitem marynarkę i mruga do mnie.

– Ale tylko z jedną warto się podroczyć.

Gładka skóra piszczy, gdy Lambert zaciska dłonie w pięści, ale Simon wchodzi między nich z rękami wyciągniętymi tak, jakby był gotowy ich powstrzymać.

– Kuzyni, spóźnicie się. – Ścisza głos i mówi do Lamberta: – Wiesz, że on jedynie próbuje cię zdenerwować.

Oudin chichocze w drodze do drzwi. Pomimo zachowania młodszego z braci to szorstki gest Simona sprzed chwili bardziej mnie dotknął. Udaje mi się jednak uśmiechnąć do Lamberta.

– Lady Genevieve ma wielkie szczęście.

Zarumieniona ze złości twarz Lamberta przybiera teraz wyraz zadowolonego zawstydzienia. Simon kiwa mi w podziękę głową,

klepiąc kuzyna w ramię.

– To prawda. A Oudin jest po prostu zazdrosny.

Trudno mi sobie wyobrazić, że Oudin przejmuję się tym, co myśli jakakolwiek kobieta, ale te słowa działają na Lamberta. Prostuje się i wychodzi bez słowa za bratem, uśmiechając się do mnie nieśmiało.

Simon powraca do studiowania mapy okolic sanktuarium. Nie palę się do zabierania głosu, biorąc pod uwagę, co wydarzyło się, gdy ostatnim razem chciałam coś powiedzieć, ale gdy odgłos kroków braci schodzących po schodach cichnie, Simon podnosi wzrok.

– Przepraszam, że wcześniej tak na ciebie napadłem, Cat. Nie chciałem, by dowiedział się od razu, gdzie byłaś tamtej nocy. – Unosi dłoń na zgodę. Opuszki kciuka i dwóch pierwszych palców są brudne od atramentu. – Pokażesz mi to teraz?

Oczywiście. Powinnam była się domyślić, że moje słowa mogą zmienić zeznania Oudina. Nadal zawstydzona, podchodzę do mapy i kładę palec wskazujący na południowo-wschodnim narożniku sanktuarium.

– A w którą stronę byłaś zwrócona?

Pokazuję mu, a on oznacza to miejsce strzałką wskazującą południe, zamiast literą C. Kontynuujemy śledzenie mojej trasy aż do ciała Perrete i samej uliczki. Potem Simon zaznacza na mapie dom Perrete, przybytek madame Emeline i karczmę, w której Oudin pił piwo i zażywał skonię. Juliane te same miejsca zaznacza na drugim planie, na którym całe miasto jest rozrysowane w innej skali.

Gdy Simon pyta o mężczyznę, którym – jak już wiem – był Gregor, moje odpowiedzi stają się bardziej ogólnikowe. Architekt zdawał się pewien jego intencji, a ja podejrzewam, że Seleńczyk obserwował mnie tylko ze względu na ich przyjaźń. By zmienić temat, dopytuję o kogoś, kto o wiele bardziej mnie niepokoi:

– Kim jest ten znajomy Oudina?

– Remone la Fontaine. – Simon rzuca ołówek na stół i wstaje, przeciągając się. – Wszystko, co powiedział, potwierdza wersję Oudina.

To nie może być prawda.

– Remi? Ale jego nawet nie było w Collis – protestuję. – Wrócił z Lutecji dopiero następnego dnia, wczesnym porankiem.

Simon przechyla głowę.

– Mnie powiedział, że do Collis przyjechał wieczorem i poszedł do karczmy, gdzie spotkał Oudina.

– To dlaczego nie wrócił tamtej nocy do domu?

Simon wzrusza ramionami.

– O to będziesz musiała zapytać Remone’a, ale widziało go kilka osób.

– Kto? – dopytuję. – I gdzie ty się z nim widziałeś?

Simon wierci się nerwowo.

– Gdy przyjechałem przyjrzeć się ciału Perrete, wychodził od madame Emeline. Według, hm, świadków, przybył tam mniej więcej w porze popełnienia morderstwa, ale nie był w stanie, który pozwalałby mu je popełnić.

Krzyżuję ręce na piersi i wpatruje się w mapę. Litera F, którą go oznaczył, musi oznaczać Fontaine. Zastanawiam się, czy Remi używał skonii. Zażywanie czegokolwiek, co wpływa na jasność umysłu, rozeźliłoby mistrza. To byłby grunt pod utratę posady.

Ale, przypominam sobie, przecież nie wiadomo nawet, czy Remi ją wziął. Z tego, co wiem, nigdy wcześniej tego nie robił, chociaż najwyraźniej spędza czas na różne sposoby, o których nic mi nie wiadomo. Nie jestem zazdrosna, ale brzydzi mnie, że okazał się nie lepszy niż Oudin.

Chrząkam i odwracam wzrok od Simona.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

Odpręża się, zadowolony ze zmiany tematu.

– Będziemy nadal gromadzić fakty i szczegóły, których użyjemy do stworzenia portretu zabójcy.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Gdy mówisz „szczegóły”, masz też na myśli stan, w jakim znaleziono ciało Perrete, i to, co morderca jej zrobił?

– Przede wszystkim to, Cat – odpowiada. Brązowa kropka na lewym oku dodaje jego spojrzeniu niepokojącej intensywności. – Nasze działania pokazują światu, kim jesteśmy. Choć odpychające, te wiadomości są kluczem do zrozumienia i znalezienia mordercy.

Juliane przygląda się nam, gdy rozmawiamy, a jej oczy o rozszerzonych źrenicach patrzą to na mnie, to na Simona. Wytrącona z równowagi, nie chcąc wykluczać jej z dyskusji, zwracam się do niej:

– A co z tobą, lady Juliane? – pytam. – Czy to dla ciebie nie za dużo?

– Oczywiście, że nie – odpowiada, mrugając z zaskoczenia. – Zabiłam wielu ludzi, zresztą tak jak Simon.

Opada mi szczęka.

– Wy... co?

Simon kładzie dłoń na jej ramieniu, nie spuszczaając z niej wzroku.

– Nie zabiłaś. Nie zabiliśmy.

Juliane podnosi na niego wzrok, jest roztrzęsiona.

– Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Byłam zaskoczona.

– W porządku – mówi, ale nadal jest skupiony na mojej twarzy. – Ale Cat chyba nie rozumie naszej małej prywatnej gierki. – Jego uśmiech jest wymuszony, w przeciwieństwie do tego, którym obdarował mnie poprzedniego dnia; wtedy po prostu wydawał mi się nieznajomy. – Lubimy gadać bzdury, by móc się nawzajem poprawiać.

W jego wyrazie twarzy była milcząca prośba, bym się z nim po prostu zgodziła. Mój uśmiech w odpowiedzi jest tak wymuszony jak jego.

– Oczywiście, że rozumiem – mówię. – Remi uwielbia opowiadać mi przedziwne historie, by sprawdzić, czy mu uwierzę.

Na przykład o tym, że do Collis przyjechał dopiero trzy poranki temu.

Simon kiwa głową w podzięcie, a Juliane garbi się, zapewne czując ulgę. Simon prosi mnie o pomoc w przybiciu map do ściany. Gdy się do tego zabieramy, Juliane wraca do przekładania papierów na stole, porządkując je w sterty.

Ale ja nie jestem w stanie przestać wpatrywać się w to, z jaką uważnością sortuje i układa wszystkie kartki, mimo że każda z nich jest pusta.



## ROZDZIAŁ 16



Przez kolejną godzinę przyglądam się szkicom, które Simon przypina do ściany obok mapy miasta. Jego rysunki, na których widnieją Perrete i uliczka, są niepokojące, ale ja przecież widziałam to w rzeczywistości.

Dużo trudniej jest mi patrzeć na szkice, które zrobił z wizyty u madame Emeline. Zakrył piersi i dolną część ciała Perrete materiałem – a przynajmniej tak je narysował, ale podejrzewam, że jeśli w tych miejscach znajdowałyby się jakieś wskazówki, nie zrobiłby tego. Jego talent do przelewania na papier tak makabrycznych obrazów również jest nieco niepokojący. Pomimo bólu spowodowanego siniakami przytulam rękę do brzucha, gdy wylicza rany i uszkodzenia, które spisał w swoim badaniu.

– Siedem ran kłutych w dolnych partiach brzucha. – Każdą z nich wskazuje palcem brudnym od atramentu.

Tak jak wtedy, gdy dostrzegłam krew na ścianie, nie jestem w stanie pozbyć się uczucia, że gdzieś już widziałam ten wzór i że jednocześnie coś jest z nim nie tak. Zapewne przypominam sobie, co zobaczyłam tamtej nocy, z tą różnicą, że ślady palców już tego nie brudzą.

– Cięcia na wewnętrznych stronach dwóch palców – kontynuuje Simon głosem tak pozbawionym emocji, jakby wymieniał ciekawostki geograficzne. – Gdy zaczął ją dźgać, chwyciła się za brzuch, potem dźgnął ją co najmniej jeszcze raz. Rany są do siebie podobne, przez co prawdopodobnie wydaje się, że użył ostrza obosiecznego, na przykład sztyletu, w przeciwieństwie do, powiedzmy, noża do mięsa. Potwierdzałyby to również uszkodzenia oczodołów.

Czuję, jak owsianka, którą pani la Fontaine wmusiła we mnie podczas śniadania, podchodzi mi do góry. Z wysiłkiem przełykam ślinę, by ją zatrzymać.

Pióro Juliane śmiga po papierze, gdy dziewczyna notuje jego słowa. Simon milknie, aby zdołała zapisać wszystko, chociaż przypuszczam, że nie jest to konieczne.

– Opuszki palców zadraśnięte, paznokcie połamane od rzucania się na ścianę – mówi, a ja zaciskam dłoń w pięść, czując, jak w moich palcach pulsuje fantomowy ból. – Gdy przestała się szamotać, zaciągnął ją tutaj i położył. – Wskazuje szkic uliczki widzianej z góry, który przypomina rysunek architekta. – Jak zauważyła Cat, położył ją w świetle księżyca, by mógł ją widzieć.

Dreszcz, który czuję, gdy o mnie wspomina, jest krótkotrwały.

– Następnie roztrzaskał jej twarz. Użył ciężkiego przedmiotu, który najprawdopodobniej niezręcznie byłoby ze sobą nosić, możliwe więc, że chwycił coś, co leżało w pobliżu. Na przykład kamień lub cegłę.

Albo młotek. Ale Simon nie ma powodu podejrzewać, że jakiś się tam znajdował.

– Jednak nic, co zostało na miejscu zbrodni, nie spowodowałoby takich obrażeń – kontynuuje. – A to oznacza, że zabrał przedmiot ze sobą.

Na moim czole pojawiają się kropelki potu, które mają tyle samo wspólnego z odrazą, ile z obawą o to, co to może oznaczać dla mistrza Thomasa.

Simon krzyżuje ręce na piersi, nadal stojąc twarzą do szkicu.

– Dostyc niechlujnie usunął jej oczy, ale jeszcze się nauczy.

– Chcesz powiedzieć, że stanie się w tym lepszy? – pytam.

Kiwa głową.



– Jego metody za każdym razem będą skuteczniejsze.

Szkoli się w tym jak w jakiejś profesji: terminator, czeladnik, rzemieślnik, mistrz. Czyżby to było dzieło zwykłego początkującego?

Simon pociera brodę, zostawiając na niej ciemną smugę atramentu.

– Rany na brzuchu wyglądają na zadane chaotycznie, może dlatego, że stawiała opór, ale może to być również dowód na jego brak doświadczenia. Wiemy natomiast na pewno, że jest praworęczny. Z kątów, pod jakimi zostały zadane ciosy, oraz po ranie na szyi można wywnioskować, w której dłoni trzymał nóż.

– Ciągle mówisz, że to był „on” – rzuca Juliane. – Czy nie mogłaby tego zrobić kobieta?

Simon kręci głową, skupiając się na jakimś punkcie po drugiej stronie ściany, przed którą stoi.

– Nie. Zabójcą jest mężczyzna.

– Nie wierzysz, że kobieta jest zdolna do brutalności? – pytam.

Odwraca się, by na mnie spojrzeć.

– Zdolna? Owszem. Jednak ten rodzaj brutalności, furii... – Ponownie kręci głową. – To coś męskiego. Nie potrafię tego wyjaśnić inaczej niż tak, że sprawia to wrażenie...

– Zemsty – kończę za niego. – Na kobiecie. Pamiętam, że już to mówiłeś.

– Owszem. – Z jego stroskanej miny wyczytuję, że myślami znów jest w alejce.

– Ale mścił się niekoniecznie na Perrete.

Zaciska w zamyśleniu usta, sprawiając, że granatowofioletowa plama na jego szczęce staje się bardziej widoczna.

– Być może miał ogólne poczucie, że kobiety go oceniają, jednak najprawdopodobniej bierze się to z jakiegoś konkretnego przypadku. Kiedy wydarzyło się to po raz pierwszy.

Zaciskam zęby.

– Zrucasz za to winę na kobietę, która go odrzuciła?

– Nie. – Uwaga Simona natychmiast skupia się na mnie, jego odpowiedź jest kategoryczna. – Być może używa jakiejś pokręconej logiki, by usprawiedliwić swoje czyny, i może istnieje kobieta, która celowo, w jakiś wypaczony sposób wykorzystuje to, że ma nad nim

władzę, jednak za swoje występki odpowiada wyłącznie zabójca. Kto wie, może kierowało nim szaleństwo, ale było to jego szaleństwo.

Nieco udobruchana, pytam:

– Ale czy szaleństwo nie oznacza, że jest mniej odpowiedzialny za własne czyny?

– Istnieje kilka rodzajów obłądu. – Simon milknie na chwilę, zerkając na Juliane. – Nie musisz tego zapisywać – mówi.

Jednak ona nie przerywa, a wyraz jej twarzy nie zdradza żadnych emocji, zupełnie jakby nie rozumiała jego słów, a jedynie powtarzała je, jak ptaki przedrzeźniacze.

Simon wskazuje palcem makabryczne rysunki.

– Zabójca wie, kiedy i w jaki sposób musi się ukryć. Wie, że to, co zrobił, jest złe, ale nie dba o to. A wręcz przeciwnie, upaja się strachem, który powoduje. – Jego oczy się szklą, a głos cichnie do szeptu: – To potwór, który pozwala, by jego impulsy były zamknięte w klatce, bo wie, że kiedyś w końcu ponownie wydostaną się na wolność.

Przechodzi mnie dreszcz. Gdy matka Agnes mówiła, że wszyscy ludzie żyją w klatkach, chyba nie to miała na myśli.

– Ale skoro nie widać tego z zewnątrz, to czy jest coś, co wiemy o zabójcy na pewno? – pytam.

Simon wypuszcza powietrze, kuli się i podchodzi z powrotem do stołu. Siada na ławie obok Juliane, z twarzą skierowaną do środka pokoju, i opiera łokcie na udach.

– Wysoki, silny, o nieprzeciętnej inteligencji. Wiek: pomiędzy dwadzieścia a trzydzieści lat, jest jednak niedojrzały. Kiepskie relacje z kobietami.

Pióro Juliane drapie papier. Gdy przestaje, a Simon nie mówi nic dalej, wbijam w niego spojrzenie.

– To wszystko? Tylko tyle możesz powiedzieć? – Sama nie jestem pewna, czego się spodziewałam, ale tyle nawet ja byłabym w stanie odgadnąć.

– Tylko to mogę powiedzieć na pewno – odpowiada, kierując słowa do swoich dłoni. – Dopóki nie zdobędę więcej materiałów.

Dopóki potwór nie zostanie ponownie wypuszczony z klatki.



## ROZDZIAŁ 17



Zamiast przyznać, że spędziłam zbyt dużo czasu u Simona i nie zdążyłam zrobić inspekcji nowego rusztowania przed kolacją, daję mistrzowi Thomasowi do zrozumienia, że skończyłam pracę, obiecując mu, że porozmawiam z nim o tym, co widziałam, jutro na placu budowy, skoro nie mogę mu tego pokazać na modelu. Architekt, zmęczony po wczorajszej późnej wizycie Gregora, zgadza się i kładzie spać tuż po kolacji. Remi mówi, że ma się spotkać ze znajomym, i również znika. Na razie zostawiam dla siebie wiedzę o jego kłamstwach, ale mam zamiar niedługo się z nim skonfrontować.

A na dzisiejszą noc zaplanowałam coś więcej niż pracę.

Gdy pani la Fontaine ociężałym krokiem wchodzi na trzecie piętro, wkładam bryczesy z doszytą spódnicą i skradam się na parter, by wymknąć się tylnymi drzwiami. Zamykam je za sobą jednym z kluczy, który ma każde z nas. Chcę działać z rozmysłem, więc w drodze na plac sanktuarium unikam wchodzenia w pola oświetlone blaskiem księżyca. Gdy docieram do miejsca, z którego nie mogę pójść dalej, nie wychodząc z cienia, zatrzymuję się, by po raz ostatni wszystkiemu się przyjrzeć.

Tak świat wygląda w oczach innych ludzi.

Mam wrażenie, że powietrze drży, aż zdaję sobie sprawę, że to ja się trzęsę. Pamiętając, jak przytłaczające było wszystko zeszłej nocy, z zamkniętymi oczami wkraczam w światło księżyca.

Zalewa mnie fala świadomości. Zapiera mi dech, gdy nos i płuca wypełniają się tuzinem zapachów, i natychmiast zatykam usta dłonią, by łatwiej było mi wstrzymać oddech. Dźwięki odbijają się od otaczających mnie kamiennych powierzchni jak fale nad brzegiem stawu. Ta kakofonia jest gorsza od tego, co dzieje się w dzień, gdy setki ludzi pracują i krzyczą do siebie nawzajem, jednak po kilku sekundach udaje mi się odseparować ważniejsze dźwięki i uczyć się je tolerować. Seria wysokich krzyków w powietrzu przeraża mnie, dopóki nie przypominam sobie nietoperza z poprzedniej nocy. Czy ktoś wiedział, że one bez przerwy skrzeczą?

Ostrożnie biorę wdech nosem, by oddzielić z natłoku zapachów woń kamienia i pyłu drzewnego. Po chwili nie muszę już oddychać tak głęboko. Z głową skierowaną w dół powoli otwieram oczy. Jeśli myślałam, że spojrzenie na ziemię będzie spokojnym początkiem, myliłam się. Kamienie u moich stóp są pełne czarujących wzorów stworzonych przez pęknięcia i wgłębienia. Mogłabym się im przyglądać całą noc, ale zmuszam się, by unieść głowę.

To, co widzę, zapiera mi dech w piersi.

Sanktuarium mieni się nieskończoną ilością tęczy wychodzących z tysięcy maleńkich odbijających światło faset w wapiennych ścianach. Jakakolwiek niepewność, czy ta nadana przez księżyc moc może być czymś wzbudzającym strach, znika w obliczu takiego piękna. Pod wpływem impulsu przebiegam wzdłuż całego budynku, rozkoszując się delikatnym wiatrem owiewającym mi twarz, teksturą kamienia, którą czuję przez buty, i cudownością całego otoczenia.

To odurzające.

Najpierw praca, potem zabawa. Zdyszana, dobiegam do ramienia transeptu, wychodzącego na południe z długiej nawy. Za nim znajduje się powiększana właśnie sekcja wschodnia – to tam trzeba postawić nowe rusztowanie. Nowe podpory oznaczają nowe miejsca nacisku, idę więc zygzakiem pomiędzy stosami drewna i stanowiskami, na których rzeźbi się kamień, docieram do podstawy całej struktury i zaczynam się wspinać. Widzę i czuję fakturę drewna, z łatwością wyczuwając różnicę pomiędzy starym i nowym,

między dębowymi i jesionowymi podporami. Utrzymujący się w jednym miejscu zapach żelaza, skóry i potu podpowiada mi, gdzie kowal udał się dziś na drzemkę w cieniu.

Drewno skrzypi i śpiewa pod moim ciężarem, ale nigdzie nie słyszę charakterystycznych dźwięków łamania ani ślizgania. Gdy dociera do mnie odgłos, który sprawia, że się zatrzymuję, okazuje się, że to pojedyncza złamana trzcina – nie warto tego naprawiać. Na trzecim piętrze zauważam otwór wywiercony przez jakiegoś insekta, przypominający cienką rysę. Nim również zapewne nie trzeba się zajmować, ale i tak wyciągam z kieszeni płaszcz niebieską wstążkę, którą wiążę na ramie, by oznaczyć to miejsce do późniejszego zaklejenia smołą. Jeden koniec wstążki muszę zwilżyć językiem, by precyzyjnie go przez przerwę pomiędzy trzciniami o wielkości ucha igielnego.

Gorzki smak farby indygo sprawia, że natychmiast spluwam. Oczywiście powinnam była się spodziewać, że zmysł smaku również będzie wyostrzony, tak jak pozostałe. Z ciekawości dotykam językiem czerwonej wstążki – okazuje się, że zafarbowano ją przy użyciu truskawek i buraków.

Idę dalej, każdą sekcję sprawdzając szybciej i pewniej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy docieram na samą górę, zatrzymuję się, by spojrzeć na miasto. Otwarte centrum Kwatery Seleńskiej jarzy się tak jak kilka nocy wcześniej, a melodia, która do mnie dociera, jest niepokojąco znajoma. Pewnie ją słyszałam, gdy mieszkałam w klasztorze. Gdybym miała pamięć idealną, jak Juliane, na pewno bym sobie przypomniała. Wśród głosów rozróżniam kilka niskich barytonów i zastanawiam się, czy jest wśród nich Gregor.

Światło dochodzące z Kwatery zdaje się narastać, a pieśń również staje się głośniejsza, aż jedno i drugie osiąga szczyt i zaczyna zanikać. Gdy unoszę wzrok, widzę, że księżyc w trzeciej kwadrze osiągnął najwyższy punkt na niebie, co przypomina mi, jak jest późno. Czas wracać do pracy.

Szybko sprawdzam ostatnią sekcję i schodzę na dół. Księżycowe światło pada teraz tak, że bez przerwy wchodzę do cienia i z niego wychodzę, a ciągłe doświadczanie zmian w moich zmysłach jest zabawne – choć przyprawiające o zawrót głowy.

Odgłos kroków na kamieniu sprawia, że zamieram, a jedna z moich nóg zwisa w połowie drogi na niższą platformę. Stoję odwrócona plecami do placu. Krok nieznanego jest powolny i ostrożny, jestem też pewna, że to ktoś większy ode mnie. Tak cicho, jak tylko potrafię, wycofuję nogę i odwracam się, by się rozejrzeć. Chociaż ten ruch sprawia, że nie stoję w blasku księżyca, nadal widzę całkiem nieźle. A co więcej, w cieniu będzie trudniej mnie zauważyć. Chyba że ten ktoś i tak już wie, gdzie jestem.

Postać w płaszczu pojawia się za zakrętem, trzymając w ręku latarnię. Mężczyzna jest co najmniej tak wysoki jak ten, którego widziałam cztery noce temu, jednak nie ma na głowie kaptura, a światło odbija się od srebrnych fal jego włosów. Nie widzę dokładnie jego twarzy, bo wbija wzrok w ziemię, miarowym krokiem idąc w moim kierunku pomiędzy blokami kamienia i stertami drewna. Nocny strażnik? Mistrz Thomas mówił, że podwojono ich liczbę, ale nie widzę, by ten człowiek miał przy sobie broń.

Zatrzymuje się i unosi latarnię, jakby czegoś szukał, po czym znika pode mną. Jego płaszcz ląduje na ziemi. Kilka sekund później, stękając z wysiłku, wchodzi na pierwszy poziom platformy. Nie może wiedzieć, że tu jestem, bo nie zachowywałby się tak nieostrożnie.

Cofam się głębiej w swój kąt, gdy trupio blada dłoń sięga, by położyć latarnię naprzeciwko mnie na platformie wyplecionej z trzciny. Jedyne, czym mogę się bronić, to mały nóż, który noszę u pasa, chwytam więc jego rękojeść spoconą dłonią. Wolałabym nie musieć go używać, ale być może okaże się konieczny.

Mężczyzna podciąga się z niskim pomrukiem, a połowa jego ciała jest już ponad krawędzią. W tej chwili najtrudniej mu zareagować, a ja mam najlepszą szansę ucieczki. Rzucam się naprzód, chwytając bok platformy, by się na nim okręcić i zeskoczyć w dół. Dokładnie w tej chwili latarnia rzuca światło na twarz mężczyzny, a ja go rozpoznaję.

To Simon z Mesany.



## ROZDZIAŁ 18

Oczy Simona otwierają się szeroko w panice; odchyła się do tyłu zbyt daleko, by się czegoś chwycić. Mam dokładnie tyle czasu, ile trzeba, by zmienić kierunek i ruszyć prosto na niego. Uderzam latarnię ramieniem, posyłając ją w powietrze, i chwytam jego nadgarstek. Szkło się roztrzaskuje i znika niewielka doza światła, którą zapewniała latarnia. Simon się przekręca i uderza w podpórę piętra niżej, jednak udaje mu się ją chwycić, nie podtrzymuję więc całego ciężaru jego ciała.

– Na płonące niebo! – Simon z trudem łapie oddech. – To ty, Cat?

– Tak – odpowiadam, a moje serce bije tak mocno, że czuję, jak uderzenia odbijają się od platformy. – Mogę już puścić?

– Tak. Proszę.

Wpuszczam go i przesuвам się, by wyrzeć zza krawędzi, gdy Simon chwytą podpórę i podnosi na mnie wzrok.

– Co, do światła, tutaj robisz? – pyta.

– Ja tu pracuję, zapomniałeś? Ale co ty tu robisz?

Simon kuca i zeskakuje na ziemię.

– Też pracowałem. – Rusza nadgarstkiem i znów patrzy na mnie, marszcząc brwi. – Próbowałem poczuć, jak wyglądało miasto tamtej nocy.

Opuszczam nogi, by zejść na dół.

– Wiesz, że istnieją łatwiejsze sposoby, by dostać się na dach sanktuarium? – Łąduję lekko obok niego i dokładnie otrzepuję ręce.

Grymas Simona się pogłębia.

– Na głębię piekielną, kobieto, jesteś jak kot.

Jego rozdrażnienie wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– Jeśli wysoki kapłan usłyszałby, jak przeklinasz w świątyni, śpiewałbyś pieśni pokutne aż do wschodu słońca.

– Całe szczęście nie jestem w świątyni. – Wzdycha ciężko i szturcha stopą to, co zostało z jego latarni. – Jak ty tu w ogóle coś widzisz? Nie pytam nawet, jak w takich warunkach przeprowadzasz inspekcję.

Wzruszam ramionami, czując w nich nagłe napięcie.

– Księżyc świeci wystarczająco jasno. – Przygryzam wargę, bo wiem już, że zdołam zobaczyć najdrobniejszy szczegół. – Chcesz, żebym zabrała cię na górę?

– To zależy. – Po jego głosie słychać, że się uśmiecha. – Czy droga na górę, o której wspominałaś, naprawdę jest łatwiejsza, czy została zaprojektowana po to, aby mnie upokorzyć?

Chichoczę.

– To zależy. Wolisz drabiny czy schody?

Simon kopniakiem odsuwa roztrzaskaną latarnię i schyla się, by podnieść płaszcz.

– Ze schodami dam sobie radę. Prowadź.

Drzwi sanktuarium są zamknięte, ale wiem, które okna można otworzyć. Gestem każę Simonowi iść za mną. Chociaż ja nie mam problemu z poruszaniem się w mroku bez latarni, on bez przerwy się potyka i uderza o coś palcami u stóp. W końcu chwytam jego rękę, by go poprowadzić.

Dojście do zachodniego końca zajmuje sporo czasu, a ja jestem świadoma każdej sekundy. Zatrzymuję się, gdy docieramy do bloków rzeźbionego kamienia, ustawionych przy tylnych ścianach wież fasady budynku. Gdy puszczam dłoń Simona, natychmiast wyciera ją o spódnie. Zawstydzona, odwracam się od niego bez słowa i wspinam po kamieniach na gzyms, znajdujący się jakieś dwa i pół metra nad ziemią. Jest tak wąski, że ledwie można po nim chodzić.



– Sugerowałabym, żebyś go tu zostawił – mówię, a Simon odkłada okrycie.

Naszym celem jest wysokie okno szczytowe wychodzące na wschód. Niewiele osób wie, że jest obrotowe, i gdy popycham je o kilka centymetrów, wystarczy, że prześliznę palce pod krawędzią, by odsunąć zasuwę. Wyjaśniam to Simonowi, uchylając okno i prześlizgując się na drugą stronę. Wchodzi szybko za mną, chociaż musi wciągnąć brzuch, by precyzyjnie się pomiędzy szybą a żelazną framugą.

– Nic nie widzę – mruczy, gdy zamykam okno. – Gdzie jesteśmy?

– Na schodach jednej z frontowych wież – szepczę w odpowiedzi.

Tu zacznie się nasza droga w górę.

Simon chwyta mnie za rękę, zanim za bardzo się oddalę, co dodaje mi otuchy, ale robi to zapewne dlatego, by nie potknąć się o własne stopy. Schody zakręcają wraz ze ścianą, aż dochodzimy na półpiętro wychodzące na wewnątrz sanktuarium. Simon zatrzymuje się, by spojrzeć w górę mrocznej wieży.

– Czy te schody prowadzą na samą górę?

Kiwam głową, po czym przypominam sobie, że nie zobaczy mojego gestu.

– Tak. Ponad głównym dachem wieża otwiera się na powietrze, a w jeden z jej kątów są wciśnięte spiralne schody.

Simon spogląda na mnie.

– Byłaś tam kiedyś?

– Oczywiście – odpowiadam. – Przy bezchmurnym niebie jest tam przepięknie, jakby się leżało w kołysce wśród gwiazd.

– Chadzasz tam w nocy?

– Czasem. Gdy chcę coś przemyśleć lub pobyć sama.

Najlepsze noce na patrzenie w gwiazdy są wtedy, gdy na niebie nie widać księżyca. Teraz zastanawiam się, czy odkryłabym swoje dziwne zdolności wcześniej, gdybym wychodziła w inne noce.

– Znów będziesz musiała mnie poprowadzić. – Simon ściska moje palce. – Nie mam pojęcia, dokąd idę.

Okna witrażowe wzdłuż nawy wytłumiają światło wewnątrz, zmieniając je w faliste niebieskie i fioletowe cienie, zupełnie jakby się było pod wodą. Simon prawdopodobnie widzi na tyle dobrze, by puścić moją dłoń, ale tym razem tego nie robi. Ciągnę go za sobą po

balkonie na chórze, który biegnie wzdłuż całej długości sanktuarium. Jakaś część mnie wie, że przez ciemność jest to jeszcze bardziej niewłaściwe, niż byłoby w ciągu dnia. A inna część zupełnie o to nie dba.

Gdy docieramy na środek, Simon zatrzymuje się, zafascynowany ołtarzem. Wysoko ponad nim znajduje się niska kwadratowa wieża z oknami, by to najświętsze miejsce nigdy nie było w całości zatopione w mroku. To coś, czego podziwianie nigdy mi się nie nudzi, więc bez wahania także się zatrzymuję.

– W takich miejscach niemal jestem skłonny uwierzyć – szepcze.

– Nie wierzysz w słońce?

Fuka na mnie, nagle pozbawiony humoru.

– Wierzę, że słońce istnieje. Tylko głupiec by w to nie wierzył. Ale w moc, którą nam dało, już nie.

Błuznierstwo. Powinnam się wzdrygnąć na te słowa, ale on brzmi na zagubionego, jakby chciał wierzyć.

– Dlaczego?

Kręci głową.

– Jeśli istnieje i naprawdę jest tak dobre, dlaczego pozwala na tyle cierpienia i bólu na świecie? Dlaczego pozwala ludziom zachowywać się w ten sposób?

Już kilka dni temu stało się dla mnie oczywiste, że zabójstwo Perrete nie było pierwszym, które widział, ani nie najgorszym. Jego cynizm jest zrozumiały.

– Matka Agnes mówi, że nasze życia są jak słońce: są darem – mówię. – Gdy go otrzymamy, darczyńca nie ma nic do powiedzenia na temat tego, w jaki sposób go używamy: dobry czy zły. Inaczej nie byłby to prawdziwy dar.

– Taka wolność jest niebezpieczna, gdy może zniszczyć życia innych ludzi – odpowiada.

– Owszem – przyznaję. – Ale jest też niezbędna. Nie można być naprawdę dobrym, jeśli nie możesz wybrać między dobrem a złem.

Kącik ust Simona się unosi.

– Nie wiedziałam, że jesteś solozofką.

– To wynik wychowania w klasztorze.

Jego jedyną odpowiedzią jest przekręcenie dłoni i splecenie palców z moimi. Chociaż wątpię, że widzi mój rumieniec, i tak

szybko się odwracam i prowadzę go do kolejnych schodów. Podłoga pierwszego otwartego poziomu południowej wieży jest usiana zakurzonymi śladami butów i odchodami gołębi, śpiących z zadowoleniem na krokwiach dwa piętra wyżej. Przez wysokie łukowe okno wpada światło księżyca, nieblokowane przez szyby ani zasłony.

Chociaż mam już trochę praktyki w wykorzystywaniu jego blasku, wstrzymuję oddech i mrużę oczy, gdy w niego wchodzę. Natychmiast czuję puls Simona w jego dłoni i palcach, silny i szybki od wspinaczki po schodach. Przyspiesza jeszcze bardziej, gdy chłopak zauważa, że prowadzę go na ukośną krawędź dachu.

– Czy to bezpieczne?

– Jak najbardziej – odpowiadam. Wysoka na kilka centymetrów kamienna rynna znajduje się po prawej stronie, a na całej wieży są rozstawione rusztowania. – Gdy pada deszcz, ścieka tutaj cała woda z dachu, dlatego jest tu tak szeroko.

– Szeroko? – Simon mruczy pod nosem. – Przecież tutaj nie zmieści się nawet dziecięcy wózek.

– Dlatego ich tutaj nie wpuszczamy – mówię żartem. Marszczy brwi, słysząc moje słowa. – Po prostu nie patrz w dół. I nachyl się trochę w lewo, w stronę dachu.

Chociaż Simon właściwie nie okazuje chęci puszczenia mojej ręki, ściskam jego dłoń, by wiedział, że nadal może się mnie trzymać. Następnie ruszam, wyciągając rękę do tyłu. Simon odwraca się bokiem, twarzą do dachu. Tak jest pewnie najlepiej.

Na drugim końcu zauważam kucającą sylwetkę Pierre'a. Nawet mimo że kiepsko widzę, to miejsce jest dla mnie na tyle znajome, że mogłabym tędy przejść z zawiązanymi oczami, i zmuszam się, by iść wolniej, niżbym chciała.

– Czym są te kamienne ramiona wychodzące na zewnątrz? – pyta Simon, gdy mijamy trzecie.

– To łąki oporowe – odpowiadam. – Przejmują ciężar budynku i kierują go do ziemi. Ich użycie pozwala na budowanie cieńszych ścian i większych okien, a dzięki temu wewnątrz jest jaśniej.

– Wyglądają jak ogromne odnóża pająka.

Kiwam głową.

– Całkiem możliwe, że to właśnie pająki były inspiracją. Rozwiązania natury często są idealne.

– Sporo wiesz o architekturze – zauważa Simon.

Uśmiecham się szeroko. Chociaż narzekam na to, że muszę oprowadzać darczyńców i wysoko postawionych gości po sanktuarium, cieszę się każdą spędzoną tam chwilą.

– Nie masz nawet pojęcia jak dużo. Mogłabym pewnie spędzić godzinę na opowiadaniu o matematycznej estetyce łuków tryforium biegnącego wzdłuż nawy.

– O czym?

– No właśnie.

Simon chichocze.

– W zasadzie chętnie bym posłuchał. Zresztą chętnie posłuchałbym wszystkiego, co chciałabyś mi opowiedzieć. – Milknie na moment, a kolejne słowa wypowiada bardzo szybko: – To znaczy... wszystkiego na temat, eee, architektury i sanktuarium.

Jego zakłopotanie tak mnie bawi, że cieszę się, iż moja twarz jest zwrócona do przodu. Nie wiem, czy udałoby mi się nie zaśmiać.

– W takim razie oto twoja pierwsza lekcja – mówię. – Dotarliśmy już do Pierre'a i szerszego terenu wokół niego. – Te rzeźby, które mają całe ciała, to chimery. Gargulcami nazywamy same głowy lub niekompletne sylwetki, używane do odprowadzania wody. Ale te – opieram wolną rękę o kamienne plecy – pełnią wyłącznie funkcję dekoracyjną.

Simon przygląda się ogromnej chimerze, która dzięki rozpostartym skrzydłom jest jeszcze większa.

– Nie zdawałem sobie sprawy, jaka jest wielka. – Puszczam moją dłoń, by położyć ją na rzeźbie. – I jaka paskudna.

Ukrywam rozczarowanie spowodowane przerwaniem dotykaniem. Udaję, że jestem urażona.

– On tylko żartuje, Pierre. – Klepię umięśnioną szyję, jakby był psem. – Jesteś piękny.

– Nadałaś mu ludzkie imię?

– A jak powinnam go nazywać?

– Nie wiem. – Uśmiecha się niepewnie. – Nietoperzopsolwi... stwór. – Jest spięty z powodu wysokości, ale jednocześnie bardziej odprężony niż kiedykolwiek, odkąd go poznałam, chociaż

przypominam sobie, że nasza znajomość trwa niecałe pięć dni. Kręci głową. – Po co stawiać tak przerażającą rzeźbę na tak pięknym budynku?

Na to pytanie mogę odpowiedzieć bez problemu.

– Według matki Agnes ich zadaniem jest odpędzanie prawdziwych demonów, które chciałyby tu osiąść. Mówią im – tutaj obniżam głos i kontynuuję groźnym tonem: – „To moje miejsce, bracie demonie. Jestem o wiele bardziej przerażający niż ty, więc nie rzucaj mi wyzwania”.

Gdy miałam osiem lat, zapytałam, czy to naprawdę zadziała, skoro demony zapewne szukają właśnie takich silnych partnerów, z którymi stworzyłyby małe demoniátka. Dzięki temu pytaniu zarobiłam dwa miesiące szorowania naczyń w kuchni, a odpowiedzi nie poznałam do dziś.

Simon patrzy na mnie, jakby wiedział, że pochłonęły mnie myśli, ale nie jest zirytowany.

– I tutaj właśnie byłaś, gdy zobaczyłaś tamtego mężczyznę?

– Tak, stałam tak. – Odwracam się twarzą na południe.

Simon zbliża się do mnie od tyłu, a nasze ubrania się o siebie ocierają. Przez wąską przestrzeń między nami czuję bicie jego serca. Zwolniło trochę, gdy odpoczęliśmy nieco po wspinaczce.

Gdy bez zastanowienia kładę dłoń na skrzydle Pierre’a, tak jak zrobiłam to tamtej nocy, okazuje się, że ręka Simona już na nim spoczywa. Szybko przesuвам swoją, by znalazła się obok niego, jednak tak, by się nie stykały. Luźny rękaw jego koszuli opadł do łokcia, a odkryte przedramię jest teraz ustawione równoległe do mojego. Żyły pod bladą skórą rozciągają się niczym błękitna winorośl wzdłuż ramienia, a ich rozgałęzienia płaczą się po wewnętrznej stronie nadgarstka. Moja skóra jest tak złota jak jego srebrna, co sprawia, że moje żyły mają zielonkawy odcień. Ta różnica jest fascynująca.

– Skąd...? – Głos Simona się łamie. – Skąd wyszedł tamten mężczyzna?

Odchyłam się lekko, by mu pokazać.

– Stamtąd.

Policzek Simona muska czubek mojej głowy, gdy chłopak pochyla brodę, którą niemal opiera na moim ramieniu.

– Ach, dobrze, widzę.

Jego głos przetacza się przeze mnie niczym łagodny piorun, a ja zdaję sobie sprawę, że się chwieję. Prawa ręka otacza moją talię w ruchu pełnym opiekuńczego instynktu.

– Wszystko w porządku? – szepcze, a moje włosy unoszą się na wietrze jego oddechu.

Wzrok tylko mi przeszkadza. Zamykam oczy i kiwam głową, sprawiając, że moje ucho muska jego nos i usta.

Och, na połyskujące słońce.

Dłoń Simona przysuwa się, by przykryć moją, nadal spoczywającą na rzeźbie. Dotyk jego nadgarstka na mojej skórze przesyła dreszcz pulsu przez moją rękę, a ciepło oddechu dryfuje niżej, do mojej szyi. Zanurzam się w jego ciepłe, a jego serce, tak samo jak moje, znów przyspiesza, jakby wchodził po schodach.

Czy to tylko z powodu blasku księżycy, czy dlatego, że jeszcze nigdy nie byłam tak blisko żadnego mężczyzny? Wiem, że Simon na pewno nie czuje wszystkiego w ten sposób co ja, ale czy też czuje coś niezwykłego?

Otwieram oczy i odwracam się, by na niego spojrzeć, opierając się plecami o stabilną sylwetkę Pierre'a. Lewa dłoń Simona nadal spoczywa na skrzydle, a prawą ręką obejmuje mnie w talii. Jego oczy są jasne jak kryształy, poza tą jedną skazą. Przeszukują moją twarz, aż w końcu zatrzymują się na ustach, co podpowiada mi, o czym on teraz myśli. Nikt mnie nigdy nie pocałował, poza Remim tamten jeden raz. To byłoby coś zupełnie innego i to nie tylko dlatego, że tego pragnę i tego się spodziewałam.

Simon nachyla się do mnie, po czym waha się przez chwilę, jakby dawał mi szansę na odsunięcie się, chociaż zupełnie nie mam takiego zamiaru. Zamiast tego biorę głęboki wdech, by poczuć wszystkie zapachy, które do tej pory ignorowałam. Czuć od niego pot i olej z lampy, gulasz jagnięcy z rozmarynem, piwo i... krew.

Mrugam, szukając źródła krwawienia.

– Co ci się stało w szyję?

Od lewego ucha Simona aż do obojczyka biegną trzy długie zadrapania. Nie są głębokie, ale pojawiły się na nich cienkie strupy w miejscach, w których skóra została rozdarta.

Prostuje się, a jego prawa dłoń ląduje po drugiej stronie szyi.

– To nie to, co myślisz.

Czy chce powiedzieć, że to nie są ślady paznokci? Moim zdaniem są...

– A więc co?

– Nic. – Nagle pryska cały czar, który nami zawładnął. Simon gwałtownie się odwraca. – Dziękuję, że pokazałaś mi to miejsce, ale jest już późno. Powinniśmy iść.

Właściwie na mnie nie czeka, gdy wracamy w ciszy do okna.

Chociaż księżyc, który wisi już niżej, niż gdy wchodziliśmy w górę, sprawia, że dookoła jest jeszcze ciemniej, a ja często ułatwiam Simonowi sprawę, nie chwyta mnie ponownie za rękę.



## ROZDZIAŁ 19



Gdy schodzę rano na dół, mistrza dawno już nie ma, ale jakimś cudem pojawia się na śniadaniu przed Remim. Kiedy w końcu i on schodzi, a potem potykając się, zajmuje krzesło, marszczę nos.

– Cuchniesz jak podłoga gorzelnii – mówię, gdy jego matka stawia mu talerz pod nosem.

Krzywi się gniewnie.

– Skoro ja nie mogę mieć nic do powiedzenia na temat tego, jak spędzasz czas, ty nie masz prawa komentować tego, co ja robię.

Mistrz Thomas nie będzie zadowolony, jeśli Remi pojawi się w pracy w złym humorze. Podaję mu bułkę posmarowaną masłem.

– Martwię się jedynie o twoje bezpieczeństwo. Na ulicach grasuje morderca.

Bierze ode mnie pieczywo, a jego mina łagodnieje – teraz patrzy na mnie spod brwi zmarszczonych w wyrazie lekceważenia.

– O siebie jakoś się nie martwisz.

Pani la Fontaine odwraca się od paleniska z ręką na biodrze.

– Wychodziłaś w nocy, Cat? – pyta karcącym tonem.

A niech cię, Remi. Zaciskam zęby pod fałszywym uśmiechem.

– Musiałam coś sprawdzić w sanktuarium. I nie byłam sama.

– A z kim byłaś? – domaga się odpowiedzi.



– Z kimś tak jej bliskim, że zasługiwał na trzymanie za rękę – mówi cierpko Remi.

Jeśli Remi był gdzieś, gdzie nas widział, jakim cudem go nie usłyszałam? Simon musiał mnie rozproszyć. Ale przecież nie wydarzyło się nic niestosownego, a ja nie mam nic do ukrycia.

– Zabrałam venatre'a w miejsce, w którym byłam, gdy zobaczyłam mężczyznę biegnącego przez plac – odpowiadam spokojnie, nie dając się zastraszyć oskarżycielskiemu spojrzeniu Remiego. – Chwyciłam jego dłoń, gdy szliśmy wzdłuż dachu, bo stresowała go wysokość.

Gospodyni parska, odwracając się z powrotem do garnka.

– Jak każdego normalnego człowieka.

Remi mruży zielone oczy.

– Oboje dość nagle się oddaliliście.

– Jak długo nas obserwowałeś, Remi? – warczę.

Uśmiecha się złośliwie, jego pełne usta otwierają się na tyle, bym zobaczyła zęby.

– Na tyle długo, by wiedzieć, że Montcuirom nie spodobałoby się, gdyby zobaczyli to co ja.

Odsuwam krzesło i gwałtownie wstaję.

– Zaczynij uważać na to, co mówisz, i nie rozsiewaj wrednych plotek, Remonie la Fontaine!

Gospodyni odwraca się, gotowa nas rozdzielić, ale Remi jedynie unosi brwi i spogląda na mnie zaskoczony i jakby zraniony.

– Spokojnie, Koteczku. Wiesz, że nigdy nie zrobiłbym niczego, co zniszczyłoby twoją reputację.

– Nie?

– Nie – odpowiada z powagą. – Ale to nie znaczy, że sama nie możesz jej zniszczyć.

Jestem niemal gotowa ujawnić, że wiem, gdzie przebywał w dniu śmierci Perrete. To na pewno nie pomogłoby jego reputacji.

Przerywa nam pukanie do drzwi. Zadzieram spódnicę, odwracam się i tupiąc, wchodzę do pracowni. Na ulicy stoi Juliane Montcuir, za nią Oudin.

– Przyszłam po ciebie – mówi dziewczyna, zanim zdążę zapytać, co ją tu sprowadza. – Doszło do kolejnego morderstwa.



– Simon poprosił, bym po ciebie przyszła – wyjaśnia Juliane, prowadząc mnie wzdłuż ulicy. Trzyma mnie pod rękę, jakbyśmy byli przyjaciółkami, które wyszły na spacer. – Ale jest tam już od ponad godziny.

– Kto jest ofiarą? – pytam.

– Następna kobieta z Drogi Rozkoszy – odpowiada cicho idący za nami Oudin. Przygląda się twarzom przechodniów, choć żaden z nich nie zwraca na nas uwagi. – Miała na imię Ysabel.

Nie pytam, czy znał ją tak, jak znał Perrete.

Przechodzimy przez plac sanktuarium, a ja czuję, jak moja szyja zaczyna płonąć, gdy mijamy miejsce, w którym po raz pierwszy chwyciłam Simona za rękę. Zastanawiam się, czy Remi miał rację, gdy powiedział, że jego rodzina sprzeciwiłaby się, gdyby między nami coś się narodziło. Juliane trzyma mnie pod rękę, jakbyśmy były sobie równe, a nie jakbym była sierotą o niewiadomym pochodzeniu.

A jednak Simon wczoraj odsunął się ode mnie i zachował tak, jakby dotykanie mnie, nawet niewinne, było pomyłką. Może on się temu sprzeciwia.

Oddaliśmy się od Ścieżki Modlitwy i mijamy karczmę, w której Oudin – i Remi – byli w noc zabójstwa Perrete. Za domami znajduje się porośnięty trawą teren z kilkoma drzewami i wąską ścieżką. To popularne miejsce schadzek, zwłaszcza o zmierzchu.

Oudin blednie, gdy docieramy do parku.

– Lambert przyprowadził tutaj lady Genevieve po ceremonii złączenia. To był mój pomysł.

– Zapewne przez długi czas nikt nie będzie się tutaj przechadzał – mruczy Juliane, gdy docieramy do tłumu zgromadzonego na ulicy.

Strażnicy miejscy stoją w niewielkich odstępach, odgradzając gapiów od miejsca zbrodni, a Lambert krąży za nimi jak niespokojny lew w menażerii. Gdy tylko nas zauważy, macha do nas, byśmy do niego podeszli.

Łańcuch zwisający z krótkich słupków ma za zadanie uniemożliwić ludziom wchodzenie do parku inną drogą niż po ścieżce, ale Oudin przekracza go i pomaga Juliane zrobić to samo. Mimo że też mam na sobie spódnicę, jest kilka centymetrów krótsza niż ta Juliane, nie

potrzebuję więc pomocy. Lambert i tak spieszy w moim kierunku, więc pozwalam mu chwycić się za łokieć, gdy na w pół przechodzę, a na w pół przeskakuję nad barierą.

– Simon tam na ciebie czeka. – Wskazuje zagajnik pośrodku parku. Zanim Oudin zdąży zrobić krok w tamtą stronę, brat chwyta go za ramię. – My nie idziemy. Naszym zadaniem jest obserwowanie tłumu i wypatrywanie każdego, kto wygląda na zbyt zainteresowanego.

Oudin wychyla się za Lamberta, z pewną dozą rozpaczki przeszukując wzrokiem miejsce, w którym stoi Simon.

– Ale Ysabel...

– Została już zabrana – mówi Lambert łagodnie. – A Simon chce, byśmy zajęli się czymś innym.

Usta Oudina wykrzywiają się w paskudnym grymasie, gdy wyrwa ramię z uścisku brata.

– Och, skoro venatre tego potrzebuje. – Po raz ostatni zerka w stronę Simona i się odwraca.

Lambert wzdycha i marszczy brwi, patrząc na mnie i siostrę.

– Nie wiem, dlaczego nalega na to, by angażować was w te nikczemne sprawy. – Kręcąc głową, rusza za Oudinem.

Wraz z Juliane przechodzimy przez skoszony trawnik. Kozy uciekają nam z drogi, gdy podchodzimy do Simona, który stoi pod dębem, wpatrzony w ziemię.

Ciała już nie ma, tak jak mówił Lambert. Po zbrodni pozostał tylko szeroki pas ziemi zabarwiony ciemnoszkarłatną krwią. W mojej głowie pojawia się makabryczne pytanie – czy korzenie drzew wypiją ją jak deszczówkę i w jaki sposób wpłynie to na ich liście.

– Kazałem ją zabrać najszybciej jak to możliwe – mówi cicho Simon. – Uznałem, że pewnych... szczegółów nie musicie widzieć.

– Jeśli mamy pomóc, będziesz musiał nam powiedzieć, co jej się stało – zauważa Juliane.

Zgadzam się, jednak częściowo czuję ulgę, że nie muszę tego oglądać. Rysunki Simona będą wystarczająco makabryczne.

– Leżała na plecach. – Simon pokazuje nam kierunek, w którym było ustawione ciało. – Tak jak Perrete.

– Czy też została zadżgana? – pytam.

– Nie, ale poderżnięto jej gardło. – Wskazuje skrawek ziemi tak mokry, że aż czarny. – Była ułożona tak, że gdy je podcinał, krwawiła bezpośrednio na ziemię. Nauczył się. Morderstwo Perrete było zbyt niechlujne. Tamtej nocy zapewne cały pobrudził się jej krwią i musiał pozbyć się wszystkiego, co miał na sobie.

Juliane przechyla głowę na bok.

– Jesteś pewien, że zrobił to ten sam człowiek? Są jakieś inne podobieństwa?

Simon przytakuje.

– Oczywiście tej kobiety usunięto z nieco większą wprawą. Jej twarz zmiażdżono jednym uderzeniem zadany za pomocą jakiegoś ciężkiego przedmiotu.

– Pamiętam, jak mówiłeś, co to znaczy: że nie chce, by na niego patrzono – mówi Juliane, a ja kiwam głową.

Chociaż nie mam jej perfekcyjnej pamięci, tego akurat nigdy nie zapomnę.

– A poprawiona technika może oznaczać, że to morderstwo miało na celu naprawienie tego, co poszło nie tak przy Perrete – kontynuuje Simon. – To wyjaśniałoby też, dlaczego tak szybko uderzył ponownie.

Mam wrażenie, że o czymś nam nie mówi.

– Czy coś jeszcze było tak jak poprzednio?

Simon podnosi wzrok. Jego spojrzenie jest powściągliwe, a ciało – sztywne. Wygląda tak bardzo inaczej niż wczorajszej nocy, przynajmniej aż do jej końcówki.

– Tak – odpowiada cicho.

Zanim zdążę zapytać co, nagle przechyla głowę, by za mnie spojrzeć. Niewiele myśląc, robię to samo. Kilka metrów dalej koza spokojnie żuje trawę, a ciemny szorstki warkocz porusza się kolistym ruchem wraz z jej żuchwą. Mrugam. Czy ktoś zaplótł jej brodę?

Simon wymija mnie biegiem, a ja mam wrażenie, że rzuciłby się na zwierzę, gdyby nie zabezpieczało i nie upuściło tego, co przeżuwało, zanim rzuciło się do ucieczki. Simon unosi długi warkocz włosów, które z całą pewnością są ludzkie.

– Catrin – mówi z zapartym tchem. – Perrete miała czarne włosy, prawda?

– Nie naturalnie, ale tak – odpowiadam.

Warkocz zeszywniał od zaschniętej krwi, ale nie ma żadnych wątpliwości co do koloru. Simon obraca go w dłoni.

– Ysabel była blondynką. Morderca albo to upuścił, albo zostawił celowo. W każdym razie to na pewno łączy obie sprawy.

– A miałeś jakieś wątpliwości?

Kręci głową.

– Nie. Jest zbyt wiele podobieństw. – Simon zaciska włosy w ręce.

– Cholera! A już ją pochowano.

– Kogo? – pytam. – Tę ofiarę? Tak szybko? – Robi się to wyłącznie po zmierzchu.

– Nie, Perrete – wyjaśnia Simon. – Madame Emeline znalazła w jej kieszeni niewielki warkocz. Nie wiedzieliśmy, do kogo należy, ale założyliśmy, że to jakaś pamiątka, więc pozwoliłem go pochować wraz z nią. A co, jeśli... Cat, jeśli tamten warkocz pochodził od innej ofiary?

Przez chwilę się nad tym zastanawiam.

– Myślisz, że obcina ofierze włosy i zostawia przy niej warkocz zabranej poprzedniej? Czy włosy Perrete zostały odcięte?

Simon głośno wypuszcza powietrze.

– Szczerze mówiąc, nie sprawdziłem tego. Jej włosy były przemoczone i przyklejone do tyłu głowy. Jedyne twarz wydawała mi się warta przestudiowania. – Wkłada warkocz do kieszeni tuniki.

– Madame Emeline zabrała także to ciało. Upewnię się, czy ofierze odcięto włosy, gdy się u niej zjawię.

Próbuję powstrzymać dreszcz.

– Czego jeszcze będziesz szukał?

– Będę musiał wykonać pomiary, by potwierdzić, że do zmiżdżenia twarzy użyto tego samego narzędzia co przy Perrete. – Simon wraca do Juliane, która czeka, obserwując i nasłuchując. – Ale jestem niemal pewien, że tak właśnie było.

Odwracam się, gdy mnie mija, a moją pierś uciska chore podejrzenie.

– Skąd to wiesz? – pytam.

Rękami rysuje w powietrzu szacowany rozmiar i kształt.

– To było coś nietypowego, płaskiego, mniej więcej kwadratowego i bardzo ciężkiego. Prawdopodobnie uformowany kamień. Być może cegła.

Nie mogę mu tego powiedzieć, ale wiem, że to nie żadna z tych rzeczy.

Narzędziem zbrodni był młotek.



## ROZDZIAŁ 20



Wspólnie wracamy do domu Montcuirów. Juliane i jej bracia odłączają się od nas na piętrze, by odświeżyć się w swoich pokojach. Ja i Simon wchodzimy na drugie piętro. Bycie z nim sam na sam, nawet przez kilka minut, wydaje mi się niestosowne, zwłaszcza po ostatniej nocy. Może to dlatego, że mistrz Thomas bardzo surowo zakazywał Remiemu wchodzenia do mojego pokoju – i mnie do jego.

Ale co wydarzyło się wczorajszej nocy? Czy widziałam w tym coś więcej, niż naprawdę się stało? Chwycił mnie za rękę i stał tak blisko tylko dlatego, że go prowadziłam, i wycofał się, gdy tylko zdał sobie sprawę, że wysyła mi błędne sygnały? Przypominam sobie jednak, jak walił jego puls i jak zarumieniły mu się policzki, kiedy patrzył na moje usta i się ku mnie nachylił. Jego prawdziwe myśli i uczucia były nie do pomylenia z niczym innym, nawet jeśli czuł, że musi to ukrywać.

Simon jest jedynie biednym dalekim krewnym Montcuirów. Jeśli nie zwróciłby się do nich o pomoc, jestem pewna, że nie dbaliby o to, co robi ze swoim życiem. Juliane zdaje się mnie lubić, ale Remi chyba myśli, że rodzina byłaby przeciwna mojej bliższej relacji z Simonem. Kręcę głową. Nigdy nie zrozumielem, dlaczego to, w jakiej rodzinie się ktoś urodził, jest dla niektórych tak ważne. Gdyby tak nie było,

sieroty mieszkające w opactwie Solis mogłyby wybierać między czymś więcej niż klasztorem i Drogą Rozkoszy.

Nie zdając sobie sprawy z mojego wewnętrznego niepokoju, Simon zajmuje się oznaczaniem na obu mapach miejsca, w którym znaleziono ciało Ysabel. Podchodzę do przeciwnego końca stołu i przygotowuję papier oraz atrament dla Juliane, która będzie robić notatki. Całe szczęście pojawia się w pokoju już kilka minut później.

Zatrzymuje się w drzwiach, przechylając głowę na bok, i zerka na Simona, po czym marszczy brwi i zbliża się do niego. Delikatna dłoń unosi się, by dotknąć zadrapań na jego szyi.

– Czy to...?

Simon odsuwa się, chociaż robi to o wiele delikatniej niż poprzedniej nocy, gdy ja go dotknęłam.

– To nic takiego – mówi.

– Ale...

– Nie martw się tym. – Uśmiecha się z groteskowym wysiłkiem.

Juliane zaciska dłoń w pięść i cofa ją, gwałtownie mrugając. Simon odwraca się do mnie, jakby wszystko było w porządku.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za to, że przysłałaś, Cat. Cenię twoje spostrzeżenia.

Unikam jego wzroku, przygotowując kałamarz.

– Dziś rano nie miałam zbyt wiele do powiedzenia.

– Może nie tym razem – odpowiada. – Ale pomagasz mi myśleć.

To nie to samo co wnoszenie wkładu w śledztwo. Nie podnoszę oczu.

– Czy Lambert pójdzie z tobą obejrzeć ciało Ysabel?

Simon kreci głową.

– Nie sądzę. Ostatnio nie najlepiej to zniósł.

– Miał koszmary – wyjaśnia Juliane. – Od śmierci matki nie słyszałam, by tak jęczał i szlochał. Kiedy tam pójdziesz? – Ostatnie pytanie kieruje do kuzyna.

– Koło południa, gdy jest najlepsze światło – odpowiada Simon. – Madame Emeline nie znała jej zbyt dobrze, ale szuka tych, którzy byli z nią blisko, i mam nadzieję, że zdobędzie jakieś informacje. Tymczasem porobię szkice.

Podchodzi do krawędzi stołu najbliższej otwartego okna i siada, kładąc cienki warkocz Perrete obok pustej kartki, którą



przygotowałam. Jego pióro fruwa po papierze szerokimi i krótkimi machnięciami, a on sam milczy.

Juliane zasiada na ławce i zaczyna sortować swoje notatki. Wygląda na zadowoloną, ale moja obecność jest tu zbędna. Niemal po to, by im o sobie przypomnieć, pytam:

– Dlaczego morderca chciałby coś zabrać ofierze?

Simon przestaje rysować i unosi głowę. Szkic leżącej na plecach kobiety nabiera już kształtu.

– Takie działania dają mordercy poczucie władzy, której nie może uzyskać w inny sposób – odpowiada. – Zabierając coś na kształt pamiątki, może na nowo przeżywać zabójstwo, co zwykle zaspokaja na jakiś czas jego potrzebę.

– Karmi potwora w klatce – dodaję, nawiązując do tego, co wczoraj opisał.

– Owszem, ale w końcu i tak potwór zapragnie więcej.

Zastanawiam się nad tym przez kilka sekund.

– Wydawałeś się zaskoczony, że tak szybko uderzył ponownie.

Simon składa dłonie nad szkicem.

– Zwykle pomiędzy pierwszą a drugą ofiarą mija o wiele więcej czasu, bo wszystko, co robisz po raz pierwszy, jest ekscytujące. Tylko cztery dni przerwy sugerowałyby, że musiał stracić to, co zabrał, przez co poczuł potrzebę zdobycia kolejnej pamiątki, ale nie jestem tego taki pewien. Dwukrotne pozostawienie czegoś na miejscu zbrodni wydaje się celowe. Po co miałyby oddawać swoją pamiątkę?

– Pozbywał się starej, gdy zdobywał nową – odpowiadam, a on wpatruje się we mnie, niemal osłupiały. Zawstydzona, przestępuję z nogi na nogę. – Przepraszam, nie chciałam z tego żartować.

– Nie, Cat – odpowiada. – Masz rację. Nie mogę tylko zdecydować, czy to oznacza jego skrupulatność i pedanterię, czy raczej szybkie przystosowanie do nowych idei. Być może jedno i drugie.

– Drobiazgowość i schludność to zwykle cechy kobiece – zauważa Juliane. Zgadza się, biorąc pod uwagę panią la Fontaine. – Mężczyźni częściej są zafascynowani nowościami.

To również potwierdzam. Mistrz Thomas i Remi potrafią godzinami rozmawiać – i robią to – o nowych metodach budowy i materiałach.

– Ale ten morderca wyraźnie ma problemy z kobietami. – Simon unosi palec, by uwypuklić swój argument. – I nadal jest w posiadaniu narzędzia zbrodni. Coś tak dużego trudno ukryć, dzięki czemu bardziej prawdopodobne jest, że je znajdziemy.

Nie chcę, by Simon myślał o młotku więcej, niż to konieczne.

– Jeśli przy Perrete były włosy, uda nam się je połączyć z poprzednią ofiarą? – pytam.

Sfrustrowany, kręci głową.

– Musielibyśmy ją wykopać, by je odzyskać, a wątpię, że udałoby nam się dowiedzieć, kim była, jeśli do zabójstwa nie doszło bardzo niedawno.

– Nie przypominam sobie podobnego morderstwa – mówię. – Nie w ciągu kilku ostatnich lat.

Simon wzrusza ramionami.

– Możliwe również, że morderca przybył do Collis niedawno albo był w więzieniu z jakichś innych powodów. Morderstwo nie jest zwykle pierwszym pokazem brutalności.

Żaden z tych pomysłów mnie nie pociesza.

– Jeśli nie pochodzi z Collis, to co zatrzyma go przed przeniesieniem się do innego miasta i zrobieniem tam tego samego?

– Nic – odpowiada Simon. – Ale prawdopodobieństwo, że tutaj zostanie, wzrasta, jeśli myśli, że nie zostanie złapany, a w tym momencie śledztwa jest to całkiem możliwe. Trudno dojść do jakichkolwiek wniosków, gdy ma się tak niewiele informacji.

– Niewiele? – protestuję. – Wczoraj powiedziałeś, że drugie ciało by ci ich dostarczyło.

– I tak właśnie jest. – Simon wraca do swojego szkicu. – Wcześniej moje słowa o tym, że nie lubi, gdy się go ocenia i na niego patrzy, były jedynie teorią, a teraz jestem tego niemal pewien.

– Może włosy to tylko częśćka tego, co zabrał – mówi Juliane. – Warkocz jest ledwie szerokości palca. Gdy matka zmarła, ojciec wszystkim nam podarował niewielkie warkocz z jej włosów na pamiątkę. Morderca nadal może mieć takie pukle wszystkich swoich ofiar.

Simon nie podnosi wzroku znad szkicu.

– Też o tym myślałem.

Obserwuję go przy pracy. Jest całkiem utalentowany. Zachowuje odpowiednie proporcje – a na proporcjach się znam, choć bardziej w kwestii budynków niż ludzi. Kobieta – Ysabel – leżała rozłożona na trawie, jakby specjalnie zostawił ją na widoku.

– Nikt nie widział Perrete – mruczę pod nosem.

Simon podnosi spojrzenie, a Juliane przestaje układać notatki.

– Co powiedziałaś? – pyta Simon.

Zagryzam wnętrze policzka.

– Pomyślałam, że jedną z różnic pomiędzy ofiarami jest to, że Ysabel pozostawiono w miejscu, gdzie inni mogą ją zobaczyć, w przeciwieństwie do Perrete. Może dlatego poczuł potrzebę popełnienia kolejnego morderstwa. Próbuje ujarzmić coś, co go dręczy, ale niewielu było w stanie zobaczyć jego triumf za pierwszym razem.

Simon kiwa Juliane kłową.

– Świetna myśl. Zapisz to.

Chciałabym cieszyć się z tego, że udało mi się dołożyć swoją cegiełkę do śledztwa – i to dwukrotnie – ale to, że rozumiem motywację szaleńca, wcale mnie nie raduje.



## ROZDZIAŁ 21



Mieszkańcy Collis szybko dzielą się na trzy kategorie pod względem reakcji. Ci z pierwszej kategorii – ludzie mieszkający w bogatszych częściach miasta – zakładają, że tak okropne rzeczy nigdy im się nie przydarzą, i zapewne mają rację. Do tej pory ofiarami były kobiety z nizin społecznych, które sprzedawały swoje ciała. Jeśli ktokolwiek z nich się martwi, to mężczyźni bywający w obskurnej części miasta, by poddawać się jego pokusom, tacy jak Oudin. Jednak oni obawiają się fałszywego oskarżenia.

Kobiety, które pochowały dwie ze swoich, są przerażone. Simon, za pośrednictwem madame Emeline, nakłania je, by uważały na to, kogo i gdzie przyjmują, ale i tak większość z nich żyje na krawędzi ubóstwa. Nie mają możliwości porzucenia pracy, dzięki której mają co jeść.

Ostatnią kategorią są ci, którzy uwielbiają sensację. Na ustach robotników w sanktuarium nie pojawia się żaden inny temat. Plotki rozprzestrzeniają się jak ogień na wysuszonym polu pszenicy i tak samo szybko zmieniają kierunek. Podejrzewam, że wiele mówi się przy mnie specjalnie, w nadziei że potwierdzę jakieś makabryczne szczegóły lub im zaprzeczę. Simon ostrzega mnie, bym nie korygowała żadnej z plotek, chociaż nie do końca rozumiem

dlaczego, aż do czasu, gdy cztery poranki później Remi przynosi nam notatkę.

– Wasz morderca znowu uderzył – mówi, machając świstkiem pergaminu, gdy tylko gospodyni Montcuirów przyprowadza go do pokoju Simona.

Upuszcza papier tuż przed tym, jak venatre chce go od niego zabrać.

Simon przygląda się przedarciu na górnej części pergaminu.

– Został z czegoś wyrwany. – Zerka przenikliwie na Remiego. – Gdzie go znaleziono?

– Przybito go do drzwi sanktuarium. – Remi spogląda znacząco w stronę łóżka ustawionego w rogu, po czym przenosi wzrok na mnie, unosząc brwi najwyżej, jak potrafi, jakby chciał powiedzieć: „Naprawdę? Tutaj?”.

– Do których drzwi? – pyta stanowczo Simon. – Gdzie jest gwóźdź?

Remi cofa się o krok, słysząc jego szorstki ton, jednak po chwili odzyskuje protekcjonalny ton.

– Drzwi transeptu, te wychodzące na południe. Gwóźdź, z tego, co mi wiadomo, nadal jest w nie wbity.

Simon odwraca się do Lamberta.

– Ten gwóźdź będzie mi potrzebny. Postaraj się nie naruszyć główki.

Lambert waha się, to jasne, że chce zobaczyć treść notatki, jednak po chwili rusza, zakładając w biegu rękawiczki. Simon powraca do studiowania pergaminu.

– Kiedy go znaleziono? – pyta Remiego.

– Był tam, gdy rano zjawili się robotnicy, ale większość z nich nie potrafi czytać, więc nikt nie zwracał na niego uwagi, dopóki nie przyszedłem. – Remi krzyżuje ręce na piersi. – Nie ma za co.

– Następnym razem podziękuję ci za przysłanie po mnie, a nie za usunięcie dowodu.

Staję obok Simona, który przechyla kartkę, bym mogła ją przeczytać. Słowa są pełne błędów ortograficznych i ledwo czytelne.

„To jóż 4 dni kiedy mnje nie zuapaliście wienc muszeł znuw zabić”.

– Tego się obawiałem – mamrocze Simon.

Juliane pojawia się u mojego drugiego boku, a on nachyla się bardziej, by również mogła przeczytać. Jestem ściśnięta między nimi dwojgiem.

– Nigdy nie widziałam tak szorstkiego pergaminu – mówi Juliane.

Pocieram róg kciukiem i palcem wskazującym.

– Jest świeżo zeskrobany i to dość niezręcznie, nie został też potem sprasowany i wygładzony.

– To znaczy, że coś było na nim wcześniej napisane? – pyta Simon.

– Najprawdopodobniej – odpowiadam.

Simon podchodzi do okna i mrużąc oczy, podnosi notatkę do słońca.

– Tak, coś tutaj jest, ale nie potrafię tego odczytać.

Dołączam do niego i przechylam głowę przy jego ramieniu, by spojrzeć pod właściwym kątem, ale też nie mogę rozpoznać żadnych słów.

– Myślisz, że to prawdziwa notka? – pytam. – Pochodzi od mordercy.

– I tak, i nie.

O co mu chodzi, na błogosławione słońce? Odwracam się do Remiego.

– Znaleziono ciało?

Jego szczęka jest tak mocno zaciśnięta, że aż drży.

– Jeszcze nie.

– To tylko kwestia czasu. – Simon składa pergamin na pół i wkłada go do kieszeni. – Chodźmy.

– A co z Lambertem? – pytam. – Jest już pewnie w połowie drogi do sanktuarium.

– Tam właśnie idziemy. Będzie się mnie spodziewał.

Chyba nie ma na myśli Lamberta. Wszyscy idziemy za Simonem, łącznie z Remim, dwa razy szybciej stawiając kroki, by za nim nadążyć. Gdy docieramy na miejsce, Lambert właśnie niesie w kierunku drzwi obcegi do wyciągania gwoździ. Czekaając, Simon wyciąga notatkę i podnosi ją do słońca.

– Za jasno – mruczy pod nosem.

Nadal próbuje ustawiać pergamin pod różnymi kątami do słońca, ale poddaje się, gdy wraca Lambert.

– Ciągłe nie jestem w stanie tego odczytać. Może skupione światło świecy by zadziałało.

Księżyc. Rozglądam się i znajduję półkole zwisające w połowie zachodniego nieba. Mój pomysł wydaje się szalony w środku dnia, ale nie mam nic do stracenia.

– Mogę zobaczyć? – pytam Simona.

Bez słowa podaje mi pergamin, a ja, zwrócona plecami do słońca, podnoszę go do księżyca. Słowa pojawiają się tak wyraźnie, jak nos na twarzy Remiego, ale udaję, że jest mi bardzo trudno.

– J-E-C-Z-M-I-E-Ń. – Milknę. – Potem numer czterdzieści i coś, co chyba jest jednostką wagi. – Na tym kończę, chociaż wyżej jest jeszcze napisane „Owies, 32 kamienie”.

Opuszczam kartkę, zanim Simon zdąży zerknąć, i oddaje mu ją, wzruszając ramionami.

– Może to list przewozowy albo spis inwentarza.

Simon podnosi pergamin, tak jak ja przed chwilą, i przekrzywia z frustracją głowę.

– Teraz w ogóle nic nie widzę. Jakiej magii użyłaś?

Ten komentarz niemal z pewnością jest żartobliwy, śmieję się więc, nieco wyżej, niżbym chciała. Całe szczęście Lambert niemal wyciągnął już gwóźdź, więc Simon jedną ręką wkłada pergamin z powrotem do kieszeni, a drugą łapie odpadający z drzwi kawałek metalu.

– Dziękuję, kuzynie. – Znów wchodzi w pełne światło. – Niech ktoś przyprowadzi kowala. – Gdy żadne z nas się nie rusza, Remi wzdycha ciężko i odchodzi.

Simon przygląda się gwoździowi.

– Sądzę, że został wbity metalowym młotkiem.

Czuję ucisk w sercu.

– Skąd wiesz?

– Dzięki tej płaskiej części. – Simon wskazuje ją palcem, a ja osłaniam oczy od słońca, by ją dojrzeć. – Jeśli wbito by go czymś drewnianym, główka byłaby bardziej zaokrąglona, a gdyby użyto kamienia, jego ślady zostałyby w powstałych na niej rysach. – Obraca gwóźdź w palcach. – Nie był wcześniej używany.

Rzemieślnicy wielu specjalizacji rezydują niedaleko sanktuarium, więc Remi szybko powraca z kowalem. Twarz i głowa mężczyzny są

ogolone, a wokół czoła zawiązał pokryty sadzą kawałek materiału, który powstrzymuje pot przed dostaniem się do oczu. Simon podaje mu gwóźdź i prosi o opinię na temat narzędzia, które zostało użyte, by przybić go do drzwi. Kowal potwierdza teorię Simona: był to płaski młotek o metalowej główce. Niewiele osób ma takie – ludzie zwyczajnie ich nie potrzebują lub nie mają na nie pieniędzy.

Simon nie wydaje się jednak podekscytowany zawężeniem grona podejrzanych.

– Do czego używa się zwykle takich gwoździ? – pyta.

– Takiej długości i szerokości? – Kowal obraca przedmiot w dłoni.

– Zwykle przy wozach, furmankach.

– Skąd to wiesz? – domaga się odpowiedzi Remi.

Mężczyzna patrzy na niego spođe łba.

– Bo bez przerwy wytwarzam te przeklęte rzeczy.

– Tak, ale... – zaczyna Remi.

– Jest o wiele za duży, by używać go do skrzyń czy beczek – przerywa kowal. – Za krótki i za cienki do stosowania przy belkach w budownictwie, a za długi do podków i okiennic. Tego rodzaju gwoździ można używać też do innych rzeczy, ale ten jest nowy. – Wrzuca gwóźdź z powrotem do ręki Simona, ignorując Remiego, który milczy, zawstydzony. – Każdy, kogo źródło utrzymania zależy od furmanki i konia, ma ich zapas na wypadek konieczności naprawy, no, chyba że jest głupcem.

Simon kiwa głową.

– Dziękuję.

Gdy tylko mężczyzna odchodzi, Remi odzyskuje pewność siebie.

– A więc nasz morderca jest właścicielem furmanki albo wozu. – Macha w kierunku rozkładających się kupców. – Od czego zaczynamy? Handlarz kwiatami wygląda groźnie.

Ku mojemu zdziwieniu Simon się zgadza.

– Przepytaj każdego, kto zechce mówić. Chcę, by wiadano, że tutaj jestem.

– Nie masz przypadkiem ciała do znalezienia? – pyta Remi.

– Owszem. – Simon kieruje się w stronę najbliższego kupca. – Ale on sam do mnie przyjdzie.

Mam setkę pytań, ale Remi chwyta mnie za łokieć i prowadzi w stronę wozu z kwiatami.



– Co jest z tobą nie tak? – warczę, wyszarpując łokieć. – Dlaczego byłeś taki niemący dla kowala? Nie masz zielonego pojęcia o gwoździach.

– Wiem o wiele więcej niż venatre, Cat – odburkuje Remi. – A kowal nie potrafi nawet czytać. Ja jestem architektem. Jestem wykształcony.

– Jesteś dupkiem. Powiedział nam dokładnie to, co chcieliśmy wiedzieć.

Remi patrzy na mnie z góry.

– A co, jeśli powiem ci, że mamy w domu tuzin takich gwoździ, choć nie posiadamy wozu?

– Powiedziałabym, że właśnie wyznałeś coś, przez co powinniśmy traktować cię jak podejrzanego.

Kręci głową, pełen niedowierzania.

– Naprawdę jesteś tak ślepa, że nie widzisz, dokąd prowadzą wszystkie tropy?

Wbijam w niego wzrok.

– Nie mówisz poważnie. Myślisz, że skoro mistrz Thomas, mistrz architekt, ma w domu pudełko gwoździ, to oznacza, że jest mordercą?

– Ciii! – Remi macha, by mnie uciszyć. – Nie tak głośno! – Przykleja do twarzy fałszywy uśmiech i się rozgląda.

Gdy jego wzrok zatrzymuje się na czymś za moimi plecami, odwracam się, by spojrzeć. Lambert nas obserwuje, ale nie wydaje mi się, by usłyszał wszystko. Remi odciąga mnie dalej i szepcze naprędce:

– Gwóźdź to tylko początek, Cat. Wiesz, co tamtej nocy zrobiła Perrete. Jak miałyby nie być na nią wściekły?

– Ale na tyle, by ją zabić?

Remi zamyka oczy i przez chwilę podryguje nerwowo, po czym cedzi kolejne słowa:

– Widziałem Perrete. Jej twarz została zmiażdżona młotkiem. Bardzo dobrze wiesz którym.

– Tym, który ukradła – odparowuję. – A skoro już o tym mówimy, to gdzie dokładnie widziałeś jej ciało?

On wie, że ja wiem. Spuszcza oczy, by uniknąć mojego spojrzenia.

– U madame Emeline. Następnego ranka. Do Collis dotarłem wieczorem i spędziłem tam noc.

– Ty kłamliwy...

– Teraz staram się być szczery, dobra? – mówi. – Staram się postąpić właściwie.

Gwałtownie zbliżam swoją twarz do jego.

– W jaki sposób wplątywanie w to mistrza Thomasa jest właściwym postępowaniem?

Unosi brew.

– A w jaki sposób lepsze jest nieujawnienie venatre’owi wszystkiego, co wiesz?

– Mistrz Thomas jest niewinny – syczę. – To byłoby jedynie marnowanie czasu Simona.

Remi parska.

– Twój kochany Simon kazał nam przesłuchiwać mężczyznę, który zapewne się rozpląkał, gdy ostatnio nadepnął na biedronkę. – Wskazuje sprzedawcę kwiatów, który ma na sobie więcej koronek i wstążek na ramionach niż jakakolwiek kobieta.

– Jesteś zwyczajnie zazdrosny – oskarżam go. Gdy przewraca oczami, powtarzam to, co już mu powiedziałam: – Simon dużo wie. Rozumie tego mordercę w sposób, który jest niemal... niemal...

– Nienaturalny – kończy za mnie Remi.

Patrzę na niego spode łba.

– Chciałam powiedzieć: instynktowny.

Mruży oczy.

– Nie jesteś ciekawa, gdzie posiadał ten instynkt?

Zanim zdołam wymyślić dobrą odpowiedź, wybucha jakieś poruszenie. Zbliża się do nas trzech strażników, którzy podtrzymują mężczyznę ubranego w piżamę i drewniaki. Gdy ten tylko widzi Simona, wybucha płaczem.

– Venatre! – wykrzykuje. – Moja żona została zamordowana!

Chciałabym powiedzieć, że Simon wygląda na zdziwionego, ale tak nie jest.



## ROZDZIAŁ 22



Mężczyzna jest dobrze znanym w mieście handlarzem ziarna.

– Wczorajszej nocy się pokłóciliśmy – wyjaśnia, zapłakany. – Niech słońce mi wybaczy, mówiłem rzeczy, których nigdy nie powinienem był powiedzieć, więc odeszła. – Ociera oczy. – Odeszła, a ja nie pomyślałem, co może jej grozić, dopóki długo nie wracała. Wiem, że zabił ją ten szaleniec. Co innego mogło się zdarzyć?

Remi nachyla się, by szepnąć mi do ucha:

– A pomyślał, żeby sprawdzić u jej siostry lub matki?

Z zasady wolałabym się z nim nie zgadzać, ale tym razem ma rację. Morderstwo to dość śmiałe założenie.

– Kto jeszcze wie o pergaminie? – pytam szeptem.

– Nikt. Zauważył go ktoś, kto myślał, że notka jest skierowana do mnie, ale nikt w okolicy nie potrafił jej przeczytać. Przyniosłem ją prosto do was.

Pada na nas cień rzucany przez architekta.

– Widzę, że wróciłeś, Remi – mówi ten surowym tonem. – Czekam na ciebie od pół godziny.

– Pomagam venatre'owi – odpowiada Remi.

Szare oczy mistrza Thomasa przesuwiają się pomiędzy nami.

– Dziś rano przez to śledztwo straciłem już Catrin, nie mogę oddać i ciebie. – Przerywa Remiemu, zanim ten zdąży otworzyć usta:  
– Jak na kogoś, kto chce mieć większy autorytet, bardzo chętnie migasz się od obowiązków. – Odwraca się i odchodzi, nie czekając na odpowiedź.

Znam tę minę Remiego. Powstrzymuje łzy. Kładę dłoń na jego ramieniu.

– Dziękuję, że tak szybko przyniosłeś nam tę notkę.

Gdy się do mnie odwraca, jego zielone oczy płoną.

– Wiesz, dlaczego mistrz pozwala ci pomagać venatre'owi, prawda? – Zaciska zęby. – Bo wie, że będziesz go chronić.

– Bo pragnie rozwiązania sprawy Perrete – odparowuję, a moje współczucie znika.

– Tak sobie wmawiaj, Koteczku.

– W porządku. – Nagle rozlega się głośny głos Simona. – Proszę mnie zaprowadzić do pańskiego domu, zobaczymy, czy coś tam znaję.

Mężczyzna dziękuje wylewnie Simonowi i wyprowadza go na drogę prowadzącą na południe od placu. Lambert i Juliane zatrzymują się, by spojrzeć na mnie wyczekująco, po czym ruszają w tym samym kierunku. Remi zdążył już zniknąć, więc spieszę za nimi. W drogę rusza też niewielki tłum, który wypełnia ulicę niczym kondukt pogrzebowy. Co jakiś czas spomiędzy rodzeństwa wyłania się sylwetka idącego z przodu Simona. Mężczyzna cały czas do niego bełkocze, a w każdym kroku venatre'a czai się napięcie. Zresztą sama czuję, jak narasta w moich ramionach.

Remi ma rację, gdy mówi, że zrobię wszystko, by ochronić mistrza Thomasa. On powinien robić to samo.

Celem naszej wędrówki jest zamożna okolica. Mężczyzna otwiera drzwi swojego domu, jednak Simon ignoruje jego zaproszenie i rozgląda się na zewnątrz. Po jednej stronie stoi duża szopa zamknięta na łańcuch. Chłopak wskazuje ją palcem.

– Zakładam, że tutaj znajdują się pański koń, wóz i zapasy.

– Tak. – Handlarz przestępuje z nogi na nogę, a jego chodaki szurają po kamiennym progu. – Nie ma jej tam. Sprawdzałem.

– Nie podejrzewałem, że tam jest. – Simon rozgląda się po ulicy, po czym cofa się w stronę, z której przyszedł, mijając Lamberta,

Juliane i mnie. Przez chwilę wydaje mi się, że odchodzi, ale zatrzymuje się przy alejce kilka domów dalej. Zrozpaczony mąż biegnie za nim, a na jego twarzy malują się panika i dezorientacja. – Kuzynie! – woła Simon do Lamberta. – Czy mógłbyś zostać z mistrzem kupieckim?

Lambert bez słowa wychodzi naprzód i chwyta mężczyznę za ramię.

Simon gestem przywołuje Juliane i mnie, po czym odwraca się i wchodzi do ocienionej luki pomiędzy domami. Wraz z Juliane jesteśmy tuż za nim, gdy nagle, kilka kroków dalej, Simon wyrzuca dłoń na bok, byśmy się zatrzymały.

– Tutaj – mówi. – Co widzicie?

Podążam za jego wzrokiem do ziemi.

– Ślady stóp. – Niektóre są wyraźniejsze od pozostałych.

– One nie mają większego znaczenia – odpowiada. – Co jeszcze?

– Dwie linie w ziemi – mówi Juliane, wskazując je palcem. – Ktoś coś po niej ciągnął.

– Dobrze. – Odwraca się przez ramię i patrzy na mnie uszkodzonym okiem.

– Co mogło zrobić takie linie, Cat?

Czuję, że to szansa, by zatrzeć złe wrażenie po niepotrzebnej uwadze na temat śladów stóp.

– Para... – zaczynam i milknę. Para czego? Nagle przypominam sobie, jak Simon mówił o tym, co stało się z Perrete, gdy została zadżgana. – Para butów na obcasach. Ciągnięto tędy człowieka. Nieprzytomnego.

– Świetnie. – Simon opuszcza rękę i ostrożnie, by nie naruszyć dwóch linii, idzie dalej, a ja i Juliane ruszamy za nim.

Uliczka jest ślepa, a na jej końcu piętrzą się sterty śmieci. Równoległe ślady prowadzą do nierówności rozmiaru człowieka, wokół której latają muchy. Choć zapach jest słaby, unoszącej się w powietrzu woni rozkładu nie da się pomylić z niczym innym. Simon zatrzymuje się, byśmy przygotowały się na to, co zaraz zobaczymy. Juliane kiwa lekko głową, a on pochyła się i odrzuca na bok brudne płótno. W samą porę zakrywam dłonią usta i nos.

Nigdy się nie przyzwyczaję do tego widoku. Nigdy.

Simon kuca przy stopach ofiary, obutych w solidne kobiece obuwie z wysokimi drewnianymi obcasami, i sprawdza ruchy jej nogi.

– Zmarła około północy, być może godzinę wcześniej lub później.

– Morderca napadł ją zaraz po jej wyjściu z domu? – pytam, nie odkrywając dłoni z twarzy.

Simon kręci głową.

– Co jest z nią nie tak, Cat?

Poza tym, że jest zimna i sztywna?

Gdy nie odpowiadam, zerka na Juliane.

– Co jest w niej innego?

– Leży na boku, oparta o ścianę – mówi. – No i została zakryta.

– Owszem. – Simon podchodzi do klatki piersiowej kobiety i odgarnia włosy z jej twarzy.

– Nadal ma włosy i oczy – mówię, zanim Juliane zdąży coś dodać.

– Poderżnięto jej gardło, ale nie ma zbyt wiele krwi.

– Siniaki – dodaje Juliane. – Wokół całej szyi. – Zakwitły na jej białej skórze niczym makabryczny rząd fiołków.

Nie dotykając ofiary, Simon prostuje palce ponad fioletowymi śladami, by pokazać, że pasują do kształtu jego dłoni, lecz nie do jej rozmiaru.

– To stało się, zanim zmarła, a to oznacza, że została uduszona.

Wstaje.

– Gardło podcięto po śmierci, dlatego jest niewiele krwi. – Milknie na moment. – Wnioski?

Nic nie pasuje do pozostałych morderstw. Ta kobieta została uduszona, zaciągnięta tutaj, a potem poderżnięto jej gardło. Jej ciało zostało zakryte, jakby ktoś chciał ukryć, do czego tu doszło albo zapobiec jej znalezieniu – w przeciwieństwie do tego, jak pozostawiono ciała Perrete i Ysabel.

– Mamy myśleć, że to nasz morderca – mówię. – Ale to nie on.

– Bardzo dobrze. – Simon się nie uśmiecha, ale jego uwaga jest szczerą. – A więc kto to zrobił?

Juliane marszczy brwi.

– Wiesz już, że zrobił to jej mąż.

– Owszem, ale musimy jeszcze to udowodnić – odpowiada Simon.

– Jego dłonie – mówię, przypominając sobie, co przed chwilą sprawdzał. – Będą pasowały do śladów na jej szyi.

Chłopak wyciąga swoją dłoń.

– Pokaż rękę. Przyłóż ją do mojej.

Przyciskam swoją dłoń do jego. To pierwszy raz od tamtej nocy w sanktuarium, gdy się dotykamy. Czuję, jak po mojej ręce rozprzestrzenia się żar, a podobne ciepło wydostaje się z brzucha. Simon delikatnie zagina czubki swoich palców ponad moimi.

– Twoje dłonie są mniej więcej takiej samej wielkości jak te, które udusiły tę kobietę – mówi.

Zawstydzona z więcej niż jednego powodu, opuszczam rękę.

Simon chrząka i odwraca wzrok.

– Rozmiar dłoni może wyeliminować podejrzanych, ale nie wystarczy, by zdecydowanie połączyć kogoś z morderstwem. Co jeszcze?

– Jest handlarzem ziarna – mówię, wkręcając palce w sukienkę i unikając spojrzenia Juliane. – Na pergaminie była wcześniej rozpisana lista ziaren, którą w pośpiechu zeszkrobano. Dowód na to, że to on napisał notatkę, którą zostawiono na drzwiach świątyni.

Simon kiwa głową z aprobatą.

– To kolejna dobra poszlaka, ale można ją też uznać za zwykły zbieg okoliczności.

– Charakter pisma na notatce może pasować do pisma handlarza.

– Być może, ale wątpię w to. Nie jest aż tak głupi. – Simon milknie w zamyśleniu. – Chociaż to oczywiste, że ma za głupca prawdziwego zabójcę, skoro napisał ją w ten sposób.

– Natychmiast stwierdził, że jego żona została zamordowana – mówię, przypominając sobie, jak Remi zachnął się, że mężczyzna powinien najpierw sprawdzić domy jej matki i siostry. – To śmiałe założenie, zwłaszcza że poprzednie ofiary były prostytutkami z Drogi Rozkoszy.

Robi mi się ciepło w środku, gdy Simon się uśmiecha.

– To świetne myśli, ale jeszcze nie dowody. Potrzebujemy czegoś, co pokaże nam, że to on ją zabił i zaciągnął tutaj.

– To, czym była przykryta? – pyta Juliane, a ja wyrzucam sobie, że sama tego nie powiedziałam. – Czy możemy udowodnić, że należało do niego?

Simon kręci głową.

– Wygląda, jakby płótno leżało w tej alejce przynajmniej od czasów ulewy, a nawet jeśli udałoby nam się go z nim połączyć, wystarczy, że powie, że je wyrzucił. Ale – unosi palec – samo to, że ofiara była zakryta, jest ważne. Morderca wstydził się lub żałował tego, co zrobił. Tak jak zauważyła wcześniej Cat, nasz morderca z całą pewnością nie próbuje się ukrywać. A ten, owszem. – Kiwa do mnie głową. – Myślmy dalej.

Mam wrażenie, że go zawodzę, gdy po raz kolejny przyglądam się ciału i jego otoczeniu. Ślady nie prowadzą do samego domu, więc to nam nie pomaga. Jakikolwiek ślady walki w domu zapewne zostały zatarte. Być może słyszeli ich sąsiedzi, ale mężczyzna i tak przyznał już, że się kłócili. Być może udałoby nam się udowodnić, że nóż, którym podcięto jej gardło, znajduje się w jego posiadaniu. Ale noże są pospolite. Tak samo jak gwoździe, co zauważył Remi.

Nagle coś zauważam.

– Jej buty.

Simon przygląda się stopom ofiary.

– Co z nimi nie tak?

– Są mocno zasznurowane na górze, ale luźno na dole – mówię z przejęciem. – Skręciłaby kostkę, gdyby próbowała tak iść. Ktoś założył jej buty na stopy, ale zawiązał je tylko na tyle, by nie spadły.

– A to mógł zrobić tylko on – kończy Simon. Odwracamy się, by spojrzeć na zamieszanie, które powstało na ulicy. Wszyscy wiedzą, co tu znaleźliśmy, a mąż zawodzi żałośnie i próbuje dostać się do żony, jednak Lambert trzyma go w żelaznym uścisku. – Jeśli dodamy do tego wszystkie inne okoliczności, żaden sędzia go nie uniewinni. Być może zabił ją w napadzie wściekłości, a być może to zaplanował. W każdym razie usiłował wykorzystać pozostałe dwa morderstwa, by uniknąć kary.

– Ale nie znał wszystkich szczegółów – mówi Juliane. – To dlatego nie poprawialiśmy plotkarzy.

Jedno nadal nie daje mi spokoju.

– Skąd wiedziałeś, że ciało będzie właśnie tutaj? – pytam.

Simon wzrusza ramionami, jakbym zapytała go, dlaczego niebo jest niebieskie.

– Nie mógł zabrać jej daleko i pozostać niezauważony, poza tym raczej nie ryzykowałby przechodzenia przez ulicę. Na początku nie



byłem pewien, choć to całkiem logiczne, a kiedy zobaczyłem jego minę, gdy się tu zatrzymałem, wszystko stało się jasne.

Ten mężczyzna pragnął, żeby została uznana za trzecią ofiarę, a wszyscy będą chcieli w to uwierzyć.

– Wiesz, że gdy tylko go aresztują, ludzie będą go winić także za śmierć Perrete i Ysabel – mówię. – Zawisłby jutro, gdyby to nie był Dzień Słońca.

– Owszem. – Simon z powrotem zakrywa ciało kobiety. – Ale to oznacza również, że prawdziwy zabójca poczuje się bezpiecznie i zostanie w Collis.

Nie zdradza, czy uważa to za dobre, czy złe wieści.



## ROZDZIAŁ 23



– Śledztwo zostaje zamknięte.

– Co? – Simon stoi osłupiały przed wujem. – Myślałem, że chcesz, bym zatrzymał tego szaleńca.

– Został zatrzymany, czego ci gratuluję – mówi hrabia Montcuir, nie podnosząc wzroku znad szerokiego wypolerowanego biurka. – Handlarz ziarnem przyznał się do wszystkich trzech morderstw.

– Bo go torturowaliście!

Juliane i ja stoimy za nim w Izbie Sądowniczej. Minęły trzy dni od aresztowania handlarza, a wczoraj odbyła się jego rozprawa. Dziś rano dowiedzieliśmy się, że śledztwo w sprawie śmierci Perrete i Ysabel zostało oficjalnie zakończone, po czym Simon pomaszerował prosto do Pałacu Sprawiedliwości.

– Przekonałeś mnie, że tamten mężczyzna jest winny. – Hrabia składa zakończony zawijasem podpis na nakazie egzekucji. – Twoje zeznania były nie do odparcia, a on przyznał się do zabicia żony, gdy tylko usłyszał, jakie mamy przeciw niemu dowody. Nie wiem, w czym problem.

Simon zamyka oczy i wypuszcza powietrze przez zaciśnięte zęby. Po długim, głębokim wdechu otwiera oczy i zabiera głos:

– Te dowody miały również przekonać ciebie, że to, jak zabił żonę, zupełnie nie pasuje do poprzednich morderstw.

Burmistrz odkłada kartkę i pióro, po czym na gniewne spojrzenie Simona odpowiada podobnym wyrazem twarzy.

– Przypominam sobie, że nie chciałeś mieć z tym śledztwem nic wspólnego. A teraz narzekasz, że je zamykamy.

– Nie zaprzeczam, że nie chciałem być w to zamieszany – odpowiada Simon. – Ale skoro już jestem, chcę, by wszystko zostało przeprowadzone właściwie. To nie jest nasz zabójca. I to nie koniec.

Hrabia de Montcuir odchyła się na krześle i splata dłonie nad brzuchem.

– Ludzie się boją, Simonie. Muszą widzieć, że działamy. Potrzebują rozwiązania.

– Powieszenie tego mężczyzny, zasłużenie, jest działaniem, ojcze – mówi Juliane. – Ale mówienie, że sprawa została rozwiązana, gdy wcale tak nie jest, pograży jedynie twój autorytet.

Brązowe oczy hrabiego zwracają się ku córce.

– Tolerowałem twój udział w tym śledztwie, dziecko, ale nie ucz mnie, jak mam sprawować swój urząd.

Zerka również na mnie, ale ja nie ośmielam się powiedzieć ani słowa, ani w żaden sposób zwracać na siebie uwagi, by jego gniew nie spadł na mnie, a co za tym idzie, na sanktuarium.

– Poza tym – burmistrz z powrotem kieruje swe słowa do Simona – jeśli naprawdę istnieje drugi zabójca, to najprawdopodobniej się opanował. Według twoich słów nie uderzył od ponad tygodnia.

Simon wyrzuca ręce w górę.

– O ile wiemy! Być może jest w innym mieście lub na wsi i tam, z dala od naszych oczu, robi, co mu się żywnie podoba!

– Tym bardziej nie powinniśmy się martwić – mówi spokojnie hrabia, choć jego szczeka się zaciska. – Wyprowadził się poza naszą jurysdykcję.

– Nie wiemy tego na pewno – warczy Simon. – Równie dobrze może być w Collis, śmiejąc się, podczas gdy my klepiemy się po plecach. – Gdy to nie robi wrażenia na jego wuju, kręci z niedowierzaniem głową. – Chodzi o oczyszczenie Oudina z podejrzeń, tak? Tylko o to tutaj chodziło.

– Sam powiedziałaś, że nie wierzysz, by on to zrobił – zauważa hrabia.

– Mogę się mylić! – odparowuje Simon. – Ale to, co mnie oburza, to fakt, że twoim pierwszym impulsem nie jest chęć wymierzenia sprawiedliwości, tylko ochrona swoich.

Gdy słyszę to oskarżenie, robi mi się zimno. Remi użył innych słów, ale podobną myśl rzucił w moim kierunku. I to nie bez powodu.

Simon kładzie knykcie na biurku, które oddziela go od wuja.

– To tylko kwestia czasu, zanim ten mężczyzna zamorduje kolejną kobietę i to w jeszcze bardziej makabryczny sposób. Będziesz miał jej życie na sumieniu!

Hrabia de Montcuir wyskakuje do przodu, uderzając pięścią w biurko, po czym unosi ją i wskazuje palcem na Simona.

– Jeśli z kimkolwiek będziesz rozmawiał na temat swoich szalonych domysłów, każę cię aresztować! – krzyczy. – Śledztwo zostaje zamknięte! To rozkaz.

Simon chwyta krawędź biurka. Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że wyróci je na wuja. Zamiast tego odwraca się gwałtownie i wypada przez drzwi jak burza. Juliane gestem nakazuje mi wyjść za nim, by to ona mogła opuścić pokój jako ostatnia. Musimy biec, by za nim nadążyć, jednak Simon nie zwalnia, dopóki nie wychodzimy z Pałacu Sprawiedliwości. Wtedy opuszcza ramiona i zaczyna stawiać krótsze kroki – w końcu zatrzymuje się gwałtownie na widok budowanej na zewnątrz szubienicy. Muszę osłonić oczy przed słońcem, które oślepia mnie po wyjściu z budynku, i niemal na niego wpadam.

Juliane zatrzymuje się obok mnie.

– Przynajmniej żona handlarza doczeka się sprawiedliwości – próbuje go uspokoić.

Simon kręci głową.

– Mogłem się tego spodziewać – mamrocze. – Powinienem się domyślić, że twój ojciec z przyjemnością zwali całą winę na tego człowieka. Chce wierzyć, że to już koniec. – Odwraca się, by na nas spojrzeć. – Popisywałem się. Chciałem, by ludzie zobaczyli, że jestem kompetentny, że mogą mi zaufać w kwestii znalezienia zabójcy. Byłem zbyt dumny, by pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

Wbijam w niego spojrzenie.

– Chcesz powiedzieć, że wolałbyś, by handlarz ziarna nie został ukarany?

– Tak. – Głos Simona brzmi głucho od wstydu. – Przynajmniej przez jakiś czas. Raczej nie zrobiłby już niczego podobnego, zwłaszcza jeśli dałbym mu do zrozumienia, że jest podejrzany. A teraz umrze przez to jeszcze więcej ludzi.



Simon nie sprzeciwia się, gdy wraz z Juliane wchodzimy za nim na górę do jego pokoju. Jest tam Lambert, wpatrzony w szkice i mapy wiszące na ścianie.

Ostateczne wersje rysunków Ysabel sprawiają, że cieszę się, że nie widziałam jej ciała. Rozumiem wyraz twarzy przyglądającego się im brata Juliane, ja również ledwo mogę na nie patrzeć, choć jednocześnie nie mogę oderwać od nich wzroku. Nie rozumiem jednak, jak jeden człowiek może zrobić drugiemu coś takiego.

Lambert odwraca się do nas, jego usta zbladły – musiał cały czas je mocno zaciskać.

– Czyli to koniec?

Simon opada na krzesło po drugiej stronie stołu; jego oburzenie w końcu się wyczerpało.

– Twój ojciec tak myśli.

– Ale ty się z nim nie zgadzasz.

Zamyka oczy i opiera głowę o rzeźbione oparcie.

– Nie. Nie zgadzam się.

Juliane siada na ławce i zaczyna zbierać papiery rozsiane po stole. Na mnie nikt nie zwraca uwagi.

– Chyba przyszła na mnie pora – mówię, dygając niezręcznie. – Jeśli chcesz, możesz zatrzymać mapy.

– A dlaczego miałabyś sobie pójść? – Juliane przerywa porządkę, by przechylić głowę w moją stronę. – Powinnaś przecież wiedzieć.

– Co takiego? – pytam.

Odrzuca głowę, jakby zrobiła coś głupiego.

– Simon będzie dalej pracował, póki nie znajdzie zabójcy, chce kontynuować śledztwo.

Na te słowa chłopak otwiera gwałtownie oczy. Juliane upuszcza trzymaną w dłoni kartkę i załamuje rękę.

– Przepraszam – bełkocze.

Simon nachyla się do przodu i kładzie dłoń na jej rękę, ale zamiast na niego spojrzeć, Juliane skupia wzrok na stole.

– Musisz odpocząć – mówi chłopak łagodnie.

Mam niemal wrażenie, że coś jej podaje.

– Tak, tak będzie najlepiej – odpowiada dziewczyna, kiwając się w przód i w tył. – Ale niech Cat zostanie.

Simon klepie ją po rękę.

– To nie pora na takie zadanie.

– Takie zadanie – bełkocze Juliane. – Chodzę po ścianie.

Zerkam na Lamberta. Stoi wpatrzony w nich, poruszając żuchwą w przód i w tył.

Czy to kolejna „gra”, w którą grywają członkowie tej rodziny, jak ta, w której opowiadają sobie bzdury? Simon podnosi wzrok na kuzynkę i się uśmiecha, ale jego uśmiech jest fałszywy jak maska noszona podczas przedstawienia.

– Ostatnie dni były bardzo wyczerpujące, a dziś po południu jest egzekucja. Zaczniemy od jutra.

– Nie poddajesz się? – wypalam, mimo że Juliane przed chwilą to powiedziała.

Przenosi na mnie wzrok.

– Nie. Ale będziemy musieli wykazać się sprytem.

– My? – pytam.

Juliane buja się coraz wolniej, po czym zatrzymuje się, by na nas spojrzeć. Simon waha się przez kilka sekund, zaciskając usta, w jego oczach widzę niemą prośbę.

– Cat, jeśli chcesz, jesteś wolna, ale... mam nadzieję, że nadal będziesz nam pomagać.

Mistrz Thomas potrzebuje mojej ochrony, ale to nie on jest najważniejszym z powodów, dla których zgadzam się zostać.



## ROZDZIAŁ 24

Zarówno mistrz Thomas, jak i Remi cieszą się z zakończenia śledztwa. Budowa w sanktuarium postępuje, od kiedy wzmocniono wewnętrzne platformy, by wytrzymały dźwigane na nie ogromne ilości kamienia, służące do stworzenia sklepienia pod drewnianym dachem. Wyjaśniam im, że venatre nadal pracuje nad kilkoma szczegółami sprawy, ale nie mam pojęcia, jakie wymówki wymyślę na kolejne dni.

Gdy docieram do domu Montcuirów, Simon ściąga ostatnie szkice ze ściany.

– Obawiasz się, że wuj odkryje, że nadal pracujesz? – pytam.

Składa je na jedną stertę.

– W ciągu godziny wyjeżdżam do Mesany – mówi, milknąc, by przyrzeć się jednemu z nich. – Chcę się skonsultować z jednym z tamtejszych medyków.

– Jak długo cię nie będzie?

– Dziesięć dni.

Dziesięć dni? Od zabójstwa Ysabel minęło osiem, a zabójstwa jej i Perrete dzieliły zaledwie cztery.

– A co, jeśli pod twoją nieobecność dojdzie do morderstwa? – pytam.

Kręci głową i kontynuuje sortowanie kartek.

– Myślę, że przez jakiś czas będzie spokój. Jestem niemal pewien, że zabił Ysabel tak krótko po Perrete, by naprawić błędy, które według siebie popełnił.

Podchodzę bliżej, tak by dzielił nas tylko stół.

– Czyli nie sądzisz, że będzie chciał szybko dać wszystkim do zrozumienia, jacy byli głupi, wierząc, że został schwytany?

Nagle Simon poświęca mi całą swoją uwagę. Odkłada szkice.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

– Ale to logiczne – nalegam. – Nie zgodzisz się?

– Owszem. – Przygląda mi się z uwagą. – I pomyślałem o tym, chociaż nic nie mówiłem. Ciekawe, że doszliśmy do tych samych wniosków. – Wygląda niemal na zadowolonego.

– Po prostu uważnie cię słucham. – Czuję, jak po mojej szyi rozlewa się żar, gdy zdaję sobie sprawę jak bezpośrednio to zabrzmiało.

– Wiem. Ty i Juliane bardzo mi pomogłyście swoimi obserwacjami na temat handlarza ziarnem. – Uśmiecha się krzepiąco. – Jestem absolutnie pewien, że jeśli pod moją nieobecność coś się stanie, dacie sobie radę tak samo dobrze jak ja.

Energicznie kręcę głową.

– Bez ciebie sobie nie poradzimy.

– Potrzebne są jedynie obserwacje – mówi. – Przedyskutujemy je i wyciągniemy wnioski po moim powrocie.

– A skąd pomysł, że hrabia w ogóle pozwoli nam się zbliżyć do ciała albo miejsca zbrodni?

Simon unosi brew nad okiem ze skazą.

– Ponieważ madame Emeline obiecała, że jeśli to będzie możliwe, najpierw poinformuje ciebie i Juliane, a jeśli to się nie uda, przechowa dla was ciało.

Krzyżuję ręce na piersi.

– Nadal uważam, że to błąd. Jeśli coś się naprawdę wydarzy, ludzie będą cię winić za to, że wyjechałeś, gdy byłeś najbardziej potrzebny.

Przez kilka sekund przygryza dolną wargę, jakby debatował sam ze sobą. W końcu wskazuje dłonią ławkę.

– Usiądź, proszę. Chcę ci wyjaśnić, dlaczego masz rację, a jednocześnie jesteś w błędzie.



Mam rację, ale jej nie mam? Przekraczam ławkę i siadam na niej, tak jak on.

Składa dłonie i bierze głęboki wdech.

– Rzeczywiście obawiałem się, że morderca zaatakuje zeszłej nocy, zaraz po egzekucji, ale tego nie zrobił. To podpowiada mi, że panuje nad impulsami i zapewne rozkoszuje się fałszywym poczuciem bezpieczeństwa, w którym pogrążyło się Collis.

Ściągam wargi.

– Ale nie będzie cię ponad tydzień. Skąd pewność, że tak długo zdoła utrzymać potwora w klatce?

Simon zerka na stół.

– Pokażę ci coś, ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz, nawet Juliane.

Zupełnie zasycha mi w ustach.

– Obiecuję.

Sięga pod tunikę i wyciąga z niej skrawek pergaminu.

– Dostałem to wczoraj w nocy.

Biorę od niego pergamin i go rozkładam. Litery są uderzająco podobne do charakteru pisma handlarza ziarnem, jednak ten pergamin został wygładzony po zeszkrobaniu, a treść jest napisana bez błędów.

„Może i wiesz, czym jestem, ale ja wiem, kim jesteś ty”.

– To od niego – szepcze Simon. – Od mordercy.

Wpatruję się w pergamin z niedowierzaniem.

– Skąd wiesz, że wiadomość jest prawdziwa?

Wyciąga fałszywą notkę z dna sterty.

– Bo to druga połowa tej kartki. – Kładzie ją obok tej, którą mam w dłoni, przystawiając do siebie przedarte boki. Pergamin, zwłaszcza ten tani, rwie się nierówno. Tutaj krawędzie idealnie do siebie pasują. – W dobrym świetle nadal widać resztę listy ziaren – mówi cicho.

– Chcesz powiedzieć, że zabójca wszedł do domu handlarza ziarnem i ukradł pergamin, bo wiedział, że zrozumiesz, skąd pochodzi?

– Tak. Spędził też sporo czasu na poprawnym zeszkrobaniu i sprasowaniu pergaminu, by pokazać mi, jaki jest cierpliwy. – Simon milknie na moment. – Jak myślisz, co to oznacza?

To oczywiście groźba, ale kryje się w niej coś więcej.

– To wyzwanie – szepczę. – Drażni się z tobą, mówiąc, że zdaje sobie sprawę z tego, co wiesz, i widzi, co robisz.

– Owszem. – Wpycha fałszywą notkę pod stertę i ponownie składa tę prawdziwą, po czym chowa ją do kieszeni. – Ma całkowitą kontrolę, a przynajmniej tak mu się wydaje. To bardzo mało prawdopodobne, że uderzy podczas mojej nieobecności, bo patrzenie, jak się miotam, jest dla niego świetną rozrywką. Poza tym...

– Co takiego, Simonie?

Waha się.

– To by mnie wyeliminowało z grona podejrzanych.

Przetrawiam to przez kilka sekund. Nikt go o nic nie oskarżył, ale nawet ja czuję się niezręcznie, gdy widzę, jakie ilości makabry nie robią na nim wrażenia, a przynajmniej ile jest w stanie znieść. Wyobrażam sobie, że jedyną osobą, która również wykazuje się taką tolerancją, jest sam zabójca. Nie minie dużo czasu, zanim inni również zaczną o tym myśleć. Remi już doszedł do podobnych wniosków.

– A więc zaczeka do twojego powrotu – mamroczę.

W sposobie, w jaki na mnie patrzy, widać mieszankę dumy i współczucia.

– Tak.

– A to oznacza, że podczas twojej nieobecności będzie musiał się powstrzymać – dodaję, a on przytakuje. Nagle nachodzi mnie inna myśl. – Ile czasu naprawdę potrzebujesz na tę podróż?

– Jakiś tydzień – przyznaje. – Ale wszystkim innym mówimy, że nie będzie mnie dwa tygodnie.

Teraz rozumiem.

– Powiedziałeś, że wydaje mu się, że ma kontrolę nad sytuacją, ale im dłużej cię nie będzie, tym trudniej będzie mu tę kontrolę zachować – mówię. – To ty się z nim drażnisz.

Przygląda mi się w milczeniu.

– A gdy wrócisz wcześniej, niż się tego spodziewa, wyjdzie z klatki, zanim będzie gotowy – dodaję.

– I będzie większa szansa, że popełni błąd. – Simon sprawia wrażenie zadowolonego.

Ja się nie uśmiecham.

– Pozwolisz, by kolejna osoba umarła?! – krzyczę, wstając tak gwałtownie, że ławka przewraca się do tyłu. – Nie masz nawet zamiaru spróbować go powstrzymać?

Simon mruga.

– Nie wiem, co według ciebie mógłbym jeszcze zrobić.

– Wcześniej mówiłeś, że nie uda ci się stworzyć kompletnego profilu zabójcy bez kolejnej ofiary – warczę. – A teraz potrzebujesz trzeciej?!

– Przecież doszłaś do takich samych wniosków – mówi spokojnie.

– Doszłam do wniosku, że twoim zdaniem ten potwór jest bardziej ludzki niż kobiety, które morduje!

Wychodzę i jestem już w połowie drogi do schodów, gdy mnie dogania. Chwyta mnie za ramię i błaga:

– Cat, nie! Zaczekaj!

– Po co? – Odwracam się, by na niego spojrzeć. – Sam do tego wszystkiego doszedłeś. Do czego jestem ci potrzebna?

Druga dłoń obejmuje mój łokieć, bym się znów nie odwróciła.

– To coś więcej, ja... – Opuszcza brodę i ciężko wzdycha. – Właśnie dlatego cię potrzebuję. Ktoś musi mi przypominać o mojej odpowiedzialności. I o tym, jak wysoka jest stawka. Nie pozwolić zapomnieć, że kosztem mojej porażki są ludzkie istnienia.

Nagle znajdujemy się tak blisko siebie jak tamtej nocy w sanktuarium. Mój gniew słabnie na widok bólu w jego oczach.

– Simonie, jestem w stanie uwierzyć, że istnieją ludzie, którzy mogliby o tym zapomnieć, ale ty?

– Wcale tego nie chcę, Cat – mówi łagodnie. – Ale jeśli pozwolę, by dotarło do mnie, jakie to wszystko jest potworne, jeśli nie będę w stanie myśleć obiektywnie, ofiary nigdy nie zaznają sprawiedliwości.

To w taki sposób Simon jest w stanie znosić to, co widzi.

– Zamykasz to wszystko – szepczę. – Oddzielasz.

– Tak. – Jego uścisk na moich łokciu słabnie, ale nie cofa dłoni. – A im dłużej pozostaje usunięte z moich myśli, tym łatwiej jest mi uniknąć wracania do tego. – Jego warga zaczyna drżeć. – Dlatego jesteś tak ważna. Nie sądzę, żebym zdołał to zrobić bez ciebie i jednocześnie pozostać człowiekiem.

Kręcę głową.

– Simon, ty ledwie mnie znasz.

Cofa się o kilka centymetrów.

– Wiem, ja...

Gdy milknie, resztką oddechu pytam:

– Co takiego?

Zamiast odpowiedzieć, podnosi dłoń i kładzie ją na mojej twarzy. Powoli nachyla się do mnie, aż jego złociste loki muskają linię moich włosów.

– Wiem, że mogę ci ufać – szepcze. – Tylko ty w całej tej sprawie nie masz nic do ukrycia.

Te słowa sprawiają, że zalewa mnie fala poczucia winy, ale odsuwam ją, by skupić się na tym, czego w tym momencie pragnę. Chcę, by uniósł moją brodę, by nasze usta znalazły się na tej samej wysokości. Chcę poczuć miętę z jego ciepłego oddechu.

Chcę dać mu do zrozumienia, że będę o nim myśleć każdego dnia jego nieobecności.

– Simonie? – Głos Juliane roznosi się po klatce schodowej.

Chłopak natychmiast się cofa i rozgląda za moimi plecami, ale Juliane jest piętro niżej.

Schody skrzypią pod jej stopami, a Simon przykłada palec do ust i w ciszy ciągnie mnie z powrotem do pokoju. Gdy wchodzimy do środka, gestem wskazuje, bym podniosła ławkę, i kieruje się w stronę stojącej w kącie garderoby.

– Tutaj, Juliane! – woła, po czym otwiera drzwi szafy i nachyla się do środka, by ukryć zarumienioną twarz.

Dziewczyna pojawia się w drzwiach tuż po tym, jak ustawiłam z powrotem ławkę. Wygląda o wiele lepiej niż wczoraj, gdy wychodziłam.

– Stępak jest osiodłany i gotowy. Spakowałeś się?

– Prawie. – Głos Simona jest przytłumiony przez szafę.

Juliane marszczy brwi na mój widok.

– Nie wiedziałam, że tu jesteś, Cat.

– Przyszłam się pożegnać. – Zastanawiam się, co ona myśli o wyjeździe Simona do Mesany, biorąc pod uwagę, że nie zna powodu, dla którego jest tak pewien, że nic nie wydarzy się do jego powrotu.

– Rozgłoście wiadomość, że wracam za dwa tygodnie. – Simon odchodzi od szafy ze spokojną, beznamiętną miną i rzuca na stół torbę, burząc równo ułożoną stertę. – Ale spodziewajcie się mnie za nie więcej niż dziesięć dni.

Juliane zaciska usta, a ja bezwiednie robię to samo.

– Co mamy robić w tym czasie? – pyta. – Mówiłeś, że masz dla nas zadanie.

Mnie nic o tym nie wspominał, ale mam nadzieję, że to tylko dlatego, że zajął nas inny temat. Chociaż wtajemniczył mnie w swoje najmroczniejsze wnioski, czuję ukłucie zazdrości na myśl, że Juliane wie coś, czego ja nie wiem. By ukryć to uczucie, zaczynam układać szkice, chociaż zapewne nie w takim porządku, jaki ustalił Simon.

– Owszem. – Chłopak wyciąga z szafy kolejną torbę i potrząsa nią w poszukiwaniu dziur. – Chcę, byście sprawdziły, czy przed Perrete były jakieś inne ofiary.

Wspominał już o tym.

– Gdzie miałybyśmy zacząć? – pytam.

– W aktach mojego ojca – mówi pewnie Juliane. – Znajdziemy je w Pałacu Sprawiedliwości.

Marszczę brwi. Rozprawa handlarza ziarnem udowodniła, jak niewiele spisano informacji o morderstwach, do których doszło przez ostatnie dwa tygodnie – jedynie nazwiska ofiar i kilka słów na temat przyczyny. „Zadżganie” i „wykrwawienie” bardzo wiele pozostawiają wyobraźni, w dodatku nie uwzględniono nawet informacji o zawodzie kobiet.

– Myślisz, że znajdziemy tam na tyle szczegółów, by to stwierdzić?

– Po prostu zapamiętajcie wszystko, co może mieć znaczenie, i popytajcie ludzi. – Zadowolony ze stanu torby, zaczyna wpychać do niej ubrania.

Ponieważ wiem, jak niewiele osób chciało z nami rozmawiać o nocy, kiedy zginęła Perrete, nie jestem przekonana, czy w ten sposób uda nam się czegoś dowiedzieć.

– Ale nie włączajcie w to na razie Lamberta – dodaje Simon. – Nie sądzę, że uda mu się cokolwiek ukryć przed moim wujem. I nie zapisujcie nic na papierze.

To oznacza, że Juliane będzie musiała zapamiętać wszystko, czego się dowiemy. Zresztą to nie będzie dla niej problemem – zapisuje to

wszystko wyłącznie dla nas. Nie mam wątpliwości, że dałaby sobie radę sama.

Moje podejrzenie zdaje się słuszne, gdy dziewczyna zwraca się do mnie:

– Będzie szybciej, jeśli sama przejrzę akta. – Zanim zdołam się sprzeciwić, uśmiecha się i dodaje: – Jutro rano przyjdę do ciebie i zaczniemy. Cieszę się, że będziemy pracować razem.

Jej słowa brzmią szczerze.

– Ja również, lady Juliane.

Simon zawiązuje spakowaną torbę i kładzie ją na stole. Trzymam w rękach wszystkie jego rysunki; na samej górze znajduje się ten z niemal nagim ciałem Perrete. Gdy zbiera ołówki, pióro i atrament, czekam, by podać mu kartki, z gorączkową nadzieją, że Juliane nas zostawi, byśmy jeszcze kilka chwil mogli spędzić sami. Być może on pragnie tego samego, bo nagle pyta ją:

– Wiesz może, gdzie jest mój płaszcz?

– Wisi w kuchni – odpowiada, odwracając się w stronę drzwi. – Przyniosę go, a ty skończ się żegnać z Cat. – Przysięgam, że lekko się przy tym uśmiecha.

Podczas jej nieobecności moje serce zaczyna bić szybciej z nadzieją, że Simon ma zamiar skończyć to, co nam przerwano, jednak on skupia się na pakowaniu.

– Dziękuję, że zgodziłaś się pomóc Juliane pod moją nieobecność.

Rozczarowanie sprawia, że mój uchwyt na kartkach się zacieśnia.

– Nie sądzę, by ona w ogóle mnie potrzebowała.

– Potrzebuje. – Zarzuca sobie pasek przez ramię, by torba zwisała z przodu. – Juliane może zebrać i przytrzymać części tej układanki, ale to ty ją składasz.

Nie obchodzi mnie teraz Juliane. Chcę porozmawiać o tym, co jest między nami, czy to jakiś początek – a może koniec.

– Simon, ja...

– Catrin – przerywa mi i wzdycha. – Nie wiem. – Uśmiecha się niepewnie. – Ale będę za tobą tęsknił.

Spuszczam wzrok.

– A ja za tobą.

Wyciąga dłoń po szkice, a ja odruchowo mu je podaję, po czym zamieram. Rysunek Perrete jest ustawiony do góry nogami – nie

patrzyłam na niego w ten sposób.

Zapewne myśląc moje wahanie z przytłaczającą niezręcznością ostatnich kilku minut, Simon zabiera ode mnie kartki, gdy w szoku zaczynam wypuszczać je z rąk.

Nagle zdaję sobie sprawę, gdzie widziałam wzór, który na jej ciele utworzyło siedem ran kłutych – na moim brzuchu. Nigdy jednak tego nie skojarzyłam, bo na swoje patrzyłam jedynie z góry.

Czuję, jakby nagle zaczęły mnie uwierać pod spódnicą.

*Nie pamiętasz?* – zdają się szeptać, gdy schodzę za Simonem na dół. – *Byłaś tam.*

Na zewnątrz Lambert przytrzymuje uzdę niewielkiego wierzchowca krzepkiej rasy, która jest w stanie szybko biec przez kilka godzin bez odpoczynku. Starszy z braci Montcuirów uśmiecha się i zagaduje mnie, podczas gdy Simon zarzuca torby na konia i go dosiada, odpowiadam mu jednak jedynie kiwnięciami głowy i uśmiechami.

Dołącza do nas Juliane i podaje Simonowi płaszcz, który ten zawija wokół przodu siodła. W ciągu ostatniej godziny wzrosła ilość chmur na niebie, więc zapewne prędko będzie go potrzebował. Lambert podaje mu rękę.

– Bezpiecznej podróży, kuzynie.

Simon ściska ją pewnie.

– Dziękuję. Opiekuj się Juliane podczas mojej nieobecności.

Przez twarz Lamberta przemyka iskra irytacji. Wyobrażam sobie, że to samo poczułabym, gdyby nowy pracownik budowy kazał mi zrobić coś, czym zajmuję się od lat.

– Dobrze – odpowiada.

Gdy Simon ponownie na mnie spogląda, wstrzymuję oddech.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem.

– Którą część? – Nie mogę się powstrzymać.

– Całość. – Simon szturcha konia, by się odwrócił.

Tuż przed odjazdem dodaje:

– Ale szczególnie tę ostatnią.

To powinno mnie uszczęśliwić, jednak myślę tylko o tym, że Simon wierzy, że nie mam nic do ukrycia, podczas gdy zatajam więcej niż ktokolwiek inny.



## ROZDZIAŁ 25



– Matko, co za bałagan! – Juliane stoi przy otwartym na ulicę oknie pracowni.

Za nią czai się Lambert.

Otrzepuję dłonie i podchodzę, by ich przywitać.

– I tak jest o wiele lepiej niż kilka dni temu. – Moim planem na dzisiejszy poranek było wyglądać na zajętą, by mistrz Thomas nie wyznaczył mi żadnego zadania, dzięki czemu mogłabym wyjść z Juliane.

Ona pojawia się jednak wcześniej, niż się spodziewałam, a mistrz nie wyszedł jeszcze do sanktuarium. Lambert nachyla się i mruży oczy, by zajrzeć do pomieszczenia, a jego wzrok zatrzymuje się na pomiętym pergaminie z nazwiskami pod miejscem, w którym kiedyś wisiał złoty młotek.

– Stół się zawalił i wszystko spadło na ziemię – wyjaśniam. – Część tynku była tak stara, że pokruszył się jak czerstwe ciasto. – Mój śmiech brzmi na lekko wymuszony. – Ale nie musicie się martwić o prawdziwe sanktuarium. Tam używamy o wiele lepszych materiałów.

Mistrz Thomas schodzi po schodach, a tuż za nim idzie Remi.



– Tak myślałem, że słyszę gości – mówi pogodnie architekt, chociaż wyczuwam w jego głosie odrobinę napięcia. – Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt i to tak wcześnie rano?

– Śledztwo opóźniło przygotowania do ślubu Lamberta – mówi radośnie Juliane. – Cenię sobie opinię Catrin i byłabym bardzo zadowolona, gdyby mogła mi dziś towarzyszyć w zakupach.

Remi przewraca oczami, z kolei architekt mruży swoje. Wie, że nigdy nie przepadałam za tego typu rzeczami, w dodatku słuchał, jak narzekałam, że według Simona handlarz ziarnem nie jest winien wszystkich trzech morderstw.

– A gdzie nasz dobry venatre? – pyta mistrz Thomas, zerkając na mnie z ukosa. – Chciałem mu pogratulować pomyślnego ukończenia śledztwa.

Słyszę delikatny akcent na słowie „ukończenia”. Architekt nie jest głupcem.

– Odwiedza starych znajomych – odpowiada Juliane. – Wróci za dwa tygodnie.

Remi uśmiecha się kwaśno.

– Po dwóch tygodniach pracy z całą pewnością zasłużył na dwa tygodnie odpoczynku.

Zaciskam pięści. Dlaczego on musi być taki okropny, gdy chodzi o Simona?

Juliane apeluje do mistrza Thomasa:

– Czy mógłby mi pan dzisiaj użyczyć Catrin?

Nie śmiałyby odmówić córce największego darczyńcy, ale wie, że nie wszystko jest dokładnie tak, jak mu to przedstawiła.

– Oczywiście, moja pani. Skoro i tak będzie w mieście, zrobi też zakupy za panią la Fontaine.

Powstrzymuję jęk, lecz Juliane tylko się uśmiecha.

– Bardzo panu dziękuję, mistrzu.

Gdy on i Remi wychodzą, a ja dostaję długą listę zakupów od gospodyni, Juliane mówi bratu, że może nas zostawić. Kiedy ten się waha, nachyla się do niego i ścisza głos.

– Lambercie, będziemy kupować bieliznę.

Nagle starszy z braci Montcuirow nie jest w stanie spojrzeć w oczy żadnej z nas.

– Tak, w takim razie lepiej zostawię to wam.

Juliane z uśmiechem patrzy, jak jej brat odchodzi.

– Zdajesz sobie sprawę, że to z twojego powodu chciał mi towarzyszyć, Catrin – mówi.

– Mojego?

Kiwa głową.

– Lambert od lat się tobą zachwyca, ale zawsze był zbyt nieśmiały, by się do ciebie zbliżyć. A w zasadzie do jakiegokolwiek dziewczyny. Ojciec musiał zaaranżować sprawę z rodziną lady Genevieve.

To dziwne, że spadkobierca najwyższego tytułu w regionie i następca gubernatora dużego miasta miałby być zainteresowany mną, ale jeszcze dziwniejsze jest to, że komuś dysponującemu taką władzą brakuje pewności siebie.

– Hrabia pewnie i tak by tego nie pochwałał – mówię, zawstydzona. – W końcu nie mam w sobie szlacheckiej krwi.

– Nasza matka również jej nie miała – odpowiada Juliane. – A przynajmniej na tyle, na ile wiemy. Dorastała w tym samym klasztorze co ty, pod opieką przeorowsy.

Nigdy o tym nie słyszałam. Matka Agnes zapewne zataiła przed nami tę historię, abyśmy nie rozwijały w sobie nierealnej nadziei na poślubienie szlachcica.

– Gdy ojciec uciekł, by wziąć ślub z naszą matką, był zaręczony z kimś innym – kontynuuje Juliane. – A Lambert zawsze uważał, że to bardzo romantyczna historia.

– Nie chcę powodować żadnego nieporozumienia – bełkoczę.

Juliane nie brzmi, jakby próbowała odwieść którekolwiek z nas od tego pomysłu, ale ja nie myślę o jej bracie, tylko o Simonie.

Juliane niemal parska.

– Szczerze mówiąc, cieszę się, że Lambert zwraca uwagę na kogokolwiek innego niż ja. Od śmierci naszej matki stał się denerwująco opiekuńczy.

Dołączam do niej na ulicy i wyruszamy. Skoro to ona zaczęła ten temat, postanawiam zapytać:

– Co się stało z waszą matką? Przez długi czas była chora, prawda?

– Chorowała całe moje życie. – Juliane patrzy pustym wzrokiem przed siebie. – Ale nie to ją zabiło.

To jasne, że nie chce o tym rozmawiać.

– To musi być bolesne wspomnienie – mówię. – Przepraszam, że zapytałam.

Ona kiwa głową, a ja nie mam zamiaru naciskać. Chociaż nie wiem, dokąd idziemy, jestem zaskoczona, gdy zaczynamy się kierować do dzielnicy handlowej.

– Pomyślałam, żeby przezornie się tutaj pokazać – wyjaśnia, uprzejmie pozdrawiając kilku mijanych handlarzy. – W końcu powiedziałyśmy, że tutaj będziemy.

– Oczywiście.

Oślepia nas poranne słońce, dopóki nie skręcamy na zachód, zostawiając je za plecami. Wyłaniamy się z uliczki pełnej sklepów i wyeksponowanych towarów na otwarty okrągły plac wokół Świątyni Słońca, gdzie wszystko poza stojącą na trawniku rzeźbą galiańskiego solozofa pochodzi z czasów starożytnych. Rzeźba wygląda, jakby patrzyła na zachodzące słońce. Okrągły kamienny budynek świątyni ustawiono tak, by dzwonnica stworzyła zegar słoneczny widziany ze szczytu wzgórza. Chociaż dziś zajmuje się nim jedynie garstka wybranych zakonników, nadal jest to miejsce święte, połączone z sanktuarium Ścieżką Modlitwy. Nigdy nie zapominam o ironii tego, czym stała się ta ulica – rzędem domów publicznych i miejsc, w których zażywa się skonię. Niestety Juliane kieruje się właśnie w stronę Drogi Rozkoszy.

– Myślę, że najlepiej zacząć u madame Emeline – mówi. – Zapewne będzie znała większość nazwisk z mojej listy, jeśli w ogóle nie wszystkie.

Powinam była sama o tym pomyśleć, a przynajmniej zdawać sobie z tego sprawę.

Zanim przesuniemy się w cień pierwszego domu, zauważam parę obrysowanych kohlem obserwujących mnie oczu. Nawet bez kruczoczarnych ubrań na tle kolorowych markiz i budek poorana bliznami twarz wyróżniałaby się w każdym tłumie.

Gregor.

Seleńczycy nie są niecodziennym widokiem w ciągu dnia, zwłaszcza na targowisku, ale jego obecność przyprawia mnie o dreszcze. Powiedział mistrzowi Thomasowi, że powinam słuchać własnego instynktu w sprawie morderstwa Perrete. Co w moim instynkcie jest tak ważne? Czy w tej chwili za nim podążam?

Tak jak za każdym razem, gdy widziałam go od tamtej nocy, znika w chwili, w której próbuję mu się przyjrzeć. Moje zawahanie sprawia, że Juliane wyprzedza mnie o kilka kroków, podbiegam więc, by ją dogonić.

Zamiast zapukać do drzwi frontowych przybytku madame Emeline, Juliane skręca w alejkę na końcu ulicy i czterokrotnie puka do bocznych drzwi. Starsza kobieta wpuszcza nas do kuchni, w której znajduje się sporych rozmiarów stół, i każe nam czekać. Gdy tylko znika, rozważam zapytanie Juliane, skąd wie o tym wejściu, ale przypominam sobie, że Simon był tutaj, by przyjrzeć się ciału Perrete. To zapewne kolejna ze spraw, którą przedyskutował z nią, ale nie ze mną. Muszę przełknąć zazdrość i przypomnieć sobie, że powierzył mi ważniejsze kwestie.

Emeline wchodzi do kuchni i machnięciem dłoni wskazuje nam, byśmy usiadły. Wybieramy krzesła i przyjmujemy propozycję wypicia herbaty. Gdyby nie jaskraworude włosy kobiety, być może nie rozpoznałabym jej bez makijażu i w prostym szlafroku. To ironiczne, ale wygląda teraz młodziej, chociaż nie wiem nawet, ile ma lat.

– Przyszłam... przyszliśmy w imieniu Simona – zaczyna Juliane. – Poprosił nas, byśmy poszukały dowodów na to, że Perrete nie była pierwszą ofiarą tego mężczyzny.

Emeline unosi cienkie, niepomalowane brwi.

– Rozumiem.

– Mam listę kobiet z ostatnich pięciu lat – kontynuuje Juliane. – Przyczyny ich śmierci są niesprecyzowane, ale pomyślałyśmy, że może pani wie coś więcej.

– Będziecie mi musiały przeczytać tę listę – mówi Emeline, unosząc filiżankę do bladych ust. – Ja nie potrafię.

– Mam ją w głowie – odpowiada Juliane. – Jest pani gotowa?

Gdy madame przytakuje, Juliane zamyka oczy i jedno po drugim recytuje nazwiska wraz z datą i miejscem odnalezienia ciała. Emeline nad każdym z nich uważnie się zastanawia. Przypomina sobie, że wiele z tych kobiet zmarło w wypadkach lub podczas porodu, co jest opisane po prostu jako „krwawienie”, a kilka na coś chorowało. Trzy popełniły samobójstwo.

Nie mogę uwierzyć, jak wiele z tych zgonów Emeline określa jako morderstwa.

Niektórzy sprawcy zostali schwytani i ukarani, jednak zatrważająca liczba spraw pozostała nierozwiązana. Zaczynam się zastanawiać, czy Perrete i Ysabel mają w ogóle jakieś znaczenie. Nawet jeśli uda nam się połączyć więcej kobiet z tym zabójcą, będą tylko dwoma niewielkimi jabłkami w beczce wypełnionej innymi, którymi nikt nie przejął się na tyle, by przeprowadzić śledztwo. Śmierć Perrete z całą pewnością również zostałaby szybko zapomniana, gdyby Oudin nie znalazł się w kręgu podejrzanych.

Mijają trzy godziny, a my wypijamy tyle samo filiżanek herbaty, zanim Juliane dociera do końca listy. Straciłam już rachubę, ile kobiet może potencjalnie okazać się ofiarami tego mężczyzny, wiem jednak, że ona wszystko pamięta. Widzę też, jak bardzo ją to zmęczyło.

– Dziękuję – mówi do Emeline, gdy wstaje z krzesła. – Być może wrócimy jeszcze z kolejnymi pytaniami.

Kobieta również się podnosi.

– Simon jest jedynym urzędnikiem, któremu naprawdę zależy na rozwiązaniu sprawy. Pomogę wam, jak tylko umiem. – Wypuszcza nas bocznymi drzwiami, a gdy tylko się za nami zamykają, powieki Juliane opadają, a dziewczyna przykładła szczupłą dłoń do skroni.

– Wszystko w porządku? – pytam, gotowa w razie potrzeby ją podtrzymać.

– Cienie – mamrocze. – Tyle cieni.

Rozglądam się. Dopiero minęło południe, przez co w alejce nie może być już jaśniej. Zmiana oświetlenia po wyjściu z przygaszonej kuchni sprawia, że łzawią mi oczy.

– Czy pomóc ci dojść do ulicy?

– Tak, dziękuję. – Wyciąga ku mnie rękę. – Proszę, trzymaj je z dala od nas. Chcą ze mną rozmawiać, ale ja nie jestem w stanie. Nie teraz.

W pobliżu nikogo nie ma. Nie jestem pewna, kogo lub co mam odpędzać, prowadzę więc Juliane do końca uliczki. Zanim wyjdziemy na drogę, sprawdzam, czy w zasięgu wzroku jest ktoś, kto raczej nie powinien wiedzieć, skąd wychodzimy, ale zarówno w przybytku madame Emeline, jak i w innych miejscach w sąsiedztwie jest to czas najmniejszego ruchu.

– Czy teraz lepiej? – pytam, gdy wychodzimy na pełne słońce.

– Na razie – odpowiada. – Ale gdy mnie zobaczą, na nic nie baczą.  
– Opuszcza dłoń, którą trzymała przy skroni, i patrzy na mnie z przerażeniem. – Cat, muszę wracać. Nie mogę w kółko się obracać.

Przypominam sobie, jak ostatnio na jej rymy odpowiedział Simon, i mocniej biorę ją pod rękę.

– Wszystko będzie w porządku – mówię. – Mogę cię odprowadzić.

– Zawadzić – rzuca, jakby nie mogła się powstrzymać, po czym kręci głową. – Na coś lepszego musisz mnie naprowadzić.

Idziemy ulicą w stronę sanktuarium. Chociaż Juliane pozwala mi się prowadzić, jeszcze nigdy nie czułam się bardziej nieudolnie. Coś jest bardzo nie tak, ale nie rozumiem, co mogę zrobić.

– Jak mogę pomóc? – pytam.

– Żeby mi dopomóc? – Bierze głęboki oddech, a górna połowa jej ciała zaczyna się chwiać. – Spaceruj ze mną i rozmawiaj ze mną.

Coś w jej zachowaniu przypomina mi jednego z robotników w sanktuarium, który zawsze liczy kroki. Jedynym zadaniem, jakie otrzymał od architekta, jest ustawianie i przewożenie kamieni na taczkach, co robi bez problemu, ale zawsze układa po cztery kamienie, czym zasłużył sobie na przydomek Jacques Cztery Cegły. Mistrz Thomas mówi, że liczba cztery to jego „kotwica”, ponieważ w jakiś sposób powstrzymuje go przed odpłynięciem, a im bardziej jest zmęczony, tym liczenie zdaje się dla niego ważniejsze.

Kotwicą Juliane są rymy. Simon łagodził jej nerwy, pomagając je tworzyć.

– O czym porozmawiamy? – pytam.

Natychmiast besztam się w myślach, że nie zakończyłam zdania czymś, co łatwo się rymuje, jednak Juliane odpowiada bez wahania.

– Wypuszczamy. By ze mnie uszło, pozwalamy.

– W porządku – odpowiadam. Spacerujemy pod rękę jak przyjaciółki, kontynuując rozmowę. Chociaż nasze słowa nie mają za wiele sensu, przypominają grę, a ja trochę się odprężam, przez co z bólem zdaję sobie sprawę, jak bardzo mnie to na początku odpychało. Ale co miałam czuć? To, co dzieje się w umyśle Juliane, nie jest normalne. A jednak „normalne” nie zawsze znaczy lepsze. Jej pamięć jest rzadkim darem, choć nikt nie opisałby jej jako coś normalnego.

Wchodzimy na plac, gdzie dziesięciokrotnie zwiększa się widoczny dla nas skrawek nieba. Na zachodzie wisi księżyc przypominający drzazgę. Przychodzi mi na myśl wiele słów, którymi mogłabym opisać swoje zdolności: wspaniałe, przerażające, niesamowite, potężne i – ponad wszystko – magiczne. Jednak nie nazwę ich „normalnymi”. Są czymś, co za wszelką cenę muszę ukrywać. W tym względzie jesteśmy do siebie z Juliane bardzo podobne.

Macham pogodnie do Remiego, gdy mijamy go stojącego wysoko na rusztowaniach, z nadzieją że nie zauważył, z jakiej ulicy wyszliśmy na plac. By nie mógł do nas zejść i porozmawiać, skręcam do północnej części sanktuarium. Gdy tam docieramy, trzymam się cienia, choć pot kapiący wzdłuż kręgosłupa nie ma zbyt wiele wspólnego z upałem.

Co powiem, gdy dotrzemy do domu Juliane? Lambert już ją taką widział, więc pewnie będzie wiedział, co robić. Gdy posiadłość Montcuirów majaczy nam na horyzoncie, pytam:

– Kogo przyprowadzić, gdy dotrzemy do domu? Twojego tatę? A może chcesz porozmawiać z bratem?

Jestem przekonana, że poprosi o przywołanie Lamberta, jednak ona zupełnie mnie zaskakuje:

– Nie, nie. Jestem matką. Ona jest mną, ja jestem nią. – Nagle zaczyna iść żwawiej, a jej nastrój zmienia się gwałtownie w coś przypominającego zachwyty, jakby dzieliła się ze mną jakąś tajemnicą. – Wiesz, jesteśmy takie same. Obie mogłybyśmy zabić za pomocą myśli. Setki, tysiące. Wszyscy nie żyją. Dlatego musiał ją zabić.

Rymy nagle zniknęły, zastąpione przerażającymi wyznaniem, które nie mogą być prawdziwe. Zatrzymuję się i wlepiam w nią wzrok.

– Kogo zabić? Twoją matkę?

– Tak – odpowiada z powagą. – Ale ona go zabijała. Każdego dnia. Jej słowa nie mają sensu.

– Kto ją zabił?

– Oudin. Ojciec. Teraz zawsze próbują zabić mnie, ale ja za każdym razem zabijam ich pierwsza. Fajnie, prawda? – Uśmiecha się szeroko. – Simon jest bardzo dobry w zabijaniu ludzi. Powinniśmy do niego pójść.

– Chciałabym – mruczę pod nosem, znów biorąc Juliane pod rękę i dziękując słońcu, że została nam do przejścia tylko jedna ulica.

Wolę jej rymy niż to, co dzieje się teraz.

Drzwi otwiera dawna guwernantka Juliane, madame Denise. Na widok podopiecznej natychmiast blednie.

– Dzień dobry – szczebiocze Juliane. – Przyszłam cię zabić, ale możemy najpierw wypić herbatę.

– Od jak dawna jest w takim stanie? – pyta stanowczym tonem, gdy pomagamy Juliane wejść do środka.

– Nie jestem pewna – odpowiadam. – Jakieś dwadzieścia minut. Zaczęło się bardzo gwałtownie.

Gdy usadawiamy Juliane przy stole w salonie, otula się ramionami i zaczyna kołysać w przód i w tył. Madame Denise popycha mnie w kierunku drzwi.

– Musisz stąd wyjść i to natychmiast.

– Chcę jej pomóc – protestuję, chociaż mówiąc szczerze, nie jestem tego taka pewna.

Kobieta wypycha mnie przez próg.

– Zrobiłaś już wystarczająco dużo.

Zastanawiam się, czy to wdzięczność, czy oskarżenie. Być może jedno i drugie.





## ROZDZIAŁ 26



Dopiero po powrocie do domu przypominam sobie, że miałam zrobić zakupy dla pani la Fontaine. Myśli za bardzo kołaczą mi w głowie, bym przypomniała sobie wszystko, czego potrzebowała, będę ją więc musiała poprosić o powtórzenie listy. Gospodyni nie tylko wspomina o całym mnóstwie nowych rzeczy, lecz także nalega, bym wszystko spisała, co pozbawia mnie wymówki, że „zapomniałam” o rzepie. Jest popołudnie, więc najlepsze warzywa zostały już wykupione, przez co musiałam odwiedzić dwukrotnie więcej sprzedawców, by zebrać wszystkie sprawunki.

Podczas kolacji wszyscy są w kiepskich nastrojach. Remi i architekt znów pokłócili się na budowie i żaden z nich nie jest zadowolony, że dziś nie pracowałam. Gospodyni zrzędzi, że rzepa, którą kupiłam, nie nadaje się do gulaszu. Udaję, że to rani moje uczucia. Odwiedziłam osiem różnych stoisk, by znaleźć jak najgorsze sztuki. Wszyscy kładziemy się spać zaraz po jedzeniu.

Z samego rana chcę sprawdzić, co u Juliane, ale nie ośmielam się opuścić dnia pracy w sanktuarium. Dociera do mnie również, że jeśli – tak jak w przypadku Jacques’a Cztery Cegły – dezorientacja Juliane wzmaga się, gdy jest zmęczona, najbardziej potrzebuje teraz

odpoczynku. Gdy poprzednio zaczynała się dziwnie zachowywać, Simon kończył nasz dzień pracy.

Simon. Minęły zaledwie dwa dni od jego wyjazdu do Mesany. Czy zdążył już dotrzeć na miejsce? Czy myśli o mnie tak często jak ja o nim?

Zanim rozpocznę szczegółową inspekcję rusztowań wewnątrz świątyni, mistrz Thomas wyznacza mi zadanie ponownego sprawdzenia krzyżulców na rusztowaniu pod kolejną serią przypór, które chce skończyć, zanim zacznie pracę nad sufitem. Właśnie o to kłóci się z Remim: klince są gotowe do stworzenia z nich łuków, Remi chce się już zająć sklepieniem, z kolei architekt martwi się, że rozbudowa wnętrza posunie się do przodu, zanim przypory zapewnią wystarczające wsparcie od zewnątrz.

– Łuki wytrzymają obciążenie! – krzyczy Remi, czym zwraca uwagę połowy robotników. – Mistrz chce, by wyglądało to tak, jakby tylko mistrz robił postępy w budowie!

Odpowiedź architekta jest o wiele cichsza.

– Istnieje tuzin powodów, przez które stawianie przypór może się opóźnić, zwłaszcza na wiosnę, gdy zimno i wilgoć sprawiają, że zaprawa wolniej schnie – mówi ze spokojem. – Obiecałem ci wolną rękę w sklepianiu sufitu, kiedy przyjdzie na to pora. Nie wcześniej. To żaden wyścig.

Mogę się założyć, że Remi zrobi z tego wyścig, gdy tylko mistrz pozwoli mu działać, i właśnie dlatego ten go powstrzymuje.

– Ale...

– Rzemieślniku la Fontaine – przerywa mu architekt. – Moja decyzja jest ostateczna. Jeśli się z nią nie zgadzasz, możesz odejść z pracy.

Remi oddala się ciężkim krokiem, gdy jego policzki oblewają się szkarłatem przypominającym kolor róż na witrażach w świątyni. Mistrz Thomas zwraca się do mnie z irytacją:

– Co tak stoisz? Masz zaległości w pracy. Remi miałby prawo część swojego gniewu wycelować w ciebie. – Odwraca się tak szybko, że jego szata powiewa, i dodaje: – I założ linę bezpieczeństwa, Catrin.

Uch. Mogłam się nie zatrzymywać, by posłuchać ich kłótni, ale nie byłam w stanie odwrócić wzroku. Przerzucając sobie pętle przez głowę, by zawisły ukośnie od ramienia aż po biodro, wracam do

inspekcji. Siniaki sprzed dwóch tygodni rozlały się po całym brzuchu w plamy przechodzące z fioletu w żółty. Nadal jednak bolą i nie lubię, gdy coś na nie naciska.

Nie lubię również myśleć o tym, że na początku wyglądały dokładnie jak rany Perrete.

Przez następne dwa dni jestem posłańcem pomiędzy Remim a mistrzem Thomasem, którzy niemal ze sobą nie rozmawiają. Ludzie uważający dziewczyny w moim wieku za małosłowne powinni zwrócić uwagę na to, jak uparci i ponurzy potrafią być dorośli mężczyźni, pokłóceni z powodu projektu, który obaj uważają za własny. Zaborczość architekta jest zrozumiała, biorąc pod uwagę, jak długo kieruje budową sanktuarium, ale robi krzywdę dziełu swojego życia, jeśli nie przekáže następcy narzędzi, dzięki którym ten będzie mógł kontynuować pracę.

No i Remi. Zaciskam zęby za każdym razem, gdy po mnie przychodzi. Musi zauważyć, ile spraw wymaga uwagi mistrza, i zrozumieć, że to właśnie on jest ostatecznie za wszystko odpowiedzialny. A ja muszę przestać mu wierzyć, gdy mówi, że to, czego ode mnie potrzebuje, jest „kluczowe”.

Całe szczęście trzeci dzień to Dzień Słońca i praca zostaje wstrzymana na czas nabożeństw w sanktuarium. Całą ceremonię spędzam, przypatrując się łukom galerii na drugim poziomie, gdzie siedzi rodzina Montcuirow. Słońce przedostające się przez witraże oślepia mnie do tego stopnia, że widzę ich dobrze, ale pod koniec nabożeństwa jestem pewna, że nie ma z nimi Juliane.

Budowa zostanie wznowiona po południowych litaniach, podczas których wielu farmerów poświęci owoce zebrane podczas połowy dnia pracy, by otrzymać o zachodzie słońca błogosławieństwo od wysokiego kapłana. Mam niecałe dwie godziny, zanim znów będę potrzebna, więc gdy Montcuirowie wychodzą, idę za nimi. Przypominając sobie, co Juliane mówiła o względach, jakimi darzy mnie Lambert, celowo wchodzę mu w drogę, gdy schodzi po schodach świątyni.

Jako pierwszy zauważa mnie Oudin.

– Witaj, Koteczku.

Wydaję z siebie odgłos obrzydzenia.

– Tylko Remi mnie tak nazywa.

– W takim razie to zaszczyt, że jestem w tak wyjątkowym towarzystwie. – Chichocze. – Wyglądasz na zagubioną. Twój dom jest w tamtą stronę. – Wskazuje ulicę wychodzącą z placu na południowy zachód.

Lambert jest w pobliżu, z kolei hrabia zniknął. Prawdopodobnie udał się do Pałacu Sprawiedliwości, by zrobić przegląd straży. Wzdycham.

– Chciałam zapytać o Juliane. Czuje się już lepiej?

Oudin parska.

– Dąsa się z powodu wyjazdu Simona i nie chce wyjść z pokoju.

To dość dziwne. Odwracam się do Lamberta, splatając palce pod brodą i podnosząc na niego wzrok.

– To brzmi źle. Mogę ją odwiedzić?

Lambert się rumieni.

– W zasadzie to może zrobić jej dobrze. – Oudin przewraca oczami, ale ja nie przestaję się uśmiechać do jego starszego brata.

Jednak zanim przyjmuję zaoferowane przez niego ramię, Oudin wciska się między nas.

– Hola, hola, bracie – karci go, biorąc mnie pod ramię. – Co powiedziałyby lady Genevieve, gdyby zobaczyła, że bawisz się z kociętami?

Zbiera mi się na wymioty, ale skupiam się na tym, co ważne: zobaczeniu się z Juliane. Lambert idzie za nami; ścięgnię na jego szyi napinają się jak liny na krążkach. Gdy docieramy do ich posiadłości, Oudin kładzie mi rękę na plecach i prowadzi mnie w górę schodów. Ich dom jest na tyle duży, że mieści po trzy pokoje po każdej stronie przejścia, w przeciwieństwie do naszego, gdzie na piętrze znajdują się ledwie dwa pokoje. Oudin zatrzymuje się przy drugich drzwiach po lewej i trzykrotnie do nich puka.

– Juliane! – woła. – Masz gościa.

Kątem oka dostrzegam, że Lambert wchodzi do pierwszego pokoju i zatrząskuje za sobą drzwi. Kilka sekund później Juliane otwiera.

Na światło dnia.

Z jej pokoju unosi się smród potu, brudnego ciała, odchodów... i strachu. Juliane zdaje się szczuplejsza niż zwykle, a jej oczy przypominają czarne doły podkrążone na fioletowo. Włosy zwisają

w rozczochranych strąkach wokół wymizerowanych policzków, jednak na mój widok się uśmiecha.

– Cat!

Cofam się pół kroku. Jej oddech również cuchnie.

Oudin robi pełną obrzydzenia minę, po czym unosi brew, jakby chciał powiedzieć: „Sama chciałaś to zobaczyć”, i się odwraca.

Juliane chwyta mnie za nadgarstek i wciąga do pokoju, po czym zamyka i rygluje drzwi. Światło jest tu tak nikłe, że ledwie cokolwiek widzę. Boję się poruszyć, żeby się o coś nie potknąć – na przykład o nocnik, który bardzo wyraźnie czuję.

– Przepraszam, że musisz na mnie patrzeć w tym stanie. – Głos Juliane brzmi zaskakująco pewnie.

Podchodzi do zakrytego deskami okna i zdejmuje z niego dwa kawałki drewna, żeby wpuścić światło i świeże powietrze.

Szybko podchodzę bliżej, wstrzymując oddech, dopóki nie poczuję na twarzy chłodnego wietrzyku. Dopiero wtedy przyglądam się reszcie pokoju, który jest pełen pogniecionych kawałków papieru i brudnych ubrań.

– Lady Juliane, co się stało?

Odwraca dłonie wewnętrzną stroną do góry i wskazuje otoczenie.

– Oto moje życie bez Simona.

Na początku wydaje mi się, że za nim tęskni, ale jej ton jest rzeczowy, jakby mówiła: „To dzieje się podczas deszczu”.

– Co masz na myśli? – pytam. – Jesteś tutaj uwięziona?

– Kiedyś byłam – przyznaje. – Nawet gdy miałam dobry dzień. Dopóki nie zjawił się Simon. On mnie uwolnił. – Macha wokoło dłońmi. – Choć to straszne, dopóki nie wróci, lepiej, żebym stąd nie wychodziła. Tutaj nic nie widzą.

Jej strach jest zaraźliwy.

– Kto nie widzi czego?

– Głównie mój ojciec i Oudin. – Kręci głową. – No i Lambert, chociaż jego akurat chcę po prostu oszczędzić. Wystarczająco się napatrzył na matkę.

– Lady Juliane, to, co mówisz, nie ma żadnego sensu. – Choć, prawdę mówiąc, jej słowa zwykle miały sens tylko w połowie przypadków.

Juliane wzdycha i odwraca się, przeczesując włosy palcami w nieudolnej próbie wygładzenia ich. Gdy dochodzi do łóżka, odwraca się gwałtownie, by na mnie spojrzeć.

– Posłuchaj, Catrin. Mówię ci to dlatego, że Simon ci ufa, a co za tym idzie, i ja ci ufam. – Bierze głęboki wdech i splata dłonie. – To ma wiele wspólnego z moją matką i jej chorobą.

– Twoją matką? – powtarzam jak idiotka.

Ostatnio wspominała, że kobieta chorowała przez całe życie, ale trudno mi ją sobie wyobrazić. Widziałam ją może raz.

– Tak. – Kiwa głową. – Ciało mojej matki było zdrowe. Z kolei jej umysł był bardzo dezorientowany. Przez wiele lat trzymano ją z dala od innych, w domu lub w naszej wiejskiej posiadłości.

Kiedy milknie, mam wrażenie, że ocenia moją reakcję.

– Na czym polegała ta dezorientacja? – pytam ostrożnie.

Juliane zaciska szczupłe palce, by zminimalizować ich drżenie.

– Słyszała głosy i wyobrażała sobie przerażające rzeczy. W jej głowie powstawały dziwne pomysły, które przeradzały się w skomplikowane urojenia, i nikt nie był w stanie jej przekonać, że nie są prawdziwe. Za każdym razem, gdy widziała Oudina, wrzeszczała, że jest demonem podstawionym przez kogoś, kto porwał jej prawdziwe dziecko. – Juliane odpędza łzy. – Lambert i ja jesteśmy starsi, więc pamiętamy lepsze czasy, ale Oudin jej nienawidził. I szczerze mówiąc, nie winię go za to.

Bierze kolejny głęboki wdech i kontynuuje:

– Ojciec nie mógł już dłużej patrzeć, jak jej stan się pogarsza, więc pogrążył się w pracy, w zarządzaniu Collis. Gdy wysłał mnie do klasztoru, gdzie otrzymałam edukację, ciężar opieki nad matką spadł na Lamberta. Aż w końcu był jedyną osobą, którą do siebie dopuszczała. Zdarzało jej się robić sobie krzywdę, gdy nie było go przy niej.

Bardzo współczuję Lambertowi, a nawet Oudinowi. A jeśli chodzi o Juliane – doskonała pamięć jest jej przekleństwem. Nie tylko nie może zapomnieć o niczym, co widziała i czego doświadczyła, lecz także każdą sytuację potrafi przywołać ze szczegółami.

Kiedy jej milczenie przedłuża się i staje niezręczne, odpowiadam:

– To musiało być dla was potworne.

– Tak. Nie wiem, co było gorsze: cała ta sytuacja czy konieczność udawania, że nic się nie dzieje. – Krzywi się. – No i nadal udajemy.

Łatwo zrozumieć, dlaczego Oudinowi nigdy nie zależało na nikim poza nim samym i z jakiego powodu hrabia miał obsesję na punkcie utrzymywania pozorów. Juliane opowiadała, jak po śmierci hrabiny Lambert skierował całą energię na opiekę nad siostrą, przez co czuła się ograniczona. Założyłam, że pojawienie się Simona sprawiło, że mogła polegać na kimś więcej niż tylko jednym męskim członku rodziny.

Ale teraz zdaję sobie sprawę, że to bardziej skomplikowane.

– Kiedy zauważyłaś u siebie te same objawy co u matki? – pytam.

Uśmiecha się delikatnie, jak Simon, gdy dochodzę do właściwego wniosku w sprawie.

– Małe znaki towarzyszyły mi całe życie – odpowiada. – Ale upewniłam się, kiedy miałam szesnaście lat. Ludzie zaczęli do mnie podchodzić na ulicy i coś mówić, zwłaszcza gdy byłam zmęczona. Często mówili to, co chciałam wiedzieć. Ale chociaż ich słyszałam, widziałam, czułam, a czasem nawet mogłam dotknąć, oni nie istnieli naprawdę.

Mrugam.

– To brzmi jak halucynacje po zażyciu skonii.

– Paradoksalnie skonia mi pomaga. – Robi ostrożny krok do przodu, jakbym była płochliwym zwierzęciem. – Coraz rzadziej wychodziłam, a gdy już to robiłam, bałam się z kimkolwiek rozmawiać. Nigdy nie mogłam być pewna, czy ten ktoś nie istnieje tylko w moim umyśle.

W noc zabójstwa Perrete pstryknęła palcami, by zwrócić uwagę Simona.

– Kiedy próbowałam się do ciebie odezwać, odpowiedziałaś mi dopiero, gdy Simon kiwnął głową – mówię. – Myślałam, że daje ci coś w rodzaju pozwolenia, ale on potwierdzał, że jestem prawdziwa.

– Owszem.

A ponieważ Simon pochodził z Mesany, rozumiał chorobę Juliane i znał sposoby na to, by zaczęła radzić sobie z urojeniami. Gdy rymowała lub wygadywała dziwaczne rzeczy, starał się ją uspokoić. Co więcej, pokazywał, że lubi jej towarzystwo, traktował ją jak równą sobie i cenił jej opinię.

– Czy Lambert wie? – pytam.

Juliane kręci głową.

– Po tym, co przeszedł z naszą matką, nie chcę go tym kłopotać. Z pewnością podejrzewa, że odziedziczyłam część jej szaleństwa, ale udało mi się ukryć, jak bardzo jest ze mną źle.

Nie jestem przekonana, że to prawda. Lambert musiałby być ślepy, by nie widzieć, co dzieje się z jego siostrą.

– Co miałaś na myśli, gdy powiedziałaś, że skonia pomaga?

Wzrusza powoli drobnymi ramionami.

– Simon chciał to sprawdzić. W połączeniu z walerianą i innymi ziołami na uspokojenie często spowalnia tworzenie urojeń w moim umyśle lub zupełnie je hamuje. Pomaga nagiąć lub przełamać ciąg myśli. – Wzdycha. – Jednak to nie zawsze działa. Czasem sprawia, że czuję się gorzej, po czym mnie usypia. Ostatnio dzieje się to częściej.

Tak wiele rzeczy nagle staje się jasne.

– I tą herbatą poczęstował mnie Simon.

– Tak, przepraszam. – Juliane przygryza wargę. – Nie zdawał sobie sprawy, jak mocna się stała po całonocnym parzeniu.

Sporo czasu zajmuje mi przetrwanie wszystkiego, co powiedziała. Łatwo jest uznać cierpiącą na szaleństwo osobę za kogoś, kto nie jest do końca człowiekiem, ale stojąca przede mną kobieta jest bardziej ludzka niż większość osób, jakie w życiu spotkałam. Matka Agnes mówiła, że w Mesanie osoby takie jak Juliane zabiera się do domów i troszczy o nie jak o własną rodzinę. To może być jedyne miejsce na świecie, gdzie choroby umysłu są traktowane tak samo jak choroby ciała – ze współczuciem i troską. Zastanawiam się, dlaczego Simon jej tam nie zabrał.

– Co mogę zrobić, by ci pomóc? – pytam w końcu.

Jej oczy napełniają się łzami, a uśmiech jest odrobinę roztrzęsiony.

– Nie wymyśliłaś żadnej wymówki, żeby stąd uciec zaraz po tym, jak mnie wysłuchałaś. To dla mnie więcej niż dużo.





## ROZDZIAŁ 27



Wkrótce jednak będę musiała opuścić Juliane. Dzwony świątyni zabrzmiały co najmniej ćwierć godziny temu, co oznacza, że rozpoczęły się już południowe modlitwy. Miałam dziś odwiedzić matkę Agnes, ale nie zdołam wpaść do niej chociaż na chwilę. Zresztą ledwie zdążę przebrać się z sukienki noszonej w Dzień Słońca i dotrzeć na budowę na tyle wcześnie, by mistrz Thomas nie był niezadowolony.

– Czego dowiedziałaś się od Emeline? – pytam Juliane. – Czy istnieje prawdopodobieństwo, że inne kobiety padły ofiarą tego samego mężczyzny?

– Tak, a konkretniej sześć – odpowiada. Gdy mija niezręczna atmosfera spowodowana jej wyznaniem, Juliane z powrotem staje się żywiołowa i skuteczna. – Biorąc pod uwagę, że Simon nie chciał, byśmy zapisywały ich nazwiska, najlepiej będzie, jeśli najpierw podam ci trzy, którym przyjrzesz się bliżej, a później kolejne. Przy większej liczbie mogłabyś coś zapomnieć lub pomieszać szczegóły.

To musi być dla niej dziwne, gdy widzi problemy, jakie inni ludzie mają z zapamiętywaniem. Czy to frustrujące, że nikt inny nie jest w stanie tak dokładnie wszystkiego przywołać, a może czuje ulgę, że ludzie zapominają to, czego nie chciałyby, żeby pamiętali?

Podaje mi nazwiska, daty i miejsca zabójstw pierwszych trzech kobiet i prosi, bym dwukrotnie je powtórzyła. Gdy jest pewna, że je zapamiętam, nakłania mnie do wyjścia.

– To nie jest przyjemne miejsce.

Nie chcę jej zostawiać w tym cuchnącym odosobnieniu.

– Co zrobisz, jeśli... znów będziesz miała problemy?

– Zajmie się mną madame Denise – odpowiada. – Robi to od zawsze.

Dzwony sygnalizują koniec modlitw i początek pracy, a ja jestem już spóźniona.



Przez następne kilka dni udaje mi się wkupić w łaski Remiego, wkładając dodatkowy wysiłek w inspekcję rusztowań wzniesionych pod jego łukowatymi ramami sufitowymi. Gdy mistrz Thomas w końcu pozwoli mu zacząć układać na drewnianej ramie kamienie mające stanowić żebra sklepienia, nie będzie musiał na mnie czekać. Architekta z kolei zadowolam, gdy sprawdzam, czy przypory odpowiednio odprowadzają wodę, zanim zdąży mnie o to zapytać. Dobra pogoda pozwala robić szybkie postępy i humory obu mężczyzn się poprawiają. Z kolei po egzekucji handlarza ziarnem polepsza się nastrój całego miasta.

W spokojniejszych chwilach pozwalam sobie rozmyślać o nieobecności Simona, jednak księżyc z każdym dniem przybywa, kawałek po kawałku, każdego dnia wschodzi i zachodzi nieco później. Do powrotu Simona będzie widoczny mniej więcej do północy.

A to oznacza, że mogę być pierwszą osobą, która się dowie, kiedy zabójca uderzy po raz kolejny.

Być może uda mi się go nawet powstrzymać.

Gdy mam chwilę, by wymknąć się ze świątyni, odwiedzam miejsca, w których znaleziono ciała trzech kobiet, o których wspominała Juliane – boczną uliczkę, rów melioracyjny i piwnicę. Jestem niemal pewna, że specjalnie wybrała kobiety znalezione w trzech różnych miejscach, bym mogła je łatwo rozróżnić. Kiedy wypytuję okolicznych mieszkańców, odpowiedzi są różne. Niektórzy chętnie

ze mną rozmawiają i pokazują dokładne ułożenie ciał, gdy zostały znalezione. Inni mruczą tylko pod nosem, że nic nie pamiętają. Udało mi się potwierdzić, że dwie z tych kobiet były prostytutkami, jednak trzecia niedawno wzięła ślub, a jej mąż natychmiast uciekł z miasta. Tę chyba możemy wykluczyć.

Juliane zgadza się ze mną, gdy odwiedzam ją trzy dni później. Nadal ma na sobie tylko szlafrok, ale wygląda nieco lepiej. Według Lamberta, który tym razem prowadzi mnie na piętro, jego siostra cierpi na potworne bóle głowy, ale sądzę, że to tylko jej wymówka, by zostawili ją w spokoju. Czuję ulgę, mogąc przekazać jej wszystkie informacje, bo mam pewność, że ona ich nie zapomni.

– Simon wraca pojutrze, prawda? – pytam, udając, że wcale skrupulatnie nie odliczałam dni.

– Taki miał plan – odpowiada. – Myślisz, że do tej pory uda ci się popytać ludzi o pozostałe trzy?

– Jeśli nadal będzie padało – odpowiadam.

Rozpadało się wcześniej rano, dzięki czemu zdołałam ją odwiedzić. Choć cieszę się z wolnego czasu, jaki daje mi zła pogoda, chmury zasłonią dziś księżyc, przez co nie poczuję swojego daru. Chciałam poeksperymentować ze śledzeniem ludzi na ulicy z różnych odległości.

Następnego dnia udaje mi się dowiedzieć czegoś tylko o dwóch kobietach, ale i tak idę z informacjami do Juliane i przeciągam swoją wizytę do popołudnia, by zwiększyć szanse na spotkanie z Simonem.

Nadal nie wrócił.

Sfrustrowana, wracam do domu, żałując, że nie poczekałam jeszcze kilku godzin. Moim jedynym pocieszeniem jest to, że po dwóch dniach wypełnionych deszczem niebo zaczęło się przejaśniać. Wpatruję się przez okno w wędrujący po nim półksiężyc, podczas gdy słońce opada za horyzont. Mój dar jest o wiele wyraźniejszy po zmierzchu, ale i tak mam wrażenie, że zmysły są delikatnie wyostrzone, gdy tylko księżyc się pojawia.

Pukanie do drzwi mojego pokoju sprawia, że podskakuję. Po chwili zdaję sobie sprawę, że odgłos dochodzi z dołu. Uśmiecham się. Rzeczywiście słyszę lepiej.

Wiedząc, że mistrz wyszedł na kolację z jednym z darczyńców, a pani la Fontaine położyła się godzinę temu z powodu kataru,

spieszę po schodach, by otworzyć drzwi, w nadziei że to Simon.

To on.

Mam na sobie ubranie robocze: prostą spódnicę do kolan z czymś na kształt fartucha, by jej nie pobrudzić, ale zadbałam dziś o wygląd, w nadziei że go spotkam. Jego mina upewnia mnie, że warto było spędzić tyle czasu na tapiowaniu włosów przed małym lusterkiem i układaniu ich w ładną fryzurę.

– Cat – szepcze, mrugając szybko.

Uśmiecham się nieśmiało.

– Simon. Cieszę się, że wróciłeś. Czy Juliane już wie?

Odsuwam się, by mógł wejść do pracowni.

– A, tak. Już z nią rozmawiałem. Chciałem ci podziękować za wszystko, co zrobiłaś pod moją nieobecność.

Oczywiście, że najpierw pojechał do domu. Ale przyszedł tu tylko po to, by mi podziękować, czy miał jeszcze jakiś inny powód?

– Nie ma za co – mówię, zamykając drzwi, po czym się o nie opieram. – Ale nie musiałeś iść taki kawał tylko po to, by mi to powiedzieć.

– Ach, to żaden kłopot. – Odrzuca przez ramię poję peleryny, po czym unikając mojego spojrzenia, pociąga klamrę uciskającą go w szyję. – Akurat wtedy przechodziłem.

Staram się ukryć rozczarowanie.

– Ach, w takim razie nie ma za co – powtarzam jak idiotka. – Czy któraś z nich zwróciła twoją uwagę?

– W zasadzie tak. – Teraz na mnie patrzy, ale rozmawiamy już o śledztwie. – Myślę, że ta znaleziona trzy lata temu w kanale ma największy potencjał. Idę właśnie do madame Emeline poprosić o więcej informacji.

Marszczę brwi, żałując, że moja pamięć nie jest choć w połowie tak dobra jak pamięć Juliane.

– Która to była? – pytam niepewnie. – Myślałam, że ta mężatka, ale chyba je pomieszałam.

– Nie, to właśnie o niej mówię – potwierdza.

Kobieta została uduszona, w przeciwieństwie do Perrete i Ysabel, a jej twarz dostała kilka ciosów, natomiast oczy pozostały nietknięte. Simon wyprzedza moje pytanie.

– Tego... typu rzeczy eskalują – mówi. – Zresztą mam pewną teorię. – Składa dłonie, jakby się modlił. – Być może zabił tę kobietę w ataku wściekłości, dusząc ją i bijąc tym, co miał pod ręką: glinianym dzbanem albo kamieniem, może nawet uderzał nią o ścianę. Pierwsze zabójstwa zwykle są niechlujne i bezładne, ale bardzo ekscytujące. Od tamtej pory chciał przeżyć to ponownie, jednocześnie podążając za jakimś planem. Skoro w pobliżu nie znaleźliśmy niczego, co mogło spowodować obrażenia Perrete i Ysabel, być może przyniósł własną broń.

– Jaką broń? – pyta czyjś głos.

Odwracamy się, by zobaczyć Remiego stojącego u podnóża schodów, obok przybitego ponownie pergaminu i nagich kołków wbitych w ścianę tuż nad nim. Podchodzi bliżej, a jego wełniana peleryna zwisa z przedramienia.

– Młotek?

Na pochmurne niebo. Nie rób tego, Remi – błagam go w milczeniu zza Simona. – Proszę, nie.

– Być może – zgadza się Simon. – Nie znam się zbyt na młotkach.

– Ale ja tak i widziałem, co stało się Perrete – mówi Remi. – Musiałby być większy i cięższy niż zwykły młotek, coś używanego do poważniejszych prac. – Zatrzymuje się kilka metrów przed nami, a jego zielone oczy są wpatrzone w moje. – To może być dość charakterystyczne narzędzie. A jeśli zabójca pracuje w świątyni?

– Tak jak połowa miasta – odpowiadam zdawkowo. – Twoja pomoc nie jest nam potrzebna, Remone.

Remi parska.

– I to tyle, jeśli chodzi o twoje zapewnienia, że śledztwo dobiegło końca. Przynajmniej nie jestem jedyną osobą, której nie mówisz całej prawdy. – Wykonuje drwiący ukłon i kieruje się w stronę drzwi. – Jeśli mogę państwa przeprosić.

– Dokąd idziesz? – Nie usuwam mu się z drogi. – Jest już noc.

Zatrzymuje się z dłonią na ryglu i mruży oczy.

– Ty mi się z niczego nie tłumaczysz, Koteczku, a ja nie tłumaczę się tobie. Nie pamiętasz?

– Chcę po prostu wiedzieć, co powiedzieć mistrzowi, jeśli zapyta – warczę.

Remi niedbale wzrusza ramionami.

– Chciałem pójść do madame Emeline, ale wygląda na to, że będzie tam dziś tłoczno. – Ostatnie słowa kieruje z ironicznym uśmiechem do Simona, po czym odsuwa mnie na bok, otwiera drzwi i wychodzi, nie oglądając się za siebie.

Zatrząskuję za nim drzwi i czuję, że mi niedobrze.

– Plotkuje jak stara baba – mówię Simonowi. – I nie przepada za tobą.

– W takim razie to dobrze, że wie o moim powrocie – odpowiada niewzruszony. – Jeśli coś o mnie powie w karczmie, być może usłyszą to właściwe uszy.

Owszem, ale jeśli się upije i zacznie gadać o nietypowych młotkach?

– Ale przykro mi, że przeze mnie musisz okłamywać architekta – dodaje.

Ramiona opadają mi z ulgi, bo założył, że to mistrzowi nie mówię prawdy.

– Zrozumie to. – Wykręcam dłonie.

Może powinnam powiedzieć Simonowi o zaginionym młotku. Mogłabym się zachowywać, jakbym dopiero teraz połączyła fakty.

Choć Remi był złośliwy i protekcyjny, może właśnie na to dawał mi szansę.

– Simon... – zaczynam. – Tak sobie myślałam.

– Powinienem już iść – mówi raptownie. – Robi się późno, a ja muszę pójść... tam, gdzie dostanę odpowiedzi na swoje pytania.

Wiem, że to głupie, ale nie chcę sobie go wyobrażać u madame Emeline. Idzie tam tylko po informacje.

– Jeszcze przez jakiś czas się nie kładę – informuję go. – Możesz zatrzymać się u mnie w drodze do domu, będziemy mogli przedyskutować to, czego się dowiesz.

Być może do tego czasu uda mi się wymyślić, w jaki sposób powiedzieć mu to, co wiem.

On jednak kręci głową.

– Nie czekaj na mnie. Prawdopodobnie zajmie mi to kilka godzin, a być może w ogóle nie wrócę na noc.

– Spodziewasz się, że zabójca uderzy dziś? – pytam.

Potrzebuję zapewnienia, że to jedyny powód, dla którego miałby tam zostać do rana.

– Sądzę, że pragnie mi pokazać, że jestem bezsilny i nie dam rady go powstrzymać – odpowiada. – Ale nie martw się. Nie będę po prostu czekał, aż zacznie działać.

To odniesienie do naszej kłótni sprzed jego wyjazdu. Zastanawiam się, czy tak samo często jak ja myślał o tym, co prawie wydarzyło się po niej.

– Mogę pójść z tobą? – wypalam.

Simon uśmiecha się nerwowo.

– Doceniam twoją propozycję, ale czajenie się po nocach w okolicach Drogi Rozkoszy nie jest dobre dla mojej reputacji, a co dopiero dla twojej. – Próbuje żartobliwie odmówić.

– Nie dbam o to.

– Może ty nie, ale ja tak, poza tym – zbliża się do mnie – to może być niebezpieczne. – Jego oczy błędzą po mojej twarzy, a wymuszony uśmiech zmienia się w coś prawdziwego. Unosi dłoń i wodzi palcem pod moją brodą. – Znam to uparte spojrzenie. Ale musisz mi obiecać, że nie zrobisz nic głupiego.

– Ja? – odpowiadam z wymuszonym humorem. – Mam zachowywać się rozsądnie?

– Proszę – odpowiada szeptem. – Choćby dlatego, że ja przy tobie nie potrafię zachowywać się rozsądnie, a potrzebuję dziś całego swojego rozumu.

Przecież on nie może mówić takich rzeczy i oczekiwać, że będę się zachowywała racjonalnie.

– Nie zrobię nic głupiego – szepczę.

– To dobrze, bo nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. – Simon bierze głęboki wdech i przez jedną wspaniałą sekundę mam wrażenie, że mnie pocałuje, ale zamiast tego powoli wypuszcza powietrze i cofa się o krok. – Muszę iść.

Stoję jak przytwierdzona do podłogi, podczas gdy on wychodzi. Następnie liczę do dwudziestu, po czym rygluję drzwi i idę do swojego pokoju.

Wiem, że złożyłam obietnicę, ale moja definicja głupoty jest inna niż jego, zwłaszcza że mam pewne umiejętności bardzo przydatne w nocy.



## ROZDZIAŁ 28



Chcąc jak najdłużej widzieć księżyc, wspinam się na spiralne schody wieży w nawie bocznej, na którą wyszłam z Simonem, i kieruję się na jej przedostatni poziom, graniczący z dachem. Wchodzę w cień przez jedno z okien wysokich na trzy piętra i zakończonych łukiem, kładę lewą dłoń na kamiennej ramie, zatrzymuję się na moment, by uspokoić oddech, i całym ciałem wchodzę w blask księżyca.

Dźwięki, zapachy i odczuwanie dotykem są bardziej natężone, ale nie tak, jak bym tego chciała. Księżyc jest o ponad połowę mniejszy niż wtedy, gdy po raz pierwszy używałam tej magii. Choć lepsze to niż nic, rozczarowanie osadza się w moim brzuchu niczym grudka gliny.

Wzmocniony zmysł dotyku mnie rozprasza, odsuwam więc dłoń, jednak zawiewający mi w plecy wiatr sprawia, że przechylam się w stronę uskoku przed palcami stóp, dlatego muszę oprzeć się przedramieniem o wapień. Zamykam oczy i próbuję się skoncentrować.

Noc jest jeszcze młoda, mężczyźni i kobiety śmieją się i wołają do siebie, że ktoś jest im winny duże piwo. Przyjaciele opuszczają swoich kompanów i wracają do domów. Wśród nich powinien być mistrz Thomas, jednak nie słyszę nikogo, kto z całą pewnością



mógłby być nim. W okolicach Drogi Rozkoszy słysząc pukanie, otwieranie i zamykanie drzwi. Stopniowo hałasy cichną i coraz więcej ludzi wraca do domu na noc.

Mija godzina, a ja nadal nie słyszę nic podejrzanego. Przeszuję z jednej obolałej stopy na drugą i opieram ramię o fasetową kamienną ramę. Do żadnego z poprzednich morderstw nie doszło przed północą, a zanim ta nastąpi, księżyc zdąży zniknąć. Całe to wyjście nie ma sensu.

Wzdycham i otwieram oczy. Dolna krawędź księżycy ginie za horyzontem, zabierając ze sobą ostatnią szansę, bym cokolwiek dziś wyczuła.

*Czego chcesz?*

Nagle coś przyciąga mnie do przodu niczym niewidzialna lina bezpieczeństwa zawiązana wokół talii. Świat wokół zaczyna się poruszać, znajdujący się nade mną kamień wyrzeźbiony w łuk zmienia kształt, a wystający ze ściany gargulec dwukrotnie się wydłuża. Robię krok w tył; góruje nade mną sylwetka mężczyzny. Stoi nieruchomo, a pod jego wyciągniętym ramieniem zwisa księżyc. Pod stopami czuję trawę, coś ogrzewa mi plecy.

Jestem gdzie indziej. Jestem kimś innym.

*Nie będę się opierać, proszę. Błagam. Zrobię wszystko, czego chcesz.*

Mocne pchnięcie posyła mnie na ziemię. Ląduję na czworakach, ale ciężar na moich plecach przyciska mnie w dół, aż w końcu nawet powietrze zostaje siłą wypompowane z moich płuc.

Dłonie głaszczą mój warkocz, po czym coś ciągnie mnie za głowę, podnosząc na tyle, bym zdołała złapać krótki oddech. Jeszcze nigdy się tak nie bałam.

To on zabił Ysabel i Perrete. A teraz zabije i mnie.

Jednym ruchem odcina mi włosy i przez chwilę nie czuję ciężaru na plecach. Gorączkowo rzucam się do przodu, jednak po chwili coś ciężkiego uderza mnie między łopatkami. Czuję ból, a potem coś wewnątrz mnie się łamie, a ja ponownie upadam. Nic mnie nie przytrzymuje, ale moje kończyny nie chcą się poruszać. Nie mogą. Czyjaś dłoń chwyta to, co zostało z włosów, i znów podnosi mnie za głowę.

*Czego chcesz?*

Choć moje usta się poruszają, nie mam siły, by nawet wyszeptać te słowa.

Jego gorący oddech uderza mnie w ucho.

– Chcę, żebyś umarła.

Coś zimnego i ostrego przyciska się do mojego odsłoniętego gardła. Czuję, jak wypływa ze mnie ciepła ciecz, leje się po klatce piersiowej. Gwałtownie nabieram powietrza, ale to nie ono dostaje się do płuc, tylko krew. Tonę w niej. Każda próba wzięcia oddechu jest jeszcze bardziej daremna niż poprzednia. Od czubka głowy rozchodzi się zimno, spływa po twarzy jak woda. Robi mi się ciemno przed oczami.

*Nigdy bym nie pomyślała, że to możesz być ty.*

Czerń zakrada się z zewnątrz do środka, aż w końcu widzę jedynie jasny księżyc zachodzący za odległymi wzgórzami. Jego ostatni fragment chowa się za horyzontem, a ja wraz z nim spadam do piekła.

Zataczam się do tyłu i potykam, ląduję na pupie, czując szarpnięcie bólu. Potem z głuchym odgłosem, który odbija się w czaszce, uderzam o ziemię głową. Przez kilka sekund wpatruję się w ciemność.

Co się właśnie stało? Gdzie ja jestem?

Kim jestem?

Słyszę szelest i gruchanie gołębia przelatującego z gałęzi na gałąź. Jego widmowy kształt znika w mroku. Zaciskam palce, które przesuwają się po czymś, co w dotyku przypomina kamień. Podnosząc się, zdaję sobie sprawę, że jestem w południowej wieży sanktuarium i siedzę na podłodze pokrytej ptasimi odchodami. Księżyc zniknął, a przez wysokie okna przedostaje się jedynie blask gwiazd. Wstaję, dziękując słońcu, że upadłam do tyłu, a nie do przodu.

Choć to nie ma sensu, wiem, że kilka sekund wcześniej byłam kimś innym – kimś, kto teraz już nie żyje. Ale widziałam to co ona. Słyszałam to co ona i czułam to co ona – dopóki nie pozostało już nic. Ale gdzie to było?

Rosła tam trawa i wyraźnie widziałam stamtąd księżyc. To zawęza listę do usianych wzgórzami terenów otwartych na zachód, a jest ich w Collis kilka.

Rozglądam się, przeklinając księżyc, że zniknął wtedy, gdy najbardziej go potrzebowałam. Ciemny kształt gargulca blokuje mi część widoku, a ja przypominam sobie, jak się przemienił i stał się posągiem mężczyzny trzymającego w dłoni zwój.

Wiem, co to za miejsce.

Odwracam się, zbiegam ze schodów i wychodzę na rynnę, z której przeskakuję na rusztowanie. Zamiast z niego zejść, zjeżdżam po słupach, trzęsąc się tak bardzo, że dwa razy niemal spadam, ale dzięki temu jestem na dole w mniej niż minutę. Następnie pędzę przez plac na Ścieżkę Modlitwy.

Ulica zakręca wraz ze skrajem zбочa, ale iglica starożytnej Świątyni Słońca pozostaje widoczna z odległości. Zakręcam po raz drugi i mijam uliczkę, w której zabito Perrete. Przy ostatnim zakręcie stoi lampa, a obok są drzwi, które otwierają się, by kogoś wpuścić. Każda sekunda jest cenna, wbiegam więc w nie, uderzając w drewno, zanim zdążą się zamknąć.

– Simon! – Dyszę. – Potrzebuję Simona z Mesany!

Kobieta, która nie jest madame Emeline, odsłania zęby.

– Nie ma go tutaj. – Wciąga klienta głębiej w ocienione wejście i blokuje mi drogę. Mdlący słodki zapach jej perfum uderza mnie w nozdrza, gdy kobieta nachyla się do mnie, sycząc: – Wynoś się stąd, bo zawołam straż.

Albo nie może, albo nie chce mi pomóc. Zmarnowałam prawie pół minuty. Odwracam się i pędzę w dół ulicy.

– Morderstwo! Szybko! Pomocy!

Ulica kończy się przy świątyni. Okrążam jej zakrzywione ściany i zatrzymuję się gwałtownie na skraju szerokiej połaci trawy. Pośrodku na wysokim cokole stoi rzeźba, połyskująca szarym blaskiem w świetle gwiazd. Pod nią zgarbiona sylwetka powoli odsuwa się od ciemnego kształtu i podnosi się, by na mnie spojrzeć.

Być może za chwilę umrę dziś po raz drugi. Nawet gdybym była przygotowana do walki z mężczyzną jego postury, paraliżuje mnie wspomnienie tego, co jej zrobił – co zrobił mnie. Biorę głęboki wdech, by krzyknąć – to moja jedyna obrona.

Nagle rozbrzmiewa dzwon w iglicy, nie na alarm, ale by wezwać wierzących na modlitwy o północy. Odruchowo na niego zerkam, a gdy mój wzrok znów chce spocząć na mężczyźnie, jego już nie ma.

Dokąd poszedł?

Świątynia jest ledwie kilka metrów stąd, a ja zrywam się, by przycisnąć plecy do ściany i ustawić się w takim kierunku, z którego nikt nie będzie mógł mnie zaatakować. Rozglądam się szaleńczo wokoło, podczas gdy dźwięk dzwonów odbija się od budynków, zagłuszając wszystkie inne odgłosy. Czuję się na tyle bezpiecznie, by wychylić się i spojrzeć na rzeźbę. Jedyne widoczne tam cienie to ten leżący bez ruchu na ziemi. Nie myśląc, odpycham się do ściany i biegnę prosto w jego stronę.

Ledwie zdołam dotknąć stopami trawy, gdy ktoś atakuje mnie od tyłu.



## ROZDZIAŁ 29



Lądując, uderzam bokiem głowy o ziemię, a siła uderzenia na moment wybija wszystkie myśli z mojego umysłu.

– Na przekłętą noc! Czy ty próbujesz dać się zabić? – Simon oddycha ciężko przy mojej szyi, co tak bardzo przypomina mi to, co widziałam w wizji, że wrzeszczę i go odpycham.

Przetacza się po ziemi i siada, zdyszany poprawiając pelerynę.

– On tu był! Widziałam go! – krzyczę.

Rozglądam się gorączkowo, wszystko widzę podwójnie. Rzuca się na mnie dwóch Simonów, ale tylko jeden bierze mnie w ramiona i przytula do piersi. Słyszę bicie jego serca, gdy gładzi mnie po włosach i kładzie policzek na czubku mojej głowy.

– Nic ci nie jest – szepcze bez końca, chociaż brzmi to tak, jakby zapewniał sam siebie. – Nic ci nie jest.

Gdy stopniowo zaczynam widzieć normalnie, skupiam się na obserwującym nas mężczyźnie, kucającym na skraju trawy. Kształt jego oczu jest dziwnie widoczny, są jak wydrążone czarne łyzy, w których połyskuje coś srebrnego. Odpycham Simona.

– Ktoś tam jest.

– Gdzie? – Puszczam mnie i się rozgląda.

Nie udaje mi się nawet wskazać palcem, bo mężczyzna znika.

Na ulicy prowadzącej na północ widać kołyszące się światło latarni.

– To miejski strażnik – mówi Simon.

Podrywa się na nogi, by pomachać do mężczyzny i wezwać go, by jak najszybciej tu podszedł. Gdy strażnik biegnie w naszą stronę, Simon podaje mi rękę, by mnie podnieść. Przez chwilę kręci mi się w głowie i muszę się o niego oprzeć; jego usta muskają moje czoło, ale nie mam pewności, że zrobił to celowo.

– Catrin, co ty tu robisz, na słońce? Obiecałaś, że zostaniesz w domu.

Z całą pewnością niczego takiego nie obiecywałam.

– Gdzieś ty się podziewał? – pytam stanowczo. – Powiedziałeś, że idziesz do madame Emeline.

– I tam byłem. Słyszeliśmy cię przy drzwiach wejściowych. Jak myślisz, skąd wziąłem się tutaj tak szybko?

Dobiega do nas strażnik, z trudem łapiąc oddech, i unosi latarnię. Simon mruży oczy i osłania twarz przed światłem, lecz mężczyźni udaje się go zidentyfikować.

– Venatre! Co się stało?

– Doszło do kolejnego morderstwa – mówi Simon. – Bij na alarm i obudź burmistrza, ale najpierw oddaj mi latarnię.

Mężczyzna podaje mu latarnię i odbiega, dmąc w róg, który zdjął sobie z paska. Simon pociera lewe oko wolną dłonią i się odwraca.

– Przyjrzyjmy się ciału, zanim zbiorą się gapie.

Wzdrygam się, bełkocząc:

– Nie dam rady.

Chwyta mnie za łokieć i ciągnie w kierunku kształtu leżącego na ziemi.

– Ale to zrobisz. W końcu po to tutaj jesteś, prawda?

Nie mogę mu wyjaśnić, że patrzenie na nią spowoduje, że na nowo będę przeżywać to, co się stało. Że będę wiedziała, które części jego domysłów na temat tego, w jaki sposób umarła, są prawdziwe. Ale z drugiej strony rozumiem jego gniew. Simon bez wyrzutów sumienia zmusza mnie, bym podeszła bliżej, a po moich policzkach płyną łzy.

Przytrzymuje latarnię nad ciałem.

– Jakie są twoje obserwacje? – pyta.

Ocieram policzki roztrzęsionymi dłońmi.

– Leży na plecach, ale została na nie przesunięta po tym, jak podciął jej gardło. Jej twarz została zmiażdżona... – Walczę ze sobą, by zdusić to, co podeszło mi do gardła. – Czymś ciężkim.

Simon kiwa głową.

– Nie widzę tu niczego, co z pewnością można by uznać za narzędzie zbrodni, musiał je więc ponownie zabrać ze sobą. – Zerka na ludzi wychodzących z domów, którzy chcą zobaczyć, co to za poruszenie. Nie zostało nam wiele czasu, nim zbierze się publiczność. – Co jeszcze?

– Wydłubano jej oczy, tak jak Ysabel. I... i jej ramiona wyglądają dziwnie, jakby uderzył ją w plecy. Może gdy próbowała uciec.

Simon nachyla się nad ciałem, próbując zobaczyć to, co opisuję.

– Nie wiem, dlaczego tak sądzisz, ale być może zgodzę się z tobą po tym, jak później się jej przyjrzę. Co jeszcze, Catrin?

– Jej spódnica i halka są podciągnięte ponad talię. – Dławię się. – Obnażając... wszystko.

Czuję ulgę, kiedy Simon opuszcza spódnicę z powrotem do kolan.

– Dowód na napaść seksualną – mówi.

– Po jej śmierci? – Myślałam, że nie mogło jej już spotkać nic gorszego.

Uginają się pode mną kolana i odwracam się, by zwymiotować. Znajduję się teraz w tej samej pozycji co ofiara, zanim została przygwożdżona do ziemi. Gdy Simon klęka obok mnie i kładzie mi rękę na plecach, panikuję i wykręcam ją, po czym kładę swoją na trawie mokrej od krwi.

*Nigdy bym nie pomyślała, że to możesz być ty.*

Znajoma myśl przepływa przez mój umysł. Raptownie łapię powietrze i chwytam się za gardło, by się upewnić, że nie zostało przecięte. Rozsmarowuję przy tym krew na swojej szyi.

*Nigdy bym nie pomyślała... nigdy bym nie pomyślała...*

Simon zbliża się, a w jego błękitnych oczach widać troskę.

– Cat?

*...że to możesz być ty.*

Cofam się na czworakach, by odsunąć się od zakrwawionej trawy, aż zderzam się z cokołem rzeźby. Odwracam się i chwytam się jego krawędzi, jakbym spadała z klifu, przyciskając policzek do chłodnego

marmuru. Simon znów do mnie podchodzi, tym razem wolniej, i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– To, co ją spotkało, to nic nowego, prawda? – pytam. – To samo zrobił Perrete i Ysabel. Po prostu nam o tym nie powiedziałaś.

Simon przytakuje.

– Przepraszam. Niektórych rzeczy nie chciałem ubierać w słowa. – Nachyla się i delikatnie chwyta mnie za ramię. – Chodź. Musisz wstać. Jeszcze nie skończyliśmy.

Pozwalam mu, by pomógł mi się podnieść. Z oddali widzę coraz więcej latarni i świec. Na miejsce przybyło kilku strażników, niektórzy gapią się tępo, a inni próbują odsunąć tłum, który napiera niczym stado owiec wpatrujących się w świeżą trawę. Simon okrąża ciało, trzymając latarnię nisko nad ziemią, jakby czegoś szukał.

– Nie ma – mruczy pod nosem po obejściu ofiary dookoła.

Następnie klęka, uważając, by nie trafić na zakrwawioną trawę, i przechyla na bok zniekształconą głowę dziewczyny.

– Odciął jej włosy – mówi tak cicho, bym tylko ja usłyszała.

– A wcześniej szukałaś warkocza Ysabel – stwierdzam, gdy dociera do mnie, co robił przed chwilą.

Ponownie wstaje i zbliża się do mnie, nadal szepcząc:

– Tak. Sądzę, że pozostawianie na miejscu włosów poprzedniej ofiary jest czymś, co uważa za konieczne. Pozbywa się starego, tak jak mówiłaś. – Marszczy brwi, a cień rzucany przez lampę sprawia, że wydają się gęstsze. – Jeśli naprawdę tak jest, to bardzo źle, że tym razem ich nie zostawił.

To na pewno nic dobrego, ale mam wrażenie, że coś mi umknęło.

– Dlaczego?

Wskazuje na ciało dziewczyny.

– Przerwałaś mordercy, zanim zdołał skończyć to, co zaczął.

Czuję mrowienie na blednącej twarzy.

– Myślisz, że to oznacza, że wkrótce zabije po raz kolejny?

Simon kiwa głową.

– Być może nawet jeszcze dziś w nocy.

Garbię się, opierając o marmurowy cokół. To moja wina. Leżąca tutaj kobieta już nie żyła, ale gdybym przyprowadziła do niej strażnika, zamiast biegać dookoła i wrzeszczeć, mielibyśmy szansę



go schwytać. Zamiast tego skazałam kolejną kobietę na zostanie ofiarą chorej żądzy tego potwora.

– Musimy się dowiedzieć, kim ona jest – mówię otępiałym tonem.

– Zapewne madame Emeline będzie wiedziała.

– Zgadzą się. – Simon woła jednego ze strażników i prosi, by ją przyprowadzono.

Następnie odkłada latarnię i opiera się o podstawę rzeźby, tuż obok mnie.

– Dlaczego wyszłaś z domu w nocy, Cat? – pyta cicho. – Przecież właśnie ty powinnaś wiedzieć, jakie to niebezpieczne.

Jak mogę to wyjaśnić? Przecież nigdy mi nie uwierzy. Czasem sama w to nie wierzę, a już na pewno tego nie rozumiem.

– Nie szukałam kłopotów – szepczę. – Byłam w sanktuarium.

– Robiłaś inspekcję?

– Nie. – Opieram głowę o cokół i zamykam oczy. – Wpatrywałam się w księżyc.

Czuję ulgę, gdy nie zadaje kolejnych pytań. Minuty mijają powoli, a tłum gromadzący się wokół świątyni rośnie. Po jakimś czasie Simon prześlizguje dłoń po marmurze i odnajduje moją. Nie opieram się, więc splata swoje palce z moimi. Mam wrażenie, że to przeprosiny, ale nie jestem pewna za co. Być może za to, że zmusił mnie, bym zobaczyła całokształt horroru, jakiego dopuszcza się tamten mężczyzna – tamten potwór. Albo za to, że nie powiedział mi o tym od razu. A może za to, że zezłościł się, gdy mnie tu dziś znalazł.

Wraca strażnik. Simon puszcza moją dłoń i się prostuje. Ja również odpycham się od cokołu, by się z nimi spotkać, jednak ze strażnikiem nie przychodzi Emeline, tylko Remi.

Simon marszczy brwi.

– Gdzie jest madame Emeline?

Spojrzenie podkrążonych oczu Remiego pada na mnie.

– Nie żyje.



## ROZDZIAŁ 30



Perrete. Ysabel. Nichole. Emeline.

Nie sędzę, że Simon zdaje sobie sprawę ze zbiegu okoliczności, gdy przybija do ściany kawałek papieru, czuje jednak tę samą odpowiedzialność, jaką architekt czuje za swoją listę. Tę samą determinację, by nie dodać do niej kolejnych imion. Na ścianę wróciły również szkice, które zawiesił wokół map wraz z rysunkami z poprzedniej nocy.

Śledztwo oficjalnie otwarto ponownie, a Simonowi przywrócono tytuł. Na początku hrabia próbował winić go za to, że w ogóle je zamknęto, ale Simon przed wyjazdem przekazał wysokiemu kapłanowi list, w którym szczegółowo opisał, dlaczego sprzeciwia się zrzuceniu całej winy na straconego człowieka. Kapłan otrzymał również podpisany list polecający od duchownego tej samej rangi z Mesany, więc publicznie wstawił się za Simonem, a hrabia odpuścił.

Przeczcucie Simona, że Beatrez przed ślubem parała się prostytutką, było jedynym tematem, który zdążył przedyskutować z Emeline. Po opuszczeniu domu architekta przez kilka godzin odwiedzał okoliczne karczmy, by wieść o jego powrocie się rozeszła. Właśnie usiadł do rozmowy z Emeline, gdy się tam zjawiłam, waląc

w drzwi. Kiedy zapytałam, dlaczego powiedziano mi, że go tam nie ma, wzruszył ramionami i wyjaśnił, że pewnie mówią tak każdej kobiecie, która szuka tam mężczyzny.

Nie byłam zaskoczona, gdy okazało się, że Oudin jest w stanie podać nam kilka szczegółów na temat Beatrez. Kolor jej włosów okazał się podobny do koloru warkocza, który znaleźliśmy przy Perrete. Wszyscy założyli, że to mąż ją zabił, bo chwilę później zniknął. Jednak Oudina zapytano o bardziej bezpośrednią znajomość, choć raz okazał się rozważny.

Juliane sumiennie spisuje z pamięci zeznania z tamtej nocy, a Oudin krąży w tę i w tę pod ścianą. Zakładam, że jego obecność jest tolerowana jedynie ze względu na to, że to on zidentyfikował wczorajszą ofiarę jako Nichole. Z uwagi na to, że każdą ofiarę znał osobiście, jest przekonany, że ktoś na niego poluje.

– Śmierć Emeline nie pasuje do pozostałych – mówi. Ostatnie kilka godzin najwyraźniej uczyniło z niego eksperta. Wskazuje wiszący na ścianie rysunek ciała w pozycji, w jakiej znaleziono ją w kuchni jej domu – tej samej, w której siedziałam zaledwie kilka dni temu wraz z Juliane. – Podcięto jej gardło i czymś uderzano, ale zamiast oczu usunięto język.

Nie została również zgwałcona, w przeciwieństwie do pozostałych, ale to wiemy tylko ja i Simon.

– Jesteś pewien, że została zabita przez tego samego mężczyznę?  
– pyta Oudin.

Na lnianej szmatce przed Simonem leży zakrwawiony pukiel włosów grubości mojego małego palca i długości przedramienia. Chłopak przesuwa wzdłuż niego szczupłym palcem.

– Jestem pewien – odpowiada cicho. – Zostawił go w ustach Emeline jako wiadomość. Chce mi powiedzieć, że uciszył jedyną osobę, która mogła dać nam jakieś odpowiedzi.

Lambert kręci głową.

– Za bardzo wierzysz, że ten szaleniec jest w stanie racjonalnie myśleć.

– Wręcz przeciwnie – odpowiada Simon. – Do tej pory go nie doceniałem i właśnie dlatego jest dwa kroki przede mną.

– A może to dlatego, że siedzisz tutaj i nic nie robisz – mówi Oudin.

Simon mruży oczy.

– Nie przypominam sobie, bym prosił cię o pomoc.

– To jasne, że jej potrzebujesz – warczy Oudin. – Połowa twoich informacji pochodzi ode mnie. Gdyby nie ja, nie poznałbyś nawet imienia Nichole.

Zamiast odpowiedzieć na to absurdalne twierdzenie, Simon wyciąga z torby stertę zapisanych pergaminów i zaczyna je przeglądać.

– Wiesz, dlaczego pojechałem do Mesany, kuzynie? – pyta.

Oudin krzyżuje ręce na piersi.

– Zakładasz, że w ogóle zauważyłem twoją nieobecność.

Simon wyciąga jedną z kartek i uważnie jej się przygląda.

– Chciałem się skonsultować z mężczyzną, który prowadził wiele śledztw podobnych do tego. – Milknie, ale Oudin nie odpowiada. – Podzieliłem się z nim szczegółami na temat morderstw Perrete i Ysabel i poprosiłem o opinię. Zgodził się z każdą z moich teorii.

– I to ma na mnie zrobić wrażenie?

– Dodał kilka szczegółów, na które powinienem zwrócić uwagę – ciągnie dalej Simon, jakby Oudin w ogóle się nie odezwał. – Stwierdził, że muszę przyjrzeć się każdemu, kto albo wtrąca się w śledztwo, albo bardzo uważnie się mu przygląda. – Podnosi wzrok na kuzyna. – A więc gdzie dokładnie byłeś zeszłej nocy?

Rumiane policzki Oudina bledną.

– Przecież widziałeś mnie w karczmie.

Simon nie mruga.

– Widziałem cię na godzinę przed morderstwem. Czy ktokolwiek może potwierdzić twoje miejsce pobytu po moim wyjściu?

– Remi la Fontaine.

– W takim razie na pewno go o to zapytam – odpowiada ze spokojem Simon. – Tymczasem twoja pomoc nie jest nam potrzebna.

Oudin rzuca mu gniewne spojrzenie, po czym ciężkim krokiem wychodzi i trzaska drzwiami. Gdy odgłosy jego kroków milkną, w pokoju słychać tylko drapiące po papierze pióro Juliane i bzyczenie much, które zleciały się nad warkoczem. Simon odpędza je machnięciem ręki.

– Chyba powinniśmy je opłukać, zanim krew zupełnie zaschnie.

Choć to makabryczne zadanie, martwię się, że Simon może nadal być na mnie zły, proponuję więc, że je wykonam. Gestem pokazuje, bym zaczęła. Chwytam warkocz przez lnianą szmatkę i zanoszę na dół do kuchni. Madame Denise podaje mi miskę ciepłej wody, a ja odklejam włosy od szmatki.

*Nie spodziewałam się, że tak szybko cię znów zobaczę.*

Ochrypliły głos sprawia, że podskakuję i zaczynam się rozglądać. Madame Denise nie przestaje mieszać w garnku wiszącym nad ogniem, zupełnie jakby niczego nie usłyszała. Ja z kolei wrzuciłam warkocz do wody, która rozpryskała się na stole, a teraz naprędce wycieram ją rąbkiem szmatki. Następnie szturcham palcem zanurzoną w wodzie część warkocza.

*...nie spodziewałam się... cię... tak szybko... zobaczyć cię... nie spodziewałam się...*

Tym razem słowa tworzą spiralę dryfującą w moim umyśle, która jest zwarta na początku, ale rozciągnięta na końcu, blednąca jak krew w wodzie.

Zupełnie jakby to krew do mnie mówiła.

No, może nie do mnie. Mam wrażenie, jakbym podsłuchiwała jakąś rozmowę lub słyszała, jak ktoś mówi do siebie.

Drżącymi dłońmi trzymam warkocz pod wodą i wyciskam z niego szkarłatne nici, a każda z nich jest szeptem delikatnym jak dym, wypowiedzianym chrapliwym głosem osoby nadużywającej skonii. To głos madame Emeline.

W pośpiechu zmywam tyle krwi, ile daję radę. Gdy kolor włosów staje się widoczny, a przynajmniej na tyle, na ile potrzebuje Simon, wyciągam warkocz i wyżymam z niego różową wodę, po czym osuszam czystsza częścią szmatki. Zanoszę go z powrotem na górę, a przez len wraz z wilgocią nadal przeciekają słowa. Muszę go jak najszybciej odłożyć.

Simon ledwie na niego zerka.

– Blond. – To jedyne, co mówi na jego temat.

Juliane, która najwyraźniej skończyła już spisywanie zeznań, patrzy, jak wycieram ręce o spódnicę.

– Co teraz?

Simon wstaje i zabiera pióro ze stołu, gdzie dziewczyna je położyła.

– Najpierw to. – Podchodzi do wiszącej na ścianie listy i na samej górze pisze „Beatrez”.

– Jesteś tego pewien w stu procentach? – pytam.

– Tak. – Odwraca się i rzuca pióro na stół. – Pozostaje jednak pytanie, czy pomiędzy nią a Perrete zabił kogoś jeszcze. Obawiam się, że nie mamy czasu, by to zbadać. Zaczął zabijać z przerażającą częstotliwością.

Jakby to było najbardziej przerażające w tym wszystkim.

– Nie to jest najgorsze – ciągnie, odwracając się z powrotem do ściany. – Pierwszą ofiarę zabił bezkarnie, słońce wie, ile kobiet było po niej, a to sprawia, że czuje się potężny, wyjątkowy. A teraz upaja się tym śledztwem, bo to dla niego gra, a on w końcu ma wartościowego przeciwnika.

– Ale się myli – mówi Juliane, wskazując najpierw siebie, a potem mnie i Lamberta. – Ma czworo przeciwników.

Simon zerka na mnie.

– Wczorajszej nocy chyba dowiedział się o Cat.

Odwracam się do ściany, by ukryć rumieniec. Juliane i Lambert wiedzą, że zeszłej nocy znaleźliśmy Nichole, ale żadne z nich nie ma pojęcia, że Simon przytulił mnie, gdy zdał sobie sprawę, że nic mi nie jest, i że trzymał mnie za rękę, kiedy czekaliśmy na Emeline.

Simon zwraca się do Juliane:

– O tobie również z całą pewnością wie. A to oznacza, że obie jesteście w niebezpieczeństwie. Musicie mi obiecać, że nie będziecie wychodzić bez Lamberta lub beze mnie. – Spogląda na mnie. – Zwłaszcza w nocy.

Krzyżuję ręce na piersi.

– Mam pracę.

I wątpię, że ktokolwiek będzie w stanie się do mnie zakraść, gdy świeci księżyc.

– W takim razie wykonuj ją w ciągu dnia, nawet jeśli ma to oznaczać, że będziesz mi mniej pomagać.

Odwracam się, by spojrzeć mu w oczy.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie jestem prostytutką, prawda? A każda z jego ofiar nią była.

– Oczywiście. – Policzki Simona pokrywają się szkarłatem. – Ale on obierze za cel inne kobiety.

- Skąd możesz to wiedzieć? – pytam.
- Bo ja bym tak zrobił.



## ROZDZIAŁ 31



Architekt ma swoje zarezerwowane krzesło w galerii, ale woli brać udział w nabożeństwach Dnia Słońca wśród zwykłych ludzi, co tydzień wybierając inne miejsce. Każdy zakątek sanktuarium powinien być piękny i inspirujący, a dzięki temu mistrz ma szansę obejrzeć własną pracę. Ja z kolei lubię obserwować ludzi. Ich zachwyty nad otoczeniem jest zaraźliwy.

Dziś mamy dobry widok na Montcuirów, którzy zajęli miejsca w swoim sektorze wychodzącym na ołtarz. Simon siedzi obok Juliane. To głupie, ale zazdroszczę jej, że może być tak blisko niego. Gdyby ktokolwiek wiedział, że przeszłam z nim w tamto miejsce w ciemności – w dodatku trzymając go za rękę – zmusiłoby to Simona do publicznego ogłoszenia swoich intencji.

Ale jakie są jego intencje? Po poranku, gdy wyjeżdżał do Mesany, i po nocy, w której doszło do zabójstwa Nichole stało się dla mnie jasne, że jego uczucia to coś więcej niż przyjaźń czy coś, co czuje się do partnera w śledztwie. Jestem też pewna, że martwi go to, że zabójca może obrać mnie za swój cel, ale co będzie, gdy to wszystko dobiegnie końca?

Wiem, że Simon chce przestać być zależny od hrabiego, wątpię jednak, by czuł się komfortowo, gdybym to ja miała mu pomagać



w utrzymaniu się. Czy uznałby to za jałmużnę, gdyby architekt go zatrudnił lub znalazł mu pracę? Zerkam na mistrza Thomasa – jego spojrzenie i rozmarzony uśmiech są skierowane na południowe okno, którego ramy w kształcie płatków ułożono w ogromne koło. Poranne słońce przepływa przez witraże, rzucając kolorowe cienie w stronę przedniej części sanktuarium. To nie był jego projekt – dokonał tego jego poprzednik lub architekt, który piastował stanowisko mistrza jeszcze wcześniej – widzę więc w jego oczach podziw i zazdrość.

Nagle, pośród rozproszonych przy ołtarzu kolorów, dostrzegam znajomą twarz.

Zadaniem kilku Sióstr Światła jest pranie wyszywanych szat liturgicznych i obrusów ołtarzowych, więc w każdy Dzień Słońca przychodzą do świątyni ze świeżymi i zabierają te, które trzeba uprać. To nie jest łatwe zadanie i mogę to potwierdzić. Materiał często jest pobrudzony woskiem świec i popiołem z kadzidła, a – zwłaszcza latem – alby wysokiego kapłana i jego pomocników są przemoknięte od potu. Marguerite nigdy nie była wyznaczana do zbierania i zwracania szat, a jednak dziś tutaj jest.

Tak bardzo chcę się z nią zobaczyć, że gdy kończy się ostatnie błogosławieństwo, przeciskam się przez wychodzący tłum, by dotrzeć do niej, zanim zajmą ją inne obowiązki. Ona też chyba miała nadzieję, że się spotkamy, bo ociąga się, podczas gdy pozostałe siostry zabierają się do pracy.

Unosi ramiona, na długo zanim jesteśmy na tyle blisko siebie, by się przytulić.

– Catrin, tak dobrze cię widzieć!

Odwzajemniam mocny uścisk, czując gęste włosy pod luźnym kapturem. Za kilka miesięcy pozbędzie się ich, ale pociesza mnie myśl, że na razie udało się je utrzymać.

– Nie mów, że w końcu udało ci się wymknąć matce Agnes.

Odsuwa się, zgorszona.

– Chyba nie myślisz, że mogłabym się tak zachować, prawda?

– Oczywiście, że nie – droczę się. – Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że wypuszcza cię z klatki po tym, jak zostałeś jej osobistą sekretarką.

Marguerite marszczy nos.

– Prawdę mówiąc, właśnie dlatego tu jestem. Mam wiadomość od matki Agnes dla mistrza architekta.

– Cóż, możesz ją po prostu przekazać mnie – mówię, wyciągając dłoń.

Sięga pod opończę, ale kręci głową.

– Nie, mogę ją przekazać tylko mistrzowi.

Rozglądam się, ale jedynie Remi zwraca na nas uwagę, w dodatku jest za daleko, by mnie usłyszeć. Od czasu zabójstwa Nichole niemal nie spuszcza mnie z oczu. Mistrz Thomas rozmawia z hrabią Montcuirem, którego rodzina stoi nieopodal. Na moment spotykam się spojrzeniami z Simonem, ale po chwili znów udaje zainteresowanego rozmową wuja.

– O co chodzi? – pytam. Gdy Marguerite wzrusza ramionami, marszczę brwi. – Nie bądź uparta. Wiem, że to ty ją napisałaś.

– Nie, naprawdę, to nie ja. Ale rzecz w tym – ścisza głos – sądzę, że ona również nie.

Intrygujące.

– W takim razie kto?

Marguerite wierci się.

– Nie wiem, ale może nic się nie stanie, jeśli ci ją pokażę.

Papier okalający wiadomość jest złożony jak koperta, a na widok notatki natychmiast jestem pewna, że nie pochodzi ona z opactwa – tam używa się jedynie pergaminu. W woskowej pieczęci odbito nakrapiany okrąg otoczony płomieniami. Wygląda jak księżyc. Płonący księżyc.

To musi być wiadomość od Gregora. Ale dlaczego przeorysza Sióstr Światła miałyby się zgodzić przekazać wieści od człowieka nocy?

– Wygląda na to, że nie będzie lepszej pory, by ją doręczyć – mówię, ciągnąc przyjaciółkę za sobą do miejsca, w którym Montcuirowie czekają, aż ich patriarcha skończy rozmowę.

Gdy się do nich zbliżamy, Juliane odchodzi od grupy i z uśmiechem zbliża się do mnie. Jej wzrok nerwowo skacze pomiędzy mną a Marguerite – zapewne boi się, że moja towarzyszka jest halucynacją, więc szybko ją przedstawiam.

– Lady Juliane, to moja najbliższa przyjaciółka z czasów spędzonych w opactwie, siostra Marguerite.

Juliane wyciąga dłoń, a na jej twarzy maluje się ulga.

– Tak, przypominam sobie ciebie z czasów, kiedy sama tam mieszkałam i kończyłam edukację. Bardzo miło znów cię spotkać.

Marguerite dyga i chwyta palce Juliane.

– Dziwię się, że mnie pamiętasz, moja pani. Miałam wtedy zaledwie dziewięć lat. Większość starszych dziewcząt nie zwracała na nas uwagi.

Mnie oczywiście to nie dziwi. Juliane bez wątpienia byłaby w stanie wymienić wszystkie dni, w których się minęły, oraz dodać, jaka była wtedy pogoda i co miały na sobie, chociaż w przypadku Marguerite to nie byłoby zbyt trudne. Jediną różnicą między tym, co nosiła wtedy, a tym, co ma na sobie teraz, jest kaptur zakrywający jej włosy.

Oudin zerka na nas, ale gdy widzi jedynie mnie i młodą kobietę, za którą nigdy nie będzie mógł się uganiać, jego uwaga szybko kieruje się gdzie indziej. Chciałabym przedstawić Marguerite Simonowi, ale zanim ponownie uda mi się podchwycić jego spojrzenie, do naszej rozmowy wtrąca się Remi.

– Nie przedstawiśz mnie, Koteczku?

Przewracam oczami.

– Marguerite, to czeladnik Remone la Fontaine. Również pracuje dla mistrza Thomasa.

Remi musi przechylić pokrytą szczecina brodę, by spojrzeć na maleńką Marguerite, która patrzy na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczami. W swoim klasztornym życiu zapewne nigdy nie była tak blisko mężczyzny innego niż stary kapelan opactwa, choć muszę przyznać, że Remi potrafi być onieśmielający, jeśli się go nie zna.

– Nie wiedziałem, że siostry mogą być tak młode – mówi, błyskając szerokim uśmiechem. – Myślałem, że rodzą się po trzydziestce, ze zmarszczkami i podwójnym podbródkiem.

Marguerite robi się rumiana jak jabłuszko, a ja kopię Remiego w łydkę.

– Aua! – skamle. – Uważaj, Koteczku. Jesteśmy na świętej ziemi.

– Jeszcze raz nazwiesz mnie Koteczkiem – mówię przez zaciśnięte zęby – a poczujesz moje pazury.

– Obiecujesz? – Robi unik, gdy próbuję nadepnąć mu na stopę. – A jak tobie udało się uciec z opactwa, siostrzo Marguerite? Nie wyglądasz na taką, która lubi się wspinać.

Odpowiedź Marguerite jest zbyt cicha, by ktokolwiek mógł ją usłyszeć. Remi nachyla się tak blisko, że jego szorstkie czarne włosy dotykają jej kaptura.

– Co mówiłaś?

Ona znów bełkocze pod nosem, a on prostuje się, najwyraźniej tym razem ją rozumiejąc.

– Zniosę mu ją – rzuca, wydzierając kopertę z jej dłoni.

– Oddaj to, ośle! – krzyczę. – Nie jest do ciebie!

Remi unosi kopertę, myśląc, że jest poza moim zasięgiem, ale mnie nie docenia. Nie tylko podskakuje wystarczająco wysoko, by mu ją wyrwać, udaje mi się również przy okazji przyłożyć mu kolanem w brzuch. Moja ciężka spódnica łagodzi jednak uderzenie, a Remi ledwie stęka, po czym łapie mnie wolną dłonią wokół talii. Wiję się w jego uścisku, podczas gdy on się śmieje.

– Dzieci – odzywa się cichy, rozgniewany głos.

Odskakujemy od siebie i z wymalowanym na twarzy wstydem odwracamy się do architekta. Chociaż nie, Remi nie ma wstydu.

– Cóż w imię słońca wyprawiacie w tym świętym miejscu?

Wyciągam wiadomość, zanim Remi zdąży się odezwać.

– To dla ciebie, mistrzu. Siostra Marguerite przyniosła wiadomość, która miała trafić prosto w twoje ręce, ale Remi uważa, że zasługuje na to, by wiedzieć, jak się mają twoje sprawy.

Wzdychając z rozdrażnieniem, mistrz Thomas wyciąga rękę. By podkreślić błąd Remiego, najpierw podaje kopertę Marguerite, która podbiega do mistrza i mu ją wręcza.

– Dziękuję, siostrzo – mówi ten uprzejmie. – Proszę, powstrzymaj się przed opowiedzeniem matce Agnes o zachowaniu Catrin... – Milknie, gdy zauważa woskową pieczęć.

Hrabia, Lambert, Simon, a nawet Oudin wychylają się, by sprawdzić, co spowodowało, że tak nagle ucichł, on wpycha jednak wiadomość do rękawa szaty.

– O czym to mówiliśmy, panowie?

Montcuir chichocze.

– Sądzę, że zająłem już dziś panu wystarczająco dużo czasu. Wygląda na to, że ma pan coś do załatwienia.

Juliane wykręca sobie dłonie i mruczy pod nosem. Chociaż skupiałam się głównie na Remim, nie umknęło mi, że nasza kłótnia miała na nią wpływ. Zresztą gdy teraz o tym myślę, to stres związany ze śledztwem i te wszystkie nieprzewidziane sytuacje zawsze na nią wpływały. Juliane radzi sobie najlepiej w kontrolowanym otoczeniu, dlatego była tak spokojna po spędzeniu kilku dni w swoim pokoju. Nasz konflikt, w połączeniu z tłumem dookoła i spotkaniem z Marguerite, mógł naruszyć jakąś delikatną równowagę.

Simon również to zauważa. Bierze kuzynkę pod ramię i mówi do niej łagodnym tonem, kierując się za rodziną w stronę wyjścia. Zazdrość, którą czułam wcześniej, rośnie w mojej piersi. Nawet jeśli Juliane po prostu otrzymuje od niego pomoc, chciałabym być tak blisko Simona jak ona.

Architekt przesyła Remiemu i mnie rozgniewane spojrzenie, po czym kiwnięciem palca każe nam pójść za sobą. Ruszamy, skruszeni, idzie z nami również Marguerite. Sięga po moją dłoń i idziemy za rękę, tak jak miałyśmy w zwyczaju dziesięć lat temu.

Gdy docieramy bezpiecznie do domu, mistrz Thomas zwraca się do nas, a jego szare oczy ciemnieją niczym chmury burzowe.

– Nigdy nie byłem bardziej zażenowany niż dzisiaj i to jeszcze w sanktuarium, na oczach burmistrza i całej jego rodziny. Oboje przez ostatnie kilka tygodni zachowywaliście się jak dzieci, a oczekujecie ode mnie, że dam wam więcej wolności i obowiązków niż wcześniej.

Milknie, by wziąć oddech, jednak ani ja, ani Remi nie ośmielamy się mu przerwać.

– Catrin, resztę dnia poświęcisz na naprawienie miniatury południowego okna i nie wyjdiesz z domu, dopóki nie uznam, że naprawa została ukończona.

Jedynym powodem, dla którego udaje mi się stłumić jęk, jest podejrzenie, że kara Remiego będzie gorsza. Architekt odwraca się do niego.

– Remone, twoje prace nad sufitem zostają zawieszane na dwa pełne tygodnie, a robotnicy zostaną przeniesieni do innych sekcji. Jeśli nie okażesz mi posłuszeństwa lub jeśli usłyszę choć jedno słowo

sprzeciwu, nadzór budowy sklepienia zostanie ci całkowicie odebrany. Zrozumiano?

– Tak, mistrzu – odpowiadamy chórem jak para niegrzecznych siedmiolatków.

Architekt mruga, zauważając kryjącą się za mną Marguerite.

– Co cię tu sprowadza, moja droga?

Wyłania się zza mnie, a w jej niebieskich oczach stoją łzy – oczywiście spowodowane moją karą. Dyga i odpowiada:

– Miałam nie odchodzić bez pańskiej odpowiedzi, mistrzu.

– Wspaniale. Daj mi, proszę, chwilę. – Odwraca się w kierunku kuchni, a Remi rusza w stronę schodów. – A właśnie, Remi! – woła do niego. – Bądź mężczyzną i przestań okazywać uczucia, ciągnąc dziewczyny za włosy.

Remi garbi się i przekrada w górę, zostawiając mnie, bym zbierała szczękę z podłogi. Mistrz nie może mówić poważnie. Remi zachowuje się w ten sposób, bo jest wrednym bachorem, a nie dlatego, że wyraża w ten sposób swoją pierwszą miłość. Ale przynajmniej zostawi mnie teraz samą.

– Przepraszam, że masz przeze mnie kłopoty, Cat – szepcze Marguerite.

Wzdycham. No jasne, że wini za to siebie.

– A ja przepraszam, że nie mogę cię odprowadzić do domu.

Chwilę później mistrz Thomas wraca do pracowni, trzymając w dłoni pustą wymiętą kartkę papieru, która pełniła funkcję koperty, zdjął z niej już jednak pieczęć.

– Nie ma potrzeby tego marnować – mówi, po czym zwraca się do Marguerite. – Proszę, przekaż matce Agnes, że przyjdę do niej wieczorem, by przedyskutować kolejny krok.

Podchodzi do schodów. Wygląda na bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek wcześniej.

– Możesz odprowadzić siostrę Marguerite do opactwa, pod warunkiem że nie będziesz się guzdrać.

Pozwala mi na to ze względu na wygodę Marguerite, ale nie mam zamiaru narzekać. Zanim wyjdziemy, zabieram z wieszaka przy drzwiach słomkowy kapelusz, który osłoni moje oczy przed słońcem. Następnie ruszamy w dół wzgórza, znów trzymając się za rękę.

– Naprawdę za tobą tęskniłam przez zimę, Cat – mówi Marguerite.  
– Matka Agnes również. Myślę, że nigdy nie przyzna, jak bardzo bolało ją, kiedy przestałaś ją odwiedzać.

– W takim razie to zabawne, że prawi mi kazania na temat mojej dumy – odpowiadam oschle.

Przechodzimy niemal całą długość ulicy, zanim Marguerite znów się odzywa:

– O co się pokłóciłyście?

– Zapytałam ją o moich rodziców, a ona nie chciała mi powiedzieć, kim byli.

Marguerite kręci głową.

– Ale ona nie wie, kim są rodzice żadnej z nas.

Najwyraźniej przeorysza nie poinformowała swojej sekretarki o aktach wetkniętych pomiędzy święte księgi, w których znajdują się listy wszystkich dziewcząt pod jej opieką oraz informacje na temat tego, skąd pochodzą lub mogą pochodzić. Zakradłam się, by je przeczytać, gdy miałam jedenaście lat, i bardzo zszokowały mnie niektóre sekrety, które odkryłam. Z całą pewnością żadnej z nas nie traktowała w szczególny sposób – nawet Marguerite, która jest córką wysokiego kapłana i siostry Alix. Jeśli w jakikolwiek sposób ją wyróżniano, zasłużyła na to własną pracą, podejrzewam jednak, że wiedza matki Agnes była powodem, dla którego opactwo otrzymało ogromną sumę pieniędzy na rozwój, kiedy byliśmy małe.

Jednak mojego imienia nie było na liście. Nie spisała go nawet, tylko zostawiła puste miejsce na domniemane pochodzenie.

– Ona wie – mówię. – Słyszałam, jak rozmawiała z mistrzem Thomasem w dniu, w którym postanowił mnie zatrudnić.

– Może coś źle zrozumiałaś.

Przewracam oczami.

– Ty nigdy nie podejrzewasz nikogo o nic złego, prawda? Ale nie, nie myślę się. Powiedziała, że nadal ma nadzieję, że moja rodzina mnie zaakceptuje.

– To nie znaczy, że wie, kim oni są, Cat.

– Ale ostrzegła go również, że moja rodzina obciąży go odpowiedzialnością, jeśli cokolwiek mi się stanie – mówię. – A skąd miałyby to wiedzieć, jeśli sami jej tego nie powiedzieli?

Wchodzimy w ostatni zakręt, a pokryte winoroślą ściany Kwatery Selańskiej rozciągają się na kilka ulic w każdym kierunku. Wtedy do mnie dociera: oni mnie obserwują, wychodzą nawet ze swojej okolicy po zmroku, by to zrobić. A może obserwuje mnie jedynie Gregor, ale komunikuje się nawet z mistrzem Thomasem. Bo on jest moją rodziną.

Jestem Selenką.





## ROZDZIAŁ 32



Chociaż natychmiast chciałabym skonfrontować się z matką Agnes, dzwony wybijają porę na południowe modlitwy, których nigdy nie poświęciłaby na rozmowę ze mną, zwłaszcza jeśli miałyby przecucie, czego może ona dotyczyć. Nie mogę czekać – mistrz Thomas będzie wściekły, jeżeli nie wrócę prosto do domu.

On również wie. Wiedział od samego początku. Zaciskam zęby, gdy Marguerite podbiega, by otworzyć bramę – ma własny zestaw kluczy?

– Powiem matce Agnes, że dziś nie możesz przyjść na herbatę – mówi, zatraskując żelazne kraty. – Obiecujesz, że wkrótce znów nas odwiedzisz?

Zaciskam usta i się do niej uśmiecham, by nie wyglądać jak warczący pies.

– Obiecuję. Możesz jej to przekazać.

Może to moja wyobraźnia, ale czuję teraz, że ktoś obserwuje mnie z wąskich uliczek prowadzących do Kwatery, przez każdą szczelinę pomiędzy bluszczem pnącym się po oknach. Pospiesznie wracam do domu, często odwracając się przez ramię, by sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi. Mistrza Thomasa i Remiego już nie ma, przebieram się więc w ubranie robocze i niechętnie rozpoczynam swoje zadanie.

Resztę dnia spędzam zgarbiona nad parapetem, gdzie sortuję i układam maleńkie kawałki barwionego szkła.

By nie porozrzucić nieużywanych części, wrzucam je do papierowej koperty, w której doskonale się mieszczą. Jednak na jej widok zgrzytam zębami, a napięcie w szczęce szybko przyprawia mnie o ból głowy.

Nie wiem zbyt wiele o Seleńczykach, poza tym że jako lud istnieją od ponad tysiąca lat. Gdy rozpadło się Imperium Hadriańskie, Galii kilka stuleci zajęło zjednoczenie się pod jednym władcą. Relatywnie niedawny rozkwit handlu stworzył mieszaną ludzi i pomysłów, dzięki którym nastąpił złoty wiek budownictwa – wznoszono zarówno nowe miasta, jak i ogromne sanktuaria. Galijczycy mieszały się z Tauranami, Prezjanami, Brinsulijczykami i mieszkańcami innych regionów do tego stopnia, że osób o mieszanym pochodzeniu – takich jak Remi – było tak samo wiele jak ludzi, których oboje rodzice pochodzili z tego samego miejsca.

Przez cały ten czas ludzie nocy trzymali się od tego wszystkiego z dala – było im o tyle łatwiej, że żyli głównie po zmierzchu. Seleńczycy robią interesy z osobami innego pochodzenia, jednak traktują te z zewnątrz z jakąś litością, jakby sądzili, że coś sprowadziło je na złą drogę. Nikt nie dołącza do ich społeczności, a garstka, która zdecyduje się odejść, zdaje się więdnąć jak winorośl odcięta od głównej gałęzi. Często jest to spowodowane uzależnieniem od skonii.

Matka Agnes wyraźnie powiedziała mi, że moi rodzice się kochali, więc jeśli nie byli po ślubie, to zakładam, że chcieli go wziąć. Ale powiedziała coś jeszcze.

„Twoja rodzina zostawiła cię tutaj, bo naprawdę wierzyła w to, że twoje miejsce jest w Świetle”.

Z jakiegoś powodu myśleli, że nie jestem taka jak oni.

Nie mogę już zaprzeczać myśli, którą tuzin razy od siebie odrzucałam. To, co potrafię – co robi ze mną księżyc – musi być mocą, którą posiada każdy Seleńczyk. Gromadzą się w nocy, by cieszyć się tym, co ja dopiero odkryłam. Z jakiegoś powodu musieli założyć, że nie mam tych samych umiejętności, a jednak nadal nade mną czuwają, a Gregor poznał prawdę.

Tak jak mistrz Thomas.

O zachodzie słońca moje palce są pokryte rozcięciami od trzymania małych kawałków szkła o ostrych krawędziach, a twarz boli od mrużenia w koncentracji oczu. Remi wraca do domu sam, a gdy pytam, kiedy będzie architekt, unika mojego spojrzenia i mruczy pod nosem, że mistrz kazał przekazać, byśmy nie czekali na niego z kolacją.

– Możesz zacząć beze mnie – mówię mu. – Chcę skończyć tę sekcję.

Wzrusza tylko ramionami.

– Zostawię dla ciebie trochę chleba.

– Dziękuję.

Nie jestem już na niego zła. Na świecie dzieje się zbyt wiele, by przejmować się takimi drobiazgami, a jego kara była surowsza, niż się spodziewałam. Nie tylko został zmuszony do wstrzymania ukochanej pracy – dodatkowo wszyscy się o tym dowiedzieli.

Jakiś czas później Remi mija mnie ponownie z cichym „dobranoc, Cat”, właśnie gdy wyciągam z pomiętej koperty ostatni kawałek szkła. Kiedy wkładam go na miejsce, mój wzrok się rozmazuje. Księżyc jest już na niebie, ale może dziś w nocy powinnam zostać w domu. Boli mnie głowa, a jeśli mistrz mnie przyłapie, będzie karczemna awantura. Jednak moje oczy same wędrują w stronę srebrnego światła padającego na kamienne płyty na zewnątrz, niczym wzrok głodującego człowieka uciekający w stronę stołu podczas biesiady.

Pozbawiony ciężaru papier trzepocze na wietrze i zaczyna unosić się w stronę okna. Chwytam go, nim zdoła wylecieć, i wstaję, by zamknąć okiennicę, gdy moją uwagę przykuwa coś na papierze. Pismo. Ale nie do końca. Podnoszę go do odbijającego się od ulicy światła księżyca. Są na nim odbite litery, jakby koperta znajdowała się pod kartką papieru, na której ktoś coś napisał. Niestety nie są na tyle widoczne, bym mogła je przeczytać. A przynajmniej nie tu i teraz.

Zwinnym ruchem składam papier, by się bardziej nie pogniótł. Wygląda na to, że jednak dziś wychodzę.



Serce mi wali, gdy wspinam się na parapet przedniej wieży. Księżyc minął już miejsce, w którym byłby widoczny z mojego pokoju, więc przebrałam się w strój do wspinaczki, jednak nie śmiałam wyjść z domu, dopóki pani la Fontaine nie położyła ciasta na chleb w odpowiednim miejscu, by urosło, i nie poszła spać. Fasada sanktuarium jest odrobinę krótsza niż ramiona nawy bocznej, znajduje się jednak bliżej, a ja nie mam zamiaru już nigdy postawić stopy w południowej wieży.

Tak się spieszę, że przeciskając się do środka, zahaczam kurtką o podwójny ząb zasuw. Przechylam okno do pozycji, w której je zastałam, i wspinam się po schodach, mijając galerię w drodze do tryforium znajdującego się nad nią. Na następnym poziomie jest wieża fasady, z czymś przypominającym zewnętrzny most prowadzący do drugiej wieży, znajdującej się po przeciwnej stronie. Obie są niemal identyczne, poza tym że w drugiej znajdują się dzwony. Mogłabym się tutaj zatrzymać, ale wspinam się dalej po spiralnych schodach, aż na samą górę.

Kiedy tylko wychodzę z okrągłej klatki schodowej na powietrze, księżyc wita mnie jak przyjaciółkę. Przeszywa mnie dreszcz ekscytacji, gdy jego blask pada na moją skórę, wraz z niesamowitym poczuciem, że gdybym chciała, mogłabym latać.

Czy tak czują się ludzie po skonii? Jak poczuję się za kilka dni, skoro widoczna jest dopiero pierwsza kwadra?

Chociaż kusi mnie wyciągnięcie zmysłów przed siebie, wiem, że przyszłam tutaj nie bez powodu. Szybko rozkładałam papier i unoszę go do księżyca. Odbite litery stają się widoczne niemal tak wyraźnie, jakby napisano je piórem. Niektóre nie zostały odcisnięte wystarczająco mocno – zdarza się, że brakuje końcówki wyrazu lub literki „e” – aż do ostatniego zdania, które napisano ciężką ręką i podkreślono.

*Dlaczegoś obi cał rze zrobisz coś do kol jn j pełni ksienrzyca. Zostauo tylko 6 dni.*

*Katarene potrzebuje pomocy.*

Mistrz Thomas powiedział Marguerite, że zjawi się dziś, by przedyskutować kolejny krok, ale nie spotyka się z matką Agnes. Jest

w Kwaterze Seleńskiej i rozmawia z Gregorem. O mnie.

Ja jestem Katarene.

Pod szalonym pomysłem, że mam seleńskie umiejętności, z których okiełznaniem potrzebuję pomocy, czai się nadzieja, którą wbrew wszelkiej logice nosi każda znajda: mam rodzinę, która chce, bym do niej wróciła.

Matka Agnes również nie stoi na drodze Seleńczykom, którzy chcą się ze mną skontaktować. Wręcz przeciwnie, pomaga im w tym. Jej słowa, że moja rodzina naprawdę wierzyła, że należę do światła, miały mnie zachęcić, bym wybaczyła im decyzję o pozostawieniu mnie pod jej opieką. Kusi mnie, by natychmiast pomaszerować do Kwatery i domagać się od nich odpowiedzi. Ale z drugiej strony wiedza, że taki byłby mój pierwszy impuls, jest zapewne powodem, dla którego przeorysza nigdy nie powiedziała mi, kto zostawił mnie pod jej drzwiami.

A z powodu porzucenia zostałam wychowana na dziecię światła, nawet gdybym zbuntowała się przeciwko wizji matki Agnes o ślubach i habicie. Zamiast modlitw i jałmużny oferuję słońcu mój talent i pracę poprzez budowę sanktuarium.

Przejeżdżam dłonią po barierze z wapienia, delektując się subtelną teksturą oraz pięknem jej linii i załamania. Kocham w tym budynku wszystko – zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Rzeźby, łukowate sufity, witraże, zdobione marmurowe podłogi, nawet dymne smugi kadzidła i echa głosów podniesionych w pieśni. Nigdzie indziej bardziej nie czuję, że jestem w domu, niż gdy stoję tu i teraz.

Czy to naprawdę świat, którego jestem częścią, a może po prostu jedyny, jaki znam?

Zamykam oczy i zaciskam dłonie na kamieniu. To pewnie dzięki temu zarówno słyszę, jak i czuję, jak zasuwa obrotowego okna się otwiera.



## ROZDZIAŁ 33



Rozlega się ciche stęknienie, gdy mężczyzna przeciska się pomiędzy ramą a szybą. Po przedostaniu się na drugą stronę ustawia okno w poprzedniej pozycji i zatrzymuje się, by rozeznąć się w ciemności. Następnie powoli kieruje się w górę, nie zatrzymując na żadnym z półpięter. Idzie prosto do wieży.

Gdy dociera do spiralnych schodów, otwieram oczy i cofam się w ciemny kąt za okrągłą klatką schodową. Każdy mój ruch jest niemal ogłuszający, dopóki nie wychodzę z zasięgu księżyca. Nagle zaczynam się czuć jak niewidoma i głucha, ale jeszcze bardziej niebezpieczne będzie, jeśli ktoś mnie tu zobaczy.

Kroki mężczyzny są tak ciche, że to jego ciężki oddech podpowiada mi, że jest już niemal na górze. Powoli wyłania się, z wyciągniętymi ramionami, jednak w ciemności nie widzę jego twarzy.

– Cat? – pyta łagodnie.

To Simon.

Wyciągam dłoń na lewo, by moje palce dosięgnęły światła. Widzę go teraz bardzo wyraźnie – od zmarszczek na czole wywołanych zmartwieniem do roztrzęsionych nóg. Jego ciężki puls odbija się w powietrzu, a lekki wiaterek przywiewa do mnie zapach potu

plamiącego wykrochmaloną koszulę. Widzę też krew płynącą z dwóch świeżych zadrapań na zewnętrznej stronie dłoni.

Simon robi kolejny krok do przodu.

– Cat? – powtarza cicho, choć równie dobrze mógłby krzyknąć. – Jesteś tutaj?

– Za tobą.

Obraca się, jedną dłoń przykładając do serca, którego szybkie i głośne bicie przypomina tętent kopyt pędzącego konia.

– Święte słońce! – mówi, gdy wychodzę z cienia. – Dlaczego wcześniej się nie odezwałaś?

– Nie wiedziałam, kim jesteś ani czego chcesz – odpowiadam. – To ty mnie przestraszyłeś.

Śmieje się łagodnie i opuszcza dłoń.

– Niech będzie.

Na kilka chwil zapada między nami cisza.

– Co ty tu robisz? – pytam w końcu.

Simon chrząka.

– Chciałem z tobą porozmawiać. Najpierw poszedłem do twojego domu, ale cię tam nie było. – Zmieszany, wzrusza ramionami. – Przypomniałem sobie, jak mówiłaś, że czasem przychodzisz tu pomyśleć.

O, nie.

– Kto ci otworzył?

Simon przestępuje z nogi na nogę.

– Nie pukałem. Ja... ee... poszedłem na tyły domu i rzuciłem w twoje okno kilkoma kamieniami.

Romantyczne. Albo rozpaczliwe.

– Po co przyszedłeś?

– Jestem ci winien wyjaśnienia. – Przetyka ślinę i spuszcza wzrok, przesuwając dłonią po jasnych lokach. – Po tym, co powiedziałem... i zrobiłem.

Nagle zaczynam się obawiać jego słów.

– Nie jesteś mi nic winien, Simonie.

– Jestem. – Podnosi na mnie wzrok. Nogi mu się trzęsą, ale nie od wspinaczki po schodach. – Proszę. Wiele kosztowało mnie zebranie odwagi, by to zrobić.

– By ze mną porozmawiać czy wspiąć się na taką wysokość?

– Jedno i drugie.

Znów jestem sama z Simonem w świetle księżyca. Ostatni raz mu pomagałam, jednak teraz na pewno będzie inaczej.

– No dobrze. Porozmawiajmy.

Chwyta moje ramię.

– Tutaj?

– To bezpieczne miejsce. – Wskazuję kolumny rozmieszczone dookoła w ciasnych, równych odstępach. – Nie zdołasz się przecisnąć przez te szpary.

– Wierzę ci na słowo – mruczy pod nosem Simon, wpatrując się w otwarte niebo.

Ja również przez chwilę przyglądam się gwiazdom, które dzięki mojemu wyostrzonemu wzrokowi zapierają dech w piersiach. Chmurny blask poprzednich nocy dziś jest usiany gwiazdami. Świetlistych punkcików jest jednak o tysiące więcej, niż kiedykolwiek byłam w stanie zobaczyć. Simon staje obok mnie, a jego ramię dotyka mojego, co ekscytuje mnie bardziej, niż uznaje się za właściwe.

– Ale możemy usiąść? – pyta. – Trochę kręci mi się od tego w głowie.

Odrywam spojrzenie od wiszącego nade mną brylantowego sztandaru. Simonowi nie tylko kręci się w głowie – cały zzieleniał! Uśmiecham się z pobłażaniem i odwracam twarz z powrotem do nieba.

– Jeśli przyznasz, że jest tutaj naprawdę pięknie.

– Tak, tak – bełkocze, opadając na kamienną podłogę. Przez pół minuty dochodzi do siebie, po czym ciągnie mnie za rękę. – Naprawdę nigdy nie widziałem niczego ładniejszego, ale nie jestem pewien, ile mamy czasu.

Siadam przy jego ugiętych nogach, z twarzą zwróconą do niego i do księżyca.

– Dlaczego rzucałeś w moje okno kamieniami, zamiast jak normalny człowiek zapukać do drzwi?

Chorobliwy poblask jego skóry zostaje zastąpiony przez rumieniec.

– Nie chciałem ryzykować, drzwi mógł otworzyć Remone. Wydaje się o ciebie zazdrosny.



– I lepiej byłoby, gdyby złapał cię pod moim oknem? – Kręcę głową. – Skoro zrobiłeś coś takiego, a potem wspiąłeś się tutaj w środku nocy, to musisz mieć mi do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

– Ważnego, owszem – mówi. – Ale również... osobistego. – Chwyta moją lewą dłoń i ją odwraca.

Zatrzymuje się, by przyrzeć się niewielkim rozcięciom.

– Co ci się stało w palce?

– To od trzymania maleńkich kawałków szkła. Moją karą za to, co się dzisiaj stało, była naprawa okien w modelu sanktuarium. – Nie chcę jednak o tym rozmawiać. – A co stało się z twoją dłonią?

Simon marszczy brwi nad dwoma sączącymi się rozcięciami, sięgającymi od knykci do nadgarstka.

– Nie jestem pewien. Może otarłem się podczas wspinaczki przez okno.

– Są takie same jak te, które widziałam na twojej szyi – odpowiadam. – Z tym że wtedy były trzy.

Sięga dłonią do gardła, choć zadrapania już się zagoiły.

– To zrobiła Juliane. Zapewne zauważyłaś, że nie wszystko z nią w porządku, choć może nie wiesz, w jaki sposób.

– Opowiedziała mi o chorobie matki – przyznaję. – Sądzi, że z nią dzieje się to samo.

– Bo tak jest.

– Skąd to wiesz?

Wyostrojony wzrok sprawia, że brązowa skaza w jego oku wygląda jak kawałki włókien wciśniętych w koło z niebieskiej włóczki.

– Bo to widziałem – mówi cicho. – Całe swoje życie.

– W Mesanie – szepczę.

– Tak. – Przechyla głowę na bok. – Słyszałaś o niej?

– Trochę. Matka Agnes mówi, że znajduje się tam kaplica świętej, która leczy choroby umysłu, i że tamtejsi mieszkańcy często przyjmują chorych do własnych domów, gdzie się o nich troszczą.

– A powiedziała ci, dlaczego to konieczne? – Drzenie jego brody sprawia, że i głos jest roztrzęsiony. – Mówiła, że wielu pielgrzymów zostaje zdanych na łaskę nieznanym, ponieważ rodzina zostawia ich tam, gdy cud nie nadchodzi?

Kładę jego zadrapaną rękę na kolanach i zaciskam palce wokół jego dłoni.

– Ktoś cię tam zostawił? – pytam łagodnie.

Przytakuje otępiale.

– Matka. W zasadzie to zostawiła tam mojego ojca, ale ja nie chciałem zrobić tego samego. Więc i mnie porzuciła. Swojego jedyne go syna. – Jego twarz wykrzywia się, jakby coś go zabiło. – Miałem osiem lat.

– Tak mi przykro.

– Nie chcę twojego współczucia – mówi gwałtownie. – Chcę tylko... wyjaśnić. – Cały czas patrzy w dół. – Zaopiekowała się nami pewna rodzina, ale nie mogłem znieść myśli, że żyję z jałmużny, skoro nic jeszcze się ze mną nie dzieje.

Jeszcze?

Bierze głęboki oddech.

– Mesana to wioska utrzymująca się głównie z łowienia ryb, ludzie nie mają tam wielkiej potrzeby zdobywania edukacji. Z uwagi na to, że byłem jednym z nielicznych mieszkańców, którzy potrafili czytać i pisać, zacząłem się trudnić spisywaniem notatek dla medyków. – Uśmiecha się ironicznie. – Oczywiście nigdy nie byłem tak dobrym skrybą jak Juliane.

Ściskam jego dłoń.

– Tak dobry nie jest nikt.

Simon kontynuuje opowieść, a na jego twarzy znów pojawia się pustka.

– Gdy miałem czternaście lat, zatrudnił mnie kapłan Ferris, badacz tych, których niepoczytalność objawiała się w wyjątkowo brutalny sposób. Płacił na tyle dobrze, że mogłem utrzymać siebie i ojca we własnym niewielkim domu. – Ku mojemu przerażeniu wyciąga dłoń spod mojej, wkłada przedramiona pod nogi i zaczyna się kołysać tak, jak robi to Juliane. – Niezliczone godziny siedziałem, wysłuchując ludzi opisujących najobrzydliwsze odruchy i czyny, które często dotyczyły dzieci. – Zaciska oczy, a na jego jasnych rzęsach połyskują łzy. – Zabójca, którego szukamy, to nic w porównaniu z tym, co widziałem i słyszałem. Trudno było mi uwierzyć, że to w ogóle ludzie. – Kręci głową, jakby próbował

wyrzucić z niej okropne myśli. – Po jakimś czasie człowiek zaczyna się zastanawiać, czy też byłby zdolny do czegoś takiego.

– Simonie – mówię stanowczo. – Nie jesteś obłąkany.

Podnosi na mnie wzrok.

– I właśnie o to chodzi, Cat. Większość z nich bardzo dobrze zdawała sobie sprawę z tego, co robi i że to coś złego. Oni nie byli obłąkani, nie w sposób, który oddziela kogoś od rzeczywistości i wywołuje współczucie, nie tak jak...

– Juliane?

– Miałem na myśli mojego ojca, ale tak. Jej zachowanie przypomina początki jego choroby.

Przełykam ślinę.

– Był niebezpieczny?

Ale tak naprawdę chcę wiedzieć, czy to Juliane jest niebezpieczna.

Simon kręci głową.

– Największe ryzyko stanowił dla samego siebie. Kiedyś próbował wywiercić sobie dziurę w głowie, żeby wypuścić z niej złe myśli. – Znów sięga dłonią do szyi. – Juliane zadrapała mnie, gdy powstrzymywałem ją przed wyskoczeniem z okna. Była przekonana, że potrafi latać. Nie wiem, czy to przez jej chorobę, czy skonię w herbacie, którą jej podałem.

Zaczynam drżeć. To dlatego jej okno zabito deskami, chociaż wiedziała, jak zdjąć co najmniej dwie z nich.

– Juliane mówiła mi, że herbata czasem sprawia, że czuje się gorzej, a potem ją usypia.

Simon kiwa głową.

– Skonia wpływa na to, co już znajduje się w umyśle, dlatego używa się jej również jako eliksiru prawdy. Niszczy mury wokół tego, co ktoś próbuje ukryć. Niestety wiele osób, tak jak Juliane, buduje ogromne, skomplikowane nieporozumienia wokół tego, co widzą.

– Na przykład jakie?

Simon odchyła się i krzyżuje ręce na piersi.

– Wierzy, że Oudin lub jej ojciec zabił ich matkę, przez co boi się, że to samo zrobią jej. Dlatego przez ostatnie kilka lat się ukrywała, próbując zataić przed nimi, że jej umysł cierpi tak samo, jak cierpiał umysł jej matki. Ale nie idzie to tak dobrze, jak jej się wydaje.

Ciemny, żalony pokój, w którym kryła się podczas jego nieobecności.

„Oto moje życie bez Simona”.

– Rozumiesz ją dzięki temu, że mieszkałeś z ojcem – mówię, a on kiwa głową. Ponownie sięgam po jego dłoń. – Wykazałeś się szlachetnością, nie opuszczając go.

Parska.

– Żałowałem tej szlachetnej głupoty przez dziewięć i pół z dziesięciu lat. Czułem do niego urazę za to, kim nie mógł być, a matki nienawidziłem, bo pozwoliła mi z nim zostać. – Wykrzywia twarz, mówiąc przez zaciśnięte zęby. – Chcesz wiedzieć, jak umarł?

Przewraca mi się w żołądku.

– Mówiłeś, że był chory. Że było z nim gorzej niż z Julianie.

– Owszem, ale nie to go zabiło. – Wymusza z siebie słowa po kilka naraz. – Stałem się nierozważny. Pewnej nocy wyszedłem z domu, nie gasząc latarni. Potrzebowałem chwili spokoju, musiałem na moment się od tego oderwać. A on zdążył wtedy podpalić dom.

– To był wypadek – mówię szybko. – Nie chciałeś, by to się wydarzyło.

– Może i nie – szepcze. – Ale gdy się stało, poczułem ulgę. Po raz pierwszy w życiu poczułem się wolny. – Śmieje się ponuro. – Biedny jak mysz kościelna, zupełnie sam, ale wolny.

– To nie sprawia, że jesteś złym człowiekiem. – Niepewnie dotykam jego przedramienia i czuję ulgę, gdy go nie cofa. – I nie jesteś już sam, Simonie.

– Ale muszę być – odpowiada. – Właśnie o tym przyszedłem z tobą porozmawiać.

Moje gardło zaciska się tak mocno, że ledwie oddycham.

– W porządku.

Spojrzenie Simona staje się niewidzące; wraca do mrocznych myśli, o których wspominał.

– Jeszcze nigdy sam nie prowadziłem śledztwa i przeraża mnie myśl, że źle odczytam dowody lub jakąś wskazówkę, przez co skazę na śmierć kolejną kobietę. Kapłan Ferris robi to o wiele dłużej niż ja.

To z nim musiał konsultować się podczas wyjazdu.

– Nie powinieneś brać tego ciężaru tylko na swoje barki – mówię.  
– Może mógłby tu przyjechać i ci pomóc.

– Nie – szepcze. – On nie może opuścić Mesany.

Zaczynam coś podejrzewać.

– Czy on również cierpi z powodu utraty zmysłów?

– Teraz już tak. Większość czasu umysł Ferrisa jest przytomny i racjonalny. Jednak czasem gapi się w ściany pokoju, na nic nie reagując, prawie nie je i nie pije. Tak głęboko zanurzył się w działaniu najbardziej zatrutych umysłów, że już nie ma stamtąd powrotu. A jednak nie przestaje się nimi zajmować, mówiąc, że im więcej rozumiemy na temat morderców, tym łatwiej będzie nam ich powstrzymać. Uważa, że jego poczytalność jest ceną, którą warto za to zapłacić.

Simon obawia się, że jest na tej samej ścieżce, ale nie musi przecież nią podążać – a może jednak musi? Nie dość, że otrzymał rozkaz poprowadzenia śledztwa, to jeśli tego rozkazu nie wypełni, może stracić swój jedyny dom.

– Kiedy to wszystko się skończy – mówię, a moje serce zaciska się na następną myśl – będziesz mógł opuścić Collis i pojechać gdzieś, gdzie wuj nie zdoła cię zmusić do czegoś takiego. Nie musisz podzielić losu Ferrisa.

– Być może jest już za późno. Wiesz, co kapłan powiedział mi, gdy go odwiedziłem? – Gdy zwraca twarz ku gwiazdom, blask księżyca pada z osobna na każdą jego rzesę. – Powiedział, że doskonale rozumiem tego mordercę. Że jestem w tym lepszy niż on po dekadach badań. I że powinienem zaufać instynktowi. – Wzdryga się. – Jaki człowiek rozumie takie zachowania i posiada takie instynkty?

Nie ośmielam się powiedzieć, że naszła mnie ta sama myśl.

– Ale nie znosisz tego robić. Nie sądzisz, że to coś mówi na twój temat?

– Sęk w tym – szepcze – że wcale tak nie jest. Tak naprawdę lubię to robić.

– Cieszy cię, że możesz zakończyć brutalność i ocalić niewinne życie – nalegam. – Tak jak powinien myśleć każdy w twojej sytuacji.

– Nie. – Kręci głową. – Byłem podekscytowany, gdy zabójca wysłał mi tę notkę. To znaczyło, że uważa mnie za godnego uwagi.

– Simonie, to znaczyło, że wiesz, co robisz! Że go rozumiesz!

– Czyli piję tę samą truciznę. To tylko kwestia czasu, zanim zatruje mnie tak samo jak kapłana Ferrisa. Zanim zacznę na zmianę tracić zmysły i z powrotem je odzyskiwać.

Nie mam na to odpowiedzi.

– Ale ty... – Simon waha się i przełyka ślinę. – Ty jesteś dla mnie jak kotwica. Więcej niż raz myśl o tobie pozwoliła mi nie odpłynąć za daleko.

– W takim razie dlaczego ciągle mnie odtrącasz?

– Bo to coś, o co nie mógłbym nikogo prosić, zwłaszcza gdy sam mam tak niewiele do zaoferowania – mówi z goryczą. – Nie mam nic. Jestem nikim. Nie przeszkadzało mi to, dopóki cię nie poznałem i nie zacząłem pragnąć rzeczy, których nigdy nie będę mógł mieć.

– Ale ja mogę ci pomóc – mówię. – Chcę ci pomóc.

Simon kręci z rezygnacją głową.

– Byłem kotwicą ojca przez dziesięć lat, Cat. Teraz robię to samo dla Juliane. To więzienie, które akceptuję, ale nie mam zamiaru skazywać na nie nikogo innego, a już na pewno nie ciebie. To nie jest ciężar, który można po prostu odłożyć, gdy za bardzo zaczniesz ciążyć, nie bez konsekwencji.

– Boisz się, że porzucę cię w Mesanie? – pytam.

– Nie. – Wbija wzrok w swoje kolana. – Wiem, że nigdy byś tego nie zrobiła. Jesteś zbyt uparta i lojalna. – W końcu podnosi głowę, by znów na mnie spojrzeć. – Martwię się, że kiedyś będziesz żałować, że nie możesz tego zrobić.

Tak jak on chciał zostawić ojca.

Obracam się, by usiąść równolegle do niego, z plecami zwróconymi do księżycyca.

– Wiesz, co powiedziała mi kiedyś matka Agnes? – Czekam, aż zamruga, po czym mówię dalej: – Powiedziała, że wszyscy żyjemy w klatkach. I tylko ci, którym dopisuje szczęście, mogą wybrać swoją.

Simon marszczy brew.

– Chcesz powiedzieć, że wybrałem własną klatkę?

– Sam to powiedziałeś.

– Ale to nie znaczy, że powinnaś być w niej uwięziona ze mną.

– Nie. – Chwytam go za koszulę i przyciągam do siebie. – Ale znaczy, że to jest mój wybór.



## ROZDZIAŁ 34



Nie jestem przygotowana na to, co czuję, całując Simona w blasku księżyca.

Kiedy rozmawialiśmy, skupiałam się na jego głosie i twarzy, czasem rozpraszał mnie zapach ubrań i skóry lub srebrne światło na włosach i rzesach, gdy się poruszał. Szok związany z uczuciem, jakie wywoływał we mnie dotyk, szybko gubił się w naszej rozmowie. W jakiś sposób miałam wrażenie, że już się do tego wszystkiego przyzwyczaiałam.

To przekonanie wyparowało, gdy tylko nasze usta się spotkały. Ten delikatny kontakt kwitnie w moim umyśle jak najczerwieńsza z róż. Jego usta rozchylają się w zaskoczeniu, po czym natychmiast ruszają na spotkanie z moimi, wypełniając luki między nami delikatnym pragnieniem.

Aż w końcu Simon się odsuwa.

Nie odchodzi jednak daleko, nadal pozostaje tak blisko mnie, że czuję w powietrzu ciepło jego oddechu.

– A co, jeśli zaciągnę cię dalej niż na księżyc, do samych bram piekła?

– Wtedy razem odnajdziemy drogę powrotną. – Choć tak trudno mi się oprzeć, wiem, że nie mogę go znów pocałować. Jeśli to ma

trwać dalej – a w tym momencie oddałabym całą swoją magię, by tak było – to musi być jego wybór. – Simonie, raz w życiu weź pod uwagę, że może warto cię ratować.

Dotyka mojego policzka, a ja czuję jego puls – szybki i nieregularny – najpierw przez palce, a później przez całą dłoń.

– Wierzysz w to?

– Tak. – Muskam go po ramieniu, sięgam aż do nadgarstka i kładę palce pomiędzy knykiami. – Ale to będzie miało znaczenie jedynie wtedy, gdy i ty w to uwierzysz.

Drży i spina mięśnie, przysuwając mnie o cal bliżej.

– Myślę, że uwierzyłbym, że słońce jest księżycem, gdybyś ty tak powiedziała. – Nachyla się, a jego nos ociera się o mój. – Dzięki Światłu, że jesteś zbyt uczciwa, by nadużyć mojego zaufania.

Chyba próbował sprawić, bym się uśmiechnęła, ale jego słowa zadają mi tak silny cios, że wzdrygam się, gdy po raz kolejny przysuwa się, by zmniejszyć odległość między nami.

Simon zamiera.

– Myślałem, że chciałaś... Przepraszam...

Moja dłoń na jego koszuli powstrzymuje go przed wycofaniem się.

– Nie – odpowiadam, odsuwając na bok poczucie winy i podążając za żarem jego oddechu aż do ust. – Jest właśnie tak, jak chcę.

I taka jest prawda.

Czuję, jak jego usta przylegają do moich, krótki zarost drapie moją górną wargę. Czuję, jak druga ręka obejmuje mnie w talii i przyciska do siebie, aż bicie jego serca odbija się we mnie echem niczym dzwon sanktuarium. Czuję, jak bierze rozedrgane oddechy pomiędzy pocałunkami, które zaczynają się przed zakończeniem poprzedniego.

Czuję, jak przez moje żyły przepływają ciepło, kolor i światło, napełniając całe ciało wewnątrz i na zewnątrz.

Nie zdaję sobie sprawy, że wstrzymuję oddech, dopóki inny rodzaj oszołomienia nie zmusza mnie do przerwania pocałunku. Gwałtownie nabieram powietrza i otwieram oczy, by spojrzeć na półksiężyc wpatrujący się we mnie pomiędzy wąskimi kamiennymi kolumnami. Jego blask jest tak jasny, że natychmiast mrużę oczy.

– Coś nie tak? – pyta Simon, a ja widzę, że gorączkowo pragnie, by to nie on był problemem.



– Księżyc – bełkoczę bez zastanowienia, a świeże powietrze w płucach powoli rozwiewa mgłę w moim umyśle.

Simon delikatnie przyciąga mnie do cienia rzucanego przez balustradę, odcinając od kaskady doznań. Opuszcza mnie na rozgrzany ciepłem jego ciała kamień i siada tuż obok.

– Lepiej?

To dziwne, ale naprawdę czuję się lepiej. Teraz nic nie odwraca mojej uwagi od miejsc, w których nasze ciała się stykają, ani od zdumienia i troski w jego oczach, gdy na mnie patrzy. Teraz, gdy jesteśmy w mroku, te uczucia sprawiają, że ostre rysy jego twarzy łagodnieją niczym witraż zmieniony w portret. Zdaje się namalowany tak boleśnie pięknie, że pragnę go dotknąć. Unoszę dłoń do jego policzka i obrysowuję te miękkie kontury opuszkami palców, sprawiając, że mruga na tyle powoli, iż mam wrażenie, że zamknął oczy. Gdy ponownie je otwiera, uśmiecham się.

– Jest idealnie – szepczę i znów go do siebie przyciągam.



Godzina. Tydzień. Miesiąc.

Nie mam pojęcia, ile czasu tam spędzamy. Noc jest na tyle zimna, że widzę mgiełki naszych oddechów, a kamienna podłoga jest twarda i nieustępliwa, ja jednak czuję jedynie ciepło i delikatność. Moje ciało idealnie pasuje do ciała Simona, gdy jego usta łagodnie niczym pióra poruszają się po mojej szczęce aż do ucha, a potem w dół do szyi i z powrotem do ust.

– Pierwszy raz zobaczyłem cię – szepcze – naprawdę zobaczyłem, tego dnia, gdy przyszedłem do pracowni, by cię przeprosić. Gapiłem się na ciebie z dziesięć minut.

– Naprawdę?

Muska nosem zagłębienie pod moim gardłem.

– Byłaś tak cudowna, tak spokojna, spojona z tym, co robiłaś, że mógłbym na ciebie patrzeć cały dzień. – Kręci głową, a jego włosy ocierają się o mój nos. Pachną cedrem, z którego jest zbudowane wezgówie jego łóżka. Ta myśl rozgrzałaby moje policzki, gdyby i tak nie były już zaróżowione. – Zazdrościłem ci tego, co masz: umiejętności i miejsca w życiu. Celu. – Podnosi się, by znów na mnie

spojrzeć. – To był pierwszy raz, gdy zapragnąłem czegoś więcej niż to, na co się zgodziłem. Chciałem zostać częścią twojego świata.

Ten świat jest o wiele bardziej skomplikowany, niż mu się zdaje, ale nie ma potrzeby tego teraz wyjaśniać, a zresztą nie jestem pewna, czy byłabym w stanie, nawet gdybym chciała.

Chociaż...

Simon nachyla się, by pocałować mnie w ucho, a ja odwracam głowę w stronę srebrnego światła wylewającego się na kamień, wydłużonego przez obniżający się księżyc. Wkrótce zniknie za horyzontem. Na jakiś czas to może być moja ostatnia szansa, by poczuć efekty jego działania w tak wzmożony sposób. Zdejmuję dłoń z ramienia Simona i wyciągam ją na bok.

*Pomóż mi. Nie mogę...*

Cofam rękę, by móc się na nim skupić.

– Czego nie możesz?

Opiera się na łokciach, by na mnie spojrzeć.

– Co powiedziałaś?

– Zapytałam, co ty powiedziałeś. – Marszczę brwi, gdy on wygląda na zdziwionego. – Powiedziałeś: „Pomóż mi”, a potem: „Nie mogę”, ale nie dokończyłeś.

Simon kręci głową.

– Nic takiego nie powiedziałem. – Prostuje się i spogląda na drzwi wieży. – Słyszałaś kogoś?

Gdy blask księżyca uderza w czubek jego głowy, zdaję sobie sprawę, co musiało się wydarzyć. Wyrzucając rękę na bok, łapię ostatnie ślady światła na podłodze. Gdy tylko dociera do mnie słaby głos, zamykam oczy, by się skoncentrować.

– Cat? – pyta Simon.

– Ciii! – Napinam się, by usłyszeć więcej, chociaż to, jakich używam do tego mięśni i części ciała, pozostaje zagadką.

*Pomóż mi. Nie mogę...*

To głos kobiety. Jej fizyczny ból zaciska się wokół mojej czaszki niczym imadło. Skąd mam wiedzieć, kim jest i gdzie się znajduje? Jak mogę ją odnaleźć w tak dużym...

*Proszę, matko... proszę... Nie mogę... to boli...*

Natychmiast otwieram oczy. Znam ten głos lepiej niż jakikolwiek inny.

Należy do Marguerite.



## ROZDZIAŁ 35



Simon za mną nie nadąża.

– Cat! – krzyczy, gdy docieram do końca spiralnych schodów. – Dokąd biegniesz?

Nie odpowiadam, pędzę w kierunku kolejnych schodów i zbiegam w dół, przykładając dłoń do ściany, by pomóc sobie odnaleźć drogę w ciemności. Na pierwszym półpiętrze wpadam prosto na zakonnika, który kieruje się do dzwonnicy, by wezwać mieszkańców na modlitwy o północy. Jego latarnia upada na ziemię i gaśnie, a od marmurowej podłogi odbija się metaliczny brzęk. Podnoszę się, zdając sobie sprawę, że skoro wszedł na górę, to otwarte są boczne drzwi, przez które szybciej wyjdę na zewnątrz, niż przeciskając się przez okno.

Simon jest tuż za mną, gdy pędzę po galerii. Starszy zakonnik rusza za nami, na zmianę krzycząc i świszcząc, ale szybko przestaje nadążać. Nogi Simona są dłuższe niż moje, więc w połowie drogi przez nawę udaje mu się chwycić mnie za ramię.

– O co chodzi? Co się stało?

– On na nią poluje! – wrzeszczy, wyrывая mu się. – On zabije Marguerite i matkę Agnes!

– Co? Skąd możesz to wiedzieć?

Jestem już tuzin kroków dalej.

Tym razem zamiast próbować mnie zatrzymać, Simon dotrzymuje mi kroku.

– Skąd wiesz? – pyta, zdyszany. – Co usłyszałaś?

Nie mogę mu powiedzieć, nawet gdyby oddech pozwalał mi spróbować. Zbiegam po kolejnych schodach i wypadam przez drzwi na plac – i światło księżyca. Zatrzymuję się, zamykam oczy i zaczynam nasłuchiwać, chociaż spodziewam się jedynie tego samego szeptu.

Nie słyszę nic.

Otwieram oczy. Księżyc tonie za dachami. Simon znów zaczyna mi zadawać pytania, ale ja pędzę w kierunku drogi kierującej się na południe, w stronę opactwa. Nie jest to prosta ścieżka, jest jednak najszybsza, a każdy zakręt na pogrążonych w mroku ulicach zdaje się przeszkodą. Gdy zauważam w końcu róg wysokiego muru, mam wrażenie, że wybuchną mi płuca, ale nie zatrzymuję się, dopóki nie dobiegam do miejsca, z którego mogę się po nim wspiąć.

Simon w końcu interweniuje – ściąga mnie z muru, zanim uda mi się wspiąć na więcej niż kilka stóp.

– Co ty, na światło dnia, wyprawiasz, Cat? – pyta stanowczo.

Przez kilka sekund usiłuję z nim walczyć, aż w końcu do mnie dociera: jeśli słyszałam myśli Marguerite, to znaczy, że ona już nie żyje. Spóźniłam się. Opadam na niego, z bólem zdając sobie sprawę, że zaledwie kilka minut temu byłam w jego ramionach i wszystko było idealne – a ja nie wiedziałam, że moja najlepsza przyjaciółka umiera.

– Marguerite nie żyje! – Łkam przy jego piersi. – I matka Agnes!

– Kto? – pyta, skonsternowany. – Ta zakonnica, z którą dziś rozmawiałaś? Myślisz, że zabójca ją zaatakował?

Podnoszę na niego wzrok.

– Wiem, że tak się stało. Proszę, Simonie. Musisz mi zaufać.

Jego odpowiedź jest tak cicha, że usta niemal się nie poruszają:

– Nikomu nie ufam bardziej.

Kładę dłoń na jego nadgarstku, cofam się i pociągam go za sobą do ściany.

– To najszybsza droga, by dostać się do środka.

Gdy puszczam jego rękę i sięgam do wgłębienia w zaprawie pomiędzy kamieniami, zauważam na wewnętrznej stronie dłoni szkarłatną smugę. Krew? Simon staje za mną i nakrywa moją rękę swoją, a ja zdaję sobie sprawę, że krew pochodzi ze znajdujących się na niej zadrapań. Podciągam się na szczyt muru i przesuwam na bok, by zrobić Simonowi miejsce. Wycieram dłonie o bryczesy. Następnie pokazuję mu, jak wskoczyć na dach szopy, a potem opuścić się na ziemię, po czym biegniemy przez ogród i zakręcamy przy kuchni.

Dlaczego nie były jeszcze dzwony wzywające na modlitwy? Błade światło latarni jarzy się w wieży kaplicy, w której jedna z sióstr oczekuje na wezwanie z sanktuarium, które wszystkich obudzi. Musiałam je opóźnić, gdy wpadłam na dzwonnika.

Z fontanny w samym środku opactwa wychodzą brukowane ścieżki. Skradam się po zaokrąglonym kamieniu, woda łagodnie uderza o brzeg. Na ogród kwietny przeoryszy nie pada bezpośrednio światło księżyca. Ścieżka prowadząca do kwater matki Agnes i jej asystentki – Marguerite – również jest zatopiona w cieniu. Tuż za nią znajduje się wejście do salonu – jest otwarte, co podpowiedziało mi, że coś jest nie tak, nawet gdyby złe przeczucie nie przeszywało mnie aż do szpiku kości.

Simon delikatnie kładzie mi dłoń na plecach. Niemal słyszę, jak mówi: „Jestem przy tobie”.

– Te drzwi nie powinny być otwarte – szepczę.

– Które?

Nie wiem, czy ich nie widzi, czy po prostu nie wie, w którą stronę patrzeć. Prostuję się i rzucam pędem po ścieżce z kamiennych płyt. Ścinam zakręt po trawie, którą wydeptały już setki stóp używające tego samego skrótu. Zatrzymuję się w drzwiach, gdzie nawet bez pomocy magii czuję obezwładniający zapach krwi. Moja dłoń unosi się, by zakryć usta i nos i stłumić zarówno zapach, jak i szloch wydobywający się z mojej piersi.

Okiennice są zamknięte, przez co w środku panuje zupełny mrok. Pochylam się, by wyczuć drogę do mebli, a kilka kroków dalej potykam się o coś miękkiego, jednak zbyt dużego, by była to Marguerite. Opadam na kolana, gmerając dłońmi przy ciele, aż moje palce natrafiają na coś ciepłego i mokrego.

– Zawsze wiedziałam, że ten dzień nadejdzie – mówi ze smutkiem matka Agnes.

– Co? – Płaczę, nie wierząc w to, co słyszę. – Matko, to ja, Catrin! Nic ci nie jest? Gdzie cię zranił?

*Zawsze wiedziałam, że ten dzień nadejdzie* – słyszę znowu, i zdaję sobie sprawę, że tym razem jej głos dochodzi z mojej głowy.

A z tego, co czuję, wynika, że matka z całą pewnością nie żyje.

Ja jednak i tak przyciskam palce do jej szyi w poszukiwaniu pulsu, po czym przesuwam zakrwawioną dłoń do klatki piersiowej, gdzie znajduję warkocz upleciony z włosów. Z całą pewnością należał do Emeline.

Sylwetka Simona wyczekuje w drzwiach, ciemny kształt na niewiele jaśniejszym tle.

– Gdzie jesteś, Cat? Znalazłaś kogoś?

– Matkę Agnes – jęczę. – Nie żyje.

– A co z zabójcą? – pyta. – Dokąd poszedł?

Sięgam do sznura zawiązanego u pasa matki Agnes i natychmiast odnajduję pęk kluczy.

– Brama nadal jest zamknięta! Być może ciągle jest w opactwie!

Cień Simona natychmiast znika.

Nagle zostaję sama w ciemności. A jeśli morderca nie wyszedł jeszcze z pokoju?

Choć ta myśl mnie przeraża, kolejna sprawia, że natychmiast o niej zapominam: Gdzie jest Marguerite?

Podnoszę się, nadal na klęczkach, i rozglądam, chociaż nic nie widzę.

– Marga? – Bez zastanowienia używam jej dziecięcego przydomka.

– Marga, gdzie jesteś?

*Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam, że ten dzień nadejdzie* – powtarza matka Agnes. Jej krew nie przestaje do mnie mówić; do czysta wycieram rękę o jej habit, aż głos staje się ledwie szeptem.

– Marga, proszę, odpowiedz mi! – Czołgam się po pokoju, wiedząc, że mnie nie słyszy, ale nie mogę przestać jej wołać. – Marga, to ja, Cat! Proszę! Marga!

Rozbrzmiewa dzwon w kaplicy – jednak nie łagodnym wezwaniem na modlitwę, lecz głośnym, nagłym alarmem. Simon prawdopodobnie na śmierć wystraszył czekającą tam siostrę.

Nadal nie mogę znaleźć Marguerite. Co mi po zmysłach wyostrzonych przez blask księżyca, gdy ten już zajdzie?

Nagle zrozumienie uderza mnie niczym piorun. Słyszałam Marguerite z sanktuarium, bo oświetlał ją księżyc. Musi być więc na zewnątrz.

Podnoszę się gwałtownie i biegnę do drzwi. Potykam się o nogę krzesła i wypadam na dwór. Dźwięk dzwonu odbija się od ścian, przez co brzmi, jakby dołączył do niego drugi. Wśród sióstr zaczyna panować poruszenie. Wiele z nich zapewne z przyzwyczajenia zdążyło obudzić się przed wezwaniem. Światło księżyca niemal poziomo przedziera się przez drzewa, pozostając poza moim zasięgiem, ale i tak jest na tyle jasno, bym mogła zorientować się w terenie.

Niecałe dwadzieścia stóp dalej widzę bezkształtną stertę wełny, z której wystają bosa stopy, co przywodzi na myśl noc, kiedy znalazłam Perrete. Marguerite leży na boku w miejscu, do którego albo się doczołgała albo została zaciągnięta z osłoniętej ścieżki. Krzyczę, doskakuję do niej i przewracam ją na plecy.

Nie wydłubał jej oczu, ale lewa strona głowy jest zakrwawiona i zdeformowana. Pozostałości jej włosów kleją się do czerwono-czarnej miazgi pod dziwnymi kątami. Gdy tulę do siebie jej nieruchomą sylwetkę, usta Marguerite poruszają się niemal tak, jakby do mnie mówiła.

Wiem, co się stanie, gdy dotknę jej krwi – usłyszę jedynie ostatnią, przerażoną myśl mojej przyjaciółki – ale nie mogę oprzeć się potrzebie usłyszenia jej głosu, kiedy nadal mogę. Moje palce drżą, gdy kładę dłoń z boku jej twarzy, po czym przesuwam je delikatnie między mokre, potargane włosy.

*Cat.*

Myślała o mnie?

*Cat. Pomóż mi. Pomóż matce.*

Słyszała, że nadchodzę? Nadal żyła, gdy ją mijałam, skupiona na drzwiach?

– Marga – szlocham. – Przepraszam, nie wiedziałam, co się dzieje, dopóki nie było za późno.

*Gdzie jesteś? Strasznie tutaj ciemno.*



Słyszę więcej niż kiedykolwiek wcześniej, ale w jakiś sposób to jest jeszcze gorsze. Przyciskam czoło do jej czoła i pozwalam, by pociekły łzy.

– Przepraszam, przepraszam! Kocham cię, Marga.

*Ja też cię kocham, Cat.*

Wzdrygam się. To za bardzo przypomina odpowiedź.

– Marga? – szepczę. – Słyszysz mnie?

*Tak, ale nic nie widzę i boli mnie głowa. – Jej głos cichnie. – Jestem śpiąca... bardzo śpiąca.*

Powoli, jak we śnie, przesuвам zakrwawioną rękę do jej szyi. O moje palce obija się słaby, nierówny puls.

Na chwałę dnia, ona nadal żyje.



## ROZDZIAŁ 36

Krzyczę, by ktoś pomógł Marguerite, a u mojego boku pojawia się Remi. Nie pytam go, skąd się tu wziął, błagam tylko, by znalazł medyka. Wraca szybko wraz z ubraną na czarno kobietą w średnim wieku, która łagodnie odsuwa mnie na bok i zaczyna badać moją przyjaciółkę. Gdy się nad nią nachyla, spod jej koszuli wymyka się srebrny łańcuch, na którym wisi opalizujący gładki kamień.

Kiedy tylko tracę kontakt z krwią Margi, nasza łączność się przerywa, ale jej ostatnia odpowiedź na moje błagania, by nie zasypiała, odbija się echem w moim umyśle.

*Staram się, Cat. Staram.*

Wiem jednak, że nadal mnie słyszy.

– Marga, jest tu ktoś, kto ci pomoże! – wołam, gdy Remi odciąga mnie dalej od medyczki. – Ja też nigdzie się stąd nie ruszam. Po prostu staraj się nie zasnąć.

Kobieta podnosi na mnie wzrok, mrużąc oczy obrysowane kredką. Jej siwiejące ciemne loki są związane przy karku.

– Rozmawiałaś z nią? – pyta szorstko. – Odpowiedziała?

– Catrin! – Nagle pojawia się obok mnie architekt. Jego szaty są rozwiane. – Co ty tu robisz? Co się stało? – Szuka źródła krwi, którą ubrudziłam całą rękę.

– To nie moja krew – wyjaśniam.

Zaczyna ją wycierać rękawem, ale ja zaciskam dłoń w pięść, niegotowa rozstać się z głosem Marguerite.

*Staram się, Cat.*

Mistrz Thomas przestaje wycierać moje ręce i rozgląda się wokoło. Wbija wzrok w Selenkę, która zajmuje się Marguerite, i spogląda na zawodzące Siostry Światła. Salon został oświetlony świecami i latarniami, przez co leżący na ziemi kształt staje się widoczny.

– Czy to...?

– Matka Agnes – potwierdzam łamiącym się głosem.

Remi kuca przede mną.

– Cat, dokąd poszedł venatre?

– Simon? – Nie widziałam go, od kiedy wyszedł podnieść alarm. – Poszedł do kaplicy zabić dzwonem.

Remi wstaje.

– Pójdę go poszukać. Zostańcie tutaj. Oboje.

Przecież i tak nie opuściłabym Marguerite. Architekt przyciąga mnie do siebie i wpatrujemy się w medyczkę. Jedną rękę trzyma na szyi Marguerite, a drugą delikatnie bada ranę z boku jej głowy, mrużąc coś pod nosem.

– Tak, nadal tu jest. – Kobieta mówi do Marguerite, jakby ta była przytomna. – Pamiętasz coś? – Milknie. – W porządku.

– Ty też ją słyszysz? – wypalam.

Podnosi na mnie wzrok.

– A ty? – Spojrzenie jej srebrnych oczu przenosi się na mistrza Thomasa. – Nigdy nam o tym nie wspominałaś.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie – odpowiada.

Marszcząc brwi, kobieta odwraca się do Marguerite.

– Nie wiem, moja droga, ale zrobię, co w mojej mocy. – Wzdycha. – Ta starsza kobieta? Jest już za słońcem. Przykro mi.

Marguerite pytała ją o matkę Agnes. Medyczka po raz kolejny podnosi oczy.

– Muszę przenieść ją do miejsca, gdzie będę mogła jej zapewnić lepszą opiekę.

Kilka sióstr podchodzi bliżej.

– Zabierzemy ją do lecznicy.

– Nie – odpowiada. – Będzie potrzebowała ciągłej opieki i zapewne również drenażu chirurgicznego, by zmniejszyć obrzęk mózgu. W Kwaterze będę mogła dla niej zrobić o wiele więcej.

Siostry wydają z siebie chóralny zduszony okrzyk.

– To niemożliwe – syczy jedna z nich. – Nie możemy na to pozwolić.

– W takim razie dziewczyna niemal na pewno umrze.

– A więc niech tak będzie – oświadcza siostra Berta. Pamiętam ją z dawnych czasów i już wtedy jej nie lubiłam. – Skoro taka jest wola słońca.

Podnoszę się na nogi.

– Ani się ważcie tego zakazywać! – krzyczę na nią. – Matka Agnes na pewno by się zgodziła!

Berta krzyżuje ręce na piersi.

– Nie stać nas, by zapłacić tyle, ile zażądają.

– W takim razie ja zapłacę – deklaruje mistrz Thomas, który staje obok mnie.

Podczas gdy Berta nadal próbuje protestować, pojawia się kilku Sелеńczyków niosących sztywne łóżko polowe. Medyczka instruuje ich, jak mają podnieść Marguerite. Nawet gdy ruszają w drogę, cały czas dotyka jej zakrwawionej głowy. Zatrzymuje się jednak, by powiedzieć:

– Ona chce, żebyś wiedziała, że wszystko będzie dobrze i że cię kocha. – Spojrzenie kobiety przenosi się na architekta. – A my będziemy mieli sporo do przedyskutowania, wielbicielu słońca.

– O czym ona mówi? – pytam mistrza Thomasa, gdy tylko odchodzą.

W odpowiedzi mnie przytula.

– Och, Cat, nie wiem, od czego zacząć, a w dodatku połowy z tego nie rozumiem.

Remi powraca z Simonem niosącym w ręce latarnię, którą zapewne otrzymał od siostry siedzącej w dzwonnicy.

– Znalazłem go w sadzie.

Simon przytakuje, nie zdając sobie sprawy z grymasu na twarzy Remiego.

– Przeszukiwałem okolicę opactwa – mówi. – Na murze w sadzie były świeże ślady błota, jakby ktoś się tamtędy wspiał.

Mistrz Thomas mruga.

– Skąd się tu wzięłaś, Remone?

Remi krzyżuje ręce na torsie i przesyła Simonowi gniewne spojrzenie.

– Poszedłem za Cat i wspaniałym venatre'em. Oni wspięli się na mur, by tu wejść, ale ja podszedłem do bramy, jak normalny człowiek. Gdy Cat zaczęła krzyczeć, zniszczyłem zamek, by wejść do środka.

– Dlaczego wyszedłeś dziś w nocy? – pytam stanowczo, chociaż już to wiem.

Remi unosi brew.

– A ty?

Simon przesuwa latarnię nad trawę przemoczoną od krwi.

– Było tu czyjeś ciało?

– Siostry Marguerite – odpowiadam. – Ale ona nadal żyje.

– Naprawdę? – Oczywiście Simona otwierają się szeroko. – Mówiła coś?

Moja pięść odruchowo się zaciska, a jej krew szepcze: *Staram się*. Kręcę głową.

– Była nieprzytomna. Zabrali ją.

– Jeśli się obudzi, będę chciał z nią porozmawiać. – Simon patrzy ponad nami na wejście do salonu. – A tam jest przeorysza? Nie żyje?

Brakuje mi tchu.

– Tak.

Patrzy na mnie dobrotliwie.

– Nie musisz mi towarzyszyć, jeśli nie czujesz się na siłach.

Mimo to idę za nim do drzwi, tak jak Remi i mistrz Thomas.

Simon zatrzymuje się zaraz za wejściem, by rozejrzeć się po pokoju. Ktoś nakrył matkę Agnes prześcieradłem, co zapewne go frustruje, ponieważ ciało nie wygląda dokładnie tak, jak pozostawił je zabójca.

– Jako wyznaczony do tego śledztwa venatre miasta Collis – mówi, a jego głos ma w sobie powagę, której wcześniej nie słyszałam – rozkazuję wszystkim odejść, abym mógł zająć się zbadaniem sprawy.

Siostry posłusznie, jedna za drugą, opuszczają w milczeniu salon, pozostawiając za sobą kilka świec. Mistrz Thomas ściska moją dłoń i rusza w stronę drzwi.

– Sprawdzę, co z siostrą Marguerite.

Dołączam do Simona w środku, ale Remi nadal stoi przy drzwiach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, i przygląda mi się z miną, której nie jestem w stanie zinterpretować.

Simon pociera twarz dłońmi i znów brzmi jak mężczyzna, do którego jestem przyzwyczajona.

– Bardzo mi przykro, Cat. Wiem, że była dla ciebie kimś ważnym.

– Robi głęboki wydech. – Dobrze znałaś i ją, i całe opactwo. Jak myślisz, co się stało? Jak on się tutaj dostał?

Rozglądam się po pokoju. Jedyńm naruszonym meblem jest krzesło, o które się potknęłam. Stopy matki Agnes nie są zakryte prześcieradłem, widzę więc jej sandały. Pod peleryną, przy pasku miała klucze, jakby spodziewała się, że ich użyje. *Zawsze wiedziałam, że ten dzień nadejdzie.*

– Była kompletnie ubrana – mówię. – A jej ciało leżało blisko drzwi. Myślę... myślę, że sama wpuściła mordercę.

– Chcesz powiedzieć, że go znała? – pyta Remi.

– Była niewidoma – warczę. – Łatwo można było ją oszukać, zwłaszcza jeśli się kogoś spodziewała.

Modłę się, by Marguerite była jedyną osobą, która wiedziała, że przeorysza spodziewa się wizyty mistrza Thomasa.

Simon podnosi prześcieradło, by przyrzeć się ciału.

– Ten sam rodzaj broni – mówi cicho sam do siebie. – Ale ofiara nadal ma oczy i włosy. – Unosi prześcieradło wyżej. – Czy ktoś znalazł... ach. – Sięga na drugą stronę i wyjmuję warkocz, który spadł na bok. W świetle widać, że jest rudy, jak włosy Emeline. – Czyli mamy potwierdzenie, chociaż nie jestem pewien, dlaczego nie zrobił nic innego.

– M-może zaskoczyła go siostra Marguerite – dukam. – Znalazłam ją na zewnątrz, jakby próbowała się czołgać. Zabrał jej włosy.

Simon patrzy to na mnie, to na Remiego.

– Czy zrobił jej coś jeszcze? – pyta szeptem.

– Nie, nie. – Kręcę głową. – Uderzył ją tylko w bok głowy. – Być może panująca w pokoju ciemność i zaskoczenie spowodowane nadejściem Marguerite spowodowały, że zachował się inaczej. – Jak myślisz, dlaczego jej nie... – Dławię się.

– Jeszcze nie wiem – mówi Simon. Zakrywa ciało i wstaje, nieprzytomnie rozdrapując strup na dłoni. – To może być kolejny

zabójca, próbujący naśladować naszego. Może ludzie dowiedzieli się o włosach.

– Powiedziałeś, że zmieni rodzaj ofiar, na które poluje – mówię.

Kiwa głową.

– Tak, i biorąc pod uwagę, że użyto podobnej broni, jestem niemal pewien, że to jego robota. Chciałbym jedynie wiedzieć, czym masakruje im twarz.

– Być może tym.

Oboje odwracamy się, by spojrzeć na Remiego, który kiwa głową w kierunku biurka matki Agnes.

Na stercie papierów i ksiąg rachunkowych leży znajomo wyglądający przedmiot. Jest pokryty krwią, świeżą i zaschniętą – nawet uchwyt – ale nadal widać złoty połysk.

Błogosławione słońce i głębi piekielna, tylko nie to.

Simon podaje mi warkocz i szybkim krokiem podchodzi do biurka.

– Cat, zapamiętaj, jak leży – mówi, przyglądając się młotkowi z kilku perspektyw.

Podejrzewam, że zapamiętam to tak dobrze, jak zrobiłaby to Juliane.

Simon szturcha broń.

– Jest jeszcze cięższy, niż się spodziewałem – mruczy pod nosem. Podnosi go ostrożnie i przenosi do lepszego światła. – Wygląda, jakby był... pozłacany? – Obraca narzędzie, by dokładnie je zbadać. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem, ale wymiary się zgadzają. Mógł zostać użyty przy każdym morderstwie, być może zabito nim nawet Beatrez.

Remi opiera się o framugę, wpatrując się we mnie zielonymi oczami. Odwzajemniam spojrzenie, błagając go, by zrobił lub powiedział coś, co zatrzyma ten koszmar, jednak jego usta poruszają się, bezgłośnie wypowiadając zdanie, które architekt powtarzał niezliczoną ilość razy: „Zbierasz to, co zasiałeś”.

To, co zaraz się wydarzy, spowodowały moje wybory.

– Na boku coś wygrawerowano. – Simon unosi młotek, by mi pokazać, brzmi niemal na podeksycytowanego. – Przyjrzyj się temu, Cat. Nie ma z nami Juliane, więc musi wystarczyć nasza zbiorowa pamięć. A ty – kiwa głową do Remiego – również jesteś świadkiem tego, w jakim stanie jest ten młotek.

Nie mogę się nawet poruszyć. Remi przytakuje sztywno – tylko raz – a Simon podchodzi do dzbanka z wodą stojącego na niewielkim stoliku pod ścianą. Wody wystarcza na tyle, by wylać ją na złoty obuch. Odstawia dzbanek i wyciera krew rękawem. To wszystko zajmuje więcej, niż powinno, jakby czas zwolnił.

Przechyla młotek do światła świecy, a ja zamykam oczy, nie chcąc widzieć jego miny.

– Podarowano... – zaczyna, po czym milknie.

Podarowano mistrzowi Thomasowi z Iskany, szóstemu mistrzowi architektowi Świętego sanktuarium w Collis. Niech jego dzieło będzie błogosławione przez czcigodne słońce.

Jednak żadnego z tych słów nie czyta na głos. W ciszy słyszę, jak łamie się moje serce.





## ROZDZIAŁ 37

Pochylam głowę, nadal nie otwierając oczu.

– Czy którekolwiek z was rozpoznaje ten młotek? – pyta w końcu Simon.

Zbyt mocno zaciskam szczękę, by odpowiedzieć.

– Tak, venatre – mówi Remi, po raz pierwszy używając tego tytułu z szacunkiem. – Rozpoznamy go.

Przez kilkanaście uderzeń serca w pokoju panuje cisza.

– Macie jakiegokolwiek pojęcie, skąd mógł się tutaj wziąć?

– Zaginął – odpowiada Remi. – Został skradziony architektowi.

– Kiedy? – pyta stanowczo Simon. – W jakich okolicznościach?

Czuję, jak moje oczy zalewają się łzami, gdy unoszę wzrok na Remiego. *Proszę* – zwracam się do niego w myślach. – *Nie mów tego. Nie mów mu.*

– Nie było mnie tamtej nocy w domu. – Remi wchodzi do pokoju, kieruje się w moją stronę. – Będziesz musiał zapytać kogoś, kto tam był.

Może i myśli, że daje mi szansę, żebym mogła wszystko wyjaśnić, ale mam wrażenie, że to zdrada.

Simon przenosi wzrok na mnie.

– Catrin?

Powoli odwracam się, by na niego spojrzeć. Ból w jego oczach jest jak sztylet wbity w moje i tak ranne już serce. Remi podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na plecach.

– Mnie również nie było wtedy w domu – chrypię.

To prawda, chociaż mam wrażenie, że kłamię. Simon nie daje się nabrać.

– Cat – szepcze. – Czego mi nie mówisz?

Zaciskam usta, nie chcąc zniszczyć dwóch najważniejszych osób, które zostały mi na tym świecie.

W końcu ciszę przerywa Remi:

– Perrete go ukradła – mówi. Moją jedyną pociechą jest udręka w jego głosie. – Przyszła do mistrza Thomasa w noc swojej śmierci, pokłócili się. Zniszczyła młotkiem model sanktuarium. Potem wyszła, zabierając go ze sobą. – Przerywa, by wziąć oddech przed ostatnim zdaniem: – Tyle mi powiedziano.

Simon nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Rozumiem. – Z młotka, który trzyma w dłoni, kapie krew zmieszana z wodą i natychmiast wpływa do szczeliny pomiędzy kamieniami. – Wiedziałaś o tym, Cat?

Kiwam głową, chcąc nienawidzić Remiego, ale jednocześnie jestem mu wdzięczna, że miał na tyle siły, by wyznać prawdę, gdy ja nie byłam w stanie.

– Od samego początku? – dopytuje Simon. – Od czasu Perrete?

– Tak – wymuszam z siebie odpowiedź.

– Wiedziałaś, że szukam czegoś takiego, i... nie powiedziałaś mi o tym?

Tak bardzo się boję, że mi przerwie, że słowa wychodzą ze mnie w pośpiechu:

– Zrobiłam to tylko dlatego, że błędnie by cię to nakierowało. To nie mistrz Thomas ją zabił.

– I nie ufałaś mi na tyle, bym mógł sam do tego dojść? – Opuszcza młotek i podchodzi do mnie. – Nie przyszło ci do głowy, że nałożyłbym na architekta cichy nadzór, by po kolejnym morderstwie mógł zostać natychmiast oczyszczony z zarzutów?

Gdy Simon się zbliża, Remi staje za mną, by mnie wesprzeć albo by uniemożliwić mi ucieczkę. Simon zatrzymuje się zaledwie o stopę przede mną i patrzy na mnie spode łba.

– Czy nie rozumiesz, że ukrywanie informacji jest równoznaczne z kłamstwem?

Łzy, które gorączkowo usiłowałam powstrzymać, zaczynają płynąć po moich policzkach.

– Simon, przepraszam. Nie znałam cię. Nie wiedziałam, czy mogę ci ufać.

Cofa się, a jego twarz wykrzywia się w obrzydzeniu.

– Przeprosiny zostaw dla umarłych.

– Cat nie chciała, by do tego doszło, a ty dobrze o tym wiesz – mówi Remi. – Nie bądź dla niej taki surowy.

Simon unosi brew.

– Sugeruję, żebyś zamilkł, Remonie la Fontaine. Oboje macie szczęście, że nie kazałem was aresztować.

Odwraca się i maszeruje do drzwi, do których podeszło kilka sióstr. Jedna z nich trzyma już w dłoniach stertę lnianych ręczników. Simon prosi o jeden i zawija go wokół zakrwawionego młotka. Następnie kiwa w podziękę głową i zwraca się do niej ze współczuciem:

– Bardzo mi przykro. Z powodu tego wszystkiego.

Odchodzi, trzymając zawinięty młotek pod pachą. Remi delikatnie popycha mnie, bym wyszła na zewnątrz, ale nie mogę tego zrobić, nie pożegnawszy się z matką Agnes. Opadam na kolana i próbuję ją objąć.

– Przepraszam, matko – mówię, jakby mogła mnie usłyszeć. – Za każdy raz, gdy cię zawiodłam lub sprawiłam, że się o mnie martwiłaś.

Łzy spływają na prześcieradło niczym deszcz, a ja wyciągam spod niego jej rękę i przytulam do policzka. Gdy całuję palce, skóra jest już zimna.

– Wiem, że mnie kochałaś. Mam nadzieję, że ty też wiedziałaś, że cię kocham.

Remi delikatnie odsuwa ode mnie dłoń przeoryszy i kładzie ją na jej piersi.

– Musimy iść, Cat. I to już.

Pomaga mi wstać i podtrzymuje mnie w drodze do drzwi, obok sióstr i do przejścia prowadzącego ku bramie. Gdy wychodzimy za mury opactwa, mój umysł jest otępiały. Mijamy łuk gapiów, których zainteresowało zamieszanie. Z jednego z wejść do Kwatery

obserwuje nas kilkoro Seleńczyków, ale żaden z nich nie wychodzi poza winorośle. Hrabia de Montcuir i Lambert już tu są, rozmawiają z mistrzem Thomasem. Gdy architekt nas zauważa, podbiega i obejmuje mnie ramieniem.

– Marguerite obudziła się na kilka sekund, ale znów jest nieprzytomna – szepcze mi do ucha. – Powiedz nam, jeśli cokolwiek się zmieni, a ja zaprowadzę cię do niej jutro po południu. – Głaszcze mnie po wilgotnym policzku. – Wszystko będzie dobrze.

Nie. Nie będzie. Simon szepcze coś do wuja, a ja nadstawiam uszu, by go usłyszeć.

– ...pewien, że to morderstwo jest związane z tymi, w których sprawie toczy się śledztwo – mówi.

Burmistrz pociąga za wąs.

– Zaczynam podejrzewać, że znalezienie tego człowieka cię przerasta.

Wolna ręka Simona zaciska się w pięść, udaje mu się jednak zachować zimną krew.

– Zapewniam, że gdyby przez niemal dwa tygodnie nie zakazywano mi kontynuowania dochodzenia, byłbym o wiele bliżej zatrzymania go.

Te słowa nie podobają się hrabiemu, ale zbywa je machnięciem dłoni.

– Niech ci będzie. Jednak mój syn nadal będzie ci pomagał i informował mnie o postępach. – Unosi krzaczaste brwi i gestem przywołuje do siebie Lamberta. – Nie życzę sobie żadnych pomyłek.

Lambert podchodzi do nich, wygląda, jakby czuł się niezręcznie.

– Spełnię twój rozkaz, panie.

Wiem, co teraz nastąpi. Chwytam mistrza za szaty.

– Musimy iść, i to już – szepczę, ale on kręci głową, pochłonięty sprawą jak wszyscy, którzy się tutaj znaleźli.

– Venatre, czy kogoś podejrzewasz? – pyta protekcjonalnym tonem hrabia.

– Mistrzu, proszę – syczę. – Musimy iść.

– Owszem, wasza łaskawość. – Simon odwraca się do nas z miną tak beznamietną jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy.

Zniknął wrażliwy młody mężczyzna, który ledwie godzinę temu szeptał mi do ucha, jak bardzo mnie potrzebuje, by nie stracić

zmysłów. Pozostał tylko venatre, na którym ciąży ogromna odpowiedzialność.

– Mistrzu Thomasie z Iskany, czy jesteś w stanie powiedzieć nam, gdzie byłeś tej nocy? I czy ktoś może to potwierdzić? – pyta.

Szepczący dookoła ludzie milkną. *Powiedz coś* – przesyłam architektowi w spojrzeniu nieme błaganie. – *Powiedz, gdzie i z kim byłeś. Udowodnij swoją niewinność.*

Jednak on nie patrzy na Simona. Podążam za jego wzrokiem do stojącej dalej postaci, skrytej w wąskiej uliczce obrośniętej purpurowymi i białymi księżycowymi kwiatami. Nawet z dala od blasku pochodni, latarni i świec pokrytej bliznami twarzy Gregora nie da się pomylić z niczym innym.

Następnie mistrz Thomas odwraca się do mnie, a jego szare oczy są przepełnione determinacją. Powoli kręci głową.

– Nie, venatre, nie mogę tego zrobić.

Tłum eksploduje okrzykami zdziwienia, tak że ledwie słyszę wydawany przez hrabiego rozkaz aresztowania. Mistrz Thomas wpycha mnie w ramiona Remiego:

– Zaopiekuj się nią – mówi do niego – swoją matką i sanktuarium.

Krzyczę i zaczynam szarpać strażników, podczas gdy Remi mnie od nich odciąga. Architekt zostaje odprowadzony, a otaczający go mężczyźni używają pik, by powstrzymać wrzeszczący i plujący na niego tłum.

Gdy w końcu prawie wszyscy już odeszli, idąc za mistrzem do więzienia lub wracając do domu, staję twarzą w twarz ze znajdującym się po drugiej stronie ulicy Simonem. Remi musi mnie podtrzymywać i na całe szczęście w ogóle się nie odzywa.

– Simonie – błagam ochrypłym głosem. – To nie on. Musisz mi uwierzyć.

Chłopak kręci głową, odmawiając odpowiedzi.

– Powinieneś zabrać ją do domu – mówi do Remiego. – I przez jakiś czas jej z niego nie wypuszczać. Następne dni będą bardzo trudne.

Potem odwraca się i odchodzi, trzymając pod pachą symbol mojej zdrady, i zostawia mnie ze świadomością, że zrzuciłam na nas wszystko, co chciałam powstrzymać.



## ROZDZIAŁ 38



Nie wiem, czy Remi w ogóle zasypia tej nocy – ja nie mogę zmrużyć oka. Na początku wydawało mi się, że płacząc w poduszkę, uda mi się chociaż zapaść w niespokojną drzemkę. Ale gdy to się nie udaje, wpatruję się w sufit – w cieniach nad łóżkiem widzę twarze Simona i mistrza Thomasa. Pierwszy z nich jest zimny i oskarżycielski, a drugi – spokojny i w pełni akceptujący swój los. Jednak gdy zamykam oczy, jedyne, co jestem w stanie sobie wyobrazić, to przerażenie Marguerite i matki Agnes.

Na podłodze w moim pokoju są rozrzucone cztery niewielkie kamienie – zapewne te, które wczorajszego wieczoru wrzucił tu Simon, by zwrócić moją uwagę. Teraz są jedynym dowodem na to, że kiedyś mu na mnie zależało. Gdy niebo blednie, z czerni przechodząc w fiolet, a następnie szarość, słyszę, jak pani la Fontaine wstaje ze swojego skrzypiącego łóżka i spokojnym krokiem schodzi na dół, by zacząć szykować śniadanie. W pokoju nad moim budzi się Remi i rozpoczyna przygotowania do pełnego pracy dnia w sanktuarium.

Pod nieobecność mistrza to on wszystkim dowodzi.

Nie wątpię, że cały dzień będzie upajał się rolą, której zawsze pożądał – od dziś wszyscy zależą od niego i potrzebują jego zgody. Zamiast zejść na dół, zatrzymuje się przed moim pokojem.

– Cat – mówi zachrypniętym głosem, uchylając drzwi. – Będę dziś potrzebował twojej pomocy.

Odwracam się na łóżku plecami do niego.

– Jestem pewna, że świetnie dasz sobie radę sam.

Z frustracją wypuszcza powietrze.

– Nie chciałem, by do tego doszło. Przecież wiesz.

Odrzucam kołdrę i podnoszę się gwałtownie, by usiąść twarzą do niego.

– W takim razie dlaczego zdradziłeś mistrza?

– Ja?! – krzyczy. – Na mnie chcesz to zwalić?

– To, co powiedziałaś venatre’owi, sprawiło, że mistrza aresztowano, tak że owszem, winię za to ciebie.

Otwiera drzwi szerzej, ale nadal nie przekracza progu ani o krok. Gdyby to zrobił, mistrz Thomas z całą pewnością by go odesłał, bez żadnych pytań i wymówek.

– Oczywiście... – odpowiada gorzko. – Wcale nie stało się tak przez twoje ukrywanie prawdy przed venatre’em. Ani przez mistrza, który odmawia wyjaśnień na temat tego, gdzie był zeszłej nocy.

Wiem, że musiał być w Kwaterze Seleńskiej. Dlaczego po prostu tego nie wyznał? I dlaczego Gregor – mężczyzna, którego mistrz Thomas uważa za przyjaciela – patrzył tylko, jak odprowadzano go niczym jakiegoś przestępcę?

Remi ścisza głos niemal do szeptu.

– A nie przyszło ci nigdy do głowy, że to może być on?

– Nie. Nigdy. – Gdyby Remi znał szczegóły tego, co zrobiono Perrete i pozostałym, stanąłby po mojej stronie. – Simon uważa, że zabójca ma trudną i brutalną przeszłość, że chce się zemścić na kobiecie innej niż te, które morduje, bo do tamtej nie ma dostępu. Czy to brzmi jak mistrz Thomas?

– Szczerze mówiąc tak, Cat.

Mrugam.

– Na nas niemal nie podnosi głosu, nie zrobił tego nawet wczoraj ani przez ostatnie dwa tygodnie twoich prowokacji.

Remi opiera się o framugę i wpatruje we mnie, a jego wzrok łagodnieje.

– Chcesz zejść do kuchni i porozmawiać o tym przy śniadaniu?

Krzyżuję ręce na piersi.

– Nie czuję się najlepiej.

Wzdycha.

– Nie każe ci dziś pracować, ale filiżanka herbaty może sprawić, że poczujesz się lepiej.

– Możesz stąd wyjaśnić, o czym mówisz.

– W porządku. – Przesuwa dłonią po zwichrzonych czarnych włosach, przez co stają dęba. – Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego opuścił Brinsullę? Dlaczego nigdy nie wraca tam, by odwiedzić rodzinę?

Choć podróżowałam z architektem po Galli i Germanii, podczas gdy w zimie konsultował się z innymi mistrzami, wyspiarski kraj po drugiej stronie kanału pozostaje dla mnie tajemnicą. Wszystko, co wiem o nim i rodzinnym mieście architekta, zwanym Iskanią, pochodzi z mapy matki Agnes.

– Znalazł tu zatrudnienie – odpowiadam nieprzekonująco. – I zakochał się w swojej pracy.

Remi parska.

– Rzeczywiście, masz rację. – Wznosi oczy do sufitu. – Mistrz Thomas uciekł z Brinsulli, zanim aresztowano go za pobicie swojego mistrza niemal na śmierć. Podobno pokłócili się o budowę sanktuarium w Londunium. – Spuszcza na mnie wzrok, unosząc brwi. – Brzmi znajomo?

– Nie do końca, biorąc pod uwagę, że ciebie nie palnął, kiedy na to zasługiwałeś.

Czy Remi celowo chciał sprawić, by mistrz stracił panowanie nad sobą?

Mój docinek został zignorowany.

– Wiesz, że był żonaty?

Na te słowa opada mi szczęka. Zawsze myślałam o mistrzu jako o człowieku poślubionym sanktuarium.

– Byłaś zbyt młoda, by to pamiętać, w dodatku uwięziono cię w tym klasztorze – wyjaśnia Remi. – Sam ledwie to pamiętam. Ale ona przyjechała z nim z Brinsulli, a pewnego dnia zniknęła.

Wbijam w niego wzrok.

– Chcesz powiedzieć, że umarła?

– Cat, chcę powiedzieć, że nikt nie wie, co się z nią stało. Po prostu zniknęła. – Remi przenosi ciężar ciała na drugą nogę, ciągle



opierając się o framugę. – Mistrz twierdzi, że wróciła do rodziny. Może i tak było. Ale fakty są takie, że nikt jej więcej nie widział.

Serce wali mi tak mocno, że nie słyszę nic innego.

– Nie. – Natychmiast odrzucam tę możliwość. – Nie uwierzę, że to on.

Remi wzdycha.

– Nie będę się z tobą kłócił, bo szczerze mówiąc, sam nie jestem pewien. Teraz liczy się tylko to, że mistrz Thomas poprosił mnie, bym kontynuował prace w sanktuarium oraz opiekował się tobą i moją matką.

Zeskakuję z łóżka.

– Kiedy to powiedział?

– Zeszłej nocy, gdy byłaś zbyt pogrążona w rozpacz i wyrzutach sumienia, by to zauważyć. – Remi się prostuje. – Nigdy nie rozumiałem dlaczego, ale wiem, że zawsze ufałaś, że Simon znajdzie tego zabójcę, więc ufaj mu też teraz. A jeśli chcesz uszanować wiarę, którą pokłada we mnie architekt, rób, co do ciebie należy. – Odwraca się od drzwi. – Tylko tyle mogę zrobić.

Słyszę jego kroki kierujące się korytarzem do schodów na parter. Staję zamyślona pośrodku pokoju.

Nie jest łatwo mi to przyznać, ale Remi ma rację. Nie pomogę architektowi, jeśli zaniedbam to, co dla niego najważniejsze. A jednak nie będę mogła ze sobą żyć, jeśli nie zrobię wszystkiego, co w mojej mocy, by mu pomóc. Wyglądam przez okno. Ledwie kilka gwiazd nadal widać na tle nadchodzącego świtu. Każdego dnia księżyc wstaje i zachodzi coraz później i jednocześnie staje się coraz pełniejszy, dając mi więcej czasu i silniejszą magię.

Wrócę do pracy, tak jak prosił Remi. Będę spędzać całe dni na słuchaniu jego poleceń, tak jak słuchałam mistrza Thomasa. Nasza trójka zawsze stanowiła zespół, a teraz przewodzi mu Remi.

Moje dni należą do Remiego i sanktuarium.

Ale noce należą do mnie.



## ROZDZIAŁ 39



Jest coś, co muszę zrobić, zanim pójdę do sanktuarium. Ochlapuję twarz zimną wodą i wkładam roboczą spódnicę. Remi nie będzie dziś potrzebował, bym się wspinała. Zakończyłam wszystkie inspekcje i potwierdziłam prawidłową budowę rusztowań pod sufitem, chociaż zostało to opóźnione przez mistrza Thomasa.

Szybko wiążę buty i wychodzę frontowymi drzwiami, nie zawracając sobie głowy jedzeniem tego, co najprawdopodobniej przypaliła pani la Fontaine. Zaczęło mżyć, a chmury na niebie wskazują, że nie przestanie przynajmniej przez kilka godzin. O tak wczesnej godzinie ulice są niemal zupełnie puste, a ja zauważam innego człowieka dopiero w połowie drogi do domu Montcuirów.

Okiennice pokoju Simona na drugim piętrze wychodzą na ulicę. Są na tyle uchylone, że widzę poruszające się wewnątrz cienie. Wątpię, by w ogóle się położył.

W innych oknach jest ciemno, co sugeruje, że pozostali śpią. Opieram się o przednią ścianę domu, przeklinając się za to, że tego nie przemyślałam. Będę musiała wrócić o normalniejszej godzinie.

– Panna Catrin?

Odwracam się i staję twarzą w twarz z Lambertem Montcuirem. Pochyla głowę na znak skruchy.

– Przepraszam, że panienkę przestraszyłem. Szuka tu panienka czegoś?

Jego życzliwość dodaje mi odwagi.

– Miałam nadzieję porozmawiać z Simonem – przyznaję. – Muszę go między innymi przeprosić.

Lambert marszczy brwi.

– To chyba nie najlepszy pomysł. Nie jest... w nastroju do wybaczenia.

– Wiem – odpowiadam. – Ale powinnam spróbować. Nawet jeśli mnie nie wysłucha, muszę mu dać coś ważnego.

Taksuje mnie wzrokiem, jakby próbował wypatrzeć, co ze sobą przyniosłam, po czym przechyla głowę w stronę domu.

– W takim razie proszę pozwolić mi to panience ułatwić.

Ku mojemu zdziwieniu przednie drzwi są otwarte. By to wyjaśnić, Lambert unosi kilka zapisanych kartek.

– Nie było mnie zaledwie parę minut. Simon wysłał mnie po nie do Pałacu Sprawiedliwości.

Korzystam z uprzejmego gestu Lamberta i jako pierwsza wchodzę do domu. Zamyka drzwi na zasuwę i wskazuje, że pójdzie ze mną na górę. Czuję się trochę niepewnie, że moje siedzenie będzie na wysokości jego oczu, ale w końcu on to nie Oudin.

Ręce drżą mi z nerwów, gdy docieramy na trzecie piętro. Lambert puka i wchodzi do pokoju, ja jednak się ociągam. Chociaż wiem, że Simon ma temperament, i widziałam sygnały sugerujące, że jest zdolny do przemocy, jeszcze nigdy wcześniej się go nie bałam.

– Znalazłem to, o co prosiłeś, venatre – mówi Lambert. – I przyprowadziłem kogoś, kto musi z tobą porozmawiać.

Robi krok w bok i wyciąga dłoń, by mnie zaprezentować. Jego wsparcie napełnia mnie determinacją, by w końcu wejść do pokoju. Uśmiecha się do mnie ze zrozumieniem, po czym odwraca się do stołu i kładzie przyniesione przez siebie dokumenty.

Teraz, gdy powstały szkice matki Agnes i jej salonu, rysunkami pokryta jest już niemal cała ściana. Wokół wiszą mapy miasta. Na stole leży młotek architekta, z którego w kilku miejscach płatami odchodzi zaschnięta krew. Z miejsca, w którym stoję, widzę wygrawerowane słowa. W pokoju jest również Oudin, który odwraca się ze swojego punktu pod makabrycznymi szkicami na ścianie.

Simon wygląda, jakby przez kilka godzin postarzał się o dziesięć lat. Błada skóra rozciąga się na kościstych policzkach, podkreślając fioletowe cienie pod oczami. Nierówne plamy koloru deformują jego twarz, gdy wbija we mnie wzrok.

– Co ty tu robisz, Cat?

Wyciągam z kieszeni spódnicy warkocz Emeline.

– Gdy wróciłam do domu, zdałam sobie sprawę, że nadal go mam.

– Kładę go na stole i cofam się, wykręcając dłonie. – Ale przede wszystkim chciałam... – Głos mi się załamuje. „Przeprosić” brzmi żałośnie, więc zamiast tego mówię: – ...wyjaśnić kilka rzeczy.

Po długiej chwili Oudin wchodzi pomiędzy nas, chwytając Lamberta za ramię i ciągnie go w stronę wyjścia. Kiedy nas mijają, czuję od niego alkohol.

– Niech sobie to wytłumaczą bez widowni, bracie – mówi. A potem łypie okiem na Simona i dodaje: – W końcu i tak wszystko usłyszymy z mojego pokoju piętro niżej, jeśli zrobi się naprawdę ciekawie.

Lambert wydostaje się z jego uścisku, co przypomina mi o nocy, w której zginęła Perrete, kiedy ich role były odwrócone, ale Simon wzdycha tylko i przytakuje.

– Wystarczy, kuzynie, odpocznij. Dziękuję ci za pomoc.

Z oczywistym oporem Lambert wychodzi za bratem. Nie odzywam się, dopóki nie cichną odgłosy ich kroków na schodach.

– Czy doszedłeś do jakichś konkluzji na temat tego, co się stało?

Spojrzenie Simona wypala we mnie dziurę.

– To już nie jest sprawa, o której masz prawo cokolwiek wiedzieć.

– Czy moja pomoc została zastąpiona pomocą Lamberta? – Wcześniej również był obecny, ale odgrywał bardziej rolę osoby wypełniającej polecenia Simona niż partnera w śledztwie. – I Oudina?

– Tak jak mówiłem, to nie twoja sprawa.

– Gdzie jest Juliane? – naciskam. – O to pytam jako przyjaciółka.

– Nie wiem, czy mogę się tak nazywać, ale naprawdę się o nią martwię.

Simon wzdycha, po czym odpowiada:

– Raczej nie obudzi się przez następnych kilka godzin. Ma coraz więcej problemów. Być może z jej pomocy również będę musiał

zrezygnować, tak jak z twojej.

Wątpię, że wiedza na temat tego, co ukrywałam, poprawi jej stan psychiczny.

– Proszę, Simonie... – zaczynam, unosząc dłonie. – Musisz mnie zrozumieć.

– Nie chcę tego słuchać, Cat – odpowiada zimnym tonem. – Okłamałaś mnie. Skłamałaś, a zapłaciły za to Nichole, Emeline, Ysabel, matka Agnes i siostra Marguerite.

– To nieprawda – nalegam. – Mistrz Thomas nie jest mordercą. Gdybyś go zamknął po zabójstwie Perrete, i tak doszłoby do pozostałych zbrodni.

Simon stara się ostrożnie dobrać następne słowa, chociaż napięcie w jego szyi i szczęce się nie zmniejsza.

– Wierzę, że naprawdę uważasz, że jest niewinny, ale nie miałem szansy dokładnie przyjrzeć się jego przeszłości ani go przesłuchać. – Kiwa głową w stronę sterty papierów przyniesionej przez Lamberta. – Chociaż najwyraźniej mój wujek ma akta na jego temat. – Unosi brew. – Nie wiesz może, jaka część przeszłości architekta zasługuje na sześć stron w aktach burmistrza?

Czuję, jak przewraca mi się w żołądku na myśl o tym, co powiedział mi Remi.

– Słyszałam jedynie plotki – dukam. – To wszystko wydarzyło się, zanim go poznałam, ale wiem, że matka Agnes nigdy nie pozwoliłaby mi z nim zamieszkać, jeśli miałyby go za kogoś, kto mógłby mnie skrzywdzić.

To nie jest do końca prawda, bo ona się na to nie zgodziła – uciekłam, by przyjąć jego ofertę pracy, co zrobiłam częściowo przez jej słowa na temat mojej rodziny, które podsłuchałam. Ale gdyby myślała, że jestem w niebezpieczeństwie, na pewno bardziej by o mnie walczyła. A może tak było. Mój wzrok przesuwają się na leżące na stole dokumenty. Czy w środku są jej skargi? Kręcę jednak głową, by odsunąć od siebie tę myśl. Przez całe pięć lat ani razu nie dała mi do zrozumienia, że powinnam się bać mistrza Thomasa.

– Nigdy nie zaakceptowałbym twojej pomocy, gdybym wiedział, dlaczego chcesz być częścią śledztwa – mówi Simon.

– Nie chodziło mi jedynie o ochronę mistrza Thomasa, Simonie. Musisz w to wierzyć.

– W co mam wierzyć? – Macha ręką w kierunku makabrycznych szkiców. – Że wprosiłaś się do tego śledztwa z troski o te kobiety?

– Nie – przyznaję. – Na początku tak nie było. Nie wiem co, ale coś się zmieniło. Zaczęłam robić to dla nich, dla ciebie i dla Juliane.

– A jednak nigdy nie zależało ci na tyle, by mi o tym powiedzieć. – Szturcha palcem młotek architekta.

Zaschnięta krew na uchwycie przypomina mi inne szczegóły.

– Zachowujesz się, jakbym tylko ja nie mówiła o wszystkim – rzucam. – Może byłabym bardziej otwarta, gdybym wiedziała, jak zdeprawowany jest ten morderca.

– Wątpię. – Krzyżuje ręce na piersi. – I bez tej wiedzy dochodziłaś do solidnych wniosków.

– Tak jak ty, nie wiedząc o tym przeklętym młotku!

Twarz Simona pozostaje wykrzywiona w sceptycznym grymasie.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – Jego głos się zmienia, staje się delikatny jak skorupka jaja. – Że zabrałaś się do mnie z tej najbardziej podatnej strony. – Uśmiecha się, ale to uśmiech mizerny, pozbawiony humoru, ironiczny. Po chwili staje się jeszcze gorszy, gdy mnie się jak kawałek pergaminu. – Ja naprawdę...

Niewiele myśląc, podchodzę do niego i wyciągam rękę.

– Nie, Simonie, to nigdy nie było tak...

Odskakuje, zanim zdążę się zbliżyć.

– Nie dotykaj mnie – warczy. – Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Moja ręka opada, jakby była z ołowiu. Cokolwiek mieliśmy, czymkolwiek byliśmy – zniknęło.

– Powinnaś już iść – mówi.

– Czy mogę odwiedzić mistrza Thomasa? – szepczę.

– Nie. To przeszkodzi w śledztwie.

– Simonie, proszę! – Z trudem udaje mi się nie podnieść głosu. – Tylko on mi został!

– W takim razie masz więcej niż ja.

Odwracam się i wybiegam z pokoju, po czym zbiegam po schodach, nie zwracając uwagi na to, jak bardzo przy tym hałasuję. Na dole, potykając się, dopadam drzwi, otwieram szereg zasuw i wypadam na ulicę. Moje kroki odbijają się od kamienia, jakby ktoś za mną szedł, ale zatrzymuję się dopiero w swoim pokoju, gdzie mogę się rozpłakać.



## ROZDZIAŁ 40



Choć mam wrażenie, że to świętokradztwo, o poranku praca nad sanktuarium wre. Mimo że Remi zakazuje plotek na temat aresztowania mistrza Thomasa, jeszcze przed rozpoczęciem pracy podejmuje ten temat. Deklaruje swoje absolutne przekonanie, że architekt zostanie oczyszczony ze wszystkich zarzutów, a do tego czasu najlepsze, co możemy dla niego zrobić, to sprawić, by był dumny z tego, co osiągniemy. To jedyne jego zachowanie, z którym się zgadzam.

Używając nieobecności mistrza jako wymówki, posuwa się naprzód z konstrukcją nowego sufitu. Według niego najlepiej będzie, jeśli zostaną rozbudowane te części świątyni, które zna najbardziej. Każe ułożyć na ziemi pierwsze kamienie żebrowe, które zostaną podniesione na rusztowanie wzdłuż nowego odcinka.

Tuż przed południową przerwą zjawia się Oudin Montcuir, któremu Remi z dumą opowiada o swoich zamiarach wstawienia krzyżujących się żeber, wspierających sklepienie. Kilkakrotnie oprowadzałam po świątyni Oudina i jego ojca, jednak młodszy z braci Montcuirów do przyjaciela ma o wiele więcej pytań, niż kiedykolwiek miał do mnie. Gdy przechodzą przez platformę rusztowania ponad pięćdziesiąt stóp nad ziemią, zauważam

w pobliżu Lamberta. Przesłupuje z nogi na nogę i zerka w moim kierunku na tyle często, że prawdopodobnie chce ze mną pomówić.

Jego twarz rozjaśnia się na mój widok, choć brwi są zmarszczone, a z oczu bije zmartwienie.

– Panno Catrin – mówi – dziś rano wybiegła panienka w takim pośpiechu, że wolałem się upewnić, czy wszystko w porządku. Simon nie chciał powiedzieć ani słowa na temat tego, co się stało.

Zatrzymuję się o długość ramienia przed nim, a jego troska sprawia, że czuję się lepiej.

– Byłam zdenerwowana – przyznaję. – Ale zapewniam cię, że Simon nie był wobec mnie okrutny.

A przynajmniej nie bardziej, niż na to zasługiwałam.

Ponad krawędzią wysokiej platformy pojawiają się patrzące w dół twarze Remiego i Oudina. Wątpię, że nas słyszą, ale z całą pewnością obserwują.

Lambert wzdycha.

– Nie wiem, dlaczego Simon jest na panienkę taki zły, ale jestem przekonany, że to niesprawiedliwe. Jego... przeszłość tworzy bariery, które, jak się obawiam, są niemożliwe do pokonania.

– Tak, już się o tym przekonałam. – A wczorajszej nocy byłam tego tak bliska.

Przesuwa stopą po marmurowej podłodze, po czym podnosi nieśmiało wzrok.

– Chcę tylko, by panienka wiedziała, że tam gdzie on panienki nie wysłucha, ja to zrobię, panno Catrin.

Juliane wspominała, że podobałam się Lambertowi. Może nadal tak jest i będę to mogła wykorzystać.

– Proszę, mów mi Cat. – Biorę go pod ramię, chociaż mi go nie podał, i wyprowadzam poza zasięg naszej widowni. – Tak mówią do mnie przyjaciele. – Ściszam głos, zmuszając Lamberta, by się do mnie nachylił. – Chodzi o to, że Simon nie pozwala mi się zobaczyć z mistrzem Thomasem. Nie mogę mu nawet przynieść nic do jedzenia.

– To rzeczywiście brzmi nieco nierozsądnie – przyznaje Lambert. – Nawet u handlarza ziarnem nie zakazano odwiedzin.

– No właśnie! – Zatrzymuję się, by stanąć przodem do niego, i skupiam wzrok na jego torsie. – Ja tylko... chciałabym... –



Przygryzam wargę, chociaż nie jest mi trudno doprowadzić się do łez. – Przepraszam. To byłaby niesprawiedliwa prośba.

– Być może to on zachowuje się niesprawiedliwie, zakazując ci tego. – Lambert pochyla głowę, by na mnie spojrzeć. – Może i venatre wniósł o jego aresztowanie, ale nie on zarządza więzieniem. Tym zajmuje się biuro burmistrza.

Zachowuję się, jakbym sama o tym nie pomyślała, pozwalając sobie na pełne nadziei spojrzenie, po czym spuszczam wzrok na podłogę i opuszczam ramiona.

– Ale jeśli się dowie, będzie wściekły.

– W takim razie nie musi się o niczym dowiedzieć.



Lambert zgadza się, bym zajrzała do domu i spotkała się z nim później w Pałacu Sprawiedliwości. Pani la Fontaine wkłada do pojemnika dla mistrza Thomasa podgrzany gulasz z zeszłego wieczoru, a Remi przychodzi do domu na obiad. Jego matka smaruje kromkę chleba masłem, a Remi ciągnie mnie do kominka.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – mówi szeptem. – Jestem zdumiony, że venatre na to pozwala.

– Wszyscy więźniowie mają prawo do odwiedzin – odpowiadam, nakładając sobie na ramiona pelerynę.

Remi unosi brwi.

– A nie przyszło ci do głowy, że to może być pułapka?

– Pułapka? – Wpatruję się w niego. – By mnie zamknąć w więzieniu?

– Niekoniecznie, ale być może venatre wpuszcza cię tam tylko dlatego, by posłuchać, co mistrz ma ci do powiedzenia.

Zbywam jego słowa machnięciem dłoni, nie wyjawiając, kto tak naprawdę zezwolił na tę wizytę.

– Tym bardziej powinnam pójść. Nie mamy nic do ukrycia.

– Nic, o czym wiesz – mówi ponuro Remi i wzdycha. – Nie zostawaj tam zbyt długo. Mamy co robić. – Opada ciężko na krzesło przy stole.

– Mam mu przekazać jakieś wiadomości? – pytam, zabierając pojemnik z gulaszem i chleb, który zapakowała gospodyni.

Remi patrzy na swoją miskę, jakby nie był głodny.

– Po prostu powiedz mu, że mam wszystko pod kontrolą.



Lambert czeka na mnie na rogu ulicy przy Pałacu Sprawiedliwości, ale jest z nim Oudin.

– Przykro mi – mówi cicho, odbierając ode mnie pakunki. – Nie udało mi się go przekonać, by poszedł do domu. Całe szczęście z przyjemnością dochowa naszej tajemnicy przed Simonem.

A raczej ma nadzieję na materiały do szantażu. Ale wiem, że i tak chcę to zrobić.

Idę za Lambertem bocznymi drzwiami pałacu, po czym przechodzę przez kilka krętych korytarzy i schodów. Na każdym piętrze robi się coraz chłodniej i wilgotniej, aż w końcu ściany zaczynają połyskiwać od ciągłej wilgoci. Mój oddech zmienia się w mgłę, a ja cieszę się z tego, że włożyłam pelerynę, chociaż deszcz ustał. Tuż przed przejściem, które jak powiedział Lambert, jest ostatnie, dogania nas strażnik z wezwaniem.

– Panie, burmistrz wymaga pańskiej natychmiastowej obecności. To pilne.

Lambert zaciska szczękę. Oudin odbiera od niego gulasz, mrugając do mnie.

– Jednak dobrze, że się zjawiłem. Ja zaprowadzę pannę Catrin. – Wypowiada moje imię w taki sposób, że brzmi prawie jak „Koteczek”.

– Dasz sobie radę? – pyta mnie Lambert, podając bratu klucz, który nosił zawieszony na stalowym łańcuchu. – Jeśli wolisz, możemy przyjść kiedy indziej.

Przetrwam setki godzin w obecności Oudina, jeżeli umożliwią mi pięciominutowe spotkanie z mistrzem Thomasem.

– Nic mi nie będzie – zapewniam go. – Dziękuję za wszystko. – Pod wpływem impulsu staję na palcach i całuję go w policzek.

– Lepiej uważaj – mówi Oudin, gdy tylko Lambert wychodzi. – Jest bardzo zazdrosny.

Wrywam chleb z jego dłoni.

– A ty nie?

– Nie, raczej nie – odpowiada, otwierając drzwi.

Wąskie przejście jest oświetlone pochodnią zawieszoną na ścianie. Naliczam dziesięć okratowanych drzwi po każdej stronie korytarza.

– Nie jestem pewien, w której celi siedzi – mówi Oudin.

Nie mam ochoty zajrzeć do niewłaściwej.

– Mistrzu?! – wołam.

Przy kilku wejściach słyszę poruszające się łańcuchy, ale znajomy głos dochodzi z celi na samym końcu.

– Catrin?

Biegiem mijam pojawiające się w drzwiach oczy więźniów i padam na kolana przy ostatnim wejściu.

– To ja – dyszę, upuszczając zapakowany chleb, by chwycić za kraty. – Jestem tu, mistrzu.

Palce, które przykrywają moje, są zimne jak lód.

– Światło i miłosierdzie – mówi. – Nic ci nie jest?

– Czy mnie nic nie jest? – Kręcę głową. Oudin staje za mną i stawia pojemnik obok chleba. – Martwisz się o mnie, mistrzu?

Siwe pasma brody architekta poruszają się wraz z jego uśmiechem.

– Oczywiście. O ciebie i Remiego, o jego matkę i biedną siostrę Marguerite. Wiesz może, co z nią?

Kręcę głową i zakrywam jego dłonie swoimi, próbując siłą woli przesłać mu ciepło moich palców.

– To wszystko moja wina, mistrzu. Przepraszam.

– Czy to ty zabrałaś ten młotek? – pyta łagodnie. – Zostawiłaś go u matki Agnes?

– Nie, oczywiście, że nie. – Opieram głowę o kraty. – Wiedziałam jednak, że musiał zostać użyty do zamordowania Perrete, a potem przy kolejnych zabójstwach, ale o niczym nie powiedziałam Simonowi.

– Czy to był prawdziwy powód, dla którego zaczęłaś pomagać w śledztwie, Cat? – szepcze mistrz. – By mnie chronić?

– Tak. – Moje łzy spadają na nasze złączone dłonie. – Ale zawiodłam.

Wzdycha i całuje mnie w czoło.

– Och, moje dziecko.

Odsuwam się, by na niego spojrzeć.

– Musi być jakiś sposób, by udowodnić twoją niewinność, mistrzu.

Podnosi wzrok na Oudina.

– Czy mógłby nam pan dać odrobinę prywatności?

Oudin wzrusza ramionami i odchodzi. Mistrz Thomas znów spogląda na mnie.

– Catrin, nie tak działa sprawiedliwość. To nie niewinność trzeba udowodnić, a winę.

– Tak to powinno działać – mówię. – Ale powiesili już niewłaściwego człowieka za popełnienie dwóch z tych morderstw.

– Jednego był przecież winien – zauważa mistrz. – I zostało to udowodnione ponad wszelką wątpliwość.

Jak on może być tak spokojny? Czy nie rozumie, jak to wszystko pasuje do odlewu, który przygotował Simon?

– Dlaczego nie powiesz venatre'owi, gdzie byłeś tamtej nocy?

Architekt nachyla się i ścisza głos.

– Byłem w Kwaterze.

Nie powinnam tego wiedzieć, więc staram się wyglądać na zszokowaną.

– Ale dlaczego?

– To muszę ci wyjaśnić, ale nie tutaj – mówi. – Tutaj nie jest bezpiecznie. Ściany mają uszy.

Remi ostrzegwał mnie przed tym samym.

Wiem, że to musi mieć coś wspólnego ze mną i magią, którą się posługuję.

– Powód nie ma znaczenia – nalegam. – Ważne jest tylko to, gdzie byłeś. Dlaczego nikomu nie powiesz?

Mistrz Thomas kręci głową.

– Wiesz, że wysoki kapłan od dawna chce mnie kimś zastąpić. Kilkakrotnie zmniejszałem sobie pensję, by nie zatrudnił nikogo młodszeo, z mniejszym doświadczeniem. Nie ma znaczenia, co mówi z ambony o tym, że Seleńczycy są niegroźni. Ludzie mają ich za heretyków. Jeśli moja przyjaźń z...

Gregorem – kończę w myślach.

Mistrz wzdycha.

– To skomplikowane. Ale to byłaby ostatnia wymówka, której potrzebowałby kapłan. Ty, Remi i pani la Fontaine zostalibyście z niczym.

– I to cię martwi? – pytam. – Jesteś gotów poświęcić życie, byśmy mogli utrzymać pracę?

– To zniszczyłoby wszystko, na co Remi pracował całe życie – mówi mistrz Thomas. – Jeśli zostanę stracony za zbrodnię niezwiązaną ze świątynią, on będzie mógł przejąć po mnie budowę. A jeśli zostanę uznany za heretyka, to samo spotka mojego asystenta. I ciebie. W jednym i drugim przypadku jest już po mnie, ale w ten sposób wszystko, na czym mi zależy, pozostaje bezpieczne.

– Wolałabym, byś został uznany za niewinnego i wrócił do domu.

– Ja również.

Czy to jest człowiek, który według Remiego ma ciemną przeszłość? Cokolwiek wyгнаło go z Brinsulli, musiało być fałszywym oskarżeniem.

– Mistrzu? – szepczę. – Mogę zadać ci osobiste pytanie?

Marszczy brwi.

– Jeśli naprawdę uważasz, że to dobra pora.

Nie, ale muszę to wiedzieć.

– Co się stało z twoją żoną?

Mistrz Thomas z długim westchnieniem odchyła się do tyłu i pogrąża w mroku.

– Odeszła ode mnie. – Przez kilka sekund mam wrażenie, że nic więcej nie powie, po czym dodaje szeptem: – Chociaż może precyzyjniej byłoby rzec, że to ja ją opuściłem.

Trudno mi zadać to pytanie, ale podejrzewam, że nie mam zbyt wiele czasu, więc wymuszam z siebie słowa:

– Czy pojawił się ktoś drugi?

– Można tak powiedzieć. – Uśmiecha się bez wesołości.

– Ale... kto?

– Nie kto, Catrin – poprawia mnie. – Co. Jak myślisz, co nas rozdzieliło?

– Sanktuarium – mówię półgłosem.

Mistrz Thomas przytakuje.

– Chciałem być najmłodszym mistrzem architektem na kontynencie i wybudować najpiękniejszy dom dla słońca, jaki istnieje na świecie. Gdy twoje serce zajmuje tak ogromna ambicja, nie ma miejsca na wiele więcej. – Spuszcza wzrok. – Mieliśmy

córeczkę. Maleństwo o złotych lokach i najbardziej niebieskich oczach, jakie widziałem, ale nadeszła zaraza. Nie miała z nią szans.

Pociągam nosem i pocieram policzkiem o ramię, nie chcąc puszczać jego dłoni.

– Jak miała na imię?

– Therese. – Mistrz Thomas milknie na kilka uderzeń serca. – Od lat nie wypowiadałem tego imienia na głos. Ona zasługuje na coś więcej. – Odchrząkuje, po czym mówi dalej: – Ale wtedy zmarł też główny architekt, a ja zostałem wybrany na jego następcę. Nie było mnie przy Eleanor, gdy najbardziej mnie potrzebowała. – Ze smutkiem kręci głową. – Pewnego dnia wróciłem do domu i zdałem sobie sprawę, że odeszła. Zostawiła wiadomość, że wróciła do Londunium, datowaną na prawie miesiąc wcześniej. Nie było jej od dwudziestu dziewięciu dni, a ja tego nie zauważyłem.

– Dlaczego za nią nie pojechałeś?

– Z paru powodów. W naszym mieście zaraza minęła, jednak w innych nadal panowała. Do Collis nie można było wjechać ponad rok. Gdybym wyjechał, nie mógłbym wrócić. I tak straciłem już to, co było najważniejsze. Zostało mi tylko sanktuarium.

– To tylko budynek – mówię przez zaciśnięte zęby.

– Catrin, wiesz, że to coś więcej – karci mnie, rozpoczynając wykład, który słyszałam setki razy. – Ty, ja, pani la Fontaine, Remi, nawet matka Agnes, nasze życie jest krótkie i ulotne jak fazy księżyca, ale to, co leży za bramą słońca, będzie istnieć zawsze. Dlatego potrzebujemy sanktuarium takiego jak nasze, by przyprowadzić boskość do miejsca, w którym możemy jej doświadczyć. Życie jest pełne cierpienia. Nie ma nic ważniejszego niż zapewnienie ludziom miejsca pełnego nadziei, piękna i znaczenia, by mogli to cierpienie znieść. Nie ma też większego przywileju, niż móc to miejsce stworzyć. – Milknie na moment. – Naprawdę jesteś w stanie szczerze mi powiedzieć, że gdyby ci to odebrano, nie umarłaby jakaś częśćka ciebie?

To samo pytanie zadałam sobie wczoraj w nocy.

– Nie, to byłoby jak utrata oka lub kończyny – przyznaję. – Ale nadal bym żyła – dodaję przekornie.

Mistrz Thomas się uśmiecha.

– Wiem, że tak by było. Masz jeszcze tak wiele rzeczy, dla których warto żyć. Ale ja... – wzdycha. – Gdy zdałem sobie sprawę, że poświęciłem nie to, co powinienem, było już za późno. Teraz zostało mi tylko sanktuarium.

– Masz mnie!

– Owszem. – Zmienia ułożenie dłoni, by jego ręka przykrywała moją. – To był dla mnie zaszczyt, że mogłem być twoim opiekunem. Oddałaś mi cząstkę tego, co straciłem.

Zachowuje się, jakby to było pożegnanie. Kręcę głową.

– Mistrzu, przestań tak mówić!

U mojego boku pojawia się Oudin.

– Nadchodzi Simon. Musimy iść, i to już. – Zaczyna podnosić mnie za łokieć.

– Nie! Nie! – Ściskam mocniej kraty, rdza odpada z nich i wbija mi się w skórę.

Mistrz Thomas delikatnie uwalnia moje palce.

– Musisz iść, Catrin. Jeszcze się zobaczymy. Jeśli nie tutaj, to za bramą słońca.

– Nie! Błagam! – Szamoczę się z ciągnącym mnie do wyjścia Oudinem.

– Do cholery, dziewczyno – mamrocze mi do ucha. – Nie mam zamiaru sam tutaj trafić tylko dlatego, że robię ci przysługę.

– Catrin! – ryczy architekt głosem, wobec którego trzeba być posłusznym. – Stać cię na więcej.

Wycieram twarz w rękaw.

– Tak jest, mistrzu.

Architekt kiwa głową.

– A teraz stań prosto i stąd wyjdź.

Spełniam jego prośbę, ale idę tyłem, pozwalając Oudinowi się prowadzić. Gdy docieramy do drzwi, mistrz Thomas woła do mnie po raz ostatni.

– Kocham cię, Catrin!

Chociaż wcześniej mi tego nie mówił, nigdy w to nie wątpiałam.



## ROZDZIAŁ 41



Gdy tylko wychodzę na zewnątrz, unoszę głowę i pozwalam mżawce zmyć dowody moich łez. Oudin opada na ścianę przy bocznych drzwiach – wygląda, jakby odczuł ulgę, że wyszedł z więzienia i nie natknął się na Simona. Zastanawiam się, w jak duże kłopoty wpadliby bracia za to, że mi pomogli.

– Catrin? – Odwracam się, trzymając dłoń na wysokości serca. W rdzawych oczach Lamberta odbija się troska. – Udało ci się z nim zobaczyć?

Kiwam głową, ponownie wycierając twarz w rękaw.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

Oudin przewraca oczami.

– Ja odwałem całą robotę.

Lambert ignoruje brata i czeka, aż się pozbieram, kawałek po kawałku.

– Myślę, że z czasem gniew Simona zelżeje – mówi. – Mogę spróbować to jakoś załagodzić. Może pozwoli ci ponownie dołączyć do śledztwa.

Oudin się prostuje.

– A może powinieneś zostawić to w spokoju, zanim ktoś nie zostanie pokrzywdzony, bracie. To oczywiste, że przeorysza i tamta



siostra zostały zaatakowane przez swój związek z Catrin.

Lambert przesyła mu lekceważące spojrzenie.

– Tak, słyszałem twój dzisiejszy wywód.

– Jeśli ten szaleniec poluje na kobiety takie jak one, by ją skrzywdzić, myślisz, że zawaha się, by zaatakować Juliane? – pyta stanowczo Oudin.

– Ona nigdy nie wychodzi sama – odpowiada Lambert. – Simon nie martwi się o jej bezpieczeństwo.

Oudin krzyżuje ręce na piersi.

– A powinien. W końcu to on ją w to wszystko wmieszał.

– Nie mam zamiaru się o to kłócić na środku ulicy, bracie, a już na pewno nie przy paniencie Catrin, biorąc pod uwagę, co przeszła. – Lambert odwraca się do mnie. – Czy mogę cię odprowadzić do sanktuarium? Jestem pewien, że nie możesz się doczekać powrotu do pracy.

Nie powiedziałabym, że: „Nie mogę się doczekać”, ale Remi prosił, żebym się nie ociągała.

– Dziękuję. Będę wdzięczna za towarzystwo.

Oudin patrzy na mnie spode łba, gdy chwytam Lamberta pod ramię. Kiedy odchodzimy, rzuca za moimi plecami:

– Nie ma za co, Koteczku.

Przez moment było mi głupio, że nie doceniłam jego roli w przemyczeniu mnie do mistrza Thomasa, ale gdy nazwał mnie tym wstrętnym przezwiskiem, to uczucie zniknęło.

Idziemy z Lambertem nieco dłuższą drogą, by nie przechodzić obok domu Montcuirów i uniknąć wpadnięcia na Simona. Ta ścieżka daje nam wspaniałą widok na sanktuarium. Chmury wiszą dziś na tyle nisko, że zatapiają się w nich czubki kwadratowych wież, co w jakiś sposób sprawia, że budynek wygląda na jeszcze bardziej święty niż wtedy, gdy świeci na niego słońce. A przynajmniej ja tak uważam.

„Nasze życie jest krótkie i ulotne jak fazy księżyca – mówił architekt. – Nie ma nic ważniejszego niż zapewnienie ludziom miejsca pełnego nadziei, piękna i znaczenia”.

Sanktuarium go przeżyje. Przeżyje nas wszystkich. Dzieło jego życia było, cytując matkę Agnes, klatką, którą dla siebie wybrał. Z tym konceptem matka była z całą pewnością dobrze zaznajomiona.

Po całym życiu przenoszenia się z klatki do klatki – w końcu małżeństwo jest jej pewnym rodzajem, nawet jeśli wchodzi się w nie z własnej woli – ona również wybrała w końcu własną.

A jaka zewnętrzna klatka ogranicza mordercę, który trzyma swojego wewnętrznego potwora na uwięzi, gdy zachodzi taka potrzeba?

Zatrzymuję się gwałtownie. Zabójca i potwór żyją w tej samej klatce.

Lambert musi się zatrzymać wraz ze mną.

– Czy coś się stało?

Moje myśli zaczynają pędzić. To esencja metody Simona – obserwuje to, co ogranicza potwora, i próbuje dopasować te ograniczenia do konkretnej osoby.

Ale metody uległy zmianie. Tak samo jak cele zabójcy.

*On pragnie czegoś, czego nie może dostać.*

*Chce czegoś innego czy podąża za tym samym, ale w inny sposób?*

– Catrin?

Podskakuję na widok twarzy Lamberta tuż przed moją.

– Wszystko w porządku? – pyta, zmartwiony.

– Tak. – Kręcę głową. – Tak, w porządku. Zamyśliłam się.

– Mam nadzieję, że wiesz, że Simon robi wszystko, co w jego mocy, by opóźnić rozprawę mistrza – mówi Lambert, a ja zauważam, że unika jakiegokolwiek wspomnienia o egzekucji. – Dziś rano powiedział mojemu ojcu, że nikt o inteligencji architekta nie zostawiłby za sobą niczego, co tak łatwo mogłoby do niego doprowadzić. Uważa, że to fałszywe dowody.

Simon tak powiedział? Jestem pewna, że nie robi tego tylko ze względu na mnie czy mistrza Thomasa. Robi to dla przyszłych ofiar. I dlatego, że to prawda. Ale być może młotka nie zostawiono na miejscu zbrodni tylko po to, by rzucić podejrzenie na kogoś innego. Może architekt – albo to, co sobą reprezentuje – stoi pomiędzy zabójcą a tym, czego ten pragnie?

– T-to... to dla mnie ogromna ulga – dukam.

Policzki Lamberta różowieją, gdy słyszy moją wdzięczność.

– Cieszę się, że jestem w stanie odrobinę ci ulżyć.

Ruszamy dalej na wzgórze, a Lambert wydaje się nieco bardziej wyprostowany niż wcześniej. Obawiam się, że mój wcześniejszy

emocjonalny apel – bo nie nazwę tego flirtowaniem – mógł mieć większy efekt, niż zamierzałam. Zapewnienie Oudina, że Lambert jest bardziej zazdrosnym z braci, stoi w sprzeczności z jego zachowaniem, z kolei Juliane całkiem dobrze rozumie Lamberta. Podoba mu się wizja kobiety, którą może uratować.

Choć jego uwaga mi schlebia, nigdy nie myślałam o sobie jako o damie w opałach. To nie jest dla mnie komfortowy wizerunek.

Lambert odchrząkuje.

– Zapewne będziesz chciała wziąć udział w pogrzebie przeoryszy, który odbędzie się dziś wieczorem.

Moje myśli są tak zajęte czymś innym, że zupełnie o tym zapomniałam. Według galijskiej tradycji dusza podąża za słońcem za jego granicę podczas pierwszego zachodu po śmierci. By zniechęcić duszę do tułaczki, aż do wieczornego pogrzebu zmarły nie zostaje ani na chwilę sam.

– Tak – odpowiadam. – Mistrz Thomas chciałby, żebym poszła.

– Tak należy postąpić – zgadza się Lambert. – Ja, ach... mój ojciec już wyznaczył mnie do reprezentowania rodziny, a Simon chce, bym obserwował, kto jeszcze się tam zjawi.

To oznacza, że Simon nie przyjdzie. Czyżby miał nadzieję, że jego nieobecność ośmieli zabójcę, by powrócił na miejsce zbrodni, a może po prostu nie chce mnie spotkać? Nagle zdaję sobie sprawę, że Lambert o coś zapytał.

– Słucham?

Jego twarz jest czerwona jak burak.

– Zapytałem, czy pozwolisz, bym mógł cię tam dziś zaprowadzić?

Och, słońce, to nie jest coś, co chciałabym rozwijać.

– Obawiam się, że to się może nie spodobać rodzinie lady Genevieve – mówię, by przypomnieć mu, że jest zaręczony. – Chyba że przyprowadziłbyś Juliane? Ona doskonale zapamięta, kto zjawił się na pogrzebie, a jej obecność bardzo by mnie pocieszyła.

Dolna warga Lamberta drży.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Nie jest z nią dobrze. Wiesz, o co chodzi.

Jest tak zdenerwowany, że nie mogę się powstrzymać przed współczującym poklepaniem go w ramię.

– Przykro mi – mówię, uważając, by nie wyjawić tego, co wiem o ich matce. – Na pewno jest ci trudno na to patrzeć.

– Owszem. – Mruga, by odpędzić emocje. – Ale masz rację, pokazywanie się w godzinach wieczornych w twoim towarzystwie może być źle widziane. Dziękuję, że o tym pomyślałaś.

– A ja dziękuję, że ty myślisz o moim dobrym samopoczuciu. – Dotarliśmy do północnej części placu sanktuarium, która ze względu na kształt wzgórza jest o wiele mniejsza niż południowa.

Dookoła jest dużo mniej ludzi, co pozwala mi zauważyć twarz Remiego wśród robotników patrzących na nas z dachu.

– Powinnam wracać do pracy. Jeszcze raz dziękuję za dzisiejszą pomoc.

Lambert kłania się uprzejmie i obiecuje, że jutro mnie odwiedzi – oczywiście, jeśli na to pozwolę.

Po tym, ile dla mnie ryzykował, nie mam serca odmówić.

Poza tym jest moim jedynym łącznikiem z mistrzem Thomasem.



Choć deszcz ustaje, a koło południa niebo robi się bezchmurne, Remi wcześniej kończy dzień pracy, a podczas kolacji oświadcza, że pójdzie ze mną do opactwa. Powinnam była wiedzieć, że będzie na to nalegał. Gdy mijamy pokryte winoroślą ściany Kwatery, próbuję zaglądać w okna, zastanawiając się, w którym domu znajduje się Marguerite, ale wątpię, że zaniecono ją do jednego z kilku, które mam w polu widzenia.

Seleńczycy nie wpuszczają obcych do swojej dzielnicy, zwłaszcza w nocy. By się tam dostać, trzeba mieć specjalne zaproszenie. Każdy, kto próbuje się tam zakraść – a zwykle są to pijaczkowie lub nastoletni chłopcy – jest łapany już na pierwszej ulicy i eskortowany na zewnątrz. Zastanawiam się, co by zrobili, gdybym po prostu weszła, domagając się wizyty u Marguerite.

Księżyc uniósł się ponad dachami, a ja już zaczynam słyszeć nieziemskie pieśni wydobywające się z uliczek, wychwalające jego światło. Remi chyba niczego nie zauważa. Gdy przechodzimy przez bramę opactwa, jest spięty i spocony. Wejście nie zostało jeszcze zreperowane, od kiedy wczoraj wyłamał zamek.

– Myślisz, że zakryją jej twarz? – szepcze.

Wzdrygam się.

– Litościwe słońce, mam taką nadzieję.

Całe szczęście siostry całkowicie zawinęły matkę Agnes w całun z haftowanego jedwabiu. Słyszę kilka szeptów gapiów narzekających na ekstrawagancję takiego działania, ale wiem, że materiał pochodził z kufra w jej prywatnej celi. Niejeden raz zakradałam się tam, by przejrzeć jego zawartość i zachwycać się bogactwami, które zachowała ze swoich małżeństw, zastanawiając się, czy zrobiła to na wypadek problemów finansowych, czy z przywiązania.

Moje serce rośnie od tysiąca innych wspomnień. Nie zdążyłam się z nią pożegnać, podziękować za dziecięcy dom, który był bezpieczny i w którym nic mi nie groziło. Mistrz Thomas karcił mnie, mówiąc, że przecież nie zostało jej wiele czasu, ale ja w jakiś sposób wierzyłam, że przeorysza będzie żyła wiecznie.

Lambert stoi już na tyłach kaplicy, przyglądając się każdej wchodzącej twarzy, i kiwa do mnie z powagą, gdy go mijamy. Obok niego stoi Oudin, którego mina jest o wiele mniej sympatyczna. Ignoruję go.

Gdy słońce zaczyna zachodzić, wszyscy wychodzą na zewnątrz do ogrodu, by na nie popatrzeć, śpiewając hymn pożegnalny. Melodia unosząca się z Kwatery Seleńskiej miesza się w idealnej harmonii ze śpiewaną przez nas pieśnią, ale nikomu zdaje się nie przeszkadzać ta błuźniercza mieszanka. W zasadzie chyba nikt tego nawet nie zauważa.

Nikt poza mężczyzną w szarej pelerynie, stojącym na skraju tłumu. Śpiewa pieśń Seleńczyków łagodnym barytonem. Kiedy słońce znika za horyzontem, a utwór dochodzi do momentu kulminacyjnego, Gregor odwraca się, by nasze spojrzenia mogły się spotkać ponad otwartą przestrzenią. Teraz, gdy księżyc jest jedynym źródłem światła, przemawia do mnie, a jego naznaczone bliznami usta poruszają się w szepcie, który dobrze wiem, słyszę tylko ja.

– Zostań w tyle. Siostrzyczka potrzebuje twojej pomocy.



## ROZDZIAŁ 42

– Nic mi nie będzie – zapewniam Remiego. – Przed tobą całe godziny pracy nad dziennikami architekta, zanim będziesz mógł pójść spać, więc lepiej już idź.

Waha się.

– To niebezpieczne. Może poproszę Oudina, by na ciebie zaczekał.

– Obaj synowie hrabiego zgłosili się na ochotników, by zamknąć trumnę matki Agnes, i niosą ją właśnie na cmentarz po drugiej stronie opactwa.

Przechyliłam głowę w stronę kaplicy, gdzie z otwartych drzwi słyszeć wieczorne modlitwy sióstr.

– Liturgia zachodu słońca dopiero się zaczęła, a ja chyba chciałabym dziś na niej zostać. Podobnie jak na kolejnej, nocnej. – Gdy Remi marszczy brwi, wskazuję kilku nocnych strażników, których przydzielono do patrolowania klasztoru. – Czy jeśli poproszę jednego z nich, by odprowadził mnie później do domu, poczujesz się lepiej?

Zgadza się, choć niechętnie, i dołącza do tłumu wylewającego się z popsutej bramy. Chwilę później odchodzą również Oudin i Lambert, otrzepując ręce z brudu. Gdy mnie mijają, kryję się w cieniach kaplicy. Chociaż Lambert z całą pewnością by się o mnie

martwił, nie sędzę, aby zabójca miał uderzyć dziś w nocy. Zapewne przez jakiś czas będzie się chciał rozkoszować roztaczaną przez siebie atmosferą grozy.

Czekam, aż ulice opustoszeją, słuchając, jak siostry po raz pierwszy od czterdziestu lat śpiewają bez matki Agnes. Większość z nich w ogóle nie poznała życia bez niej, zresztą ja również znajduję się w tej grupie. Niezależnie od tego, jak kompetentna okaże się jej następczyni, opactwo Solis już nigdy nie będzie takie samo.

W końcu robi się wystarczająco cicho, chociaż przed opactwem nadal stoi dwóch strażników. Wolałabym, żeby nie widzieli, jak wchodzę do Kwatery, być może więc będę musiała wymyślić coś, by odwrócić ich uwagę. Obaj uprzejmie kiwają mi głową, gdy mijam popsutą bramę dokładnie w chwili, gdy z alejki po drugiej stronie ulicy wyłania się Gregor.

Mężczyźni nie reaguja. Czekam kilka sekund, ale oni zachowują się, jakby go nie widzieli.

Marszczę brwi. Jak to możliwe? Gregora z całą pewnością nie można nazwać drobnym mężczyzną, a księżyc jest na tyle jasny, że rzuca blady cień.

Gregor zauważa moje zdezorientowane spojrzenie i uśmiecha się, a jego białe zęby połyskują w świetle księżyca. Ale to wcale nie jest przyjazny wyraz twarzy. Raczej drwiący.

– No już, Mały Kotku – szepcze, choć jego głos jest niemal zupełnie zagłuszony przez śpiewy dochodzące zarówno z opactwa, jak i z Kwatery. – Twoja przyjaciółka czeka.

Biorę głęboki oddech i przechodzę przez ulicę jak gdyby nigdy nic, kierując się w stronę budynków porośniętych pnączami księżycowych kwiatów. Gdy zbliżam się do Gregora, podnosi dłoń, by dać mi do zrozumienia, żebym się zatrzymała. Następnie zerka na strażników i cichym, posuwistym ruchem zbliża się do mnie, by mnie zasłonić.

Czekamy kilka sekund, po czym jeden ze strażników mówi:

– Ale się spieszyła. Już jej nie ma.

Drugi chichocze.

– Dziewczyny by od ciebie nie uciekały, gdybyś kapał się częściej niż raz w miesiącu.

Nadal nie widzą Gregora – a teraz również i siebie. Zdumiona, zerkam na ziemię i zauważam, że mężczyzna nie rzuca cienia.

Ani ja. A ściślej mówiąc: mój cień kończy się u jego stóp.

Gregor unosi rękę wraz z peleryną, wskazując, bym weszła w uliczkę. Prześlizguję się obok niego przez wejście, a on szybko podąża za mną.

Jest tak ciemno, że kilka razy się potykam i nie mam pojęcia, dokąd idę, z kolei Gregor wydaje się pozbawiony jakichkolwiek problemów z orientacją. Gdy wychodzimy na większą ulicę, mija mnie i sygnalizuje, bym szła za nim, co robię, powoli przyglądając się otoczeniu.

Pierwszy rząd domów jest porośnięty pnączami tak gęsto jak zewnętrzne ściany Kwatery. Kwiaty o pięciu płatkach połyskują wśród liści jak gwiazdy na nocnym niebie. Wiele z nich jest odwróconych przodem do księżyca, zupełnie tak jak inne kwiaty otwierają się na słońce, odsłaniając purpurowe żyłki, które znajdują się w środku kwiatu kształtem przypominającego róg.

W dzień nikt nie zajrzy w twego serca głąb.

Lecz nocą odkrywasz je przed nami,

Czas wtedy, by Seleńczycy do domu pognali.

Po drodze dotykam jednej ze zwiniętych główek. Kolejna, którą mijamy, jest całkiem otwarta, a ja zatrzymuję się, by przyłożyć do niej nos, ciekawa zapachu.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił. – Otoczone srebrną obwódką oczy Gregora błyszczą z rozbawienia. – Jeśli chcesz pomóc swojej przyjaciółce.

Marszczę brwi.

– Mówisz tak, jakby miał mnie okraść ze zmysłów.

– A jak myślisz, skąd bierze się skonia?

Odkakuję od kwiatu i w pośpiechu podbiegam do Gregora, który zdążył już ruszyć dalej. Skoro już się do niego odezwałam, wydobywają się ze mnie kolejne pytania:

– Jakim cudem strażnicy cię nie widzieli? Ani mnie?

Zerka przez ramię, wyciągając pelerynę na bok niczym skrzydło nietoperza.

– Księżycowa nić. Przędzona i utkana podczas pełni. – Uśmiecha się zimno. – Niewidzialna dla Hadriańczyków, tak samo jak mroczna



strona księżycy.

Hadriańczycy. Słyszałam, jak wymawia to słowo w kuchni mistrza Thomasa. Współcześnie ludzie mówią o sobie, używając narodowości: Galijczycy, Prezjanie, Taurańczycy, Brinsulczycy, Germanie – wszyscy jednak pochodzą od starego Imperium Hadriańskiego, które obejmowało cały kontynent i ziemie za odległymi morzami. Czy Seleńczycy pochodzą z miejsca poza tymi granicami?

Gregor opuszcza ramię i rusza dalej w dół ulicy. Z kilku brukowanych uliczek dochodzą do nas głosy, a ja zauważam ludzi załatwiających sprawunki, jakby był środek dnia.

Ulice nie różnią się od tych, które widuję w wielu zakątkach Collis – no, może są czystsze. Domy są mniejsze – składają się maksymalnie z parteru i piętra, a niemal z każdego okna zwisa zieleń, choć tutaj nie rosną już księżycowe kwiaty.

– Jesteś, wujku! – Podbiega do nas medyczka, którą poznałam poprzedniej nocy; szorstkie, siwe włosy wydostają się z warkocza. – Cały dzień go błagałam, by cię tu przyprowadził – mówi do mnie. – Twoja przyjaciółka gaśnie od samego rana.

Odwracam się do Gregora.

– Ona umiera?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Gdybym naprawdę uważał, że możesz jej pomóc, już dawno bym cię przyprowadził.

Medyczka parska.

– To ja jestem ekspertką w tych sprawach. – Bierze mnie pod ramię i ciągnie za sobą w kierunku, z którego przyszła. – Tędy, kuzynko.

– Kuzynko? – To, jak się do mnie zwraca, potwierdza, że jestem w jakiś sposób spokrewniona z Gregorem, ale to nadal szok. – Czy on jest również moim wujem? – pytam.

– Tak. – Medyczka rzuca Gregorowi surowe spojrzenie, gdy mężczyzna rusza za nami. – Widzę, że nie raczył ci niczego wyjaśnić.

– Czy znałaś mnie... wcześniej?

– Na tyle dobrze, na ile można poznać niemowlę. – Uśmiecha się lekko. – Prawdę mówiąc, byłaś pierwszym dzieckiem, którego poród przyjąłam. Byłam wtedy ledwie w twoim wieku.

To oznacza, że będzie mogła powiedzieć mi coś na temat moich rodziców, a przynajmniej matki.

– Jak ci na imię?

– Athene. – Jej oczy połyskują, gdy spotykają się z moimi. – A ty jesteś Katarene.

– Catrin.

– Skoro tak wolisz.

Jej beznamiętny ton sprawia, że zastanawiam się, czy w jakiś sposób ją to uraziło, ale nie mogę przestać być osobą, na jaką wychowali mnie matka Agnes i mistrz Thomas.

– Możesz na mnie mówić Cat.

Policzek Athene napina się w półuśmiechu.

– W porządku, Cat.

Zatrzymujemy się przed zielonymi drzwiami z białym okręgiem namalowanym na wysokości oczu. Wokół grubej pionowej linii przechodzącej przez środek wije się wąż.

– To znak medyków – wyjaśnia Athene. – Naszego rodzinnego cechu.

– Czy to znaczy, że i ty jesteś medykiem? – pytam Gregora.

W odpowiedzi mężczyzna wybucha głębokim śmiechem.

– Nie, ten dar posiadł mój brat, za to ja otrzymałem urodę.

Zakładam, że to ma być żart na temat jego wyglądu.

– Twój brat?

– W zasadzie brat bliźniak.

Mój ojciec?

Athene otwiera drzwi i gestem daje nam znać, byśmy weszli za nią do środka. Schody zbudowano po lewej, ale ona przechodzi korytarzem prowadzącym na tyły domu. Drzwi znajdujące się na samym końcu po prawej stronie otwierają się na kuchnię, w której z sufitu zwisają suszone zioła. Naprzeciwko znajduje się izba chorych, ale nie przypomina żadnej, jaką do tej pory widziałam.

Choć nie ma w niej okien, powietrze jest czyste, niemal czuć tu wiejący wietrzyk. Ze zrobionych z polerowanego kamienia kul wielkości jabłka dociera delikatne światło. Umieszczone są w czymś, co w galijskim domu nazywalibyśmy świecznikiem. Ich blask jest niemal idealny – nie oślepia, a z drugiej strony wystarcza, by zobaczyć leżącą na łóżku bladą, nieruchomą postać.

– Marguerite! – Podbiegam do niej i klękam przy jej łóżku, chwytając ją za zimną dłoń. Jej głowa jest owinięta w czyste bandaż, ale deformacja nadal okazuje się widoczna. – Czy ona mnie słyszy? – pytam.

– Słyszy niemal wszystko. – Athene przysuwa mi taboret, na którym siadam z wdzięcznością. – Ale jeśli ty chcesz ją usłyszeć, musisz zrobić coś więcej.

– Muszę dotknąć jej krwi, prawda? – Ten jeden raz zrobię to z ochotą.

Gregor mruży oczy.

– Skąd o tym wiesz?

– Bo już to robiłam – odpowiadam. – Chociaż nie było to celowe.

Athene uśmiecha się do Gregora, zadowolona z siebie.

– Mówiłam ci.

Gregor kręci głową.

– To niemożliwe. Nawet wśród Seleńczyków rzadko się to zdarza. A rozcieńczona krew powinna być jeszcze słabsza.

– Mam na ten temat teorię, ale najpierw bierzmy się do roboty. – Athene odwraca dłoń Marguerite i kładzie w niej metaliczny kamień.

– Kontakt z krwią jest niepotrzebny, jeśli użyjesz tego – mówi. – Weź ją jeszcze raz za rękę.

Robię, co mówi medyczka, i przyciskam kamień pomiędzy naszymi dłońmi. Pytam w milczeniu:

*Marga? Słyszysz mnie?*

– Nie słyszy. – Athene jednym palcem przesuwa kamień, by nie wypadł nam z dłoni. – Musisz mówić na głos.

A to oznacza, że Athene i Gregor usłyszą przynajmniej połowę naszej rozmowy. Biorę głęboki wdech.

– Marga?

*Catrin? Cat?*

Nachylam się, otulając lewą ręką nasze złączone dłonie.

– Jestem przy tobie, Marga!

Czuję w jej głosie falę ulgi, która zalewa również mnie.

*Tak się cieszę, że cię widzę. A raczej słyszę. Nic nie widzę.*

– Przepraszam, że nie przyszłam wcześniej.

*Ale jesteś teraz. I to się liczy.*

– Bardzo dobrze – mówi Athene. – Zapytaj jej, czy jest w stanie powiedzieć, gdzie ją boli.

*Kto to?*

– Medyczka, która się tobą zajmuje – mówię.

*Selenka?* – Czuję, jak przez nasze połączenie przechodzi fala strachu. To musi być wpływ siostry Berty.

Nie mam zamiaru kłamać, nawet jeśli Marguerite nigdy miałyby się o tym kłamstwie nie dowiedzieć.

– Tak. Robi wszystko, co w jej mocy, by ci pomóc.

*Zaufam jej, jeśli ty jej ufasz.* – Marguerite milknie. – *Boli mnie tył ciała, ale nie jakoś bardzo. Raczej nazwałabym to uciskiem.*

Powtarzam jej słowa Athene, która kiwa głową.

– To od leżenia nieruchomo. Ale jeśli to czuje, to znaczy, że uszkodzenie mózgu niej jest duże.

– Pamiętasz cokolwiek z wczorajszej nocy? – pytam. – Widziałaś mężczyznę, który cię skrzywdził?

Zapada cisza, jakby Marguerite się namyślała.

*Matka mówiła, że spodziewa się późnego gościa, usłyszałam, jak wpuszcza go do środka. Usłyszałam trzask, jakby się przewróciła, więc wyszłam z celi i zaczęłam ją wołać.* – Widać, że się denerwuje. – *Z jej salonu wyszedł mężczyzna. Krzyknęłam i rzuciłam się do ucieczki, gdy coś popchnęło mnie na ścianę.*

– Rozpoznałaś go? – pytam.

*Nie, wyglądał po prostu jak ciemny kształt. Miał na sobie pelerynę. Przykro mi.* – Jej myśli słabną od przygnębienia.

– Nie martw się tym – mówię.

– Wystarczy – przerywa Athene. – Jeśli wkrótce nie poprowadzisz jej ku świadomości, możemy stracić ją na zawsze.

Mocniej ściskam dłoń Marguerite, jakby to mogło jej pomóc trzymać się życia.

– Jak mam to zrobić?

– Umysł jest jak las o wielu ścieżkach – wyjaśnia Athene. – A ona zagubiła się w jego dziczy. Musisz wejść do tego lasu i zaprowadzić ją na znajomą ścieżkę.

Jej analogia mnie niepokoi.

– Czy ja też mogę się zgubić w tym... lesie?

Athene kręci głową.

– Możesz wejść do niego sama, ale wasze lasy nachodzą na siebie w miejscach, w których dzielicie wspomnienia. Jeśli wystarczająco długo będziesz ją prowadzić po znanej ścieżce, powinna dojść do momentu, w którym zdoła iść dalej sama.

Oslabiam uścisk z obawy, że robię jej krzywdę.

– Słyszałaś to, Marga? Rozumiesz, co musimy zrobić?

*Tak. Rozumiem. Ale tutaj jest tak ciemno.* – Jej myśli są ospałe, jakby zaraz miała odpłynąć.

– Przypomnij jej o czymś, co robiłyście razem – podpowiada Athene. – Opowiedz o czymś, co mogła kilkakrotnie wspominać na przestrzeni lat. Najłatwiej znaleźć przechodzone ścieżki.

Zamykam oczy i myślę o czasach, w których dzieliłyśmy pokój.

– Pamiętasz, jak razem szyłyśmy ubranka dla lalek? – pytam. – Używając skrawków ze szwalni?

*Moje lalki zawsze były ubrane jak siostry.*

– Tak, ale dla moich szyłyśmy kolorowe szaty.

*Pamiętam.* – Na chwilę zapada cisza, po której jej głos powraca silniejszy. Pełen oburzenia. – *Wkładałaś moim lalkom kolorową bieliznę.*

Przygryzam wargę, powstrzymując uśmiech.

– Robiłam to cały rok, zanim zauważyłaś.

Jest tym tak zgorszona jak wtedy.

*Oczywiście, że nie zauważyłam! Nie miałam powodu, by zaglądać im pod ubrania.*

Nie mija wiele czasu, nim orientuję się, że odpowiedzi Marguerite stają się coraz konkretniejsze, jeśli zaczynam jakieś wspomnienie i pozwalam jej dokończyć. Dalej opowiadamy sobie o wyrywaniu chwastów, obieraniu groszku i chaotycznej plątaninie, która powstała na naszej pierwszej lekcji tkactwa.

Nagle słyszę przy uchu głos Athene.

– Zadaj jej jakieś proste pytanie i szybko puść jej dłoń.

Mówię pierwszą rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

– Jakie jest moje ulubione ciastko?

Nasze dłonie rozdzielają się dokładnie w chwili, gdy słyszę odpowiedź Marguerite, dochodzącą z jej ust.

– Imbirowe.



## ROZDZIAŁ 43

Marguerite odzyskała przytomność. Athene szturcha mnie, bym przesunęła się na bok, i przytrzymuje niewielki świecący kamień nad oczami Marguerite, by zbadać jej źrenice.

– Bardzo dobrze – mruczy pod nosem. – Obrażenia nie są tak poważne, jak się obawiałam.

– Jest dobrze? – pytam. – Dojdzie do siebie?

Athene się prostuje.

– Nie mogę tego zagwarantować – ostrzega – ale jestem dobrej myśli. – Kiwa do mnie głową i wstaje, a jej wzrok kieruje się w stronę stojącego w drzwiach Gregora. – Dobrze sobie poradziłaś, Cat, zwłaszcza że nikt cię tego nie uczył.

Błękitne oczy Marguerite poruszają się, nie skupiając na niczym konkretnym.

– Strasznie tu ciemno.

Na światło dnia, ona nie widzi! Nachylam się do niej.

– Jestem przy tobie, Marga.

Gdy tylko się do niej zbliżam, uśmiecha się.

– Tu jesteś.

– Widzisz mnie?

– Tak, teraz trochę widzę, gdy oświetla cię światło dochodzące z drzwi.

Marszczę brwi.

– Przecież cały pokój jest oświetlony.

– Nie dla niej – mówi Gregor, a ja odwracam się do niego przez ramię. – Hadriańczycy nie potrafią korzystać z magii księżyca. – Wchodzi do pokoju i opiera dłoń na jednym z obłych kamieni stojących na świeczniku. – To kamień księżycowy – mówi. – Absorbuje światło księżyca i rzuca je z powrotem. Ma jednak to do siebie, że gaśnie. Świeci zaledwie kilka tygodni.

– Skoro je widzisz, to oznacza, że przeszłaś podstawowy test na Selenczyka – dodaje Athene.

Gregor chrząka.

– Są jeszcze inne.

Athene uśmiecha się z ponurym triumfem.

– I wszystkie zda śpiewająco.

Nadal mam w dłoni metaliczny kamień, oddaję go więc kuzynce. Nie świeci tak jak kamień księżycowy, ale chyba szumi od niewidzialnej energii.

– A to co takiego?

– Nazywamy go krwawym kamieniem, bo przewodzi magię tak dobrze jak krew. – Gdy tylko go ode mnie odbiera, czuję w palcach mrowienie, jakbym uderzyła się w łokieć. – Takie kamienie absorbują i składują magię jak kamień księżycowy, jednak wypuszczają ją w niewidzialny sposób. Gdy przyłożysz je blisko rany, zagoi się o wiele szybciej, choć na Selenczyków działa to lepiej niż na Hadriańczyków.

Czyli plotki, że selenscy medycy używają nienaturalnych metod, nie są zmyślane. Strzepuję zdrętwiałą dłoń.

– Używasz ich, by pomóc Marguerite?

– Najpierw musi jej zejść opuchlizna – wyjaśnia Athene. – Będę też musiała nastawić kość, zanim zachęcę ją do zrośnięcia się. Na kamienie powinna być gotowa za kilka dni.

Marguerite zaczyna skamleć.

– Nie chcę być leczona magią.

Athene przewraca oczami, ale ja pocieszam przyjaciółkę:

– Marga, wierzysz, że jestem dobrym człowiekiem? Ufasz mi?

– Tak – odpowiada natychmiast. – Ale księżyc jest złodziejem światła słońca. Wszystko, co od niego pochodzi, jest zepsute.

– Księżyc nie jest żadnym złodziejem – burczy Gregor. – Został obdarowany tym samym światłem, co wszystko inne. Z tą różnicą, że błogosławi innych tym, co sam otrzymał.

Marguerite krzywi się na ten wrogi ton. Przesyłam wujowi gniewne spojrzenie i ponownie chwytam ją za rękę.

– Jeśli magia księżycy jest zepsuta, to i ja taka jestem, Marga. Bo jestem Selenką. – A przynajmniej częściowo, skoro dano mi do zrozumienia, że moja krew jest rozcieńczona. – Ci ludzie to moja rodzina.

– Władasz ich magią – szepcze.

– Tak. I matka Agnes o tym wiedziała.

Marguerite przez długi czas milczy. Z jej oczu, prosto w bandaż, ciekną łzy. W końcu szepcze:

– Zaufam im ze względu na ciebie.

– Dobrze, dziękuję. – Jej czoło jest owinięte, całuję ją więc w policzek. – Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Athene chwytam mnie za łokieć i ciągnie do góry.

– Moja pomocnica zjawi się tu z bulionem, siostrzyczko – mówi. – Nie zasypiaj jeszcze.

– Wkrótce się zobaczymy! – wołam, gdy kuzynka wyprowadza mnie z pokoju.

Gregor zniknął, słyszę jednak, jak wchodzi po schodach na górę, gdy Athene wprowadza mnie do kuchni.

– Zdejmuj pelerynę – rzuca. – Zostań trochę.

Rozpinam ją, kładę na oparciu krzesła stojącego przy kominku i rozglądam się. Przy blacie młoda kobieta kroi warzywa, a jej twarz jest zasłonięta falami ciemnych włosów spływających na ramiona, podobnych do moich.

– Hadriańska siostra się obudziła, Hiro – mówi do niej Athene. – Zanieś jej, proszę, trochę bulionu.

Hira bez słowa wykonuje polecenie, natychmiast nalewając parujący płyn ze stojącego na ogniu garnka do miski.

– Czy to twoja córka? – pytam, gdy dziewczyna wychodzi.

– Mogłaby nią być. – Athene wiąże sobie fartuch wokół talii i kontynuuje to, co robiła Hira. – Jest jedną z wielu sierot z czasów



problemów, do których doszło wtedy, gdy ty się urodziłaś. Hira miała zaledwie trzy latka, kiedy jej rodzice zostali zamordowani na jej oczach. Od tej pory nie wypowiedziała ani słowa.

Athene mówi o tym akcie brutalności, jakby był moją winą, jednak w jej głosie nie słychać urazy. Jeśli w tych słowach jest ziarno prawdy, wyobrażam sobie, że inni Selenicy mogą nie być względem mnie tak wspaniałomyślni.

– Zaopiekowała się nią moja matka – kontynuuje Athene – przekonana, że uda jej się sprawić, by Hira zaczęła mówić, choć jak widać, nigdy do tego nie doszło. W dziewczynie nie ma ani krzty magii krwi, nie mogliśmy więc wyszkolić jej na medyczkę, ale jest dobrą pielęgniarką, nawet mimo że nie mówi.

Hira nie zabrała ze sobą świecy, zakładam więc, że widzi światło kamieni księżycowych. To oznacza, że magia krwi to coś innego – coś, czego Gregor nie posiada.

– Czy mój ojciec był medykiem, o którym mówił Gregor? – pytam. Kiwa głową.

– Byli bliźniętami. Tamtej nocy Hadriańczycy nie potrafili odróżnić go od twojego ojca. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Pobili tylu naszych mężczyzn niemal na śmierć, że nie mogliśmy marnować krwawych kamieni na rany, które zagoiłyby się same. Ostatecznie bliźny Gregora przynoszą jakąś korzyść. Już nikt nie pomylił go z bratem.

– Ale mój ojciec zmarł tamtej nocy?

– Tak. – Athene zerka w kierunku drzwi, ale Gregor jeszcze nie wrócił. – Naprawdę nie masz pojęcia o tym, co się stało?

– Nie, nic nie wiem – odpowiadam. – Chociaż zgaduję, że moja matka była Galijką albo jak wy to mówicie, Hadrianką.

– Owszem. – Athene skupia się na krojeniu warzyw, podejrzewam, że po to, by na mnie nie patrzeć. – Pochodziła z bogatej rodziny. Podczas zarazy twój ojciec zajmował się Hadriańczykami, którzy o każdej porze dnia i nocy błagali o pomoc medyków. Gdy w końcu dotarł do domu twojej matki, nie było wiele nadziei, że ta przeżyje, a jednak jej się udało. I wtedy się w sobie zakochali.

Podchodzę do Athene, by spojrzeć jej w oczy, ale ona wbija wzrok w blat.

– Jak udawało im się... być razem?

– Jej bliscy uciekli do rodzinnej posiadłości, w zasadzie zostawiając ją w Collis na śmierć. A gdy nie umarła, nadal była zbyt słaba, by dokądkolwiek podróżować, dochodziła więc do siebie w klasztorze.

Matka Agnes zarabiała spore pieniądze, zapewniając nocleg podróżniczkom, z których wiele przybywało tam, by urodzić w tajemnicy niechciane dziecko. Przynajmniej połowa znaj, które znam, ma właśnie taką historię.

– Twój ojciec odwiedzał ją w nocy, spacerowali wtedy po sadzie – opowiada Athene. – Po jakimś miesiącu powiedziała przeoryszy, że czuje się już na tyle dobrze, by odejść, jednak zamiast pojechać do rodziny, przybyła tutaj. Byli małżeństwem przez dwa sezony, zanim ktokolwiek zorientował się, dokąd poszła. A wtedy twoja matka była już prawie w ósmym miesiącu ciąży. – Usta mojej kuzynki się zaciskają. – Sprawy szybko zaczęły wyglądać bardzo źle.

Nóż z wielką siłą kroi marchew, której kawałek spada z blatu. Schylam się, by ją podnieść, podczas gdy Athene kontynuuje opowieść:

– Ona chciała tutaj zostać, ale jej rodzina rozpuściła plotkę, że nie chcemy jej wypuścić, dopóki nie zostanie zapłacony rachunek za jej leczenie. To oczywiście było kłamstwo, zmyślane, by ukryć wstyd, jakim był sekretny ślub, jednak po zarazie wielu ludzi miało u nas dług, nienawidzono nas. Nie było trudno znaleźć chętnych, którzy zaatakowali twojego ojca.

W zamieszkach, które się wtedy rozpętały, zabito i zraniono dziesiątki osób. Nie chcę zmuszać Athene, by ponownie to przeżywała, ale nadal mam pytania, na które potrzebuję uzyskać odpowiedzi.

– Jak zmarła moja matka?

– Urodziłaś się tamtej nocy, głównie z powodu stresu, ale ona nie odzyskała po porodzie pełni zdrowia. – Athene wrzuca pokrojoną marchewkę do garnka. – Poród nie był trudny, jako wcześniak byłaś raczej niewielka, ale ona zbyt szybko wstała z łóżka; pragnęła być przy twoim ojcu, zanim umarł. Chciała mu ciebie pokazać.

Gula, którą czuję w gardle, sprawia, że ledwie mówię:

– Udało jej się?

– Jego twarz była zbyt spuchnięta, by mógł cię zobaczyć, ale trafił za Bramę Słońca z tobą w ramionach. Był szczęśliwy. Wiem o tym, bo medycy słuchają ostatnich myśli martwych i umierających. – Przerzywa, by odchrząknąć. – Wybrał Gregora na twojego ojca księżycowego, nie wiedząc, że jest równie bliski śmierci jak on. W całym tym chaosie nie zdaliśmy sobie sprawy, jak bardzo twoja matka krwawi, dopóki nie było za późno. Jej ostatnią myślą było to, jak bardzo was oboje kochała.

„Kochali się, a ty byłaś dzieckiem, którego pragnęli... Tylko to się liczy”.

– Oboje byli romantycznymi głupcami – mówi stojący w drzwiach Gregor, czym straszy nas obie. Jego głos jest szorstki, ale widzę, że kilkakrotnie mruga. Unosi skórzaną sakwę trzymaną w ręce. – Została nam godzina dobrego księżycy, Katarene, a w jego świetle musimy wyjaśnić wiele ważnych spraw. Proszę, chodź ze mną.

Odwraca się i rusza w stronę drzwi wejściowych, nie czekając na odpowiedź. Athene zachęca mnie kiwnięciem głową.

– Idź z nim, Catrin – mówi. – Dołączę do was, gdy nasza siostrzyczka znów będzie odpoczywać.

Waham się, a to, że użyła mojego hadriańskiego imienia, przywodzi mi na myśl dodatkowe pytanie.

– Czy mogę jeszcze o coś zapytać?

Athene niesie garnek z wodą i warzywami w stronę paleniska.

– Jeśli odpowiedź nie będzie długa.

– Czy imię Katarene znaczy dla Seleńczyków coś szczególnego i dlatego zostało dla mnie wybrane?

Athene parska.

– Nasz wuj miał rację, opisując twoich rodziców jako romantycznych głupców. – Po chwili jej twarz łagodnieje, a gdy zawiesza garnek nad ogniem, na jej twarzy pojawia się uśmiech. – Katarene oznacza czystość.



## ROZDZIAŁ 44

Wychodzę na zewnątrz, by spotkać się z wujem – moim rodzicem księżycowym, jak nazwała go Athene. Galijskie dzieci mają matki i ojców słonecznych, którzy odgrywają rolę duchowych przewodników i opiekunów, gdyby coś złego przytrafiło się rodzicom. Rodzic księżycowy musi być ich seleńskim odpowiednikiem.

A więc to Gregor, na którym spoczywała ta odpowiedzialność, musiał zostawić mnie u matki Agnes. Dlatego też podjęłam własną decyzję.

– Mam na imię Catrin – mówię, zanim zdoła powiedzieć choć słowo. – Straciłeś prawo do nazywania mnie seleńskim imieniem, gdy zostawiłeś mnie w hadriańskim świecie.

Unosi brwi.

– To mój durny brat i jego hadriańska żona nadali ci imię Katarene.

– W takim razie będą mogli się tak do mnie zwracać, kiedy spotkam się z nimi za bramą słońca – odpowiadam. – Ty nie masz takiego prawa. Jeśli imię Catrin jest dla ciebie odstręczające, możesz mówić na mnie Cat.

Wuj wzrusza ramionami, jakby się tym nie przejął, ale widzę w jego oczach, że go to zraniło.

– Jak sobie życzysz, mała Cat.

Przynajmniej nie mówi: „Koteczku”.

Wychodzi na oświetloną księżycem ulicę. Jej widok przepęłnia mnie pragnieniem odczucia jego blasku na własnej skórze. Wyobrażam sobie, że taki sam głód czują osoby uzależnione od skonii.

To porównanie sprawia, że coś sobie przypominam. Gregor powiedział architektowi coś bardzo podobnego. Wtedy wydawało mi się, że ma na myśli morderstwo Perrete i żądzę krwi, która opętała zabójcę. Teraz zdaję sobie sprawę, że tematem tamtej rozmowy byłam ja oraz to, że liznęłam księżycowej magii, z której pragnieniem każdy Seleńczyk musi się uporać.

„Właśnie dlatego z własnej woli w nocy trzymamy się Kwatery – by chronić innych i siebie samych”.

Czy to, że używam magii, w jakiś sposób zagroziłoby mistrzowi Thomasowi, Remiemu i pani la Fontaine? Czy już naraziłam na niebezpieczeństwo Marguerite? Simona?

– No to w drogę. – Gregor rusza przed siebie.

Przełykam niepokój i podążam za nim krętymi ulicami. Za każdym razem, gdy księżyc wyłania się spomiędzy dachów, zatapiam się w nadchodzących ze wszystkich stron dźwiękach i zapachach.

Mijamy kilka osób zajmujących się swoimi sprawami, a ku mojemu zdziwieniu ich ubrania w świetle księżyca wyglądają zupełnie inaczej. To, co w dzień zdaje się zwyczajnym połączeniem czerni i granatu, teraz składa się z wielu odcieni indygo i purpury, a na rękawach i kołnierzach są wyszyte skomplikowane wzory. Najczęściej to księżycowe kwiaty i fazy księżyca.

– Widzę, że tylko kreujecie się na pospolitych – mruczę pod nosem.

Gregor z uśmiechem odwraca się przez ramię.

– Prawda jest taka, że nie mamy nic przeciwko wytworności, ale jeśli ma się tak dobry wzrok jak my, wystarczy jej odrobina.

Przyglądam się jego pelerynie utkanej z księżycowej nici, która najwyraźniej pozostaje niewidoczna dla Hadriańczyków.

– Czy Seleńczycy wychodzą w nocy ze swojej dzielnicy częściej, niż nam się wydaje?

– Tak, chociaż i tak nie zdarza się to często. A gdy już wychodzimy, widzą nas tylko nasi.

Marszczę brwi.

– To nieprawda. Oudin Montcuir widział, jak mnie obserwujesz, gdy byłam w nocy na sanktuarium.

Gregor unosi brwi, ale nie jest zaskoczony.

– To dlatego, że syn burmistrza przyjął tamtej nocy sporą dawkę skonii.

– I co z tego?

– To, że księżycowe kwiaty kwitną w blasku księżyca, absorbując tę samą magię, która płynie w naszej krwi. – Przechyla głowę, jakby czekał, aż zrozumie, to jednak nie następuje. – Skonia wyostrza zmysły do poziomu, z którym my się rodzimy. Hadriańczycy zwyczajnie nie są w stanie sobie z tym poradzić.

– A gdybym ja ją wzięła?

Jego usta drgają.

– Miałybyś halucynacje tak jak oni.

– Ale to Seleńczycy wytwarzają ten narkotyk.

– Owszem. Poza leczeniem to nasze główne źródło utrzymania.

To, że tak swobodnie się do tego przyznaje, sprawia, że ściska mnie w żołądku.

– I nie masz poczucia, że robicie coś złego?

– Dorabiając się na słabości Hadriańczyków? Nie.

Jeśli skonia wzmacnia zmysły Hadriańczyków do poziomu mieszkańców Kwatery – chociaż nie są sobie w stanie z nimi poradzić – to odczuwana przez nich euforia również musi być podobna do tej, którą daje mi blask księżyca. Wygląda na to, że porównanie magii z uzależnieniem od narkotyków jest całkiem trafne.

Zakręcamy po raz ostatni, a Gregor zatrzymuje się na skraju cienia, twarzą do otwartej przestrzeni oświetlonej księżycem. Tak jak wiele placów w Collis, ten również wybudowano nisko w ziemi i postawiono prowadzące do niego trzy schody. Ten jest jednak o wiele większy niż jakikolwiek inny, który do tej pory widziałam. Seleńczycy gromadzą się tu jak w parku podczas słonecznego

popołudnia – niektórzy rozkładają koce i urządzają pikniki. Po drugiej stronie grupa osób, głównie kobiet, pracuje na krosnach i kołowrotkach. Siedzą w blasku księżyca i śpiewają, tkając srebrzystoszary materiał, który połyskuje niczym fale na wodzie. Księżycowa nić. Część z nich miesza gotujące się kadzie purpurowej farby. Materiał, który wyjmują, by się mu przyjrzeć, jest ciemny niczym nocne niebo.

W samym środku placu znajduje się płytka sadzawka. Większość dzielnic Collis zbudowano wokół wspólnych studni lub fontann, sadzawka jest jednak zbyt mała, by mogła służyć jako źródło wody. Chropowate dno z czarnego kamienia znajduje się zaledwie kilka cali pod powierzchnią. Okrągłe kształty pod wodą odzwierciedlają te, które widać na tarczy księżyca – powinnam była się tego spodziewać. Krawędzie sadzawki stanowi poświęta złotych płomieni.

Drzę, gdy dociera do mnie, że ta ognista korona symbolizuje zaćmienie słońca. Sелеńczycy zakryli błogosławione słońce księżycem. Świętokradztwo.

Gregor w milczeniu przygląda się, jak to wszystko do mnie dociera. Poza kilkoma niemowlętami tulącymi się do rodziców nie ma tu dzieci młodszych niż dwanaście lat. Sześcioro młodych ludzi mniej więcej w moim wieku siedzi w kręgu, podając sobie jakiś przedmiot, który każde z nich przytrzymuje przez kilka sekund.

– W jakim wieku Sелеńczycy rozpoczynają korzystanie z księżycowej magii? – pytam.

– Gdy minie pierwszy nów po czternastych urodzinach – odpowiada. – To bywa przytłaczające, więc zaczynamy, gdy moc jest słabsza, i stopniowo, przez dwa tygodnie, wprowadzamy ich, w miarę jak księżyc przybywa, a potem celebруем ich pierwszą pełnię. – Milknie na długą chwilę, po czym kontynuuje: – Młodych ludzi zwykle inicjują ich rodzice księżycowi. By obudzić drzemiącą w nas magię, na blask księżyca musi zostać wystawiona nasza krew, rozcina się więc skórę. Ten pierwszy raz pozostawia charakterystyczną bliznę.

Wyciąga prawą rękę, by mi ją pokazać. Na środku wewnętrznej strony dłoni jest wypukłe purpurowe znamię w kształcie sierpu księżyca, nie większe od ziarnka grochu.

– Wystarczy jedna kropla – wyjaśnia. – Gdy krwi dotknie blask księżycy, magia jest przewodzona przez całe ciało.

Ze zdziwieniem przyglądam się bliźnie.

– Mnie nikt tego nie zrobił.

– Czasem zdarza się to przez przypadek. – Chwyta moją lewą dłoń i unosi ją, wskazując środkowy palec, gdzie pod paznokciem znajduje się purpurowa plamka – to tam dostała się drzazga pamiętnej nocy na świątyni. – Widziałem to z ulicy, gdy stałaś przy rzeźbie – mówi. – Zdałem sobie wtedy sprawę, że nie tylko jesteś w stanie władać księżycową magią; zdołała się ona również w tobie całkowicie obudzić.

Wpatruję się w znamię, przypominając sobie cierpki smak krwi i krzyk Perrete, który dotarł do mnie z niemożliwej odległości. Potem, spadając, na moment znalazłam się w blasku księżycy i przez okropną sekundę byłam nią – tak jak zdarzyło się później z Nichole.

Gregor puszcza moją dłoń.

– Księżyc działa w tajemniczy sposób. Choć zawsze obserwowałem cię z pewnej odległości, tamtej nocy poczułem, że muszę cię znaleźć. Myślę, że wzywał mnie, bym był wtedy z tobą.

Uśmiecham się, pomimo grozy tamtej nocy.

– Nie jestem pewna, czy byłabym zbyt otwarta, gdybyś próbował ze mną rozmawiać.

Jego pokryte bliznami usta wykrzywiają się w uśmiechu, jednak w błyszczących oczach nadal maluje się smutek.

– Być może nie, ale dzięki temu wiele udało ci się odkryć samej, bez żadnej pomocy.

Wpatruję się w plac, czując ogromną potrzebę, by dołączyć do znajdujących się tam ludzi.

– A teraz jestem tutaj.

Gregor chrząka.

– Owszem, Catrin, jesteś. I chociaż twoja magia już się obudziła, a pora nie jest zgodna z obyczajem, chciałbym cię odpowiednio przedstawić. Tak jak zrobiłbym to, gdybyś wychowała się między nami.

Celowo użył mojego hadriańskiego imienia, na znak tego, że mogę to zrobić na własnych warunkach.

– W porządku.



Gregor podnosi zawieszony na szyi srebrny łańcuch i chwytając przypięty do niego błyszczący wisior w kształcie gwiazdy.

– Używamy go również, gdy badamy krew w poszukiwaniu magii, by sprawdzić, czy osoba, którą testujemy, słyszy myśli przez kamień księżycowy.

– Ale przecież wiesz już, że ją posiadam.

– To prawda, ale i tak chciałbym ci coś powiedzieć. – Ponownie łapie mnie za rękę, w której trzyma kamień, po czym wystawia ją na srebrne światło, jakby chciał, byśmy łapali je niczym spadający deszcz.

Świat natychmiast staje się wyraźniejszy, jakbym obudziła się z głębokiego snu lub wyszła spod wody i nagle znów mogła oddychać i widzieć. Jakbym w końcu wróciła do domu z dalekiej podróży.

Wuj nie odzywa się, ale słyszę w głowie jego głos, tak jak słyszałam głos Marguerite, przechodzący przez kamień w mojej dłoni.

*Noc wita cię z otwartymi ramionami.*



## ROZDZIAŁ 45

Dreszcz powodowany przez magię szybko zostaje zastąpiony znajomym uczuciem przypominającym tonięcie. Wcześniej zawsze zaczynałam w cichych miejscach, gdzie niewiele można było poczuć i zobaczyć, a i tak było to paraliżujące. Tutaj otaczają mnie dziesiątki rozmów i jeszcze więcej twarzy, nie mówiąc już o jedzeniu i kwiatach – niektórych z nich nie rozpoznaję. Rozpraszają mnie nawet wibracje spowodowane przez kroki ludzi idących przez środek placu. Zamykam oczy i wysuwam dłoń z uścisku Gregora, by zakryć uszy. Nie chcę jednak sprawiać wrażenia słabej, daję więc sobie jedynie kilka sekund, by się przyzwyczaić.

Gdy zmuszam się, by ponownie otworzyć oczy, Gregor mnie obserwuje. Zawiesza srebrny łańcuch z powrotem na szyi, więc kamień księżycowy zwisa znów z jego piersi, świecąc jaśniej niż świeca.

– Wyglądasz na przytłoczoną – mówi, zadowolony z siebie.

– Tak wiele tutaj bodźców. – Mój wzrok opada na brukowany chodnik, ale nawet kamienie, z których go zbudowano, są tak przejrzyste, że mnie oślepiają. – Ale daję sobie radę, gdy skupiam się na jednym zmyśle.

Protekcjonalny ton znika.

– Potrafisz to zrobić? W jaki sposób?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Po prostu się koncentruję. Ale łatwo tę koncentrację stracić.

Gregor marszczy brwi.

– Porozmawiamy o tym później. Tymczasem pokażę ci inny sposób, by zapanować nad zmysłami. – Odwraca do góry nogami niewielką skórzaną sakiewkę, z której na jego dłoń wpada błyszczący czarny kamień. – Dzięki temu.

W przeciwieństwie do kamieni księżycowych, które połyskują ciepłym blaskiem, czy krwawego kamienia, od którego bije jakaś niewidzialna moc, ten kamień zdaje się przyciągać do siebie światło i energię niczym jakiś wyłom w powietrzu. Nie chcę go dotykać.

– Nazywamy go kamieniem próżni – wyjaśnia Gregor, przytrzymując kamień. – Absorbuje magię.

Podaje mi go, ale ja instynktownie się odsuwam.

– Nie robi ci krzywdy, jeśli go dotkniesz – nalega. – Zabierze od ciebie tylko to, co sama mu dasz.

Ostrożnie chwytam kamień.

– Dlaczego miałabym oddać swoją magię?

– Pomyśl o tym jak o oświetlaniu jedynie tego pokoju, z którego korzystasz. – Wskazuje dwie kobiety pracujące przy krośnie. – Tkaczki potrzebują ostrego zmysłu wzroku i dobrego wycucia podczas pracy, inne zmysły z kolei nie są tak pomocne, więc je wyciszają.

Obracam kamień między palcami, czując jego skośnie ścięte krawędzie, których z jakiegoś powodu nie dostrzegam. Choć bardziej niż cokolwiek przypomina mi szkło, jeszcze nigdy nie widziałam, by mogło być tak ciemne i nieprzejrzyste.

– Ale w tym przypadku – mówię – w domu palą się wszystkie świece, a ty gasisz te, które nie są ci potrzebne.

– Owszem. – Rozbawiony Gregor się uśmiecha. – Z tym że jedynie Hadriańczycy używają ognia jako światła.

Ignoruję jego pogardę.

– Czy możesz przenieść światło z jednego pokoju do innego, czy musisz zapalić je wszystkie, by zmienić zmysły, na których się skupiasz? – Mieszają mi się metafory, ale on mnie rozumie.

– Trzeba je zapalić. – Wskazuje palcem niebo. – Ale by to zrobić, wystarczy spojrzeć na księżyc. Twoje oczy są jak okna, które wpuszczają światło z powrotem.

W pośpiechu mija nas roześmiana para, trzymająca się za ręce; zatrzymuje się przy domu, by się pocałować. Rumienię się na widok kobiety, która otwiera drzwi i ciągnie za sobą do środka młodego mężczyznę. Gregor zawstydzona mnie jeszcze bardziej, gdy mówi:

– Wyobrażam sobie, że ta dwójka pozbyła się wszystkich zmysłów poza dotykem.

A gdybym mogła tak pocałować Simona? Staję twarzą do sadzawki, pewna, że nikomu nie jest potrzebna magia, by zobaczyć moje rozpalone policzki.

– Czy to nie mija, kiedy tylko znajdą się w cieniu?

Gregor stuka zawieszony na szyi kamień księżycowy.

– Dopóki masz przy sobie to, wszystko jest tak, jakby padało na ciebie światło księżyca. – Wkłada wisior z powrotem za koszulę. – I tak jak w przypadku blasku księżyca, by kamień zapewnił coś więcej niż światło, musisz go dotykać. Srebro przewodzi magię tak samo dobrze jak krew, więc większość Selińczyków nosi kamień w formie biżuterii.

To wyjaśnia, dlaczego Gregor tak dobrze widział w ciemnej uliczce. Czuję dreszcz na myśl o tym, że nigdy nie utonę w mroku.

– Czyli mając przy sobie kamień, zawsze ma się tak wyostrzone zmysły, jakby się znajdowało w świetle księżyca?

– Nie do końca, ale prawie. W dodatku moc kamienia z czasem słabnie.

Nagle wpada mi do głowy pytanie na temat kamienia, który trzymam w dłoni.

– Co się stanie, jeśli przytknę kamień księżycowy do kamienia próżni?

– To, czego można się spodziewać: cała magia z kamienia księżycowego zostanie natychmiast wyszana. Właśnie dlatego nosimy je w różnych miejscach. – Podciąga rękaw, a moim oczom ukazuje się kamień próżni wielkości paznokcia, osadzony w srebrnej bransoletce. – Niektórzy przysięgają, że zupełne opróżnienie kamienia księżycowego przed ponownym napełnieniem go sprawia, że działa dłużej.

– Eksperymentowałam – mówi Athene, która podchodzi do nas od tyłu. – Ale nie udało mi się dojść do konkretnych wniosków. – Kiwa do mnie głową. – Twoja przyjaciółka zasnęła.

– Dziękuję. Upewnię się, że dostaniecie zapłatę, tak jak obiecał architekt.

– To niepotrzebne. – Macha z lekceważeniem głową. – Mamy u niego dług za to, że przez ostatnie lata się tobą opiekował.

– Kamień księżycowy – mówi zniecierpliwiony Gregor.

Odwracam się do niego.

– Tak, mówiłeś, że można je ponownie napełnić magią. W jaki sposób? Kładąc je w blasku księżyca?

Przytakuje.

– Owszem, ale szybciej będzie, jeśli włożysz je do sadzawki.

– Chodzi o to, że woda zakrzywia światło tak, że kamień napełnia się z każdej strony – dodaje Athene. – Krwawe kamienie działają w zasadzie tak samo, chociaż znajdujące się na nich żelazne żyły w jakiś sposób trzymają magię w sobie. – Spogląda na Gregora z uniesionymi brwiami. – Zdała twoje testy?

Wuj kręci głową.

– Nie zaczęliśmy nawet próbować kontrolowania magii.

– Hm – odpowiada Athene. – Coś musi w niej być. Zwykle księżycowe świeżaki kryją się w cieniu, nim upłynie minuta. Niektórzy wymiotują.

– Twierdzi, że jest w stanie skupić się na pojedynczym zmyśle – mówi Gregor. – Co sugeruje, że nie jest tak silna, jak ci się zdaje.

Athene przewraca oczami.

– A może po prostu stosowanie magii jest dla niej czymś naturalnym. Starożytni używali kamieni próżni jako broni, a nie narzędzi, by się kontrolować. Poza tym nie mamy dzisiaj pełni.

– Widzisz tylko to, co chcesz w niej zobaczyć – mruczy pod nosem Gregor.

– A ty nie chcesz zobaczyć tego, co w niej jest, wuju – odpowiada bez mrugnięcia okiem. – Moich teorii jeszcze nikt nie obalił.

Męczy mnie to, że rozmawiają o mnie, jakby mnie tu nie było.

– Przepraszam, co to za teorie, o których ciągle mówicie?

Athene wskazuje dłonią plac.

– Może wolałabyś usiąść, gdy będziemy o tym rozmawiać?

Zgadzam się, obchodzimy więc otwartą przestrzeń i siadamy przy stoliku obok miejsca, z którego pachnie jak z piekarni. Tego typu miejsca często można znaleźć w bogatszych częściach Collis; tam gdzie ludzi stać na to, by spędzać dzień na picciu herbaty i jedzeniu ciast. Ta pora musi być dla Seleńczyków jak miłe popołudnie. Gregor idzie za nami, a jego twarz nie wyraża żadnych emocji. Gdy Athene prosi o trzy herbaty, osoba przyjmująca zamówienie szybko się oddala.

Nie mam potrzeby skupić się na niczym konkretnym, więc kakofonia zmysłów szybko przyprawia mnie o ból głowy, co wyznaję Athene.

– Użyj kamienia próżni – radzi. – Skup się na konkretnym zmyśle i wepchnij go w kamień za pomocą umysłu, aż to, co ci zostanie, będzie do wytrzymania.

Wydaje mi się, że najłatwiej będzie zacząć od węchu, zamykam więc oczy i kieruję umysł w stronę przyprawiającego o zawrót głowy bukietu zapachów – woń drewna klonowego, z którego zbudowano stół, kwiatowe mydło z ubrania Athene, dym z pobliskiego ogniska pod gotującą się kadzią farby – po czym wyobrażam sobie, że wszystkie te opary wpływają do trzymanego przeze mnie kamienia. I nagle przestaję cokolwiek czuć.

Otwieram oczy i wyznaję, że przesadziłam – zupełnie straciłam zmysł zapachu.

Athene kręci głową.

– Nie możesz zejść na niższy poziom niż zwyczajne hadriańskie zmysły. – Athene zrywa wąski liść z ozdobnej rośliny zasadzonej w doniczce na stole i przytyka mi ją do nosa.

Lawenda.

Patrzę na księżyc, by odświeżyć magię, i próbuję raz jeszcze. Włożenie wszystkiego w kamień to nic trudnego. O wiele bardziej skomplikowane jest pozbycie się jedynie ułamka zmysłów. Kilka kolejnych prób zajmuje mi dojście do czegoś, co można nazwać sukcesem. Później speszona tym, jak bacznie jestem obserwowana, kiepsko radzę sobie z pozostałymi zmysłami i pozostawiam je sobie wszystkie na różnych, ale znośnych poziomach, po czym upuszczam kamień na stół, ciesząc się, że już go nie dotykam.

Athene uśmiecha się szyderczo do Gregora, podczas gdy dostajemy zamówioną herbatę.

– Widzisz, z jaką łatwością jej to przychodzi?

Wycieram pot z górnej wargi i sięgam po filiżankę.

– No nie wiem. To kosztowało mnie więcej wysiłku, niż sugerowałaś.

– Trochę praktyki i będzie coraz łatwiej – zapewnia mnie.

Sączę herbatę, która wybucha na moim języku posmakiem pomarańczy i goździków. Wcześniej, nie mając nic w ustach, trudno mi było ocenić zmysł smaku.

– Dlaczego trzeba dotykać kamienia księżycowego lub stawać w blasku księżyca, skoro magia jest w waszej, w naszej, krwi?

Athene odkłada filiżankę.

– Prostymi słowy, nasza magia jest zamknięta. Światło księżyca lub kamień księżycowy dotykający twojej skóry łączy ją ze światem zewnętrznym. – Milknie. – To tak, jakbyś wlała do filiżanki gorącą wodę. Możesz sobie nią ogrzać dłonie, ale tylko wtedy, gdy jej dotkniesz.

– Chyba rozumiem. – Moje palce tańczą na krawędzi glinianej filiżanki; pozwalam, by ciepło wlało się w skórę, tak jak opisywała Athene. – A dlaczego to nie działa na słońcu?

– Zasadniczo słońce zmywa efekt księżyca – mówi Gregor, popijając swój napój. – Dlatego właśnie zaćmienie to dla nas najświętszy dzień. – Na filiżance są namalowane różowe kwiaty, co stanowi dość zabawny kontrast z jego szorstkim obyciem.

– Wyglądasz, jakby coś było nie tak – mówi Athene, gdy przez dłuższą chwilę się nie odzywam.

Krzywię się.

– Całe życie mówiono mi, że księżyc jest przeklęty. Mam wrażenie, że używając jego magii, robię coś... złego, zwłaszcza jeśli twierdzicie, że słońce zmywa tę magię. – Może i Marguerite powiedziałam coś zupełnie innego, ale trudno zignorować siedemnaście lat solozofii i kazań.

Athene chichocze.

– Czy poczujesz się lepiej, jeśli powiem ci, że blask księżyca to jedynie światło słońca odbijające się od tarczy księżyca?

Gregor powiedział coś podobnego Marguerite: że księżyc został obdarowany tym samym blaskiem co wszystko inne, ale postanowił się tym darem podzielić.

– Czy to znaczy, że magia tak naprawdę pochodzi od słońca? – pytam, a Athene przytakuje. – W takim razie dlaczego używacie odbicia, a nie prawdziwego źródła?

– Magia słońca jest zbyt intensywna – odpowiada Athene. – A jego blask przytłaczający. – Nachyla się. – Co się dzieje z jasnymi farbami, które zbyt długo pozostają na słońcu?

Zaczynam rozumieć, o co jej chodzi.

– Blakną.

Kiwa głową.

– A co się dzieje z ciastem lub mięsem pozostawionym na patelni za blisko ognia?

To akurat wiem z doświadczenia.

– Przypala się.

– Dokładnie tak. – Odchyła się na krześle. – Księżyc jest jak niewypolerowane lustro, odbija światło na tyle łagodnie, że można go bezpiecznie używać. – Wskazuje grube czarne linie wokół oczu. – Właśnie dlatego to robimy. Jesteśmy nadwrażliwi na światło, a kohl absorbuje część blasku słońca.

Teraz rozumiem, dlaczego słońce przyprawiało mnie o ból głowy i łzawienie oczu. Ale nawet mimo to nie jestem gotowa nosić kohl wokół oczu i wstawać wraz z księżycem, zamiast ze słońcem.

– Od jak dawna Selenicy potrafią używać magii?

– Nasi przodkowie wykorzystywali ją ponad dwa tysiące lat temu, by stworzyć imperium – odpowiada Athene. – Noc nie ograniczała seleńskich wojowników, dzięki czemu łatwo podbijali tych, którzy widzieli jedynie w dzień.

Milknie, a po chwili ironicznie się uśmiecha.

– Wtedy magia krwi nie była niczym rzadkim. Nasi historycy o tym nie wspominają, ale wyobrażam sobie, że musiała być bardzo użyteczna podczas przesłuchiwania więźniów. Przystępność w Imperium Seleńskim niemal nie istniała, bo żadnych występków nie dało się ukryć. Ludzie mogą kłamać, ale nie ich krew.

Gdy tym razem milknie, nie zabiera ponownie głosu, wpatruje się tylko w filiżankę.



– Co się stało? – pytam. – W jaki sposób imperium upadło?  
Tak przecież było.

– Magia zaczęła nas zawodzić – odpowiada cicho. – Magia krwi była rzadsza, a z magią księżycową radzono sobie coraz gorzej, jakbyśmy stali się mniejszymi naczyniami, a ona się z nas wylewała, przy okazji nas topiąc. – Spogląda na Gregora. – Nauczyliśmy się ją kontrolować poprzez kamienie próżni i inne metody. Próbując zabezpieczyć to, co jeszcze mieliśmy, poślubianie nie-Seleńczyków stało się podstawą do wykluczania ze społeczności. Jednak magia krwi nadal stawała się coraz rzadsza, nawet mimo że trzymaliśmy się z dala od Imperium Hadriańskiego, które zaczęło rosnąć, aż w końcu zajęło nasze miejsce.

Wuj krzyżuje ręce na piersi.

– Athene wierzy, że jeśli mieszalibyśmy się z Hadrianami, w jakiś sposób odblokowałibyśmy magię zawartą w naszej krwi.

To oczywiste, że on nie wierzy w ten pomysł.

– Czy mój ojciec się z tym zgadzał? – pytam.

Gregor parska.

– Twój ojciec zakochał się w ładnej buzi. Przypadkiem złożyło się, że należała do Hadrianki. Zostałby spustoszony, gdyby nie to, że medycy byli tak rzadcy i potrzebni.

Spustoszony? Co to za określenie?

To mi się nie podoba.

– W tej idei jest logika – nalega Athene. – Czyste metale rzadko są tak mocne jak stopy. Brąz robi się z miedzi i cyny, stal – z żelaza i węgla, a mosiądz – z miedzi i kadmu. Nawet złoto lepiej zachowuje kształt, gdy nie jest zupełnie czyste. Seleńczycy z kolei rdzewieją jak żelazo.

– A jeśli nie masz racji – sprzeciwia się Gregor – stracimy resztkę tego, co nam zostało.

Athene zaciska usta.

– Teraz nie mamy już nic do stracenia. Catrin jest dowodem, że mogę mieć rację. Nie tylko ma magię krwi, ale jest ona też silniejsza od mojej i prawdopodobnie od tej, którą posiadał jej ojciec. A to, że na własną rękę odkryła, używała i w jakimś stopniu opanowała magię księżycową, mówi samo za siebie.

Oblewam się rumieńcem.

– Przeceniasz mnie.

– Tak sądzisz? – Athene unosi brwi. – Gdzie po raz pierwszy usłyszałaś krew kobiety z uliczki? Kiedy cię wezwała?

– W sanktuarium – odpowiadam. – Słyszałam ją, ale... ona chyba wcale nie krzyknęła. Poderżnięto jej gardło.

Gregor się chmurzy.

– To niemożliwe.

Niepokoi mnie to, że tak myśli. Zaakceptowałam swoje umiejętności jako magię – to prawda – ale wyłącznie dlatego, że jest to coś, co potrafią wszyscy Seleńczycy. A teraz okazuje się, że potrafię o wiele więcej.

Athene unosi dłoń, by dać wujowi do zrozumienia, by milczał.

– Czy czułaś z nią łączność w jakikolwiek inny sposób? – pyta.

Waham się.

– Miałam sińce na brzuchu. Najpierw myślałam, że pochodzą od liny bezpieczeństwa, ale było ich siedem i pasowały do ran kłutych zadanych Perrete. Nikomu o tym nie mówiłam.

Nawet Athene wydaje się tym zaskoczona.

– Czy zdarzało ci się jeszcze kiedyś widzieć lub poczuć coś na odległość?

Moje palce drżą tak gwałtownie, że filiżanka na spodku zaczyna pobrękiwać, kładę więc ręce na kolanach.

– W noc, gdy zmarła trzecia dziewczyna. Przy pomniku.

– Co widziałaś, Cat? – Kuzynka nachyla się, by nakryć moje dłonie swoją.

Jest zdumiona, ale pełna współczucia.

Biorę głęboki wdech.

– Patrzyłam na zachodzący księżyc i nagle stałam się nią. Widziałam i czułam wszystko to co ona, gdy ją zabijał. – Krztuszę się, przypominając sobie jej przerażenie i wrażenie krwi spływającej po piersi, kiedy nie mogłam złapać oddechu. – Cz-czy to coś normalnego wśród Seleńczyków?

– Nie – odpowiada cicho. – Na pewno nie. – Zerka na Gregora, nadal trzymając mnie za rękę. – Czy słyszałaś kiedyś o czymś takim, wujku?

Przeczuwam, że zna jego odpowiedź.

– Istnieją legendy – mruczy pod nosem. – Tak stare jak samo imperium. Opisują królów i królowe, wojowników i wojowniczkę, którzy byli w stanie przejść po moście z blasku księżyca do umysłu innej osoby. Nikt nie wierzy, że to prawda. To tylko bajki.

– Najwyraźniej nie – odpowiada moja kuzynka.

Wstaje z krzesła, by mnie przytulić, gdy zaczynam szlochać.



## ROZDZIAŁ 46

Athene nie może być teraz wygodnie – przytula mnie, nachylona nad moim krzesłem, podczas gdy ja wypłakuję się w jej kamizelkę utkaną z księżycowej nici. Gregor obserwuje nas w milczeniu. W końcu odsuwam się, bo nie chcę, by mój ciekący nos pobrudził jej ubrania.

– Przepraszam – bełkoczę, wycierając twarz dłońmi i rękawem.

Athene siada z powrotem na krześle. Uśmiecha się.

– To nie pierwszy raz, gdy płakałaś mi w ramionach. Teraz jesteś po prostu trochę większa.

Rozglądam się, bo zdaję sobie sprawę, że naszą rozmowę słyszał co najmniej tuzin wpatrzonych w nas Seleńczyków. Może to jednak nie była rozmowa, którą powinniśmy odbyć w miejscu publicznym w oświetloną księżycem noc.

– Czy wszyscy w Kwaterze wiedzą, kim jestem? – pytam ściszym głosem, chociaż rozumiem, że moje wysiłki są bezcelowe.

– Wie większość ludzi powyżej dwudziestego roku życia – odpowiada Athene.

– Z uwagi na to, co się wydarzyło, gdy się urodziłam – mówię, na co przytakuje. Przygryzam wewnętrzną stronę policzka. – Czy wielu z nich pokłada we mnie te same nadzieje co ty?

Athene zerka na ludzi, którzy wcale nie kryją się z tym, że podsłuchują.

– Szczerze mówiąc, raczej nikt tu o tobie nie myślał. Seleńczycy nie zajmują się obcymi, którzy nie władają magią. – Wzdycha. – A jeśli chodzi o „nadzieje”, to liczyłam tylko na to, że masz w sobie wystarczająco dużo magii, by udowodnić, że czysta krew nie jest konieczna, by zachować w sobie moc. Nawet nie śniłam... – dodaje, wskazując na mnie dłonią. – Przewiduję jednak pewien problem – kontynuuje, chrząkając. – Być może wzbudzisz w naszych ludziach ogromne nadzieje, ale kto wie, czy twoje zdolności nie są jedyne w swoim rodzaju. Mieszanka cech, którą otrzymujemy po rodzicach, jest przypadkowa, dlatego rodzeństwo różni się wyglądem i zdolnościami. Moglibyśmy przez całe pokolenia bez skutku próbować „stworzyć” kolejną osobę z twoim darem. A nawet gdyby się nam to udało, ta osoba byłaby tak potężna, że nikt z nas nie wiedziałby, co z tym zrobić. – Milknie na kilka sekund, by rzucić znaczące spojrzenie naszemu wujowi. – Ale głęboko wierzę, że ty i inne osoby mieszanej krwi możecie uratować naszą magię przed wymarciem. A przynajmniej w to, że ty stanowisz dowód, że nie ma sensu zabraniać małżeństw mieszanych.

– Nie zgadzam się – grzmi Gregor. – Catrin jest dowodem na to, jakim zagrożeniem jest dla nas mieszanie się. Piętnastu Seleńczyków, w tym mój brat, zginęło z rąk rozwścieczonego tłumu. – Wskazuje pooraną bliznami twarz. – Mnie niemal zabito za to, że wyglądałam tak jak on. A to wszystko z powodu wstydu jakichś Hadriańczyków, którzy stracili córkę na rzecz heretyków.

Athene nie ma odpowiedzi na jego słowa. A ja myślę teraz jedynie o tym, że nie chcę być postrzegana jak jakiś symbol, a już na pewno nie jako osoba, która ma wszystkich ocalić. To, co posiadam, jest darem – a nie czymś, co osiągnęłam albo na co zasłużyłam. A co gorsza nie ma nikogo o podobnych lub potężniejszych umiejętnościach, do kogo mogłabym się udać po wskazówki.

Ale czy na pewno?

Mistrz Thomas ma wyjątkowo błyskotliwy umysł, o wiele bystrzejszy niż ktokolwiek, kogo do tej pory poznałam. Najbliżej niego jest Remi, chociaż nigdy mu tego nie powiem. Obaj mogliby wykorzystywać swoją inteligencję, by dominować nad ludźmi, ale

zamiast tego używają jej, by wychwalać słońce i inspirować tysiące wiernych poprzez piękno sanktuarium, poświęcając swoje serca i dusze – a w przypadku architekta również rodzinę.

Jest też Simon, który ma przerażający dar rozumienia tego, jak działają potwory, i który z łatwością sam mógłby poddać się szaleństwu. A jednak dąży do tego, by wykorzystywać swoje zdolności do pomocy innym, nawet jeśli jego samego wiele to kosztuje.

Gdzie moje dary są najbardziej potrzebne? Podejrzewam, że zarówno Gregor, jak i Athene powiedzieliby, że to miejsce jest tutaj, wśród ludzi, w których płynie moja krew, ale nie mieliby racji.

Odpycham się od stolika i wstaję.

– Muszę iść do domu.

Gregor podskakuje, kiwając głową.

– Tak. Możesz zostać ze mną...

– Nie tutaj – przerywam mu. – Ani nie z tobą, kuzynko – mówię do Athene, która również się podnosi. – Mam zamiar wrócić do domu architekta.

Ukośna blizna na policzku wuja rozciąga się, gdy jego usta otwierają się szeroko.

– Nie, Catrin, twoje miejsce jest tutaj. Z nami. Jesteśmy twoją rodziną.

Kręcę głową.

– Nie mogę tak po prostu zapomnieć o tym, kim byłam przed dzisiejszą nocą. Zmarli ludzie, o których się troszczyłam. Inni walczą ze złem, które pragnie zniszczyć kolejne życie. Jeśli moja magia może w tej walce pomóc, mam zamiar jej użyć.

– Chcesz zmarnować darowane ci przez księżyc moce na ludzi, którzy splunęliby ci w twarz, gdyby dowiedzieli się, kim jesteś? – grzmi Gregor. – Wysoki kapłan już nigdy nie pozwoliłby ci postawić stopy w tej cennej świątyni.

– Nie wszyscy są uprzedzeni i dobrze o tym wiesz. – Przechyliłam głowę w stronę opactwa Solis. – Poza tym to właśnie ci ludzie mnie wychowali i opiekowali się mną, podczas gdy ty porzuciłeś funkcję mojego opiekuna.

Gregor kładzie na stole pięść, a na jego skroni widzę pulsującą żyłę.

– Nie próbuj mi prawić morałów na tematy, o których nie masz pojęcia.

– Wiem wystarczająco dużo – warczę. – Wiem, że sprzedajesz skonię tym spośród nas, którzy są najbardziej nieszczęśliwi i przygnębieni. Zarabiasz na ich słabości i wmawiasz sobie, że na to zasługują. To nie jest siła, lecz okrucieństwo. Gdybyś posiadał jakąkolwiek realną władzę, byłbyś tyranem. – Nasze gniewne spojrzenia się spotykają. – Czy to jest prawdziwy powód, dla którego pragniesz mojego powrotu? Uważasz, że pomogę ci zemścić się za zło wyrządzone w przeszłości?

– Wynoś się z mojej Kwatery – warczy. – Zanim sam cię z niej wyrzucę.

– Już to zrobiłeś. Siedemnaście lat temu – odpowiadam. – I jeżeli o mnie chodzi, to było najlepsze, co kiedykolwiek dla mnie zrobiłeś. – Sięgam po kamień próżni, ale Gregor wytrąca mi go z dłoni.

– To nie należy do ciebie – parska, a kamień odbija się od brukowanego chodnika. – Niczego ze sobą nie zabierzesz. Nigdy cię tutaj nie było.

Nie mam zamiaru się z nim dłużej kłócić. Odwracam się i ruszam do domu Athene, gdzie zostawiłam pelerynę. Po części spodziewam się, że Gregor pójdzie za mną, by powstrzymać mnie przed pozostaniem tutaj dłużej niż to absolutnie konieczne, ale do tego nie dochodzi. Athene szybko mnie dogania.

– Wasze głosy podniosły się szybciej niż pełnia po równonocy – komentuje sucho.

– Nasz wuj jest hipokrytą – odpowiadam. – Porzuca mnie na lata, po czym zaprasza do siebie, gdy zaczyna myśleć, że posiadam magię, którą warto się zainteresować. A potem chce mi dyktować, jak mam wykorzystywać swój dar.

Docieramy do domu, Athene otwiera mi drzwi.

– Nie mówiłam, że nie masz racji.

Wchodzę do środka.

– Dziękuję.

– Ale nie mówiłam też, że ją masz.

Wchodzę do kuchni.

– Czyli ty również uważasz, że nie powinnam użyć swoich umiejętności, by powstrzymać mordercę i wydostać niewinnego

mężczyznę z więzienia?

– Powiem ci, co myślę, gdy przestaniesz wkładać mi w usta słowa, których nie wypowiedziałam. – Athene staje w drzwiach, krzyżując ręce na piersi.

Zdejmuję pelerynę z krzesła. Wełna ogrzała się ciepłem kominka.

– Słucham.

Athene unosi brodę.

– Gregor nie ma prawa oczekiwać od ciebie, że odwrócisz się od jedyne go świata, który znasz, i od ludzi, których kochasz, ale ty powinnaś dostrzec, że on próbuje naprawić coś, co widzi jako swój największy życiowy błąd.

– A było nim oddanie mnie czy próba sprowadzenia z powrotem?  
– pytam.

Athene przewraca oczami.

– Na mrok nocy, jesteś tak uparta jak on. – Kuzynka opuszcza ramiona i podchodzi do mnie, by poprawić mi pelerynę, gdy usiłuję ją zapiąć. – A jeśli chodzi o twoje dary, uważam, że masz prawo wybrać, co z nimi zrobić, potrzebujesz jednak przewodnictwa. Potrzebujesz nas. A my potrzebujemy ciebie.

Wzdycham.

– Może i tak. Ale pilniejsza jest dla mnie potrzeba zatrzymania mordercy i uwolnienia mistrza. – Athene jest ode mnie o kilka cali niższa, spuszcza więc na nią wzrok. – Są też inne sprawy, które muszę naprawić.

Na przykład sprawa Simona.

– W takim razie powinnaś to zrobić. – Poprawia wywrócony na zewnątrz kaptur peleryny. – Ale czy ci się to podoba, czy nie, jesteś mostem pomiędzy Hadriańczykami a Seleńczykami. Jeśli zniszczysz to połączenie, zniszczysz też siebie.

Być może jest już za późno.

– Czy Gregor naprawdę jest tak wściekły, że nie pozwoli mi tu wrócić?

Athene cofa się i wzrusza ramionami.

– Zraniłaś go, ale rodzina jest dla niego ważniejsza niż wszystko inne. Dlaczego przez tyle lat by cię obserwował?

– Bo obiecał to mojemu ojcu?

Kuzynka kręci głową.



– Bo ledwie godzinę po tym, jak cię zostawił w klasztorze, zaczął tego żałować. Ponad siedemnaście lat czekał na wymówkę, by cię tu sprowadzić, ale ani przeorysza, ani architekt mu takiej nie dali. Właśnie dlatego tak bardzo dotknęło go, gdy powiedziałaś, że najlepsze, co dla ciebie zrobił, było porzucenie cię.

Gdyby tego nie zrobił, nigdy nie zaprzyjaźniłabym się z Marguerite ani nie zaczęłabym pracy dla architekta.

– Nie jestem pewna, czy mogę to nazwać błędem.

– I przyznanie tego boli go jeszcze bardziej.

Muszę iść, zanim Gregor przyjdzie się upewnić, że odeszłam. Chcę pożegnać się z Marguerite, więc przechodzę przez kuchnię do izby chorych, ale moja przyjaciółka śpi. Athene sugeruje, że lepiej jej nie budzić, więc ściskam tylko jej dłoń i całuję w nos. Potem kuzynka wyprowadza mnie na ulicę. Księżyc już zniknął, a ja nie jestem pewna, czy samej udałoby mi się odnaleźć drogę w ciemności.

Gdy docieramy do porośniętej winoroślą uliczki wychodzącej na drogę oddzielającą Kwaterę od opactwa Solis, Athene obejmuje mnie przelotnie, obiecując, że przyśle do mnie kogoś, jeśli stan Marguerite się zmieni. Potem wkłada mi coś w dłoń – skórzaną sakiewkę z kamieniem próżni.

– Gregor powiedział, że nie mogę go wziąć – sprzeciwiam się, choć moje serce bije szybciej na myśl, że mogłabym używać go do ćwiczeń.

– Pożyczył go ode mnie, więc to nie jego sprawa, co z nim zrobię.

– Athene kiwa głową w kierunku niewielkiego woreczka. – Jest tam też kamień księżycowy, choć jego moc już się prawie wyczerpała. Pamiętaj, by trzymać je oddzielnie.

Nagle przypomina mi się coś, co mówiła wcześniej.

– Powiedziałaś, że kamienie próżni były kiedyś używane jako broń. W jaki sposób? Wykorzystywano to, że są ostre?

Athene kręci głową.

– Kamień próżni zaabsorbuje całą magię, którą wciśniesz w niego przez skórę. – Milknie, jakby to, co chciała teraz powiedzieć, było straszne. – Ale jeśli kamień dotknie twojej krwi, odbierze ci magię. Całą. Natychmiast.

Przechodzi mnie dreszcz, gdy wyobrażam sobie, jakie to musi być uczucie.

– Na zawsze?

– Całe szczęście nie. Można ją odzyskać, jeśli wystawi się krew na blask księżyca, tak jak za pierwszym razem, ale to jest... jak śmierć. – Athene się wzdryga. – W czasach Imperium Seleńskiego z kamienia próżni tworzono cienkie groty i ostrza, które rozpadały się w ranie na małe kawałki, zupełnie pozbawiając ofiarę magii. Ci, których to nie zabiło, szybko zaczęli tego żałować.

– Spustoszenie – szepczę, rozumiejąc już termin, którego wcześniej użył Gregor. – Czy to dzieje się z Seleńczykami, którzy zostają wygnani?

Kiwa głową.

– Kilka kawałków zostaje włożonych pod skórę, by już nigdy nie mogli używać magii. Wielu z nich traci bez niej zmysły.

– Czy Gregor będzie próbował mi to zrobić?

– On temu właśnie próbuje zapobiec – odpowiada Athene. – Zgodnie z naszymi zasadami powinno do tego dojść w momencie, gdy zostawił cię u przeoryszy, na wypadek gdybyś była w stanie posługiwać się magią. Przekonał jednak naszą starszyznę, że nie masz tego daru. Jeśli Hadriańczycy dowiedzą się, skąd pochodzisz, będziesz musiała wybrać, czy chcesz przynależeć do nas, czy do nich.

– A jeśli odmówię podjęcia tej decyzji?

– Zostanie ona podjęta za ciebie.

Teraz rozumiem, dlaczego matka Agnes nie miała żadnych pisemnych akt na temat mojego pochodzenia. Podobnie jak mistrz Thomas. Może i architekt mówił prawdę o tym, że zatajając swoją obecność w Kwaterze w noc morderstwa, chronił Remiego i panią la Fontaine, ale chronił również mnie.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

– Dziękuję. Za wszystko.

– Niech księżyc ci towarzyszy, Catrin. – Gdy Athene wkracza ponownie w cień, widzę jej połyskujące srebrne oczy. – Do następnego spotkania.

Kiedy jej sylwetka zupełnie zanika w ciemnej uliczce, odwracam się do stojącego na wzgórzu sanktuarium, jaśniejącego widmową bielą nawet w samym blasku gwiazd. Stoję tak przez dłuższą chwilę, na tej ziemi niczyjej pomiędzy ludźmi słońca i ludźmi księżyca.

Następnie przechodzę granicę i idę do domu.



## ROZDZIAŁ 47



Następnego ranka nad Collis nadciąga ławica zimnych deszczowych chmur, okrywając wieże sanktuarium nisko zawieszoną mgłą. Zmuszam się do wstania z łóżka dwie godziny po wyjściu Remiego. Moje ubrania do wspinaczki są nadal wilgotne po praniu, wkładam więc spódnicę i wciskam sakwę z dwoma kamieniami do wewnętrznej kieszeni, w której trzymam klucz do tylnego wejścia. Chociaż w ciągu dnia nie będę miała okazji ich użyć, ich obecność w jakiś sposób mnie pociesza.

Gdy dołączam do Remiego na budowie, jest zbyt zajęty, by narzekać na moje spóźnienie. Deszcz daje mu idealną wymówkę, by przenieść prace do środka i zacząć podnosić na platformę żebra, które umieści w suficie. Rozważam skarcenie go, że robi dokładnie to, czego zakazał mistrz, ale niewiele postępów można zrobić na zewnątrz podczas ulewy.

Ja mimo wszystko postanawiam pracować na świeżym powietrzu, biorąc pod uwagę, że to pierwszy raz, gdy na poważnie zostanie przetestowany nowy system odwadniający. Poza tym wolę być tam, gdzie nie ma Remiego. Chociaż mam na sobie starą wodoodporną kurtkę mistrza, w południe jestem już przemoczona do cna. Nagle słyszę z parteru wzywający mnie głos. Gdy patrzę w dół, zauważam

machającego do mnie Lamberta Montcuira. Mam na sobie długą spódnicę, więc przechodzę krawędzią dachu do południowej wieży transeptu, skąd schodzę po schodach, zamiast zejść po rusztowaniu. Lambert czeka cierpliwie tuż za wejściem.

Jego policzki rumienią się od czegoś więcej niż chłodnego dnia. Na końcu języka mam pytanie o mistrza lub o to, czy wbrew wszelkim oczekiwaniom być może posłał po mnie Simon, ale to syn hrabiego, więc to on wybiera temat rozmowy.

– Dzień dobry, Catrin – zaczyna. – Czy pojawił się jakiś problem, który wymaga, byś pracowała dziś na zewnątrz?

Gdy kręcę głową, z natłuszczonej szmatki, którą zawiązałam na włosach, wystrzeliwiają krople deszczu. Nie wiem, po co w ogóle jej używam. Wilgoć w powietrzu sprawia, że moje włosy sterczą na wszystkie strony. Jeśli pozwolę, by się zamoczyły, będą tak ciężkie, że zaczną zwisać w strąkach, ale przynajmniej nie będę wyglądać jak dzika jeżyna.

– Upewniam się tylko, że nie ma żadnych przecieków i że cały deszcz spływa w dobrym kierunku, mój panie – mówię.

Lambert marszczy brwi.

– Wczoraj nalegałaś, bym nazywał cię Catrin. Miałem nadzieję, że zaprzyjaźniliśmy się na tyle, byś i ty mówiła do mnie po prostu Lambert.

Nie jestem pewna, jak zareagować. Jest ogromna różnica pomiędzy porzuceniem konwenansów przez dwoje ludzi o niskim pochodzeniu, takich jak ja i Simon, a nieużywaniem czyjegoś tytułu szlacheckiego. Remi zwraca się do Oudina na ty, bo się z nim przyjaźni, ale w przypadku kobiet i mężczyzn jedynie rodzeństwo i pary, które są zaręczone lub po ślubie, są na tyle bliskie, by tak do siebie mówić. Nie jestem ani nie chcę być kimś takim dla Lamberta – ale dochodzę do wniosku, że po wczorajszej wizycie w więzieniu łączy nas pewien sekret, zresztą tak samo jak Oudina. Sama myśl o nim sprawia, że na mojej twarzy wykwita grymas.

Lambert źle interpretuje moją minę.

– Chociaż to wcale niepotrzebne – dodaje w pośpiechu.

– Ależ nie! – mówię. – Myślałam o kimś innym.

– Masz na myśli Simona? – Przemoczone pióro u jego aksamitnej czapki opada tuż obok twarzy, co sprawia, że wygląda na

niepocieszonego.

– Nie, nie – zapewniam go. Ale nie chcę też, by sądził, że za dużo myślę o Oudinie. – Myślałam o Remim. To znaczy o Remonie, asystencie architekta. Pokłóciliśmy się o to. To wszystko.

Oczywiście wtedy chodziło o to, jak odzywam się do Simona, a nie Lamberta.

– Remone la Fontaine. – Głos Lamberta nie wyraża żadnych uczuć. – Znasz go od wielu lat.

Remi jest ostatnią osobą, o którą powinien być zazdrosny.

– Tak. Jest dla mnie jak brat – mówię. – Starszy irytujący brat, którego twarz ma się ochotę wsadzić do miski z owsianką.

Lambert się uśmiecha, a ja się odprężam.

– Nie chcę cię na długo zatrzymywać, wiem, że pracujesz – mówi.

Odgarniam z czoła przemoczoną spiralę włosów.

– I tak pora na południową przerwę. – Celowo nie używam jego imienia. – Miałam właśnie pójść do domu coś zjeść. Czy zechciałbyś mi towarzyszyć?

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności – odpowiada i podaje mi ramię.

Chwytam go pod rękę i wychodzimy. Całe szczęście deszcz przestał padać na kilka minut, ale Lambert i tak jest o wiele bardziej suchy niż ja.

Chrząka.

– Nie pomyśl, że chcę cię tym urazić, Catrin, ale wyglądasz, jakbyś się nie wyspała.

– Bo to prawda – odpowiadam. – Tak bardzo martwię się o mistrza, ale Simon nie chce mi nic powiedzieć, w dodatku praca tutaj nie może się zatrzymać. W pewien sposób ręce pełne roboty pomagają mi się z tym uporać, ale z drugiej strony trudno mi się skupić.

Lambert przystaje.

– Simonowi udało się opóźnić rozprawę – mówi. – Architektowi nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

– Tak, ale to nie jest młody człowiek – odpowiadam. – Jego cela jest zimna i wilgotna, a ja nie sądzę, by dobrze go tam karmili.

Lambert zawija wokół palca jeden z kosmyków, które uciekły mi spod nakrycia głowy.

– Nie chcę nawet myśleć, jaki niesiesz ciężar i nie możesz się nim z nikim podzielić.

Patrzy na mnie w sposób, którego nie można pomylić z niczym innym. Na światło dnia, to moja wina. Wczoraj zwiślałam z jego ramienia, płakałam i całowałam go w policzek, by dostać to, czego chciałam. Przekroczyłam granicę, przez co on teraz myśli, że czuję do niego więcej niż w rzeczywistości.

Lambert nachyla się i przybliża swoją głowę do mojej. Nie mam żadnych wątpliwości, że za moment spróbuje mnie pocałować – i to w miejscu publicznym. Wszyscy po tej stronie sanktuarium mają na nas doskonały widok. Remi może nas obserwować.

Cofam się szybko, wyrywając pukiel z jego dłoni i próbując wymyślić, co mogę mu powiedzieć. Cokolwiek, co zakończy tę chwilę i go nie zrani.

– Słyszałeś to? – pytam.

Otwiera szeroko oczy i ogląda się na sanktuarium. Ku mojemu zdziwieniu coś się dzieje na dachu. Robotnicy biegają i krzyczą w miejscu, przez które przechodziłam ledwie kilka minut temu. Gdy na to patrzymy, cała konstrukcja wydaje z siebie pomruk i zaczyna drżeć. Lambert jest osłupiały.

– Co się tam dzieje?

Przytłumione trzaski i huki zostają nagle zagłuszone odgłosem roztrzaskiwanych okien. Gdy hałasujące szkło zmienia się w serię niemal melodyjnego brzęczenia, odgłos łamiącego się drewna staje się coraz głośniejszy. Przez otwory widzę, co znajduje się w środku – coś, a raczej ktoś spada z najwyższego rusztowania, słyszę łoskot przedmiotów uderzających o marmurową podłogę.

Na światło nieba, Remi, coś ty narobił?

Natychmiast biegnę w stronę świątyni. Ciężka, mokra spódnica klei mi się do kolan, Lambert pędzi za mną, a ostatnie trzaski wybrzmiewają wzdłuż podmiejskiej równiny.



## ROZDZIAŁ 48

Ekipa ratunkowa jest już w drodze, gdy docieram do świątyni. Robotnicy i przechodnie przekopują się przez gruzy, poszukując ocalałych, wołając przyjaciół i rodzinę. Ciężkie kamienne bloki leżą tam, gdzie wylądowały. Część marmurowej podłogi została roztrzaskana, a z miejsc, w które coś uderzyło, wychodzą rysy, przypominające prześmiewczą imitację słonecznych wzorów, które rok wcześniej tak ostrożnie wyryto. Drewniane belki pozyskane ze starożytnych lasów leżą na ziemi, połamane niczym zapałki. Odłamki kolorowego szkła zaśmiecają ziemię w środku budowli i na zewnątrz. W dodatku przez okna i dziury w dachu cały czas leje się deszcz, tworząc rzeki płynące pomiędzy gruzami.

Wysoki kapłan i asystujący mu księża oraz zakonnicy nie zatrzymują się nawet na modlitwy. Śpiewają wieczorną liturgię z pamięci podczas pracy, dając ludziom zniewalające poczucie nadziei i piękna pośród zniszczenia. Gdy kończą, nikt ze zgromadzonych nie zachowuje suchych oczu.

Mogło być o wiele gorzej. Z powodu deszczu pracowało dziś mniej osób, sufit zapadał się na tyle wolno, że większości udało się uciec. Ale nie wszystkim.

Przynajmniej trzy nazwiska zostaną dziś dodane do listy wiszącej na ścianie. Dwóch ludzi być może już nigdy nie będzie chodzić. Tuzin innych będzie potrzebowało wielu miesięcy, by wyzdrowieć.

Lambert jest tuż obok mnie; gorączkowo przekopuje gruz, a jego ręce są pokryte długimi zadrapaniami od podnoszenia roztrzaskanych kawałków drewna. W którymś momencie szmatka, którą zakryłam włosy, zostaje użyta, by zabandażować czyjąś ranę. Jest tu też Oudin. Pracuje tak ciężko jak wszyscy, znajduje pierwsze z trzech ciał. Nie ośmielam się dotknąć żadnego ze zmarłych. Ich ostatnie myśli nawiedzałyby mnie w koszmarach.



Gdy zapada noc, wszyscy powoli opuszczają sanktuarium, wielu ludzi idzie opłakiwać zmarłych. Nikt nie ma siły, by zacząć sprzątanie gruzów ani zakryć okien pozbawionych kolorowych, misternych wzorów. Bracia Montcuir wychodzą jako ostatni. Oudin wykrzywia twarz w grymasie, gdy Lambert ze współczuciem ściska moją dłoń. Potem obaj się oddalają.

Znajduję Remiego pomiędzy gruzami, siedzącego na pozostałościach ogromnego koła, którego używano, by wnosić ciężkie ładunki na platformę sześćdziesiąt metrów nad ziemią. Jego skóra jest pokryta pyłem z wapienia i marmuru, przez co wygląda jak rzeźba, która powinna stać wysoko na zewnątrz i patrzeć na miasto spode łba.

Jego poczucie winy musi być nie do zniesienia. Chcę na niego krzyknąć, że zrobił dokładnie to, czego zabronił mistrz, ale co to da? Zamiast tego przedzieram się przez rumowisko, dopóki Remi nie znajdzie się na wyciągnięcie ręki.

– Remi? – szepczę. – Chodźmy do domu.

Odwraca się do mnie, a jego twarz wykrzywia gniew.

– Masz tupet, że chcesz ze mną teraz rozmawiać.

Zrzucenie na niego winy to ostatnie, czego teraz potrzebuje.

– Dziś już więcej nie zrobimy. Jestem pewna, że matka się o ciebie martwi.

Gramoli się w dół po zniszczonym kole i staje ze mną twarzą w twarz.



– Po co tutaj przyszłaś, Cat?

– Bo mi na tobie zależy – mówię. – A nie po to, by się chełpić. Nawet mistrzowie architektki popełniają błędy. Trzeba się tylko na nich uczyć.

Jego zielone oczy otwierają się szeroko.

– To moja wina?

Jeśli wydaje mu się, że zrzuci to na mnie, tak samo jak uwięzienie mistrza Thomasa, lepiej niech się zastanowi. Wskazuję palcem kamienie, które miały stanowić zebra sklepienia, reprezentujące miesiące precyzyjnego cięcia i kształtowania. Teraz leżą na podłodze popękane, połamane i nienadające się do użytku.

– Tego właśnie zabronił ci robić mistrz. – Następnie unoszę rękę, by wskazać zniszczone pozostałości podpór. – A to powód, dlaczego to zrobił!

Remi wykręca mi rękę w nadgarstku, wyraz jego twarzy jest zupełnie zimny.

– Muszę ci coś pokazać.

Ciągnie mnie do bocznych drzwi, a ja potykam się na gruzie. Zamiast wyjść na zewnątrz, tak jak się spodziewałam, wciąga mnie na schody prowadzące do południowej wieży. Znam te schody tak dobrze, że jestem w stanie iść po nich z zamkniętymi oczami, mimo to bez przerwy uderzam się w palce, gdy Remi ciągnie mnie bezlitośnie w górę. Gdy docieramy na dach, prowadzi mnie na wschodnią krawędź. Zachodzące słońce przedziera się za nami przez horyzont, malując chmury na kolory lśniącego pomarańcza, różu i fioletu. Widok byłby piękny, gdyby nie leżące pod nami gruzy.

– Co widzisz, Cat? – warczy.

Uścisk na moim ramieniu jest niczym żelazne pęto, a jego druga dłoń wskazuje zewnętrzną ścianę.

– Łęki oporowe – odparowuję. – Ich zadaniem jest utrzymywanie ciężaru sufitu i przekazywanie go na zewnątrz i w dół, do ziemi. – Może i nie mam ogromnej wiedzy Remiego w zakresie budowania tego typu rzeczy, ale rozumiem ich działanie.

– Dobrze – odpowiada ze złością. – A teraz powiedz mi, w którym miejscu zawiodły.

Otwieram usta, by odpowiedzieć, ale zdaję sobie sprawę, że zarówno kolumny, jak i kamienne łuki są zupełnie proste

i nieuszkodzone, tak samo jak sama ściana. To niemożliwe.

– Zanim zapytasz, z drugiej strony jest tak samo – dodaje. – Wszystkie łąki ustawiono tak, by uniosły ciężar, to nigdy nie była kwestia dyskusyjna. – Puszczaj mój nadgarstek, a ja odwracam się do niego.

Moje usta poruszają się w niemej konsternacji. Jego spojrzenie jest przepełnione bólem.

– Naprawdę myślałaś, że zrobiłbym coś tak niebezpiecznego?

– Ale w takim razie co...

– Sprawilo, że doszło do zawalenia? – Przerywa mi. – Podnosiliśmy żebra sklepienia na platformę, układając je tak, byśmy jutro mogli je złożyć. Na kole był ostatni ładunek, gdy nagle wszystko zaczęło się rozpadać. Nawet centralne belki zapewniające wsparcie od góry nie dały rady go utrzymać. Nie wyobrażam sobie, jak bardzo one są uszkodzone.

Dopóki nie zobaczyłam łąków oporowych, założyłam, że działania Remiego sprawiły, że zbyt szybko zostały przeładowane, przez co ściany zawaliły się do zewnątrz. One jednak pozostały nienaruszone, a Remi nie zaczął jeszcze nawet pracy nad łukami, które by je nadwerężyły. Kręcę głową.

– Ale przecież platforma powinna była wytrzymać ciężar, który opisujesz.

Krzyżuje ręce na piersi.

– I o to chodzi. Zawiodły wewnętrzne rusztowania. – Pozwala, by wybrzmiała między nami długa cisza, po czym zmusza mnie, by dotarło do mnie to, co ma na myśli: – Czym zadaniem jest inspekcja rusztowania, Cat?

Chociaż przez cały dzień prawie nic nie jadłam, mam wrażenie, że zaraz wymiotuję.

– Moim – szepczę.

– Kto podpisał swoim nazwiskiem ostatni szkic schematyczny i potwierdził, że wszystko jest bezpieczne?

– Ja.

– Kto powiedział nam, że tak się już napracowałam, że pół dnia może spędzić na Drodze Rozkoszy w pogoni za duchami? Kto przez ostatnie dwa dni flirtował z synem burmistrza?

Na to oskarżenie nie mam zamiaru przyzwolić.

– Byłam odwiedzić naszego mistrza, który marnieje w więzieniu!  
– A ja w tym czasie starałam się utrzymać w całości dzieło jego życia, bez żadnej pomocy z twojej strony! – ryczy.

– Ludzie umierają, Remi! – krzyczę. – Ludzie, na których mi zależy! Muszę coś zrobić, by to zatrzymać!

Dociera do mnie to, co powiedziałam. Zakrywam usta dłońmi, ale jest już za późno.

Remi unosi brwi.

– Masz rację, ludzie umierają.

Czuję narastającą w piersi udrękę, którą z trudem w sobie wstrzymuję.

Remi nachyla się, by nasze oczy znalazły się naprzeciwko siebie, i wkręca mi w brzuch nóż poczucia winy.

– A skoro mówimy o ludziach, na których ci zależy, to chyba jasne, że morderca wybrał ich właśnie z twojego powodu. I zrobił we wszystko mistrza.

Uginają się pode mną kolana, a ja padam na przemoczoną spódnicę.

– Remi, proszę! – Szlocham w dłonie, podczas gdy on nade mną stoi. – Musisz wiedzieć, że nie chciałam, by to się stało. Myślałam tylko o tym, by chronić mistrza Thomasa!

Bronił mnie zaledwie dwie noce temu, ale nie teraz.

– Zupa i przeprosiny na nic mu się nie zdadzą, Cat – mówi zimnym tonem. – Jemu potrzebne jest, żebyś była tutaj i robiła to, do czego zostałeś zatrudniona. – Krztusi się. – Ja też cię potrzebowałam.

Nie mam dla niego odpowiedzi, a on na żadną nie czeka. Odwraca się i rusza z powrotem w stronę schodów, znikając z pola widzenia dokładnie w tej samej chwili co słońce.



Nie ruszam się z miejsca długo po wyjściu Remiego. Znow zaczyna się ulewa. Deszcz pada na mnie przez otwarte łuki, ale ja się nie poruszam.

Dzwony w wieży przy fasadzie wzywają braci na liturgię o północy, a niedługo potem ich niepokojące śpiewy dochodzą do mnie przez

rozbite okna. Gdy głosy w końcu zamierają, kapłan prowadzi zakonników z powrotem do łóżek. Słyszę dwie pary stóp przechodzące przez świątynię, sandały chrzęszczące na rumowisku. Drzwi zostają zamknięte na noc, a braciszkwowie, którzy je zamknęli, również odchodzą.

Nareszcie jestem zupełnie sama, tak jak być powinno. Nawet księżyc odmawia mi towarzystwa, skryty za gęstymi chmurami.

Jak mogłam do tego dopuścić? Przez ostatnie kilka godzin w myślach wspinałam się po każdym skrawku zawalonego rusztowania, próbując znaleźć miejsce, którego nie dopilnowałam. Pracowałam w pośpiechu, owszem, ale znajdowałam miejsca, w których trzeba było coś naprawić. W dwóch usterki były na tyle poważne, że nie podpisałam szkicu Remiego, dopóki ich nie naprawiono. Działalam szybko, ale dokładnie. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Muszę zrozumieć, na czym polegał mój błąd. Stawy i mięśnie krzyczą, gdy staję na nogi. Kręci mi się w głowie, tak że niemal znów padam na ziemię. Kiedy ostatni raz coś jadłam? Podczas poszukiwań podawaliśmy sobie bułki i szklanki wody, ale ja ledwie wcisnęłam w siebie kawałek pieczywa. Poza tym rano wmusiłam pół miski owsianki, a wczoraj nie zjadłam prawie nic. To cud, że w ogóle stoję.

Nie mam jednak zamiaru stąd odejść, dopóki nie dostanę odpowiedzi. Księżyc kryje się za chmurami, więc ledwo widzę, ale mam w kieszeni kamień księżycowy. Wyciągam sakiewkę, a gdy ją otwieram, okazuje się, że kamienie znajdują się w oddzielających je przegródkach. Ostrożnie wyciągam ten o bladym połysku – to on jest mi potrzebny. Jednak moje zmysły prawie się nie wyostają. Athene ostrzegła, że jego moc już niemal się wyczerpała.

Mimo wszystko widzę trochę lepiej. Utykając, idę przez wieżę i schodzę po spiralnych schodach, którymi Remi zaciągnął mnie na górę wiele godzin temu. Widzę na tyle kiepsko, że przechodząc obok ołtarza, postanawiam pożyczyć sobie palący się przy nim kandelabr. Słońce nie będzie mi go żałować, a kapłan nie musi się o niczym dowiedzieć. Nawet z dodatkowym światłem nie widzę, w jaki sposób uszkodzone jest rusztowanie na górze, zaczynam więc inspekcję dołu.

Według Remiego w centrum wydarzeń było drewniane koło, jemu więc przyglądam się jako pierwszemu, wyobrażając sobie, jak zostało przyczepione do znajdującej się w górze belki. Kilka grubych podpór przymocowanych do samego dachu leży porzrzucanych dookoła. To jeden z powodów, dla których Remi tak bardzo boi się jutra. Podpory spadły niemal sto stóp w dół, a siła uderzenia spowodowała pęknięcia na ich długości, co oznacza, że nie mogą zostać wykorzystane ponownie. Sprowadzono je z lasów rosnących setki mil stąd, więc przywiezienie nowych będzie zarówno drogie, jak i czasochłonne. Miejsca pozbawione smoły podpowiadają mi, gdzie belki były do siebie przytwierdzone. Te miejsca są równe, jakby zostały ucięte. Jednak w niektórych kawałkach, tak jak się spodziewałam, drewno się roztrzaskało. Trudno mi ocenić, zwłaszcza w ciemności, jak powinien wyglądać rezultat rozerwania czegoś tak wielkiego, ale czuję, że coś jest nie tak. Zbyt wiele rzeczy naraz musiałyby zawieść, by szkody były tak wielkie.

Jednak te części spadły jako ostatnie. Słaby punkt decydujący o wypadku musiał znajdować się w rusztowaniu rozciągającym się po ścianie i idącym do wewnątrz, jednak nic nie leży w miejscu, które podpowiedziałyby mi, skąd pochodzi. Kamienie i drewno odrzucono na bok w trakcie poszukiwań ocalałych. Muszę się przyjrzeć kawałkom, które nadal są do siebie przytwierdzone, by znaleźć wskazówki na temat tego, skąd spadły. Kilka słupów i belek rozdarło się zupełnie lub częściowo, ale nie umiem stwierdzić, czy te szczeliny istniały już przed zawaleniem, czy powstały w jego trakcie lub podczas lądowania.

Po ponad godzinie nie udaje mi się znaleźć niczego, co wyjaśniałoby to, co się stało.

Ściskając kamień księżycowy, upadam na kolana obok sterty gruzu i patrzę na czarny przepastny dach, pozwalając łzom spłynąć we włosy. Jak mistrz architekt dałby radę pracować dalej po takiej porażce? Mam ochotę wspiąć się na najwyższy punkt świątyni i spaść na dół. Stosowny koniec. Taki, na jaki zasługuję.

Nie. Zamykam oczy i kładę dłonie na kolanach. To zabiłoby mistrza Thomasa. Nie mogę go zawieść. Jeśli on jest w stanie znieść ciężar swoich dawnych błędów, ja też dam radę.

Wstanę i wyjdę stąd tak, jak wczoraj rano wyszłam z więzienia. Tego właśnie by chciał.

Drżąc z przemęczenia i głodu, wkładam kamień księżycowy do sakwy i zmuszam się, by wstać, po czym schylam się po kandelabr, którego świece już niemal się wypaliły. Moją uwagę zwraca coś wystającego spod sterty gruzu. Wygląda jak pokryta smołą lina... albo włosy. Podbiegam do przodu i odrzucam kilka kamieni, myśląc, że znalazłam kolejnego człowieka, ale szybko okazuje się, że to zupełnie coś innego. Wokół kawałka drewna kilkukrotnie zawinięty jest długi warkocz, jakby ktoś go do niego przywiązał.

Lewą ręką przytrzymuję kandelabr nad głową, a prawą odwijam warkocz i już po chwili trzymam w niej długie na trzy stopy gładkie czarne włosy.

Włosy Marguerite.

Wiadomość. Zostawił mi ją tutaj.

Nie wiem, jak mu się to udało, ale całe to zniszczenie nie jest moim dziełem.

On to zrobił.



## ROZDZIAŁ 49

Simon. Muszę to powiedzieć Simonowi.

Niełatwo się jednak wydostać z sanktuarium. Wszystkie drzwi są zamknięte, więc albo muszę wyjść przez okno po drugiej stronie świątyni, albo przez wieżę na dach, z którego zeszłam, po czym zejść w dół po rusztowaniu. Nadal mam na sobie roboczą spódnicę, która jest tak obszerna, że wyjście każdą drogą będzie niezdarne, zwłaszcza w ciemności. Rozbite okna na poziomie galerii są niskie i szerokie. Wyglądają na dobrą opcję, chociaż będę musiała być ostrożna.

Odkładam świece na ołtarz i wpycham długi warkocz pomiędzy warstwy ubrań, by uwolnić dłonie. Następnie biegnę do schodów, z których wcześniej zeszłam. Jednak samo dojście do galerii przyprawia mnie o zawrót głowy, zatrzymuję się więc na półpiętrze, by przestało mi się w niej kręcić. Gdy oddech powraca do normy, słyszę odgłos szkła spadającego na podłogę.

Czyżby Remi po mnie wrócił? Wychodzę na galerię, gdzie przez rozbite okna wlewa się mętne światło. W połowie przejścia widzę ciemny kształt wślizgujący się do środka i z chrzęstem szkła lądujący na podłodze.

– To ty, Remi?! – wołam.

Postać jest zaskoczona. Odwraca się do mnie bez słowa. Z peleryny osłaniającej ją od głowy do kolan cieknie woda.

Wtedy dociera do mnie, kto to taki.

Simon zawsze powtarza, że zabójca powróci tam, gdzie popełnił zbrodnię. Na jego polecenia Lambert kilkakrotnie wypytywał strażników o mężczyzn, którzy pojawiali się w tych miejscach. Tylko ja wiem, że sanktuarium jest teraz jednym z nich.

Muszę się stąd wydostać. Odnalazłabym się tutaj z zamkniętymi oczami, ale dookoła jest zbyt wiele miejsc, w które można dać się zapędzić bez drogi ucieczki.

Cień porusza się odrobinę, a metal syczy, jakby ktoś przeciągał go po skórze. Odgłos wysuwanego noża. Postać robi krok w moją stronę, a ostrze sztyletu wyłania się spod peleryny.

Tuż obok mnie jest okno, ale nie takie, przez które zdecydowałabym się wyjść. Z ramy wystają dziesiątki odłamków szkła zwróconych do wewnątrz niczym kły. Nie widzę, co jest na zewnątrz, ale jeśli nie ma tam rusztowania, to czeka mnie spadek kilka stóp na dach arkady. Zabójca robi kolejny, szybszy krok, a ja nie mam wyjścia. Przeskakuję sięgającą mi do kolan barierkę i rzucam się przez ciemny otwór, osłaniając twarz rękami i modląc się, bym miała na czym wylądować. Ostre krawędzie zaczepiają o włosy i przedzierają materiał spódnicy. Dzięki światłu jest tutaj rusztowanie, ale o kilka centymetrów wyższe niż dolny brzeg okna, przez co zahaczam o niego palcem i wpadam twarzą na platformę z wplecionej trzciny. Ledwie mam czas, by zdać sobie sprawę z tego, jak wylądowałam, gdy dłoń w rękawiczce chwytą mnie za kostkę. Krzyżąc, kopię jego palce obcasem buta i uwalniam się na tyle, by wyczołgać się z jego zasięgu.

Przede mną jest spadek wysokości dwudziestu stóp na kamienne bloki o nieregularnym kształcie. Gdy tylko się podnoszę, morderca wpada przez okno na platformę. Odwracam się od latających odłamków szkła i obracam wokół pionowego słupa, przedostając się na drugą stronę. Moje stopy odnajdują kolejną poziomą platformę, po której przechodzę, przytrzymując się tej, która znajduje się nade mną.

Krok, ślizg. Krok, ślizg.



Udaje mi się nieco zwiększyć dystans pomiędzy nami dokładnie w momencie, w którym po raz kolejny próbuje mnie sięgnąć. Przez myśl przechodzi mi ulotne pragnienie wykorzystania efektów kamienia księżycowego, ale wiem, że nie udałoby mi się go teraz utrzymać. Słupy są śliskie od deszczu i na tyle zimne, że moje palce w kilka sekund by zdrętwiały, a ja potrzebuję obu rąk. W ciemności, z deszczem wpadającym mi w oczy, jestem zmuszona poruszać się niemal po omacku. Uderzam stopą o kolejną pionową rozpore, którą przekraczam. Jest tu też ukośny słup, postanawiam więc wejść poziom wyżej. Morderca wpina się za mną, a ja niemal spadam, gdy moja ręka sięga do miejsca, w którym powinien być kolejny słup, ale ona chwyta tylko powietrze.

*Po prostu uciekaj.*

Skupiam się na wspinaczce po sieci podpór, wchodząc wyżej, gdy jest to łatwiejsze, co zdarza się dość często. Jeśli dostanę się na dach, będę mogła przebiec prostą ścieżką wzdłuż rynny. Deszczówka wpada mi do lewego oka i cenną sekundę zajmuje mi jej wytarcie. Gdy odrywam palce, zauważam, że są ciemne od krwi. Musiałam przeciąć skórę, kiedy wychodziłam przez okno, ale gęste włosy uratowały mnie przed o wiele głębszą raną. Nie wiem jednak, jak bardzo krwawię ani czy jest mi słabo ze strachu, głodu czy utraty krwi. Pewnie ze wszystkich trzech powodów.

Po podciągnięciu się na kolejną platformę z trzciny muszę się zatrzymać i poczekać, aż przestanie mi się kręcić w głowie. Skrzypnięcia i stęknienia poniżej podpowiadają mi, że moja przewaga bardzo szybko topnieje. Jestem obok clerestorium, przy najwyższym rzędzie okien, jednak nadal dwa poziomy poniżej dachu. W tym miejscu szkło jest bezbarwne, po to by wpadało przez nie czyste światło. Koniec belki dachowej spoczywa na skraju mojej platformy po tym, jak przebiła się przez okno, a gdybym mogła ufać rusztowaniu, rozważyłabym wspięcie się do środka. Ze szczytu okrągłej ramy zwisa wąski trójkątny kawałek szkła w kształcie kła, wyciągam się więc, by go wyrwać.

Rozdzieram skórę dłoni na poszarpanej krawędzi, z obu stron cieknie mi krew. Mam teraz broń, ale wątpię w swoją umiejętność efektownego posłużenia się nią. Z jakim człowiekiem mam do czynienia? Simon opisywał go jako inteligentnego, a skoro wiedział,

jak doprowadzić do zawalenia się rusztowania w tak krótkim czasie od mojej ostatniej inspekcji, na pewno taki jest.

Dłoń w rękawiczce pojawia się na krawędzi platformy, usuwam się więc z jej zasięgu. Ostry koniec mojego prowizorycznego noża drapie o wyplecioną platformę, wbijając się głębiej w moją dłoń, ale nagle wpadam na pewien pomysł.

Poprawiam chwyt na kawałku szkła i cały czas się cofam, przeciągając ostrą krawędź po trzcinie w miejscach, gdzie zawiązano ją wokół ramy. Przyciskam na tyle mocno, by ją przeciąć.

Wkraczam coraz głębiej w cień, aż w końcu uderzam w wystający kawałek ściany sanktuarium. Prowadzi do mnie strużka krwi, która – mam nadzieję – zakrywa to, co zrobiłam. Zabójca wciąga górną część ciała na platformę. Ma na głowie kaptur, więc nadal nie widzę jego twarzy, za to on bardzo dobrze widzi, jak gwałtownie nabieram powietrza i sapię. Ale już nie próbuję się przed nim kryć ani uciekać. Zastawiam pułapkę.

Gdy unosi nogę na platformę, martwię się, że zobaczy, co zrobiłam, rzucam więc w jego kierunku zakrwawiony kawałek szkła, by odwrócić jego uwagę. Odrzuca go i wstaje. Wysilek, jaki sprawił mi rzut, sprawia, że mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Morderca zatrzymuje się, jakby rozkoszował się tą chwilą, po czym ponownie wyciąga nóż.

*Tak. Chodź do mnie.*

Robi jeden krok, potem drugi. Trzciny uginają się pod jego stopami, ale się nie łamią. Na krawędzi pola widzenia czai się ciemność, choć mój wzrok już wcześniej był osłabiony. Jeśli to nie zadziała, przynajmniej będę nieprzytomna, gdy mnie zabije.

Ale potem rozlega się seria rozdzierających trzasków; każdy nadchodzi szybciej niż poprzedni, aż w końcu platforma się zapada, odrywając się przy krawędzi niczym kawałek materiału. Morderca spada, najpierw tylko po pas, ale po chwili ciężar jego ciała rozrywa pozostałe trzciny i całe jego ciało spada pod rusztowanie, a jako ostatnia znika dłoń nadal trzymająca sztylet.

Opadam na bok, walcząc z falami mroku, które chcą, bym się w nich zanurzyła, a rusztowania drżą za każdym razem, gdy morderca uderza o nie po drodze w dół. Poniżej nie odbywają się żadne prace, więc nie ma tam platform, jedynie ustawione pod

różnymi kątami słupy. Uderzenia są na tyle częste, że spadając, nie nabiera prędkości, ale nie może też zwolnić. Wszystko kończy się łoskotem, gdy ląduje na skośnym dachu arkady.

Nie jestem jeszcze bezpieczna. Powinnam wstać i uciec, ale mogę myśleć jedynie o odpoczynku. Zwijam się w kłębek na niewielkim skrawku platformy, który pozostaje zaczepiony, i zamykam oczy.

Tylko na chwilę.



## ROZDZIAŁ 50



Gdy otwieram oczy, nadal jest ciemno, a niebo pokrywa zbyt wiele chmur, bym mogła stwierdzić, która jest godzina. Zakrwawioną prawą dłoń przyciskam do piersi. Wyczuwam pod nią gruby zwinięty warkocz, który schowałam pod warstwami ubrań. Kiedy tylko dociera do mnie, co się stało, siadam prosto, krzywiąc się z bólu, gdy wyrywam sobie garść włosów, które przykleiły się do platformy przez gęstniejącą krew. Muszę zwalczyć falę nudności, które w końcu ustają, pozostawiając za sobą pulsujący ból głowy.

Gdzie on jest?

Wychylam się ostrożnie ponad krawędź i zerkam w dół. Dach arkady, na której powinien był wylądować, jest pusty, nie zauważam też żadnego ruchu na rusztowaniu. Chociaż kusi mnie, by zostać tutaj do rana, instynkt podpowiada mi, że zabójca uciekł. Muszę znaleźć Simona i powiedzieć mu, co odkryłam.

Zejszcie w dół jest powolne i męczące, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że często zatrzymuję się, by nasłuchiwać, czy zabójca nie czai się gdzieś w pobliżu. Rozcięcia na rękach i palcach znów zaczęły krwawić, pomimo wysiłków, by nie używać rannych części ciała. Gdy dotykam stopami ziemi, mam ochotę biec, ale mogę jedynie utykać wzdłuż świątyni i po ulicy prowadzącej do domu Montcuirów. Nie

chcąc robić scen, kuśtykam do drzwi kuchennych, z nadzieją że przynajmniej jedna osoba ze służby śpi na dole. Wałę zdrową pięścią w drzwi, ale dźwięk jest bardzo cichy.

– Pomocy! – skrzeczę. – Proszę! Niech ktoś mi pomoże!

Kilka sekund później drzwi otwiera sam Simon, którego sylwetka jest oświetlona złotym światłem delikatnego ognia. Musiał być już w kuchni, choć mruga, jakby dopiero się obudził.

– Cat? – Otwiera szeroko oczy, gdy zauważa, jak wyglądam. – Na światło dnia, co się stało?

Otwieram dłoń, by mu pokazać.

– To wszystko moja krew, ale nic mi nie jest.

– Właśnie widzę. – Wciąga mnie do środka i zamyka drzwi. Następnie przykłada mi palec do ust i przez kilka sekund wpatruje się w sufit. Gdy nie słyszymy, by ktokolwiek się obudził, prowadzi mnie do drewnianego krzesła ustawionego pomiędzy stołem a paleniskiem. – Siadaj – rozkazuje.

Robię, co mówi. Siedzenie jest wygrzane, jakby siedział tu, zanim przyszedłem. Odwraca się i szuka czegoś w szafce. Jego złociste włosy są spłaszczone z jednej strony, a na policzku odbił się pomięty materiał.

– Spałeś przy stole? – pytam.

– Tak. – Odkorkowuje i wacha zawartość kilku butelek i słoików. Część z nich odstawia na bok, a resztę wkłada z powrotem do szafki. – Juliane miała kiepską noc. Gorszą niż zwykle.

Zauważam stojący na stole imbryk. Drzę z zimna, szoku i bólu, a ciepły napar wygląda niebiańsko.

– Czy herbata jest gorąca? – pytam, szcękając zębami. – Mogę się napić?

– Na łaskę światła, nie! – Odwraca się gwałtownie, balansując trzymanymi w dłoniach pojemnikami i stertą lnianych bandaży, po czym w pośpiechu rzuca je na stół.

Sięga po imbryk i wybiega z nim na zewnątrz, by wylać zawartość na ziemię.

Kręcąc głową, wymienia pusty imbryk na dużą drewnianą miskę, którą przynosi do stołu. Wypełnia ją parującą wodą z czajnika, po czym nachyla się nad moją głowę, by przyjrzeć się rozcięciu na

skórze. Zamykam oczy, gdy jego długie palce przeczesują moje włosy.

– Nie jest bardzo głębokie – mruczy pod nosem. – Chyba już nie krwawi, ale i tak trzeba je oczyścić. – Klęka przede mną i delikatnie otwiera moją dłoń. – Co się stało, Cat?

– W sanktuarium doszło do zawalenia – mówię. Czuję ulgę, że zdaje się odkładać moją zdradę na bok. – Nie żyją trzy osoby.

Syczy ze współczuciem wywołanym albo przez moje rany, albo przez wieści, które mu przyniosłam.

– Lambert nam mówił. Przykro mi. – Zanurza skrawek szmatki w misce i zaczyna wycierać moją dłoń. Woda jest ciepła, ale nie gorąca. – Ale te rozcięcia pochodzą z ostatniej godziny. Co robiłaś?

– Byłam w świątyni, próbując odkryć, co było przyczyną zawalenia. – Pociągam nosem i wycieram go wolną dłonią. – To do mnie należy upewnienie się, że do takich rzeczy nie dojdzie.

Gwałtownie podnosi na mnie wzrok.

– Remone cię za to wini?

– Ma ku temu powody.

Rzuca zakrwawioną szmatkę na stół.

– Skoro to Remone zawiadywał budową, to on za to odpowiada – warczy, przysuwając moją dłoń do światła.

Wolną ręką otwiera jedną z buteleczek i wylewa przezroczysty płyn na czysty skrawek materiału. Ostry zapach wypełnia mi nos.

– Będzie szczypało – ostrzega, po czym przykładą mokrą szmatkę do mojej dłoni.

Szczypanie to nie jest właściwe słowo; mam wrażenie, jakby przecięto mi rękę rozpalonym nożem. Odruchowo się odsuwam, ale on przytrzymuje mnie za nadgarstek.

– Spokojnie – mówi łagodnym tonem. – To nie potrwa długo.

Wiję się na krześle, a ból powoli zmniejsza się do znośnego poziomu. Gdy Simon podnosi materiał, spodziewam się wypalanej dziury, ale dłoń wygląda tak samo.

– Co to było?

– Alkohol, czystszy niż cokolwiek, co piją ludzie o zdrowych zmysłach. – Simon rzuca na stół zakrwawioną szmatkę i otwiera gliniany słoik, wszystko to robiąc prawą ręką.

Lewa nigdy nie puściła mojej.

– Nadal jesteś na mnie wściekły? – pytam nieśmiało.

Dwoma palcami nabiera maść i nieruchomieje, patrząc mi w oczy.

– Za to, że skłamałaś na temat młotka, czy za odwiedziny u architekta w więzieniu?

A więc się dowiedział. Wiercę się w miejscu, na co on jedynie unosi brwi.

W końcu spogląda z powrotem w dół i rozprowadza maść na dłoni i palcach, delikatniej, niżbym się tego spodziewała.

– Pojemnik z gulaszem był zbyt szeroki, by zmieścić się pomiędzy kratami celi. Gdy tam dotarłem, był jeszcze ciepły. – Wzdycha. – Dałem mu go.

– Przepraszam.

– Nieprawda. – Wyciera palce do czysta, po czym bierze ze stołu długi kawałek płótna. Zręcznie owija moją dłoń bandażem, podczas gdy ja polegam w walce o znalezienie dobrej odpowiedzi. Kończy bandażowanie i zawiązuje płótno, by opatrunek się nie rozwinął. – Trzeba to zszyć, ale ja tego nie potrafię. Jak najszybciej będziesz musiała znaleźć prawdziwego medyka.

– Dziękuję – szepczę.

– Nie ma za co. – Odpycha się od stołu i wstaje. – Prawie na śmierć mnie wystraszyłaś, waląc w drzwi cała pokryta krwią. – Moczy czysty skrawek w wodzie i przechyla moją brodę, by wytrzeć policzek. Stara się przy tym nie spojrzeć mi w oczy. – No więc wspinałaś się w ciemności po sanktuarium i co się stało? Uderzyłaś się w głowę?

Przez kilka minut, gdy się mną zajmował, zapomniałam o tym, co się wydarzyło. Teraz uderza mnie to z siłą spadających rusztowań świątyni.

– Simonie, on tam był.

Chłopak opłukuje szmatkę i wyciska ją, nadal nie zamierzając spojrzeć mi w twarz.

– Kto? Remone?

Kręcę głową, a z oczu płyną mi łzy.

– Nie. On. Morderca.

Simon zamiera, przez co woda z materiału cieknie mi na włosy. W końcu patrzy mi w oczy, a na jego ocienionej twarzy maluje się niedowierzanie.

– Co?

Biorąc roztrzęsiony oddech, sięgam lewą ręką do tuniki.

– To, co stało się dziś w sanktuarium, nie było winą ani moją, ani Remiego. – Pokazuję mu długi warkocz. – Nie był to też wypadek.

Mahoniowy połysk jest widoczny nawet przez warstwę pyłu. Simon upuszcza ciekącą szmatkę i zabiera ode mnie warkocz.

– Czy to...?

– Tak, to włosy Marguerite, a w zasadzie ich część. – Ogarnia mnie straszne zmęczenie. – Znalazłam je zawinięte wokół złamanej części rusztowania. Nie wiem, jak ani kiedy, ale jestem pewna, że on to zrobił. On zabił tamtych ludzi. Zabił ich przeze mnie, tak jak wcześniej matkę Agnes.

Simon znów klęka przede mną, a jego oczy ciskają gromy.

– Nie, Cat. Nic z tych rzeczy nie jest twoją winą, tylko jego. – Wolną ręką obejmuje moją brodę. – Wyłącznie jego. I moją. Bo nie udało mi się go powstrzymać.

Ogień rzuca cień na jego policzki i cienie pod oczami. Nadal nie powiedziałam mu najgorszego.

– Simonie – szepczę. – On wrócił dziś do świątyni. Widziałam go.

Teraz do niego dociera. Wypuszcza z rąk warkocz, który ląduje na moich kolanach, a następnie jedną ręką chwyta moją ranną dłoń; drugą wsuwa mi we włosy.

– On ci to zrobił?

Kiwam głową i powoli opowiadam mu wszystko, co się stało, na koniec dodając:

– A gdy spojrzałam w dół, już go nie było.

Simon zamyka oczy i pochyla głowę, kręcąc nią, jakby nie mógł w to uwierzyć. Jego palce zaciskają się na moich włosach i wokół zabandażowanej dłoni, a mięśnie napinają się tak, że mnie do siebie przysuwa.

Potem, bez ostrzeżenia, przyciska swoje usta do moich.

Jego powściągliwość znika, gdy zaczyna mnie całować – nie tak jak poprzednio, kiedy jego pocałunki były przepełnione zarówno delikatnością, jak i udręką – a z pilną potrzebą, jakby desperacko pragnął mi coś powiedzieć, zanim będzie za późno.

*Przepraszam, przepraszam, przepraszam.*



Nie jestem pewna, za co mnie przeprasza – za to, że był na mnie zły, za to, co się dziś wydarzyło, czy za to, że nie całował mnie zawsze, gdy miał na to ochotę – być może za to wszystko i jeszcze więcej, ale oddanie pocałunku nie sprawia mi żadnego wysiłku. Chcę, by wiedział, jak bardzo mi przykro, i że już nigdy nie chcę go skrzywdzić.

*Niemal cię straciłem.*

Moje usta zapewniają go o tym, że nie stracił. Że jestem tutaj.

*Uratuj mnie przede mną samym, Cat. Błagam. Tylko ty to potrafisz.*

Zaraz. Coś jest nie tak.

Zakończenie pocałunku sprawia mi niemal fizyczny ból, kładę jednak niezabandażowaną dłoń na jego piersi i go odpycham. Jego serce wali jak młotem pod moimi palcami, gdy wpatruje się w moją twarz. Coś w rzucanym przez ogień świetle sprawia, że brązowa skaza staje się czerwona jak zaschnięta krew, na jednym z policzków zauważam początek sińca, a w kąciku ust świeże skaleczenie. Simon oblizuje wargi, na których pojawia się kropla krwi.

– Co się stało? – Sięgam, by dotknąć ранego miejsca, w nerwowym oczekiwaniu na to, co mi ono podpowie.

Simon odchyła się, zakrywając policzek dłonią. Nad nadgarstkiem zauważam kilka niewielkich ran kłutych, których wcześniej nie widziałam, rozkwitają pod nimi niebieskoczarne plamy.

– Juliane – odpowiada. – Musieliśmy ją z Lambertem skrepować. – Zerka na świeże siniaki na zewnętrznej stronie dłoni. – Ostatnio coraz trudniej zapanować nad jej urojeniami. Dziś w nocy była przekonana, że cienie w pokoju chcą ją zabić.

Serce boli mnie na myśl o niej i o tych, którzy patrzą, jak jej zdrowie się pogarsza.

– Czy twój ojciec też się tak zachowywał?

Simon odpowiada zmęczonym kiwnięciem.

– Przez wiele lat. A z Juliane dopiero się zaczyna. – Rozmasowuje dłonią kark i wstaje. – Mój wuj dowiedział się, że używamy skonii, by ją uspokoić, i wpadł w furję, w końcu jest burmistrzem i takie tam. Oudin przynajmniej nigdy nie bierze jej w domu.

– Przykro mi.

Wzrusza ramionami.

– I tak myślę, że zaczęła przynosić więcej szkód niż pożytku. A dawki stały się niebezpiecznie duże. – Simon zerka na pusty imbryk, a ja zaczynam rozumieć, dlaczego zabrał mi go sprzed nosa. – Juliane od kilku godzin śpi. Jest przy niej madame Denise.

Wstaję, krzywiąc się z bólu spowodowanego siniakami i zadrapaniami.

– Czy mogę jakoś pomóc?

Simon kręci głową.

– Chcą to zachować w tajemnicy, tak jak w przypadku jej matki. To musi pozostać w rodzinie.

– A co ze śledztwem? – pytam, czując nadzieję ściskającą mnie w gardle. – Skoro Juliane nie może już pomagać, potrzebujesz mnie...

– Cat. – Przerywa mi z łagodną stanowczością. – Jesteś zbyt blisko mistrza, by zachować obiektywizm. Nie najlepiej wygląda też to, że jestem z tobą... blisko.

Podchodzę do niego.

– A jesteś... ze mną blisko? – Znow kładę mu na piersi zabandażowaną dłoń. – Wybaczyłeś mi?

Jego usta wykrzywiają się na bok, rozciągając ranę przy wardze.

– To, co zrobiłaś, mi nie pomogło, ale wiem, że chciałaś go chronić. – Nachyla się, a nasze nosy się dotykają. – A jeśli chodzi o bliskość, to myślałem, że kilka minut temu wyraziłem się jasno – szepcze. – Potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek.

Moja zdrowa ręka owija się wokół jego szyi, a on przyciąga mnie do siebie. Zapominam o ranach, zmęczeniu i strachu, skupiając się jedynie na uczuciu, które powoduje, gdy nasze usta się dotykają.

*Będziesz mnie chronić tak, jak chroniłaś jego?*

– Tak – szepczę przy jego ustach. – Będę.

Przez minutę na świecie nie istnieje nic innego.

Przez minutę wszystko jest idealne.

A potem rozlegają się krzyki.



## ROZDZIAŁ 51



Na początku są przytłumione. Odległe.

Simon przerywa nasz pocałunek i spogląda do góry, nadal trzymając mnie przy sobie. Wpatruje się w sufit, jakby mógł zobaczyć, co dzieje się po drugiej stronie. Drzwi na górze otwierają się z hukiem, a krzyki stają się głośniejsze.

– Czy to Juliane? – pytam. – Obudziła się?

Simon kręci głową, jego oczy są szeroko otwarte.

– Nie. To madame Denise.

Guwernantka Juliane wali do innych drzwi na piętrze, a jej wrzaski dochodzą do nas echem.

– Ona nie żyje! Lady Juliane nie żyje!

Simon wypuszcza mnie z objęć i zatacza się do tyłu. Jego wzrok wędruje do imbryka stojącego na półce.

– Święte światło, co ja uczyniłem?

Robię krok do przodu.

– Simonie...

– Cat, musisz stąd natychmiast wyjść. – Przytrzymuje mnie za ramiona i odwraca, po czym przesuwa w stronę drzwi. – Nikt nie może wiedzieć, że tu byłaś. – Otwiera je zamaszystym ruchem

i wypycha mnie na zewnątrz. – Idź! I to już! Znajdź jakieś bezpieczne miejsce!

– Simonie!

Drzwi się zatraskują. Przez chwilę stoję oszołomiona na stopniach. Juliane nie żyje? Robię krok do tyłu, a moja stopa ląduje w kałuży. Z rozlanej cieczy unosi się ostry zapach korzenia waleriany. Herbatka, którą wylał.

Simon myśli, że ją zabił.

Nigdzie się nie wybieram. Nawet zmęczona, zabandażowana i w spódnicy jestem w stanie wspiąć się na ścianę, prowadzącą do ogrodu za domem. Mijam na palcach okno, aż dochodzę pod pokój Juliane. Grzebię w kieszeni i odnajduję kamień księżycowy, który zaciskam w niezabandażowanej dłoni. Magia rozświecła świat wokół mnie, a ja zamykam oczy, by go posłuchać.

Efekt nie jest szczególnie mocny, ale jestem zbyt zmęczona, by skupić się na pojedynczym zmyśle. Jestem zmuszona przełożyć kamień do drugiej ręki i wyjąć z sakwy kamień próżni. Gdy nieporadnie wcisnę już w kruczoczarny kamień wszystkie zmysły poza słuchem, wypuszczam go z dłoni.

– Juliane! Obudź się, proszę! – Łóżko skrzypi, gdy łkający Oudin opada na nie lub tuż obok. – To przez skonię. Zabiliśmy ją.

– Dawka nie była większa niż zwykle – mówi Simon.

– Ojciec i tak będzie cię winił – odpowiada Lambert.

Słyszę jego ciężkie kroki po pokoju. Brzmią, jakby miał bose stopy.

– Może powinien – mówi z przygnębieniem Simon.

Ledwie słyszę ich głosy ponad szlochem Oudina – to coś, czego się po nim nie spodziewałam.

– Nie – mówi stanowczo Lambert. – Gdzie jest ojciec? Nie był w łóżku?

– Koło północy pojechał do Pałacu Sprawiedliwości, nie pamiętasz? – pyta Simon.

– Wydawało mi się, że kilka godzin temu słyszałem, jak wraca? – Lambert kończy zdanie, jakby było pytaniem.

– To musiałam być ja. – Głos madame Denise jest przytłumiony, jakby zakrywała twarz fartuchem. – Na kilka minut zeszałam na dół.

– Co?! – krzyczy Lambert. – Zostawiłaś ją samą?

Kobieta zaczyna płakać.

– Lady Juliane spała. Musiałam skorzystać z toalety i rozprostować nogi. Wróciłam po niecałym kwadransie – zawodzi. – Gdy tam weszłam, minęło trochę czasu, zanim zorientowałam się, co się stało. Musiała odejść pod moją nieobecność.

– Ktoś powinien posłać po ojca. – Oudin pociąga nosem.

Nie mogę ich ostrzec, że jest już przy drzwiach wejściowych. Służący mówi mu, co się stało. Mija zaledwie kilka sekund, nim hrabia ciężkim krokiem wbiega po schodach i wpada do pokoju, krzycząc:

– Gdzie ona jest?!

Zapada cisza, podczas której przygląda się scenie przed sobą.

– Zabiłeś ją, prezjański sukinsynu.

– Ojczy, nie! – Lambert stęka, jakby go przytrzymał. – Widziałeś, jak z nią dzisiaj było. Wszyscy próbowaliśmy ją uspokoić. Zrobił tyle, ile my wszyscy.

– To ta jego herbatka ze skonią ją zabiła – warczy hrabia.

– To była moja skonia – odpowiada szybko Oudin.

Oudin broni Simona?

– A ja zmusiłem Juliane, by ją wypić – kończy Lambert.

Nie słyszę na tyle dobrze, by zrozumieć odpowiedź hrabiego, ale wydaje mi się, że przestał się szarpać.

– Ona odeszła, ojczy – mówi Oudin. – Ale sam wiesz, o ile gorzej zaczęłaby się czuć. Jej cierpienie dobiegło końca. Może to błogosławieństwo.

– Powinniśmy o tym porozmawiać gdzie indziej – dodaje Lambert.

– I pozwolić jej duszy odpocząć, zanim będzie mogła odejść.

Madame Denise robi krok do przodu, pociągając nosem.

– Ja z nią zostanę.

– Simon to zrobi – warczy hrabia. – Nie ma głosu w naszych sprawach, zwłaszcza teraz.

– Sam chciałem to zaproponować – odpowiada cicho Simon.

Słyszę kroki kierujące się ku drzwiom.

– Madame Denise – mówi Lambert. Wyobrażam sobie, że wyprowadza ją z pokoju. – Proszę przynieść herbatę, którą zrobiliśmy dla lady Juliane, by ojciec mógł sam zobaczyć, jaka była słaba. Będziemy w gabinecie.

Zostawiają Simona samego, a ja pragnę teraz tylko z nim porozmawiać. Cofam się i przyglądam ścianie domu. Kilka drewnianych belek ustawiono pod kątem i wypełniono zaprawą. Choć wygląda to okazale, bogacze nie zdają sobie sprawy, że elementy dekoracyjne sprawiają jedynie, że łatwiej się wspiąć na pierwsze czy drugie piętro. Właśnie wizualizuję sobie najlepszą drogę do pokoju Juliane, gdy w oknie wychodzącym na ogród pojawia się światło. Usuwam się z pola widzenia i przywieram do ściany tuż obok niego. Wygląda na to, że stoję obok gabinetu.

– Nie pozwolę, by ktoś się dowiedział, że w moim domu była skonia – mówi hrabia. – Ani o tym, że moja córka postradała zmysły. Oudin parska.

– Dla ciebie liczą się tylko pozory, co, ojcze?

Szyby w kształcie rombów błyszczą coraz mocniejszym światłem, w miarę jak zapalane są kolejne świece. Słyszę skrzypienie krzesła sygnalizujące, że ktoś – zapewne hrabia – właśnie usiadł.

– Myślisz tak, bo na niczym ci nie zależy – mówi. – Chcę, by Simon zniknął z tego domu do wschodu słońca. Nie podjąłem jeszcze decyzji, czy ma zrobić to sam, czy z eskortą do więzienia.

– Nie możesz wsadzić venatre'a do więzienia – rzuca Lambert.

– Simon spaprał śledztwo – warczy hrabia. – Na jego rozkaz mistrz architekt został wtrącony do więzienia, choć sam uważa, że mężczyzna jest niewinny. A ja dokonałem publicznej egzekucji na niewinnym człowieku.

Widzę w szybie poruszający się cień, jakby Lambert się pochylał.

– Zaufaj mi, ojcze, nikt nie chce zatrzymać tego zabójcy tak bardzo jak Simon.

– Przejmiesz to śledztwo.

– Ja nie rozumiem tego, co on robi! – protestuje Lambert. – Wiedział dokładnie, co przydarzyło się żonie handlarza ziarnem, zanim ją w ogóle znaleźliśmy! Ja popełniłbym ten sam błąd co ty. Powinieneś być go posłuchać!

Niezależnie od tego, co się wydarzy, mam u Lamberta ogromny dług.

Rozmowę przerywa pukanie do drzwi. Wiedząc, że teraz wszyscy odwrócą wzrok od okna, postanawiam przez nie zerknąć. Do pokoju

wchodzi madame Denise, jednak szkło zniekształca widok na tyle, że nie wiem, co trzyma w dłoniach.

– Przepraszam, wasza łaskawość. – Kobieta dyga. – Przyniosłam imbryk, o którym była mowa, ale jest pusty.

– Oczywiście – burczy hrabia.

– Przyniosłam również to – mówi dalej. – Nie wiem, skąd się wzięło, ale pomyślałam, że to dość dziwne.

– Czy to włosy? – pyta hrabia, podnosząc się.

Na łaskę dnia, warkocz Marguerite. Zostawiliśmy go w kuchni.

– Leżał na ziemi. – Zniekształcona sylwetka madame Denisa kładzie na biurku coś jeszcze. – Ale to było na stole.

Widzę jedynie biel i czerwień. Skrawki materiału, którymi Simon oczyścił moje rany.

– Czy to krew? – pyta hrabia. – Kto był w kuchni?

– Simon – odpowiada Oudin. – Gdy bieглиśmy do pokoju Juliane, on wszedł do góry po schodach, zamiast schodzić od siebie.

Chowam się z powrotem, moje serce wali jak młotem. Nie. Tylko nie to.

– Czy Simon jest ranny? – pyta hrabia.

– Niczego nie widziałem – odpowiada Lambert. – Ale musi być jakieś logiczne wyjaśnienie.

– Bardzo dobrze wiesz, jak to wyjaśnić, bracie – mówi Oudin. – Simon nie znalazł zabójcy, bo sam nim jest.

Gryzę zabandażowaną dłoń, by powstrzymać się od krzyku.

Nie, nie, nie, nie, NIE!

Cienie migoczą, gdy Lambert krąży po pokoju.

– To niemożliwe.

– To jedyna możliwość – odparowuje Oudin. – Te włosy należą do tamtej siostrzyczki i ty dobrze o tym wiesz.

– Wyjaśnij mi to – mówi ich ojciec. – Natychmiast.

Lambert nie odpowiada. Cień Oudina unosi rękę, prawdopodobnie trzymającą warkocz.

– Morderca zabierał z miejsca zbrodni włosy ofiary i zostawiał przynajmniej jakąś ich część z następnym ciałem. W ten sposób Simon wiedział, że morderstwa były połączone. Jedynym człowiekiem, który może być w posiadaniu tych włosów, jest ten, kto zabił przeoryszę i siostrę.

– Siostra żyje – mówi słabym głosem Lambert.

Zapada długa cisza.

– Podczas jego pobytu w Mesanie nie doszło do żadnego zabójstwa – mówi powoli hrabia.

– Simon taki nie jest! – nalega Lambert.

Oudin parska.

– Simon całe życie spędził otoczony szaleńcami, dlaczego tak trudno ci uwierzyć, że sam stał się jednym z nich?

Cień hrabiego podnosi się z krzesła.

– Czy którykolwiek z was ma dowody, że Simon jest winny? Albo że nie jest?

Następuje kolejna niekończąca się cisza, po której Lambert odpowiada:

– Nie, ojczec. – Czuję ból, jaki sprawia mu ta szczerza odpowiedź.

– W takim razie ustalone – odpowiada hrabia. – Lambercie, wezwij straż.

– Nie.

– Zawsze byłeś dla mnie rozczarowaniem – mówi beznamiętnie hrabia. – Oudinie, idź. Przyrowadź ich tutaj. Szybko. Cicho.

– A co z Juliane? – pyta Oudin.

– Nie żyje. – Burmistrz podchodzi bliżej okna, a ja się cofam. – Umarła we śnie. Tyle każdemu musi wystarczyć.

– Tak, ojczec.

Oudin wychodzi z pokoju. Kamień księżycowy jest już z powrotem w mojej kieszeni, a ja jestem w połowie drogi po ścianie, po której wspinam się, używając obu dłoni, choć rany ponownie się przez to otwierają. Zerkam do pokoju Juliane, po czym unoszę głowę ponad parapet. Pomieszczenie oświetla pojedyncza świeca. Simon siedzi przy drzwiach z twarzą w dłoniach. Zaskoczony, podnosi głowę, gdy najciszej jak potrafię wciągam się przez parapet.

– Cat? – szepcze, podnosząc się. – Co ty tu robisz? Dlaczego nie poszłaś do domu?

Podbiegam do niego.

– Simon, hrabia chce cię aresztować.

Jego blade oczy przesuwają się w stronę ciała kuzynki leżącego na łóżku.

– Może powinien.



– Nie! – Chwytam go za ramiona i potrząsam. – Posłuchaj mnie! Znaleźli w kuchni warkocz Marguerite. Chcą cię aresztować za zamordowanie tych wszystkich kobiet!

Simon patrzy na mnie, otępiąły.

– Czy to w ogóle ma jeszcze jakieś znaczenie?

– Będzie miało, jeśli on znów kogoś zabije!

– Odejdź, Cat. Nie martw się o mnie. Aresztowanie mnie uwolni architekta.

Mam ochotę mu przyłożyć.

– Nie. Jeśli teraz ze mną nie pójdziesz, zostanę tu i wyjaśnię, co znalazłam w sanktuarium i dlaczego jesteś niewinny. I całemu miastu rozpowiem, w jaki sposób zmarła Juliane.

Jego spojrzenie pochmurnieje, ale przynajmniej nie jest już pozbawione wyrazu.

– Cat, mój wuj zrobi wszystko, by zachować twarz, nawet jeśli będzie to oznaczało wtrącenie do więzienia również ciebie.

– Wiem. Właśnie dlatego lepiej, żebyś poszedł ze mną.

Kręci głową.

– Cat, nie jestem wart takiego ryzyka.

Zaciągam go za sobą do okna.

– O tym ja decyduję. – W ogrodzie jest ciemno, a to oznacza, że gabinet ponownie jest pusty. W milczeniu pokazuję Simonowi miejsca, w których musi położyć dłonie i stopy, by zejść na dół. – Ty pierwszy – mówię.

Nie mam zamiaru ryzykować, że nie pójdzie za mną.

Wydając z siebie rozdrażniony pomruk, przekłada nogi przez parapet i szuka stopami podpórek, które mu pokazałam.

– Jak ty to zrobiłaś w spódnicy? – syczy.

– Lata praktyki. – Pomagam mu opuścić się w dół, dopóki nie znajdzie się na tyle nisko, by zeskoczyć.

Ląduje ze stęknieniem.

Prostuję się i odwracam, by spojrzeć na pokój. Będziemy potrzebować jak najwięcej czasu, więc szybko podchodzę do drzwi i zatraskuję je od wewnątrz. Chwilę im zajmie dostanie się do środka. Odwracając się, zauważam ziemistą twarz Juliane. Leży na plecach z przymkniętymi oczami, które przypominają mi okiennice pustego domu. Kołdra opadła jej do talii, prawdopodobnie po tym,

jak Oudin nią potrząsał, a jej chude ramię zwisa z boku łóżka. Nie mogę jej tak zostawić.

Podchodzę do niej ostrożnie i delikatnie zamykam jej oczy palcami, po czym przykrywam kołdrą. Gdy chwytam jej zimną dłoń, by położyć ją na jej piersi, czuję pod materiałem, że ma coś przewieszane przez ramię. Końcówka wystaje z rękawa przy nadgarstku. Wygląda jak sznurek, ale gdy przyglądam się bliżej.

Och, słońce. To niemożliwe.

Gdy za niego pociągam, z łatwością wychodzi spod rękawa, jakby został bardzo luźno związany. To dokładnie to, co myślałam.

To niemożliwe. Niemożliwe.

W pośpiechu wciskam go w swój rękaw i pędzę do okna. Simon patrzy w górę spanikowanym wzrokiem. Nawet nie próbuję schodzić, zeskakiwałam z o wiele większych wysokości. Ląduję miękko, na zgiętych kolanach. Simon chwytam mnie za ramię.

– Co ci tyle zajęło, do cholery? – dyszy. – Już myślałem, że chcesz zrobić coś głupiego.

– Powiem ci później. Chodźmy.

– Nie mogę – mówi. – Wylądowałem na kamieniu i skręciłem kostkę. Może być nawet złamana.

Zaciskając zęby, chwytam go za rękę i przekładam ją przez swoje ramię.

– Nikt cię dzisiaj nie złapie, venatre. A teraz idziemy.

Kuśtykając, wychodzimy z ogrodu i mijamy bramę, a gdy znajdujemy się na ulicy z tyłu domu, po raz kolejny chwytam księżycowy kamień. Mój słuch wraca do poprzedniego poziomu, ale na niebie nie ma księżyca, więc nie mogę odzyskać wzroku, który włożyłam w kamień próżni. Kamień daje nam jednak odrobinę światła, którego nikt inny nie będzie w stanie zobaczyć.

Simon przenosi ciężar ciała na zdrową nogę.

– Dokąd idziemy?

– Do jedyne miejsce, w którym nikt nie będzie cię szukał – odpowiadam.

Wciskam ramię pod jego pachę i ruszam na południe.



## ROZDZIAŁ 52

Chcę przejść przez zachodnią część opactwa. Zwołano już strażników, którzy poszukują Simona, ale gdy docieramy do względnego schronienia, sad nadal jest kilka ulic za nami. Skradamy się, a Simon potyka się o korzenie wystające spod bariery, aż w końcu dochodzimy do drugiego końca Kwatery Seleńskiej. Wybieram uliczkę, do której zabrała mnie Athene, choć nie leży ona najbliżej.

Księżyc zaszedł, a przez większą część nocy padało, więc Seleńczycy zostali w domach. Trudno poruszać się po mrocznych uliczkach w kierunku odwrotnym niż ostatnio, ale tylko raz skręcam w złą stronę i udaje mi się znaleźć drzwi z okręgiem oraz tańczącym wężem. Walę w nie, dopóki Athene nie otwiera. Na koszulę nocną włożyła szlafrok, a luźne włosy odgarnęła z twarzy.

– To ja – dyszę. – Mój przyjaciel jest ranny.

Wprowadza nas do środka i zamyka drzwi, taksując nas spojrzeniem.

– Powiedziałam, że pewnego dnia możesz wrócić, ale nie minęło zbyt wiele czasu – mówi oschle.

Simon patrzy to na mnie, to na Athene.

– Kto to jest, Cat?

– Moja kuzynka. – Na razie unikam dokładniejszych wyjaśnień. – Jest medyczką. – Chociaż nie naciskam ani nie zmuszam jej, by się nim zajęła, posyłam jej błagalne spojrzenie.

Athene wzdycha i wyciąga rękę, wskazując, żebym udała się na tyły domu.

– Dziękuję – mówię.

Pomagam Simonowi ją minąć i przejść przez korytarz.

Wchodzę do izby chorych oświetlonej blaskiem kamienia księżycowego, gotowa położyć Simona na łóżku polowym obok Marguerite, gdy zdaję sobie sprawę, że pokój jest pusty. Odwracam się, by stanąć twarzą w twarz z kuzynką.

– Gdzie ona jest?

Usta Athene zaciskają się w gniewie.

– Dziś rano zanieśliśmy ją z powrotem do opactwa.

– Dlaczego?

– Siostry domagały się jej powrotu – mówi. – Groziły, że jeśli jej nie zwrócimy, pójdą do burmistrza.

Zgrzytam zębami.

– Chcesz powiedzieć, że siostra Berta się tego domagała.

Athene wzrusza ramionami.

– Wszystkie wyglądają dla mnie tak samo, ale nie potrzebujemy teraz kłopotów, chociaż wygląda na to, że je tu przyprowadziłaś. – Spogląda znacząco na Simona.

– Zranił się w kostkę – mówię, odwracając się do łóżka. – Być może ją złamał.

Simon jest blady i poci się z bólu. Athene pomaga mi go położyć.

– Twój Hadriańczyk waży nie więcej niż worek mąki – mruczy pod nosem. – Ktoś go w ogóle karmi?

Ja z kolei zaczynam martwić się czymś innym.

– Czy siostry pozwolą ci się tam nadal zajmować Marguerite?

– Wątpię. – Athene klęka, by zdjąć but ze stopy Simona. – Ale myślę, że największe niebezpieczeństwo minęło, dzięki tobie. Jeśli pozwolą jej odpoczywać w łóżku, powinna wyzdrowieć.

Simon krzywi się, gdy Athene bada jego stopę.

– Masz zamiar zapalić latarnię? – pyta. – Czy wy, medycy, pracujecie na wyczucie?

Wzdycham.

– Dodaj to do listy rzeczy, które muszę ci wytłumaczyć, ale na razie niech ci wystarczy informacja, że obie widzimy całkiem dobrze.

Simon krzyczy, gdy Athene obraca jego kostką.

– Ciszej, Hadriańczyku – karci go. – Próbuję usłyszeć, czy twoje kości są nienaruszone. – Marszczy nos. – Skąd dochodzi zapach krwi?

– To ja. – Unoszę zabandażowaną dłoń.

Athene chmurzy się, ale nadal bada Simona, poruszając stawami tam i z powrotem, podczas gdy on stara się zachować milczenie.

– Przypomnij mi, bym cię nauczyła, że krwawienie jest pilniejsze niż zwichnięcia.

– Czyli nie jest złamana? – pytam.

Odkłada jego nogę na łóżko.

– Wszystko brzmi dobrze, chociaż opuchnięcie spowodowało przemieszczenie. Jedno z więzadeł zostało naciągnięte, ale nie jest zerwane.

Wbijam w nią zdumione spojrzenie.

– I wiesz to wszystko ze słuchu?

– I czucia. – Athene wstaje i wyciąga szufladę z szafki. – Nie wątpię, że z odpowiednim przygotowaniem i ty byś to potrafiła, a nawet jeszcze więcej.

Z tego, co mówiła o Hirze, wiem, że jedynie ci zdolni władać magią krwi mogą zostać lekarzami, ale jakoś nigdy nie myślałam o tym, że też bym to potrafiła. Athene wyciąga szpulę ciasno zwiniętego materiału i siada.

– Zawinę ci to wokół kostki, Hadriańczyku, by zeszła opuchlizna – mówi.

Simon zaciska zęby.

– Mam na imię Simon.

Athene zamiera i podnosi na mnie wzrok.

– Simon z Mesany? Venatre?

Kiwam głową.

– Hrabia myśli, że jest winien popełnienia wszystkich zabójstw, a być może także zamordowania jego córki. Cała straż go szuka.

Athene posyła mi gniewne spojrzenie.

– I przyprowadziłaś go tutaj?

– Jest niewinny. – Krzyżuję ręce na piersi.

– Nie obchodzi mnie to – warczy. – Obchodzi mnie, czy strażnik miejski spali mi dom, gdy będzie go tu szukał.

– Nikt nas nie widział ani nie ma powodu podejrzewać, że udaliśmy się tutaj.

– Tak ci się wydaje. – Athene odwraca się z powrotem do stopy Simona i rozciąga na niej materiał, po czym energicznym ruchem zawija go wokół niej.

W moim umyśle pojawiają się wizje tego, co mogłam sprowadzić na Seleńczyków – i to drugi raz w życiu.

– Przepraszam – szepczę. – Nie wiedziałam, gdzie indziej mogłabym pójść.

Athene wzdycha.

– Rzeczywiście, chyba nie było innego miejsca.

Zapada długa cisza, aż w końcu Simon odchrząkuje.

– Odejdę, jeśli istnieje jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, że zostanę tu złapany.

– Z tą kostką daleko nie zajdziesz – mruczy moja kuzynka. Zawiązuje opatrunek, po czym wskazuje na mnie. – Spójrzmy na twoją dłoń i hadriański smar, który został na nią roztrwoniony.

Simon marszczy brwi.

– Użyłem maści łagodzącej. I wcale jej nie roztrwonilem.

Athene parska i zdejmuje bandaż.

– Poczulałabym ją w słoneczny dzień, będąc ulicę dalej. – Unosi moją dłoń do kamienia księżycowego. – Na mrok nocy, Catrin! Co się stało?

Teraz, gdy nie walczę już o życie swoje ani Simona, jestem zbyt wykończona, by opowiedzieć całą historię.

– Przecięłam skórę szkłem.

– Potrzebuje szwów – dopowiada Simon. – Możesz to zrobić?

– Zaszyć to? – Athene wykrzywia usta z obrzydzeniem – Nie, chyba że chce wyglądać jak nasz wuj, chodzący gobelin.

Wyciąga czysty kawałek jedwabiu z kieszeni koszuli i zaczyna zmywać tłustą maść z rany.

– Co jeszcze ten Hadriańczyk ci zrobił w swoich nieporadnych próbach ratunku?

Czuję, że robi mi się gorąco z potrzeby obrony Simona.

– Polał ranę czystym alkoholem. Parzyło bardziej niż rozgrzany cechownik.

– Naprawdę? – Athene zerka na niego. – Tu akurat postąpił słusznie. Wybaczam twojemu Simonowi.

Użycie jego imienia stoi w sprzeczności z sarkazmem jej pochwały. Athene kończy czyszczenie rany i kładzie mi na dłoni trzy okrągłe kamienie krwi, po czym przywiązuje je czystą gazą.

– To potrwa przynajmniej sześć godzin – mówi.

Zaciskam palce wokół kamieni, zdziwiona, że mój dotyk jest wyostrzony tylko na niewielkim fragmencie.

– Czy one nie działają tak samo jak kamienie księżycowe? – pytam. – Czuję je tylko w dłoni.

Kuzynka odkłada pozostałe przybory.

– Poruszyłaś temat, którego sami w pełni nie rozumiemy. Kamienie krwi wydzielają intensywną magię, ale coś związanego z ich żelaznymi żyłami sprawia, że obejmuje ona niewielki promień. Nasi przodkowie nazywali tę właściwość *maagnetis*, co oznacza „trzymanie magii przy sobie”.

– To brzmi jak kamień magnetyczny – mówi Simon, a Athene zerka na niego z pozytywnym zaskoczeniem. – Nie wierzę w magię, ale w Mesanie mieliśmy kamienie magnetyczne, które potrafiły przytrzymać żelazne gwoździe i zmieniać ich orientację, choć ich nie dotykały. Niektórzy medycy wierzą, że można ich użyć, by zmienić kurs myśli szaleńca, jeśli ustawi się je w odpowiedni sposób dookoła głowy.

Selenka przytakuje.

– Tak, mówimy o tym samym, ale wy Hadriańczycy używacie innej nazwy. Mam jednak wątpliwości co do tego, czy kamienie krwi potrafią leczyć szaleństwo. A jeśli chodzi o magię, to lepiej, by wyjaśniła ci to Catrin. – Pochyliła się i układa zwichniętą kostkę Simona na miękkim stołku, by była wyżej niż na łóżku. – Niech przez jakąś godzinę pozostanie uniesiona. A ty – odwraca się do mnie – wyglądasz, jakbyś nie spała od kilku dni.

– Bo to prawda.

– W takim razie też powinnaś się położyć – odpowiada. – Jeśli nadciągają kłopoty, lepiej sobie z nimi poradzisz wypoczęta.

– Dobrze – obiecuję. – Ale najpierw muszę porozmawiać z Simonem.

Athene ziewa i odwraca się w stronę wyjścia.

– Wracam do łóżka. Nie budźcie mnie przed południem, chyba że dom będzie się palił.

Przysuwam sobie stołek i siadam. Simon milczy, wpatrzony w sufit.

– Przykro mi z powodu Juliane – szepczę.

Bierze roztrzęsiony oddech i mruga, jakby odganiał łzy.

– Zawiodłem ją – mówi. – Zawiodłem ją tak samo jak mojego ojca. Powinienem dać się aresztować.

– Simonie, nie zawiodłeś jej, tak samo jak ja nie zawiodłam robotników w sanktuarium. – Sięgam do rękawa i wyciągam cienki warkocz, który wciskam mu w dłoń. – Był zawiązany wokół nadgarstka Juliane.

Simon gwałtownie się prostuje i bierze warkocz w obie ręce.

– To niemożliwe.

– Należał do Marguerite – mówię. – Długość i kolor są nie do pomylenia z nikim innym. Zawsze zaplatała włosy w dwa grube warkocze. Ten musiał zostać zrobiony z drugiego. To on zabił Juliane. – Biorę głęboki wdech. – To Oudin. On jest zabójcą. A teraz przekonał swojego ojca, że ty nim jesteś.



Budzę się z głową na piersi Simona. Dolna część mojego ciała jest wciśnięta w ścianę, a jego prawa ręka obejmuje moje ramiona. Długie palce wodzą uspokajającym ruchem po moich włosach, które wysunęły się ze skórzanej opaski. Nie pamiętam, kiedy się położyłam, pamiętam za to, że gdy zaczęłam drzeć z zimna i wycieńczenia, Simon mnie do siebie przyciągnął. Łóżko zdecydowanie nie jest wystarczająco duże dla dwóch osób, chociaż trochę pomaga nam to, że jego stopa nadal opiera się o stołek. Czuje się obolała, ale jest to spowodowane moimi ranami.

– Śpisz? – pyta łagodnie Simon.

– Nie – mruczę. – Ale nie chcę się ruszać.

Chłopak wzrusza drugim ramieniem.



– To się nie ruszaj.  
– Udało ci się zasnąć?  
– Nie bardzo. Chwilę temu była tu twoja kuzynka. A przynajmniej tak mi się wydaje. Nadal nic nie widzę.

– Czy to znaczy, że już południe?  
– Chyba minęło kilka godzin temu.

Serce zaczyna mi bić szybciej. Zastanawiam się, czy Athene powiedziała Gregorowi, że tu jestem i że przyprowadziłam hadriańskiego zbiega. Prawdopodobnie nie. Gdyby wiedział, już by tu był, żeby wygonić nas z Kwatery.

– O czym myślisz? – pytam.

– Głównie o tym, że nie ma znaczenia, kto zabił Juliane – odpowiada. – Zawiodłem ją tak samo jak ojca. Zostawiłem ich sam na sam z potworem. Jego potworem był ogień. Jej – Oudin.

Podpieram się, by na niego spojrzeć.

– Simonie, nie chciałeś, by żadna z tych rzeczy się wydarzyła.

– A jednak się wydarzyły i to przeze mnie.

W drzwiach pojawia się sylwetka Athene.

– Czyżbyś w końcu wstała? – pyta. – Mam tu chleb i gulasz. – Pociąga nosem i znów wychodzi. – Przygotuję też kąpiel.

Zgadamy się przełożyć dyskusję do czasu, aż się najemy. Tak dawno nic nie jadłam, że zmuszam się, by policzyć do dziesięciu przed każdym kęsem, żeby mój żołądek się nie zbuntował. Simon siada przy stole naprzeciwko mnie i je równie powoli, chociaż myślę, że bardziej z grzeczności lub braku apetytu.

– Gdzie się dziś podziewa Hira? – pytam.

Jestem przekonana, że pomaga nie tylko w kuchni i w izbie chorych, ale tylko tam ją widziałam.

Kuzynka nakłada do mojej miski kolejną porcję gulaszu.

– Wysłałam ją do domu znajomej. Wasze dzisiejsze najście ją przestraszyło, a ja wiedziałam, że widok Hadriańczyka zdenerwuje ją jeszcze bardziej.

Spuszczam wzrok na jedzenie.

– Przepraszam. Nie pomyślałam o tym.

– Szczerze mówiąc, nie pomyślałaś prawie o niczym. – Athene odkłada chochlę na hak zawieszony nad ogniem. – Na przykład: co masz zamiar powiedzieć Gregorowi?

- Czy on musi wiedzieć, że tu jestem?
- Albo ty mu powiesz, albo ja to zrobię – mówi stanowczo Athene.
- Jest przywódcą Kwatery. Musi to wiedzieć i na to zasługuje.  
Wycieram brodę serwetką, unikając jej spojrzenia.
- Coś wymyślę.
- Zrób to. A co z twoim Hadriańczykiem? – pyta. Simon obdarza ją urażonym spojrzeniem, na co Athene uśmiecha się lekko. – Masz zamiar cokolwiek wyjaśnić Simonowi?  
Chyba powinnam zacząć od najbardziej podstawowego faktu.
- Okazało się, że w połowie jestem Selenką – mruczę pod nosem.  
Chłopak parska.
- Tyle sam wydedukowałem.
- Gdy nie mówi nic więcej, kilka sekund zajmuje mi zebranie odwagi, by spojrzeć, jak zareagował. Zamiast obrzydzenia czy przerażenia, których się spodziewam, widzę raczej oczekiwanie, bym mówiła dalej.
- Czy to ci... nie przeszkadza? – pytam w końcu.  
Marszczy brew.
- A powinno?
- On nie wie, co to znaczy.
- Prawdopodobnie tak.
- Sięga przez stół i delikatnie kładzie rękę na mojej rannej dłoni.
- Cat, nikt z nas nie wybiera sobie rodziców. Na światło dnia, myślisz, że ja wybrałbym swoich?
- Nie – przyznaję.
- Czeka, ale ja nie mówię nic więcej.
- Mam wrażenie, że to coś, co sama niedawno odkryłaś – mówi. –  
Od kiedy o tym wiesz?  
Tyle się wydarzyło, że nawet nie wiem, jaki jest dzień, ale Athene odpowiada za mnie:
- Nasz wuj przyprowadził ją tutaj dwie noce temu i wszystko wyjaśnił.  
Naprawdę minęły zaledwie dwie noce?
- Wasz wuj – mówi Simon. – Czy to ten Gregor, o którym wspominałyście?  
Kiwam głową.

– To długa historia, ale ja zdałam sobie z tego sprawę już wcześniej. – Waham się, po czym dodaję: – To nie wszystko.

– Zamieniam się w słuch.

Simon jest najbardziej tolerancyjną osobą, jaką znam, ale on też na pewno ma jakieś granice.

– Wiesz cokolwiek o Seleńczykach? – pytam.

Jego spojrzenie błądzi po pokoju, jakby wstydził się odpowiedzieć.

– Słyszałem historie o tym, że widzą w ciemności, używają magii do leczenia ran i nasłuchują sekretów, by szantażować nimi ludzi. Nigdy nie miałem powodów, by wierzyć w cokolwiek z tych opowieści, aż do wczorajszej nocy. W tamtym pokoju było zupełnie ciemno, ale wy poruszałyście się po nim jak w środku dnia. A teraz, gdy o tym pomyślę, dociera do mnie, że zawsze bardzo dobrze widziałas w nocy.

Zsuwam bandaż z dłoni, pozwalając, by kamienie krwi spadły na stół serią szybkich stuknięć.

– To nie wszystko.

Simonowi zapiera dech w piersi, gdy widzi, że rany cięte na mojej dłoni i palcach zupełnie się zaleczyły, zostawiając po sobie cienkie białe linie, przypominające miesięczne blizny.

– Powiedz mi wszystko.

Tak też robię.



## ROZDZIAŁ 53



Gdy opowiadam wszystko Simonowi, Athene porusza się między kuchnią i łazienką, nosząc wodę do wanny. Zaczynam od rodziców, mówię o tym, jak się w sobie zakochali i wzięli ślub bez wiedzy jej bliskich. Następnie wspominam o ich śmierci i o tym, z jakiego powodu zostawiono mnie w opactwie Solis.

– To dlatego, że według nich nie potrafiłaś używać seleńskiej magii. – Jego nacisk na słowo „magia” podpowiada mi, że nie do końca to akceptuje. – Ale jednak potrafisz.

– Owszem. – Opisuję mu, jak używają światła księżyca, które tak naprawdę jest odbiciem światła słonecznego, by wyostrzyć zmysły.

Pokazuję znajdujący się w mojej kieszeni kamień księżycowy, wyjaśniam, że ma takie samo działanie, i wyznaję, że użyłam go, by podsłuchać rozmowę jego wuja i kuzynów oraz doprowadzić nas tutaj pomimo ciemności.

Wyciągam kamień próżni i mówię jedynie, że używa się go, by absorbować niechcianą magię, po czym wkładam go z powrotem do sakwy. To, że używa się go do gromadzenia mocy, sprawia, że czuję się nieswojo, chociaż zeszłej nocy mi się przydał. Simon zadaje kilka pytań, na które odpowiadam najlepiej jak potrafię, ale nie doszliśmy jeszcze nawet do tematu magii krwi.

Niski głos sprawia, że odwracam się w stronę drzwi.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że mówiąc to wszystko Hadriańczykowi, być może skazujesz go na wieczny pobyt w Kwaterze? – pyta Gregor. Jest spokojny, ale spodziewam się, że w każdej chwili może wybuchnąć. Mruży oczy. – Jesteś poszukiwany, Simonie z Mesany, choć tu akurat nikt cię nie chce.

Simon unosi brwi.

– Wydawało mi się, że właśnie mówiłeś, że muszę tu zostać.

– Przez resztę życia – odpowiada chłodno mój wuj. – To nie musi być długi czas.

Staję z nim twarzą w twarz.

– Znów mnie stąd wyrzucisz?

Blizny na szczęce Gregora się napinają.

– Jeszcze nie wiem.

Przynajmniej nie powiedział od razu „tak”. Przenoszę wzrok na Athene.

– Skąd wiedział, że tu jestem?

– Z wiadomości od pani la Fontaine, w której napisała, że nie wróciłaś wczoraj na noc.

Marszczę brwi.

– Nie wyobrażam sobie, by gospodyni architekta z własnej woli napisała list do wielbiciela księżycy.

– Musiała się o ciebie bardzo martwić. – Jego policzek drga, gdy wuj spogląda na moje zakrwawione ubrania i włosy. – Wygląda na to, że miała o co.

– Nic mi nie jest.

Gregor parska, po czym wypuszcza z rezygnacją powietrze.

– Co mam jej powiedzieć?

Przez chwilę się zastanawiam, zauważając coś, co musi być wełnianym ubraniem Marguerite, suszącym się w łazience. Najwyraźniej siostra Berta nie przejmowała się ani tym, ani wstydlivością Margi, gdy zaciągała ją z powrotem do klasztoru.

– Powiedz jej, że jestem w opactwie i opiekuję się Marguerite.

– W porządku. – Gregor przygląda mi się przez kilka uderzeń serca, po czym prostuje się, naciągając kurtkę. – Dołączysz do nas dziś w nocy?

Głód magii wzrasta we mnie tak mocno jak wcześniejsze pragnienie, by się posilić.

– To zależy – mówię. – Mogę przyprowadzić Simona? – Gdy Gregor nie odpowiada, dodaję: – Nie będzie pierwszym, którego towarzystwo zaakceptowałeś.

– Nie – mówi stanowczo. – Twój Hadriańczyk musi pozostać w ukryciu – dodaje, po czym odwraca się i znika w korytarzu.

Drzwi frontowe otwierają się i zamykają.

Simon spogląda na mnie ze swojego miejsca.

– Zakładam, że to był twój wuj? Właściwie nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Tak – odpowiadam ze znużeniem. – A ja jeszcze wiele muszę ci wyjaśnić.

– Później! – woła Athene z łazienki. – Kąpiel stygnie, a jeśli masz iść do Księżycowej Sadzawki cuchnąca jak teraz, wszyscy zemdleją od wstrzymywania oddechu, nawet jeśli użyją kamieni próżni.

Myję się tak prędko, jak się da, choć mycie włosów nigdy nie jest szybkie, a teraz są one zlepione zaschniętą krwią. Całe szczęście przecięcie na czole dobrze się goi. Athene wychodzi, by zdobyć selenkie ubrania w moim rozmiarze. Jej byłyby zbyt krótkie, a Hiry – zbyt ciasne. Nie ma jej jeszcze w domu, gdy kończę ablucje, wkładam więc sukienkę Marguerite. Ona również nie jest dopasowana, ale prawie tego nie widać, biorąc pod uwagę, że i tak ma sprawiać wrażenie bezkształtnej. Jest jednak dość krótka, odkrywa łydki.

Simon czeka przy stole z kolejną miską gulaszu, po którą zapewne musiał dla mnie pokuśtykać do kuchni. Jestem głodna, a jedzenie smakuje niemal tak dobrze jak pierwszy posiłek dwie godziny temu.

– Tak sobie myślałem – mówi, gdy przełykam kilka kęsów. – Być może mylisz się co do Oudina. Istniały powody, dla których od samego początku nie brałem go pod uwagę i teraz nadal nie wiem, jak miałbym je wytłumaczyć. Z drugiej strony prawdopodobieństwo, że ktoś wspiął się do okna pokoju Juliane, jest niewielkie w porównaniu z możliwością, że zabił ją ktoś mieszkający w domu lub będący na tyle blisko rodziny lub urzędu burmistrza, by jego obecność nie wydawała się dziwna. Cała rodzina dbała o prywatność, zwłaszcza gdy Juliane się pogorszyło.

Ani Juliane, ani Lambert nie mieli przyjaciół, o których bym wiedziała. Poza prostytutkami Remi był jedyną osobą, z którą Oudin spędzał wolny czas.

– W takim razie może ktoś ze służby – mówię. – Albo sam hrabia de Montcuir.

– Nie jest on moim pierwszym wyborem. – Simon unika mojego spojrzenia. – Ale to możliwe. Juliane kilkakrotnie mówiła mi, że zabił jej matkę, ale w umysłach takich jak jej to częste urojenie. Być może miała rację, że się go bała. – Stuka długimi palcami o stół. – W dodatku trzyma warkocz włosów żony w książeczce modlitewnej przy łóżku. Wielu ludzi robi coś takiego, ale to raczej dziwny zbieg okoliczności.

Nietrudno jest mi też wymyślić motyw.

– Hrabia ma obsesję na punkcie tego, by jego rodzina sprawiała wrażenie idealnej. Juliane zburzyła ten wizerunek przez swoją chorobę, tak jak wcześniej jej matka.

Z jakiegoś powodu Simon nadal nie patrzy mi w oczy.

– To również prawda.

Widzę, że myślami jest gdzie indziej, ale kontynuuję swoje rozważania:

– Lambert jest zaręczony, co zaaranżował jego ojciec, ale zachowanie Oudina mogło sprawić, że rodzina lady Genevieve zaczęła mieć wątpliwości. A więc hrabia zaczyna eliminować kobiety, które odwiedza Oudin, by przy okazji odstraszyć go od prowadzenia nocnego życia. To pasowałoby do tego, co powiedziałaś: że morderca nie chce, by ofiary na niego patrzyły. Nie są tego godne.

– To możliwe. – Simon milknie. – Ale w takim razie dlaczego zabił przeoryszę?

– Bo za dużo wiedziała – odpowiadam. – Pierwsze oznaki utraty zmysłów przez Juliane uwidoczniły się lata temu, być może dlatego uczyła się w opactwie. Tam też wychowała się lady Montcuir. Jeśli matka Agnes wiedziała o ich chorobie...

– Lady Montcuir dorastała w opactwie Solis? – przerywa mi Simon. – Tak jak ty?

Kiwam głową.

– Była znajdą. Nie wiedziałaś o tym?

Simon kręci głową.

– Rzadko o niej mówili. Wiem jedynie tyle, że cierpiała tak jak Juliane, ale nikt nie chciał mi zdradzić szczegółów.

– To całkiem romantyczna historia – mówię. – Hrabia był zaręczony z inną szlachcianką, ale w sekrecie wziął ślub z lady Montcui, co wywołało skandal. – Gdy Simon nie odpowiada, zmieniam temat. – W każdym razie matka Agnes zapewne wiedziała o jej chorobie i o chorobie Juliane, a hrabia nie chciał ryzykować, by się to wydało.

Simon marszczy brwi.

– Ale po co wrobił w to mistrza architekta?

Wzruszam ramionami.

– Gdy doszło do morderstwa, potrzebował kozła ofiarnego. Młotek był idealnym sposobem, by go oskarżyć.

– To nie wyjaśnia zniszczenia świątyni ani zrzucenia na mnie winy za zamordowanie Juliane – zauważa Simon.

Po długiej chwili ciszy, pytam:

– Mówiłeś, że hrabia nie jest twoim pierwszym wyborem. W takim razie kto nim jest?

Milczy przez chwilę, po czym szepcze:

– Lambert.

– Lambert? – Prędzej podejrzewałabym madame Denise.

– Pasuje do profilu. Inteligentny, sprawny fizycznie, zamieszany w śledztwo, w dość dziwny sposób przywiązany do matki, posiadający apodyktycznego ojca, niemający przyjaciół, kontakty z kobietami sprawiają mu trudność...

– Połowa z tego brzmi jak Oudin – protestuję.

– Ale wszystko brzmi jak Lambert.

Kręcę głową.

– To, że nie odwiedza Drogi Rozkoszy, a ojciec zaaranżował mu zaręczyny, nie oznacza, że ma problemy z kobietami.

– Nie – przyznaje Simon. – Ale może zazdrościć Oudinowi jego łatwości w nawiązywaniu z nimi kontaktów.

Każdy mógłby odnosić takie „sukcesy” jak Oudin, mając wystarczająco dużo pieniędzy – a Lambert je ma.

– Nawet jeśli był zazdrosny, jest przecież zaręczony z lady Genevieve – mówię. – Więc jeśli miał jakieś problemy, dobiegły one końca.



– Czas, w którym zostały popełnione morderstwa, też pasuje – nalega Simon. – Mordercy często przechodzą ze świata fantazji do działania w prawdziwym świecie przez jakieś stresujące wydarzenie. Coś, co znajduje się poza ich kontrolą, jak utrata kogoś, kogo kochają, lub drastyczna zmiana w życiu, na przykład ślub. Coś dużego zmienia ich świat, zanim zaczną działać.

Kręcę głową.

– Mówiłeś też, że pierwszą ofiarą była Beatrez. To było trzy lata temu.

Simon uparcie zaciska usta.

– Może się myliłem.

Nie sądzę, że w to wierzy.

– A co, jeśli morderstwo Beatrez było napędzone przez śmierć lady Montcuir? – sugeruję. – Być może hrabia szukał pocieszenia, a po wszystkim poczuł do siebie obrzydzenie. Albo... – Siadam prosto, natchniona nagłą inspiracją. – Chciał zastąpić ją inną kobietą, którą mógłby ocalić z trudnego życia.

To wprawia Simona w zamyślenie. Po chwili kręci głową.

– Lady Montcuir zmarła dwa lata przed Beatrez.

– Chyba że to lady Montcuir była pierwszą ofiarą – mówię. – W takim wypadku to nie mógłby być Lambert. Uwielbiał matkę.

A Oudin jej nienawidził.

Simon wzdycha z frustracją.

– Kochał też Juliane.

Zapada między nami cisza, a w kuchni słychać jedynie ogień trzaskający w palenisku i bąbelki na wodzie, która grzeje się na kąpiel Simona.

– Jak myślisz, jak zabił Juliane? – pytam szeptem.

Przez chwilę się zastanawia.

– Być może dodał coś do herbaty, z drugiej strony szybko działające trucizny niosą ze sobą gwałtowne reakcje fizyczne, skłaniam się więc ku uduszeniu. Wystarczyło, że zakrył jej twarz poduszką na kilka minut. Nie przyglądałem się bliżej ciała, więc niczego nie jestem pewien, ale nie widziałem żadnych oczywistych oznak brutalności. Gdyby nie warkocz, nigdy nie połączyłbym z nim jej śmierci, ale on chciał, żebym wiedział, że to jego sprawka.

Wyobrażam sobie Juliane z dłońmi skrzyżowanymi na piersi, przykrytą kocem po samą szyję. W jakiś sposób to jeszcze gorsze niż pozostałe ciała, które widziałam.

– Madame Denise mówiła, że była przekonana o tym, że Juliane śpi. Musiał dołożyć starań, by tak to wyglądało – mruczę pod nosem, a Simon przechyla głowę, by na mnie spojrzeć. – Nie zostawił jej na widoku tak jak Perrete i pozostałych, nie była też zupełnie zakryta jak żona handlarza ziarnem, co sugerowało wstyd i żal zabójcy. Nie uciekł w panice, jak w przypadku matki Agnes, gdy pojawiła się Marguerite.

Athene wchodzi do kuchni, trzymając w ręku zwinięty niebiesko-czarny materiał, co przerywa moje myśli jak uderzenie pioruna.

Odwracam się do Simona.

– Myślisz, że Juliane w ogóle się obudziła przed śmiercią?

Simon mruganiem odpędza swoje myśli.

– Być może. Jeśli tak, to pewnie na samym końcu, gdy brak powietrza sprawił, że była zbyt słaba, by walczyć dłużej.

Ale jest na to szansa.

Dołączam do kuzynki układającej ubrania na blacie.

– Athene – pytam cicho. – Jak długo myśli zostają we krwi?

– Dopóki krew pozostaje płynna, chociaż z czasem coraz gorzej je słyszeć. Dlaczego pytasz?

– Kiedy zaczyna się Księżycowe Zgromadzenie?

– Słońce zajdzie za jakąś godzinę, a spotykamy się godzinę po tym.

Mam mnóstwo czasu.



## ROZDZIAŁ 54



Simon oczywiście się sprzeciwia, ale czuję się całkiem bezpieczna, gdy wybieram się do domu Montcuirów, nawet jeśli jeden z nich jest mordercą. Zbliża się zachód, więc będzie tam wielu żałobników, którzy wspólnie przeżyją moment, gdy słońce przeniesie duszę Juliane poza horyzont.

Athene pożycza mi swoją pelerynę z księżycowej nici. To dość upiorne iść przez miasto, gdy wszyscy patrzą przeze mnie na wylot, więc z ulgą skręcam w uliczkę przy domu i odwracam pelerynę na drugą stronę – czarną i niemagiczną. Wieczór jest na tyle ciepły, że trochę mi w niej duszno, ale sukienka Marguerite sprawia, że czuję się niemal tak, jakbym była naga. Zwykle siostry noszą warstwy ubrań zarówno pod nią, jak i na niej.

Wychodzę z powrotem na ulicę i dołączam do szlachetnych i bogatych mieszkańców, którzy zjawiają się u Montcuirów, by okazać szacunek – hrabiemu, nie jego córce. Trumna Juliane stoi pośrodku pokoju, a w pobliżu nie ma nikogo. Większość ludzi gromadzi się wokół burmistrza. Chcą, by ich zauważył. Ziemista, zapadnięta twarz dziewczyny sprawia, że przybyli szepczą na temat jej długiej choroby i rozpaczają, że przecież jakoś by pomogli, gdyby tylko wiedzieli.

To mnie z jakiegoś powodu złości. Wątpię, by ktokolwiek z nich zaoferował pomoc, gdyby zrozumiał, na co chorowała. Z chorobami umysłu wiąże się wstyd, który nie dotyczy chorób ciała, ale czy mózg to nie taki sam organ jak serce czy płuca? Osób dotkniętych taką chorobą unika się bardziej niż chorujących na zarazę, co jest ironiczne. Szaleństwem nie można się zarazić tak jak kaszlem.

Jestem też niemal pewna, że mniej poważne dolegliwości nerwowe są dość częste. Być może wstyd by zniknął, gdyby ludzie byli ze sobą szczerzy. Choroby umysłu nie byłyby uważane za coś dziwniejszego niż spuchnięte stawy czy problemy z trawieniem i można byłoby się nimi zajmować z tym samym współczuciem, jakiego najwyraźniej mogą zaznać chorzy w Mesanie.

Jednak gdy spoglądam na Juliane, dociera do mnie, jak daleko jest ten dzień. Jej zachowanie przstraszyło i mnie, ja też uważałam je za coś odrażającego. Gdyby nie Simon, unikałabym jej tak jak wszyscy inni.

Puste miejsce wokół trumny oznacza, że wszyscy w pokoju zobaczą, co robię, jednak za kilka minut zajdzie słońce, a wtedy jej ciało zostanie zakryte, by zachęcić ducha, aby je opuścił i podążył za światłem. Zerkam na stojącego po drugiej stronie pokoju hrabiego, który nieustannie przyjmuje kondolencje. Nawet nie patrzy na córkę.

Biorę głęboki oddech i podchodzę do trumny. Najsilniejszy kamień krwi Athene znajduje się w mojej prawej dłoni, niemal paraliżując mi palce swoją dziwną energią. Mam zamiar zachowywać się tak, jakbym się modliła, i przycisnąć go do skóry Juliane, jednak martwię się, że po tylu godzinach jej ostatnia myśl będzie zbyt słaba, bym mogła ją usłyszeć, zwłaszcza w pokoju pełnym ludzi.

Zanim uda mi się sięgnąć po jej sztywną dłoń, w zgromadzonym tłumie zauważam Oudina. Siedzi zgarbiony na krześle pod ścianą, opierając przedramiona na udach.

I wpatruje się we mnie.

Przesuwam pelerynę, by ukryć sukienkę Marguerite przed spojrzeniem jego przekrwionych oczu. Niepewnie podnosi się i podchodzi bliżej. Dzieli nas Juliane. Nawet nie używając magii, czuję aż stąd, że cuchnie alkoholem i skonią.

– Dziękuję, że przyszaś – mówi zachrypniętym głosem.

Nie spodziewałam się uprzejmości.

– Przepraszam, że przyszłam tak późno.

– Wcześniej był tu Remi – mówi, przyglądając mi się uważnie. – Ale wyszedł na wieczorne nabożeństwo dla robotników. – Choć ich dusze odeszły wczoraj, było tak mało czasu na przygotowanie, że ich pożegnanie odbędzie się dziś. – Powiedział, że nie widział cię od wczorajszego wieczora.

– Byłam w opactwie przy przyjaciółce.

– Tej siostrze? – Oskarżycielskie spojrzenie Oudina natychmiast zmienia się w troskę. – Obudziła się? Pamięta coś?

– Niestety nie. – Nie śmiem przyznać, że Marguerite się obudziła, a co dopiero, że jest świadoma, nawet jeśli nic nie pamięta. Chrząkam. – Nie widziałam jeszcze Simona. Jest na górze?

– Uciekł, sukinsyn – warczy Oudin, a wściekłość przelewa się do jego pustych czarnych oczu. – Lepiej przemyśl swoje przywiązanie do niego.

Jego gniew sprawia, że wbrew sobie robię krok do tyłu i uderzam łokciem w coś twardego, wypuszczając z dłoni kamień krwi, który upada po mojej sukience na podłogę, powodując głośne brzęknięcie.

O, nie.

– Panno Catrin – mówi to, w co uderzyłam, a gdy się odwracam, okazuje się, że to Lambert. Jego oczy są czerwone od płaczu, ale udaje mu się uśmiechnąć. – To bardzo miłe, że panienka przyszła.

Przestępuję skromnie z nogi na nogę, jednocześnie próbując zlokalizować kamień, Niestety nigdzie go nie widzę.

– Juliane była dla mnie bardzo miła, czułam, że muszę się pożegnać.

Lambert taksuje mnie wzrokiem jak wcześniej Oudin i przechyla głowę, by przyrzeć się linii moich włosów.

– Co ci się stało w głowę? Nie wydaje mi się, bym widział to podczas akcji ratunkowej.

Bezmyślnie sięgam dłonią do strupa, po czym zaciskam ją w pięść, by ukryć świeże blizny na ręce i palcach.

– To stało się później. Zostałam na miejscu, by sprawdzić, jaka mogła być przyczyna zaważenia, i w ciemności otarłam się o odłamek szkła.

Oudin unosi brwi.

– To musiało mocno krwawić. – Posyła Lambertowi znaczące spojrzenie. – Mam nadzieję, że ktoś ci pomógł, skoro nie wróciłaś do domu.

Choć nie spodziewałam się, że będę musiała wyjaśniać swoje obrażenia, jestem gotowa kłamać na temat miejsca pobytu.

– Owszem, dziękuję – odpowiadam. – Poszłam do opactwa, bo Remi był na mnie tak wściekły, że nie chciałam wracać do domu. A potem zostałam tam, by pomóc w opiece nad przyjaciółką. Tak jak już mówiłam.

Lambert marszczy brwi.

– Dlaczego asystent architekta jest na ciebie zły? Chyba nie wini cię za to, co się stało?

Mgła, która pojawia się w moich oczach, jest prawdziwa.

– Powiedziałam mu, że rusztowanie jest bezpieczne, a najwyraźniej takie nie było.

Lambert wykrzywia twarz w grymasie.

– To nie ma znaczenia, Catrin. On tam dowodzi. Obwinianie za to ciebie to nie tylko wymigiwanie się od odpowiedzialności, to również niemoralne.

Chcę mu powiedzieć, że wiem, kto jest za to odpowiedzialny, ale ten mężczyzna zapewne stoi naprzeciwko mnie lub po drugiej stronie pokoju. Przynajmniej połowa zgromadzonych żałobników wyszła na zewnątrz na czas zachodu słońca, a hrabia ma nieosłonięty widok na naszą rozmowę. Chrząkam.

– Miałam też nadzieję zobaczyć się z Simonem, ale Oudin powiedział coś o tym, że on uciekł?

Lambert waha się, a Oudin łypie na niego znad trumny Juliane.

– Powiedz jej, bracie. Powiedz Catrin o tym, że pomogła mordercy.

Wie, że jestem odpowiedzialna za ucieczkę Simona. Czuję, jak rana na czole kłuje mnie z niepokoju, ale Lambert kręci głową.

– Wszyscy mu pomogliśmy, Oudinie, włączając w to ciebie, a o twoją pomoc nikt nigdy nie prosił.

Niemal kręci mi się w głowie z ulgi, że Oudin miał na myśli pomoc w śledztwie.

– Ale co się stało?

Lambert chwyta mnie za rękę.

– Wygląda na to, że to on jest mordercą, panienko Catrin. Po śmierci Juliane znaleźliśmy pewne... dowody, których nie potrafiliśmy wyjaśnić w żaden inny sposób.

Wydaję z siebie zduszony okrzyk.

– Nie mogę w to uwierzyć!

– Ani ja – odpowiada, zerkając surowo na Oudina. – Wolę poczekać z osądem, aż go odnajdziemy i usłyszymy, co ma do powiedzenia.

Mogłabym go teraz pocałować. Nawet mimo że nie udało mi się usłyszeć ostatniej myśli Juliane, warto było tutaj przyjść, by dowiedzieć się, że Simon ma przynajmniej jednego potencjalnego sojusznika.

Nagle u stóp Juliane pojawia się ich ojciec, obdarzając nas wszystkich, a głównie Lamberta, nachmurzonym spojrzeniem.

– Rozpoczyna się pożegnanie – mówi. – Wychodzę na zewnątrz. Ty się nią zajmij. – Odwraca się i wychodzi.

W drzwiach frontowych zaczynają rozlegać się głosy podniesione we wspólnym śpiewie hymnu pożegnania. Lambert wzdycha.

– Idź zaśpiewać, Oudinie – mówi. – Ja zamknę trumnę.

Jego brat wycofuje się, by spełnić to polecenie, po czym – ku mojemu przerażeniu – schyla się, by podnieść leżący u jego stóp kamień krwi, który następnie wyciąga w moją stronę.

– Nie zapomnij swojego kamienia, Koteczku.

Szybko go od niego zabieram, ale nie udaje mi się uniknąć krótkiej chwili, w której dotykamy go wspólnie, przez co mój umysł uderza nagła fala niemego gniewu, która znika, gdy Oudin puszcza kamień i odchodzi. Lambert wyciąga szyję, by przyjrzeć się artefaktowi.

– Co to takiego?

– Kamień błogosławienny. – Wkładam go do kieszeni sukni Marguerite, w której zwykle trzymała paciorki do modlitwy. – Żadna z sióstr nie mogła przyjść, więc modliły się przy tym kamieniu, bym mogła przenieść błogosławieństwo na lady Juliane.

Lambert mruga.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Wcale mnie to nie dziwi, bo właśnie to zmyśliłam.

– Użyłaś go już?

– Nie – odpowiadam. – Twój brat mnie przestraszył, więc go upuściłam.

Lambert z powagą kiwa głową.

– Muszę pójść po wieko trumny. Będę zaszczycony, jeśli zgodzisz się z nią zostać i przekazać błogosławieństwo pod moją nieobecność. Byłaś jednym z jej nielicznych prawdziwych przyjaciół.

Rumienię się zarówno z ekscytacji, jak i z zakłopotania.

– Dziękuję. To dla mnie zaszczyt, że tak o mnie myślała.

– Nie tylko ona – odpowiada, po czym w pośpiechu wychodzi.

Zostaję sama z Juliane.

Zwinnym ruchem wyciągam kamień krwi, a drugą ręką unoszę jej sztywne ramię. Krzywiąc się nad makabryczną naturą tego, co właśnie robię, zamykam oczy. Zakładam, że będę musiała się skoncentrować, by usłyszeć cokolwiek, co pozostało w jej krwi, ale gdy tylko wkładam kamień pomiędzy nasze dłonie, jej głos nawiedza mnie tak głośny i wściekły jak gradobicie.

*...moje słońce, moje Słońce, wiem, że to byłeś ty, że ty zabiłeś matkę, a cienie zjadły twoją wątrobę i sprawiły, że jest żadna krwi...*

Jej myśli rozszczepiają się na różne strony niczym piorun na niebie, niektóre znikają w odmętach niepamięci, a inne uderzają w jedno miejsce, po czym natychmiast przenoszą się gdzie indziej.

*...nie możesz mnie zabić bo ja zabiłam cię już sto razy. Simon powiem mu powiem i ojciec cię zabije tak jak zabił ją...*

Nie ma żadnego porządku. Racjonalności. Przerwy. Jakbym próbowała pić z wodospadu spadającego prosto na moją twarz.

*...moje słońce zawsze wiedziałam, że to ty cienie wrywają mi oczy daj mi mądrość Simonie. Simon to klucz Simon to zamek pozwól mi spać i szlochać bym duszę mogła zachować...*

Gorączkowo pragnę puścić jej dłoń, ale nie mogę. Nie, kiedy przez całe życie nikt jej nie słuchał.

*...myślisz że tego nie zapamiętam ale ja to wszystko powiem mojemu słońcu ja wiem, że to byłeś ty i że zabiłeś matkę...*

Gdy zdaję sobie sprawę, że jej myśli zaczynają się powtarzać, niemal ją od siebie odrzucam. Na łaskę światła, czy tak wyglądało życie w jej głowie? Czy jej szaleństwo mogło zostać spowodowane tym, że nie potrafiła przestać myśleć?



Ciągle dygocząc, wkładam kamień z powrotem do kieszeni i pocieram mrowiącą dłoń o rękaw. Może i strumień myśli Juliane ucichł, ale jej rozpacz i ból nadal odbijają się echem w mojej krwi. Po chwili czuję, jak włosy na karku stają mi dęba, a gdy podnoszę wzrok, widzę stojącego w otwartych drzwiach frontowych hrabiego de Montcuira, gromiącego mnie spojrzeniem.

– Panno Catrin?

Podskakuję. Naprzeciwko mnie stoi Lambert, dokładnie tam, gdzie kilka minut temu był Oudin. W jednej dłoni trzyma młotek, a drugą podtrzymuje kawałek wypolerowanego drewna.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak, dziękuję – dukam. – Przekazałam błogosławieństwo. Potrzebujesz pomocy?

Lambert kręci głową.

– Nie, dziękuję. Wiem, że zrozumiesz, kiedy powiem, że chcę to zrobić sam.

– Rozumiem. – Jego ojciec zniknął, choć jestem pewna, że czeka przy drzwiach. – Jest tu jakieś tylne wyjście? Wolałabym nie wpaść na twojego brata.

– Oczywiście. – Lambert kiwa głową w stronę kuchni, odkładając młotek, którym przybije wieko trumny Juliane. – Dobranoc, Catrin.

– Dobranoc... Lambercie. – Idę do kuchni, ale zatrzymuję się jeszcze przy drzwiach, by przewrócić pelerynę na stronę obszytą księżycową nicią.

Zanim wyjdę, zerkam na Lamberta, który po raz ostatni wpatruje się w twarz siostry.



## ROZDZIAŁ 55

Gdy wracam, Simon kuśtyka tam i z powrotem na kulach po korytarzu pomiędzy drzwiami wejściowymi domu Athene a jej kuchnią. Nie czeka nawet, aż wejdem całkiem do środka, zanim porywa mnie w ramiona, upuszczając obie kule na ziemię.

– Czekam ponad godzinę – mówi.

Chcę, by mnie pocałował, ale tego nie robi.

– Dostałaś to, czego potrzebowałaś? – pyta Athene, która wyłania się zza jego pleców.

– I tak, i nie. – Odchylam się, a Simon wypuszcza mnie z objęć. Nadal nie wyjaśniłam mu, na czym polega magia krwi. – Jej myśli były zbyt prędkie i bezładne. Dużo myślała o Simonie, tak jakby musiała mu coś powiedzieć.

– Kto musiał mi coś powiedzieć? – pyta.

Wypuszczam z siebie powietrze.

– Juliane.

Simon mruga.

– Mówisz tak, jakbyś z nią rozmawiała.

– W pewnym sensie tak było.

Jego oczy wędrują w stronę Athene.

– Czy to kolejny rodzaj magii, którym posługują się Seleńczycy? Potrafią rozmawiać z umarłymi?

– Tak – odpowiadam. – Ale nie wszyscy Seleńczycy posiadają ten dar i nie jest to jedyne, co on zapewnia. – Simon sprawia wrażenie lekko przerażonego, a ja nie jestem pewna, czy moje wyjaśnienia sprawiają, że stanie się spokojniejszy.

– O tym możemy porozmawiać później – mówi Athene. – Gregor nas oczekuje.

Jeśli chcę zawrzeć z wujem pokój, muszę włożyć w relację z nim nieco wysiłku, ale podjęłam decyzję, że dziś wrócę do domu, choćby dlatego, by nie narażać opactwa, gdyby Oudin lub hrabia przyszli mnie tam szukać.

– Nie mogę – odpowiadam. – Muszę porozmawiać z Simonem. Kuzynka marszczy brwi.

– Co mam powiedzieć Gregorowi, gdy zapyta, gdzie jesteś? Schylam się, by podnieść kule Simona.

– Powiedz, że podążam za swoim instynktem, a on powinien mi na to pozwolić.

Athene wychodzi z głośnym westchnięciem, a ja wracam z Simonem do kuchni. On opuszcza się na krzesło, cicho stękając.

– Nie chcę powodować kolejnych konfliktów w twojej rodzinie.

– To nie ma nic wspólnego z tobą – mówię. – To oni mnie odesłali. Jeśli mam tu wrócić, zrobię to na własnych warunkach.

Chłopak wierci się nieswojo na krześle.

– Powiesz mi, w jaki sposób rozmawiałaś z Juliane?

Spuszczam wzrok na dłonie, by uniknąć jego spojrzenia.

– To nie do końca rozmowa, a raczej nasłuchiwanie.

– Zamieniam się w słuch.

Zaciskam dłonie w pięści.

– Myśli, moje, twoje, każdego człowieka, są przenoszone w naszej krwi. Gdy człowiek umiera, pozostaje z nim jego ostatnia myśl. – Usta Simona otwierają się wraz z pierwszym z co najmniej tuzina pytań, ale ja mówię dalej, zanim zdąży wypowiedzieć choć sylabę. – Słyszę je, gdy dotknę krwi zmarłego lub gdy użyję kamienia krwi.

Zamyka usta i czeka, aż mu to wyjaśnię.

– To w zasadzie tyle – dodaję po kilku sekundach. – Gdy to stało się po raz pierwszy, myślałam, że słysząc głosy martwych kobiet,

postradałam zmysły jak Juliane. Bałam się cokolwiek powiedzieć.

Simon uśmiecha się ironicznie.

– Wątpię, że wtedy bym ci uwierzył.

– Ale teraz wierzysz? Nie potrzebujesz demonstracji?

Jego uśmiech niknie.

– Raczej nie chcesz usłyszeć moich myśli.

Nie mówię mu, że już je słyszałam.

– Czy to wszystkie twoje zdolności? – pyta głosem napiętym od oczekiwania. – Czy jest tego więcej?

Przygryzam dolną wargę.

– Jest coś jeszcze, ale tego nie rozumie nawet Gregor. To jeden z powodów, dla których tak bardzo pragnie mojego powrotu.

– I powód, dla którego nie jesteś zbyt chętna, by to zrobić, jak mniemam. – Simon bierze głęboki wdech. – A więc byłaś wysłuchać Juliane. A właściwie jej krwi. Co powiedziała?

Opisuję mu kaskadę jej porozrywanych myśli, a pozostałości jej energii sprawiają, że nerwowo kręcę się w kółko.

– Słyszałam więcej niż u innych ofiar, ale jej myśli miały mniej sensu. Wydaje mi się jednak, że wskazują na Oudina.

Z reakcji Simona wnioskuję, że się ze mną nie zgadza. Unika mojego spojrzenia i drapie się po policzku, na którym zaczął pojawiać się lekki zarost.

– Cat, podczas twojej nieobecności rozmyślałem o matce Agnes, mistrzu Thomasie i sanktuarium, próbując połączyć to wszystko z poprzednimi ofiarami. Jest jedno, o czym według kapłana Ferrisa zawsze trzeba było pamiętać: nigdy nie zmieni się to, czego potrzebuje zabójca. Zmienić się może sposób, w jaki to uzyskuje.

Inne metody, to samo szaleństwo.

– A więc czego on potrzebuje? – pytam, podchodząc do drzwi łazienki.

Simon obserwuje, jak się do niego obracam.

– Jestem pewien, że odpowiedź znajduje się w tym, co zrobił z ich ciałami.

Zatrzymuję się i marszczę brwi.

– Obrzydzały go. Nie były nawet godne, by na niego spojrzeć.

– Właśnie tak. – Simon kiwa głową. – Morderca czuje się kimś lepszym.

Znów zaczynam chodzić w kółko.

– A to brzmi jak opis Oudina.

Nie wygląda na przekonanego.

– Oudin lubi bawić się w ryszotku i zdaje sobie z tego sprawę. Nie ma złudzeń na swój temat.

– W porządku. – Nie chcę się kłócić. – Dlaczego zabójca zaczął zabijać Siostry Światła i pracowników sanktuarium, wrabiając w to mistrza architekta i ciebie?

– Bo wszystko to łączy się z jednym. – Simon czeka, aż się zatrzymam i na niego spojrzę. – Z tobą.

– Ze mną?

Podnosi rękę, bym nie protestowała.

– To nie oznacza, że byłaś jego celem. Zanim wyjechałem, zadrwił ze mnie tamtą wiadomością, którą pokazał mi, że to dla niego gra, w której mnie pokona. Po zabójstwie Nichole musiał zdać sobie sprawę, że najłatwiej zranić mnie przez ciebie. – Milknie i przełyka ślinę. – Nie tylko zabrał ci rodzinę i dzieło życia, zdołał również obrócić mnie przeciwko tobie.

– A potem przyszedł po mnie – szepczę.

– Tak. – Chłopak się wzdryga.

Dlaczego zabójca wtedy tego nie dokończył? Może myślał, że i tak nie przeżyję. Musiał też wykonać ostatnie mistrzowskie posunięcie w starciu z wrogiem: zabić Juliane i zrzucić winę na Simona.

Nadal mam wrażenie, że brakuje w tym najważniejszej części.

– Zgadzam się z tobą, Simonie, ale musisz przyznać, że to wszystko wskazuje, że to nie może być Lambert. Kochał Juliane bardziej niż kogokolwiek innego.

Simon garbi się i spuszcza wzrok na podłogę.

– Trudno mi też uwierzyć w to, że skrzywdziłby ciebie. Po prostu...  
– Milknie i wzdycha. – Masz rację.

Coś mi nie pasuje w jego słowach.

– Co powiedziała by kapłan Ferris?

– Żebym zaufał instynktowi – mówi Simon do swoich dłoni.

– Więc dlaczego tego nie robisz?

– Robię – bełkocze. – Podpowiada mi, że Lambert coś do ciebie czuje. I to wpływa na mój osąd.

Wpatruję się w niego.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś zazdrosny?

Unosi delikatnie głowę.

– Chcę powiedzieć, że w porównaniu z nim nie mam nic do zaoferowania.

Klękam, by nasze twarze znalazły się na jednej wysokości.

– Nie dbam o to.

– Ale ja tak – szepcze Simon. – Wystarczająco, by usunąć się, gdy pojawi się ktoś, kto może się tobą zająć w taki sposób, w jaki ja nie mogłem.

Nachylam się do niego.

– Ten wybór należy do mnie, pamiętasz?

Simon unosi usta tuż poza zasięg moich, a jego oczy są przepełnione bólem.

– Należy również do mnie, Cat.



## ROZDZIAŁ 56



Nawet w tym męczeńskim nastroju Simonowi nie podoba się, że chce wrócić do domu. Nie mam jednak zamiaru zostać, bo skoro morderca myśli, że jestem w opactwie, narażam siostry na niebezpieczeństwo.

Do świtu pozostają dwie godziny, gdy wchodzę do kuchni, używając klucza, który dzieli teraz miejsce w sakiewce z kamieniem próżni i nowym kamieniem księżycowym, który dostałam od Athene. Gdy rygluję drzwi, w pracowni pojawia się Remi. Jego ciemne szorstkie włosy wyglądają, jakby pociągał za nie dłońmi. Przez kilka sekund wpatruje się we mnie, jakby nie był pewien, czy jestem prawdziwa. Potem, bez słowa, przechodzi przez kuchnię i mnie przytula. Jestem tak samo zaskoczona jego gestem jak tym, że tak bardzo go potrzebowałam.

– Przepraszam – mówi z twarzą w moich włosach. Nie czuję łez, ale jego napuchnięte oczy podpowiadają mi, że płakał. – Byłem przybity. Mówiłem rzeczy, których nie miałem na myśli. Przepraszam, Cat.

Obejmuję go, mojego starszego, głupiego prawie brata, który pomimo wszystko zawsze będzie dla mnie oznaczał dom i bezpieczeństwo.

– Miałeś prawo myśleć, że to moja wina – szepczę do jego piersi.

Odchyła się i kładzie szorstkie dłonie po bokach mojej twarzy, unosząc ją, by spojrzeć mi w oczy. Zielen jego oczu jest podbita przez przekrwione białka.

– Nikomu nie powiedziałem – mówi. – I nikomu nie powiem. Nigdy. Nikt nie musi wiedzieć, nawet mistrz Thomas.

Chce mnie chronić, choć myśli, że jestem winna.

– Ale to nie moja wina, Remi – mówię. – Niektóre z belek zostały nadcięte albo poluzowano gwoździe.

– Dlaczego ktoś miałby to zrobić? – Marszczy brwi i opuszcza dłonie do moich ramion. – I skąd o tym wiesz?

Simon zawsze trzymał sygnaturę zabójcy i inne szczegóły w sekrecie, ale powinny istnieć inne sposoby, by się o tym przekonać.

– Zauważyłeś coś dziwnego? Przecięte belki albo poluzowane styki?

Remi mruga.

– Nie przyszło mi do głowy, by tego szukać.

– Może uda się nam dziś znaleźć jakieś dowody.

Kręci głową.

– Wszystko zostało zabrane i spalone. Wiesz, że kapłan nigdy nie pozwoliłby, by coś przekłętogo pozostało w świątyni.

Pamiętam, że to samo zdarzyło się lata temu, gdy zawały się rusztowania. To była ogromna strata materiałów, których można było użyć ponownie, ale mistrz wiedział, że nikt im już nie zaufa. Tym razem jednak wydarzyło się to bardzo szybko.

– Już? – pytam. – W ciągu jednego dnia?

– Połowa miasta się zjawiała, by w tym pomóc. – Remi wypuszcza mnie z objęć i bierze za ręce, masując je szorstkimi kciukami. – Ale to nie ma znaczenia. Nigdy nie pozwolę nikomu myśleć, że to twoja wina. Po prostu... obiecaj mi, że nie uciekniesz i nie dołączysz do Sióstr Światła.

– Czy to... – Milknę i ostrożnie dobieram słowa. – Wiedziałaś, dokąd poszłam?

– Mama powiedziała, że przesłałaś wiadomość, że kilka dni spędzisz w klasztorze. – Odwraca moje dłonie i się w nie wpatruje. – Zachowywała się, jakbyś miała już nie wrócić.



Zastanawiam się, czy tej ostatniej części nie zasugerował Gregor, w nadziei że tym razem zostanę w Kwaterze na zawsze.

– Musiałam to wszystko przemyśleć.

Oczy Remiego otwierają się szeroko, gdy zauważy czerwonobrazowe plamy na moich rękawach i tunice.

– Czy to twoja krew?

Już mam wyjaśnić, że pocięłam się szkłem, gdy przypominam sobie, że moja dłoń została uzdrowiona.

– Ubrudziłam się w dzień wypadku. Podczas ratunku.

– Nie przypominam sobie, bym widział na tobie tyle krwi. – Marszczy brwi na widok białej blizny po ranie, która była źródłem większości krwawienia, jakby wiedział, że nie powinno jej tam być.

Mogę jedynie wzruszyć ramionami.

– Wykąpałam się, ale muszę się przebrać.

– Tak, tak, oczywiście. – Przechodzi na przód domu i ciągnie mnie za sobą, wypuszczając tylko jedną z moich dłoni. – Spałaś? – pyta. – To znaczy... będziesz chciała dziś odpoczywać?

– Może przez kilka godzin. – Jego dobroć i troska są dla niego nietypowe, ale chyba naprawdę martwił się, że nie wrócę już do domu. – Wiesz coś o mistrzu? – pytam, gdy docieramy do schodów. – Wszystko u niego dobrze?

Nadal trzyma mnie za rękę i prowadzi po schodach na górę.

– Wczoraj przekupiłem jednego ze strażników. Powiedział, że mistrz Thomas jest w dobrym zdrowiu, ale podczas przesłuchań nie mówi za wiele.

Zatrzymujemy się przed moim pokojem. Nawet teraz Remi nie ma zamiaru przekroczyć jego progu.

– Nadal wierzysz, że to on może być zabójcą? – W moim głosie mimo starań, by tak nie zabrzmieć, słychać oskarżenie.

Remi patrzy na nasze złączone dłonie.

– Nie wiem, Cat – bełkocze. – Nie chce powiedzieć, gdzie był tamtej nocy, czego nie rozumiem, ale...

– Ale co?

Przygryza wargę.

– Matkę Agnes zabito, by skrzywdzić ciebie. A jeśli masz rację, że zawalenie zostało zaaranżowane, to zawaliła się twoja część sanktuarium. Nie wyobrażam sobie, by mistrz mógł was skrzywdzić.

– Remi pociąga nosem. – Troszczył się o was bardziej niż o mnie, tyle jest pewne.

– To nieprawda – mówię. – Mistrz Thomas wiedział, że pewnego dnia będzie musiał komuś przekazać sanktuarium, i ty byłeś jego wyborem. Musiał tylko sprawić, byś w pełni na to zasłużył.

Remi podnosi na mnie wzrok.

– Mówił to też o tobie. Zanim go aresztowano. „Nie zasługujesz na nią. Jeszcze nie”. Tak powiedział.

Zakłopotanie sprawia, że robi mi się ciepło na karku.

– Jesteś pewien, że nie miał na myśli świątyni?

– Cat, próbuję ci powiedzieć coś ważnego. Ja... – Wydycha z rozdrażnieniem powietrze. – Byłem głupi, dobra? Przysięgam, że już nigdy nie pójdę na Drogę Rozkoszy. Nigdy nie nazwę cię Koteczkiem ani nie będę mówił okrutnych rzeczy. Nigdy nie będę próbował ci mówić, co masz robić. Po prostu... – Waha się i bierze głęboki wdech. – Obiecuj, że zostaniesz. Tutaj. Ze mną. Na zawsze.

Och.

Mija kilka sekund, zanim jestem w stanie cokolwiek powiedzieć.

– Remi... – mówię łagodnym tonem, a jego twarz się marszczy.

– Chodzi o Simona? – warczy. – Wiesz, że burmistrz go szuka, prawda? Mówią, że to on zabił te wszystkie kobiety.

– Nie wszyscy tak sądzą.

– To dlaczego uciekł? Skoro nie miał nic do ukrycia?

– Nie wiem, Remi! – krzyczę. – Być może widział, jak traktowano architekta, gdy został aresztowany.

Remi parska.

– Nawet jeśli Simon jest niewinny, nie wybaczy ci tego, że nie powiedziałaś mu o młotku mistrza, ale ja rozumiem, dlaczego tego nie zrobiłaś. I to podziwiam.

– To nie ma z nim nic wspólnego. – Nadal przeżywam to, że przed godziną Simon mnie odtrącił. Rozmasowuję skronie, czując łzy napływające do oczu. – Po prostu teraz wszystko jest bardzo skomplikowane. Mistrz jest nadal w więzieniu, na wolności grasuje zabójca, a w sanktuarium jest tyle do zrobienia...

W jego oczach błyszczy nadzieja.

– A więc nie mówisz: „Nie”?

Przez kilka sekund wyobrażam sobie to życie i nie jest to wcale przykra wizja. Jakiś miesiąc temu mogłaby być wręcz idealna. Ale to było przed Perrete, przed Simonem i magią. Nie jestem tą samą osobą, którą byłam kilka tygodni temu. Nie wiem, gdzie pasuję, ale Remi jest dla mnie ważny i nie chcę go skrzywdzić.

W końcu wzdygam.

– Mówię, że nie wiem.

Wypuszcza powietrze.

– W porządku – rzuca zachrypniętym głosem. – O świcie muszę być na budowie. Jeśli czujesz się na siłach, mam nadzieję, że przyjdiesz. Brakowało mi cię tam. Więcej niż z jednego powodu.

– Przyjdę.

Moja odpowiedź zachęca go bardziej, niż powinna. Kładzie wolną dłoń na moim policzku i się nachyla.

– Tymczasem ja zrobię wszystko, co ci obiecałem – szepcze. – Zasłużę. Zobaczysz.

Chcę mu powiedzieć, że to nie ma znaczenia, że moje wahanie nie bierze się z irytujących przezwisk i dokuczania ani nawet z jego wizyt na Drodze Rozkoszy. Ale nie mogę tego zrobić, bo jego usta nagle przykrywają moje.

Część mnie pragnie pocieszenia i wybaczenia, które oferuje, ale to nie jest coś, na co mogę pozwolić. To byłoby wobec niego niesprawiedliwe. Remi kończy jednak pocałunek, zanim ja zdążę to zrobić, i znika na schodach prowadzących do jego pokoju.



## ROZDZIAŁ 57

Gdy zjawiam się w sanktuarium chwilę przed południem, zajmuję się sprawdzeniem zniszczeń spowodowanych przez pogoń i upadek zabójcy. Przecięcie na platformie z trzciny nie zostało zauważone podczas wczorajszych wysiłków, by posprzątać rumowisko w środku świątyni, ja jednak bardziej skupiam się na miejscach, które mógł uszkodzić na zewnętrznym rusztowaniu. Strach sprawia, że niemal w każdej sytuacji korzystam z liny bezpieczeństwa.

Remi pozwala mi robić to, na co mam ochotę, a nawet przekazuje mi dowodzenie, gdy sam udaje się na oględziny ładunku kamienia przy bramie miasta, zanim zostanie wciągnięty na wzgórze. W jakiś sposób to miła odmiana, ale niemal tęsknię za droczeniem się i hierarchią, która definiowała naszą relację aż do dzisiejszego ranka. Gdy dzień pracy dobiega końca, obwiązuję się kilkukrotnie liną i noszę ją jak pas, po czym wspinam się na szczyt południowej wieży.

Przez cały dzień nie widziałam w sanktuarium ani Lamberta, ani Oudina. Prawdopodobnie przeczesują miasto w poszukiwaniu Simona. Mam nadzieję, że nie mają żadnych powodów, by udać się w tym celu do Kwatery, choć Seleńczycy bardzo ściśle ją kontrolują. Bracia myślą zapewne, że Simon prędzej uciekł z Collis, niż znalazł schronienie w mieście.

Siedzę za jedną z kolumn, by osłonić się przed zachodzącym słońcem, i oglądam wschodzący księżyc. Dopóki będę trzymać się z dala od promieni słońca, moje zmysły pozostaną wyostrzone, więc zwracam się w stronę Kwatery, nasłuchując jakichkolwiek oznak niepokoju. O tak wczesnej dla Seleńczyków godzinie nie ma ich jeszcze zbyt wielu na ulicach, tak samo jak wielu Galijczyków śpi jeszcze godzinę po świcie.

Słyszę wibracje kroków Remiego, na długo zanim go zobaczę.

– Tutaj jesteś! – woła, gdy dociera na szczyt spiralnych schodów. – Szukałem cię.

– Zrobiłam inspekcję całego stojącego nadal rusztowania – mówię. – Znalazłam kilka drobnych usterek i wszystko oznaczyłam.

– Tak, widziałem. – Siada w oknie naprzeciwko mnie i opiera się o nie, wystawiając twarz do słońca. Pomarańczowe światło podbija czerwone tony w jego śniadej cerze i sprawia, że oczy zdają się niemal czarne. Nogi są tak długie, że mógłby dotknąć mojego kolana czubkiem buta, siada jednak po turecku. Daje mi przestrzeń. – Dziękuję.

Jakże rzadko dziękował mi w przeszłości.

– Po prostu robię, co do mnie należy – mówię. – Ale dziękuję. – Pociągam luźną nitkę zwisającą z kolana bryczesów. – Dobrze się z tym czułam, więc to ja ci dziękuję, że pozwoliłeś mi wrócić. Przez ostatnie kilka dni straciłam tak wiele, że nie wiem, co bym zrobiła, gdyby i sanktuarium zostało mi odebrane.

– Jestem przy tobie, Cat. Mnie nie straciłaś.

Uśmiecham się lekko.

– Ciebie nie udaje mi się pozbyć.

– Jestem jak kurzajka – odpowiada radośnie. – Siedzę pod twoją skórą. – Podskakuje i podaje mi dłoń.

Gdy ją przyjmuję, delikatnie pociąga mnie do góry.

Wstaję i nagle coś zwraca moją uwagę.

– Co to? – pytam, pstrykając palcami w coś, co wygląda jak zwisający z jego talii mały ogonek.

– Ach, to. – Rumieni się, a bicie jego serca przyspiesza. – Noszę go na szczęście, ale nie miałem go przy sobie w dniu wypadku. – Odczepia z paska niewielką obręcz i przytrzymuje ją przede mną. Wokół metalowego kółka zapleciono kilka kosmyków włosów

i przyklejono żywicą. – Dostałem go od mamy, gdy wyjeżdżałem rok temu. Powiedziała, że wszystkie siwe włosy ma przeze mnie, a dzięki temu zabiorę ze sobą jej zmartwienia i modlitwy.

Niemal słyszę, jak pani la Fontaine mówi to do Remiego. Większość włosów pasuje do jej koloru, ale są tu też inne. Jeden z trzech zaplecionych kosmyków jest ciemnobrązowy. Przesuwam po nim palcem.

– A te?

– Te są twoje – dodaje nieśmiało. – Dodałem je, bo... teraz już wiesz dlaczego. Zależało mi na tobie. Już wtedy. Nie wiedziałem tylko, jak ci to powiedzieć.

Czuję, jak ściska mnie w żołądku.

– Kiedy je zabrałeś?

– Nie mów mistrzowi Thomasowi, ale odciąłem je, gdy spałaś. – Krzywi się. – Przysięgam na Światło, że to był jedyny raz, kiedy postawiłem stopę w twoim pokoju.

Staram się wymyślić, co dziewczyna powinna odpowiedzieć chłopakowi po takim wyznaniu.

– Nic mu nie powiem. – Mój głos brzmi, jakby odbijał się z drugiego końca świątyni. – Ale mogłeś zwyczajnie poprosić.

Remi zabiera warkoczyk i przypina go z powrotem do paska.

– Następnym razem tak zrobię. Jesteś gotowa wracać do domu?

– Tak. – Powstrzymuję dreszcz, gdy przyjmuję oferowane przez niego ramię.

Schodzimy po schodach i razem przechodzimy przez świątynię, by wyjść na zewnątrz. Każdy krok przesyła przez moje nogi wstrząs, gdy zdaję sobie z czegoś sprawę.

Przywiązanie do matki. Problemy z kobietami – a przynajmniej z jedną. Wysoka inteligencja. Sprawność fizyczna. Stresujący awans i problemy w pracy. Pracodawca, który stał mu na drodze. Nienawiść do Simona. Wproszenie się do śledztwa.

Nikt nie potwierdził jego miejsca pobytu w żadną z kluczowych nocy.

Mordercą nie jest Lambert. Nie jest nim Oudin ani hrabia Montcuir czy ktokolwiek inny z ich domostwa. Portret mordercy sporządzony przez Simona idealnie pasuje do jedynej osoby, której nigdy nie brałam pod uwagę.

Do Remiego.



## ROZDZIAŁ 58



Teraz muszę jakoś wytrzymać wspólną kolację. Jedzenie smakuje jak trociny i z własnej woli zjadam więcej smażonej rzepy niż przez całe życie, bo w ogóle nie zwracam uwagi na to, co znajduje się na talerzu. Co kilka kęsów zerkam na panią la Fontaine. Czy ona wie, kim jest jej syn?

A może cały czas go kryła?

Gdy sprzątam naczynia, po Remiego przychodzi Oudin.

– Jesteś gotowy? – pyta.

Blednę na myśl o tym, że mają dziś wyjść na ulicę. Remi widzi moją minę i źle ją interpretuje.

– To nie tak, jak myślisz.

Nachyla się, by chwycić moją zagojoną dłoń, po raz kolejny zafascynowany białą blizną.

– Nadal nie znaleziono Simona z Mesany, więc ja i Oudin spotykamy się z grupą mężczyzn, by podwoić nocną straż.

Muszę wyglądać na przerażoną, bo szepcze mi do ucha:

– Obiecuję, że jeśli to my go znajdziemy, dam mu szansę na wyjaśnienia, zanim zaprowadzimy go do burmistrza.

Brzmi szczerze, ale to oczywiście kłamstwo.

– Czy brat Oudina do was dołączy? – pytam.



Remi wzrusza ramionami, jakby nie przyszło mu do głowy, by włączyć w to Lamberta, ale w jego oczach pojawia się iskra zazdrości.

– Zostaniesz dziś w domu? – pyta. – Proszę? Chcę, żebyś była bezpieczna.

Zamierzałam pójść do Simona pod przykrywką wizyty u Marguerite, ale się zgadzam. Inaczej Remi mógłby mnie śledzić.

– Dziękuję. – Puszczam moją dłoń. – Czy mógłbym pożyczyć twój nóż? Swój gdzieś zgubiłem.

Nie mam wymówki, by mu odmówić. Bez słowa odpinam z paska krótki sztylet, zdając sobie sprawę, że całą kolację przesiedziałam z przewiązaną w pasie liną bezpieczeństwa. Podaję nóż Remiemu, próbując jednocześnie się uśmiechnąć i wyglądać na zmartwioną. To drugie jest raczej proste. Staję na palcach, by pocałować go w policzek. Może jeśli pomyśli, że z nikim nie rywalizuje, nie zrobi nic strasznego, przynajmniej nie dziś.

– Uważaj na siebie – mówię.

Oudin unosi brew, ale nic nie mówi.

Remi cofa się, a pewność siebie w jego postawie zupełnie nie przypomina młodszej pychy, do której jestem przyzwyczajona. Po raz pierwszy dociera do mnie, że Remi jest już dorosłym mężczyzną.

Ale przecież dziecko nie byłoby w stanie zrobić tego, czego się dopuścił.

Gdy zamykają się za nimi drzwi, osuwam się po ścianie. Muszę jak najszybciej dostać się do Simona, ale nie ma szans, że sami dostarczymy Remiego burmistrzowi.

Jest tylko jedna osoba, którą mogę poprosić o pomoc.

Czuję się winna, gdy wybieram się do Lamberta, zwłaszcza biorąc pod uwagę wcześniejszą zazdrość Simona i jego podejrzenia, ale on przecież nic o nich nie wie. Będę jednak mogła wyjść dopiero za jakąś godzinę.

By szybciej minął mi czas, pomagam pani la Fontaine w kuchni. Chyba wydaje jej się, że moje nagłe zainteresowanie pracami domowymi ma coś wspólnego z wyznaniem Remiego. Taka kolej rzeczy wydaje się ją zadowalać, więc nie robię nic, by jej to wyperswadować. Słońce jedno wie, jak długo jeszcze będzie szczęśliwa.

Kiedy w końcu kładzie się do łóżka, zmuszam się, by poczekać kolejny kwadrans. Gdy zostają mi zaledwie dwie minuty, słyszę ciche pukanie do frontowych drzwi i ku mojej uldze okazuje się, że to Lambert we własnej osobie. Wpuszczam go do pracowni, mówiąc, jak bardzo się cieszę, że go widzę.

– Ojciec kazał mi odszukać Oudina – mówi posępnym tonem. – Ale nie ma go w żadnym z miejsc, w których zwykle spędza czas. Miałem nadzieję, że może ty wiesz, czy poszedł gdzieś z Remone'em.

– Wyszli razem – odpowiadam. – Pomagają patrolować miasto i szukać Simona.

Kiwa głową.

– Wydaje mi się jednak, że Simon już dawno opuścił Collis.

Waham się, niepewna, jak mu powiedzieć, że to nieprawda.

– Simon nie jest mordercą, jest nim Remi. Nie wiem, jakim cudem zauważyłam to dopiero teraz, ale to od samego początku był on.

Lambert rozdziawia usta.

– Remi, człowiek, który jest dla ciebie jak brat? – Jego głos się podnosi. – Remi, człowiek, który wyszedł w nocy z moim bratem?

– Sza! – Uciszam go machaniem dłoni. – Tak, przepraszam, nie mogłam zrobić nic, co powstrzymałoby go przed wyjściem. Ale szczerze mówiąc, nie przychodzi mi do głowy powód, dla którego miałby skrzywdzić Oudina. Miałam też zamiar przyjść do ciebie, by podzielić się tym odkryciem.

Lambert wypuszcza powietrze.

– Chyba masz rację. – Mruga. – Chciałaś do mnie przyjść?

– Oczywiście – mówię. – Do kogo innego miałabym się zwrócić?

Lambert wzrusza ramionami i unika mojego spojrzenia, a czubki jego uszu różowieją.

– Na przykład do Simona, ale zakładam, że nie wiesz, gdzie on jest.

Przygryzam wargę. Gregor będzie wściekły, jeśli przyprowadzę kolejnego Hadriańczyka do jego Kwatery, ale to kwestia życia i śmierci.

– Ufasz mi?

Lambert marszczy brew.

– Oczywiście, panno Catrin.

– Cat.

Uśmiecha się lekko.

– Tak, ufam ci, Cat.

– W takim razie chodź za mną.

Gdy tylko wychodzimy na zewnątrz, odszukuję księżyc i pozwalam mu zatopić się w mojej skórze. Delektuję się mocą, która przepływa przez moje żyły jak piorun. Świat jest żywszy i bardziej kolorowy niż w słoneczny dzień, pełen zapachów i dochodzących zewsząd odgłosów. Czuję się, jakbym była wszędzie tam, gdzie świeci księżyc. Jednocześnie unoszę się nad ziemią i jestem w niej zakorzeniona.

– Jesteś gotowy? – pytam Lamberta.

– Tak – odpowiada. – Prowadź.

Zakręcam i biegnę ulicami, a tuż za mną biegnie Lambert. Bez problemu unikam straży i wszystkich innych ludzi, którzy o tej godzinie chodzą po mieście – słyszę ich i widzę, na długo zanim mogliby zacząć stanowić zagrożenie. Pędzę tak, że z trudem łapię oddech, nadal mając zawiązaną w talii linę bezpieczeństwa, ale nie zwalniam. W polu widzenia pojawia się klasztor, a tuż za nim pokryty winoroślą mur usiany delikatnymi kwiatami. Czuję, jakbym zbliżała się do domu, podobnie jak dziś rano przy Remim. Jak wiele domów może mieć jedna osoba? A może czuję się tak teraz, bo moja poprzednia bezpieczna przystań zniknęła?

Śpiewy wokół Księżycowej Sadzawki już się rozpoczęły. Gdy jako dziecko słuchałam ich z łóżka w opactwie, melodia niemal tańczyła na mojej skórze. Teraz wypełnia mnie niczym woda wchłonięta przez gąbkę, wchodząca głęboko w kości. Magia w mojej krwi śpiewa razem z nimi, splatając z muzyki harmonię, a ja pragnę jedynie być tego częścią. Moja dusza nie zazna spoczynku, dopóki nie dołączę do śpiewów.

Ale nie mogę tego zrobić teraz. Dziś muszę oprzeć się jednemu światu dla dobra drugiego.

Lambert waha się, gdy docieramy do bram Kwatery. Wątpię nawet, czy jego ojciec, burmistrz, był w środku, a już na pewno nie w nocy.

– W porządku, Lambercie – mówię, wyciągając ku niemu dłoń. – Nie musisz się bać.

Bierze głęboki wdech, obejmuje moje palce i wchodzi za mną przez pnącza księżycowych kwiatów.



## ROZDZIAŁ 59

Zbliża się pełnia, więc większość Sелеńczyków gromadzi się zapewne wokół sadzawki, ale i tak nie mogę uwierzyć, że weszliśmy do Kwatery niezauważeni. Mimo wszystko staram się zachowywać najciszej jak to możliwe.

Drzwi domu Athene są otwarte. Wprowadzam Lamberta do środka, natychmiast czując koniec działania blasku księżyca, i wołam Simona. Zjawia się na końcu korytarza i kuśtyka w moją stronę, by mnie objąć. To bardziej gest pełen ulgi niż romantyzmu, ale zawstydzony Lambert czai się z tyłu.

Simon odsuwa się i trzyma mnie za ramiona.

– Bałem się, że coś cię powstrzyma przed przyjściem. Czy... –  
Milknie, gdy zdaje sobie sprawę, kogo ze sobą przyprowadziłam.

– W porządku – zapewniam go. – Lambert i ja doszliśmy do tego, kto jest mordercą.

Simon robi krok do tyłu, napinając mięśnie, jakby chciał uciekać.

– Naprawdę.

Kładę mu dłoń na ramieniu.

– To Remi. Wszystko, co mówiłeś wczorajszej nocy, idealnie do niego pasuje. – Szybko wyjaśniam mu swoje rozumowanie. Najtrudniej jest mi uwierzyć w to, że doprowadził do zniszczeń

w sanktuarium, ale teraz widzę to jako chęć sprowadzenia mnie na dno, sprawienia, by tylko on dzielił mnie od pozostania zupełnie samą na świecie. – Ma też warkocz z włosów, który przy sobie nosi. Mówi, że to na szczęście.

– Czyje to włosy?

– Moje.

Simon opuszcza ramiona.

– A ja nigdy go nie podejrzewałem – szepcze.

– Ani ja. A przecież go znałam. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Kolejne pół minuty zajmuje Simonowi przyswojenie tej teorii. Po chwili się otrząsa.

– Wejdźcie i usiądźcie. Musimy zdecydować, co teraz.

Gdy wchodzi do kuchni, zauważam, że już prawie nie utyka.

– Wyglądasz o wiele lepiej.

Simon zerka na skreconą kostkę.

– Twoja kuzynka zmieniła mi dziś opatrunek, wkładając do środka kamienie krwi, kamienie magnetyczne czy jak je tam zwał. Już prawie nie boli. Najbardziej przeszkadza mi noszenie kamieni w skarpecie. – Uśmiecha się słabo, ale ja wiem, że dowody na istnienie magii sprawiają, że czuje się nieswojo.

– To dom twojej kuzynki? – pyta Lambert, rozglądając się po kuchni.

– Tak – odpowiadam. – To medyczka, która zajmowała się Marguerite, zanim siostry zabrały ją do klasztoru.

– Ale... kuzynka?

– Do niedawna sama tego nie wiedziałam, ale w połowie jestem Selenką – wyjaśniam. – Ludzie nocy wyjawili mi to, gdy mistrz Thomas został aresztowany.

Lambert otwiera szeroko oczy.

– Wiem, kim jesteś – szepcze. – Twój ojciec był tym medykiem, który porwał Galijkę i... ją uwiódł.

– Nie porwał jej – odpowiadam, starając się nie okazać rozdrażnienia. – I jej nie uwiódł. Wzięli ślub.

Lambert marszczy powątpiewająco brwi.

– Akta mojego ojca mówią, że Seleńczycy zabili kobietę i dziecko, gdy jej rodzina próbowała ją uratować, zamiast zapłacić okup.

Unoszę brwi.

– Nie było żadnego okupu. Matka nie chciała wrócić do domu, a jej rodzina przyprowadziła do Kwatery motłoch, który zabił ponad tuzin Seleńczyków, w tym mojego ojca. A potem matka zmarła podczas porodu. Jak widać, ja przeżyłam.

Lambert przełyka ślinę.

– Wygląda na to, że słyszałem wersję tylko jednej ze stron.

– Tak samo jak reszta Collis. – Widzę, że jeszcze tego nie zaakceptował, ale to już jakiś początek. – Ale teraz najważniejsze jest znalezienie Remiego i Oudina.

– Oudina? – pyta zdezorientowany Simon. – Dlaczego szukamy też jego?

– Wyszli razem – odpowiadam. – Stanowią część grupy patrolującej miasto wraz ze strażą miejską w poszukiwaniu ciebie.

– A ty przyprowadziłaś ich prosto do nas.

W drzwiach łazienki stoi Athene. Jej wyraz twarzy i ton głosu są neutralne, więc nie wiem, czy naprawdę jest wściekła, jednak słowa roztaczają przede mną wizję płonących domów i ciał leżących na ulicy.

– Straż jest w Kwaterze? – pytam.

– Jeszcze nie. – Athene zwraca oczy obrysowane kohlem w stronę Lamberta. – Ale przyszłaś tutaj z synem burmistrza. Na pewno za nim przyjdą.

– Nikt nie wie, że tu jestem – zapewnia Lambert.

– Twoje zapewnienia nic nie znaczą, Hadriańczyku. – Athene przenosi wzrok na mnie. – Catrin, twoje narodziny sprowadziły na nas zniszczenie, ale wtedy byłaś zaledwie dzieckiem, więc cię za to nie winiliśmy. Teraz już nim nie jesteś. Wszyscy musicie stąd natychmiast odejść.

Robię krok w jej stronę.

– Ale gdzie mam ukryć Simona?

– To nie nasza sprawa.

– Ale...

– W porządku, Cat – mówi Simon. – Twoja rodzina zrobiła dla mnie już wystarczająco dużo.

– Nie musimy się martwić poszukiwaniami Remiego – dodaje Lambert. – W końcu wróci do domu. Ukryjemy Simona i zajmiemy się Remim rano, gdy porozmawiam z ojcem.

Chyba ma rację.

– Gdzie Simon może się do tej pory ukryć?

– W sanktuarium? – sugeruje Lambert. – To ogromny budynek. Na pewno istnieją zakątki, do których nikt regularnie nie zagląda.

Istnieje wiele takich miejsc, zwłaszcza w starszych sekcjach. Jestem na siebie zła, że wcześniej nie pomyślałam o świątyni, ale Simon nie mógłby się nigdzie wspiąć wczoraj w nocy.

– To dobry pomysł – mówię. – Ale przez patrole trudno będzie się tam dostać. – Czuję się winna, że o to pytam, ale być może Athene będzie chciała mi pomóc, jeśli dzięki temu się nas pozbędzie. – Czy możemy znów pożyczyć twoją pelerynę z księżycowej nici?

Kuzynka wzdycha i wraca do łazienki, by ją przynieść.

– Teraz to w zasadzie możesz ją sobie zabrać.

Idę za nią, by zamienić słowo na osobności.

– Athene, przepraszam, że sprawiłam ci tyle kłopotów.

– I słusznie. – Ściąga pelerynę z wieszaka na drzwiach. – Rozumiem, że hadriański świat jest teraz pogrążony w chaosie, ale wielokrotnie narażałaś nas na niebezpieczeństwo, nie myśląc o konsekwencjach.

– O nic więcej nie poproszę – obiecuję. – Masz moje słowo.

– To też nie jest żadne rozwiązanie, Catrin – odpowiada. – Potrzebujemy cię tak samo, jak ty potrzebujesz nas.

– Czy chodzi ci o twoje nadzieje, że uratuję seleńską magię przed wyginięciem?

– Częściowo – przyznaje. – Ale również o ciebie i o to, co posiadałaś. – Podaje mi pelerynę. – Źle wykorzystany dar jest przekleństwem. Nie zapominaj o tym.

Wkładam pelerynę przez ramię.

– Skąd będę wiedzieć, że źle go wykorzystuję?

Athene przez moment rozmyśla.

– To wymaga skomplikowanej odpowiedzi, ale wydaje mi się, że można to ocenić, patrząc, czy boją się ciebie ci, których kochasz. To jedno bać się tego, do czego ktoś jest zdolny, a zupełnie coś innego bać się tego, co ktoś z tą zdolnością robi. Broń jest niebezpieczna jedynie w niewłaściwych rękach.

Myślę o mistrzu Thomasie, który znał część prawdy o tym, do czego jestem – albo mogę być – zdolna, a jednak jego wiara we mnie

nigdy nie została zachwiana. Marguerite zaufała magii dopiero wtedy, gdy wiedziała, że ja ją posiadam. Simon nie boi się mnie, nawet mimo że wie więcej niż ktokolwiek inny.

– Zapamiętam to – obiecuję.

Athene kiwa głową.

– Muszę wracać do pieśni, zanim Gregor zacznie coś podejrzewać.

– Zdejmuje z szyi kamień księżycowy zawieszony na srebrnym łańcuszku i wkłada mi go przez głowę. – Nie jest w pełni naładowany, ale leżał dziś w stawie przez dobrą godzinę. Jest w lepszym stanie niż twój.

Gdy tylko kamień dotyka mojej skóry, magia w mojej krwi odpowiada, sprawiając, że otaczający mnie świat staje się wyjątkowo ostry. Simon wiąże buty w pokoju obok, zdjął już bandaże i kamienie krwi. Serce Lamberta bije bardzo szybko, nie może się doczekać, aż stąd wyjdziemy.

– Dziękuję – mówię. – Obiecuję, że będę go dobrze używać.

– Wolalabym, żebyś obiecała, że go oddasz.

– To też.

Athene otwiera drzwi i zatrzymuje się z dłonią na ryglu.

– Zawsze pamiętaj, czym jesteś, Catrin.

– Czyli czym? Mostem pomiędzy Hadriańczykami i Seleńczykami?

– Właśnie tak. – Kiwa głową, wchodząc w blask księżyca. –

Mostem.

Zamyka za sobą drzwi i zostawia mnie nieco zdezorientowaną. Już to kiedyś mówiła. Po co znów o tym wspomniała?

Nagle do mnie dociera.

Wbiegam do kuchni, gdzie cierpliwie czekają na mnie Simon i Lambert.

– Chyba wiem, jak znaleźć dzisiaj Remiego.





## ROZDZIAŁ 60

By zaoszczędzić czas, ruszamy najkrótszą drogą do sanktuarium. Chcę dostać się do środka jeszcze przed wezwaniem na modlitwy tuż przed północą, inaczej będziemy musieli poczekać kolejną godzinę, aż budynek opustoszeje. Nawet pod peleryną z księżycowej nici każda minuta spędzona przez Simona na zewnątrz jest ogromnym ryzykiem.

Gdy docieramy do placu, kieruję się w stronę okna po drugiej stronie, zastanawiając się, czy Lambert da radę się przez nie przecisnąć. On jednak wyciąga z kieszeni pęk kluczy. Otwieram ze zdziwieniem oczy, gdy prowadzi nas do drzwi w południowej wieży nawy poprzecznej.

– Skąd je masz?

– Burmistrz ma dostęp do wszystkich budynków użyteczności publicznej – wyjaśnia. – Zabrałem je z biurka ojca. Czy architekt nie ma swojego kompletu?

– W zasadzie tak. Teraz ma je Remi. – Nigdy ich nie potrzebowałam, więc się nad tym nie zastanawiałam.

Lambert dłubie w zamku pierwszym kluczem, oświetlony blaskiem księżyca.

– Nie jestem pewien, który z nich pasuje do tych drzwi.

Mam ochotę mu je zabrać, wiem przecież, że dzięki wyostrzonemu wzrokowi zrobiłabym to szybciej, ale i tak poznał już więcej seleńskich sekretów, niż powinien. Właściwy klucz znajduje dopiero za czwartym razem, a gdy tylko otwiera drzwi, na placu słychać echo uderzających o ziemię kroków.

– Szybko! – szepcze, wpychając mnie i Simona do środka. – Ja odwróć uwagę tego, kto nadchodzi.

Drzwi zamykają się z trzaskiem, zostawiając nas samych. Simon nie widzi w połowie tak dobrze jak ja, prowadzę go więc po spiralnych schodach. Przyszła mi do głowy dobra kryjówka, ale najpierw chcę wyjść na wieżę, gdy księżyc nadal oświetla większość miasta.

– Proszę, nie mów, że znowu idziemy na samą górę – szepcze, gdy mijamy miejsce wzdłuż rynien, gdzie ostatnio spacerowaliśmy.

– Nie, tylko tutaj – odpowiadam.

Wchodzimy na następny poziom, który znajduje się na tej samej wysokości co spiczasta krawędź dachu, biegnąca do przysadzistej wieży pośrodku sanktuarium. Stanowi ona punkt, w którym ramiona transeptu krzyżują się z główną częścią świątyni. Wchodzę w światło księżycy, wpadające do środka przez wysokie okna.

– Jest coś, czego muszę spróbować, ale potrzebuję do tego twojej pomocy.

„Opisują królów i królowe, wojowników i wojowniczkę, którzy byli w stanie przejść po moście z blasku księżycy do umysłu innej osoby”.

Z Nichole połączyłam się, gdy obie w tym samym momencie zobaczyłyśmy księżyc. Gdy Remi na niego spojrzy, może będę w stanie wejść do jego umysłu i zobaczyć, gdzie jest.

Ostatnio miałam szczęście, że przewróciłam się do tyłu, zamiast wypaść przez okno. Prowadzę Simona do krawędzi, przy której będę najlepiej widzieć.

– Stań, proszę, za mną i mnie przytrzymaj.

Chłopak wkłada sobie pelerynę na ramiona i kładzie dłonie po obu stronach mojej talii.

– Na co ci ta lina?

W pasie nadal mam przewiązaną linę bezpieczeństwa. Przez chwilę rozważam jej zdjęcie, ale nie chcę tracić czasu.

– Podejź bliżej – mówię. – I chwyć mocniej.

Przysuwa się i obejmuje mnie ramionami w talii.

– W ten sposób?

Bicie jego serca, które czuję na plecach, i jego oddech przy uchu bardzo mnie rozpraszają. Kusi mnie, by użyć kamienia próżni i pozbyć się wszystkich zmysłów poza wzrokiem, ale nie jestem pewna, jak to mogłoby wpłynąć na to, co chcę zrobić.

– Idealnie.

– Co teraz?

– Pilnuj, żebym nie spadła.

– Czy to magia księżycy? – pyta.

– Tak. Boisz się?

– Boję się, skoro uważasz, że będziesz potrzebować mojej pomocy – odpowiada. – Co masz zamiar zrobić?

Biorę głęboki wdech i skupiam się na księżycu.

– Spróbuję znaleźć Remiego.

Nagle dociera do mnie, że moje połączenie z Nichole rozpoczęło się od tego, że zobaczyłam jej oczami księżyc, ale potem zostałam uwięziona w jej umyśle, dopóki nie umarła – gdy znów na niego spojrzała. Jeśli uda mi się wejść do umysłu Remiego, być może nie uda mi się z niego wyjść.

A co, jeśli natknę się na umysł kogoś innego? Jeśli ta umiejętność jest czymś znanym tylko z legend, nie istnieje nikt, kto mógłby mnie przez to przeprowadzić. To zbyt niebezpieczne, kiedy stawka jest tak wysoka. Lambert miał rację – nie musimy odnaleźć Remiego dzisiaj.

Zamykam oczy. To za duże ryzyko.

Ale gdy je otwieram, nie jestem już w południowej wieży.



*Księżyc wpatruje się we mnie przez długie okno niczym oko, rzucając snop światła na otaczającą mnie sieć drewnianych belek. Dopóki się nie pojawił, nie miałem poczucia czasu, czekałem, aż śmierć mnie zaskoczy, ale teraz, gdy księżyc opada coraz niżej, jestem w stanie oszacować jego upływ. Wolałem spędzać ten czas w niewiedzy. Widzę też, że moje stopy zwisają z krawędzi szerokiej belki oraz jak daleko jest podłoga.*

*Biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się z sufitem, pomyślą, że to samobójstwo.*

*Mamo, nie wiem, co ci powiedzą, gdy mnie znajdą, ale przepraszam.*

*Kilka łez spływa mi po policzkach, po czym zostają wchłonięte przez ciasny knebel. Boli mnie szczęka, a lina wokół mojej szyi strasznie drapie – niewielkie niedogodności w porównaniu z całą resztą. Moje nogi są odrętwiałe, a ręce mam związane za plecami. Każdy ruch może sprawić, że stracę równowagę. Raz jeszcze rozważam po prostu pochylenie się w dół, by szybciej z tym skończyć, pozwolić sobie spaść i złapać się na stryczek, ale się boję. Nie chcę umierać. Tak wiele chciałem jeszcze zrobić.*

*Znajdujące się przede mną pełne wdzięku krzywizny z brązu zzieleniały ze starości. Mistrz Thomas twierdzi, że młody, wypolerowany dzwon brzmi jasno i mocno, niczym herold, z kolei „mech irlandzki” nadaje mu głęboką intonację uczonego męża stanu, ja z kolei zawsze myślałem o tym jak o różnicy pomiędzy ostrym a delikatnym słońcem.*

*Parskam. Wygląda na to, że człowiek tuż przed śmiercią zaczyna poetyzować.*

*Ile wahnięć, zanim dzwon będzie na tyle wysoko, by zrzucić mnie z krawędzi, na której siedzę? To dość makabryczna kalkulacja. Zależy pewnie od tego, który z zakonników będzie dziś pociągał linę. Staremu Martinowi może to zająć dwanaście pociągnięć, z kolei brat Vincent załatwi to w dwa lub trzy.*

*Unikałem patrzenia na księżyc, nie chcąc widzieć, jak daleką drogę już przeszedł, jednak moje oczy same podążają w stronę okna jak ćma do ognia.*

*Będziesz za mną płakać, Cat? Tęsknić? Czy Lambert...*



*Rzucam się w stronę księżyca, gdy tylko się na nim skupia. Napad gniewu Remiego i myśl o Lambercie działa na mój umysł jak kotwica, dezorientując mnie. Zamiast wrócić do swojego ciała, najpierw patrzę na nie z zewnątrz – Simon trzyma mnie w uścisku, a księżyc tworzy wokół jego głowy aureolę.*

*– Cat – błaga Simon. – Proszę... och, światło.*

*...Simon. Ten ledwie poczytalny sukinsyn bez grosza przy duszy. Dlaczego? Dlaczego on?...*

Moja głowa zostaje odrzucona do tyłu, jakby ktoś mnie uderzył, kolana się pode mną uginają. Czuję, jak Simon klęka i kładzie mnie sobie na nogach. Widzę jego twarz bladą jak wybielona bielizna w świetle księżyca. W jego oczach maluje się ulga, a chwilę później jego usta lądują na moich.

– Na piekło w dole – dyszy. – Myślałem, że nie żyjesz.

Mrugam.

– Nie żyję? Nie, ale to tylko kwestia... – Zamieram.

To myśli Remiego.

Simon pomaga mi usiąść.

– Byłaś sztywna jak trup – mówi. – Myślałem, że masz jakiś atak. Co się stało?

Oudin i Lambert stoją u szczytu schodów, wpatrując się w nas szeroko otwartymi oczami. Lambert trzyma ręce na ramieniu brata, jakby chciał go przytrzymać.

– Tak źle to wyglądało? – pytam.

– W zasadzie sprawiałaś wrażenie, jakby ci się podobało – odpowiada cierpko Oudin.

Wstaję z trudem.

– Co tu robisz?

– Szukam Remiego – odpowiada Oudin. – Kilka godzin temu się rozdzieliliśmy.

Lambert mruga, jakby wychodził z transu.

– Powiedziałem mu, że też go szukamy.

– Powiedziałeś też, że Simon przekonał cię, że to Remi jest mordercą – warczy Oudin, a Lambert zaciska dłonie wokół jego ramienia.

Simon również się podnosi.

– To Cat sądzi, że mordercą jest Remi, ale ja uważam, że ma ku temu solidne powody. – Dotyka mojego łokcia i ścisza głos. – Widziałaś go...?

– Tak. – Odsuwam od siebie pozostałości emocji Remiego i próbuję sobie przypomnieć, co widział.

Długie wysokie okno. Cienie. Drewniane belki przypominające pajęczynę. Dzwon.

Jest w wieży po drugiej stronie sanktuarium. Zginie, gdy tylko zabiją dzwony wzywające na modły.

Jego strach i desperacja. Myśli o matce. O mnie.

– Remi! – Strącam z ramienia dłoń Simona i pędzę w stronę odległego okna. – Remi, już idę!

Zeskakuję z okna na dach sanktuarium, lądując na zaokrąglonym szczycie. Pozostawiony z tyłu Oudin przeklina, a Simon gorączkowo woła moje imię, podczas gdy ja pędzę po ramieniu transeptu do krępej, przypominającej pudełko wieży pośrodku. Gdy do niej docieram, biegnę po wąskim gzymsie do dłuższej kalenicy prowadzącej na zachodnią fasadę.

Spomiędzy dwóch wież, w których stronę biegnę, świeci na mnie księżyc. To w lewej wieży spędziłam tę cudowną godzinę z Simonem, a w prawej Remi czeka na śmierć. Nie jestem pewna, czy ośmieliłabym się to zrobić w dzień, ale gdy księżyc tak mocno mnie oświetla, to nic trudnego. Przychodzi mi to zupełnie naturalnie. Nie boję się, że źle postawię stopę.

Gdy zbliżam się do końca, nadstawiam uszu. Lambert, Oudin i Simon nie próbowali za mną biec, zamiast tego zeszli na dół i postanowili dostać się na przednią stronę świątyni od zewnątrz, ale ja jestem daleko z przodu. Bardziej niepokoją mnie kroki dochodzące ze schodów wieży. Nadchodzi dzwonnik.

Pomiędzy wieżami jest niska kamienna ściana z kładką. Przeskakuję przez ścianę i skręcam w prawo. Drzwi wieży są zamknięte na klucz. Wałę w nie, wrzeszcząc:

– Remi! Nie ruszaj się! Już do ciebie idę!

Słyszę stłumiony szloch.

Lambert nie dotrze tutaj z kluczami na czas. Przechodzę na przód kładki i przekładam przez nią nogę, by wejść do środka dekoracyjnej wnęki, w której znajduje się chimera bez skrzydeł. Wspinając się po jej plecach, dochodzę do wniosku, że odległość do łukowatych okien jest zbyt ryzykowna nawet dla mnie, dopóki nie zauważam przewodu burzowego umocowanego w kącie. Tak jak przypory przenoszą siłę tysięcy funtów kamienia, metalowy przewód przyciąga wybuchową energię uderzenia pioruna i prowadzi ją aż do ziemi. Chwytam go i obracam się na nim, wyciągając nogę i rękę tak, by dotknęły parapetu.

Odległość nadal jest zbyt duża, ale teraz nie ma powrotu. Odbijam się stopą i rzucam w kierunku otworu. Klatką piersiową uderzam

o dolną krawędź, a ręce rozplaszczają się na ziemi, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Całe szczęście, podczas gdy zewnętrzne ściany świątyni są gładkie i wbudowane tak ciasno, że nie zmieści się pomiędzy nimi choćby nitka, podłoga, której nikt nie widzi, nie jest już tak ważna. Znajduję nierówność pomiędzy kamieniami i się jej chwytam. Palce stóp mają na tyle przyczepności, że mogę się od nich odepchnąć, aż całe ciało znajdzie się wewnątrz, a ja z walącym sercem mogę się wciągnąć do środka.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że mam przecież zawiązaną w pasie linę bezpieczeństwa. Gdybym o tym pamiętała, w jakiś sposób bym jej użyła. Teraz już na to za późno.

Wstaję i rozglądam się. Na mojej wysokości powieszono kilka mniejszych dzwonów. Przechodzę pomiędzy nimi, zerkając na szkielet, który dekady temu postawili pierwsi budowniczowie. Największy dzwon pośrodku zasłania mi widok, ale za nim, blisko sufitu widzę podeszwy butów. Remi siedzi naprzeciwko dzwonu o średniej wadze i wielkości – mówiąc „średniej”, mam na myśli cztery stopy średnicy i wagę ponad dwóch tysięcy funtów. Bez problemu zrzuci go z krawędzi.

Jak, na Światło, prawdziwy zabójca się tam dostał?

Pomiędzy belkami wiodą wąskie kładki, ale spiralne schody prowadzące na szczyt wieży są odgrodzone długimi metalowymi kratami, więc nie ma sensu próbować tamtędy. Po przeciwnej stronie leży przyłączona do wielokrążków drewniana platforma, służąca do podnoszenia osób, które robią przegląd dzwonów.

Przecięto przy nich liny.

Po ścianie biegną kolejne sznury, które prowadzą do kół umieszczonych po bokach dzwonów. Końce liny idą przez podłogę do pomieszczenia dzwonnika. Nawet z wyostrzonym wzrokiem nie dałabym rady stwierdzić, która lina prowadzi do którego dzwonu – wtedy wystarczyłoby przeciąć linę prowadzącą do tego, który wisi tuż przed Remim. Zapadnia musi być zaryglowana od spodu, bo nie drgnie ani o cal.

Wspięcie się na szkielet mnie nie przeraża, ale zajmie sporo czasu. Gdy wciągam się na niższy dzwon, waga mojego ciała przechyla go na tyle, że serce uderza w jego bok.

Z oddali taki niewielki dzwon brzmi delikatnie i przyjemnie. Jednak tutaj, gdy jestem otoczona kamiennymi ścianami i magią, pogłos jest ogłuszający, nie mówiąc już o wibracji samego metalu, która przechodzi boleśnie przez moje ciało. Gołębie przesiadujące na belkach otaczających dzwon zrywają się do lotu.

– Trzymaj się, Remi! – krzyczę przez szczękające zęby. – Wspinam się po ciebie!

Jestem w połowie drogi na górę, gdy Simon, Lambert i Oudin docierają w końcu do wieży przez zamkniętą od dołu zapadnię.

– Cat! – krzyczy Simon. – Gdzie jesteś?

– Tutaj! – odpowiadam. – Remi jest uwięziony! Powstrzymaj dzwonnika, zanim coś mu się stanie!

Lambert i Simon zbiegają w dół tą samą drogą, którą przyszli, Oudin z kolei zostaje, podnosząc wzrok, by mnie znaleźć. Księżyc przepłynął już obok okna, przez co wewnątrz wieży jest niemal zupełnie pogrążone w ciemności. Widzę cokolwiek tylko dzięki kamieniowi księżycowemu od Athene.

Gdy Oudin zaczyna wspinać się tą samą drogą co ja, jeden z dzwonów zaczyna bić. Ptaki, które zdążyły już wrócić na miejsce, znów wznoszą się w powietrze, a ja przykrywam twarz dłonią, by ochronić się przed piórami i szponami, przez co tracę cenne sekundy. Jestem już na równi z największym dzwonem. Stopy Remiego są jedynie długość ramienia ode mnie, gdy zauważam, że płaszcz dzwonu zaczyna się poruszać.

Ktoś pociąga za linę.

– Nie! – wrzeszczę. – Przestańcie!

Dzwon przechyla się do tyłu, sięgając dalej. Nawet jeśli dotrę do Remiego w ciągu najbliższych kilku sekund, nie będę miała czasu sprowadzić go na dół ani usunąć z drogi. Nie uda mi się też zatrzymać czegoś tak ciężkiego.

Ale teraz widzę, która lina prowadzi do koła.

Wystarczy przeskoczyć na pobliską parę belek, po których następnie przebiegam na drugą stronę. Chwytam za linę, by zatrzymać jej ruch, jednak waga rozhuśtanego dzwonu przeciąga ją przez moje zaciśnięte dłonie, pozostawiając na nich palące ślady.

Muszę ją przeciąć. Sięgam do pasa po nóż, jednak w ostatniej chwili zdaję sobie sprawę, że go tam nie ma – pożyczyłam go



Remienu.

Dzwon kołysze się po raz kolejny, przechylając się jeszcze wyżej, a jego serce ociera się o bok i wydaje z siebie ostrzegawczą nutę.

Nie mam czasu. Muszę znaleźć jakikolwiek ostry przedmiot.

Zagłębiam rękę w kieszeni w poszukiwaniu kamienia próżni, ale moje palce są tak otarte, że niemal go upuszczam. Drugą ręką ściskam linę, której nie próbuję zatrzymać, tylko poruszam się wraz z nią w górę i w dół, przecinając ją od spodu. Pierwszy fragment ustępuje, gdy dzwon uderza po raz kolejny, jeszcze głośniejszy. Dzwoni mi w uszach, kiedy przyciskam coraz mocniej i przeciągam przypominającą szkło krawędź po włóknach, słysząc i czując coraz więcej z każdym ruchem.

Puszcza kolejny postronek. Został jeszcze jeden.

Kątem oka widzę, że Oudin pojawia się na kładce. Raz jeszcze zdecydowanym ruchem przecinam linę, w końcu ją przerywając. Nie zdążam poczuć ani ułamka sekundy ulgi, bo kamień próżni wbija mi się w przedramię.

Świat ciemnieje.



## ROZDZIAŁ 61



Przez kilka sekund mam wrażenie, że umarłam. Nie widzę, nie słyszę, nie czuję nawet żadnego zapachu. Wszystko, czego dotykałam, zniknęło. Chwilę później po moim ramieniu zaczyna spływać coś ciepłego i mokrego – zdaję sobie sprawę, że przecięłam się kamieniem próżni, który zaabsorbował całą magię z mojej krwi, zostawiając mnie z niczym. Po tym, jak posiadałam tak ogromną moc, zwykłe zmysły okazują się tak niewystarczające, że ledwie mogę odróżnić górę od dołu.

Kolejne uderzenie dzwonu jest ciche niczym szept, być może dlatego, że straciłam słuch, ale wiem, że nie przechyli się wyżej. Ocalałam Remiego.

Ale teraz prawdziwy morderca jest zaledwie kilka stóp stąd.

Gdy biegłam po dachu do wieży, próbowałam zrozumieć, kto mógłby to wszystko zrobić. Jediną możliwością był Oudin. Gardził Juliane tak samo jak własną matką. Znał wszystkie ofiary. Nienawidził Simona. Jego znajomość z Remim doprowadziła do zrobienia w morderstwa mistrza Thomasa, by przyjaciel szybciej awansował na mistrza architekta. A jeśli wiedział, co ten czuje do mnie, pozbycie się matki Agnes również miało sens – jej śmierć

sprawiłaby bowiem, że Remi pozostałby jedyną osobą, do której mogłabym się zwrócić.

Ale po co uwięził Remiego? Być może wyznał mu, co zrobił, a ten nie był mu tak wdzięczny, jak Oudin się spodziewał. Uszkodzenie sanktuarium i atak na mnie były wiadomością, która miała dać nam do zrozumienia, że i nas może zniszczyć, ale Remi i tak miał zamiar udać się ze swoją wiedzą do burmistrza, musiał więc umrzeć.

Wciskam kamień próżni do kieszeni i wyciągam spod koszuli naszyjnik Athene. Jeśli jedynym sposobem na odzyskanie magii jest wystawienie mojej krwi na światło księżyca, może uda mi się to zrobić za pomocą kamienia. Przyciskam go do rany na ramieniu i zalewa mnie fala ulgi, gdy świat znów staje mi przed oczami, choć światło jest o wiele słabsze. Oudin jest dokładnie w tym samym miejscu na kładce, w którym widziałam go po raz ostatni. Sięga po stopy Remiego, by ściągnąć go w dół.

– Nie! – wrzeszczę i rzucam się na niego z boku.

Jest zbyt masywny, by udało mi się wiele wskórać, ale stoi na palcach, a ja zaskakuję go na tyle, że traci równowagę i spada. Udaje mu się jednak chwycić krawędzi jedną ręką. Patrzy na mnie, przerażony, gdy uderzam pięściami w jego palce, aż traci chwyt i znika jak po upadku z rusztowania w noc, w którą próbował mnie zabić.

Oudin spada na jeden z większych dzwonów, z którego stacza się i po chwili dalej leci w dół. Nie ma się czego chwycić aż do ostatniego rzędu dzwonów, w które uderza z trzaskiem odbijającym się echem po wieży. Uderza w belki i ląduje na ziemi, nieruchomy jak worek mąki.

Wypełzam spod nadal bijącego dzwonu, podnoszę się i chwytam za but Remiego.

– Jestem tutaj, Remi! Zaraz wymyślę, jak cię stąd ściągnąć.

Podciągam się do niego i siadam okrakiem na belce. Gdy ściągam stryczek z jego szyi, zaczyna szlochać z ulgą, a ja sięgam dłońmi do związanych nadgarstków. Moje palce są poobdzierane przez próby zatrzymania liny połączonej z dzwonem, ale udaje mi się na tyle rozluźnić węzeł, by jedną pętlę prześliznąć przez jego dłonie, po czym łatwiej mi zdjąć resztę. Gdy udaje mi się go uwolnić, Remi natychmiast chce mnie przytulić, ale jego ramiona i dłonie poruszają

się niezdarnie po tak długim unieruchomieniu. Klękam i przyciągam jego głowę do piersi. Płacze.

– Cii, Remi, to koniec. Jesteś bezpieczny.

Mój wielki, głupi Remi, który kocha mnie bardziej, niż kiedykolwiek miał odwagę przyznać. Jak mogłam myśleć, że to on jest zabójcą?

Próbuje mi coś powiedzieć przez knebel, przechylam więc jego głowę do góry i ciągnę za mokry, poskręcany materiał, by wyjąć mu go z ust.

– Cah – mówi, ale jego język i usta są teraz tak bezużyteczne jak ramiona. – Rammy.

Krew z mojego przedramienia rozsmarowała się na jego twarzy, ale rana nie jest głęboka.

– Nic mi nie jest – zapewniam. – To tylko zadrapanie.

– Nie, Cat. – Remi rozciąga mięśnie twarzy w kilku kierunkach. – Powiedziałem: „Lambert”.

– Co z nim?

– On mi to zrobił. – Porusza nogami, jęcząc. – Złapał mnie na ulicy, przyłożył coś do twarzy, a gdy się ocknąłem, byłem wciągany na górę.

– Lambert. – Patrzę na niego, zdezorientowana. – Lambert Montcuir?

Remi przytakuje, rozmasowując szczękę.

– A nie Oudin?

– Oczywiście, że nie Oudin. – Milknie, by przełknąć ślinę. Zerka na ledwie widoczny ciemny kształt leżący na dole. – To on spadł?

Siadam na piętach, nadal próbując to wszystko zrozumieć. Nie Remi. Nie Oudin. Ani nawet nie hrabia Montcuir.

Lambert.

Który jest teraz z Simonem.



## ROZDZIAŁ 62

– Dokąd idziesz? – Remi stara się iść za mną, ale jest zeszywniały i powolny, a ja, schodząc po ramie, nie mogę sobie pozwolić na to, by na niego czekać ani by mu odpowiedzieć. Widzę tak dobrze, jak widziałabym w dzień, ale księżyc zniknął z okna, a pełna moc dosłownie wyślizguje mi się z dłoni.

Zeskakuję z wysokości kilku stóp na ziemię, lądując obok Oudina, który jęczy i przewraca się na plecy. Nie ma czasu na przeprosiny ani wyjaśnienia; pędzę na drugą stronę wieży, w stronę zapadni. Na samym dole schodów Brat Światła oświetla latarnią wystrzępiony koniec liny.

– Kim jesteś? – pyta stanowczo, gdy zbiegam po schodach. – To twoja sprawka?

Nigdzie nie ma Simona i Lamberta.

– Gdzie są mężczyźni, którzy przed chwilą tutaj byli? – dyszę.

Przejmujemy się dwiema zupełnie różnymi sprawami. Zakonnik upuszcza linę i zbliża się do mnie, potrząsając pięścią.

– Wysoki kapłan o wszystkim się dowie.

Zanim uda mu się mnie złapać, chwytam jego szaty i krzyczę:

– Dokąd poszli?!

Przestraszony, uderza moje ręce otwartą dłonią i wskazuje drzwi prowadzące do wnętrza świątyni.

– Tam! A teraz wynoś się stąd!

Puszczam go bez słowa i mknę we wskazanym przez niego kierunku, przeklinając częściową ślepotę.

Zbiegam po kolejnych schodach i wychodzę na triforium znajdujące się ponad pasażem na poziomie galerii. Chociaż pełni głównie funkcję dekoracyjną, jest najdłuższym przejściem prowadzącym przez całą długość budynku. Lambert mógł nim przejść z obu stron, by znaleźć się po drugiej stronie świątyni, mógł też zejść w dół. Przechodzę na środek fasady, tyłem do okrągłego okna, w którym jaśnieje księżyc. Szkło witrażowe blokuje jakąkolwiek szansę na to, że odzyskam potężniejsze zmysły, ale i tak słyszę dźwięki odbijające się od kamiennych ścian. Zamykam oczy i nasłuchuję.

Kroki. Jedna para. Poruszają się ciężko, zwłaszcza jedna noga. Po latach pracy na budowie wiem, jak brzmi ktoś, kto niesie coś nieporęcznego. Lambert kieruje się w stronę otwartych drzwi w wieży transeptu, prawdopodobnie z Simonem przerzuconym przez ramię. Nie słyszę żadnych odgłosów walki, więc Simon jest zapewne nieprzytomny – i żywy, inaczej Lambert nie miałby powodu, by go ze sobą nieść. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Truchtem przemierzam nawę i zerkam na pasaż pod triforium. Kolumny triforium tworzą podzielone na grupy cienie – każda grupa składa się z trzech kolumn. Po drugiej stronie znika poruszający się niezdarnie cień. Pędzę w jego kierunku, a mój umysł próbuje złożyć fragmenty układanki w sensowną całość.

Simon miał rację, że Lambert pasował do stworzonego przez niego opisu mordercy – nawet ja mogę to teraz przyznać – ale nie rozumiem, dlaczego to zrobił. Miał wszystko, czego pragnie większość ludzi: pieniądze, władzę, a wkrótce również i małżeństwo, które sprawi, że dostałby więcej i pierwszego, i drugiego. Czego tak naprawdę pragnął? Tak jak wcześniej mam wrażenie, że brakuje mi czegoś ważnego, chociaż może to dlatego, że biegnę tak szybko, że ledwo jestem w stanie myśleć.

Gdy docieram do ramienia transeptu, czuję, jakby płuca miały mi zaraz eksplodować. Zakręcam w stronę schodów, walcząc o oddech,

i zatrzymuję się, by ponownie nasłuchiwać. Na górze do lotu zrywają się gołębie. Coś je przestraszyło.

Lambert poszedł do góry, w stronę miejsca, w którym weszłam w umysł Remiego. Idę za nim, jedną dłonią przytrzymując bok, w którym pojawiła się kolka. Teraz zdaję sobie sprawę, że gdy próbowałam wrócić do swojego ciała, nie przeszłam przez myśli Oudina, tylko Lamberta, patrzącego, jak Simon trzyma mnie w ramionach. Był zdziwiony i zły na to, co zobaczył. Nienawidził Simona, a to uczucie nie zaczęło się dzisiejszej nocy.

Próba zamordowania Remiego może i się nie udała, ale w przypadku Simona Lambert nie pozostawi niczego losowi.

Schody wychodzą na pierwsze półpiętro, w miejscu, gdzie okna zrównują się z dolną częścią głównego dachu. Zatrzymuję się, by wystawić ranę po skaleczeniu kamieniem próżni na światło księżyca – pozwalam magii ponownie popłynąć przez moją krew.

Ze zdziwieniem zauważam, że Lambert, zamiast wyjść na wyższe części wieży, idzie wzdłuż szerokiej rynny na dolnej krawędzi dachu. Kieruje się w stronę wschodniego krańca świątyni. Nieruchome ciało Simona zwisa z jego prawego ramienia, a dzięki blaskowi księżyca słyszę, że chłopak oddycha. Żyje, ale od śmiertelnego upadku dzieli go jeden zamaszysty ruch Lamberta.

Jednak z jakiegoś powodu jestem pewna, że taki banalny koniec nie wystarczy Lambertowi, nie po tym, jak na własne oczy zobaczyłam, co jego furia każe mu robić ze swoimi ofiarami. Paradoksalnie to działa na moją korzyść.

Ciało Simona go spowalnia, ale i tak udaje mu się dotrzeć na miejsce przede mną. Mija Pierre'a i idzie dalej przez osłonięty portyk ponad kołem ze szkła witrażowego, pasującego do tego, które znajduje się w zachodniej fasadzie. W przeciwieństwie do przejścia na przedzie świątyni nie ma tutaj barierki. Można stąd zejść tak łatwo jak z ulicy do rynsztoka, z tym że tutaj spadek wynosi osiemdziesiąt stóp. Poniżej znajdują się kuźnie dwóch kowali z pionowymi stojakami, na których zawieszono dziesiątki żelaznych i stalowych prętów do wytwarzania gwoździ i haków. Nikt nie przeżyłby lądowania.

Na zakręcie chwytam Pierre'a, by się zatrzymać.

– Lambercie!

Odwraca się w połowie drogi i uśmiecha.

– Tak, moja droga Catrin?

Zupełnie jak kamień próżni w mojej kieszeni jego głos jest ostry i okrutny. Jak wtedy, gdy przycisnął zimne ostrze do gardła Ysabel.

„Chcę, żebyś umarła”.

Z wysiłkiem spowalniam oddech, pozwalając, by rzeźba oddzielała mnie od Lamberta.

– Dokąd idziesz?

Wiatr gwizdże pomiędzy kolumnami zakończonymi łukiem, brzmiąc jak Perrete po raz ostatni błagająca o pomoc. Lambert rozgląda się leniwie.

– W zasadzie może być i tutaj. – Niemal beztrosko zrzuca Simona z ramienia.

Słyszę łoskot, gdy głowa Simona uderza o kamienny pasaż.

Zaciskam dłonie na skrzydle Pierre’a, by powstrzymać się przed pobiegnięciem do syna burmistrza.

– I co teraz zrobisz?

Lambert wpatruje się w bladą twarz Simona.

– Teraz to zakończę.

Furia wbija się w mój żołądek niczym nóż.

– To niezbyt uczciwe zabijać zwycięzcę twojej chorej gierki, nie sądzisz?

– On niczego nie wygrał. – Podnosi wzrok, by na mnie spojrzeć. – To ja zdałem sobie sprawę, że nagroda nie jest tego warta.

Nagroda? Nie ma mowy o nagrodzie, jeśli obie strony nie pragną tego samego. Zakładałam, że zawody były rywalizacją pomiędzy myśliwym i zabójcą, a przegrany zostanie złapany lub niesłusznie oskarżony. Lambert grał jednak w zupełnie inną grę, ale o co?

Rozumiem dopiero, gdy widzę pogardę w jego spojrzeniu.

– Chodziło ci o mnie.

Lambert unosi brwi.

– A z jakiego innego powodu tak bym się napracował?

„Napracowałam”.

Zabicie matki Agnes, uwięzienie mistrza Thomasa, doprowadzenie do rozłamu pomiędzy mną a Simonem, odebranie mi tego, co dawało mi cel w życiu...



– Chciałeś mnie zdobyć, niszcząc wszystkich i wszystko, co było dla mnie ważne? – pytam z niedowierzaniem.

Lambert parska.

– Oni powstrzymywali cię przed zdaniem sobie sprawy, w jak złej jesteś sytuacji. Nigdy nie porzuciłabyś swojego kochanego architekta ani sanktuarium, a gdybyś jednak je straciła, zawsze mogłaś wrócić do opactwa. – Czubkiem buta Lambert zwraca twarz Simona do góry.

– Ten tutaj właściwie zabronił ci się ze sobą kontaktować, a gdy Remone obwinił cię o zawalenie się rusztowania, miałaś zwrócić się do jedynej osoby, która nigdy cię nie oceniała. Do mężczyzny, który zawsze cię słuchał i pomagał ci wtedy, gdy nikt inny nie chciał.

– Tego samego, który próbował mnie tamtej nocy zabić? – pytam, a w moim tonie czai się wyzwanie.

Lambert przewraca oczami.

– Nie zabiłbym cię, Catrin. Pozwoliłbym ci uciec, chociaż do momentu oberwania platformy wyglądało na to, że będę musiał cię zostawić nieprzytomną, ale jakimś cudem nadal żywą. Myślałem, że być może zdążyłbym wrócić, by cię uratować.

„Uratować”.

Gdy tylko używa tego słowa, zdaję sobie sprawę co łączyło wszystkie ofiary. Juliane opisywała romantyczną wizję Lamberta – uratować jakąś kobietę z biedy, tak jak ojciec uczynił z jego matką. To tego poszukiwał u Perrete, Ysabel i Nichole, a jednak coś poszło nie tak.

Lambert ponownie zerka na Simona.

– Ale to nie do mnie udałaś się tamtej nocy po pomoc – warczy. – A do niego. – Zdegustowany stopą odsuwa twarz Simona na bok. – Zdradziłaś go, a on cię odesłał i mimo wszystko wróciłaś na kolanach do mężczyzny, który nie może ci nic zaoferować. – Kręci głową. – A potem Remone ci przebaczył. Oudin powiedział mi nawet, że ci się oświadczył, a ty nie powiedziałaś: „Nie”.

Remi nie stanowił dla niego zagrożenia, dopóki nagle nie pojawiła się możliwość, że wybiorę jego. I dlatego musiał umrzeć. Tak samo jak Simon.

Jeśli Lambert nienawidzi mnie teraz tak jak ich, najbardziej pragnie zemsty. Pytanie brzmi, czy gdyby miał wybierać, zabiłby mnie czy Simona. A jeśli mnie, to co mam zrobić? Mam pewien

pomysł, ale by go zrealizować, potrzebuję czasu i czegoś, co odwróci jego uwagę.

Sięgam do pasa w miejscu, w którym rzeźba blokuje mu widok.

– A co z pozostałymi kobietami? – pytam, wyczuwając palcami siedem pętli liny bezpieczeństwa. Próbuję go zagadać. – W jaki sposób ci się naraziły?

– Zachowujesz się, jakbyś była gotowa zniżyć się do rozmowy z tymi... kobietami. – Ostatnie słowo ocieka pogardą. – Ale mnie też obrzydzały. Zrobiłyby wszystko dla pieniędzy. Żadna z nich w ciemności nie odróżniłaby mnie od brata. Wiesz, że Perrete zaproponowała nam kiedyś, byśmy się nią podzielili?

Był dla nich jedynie źródłem szybkich, łatwych pieniędzy.

– Nie doceniały tego, co im oferowałeś – mówię.

– Tak. – Lambert kręci głową. – Tym razem nie miałem zamiaru przegrać. Musiałem tylko lepiej przemyśleć to, jak powinienem się prezentować.

„Nigdy nie zmieni się to, czego potrzebuje zabójca. Zmienić się może sposób, w jaki to uzyskuje”.

Nie widziałabym siebie jako kogoś, kto potrzebuje ratunku, dopóki nie zabrano mi wszystkiego, co miałam, i miejsca, do którego mogłabym się zwrócić. To samo szaleństwo, inna metoda.

Lambert kiwa głową w stronę leżącej u jego stóp nieruchomej sylwetki.

– Nawet gdy przyszedł do Simona, wierzyłem, że mam szansę. Dopóki was dziś nie zobaczyłem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że wszystko, co robiłaś, było grą, chciałaś po prostu dostać to, czego potrzebowałaś. Byłem głupcem. Niczym nie różnisz się od całej reszty.

W jakimś stopniu ma rację. Wykorzystałam to, że mu się podobam, by pomógł mi dostać się do więzienia, i nie odrzucałam jego delikatnych zalotów – ale to nie oznaczało, że jestem jego własnością.

Lambert robi nagły krok w moją stronę, a w jego ciemnych oczach płonie morderczy szal. Cofam się odruchowo, wyrzucając z siebie pytanie, na które nadal potrzebuję odpowiedzi:

– A co z Juliane?

Jego wyraz twarzy natychmiast zmienia się z gniewu w udrękę, ciało kurczy się do środka, jakby ktoś go uderzył.

– Juliane? – szepcze.

Podchodzę znów do Pierre’a, trzymając w dłoni odpięty haczyk liny bezpieczeństwa.

– Nie kochałeś jej?! – wołam zza pleców rzeźby. – Ona ciebie kochała.

Lambert się wzdryga.

– To była litość. Nieraz prosiła mnie, bym ukrocił jej cierpienie.

To nie była żadna litość i on dobrze o tym wie. Perrete, Ysabel i Nichole były ofiarami furii. Pozostałe morderstwa były metodycznym pozbyciem się osób, które stały mu na drodze.

Może i zabił Juliane w jak najbardziej bezbolesny sposób, ale to, jak ją zostawił – z czułością przykrywając kołdrą i ułożoną tak, jakby spała – podpowiada mi, że była jego ostatecznym poświęceniem w pogoni za nagrodą. Tego zabójstwa żałuje.

Ona jest kluczem do tego, by go rozbroić. Ale nie jestem jeszcze na to gotowa.

– Nigdy nie miałam wrażenia, że Juliane jest pozbawiona nadziei – mówię. – Szczerze mówiąc, dzięki Simonowi miała w sobie więcej optymizmu niż przez ostatnich kilka lat.

Moje ryzyko się opłaca – Lambert zerka na Simona, a ja odwijam jedną pętlę liny. Każda z nich to jakieś trzy stopy, a to oznacza, że potrzebuję jeszcze dwóch.

– Simon był jeszcze bardziej szalony niż ona – mruczy. – Po prostu lepiej to ukrywał.

Krzywię się, słysząc, że mówi o nim w czasie przeszłym, ale staram się zabrzmieć jak najostrzej:

– Jeśli Simon był szaleńcem, co to mówi o tobie, skoro tak dobrze cię rozumiał?

Lambert odrzuca głowę do tyłu i wybucha pozbawionym wesołości śmiechem, który odbija się echem dookoła nas. Zdejmuję drugą pętlę i przyciskam ją do boku Pierre’a, by pozostała niezauważona. Lambert wymachuje ręką w stronę Simona.

– Gdyby mnie rozumiał, to teraz by tutaj nie leżał. Simon nigdy nie brał mnie pod uwagę.

Ale to nieprawda. To moje wyparcie i jego strach przed stronniczością sprawiły, że odrzucił tę teorię. A jeśli miał rację w tej sprawie, miał ją zapewne również w innych, nawet jeśli sam nie rozumiał dlaczego.

– Wiedział o Beatriz – mówię.

To sprawia, że Lambert się waha.

– Wiedział – przyznaje. – To było imponujące. A może po prostu miał szczęście. – Jego twarz wykrzywia gorzki grymas. – Od niej nauczyłem się najwięcej. Czyli tego, że żadna kobieta nie jest warta tego, by o nią błagać.

– Czyli to one powinny błagać ciebie, tak? – Opieram się o rzeźbę, a każdy nerw w moim ciele drży. – Tyle że żadna tego nie zrobiła. Nawet twoja siostra wolała Simona.

Może to zbieg okoliczności, ale gdy wymawiam jego imię, głowa chłopaka delikatnie się porusza. Z przerażeniem zauważam, że jego twarz napina się wokół miejsca na skroni, gdzie tworzy się siniak. Przyda mi się odwrócenie uwagi, ale przebudzenie Simona byłoby najgorszym z możliwych.

– Cat! – W oddali słyszę niesiony przez wiatr okrzyk Remiego. – Cat! Gdzie jesteś?

Remi będzie lepszym rozproszeniem niż Simon. Tymczasem muszę pilnować, by Lambert był skupiony na mnie.

– I właśnie z tego powodu zabiłeś Juliane – rzucam. – Gdy pojawił się Simon, już cię nie potrzebowała.

To oskarżenie uderza w cel, a przynajmniej bardzo niedaleko. Lambert skupia na mnie całą swoją uwagę.

– A potem – kontynuuję – gdy obawiałeś się, że jej szaleństwo powstrzyma mnie przed zaakceptowaniem ciebie, stała się jedynie kolejną przeszkodą, powstrzymującą cię przed odebraniem nagrody.

Sposób, w jaki prowadzę tę rozmowę, robi się niebezpieczny; mój gniew wzrasta do niekontrolowanego poziomu.

– Bo tym była też matka Agnes, prawda? – wrzeszczę na wietrze. – Kobieta, która w jeden dzień czyniła więcej dobra niż ty przez całe życie, była przeszkodą? – Głos mi się załamuje i nie jestem w stanie wymówić imienia Marguerite. – Siostra, która była piękna, niewinna i kochająca, była przeszkodą?

– Cat! – Remi biegnie w naszym kierunku, wzdłuż rynny po przeciwnej stronie dachu.

Ktoś inny dużo wolniej nadchodzi tą samą drogą, którą przyszedłam, prawdopodobnie Oudin. Lambert odwraca się, by tam spojrzeć, a z mojej talii odwija się trzecia pętla.

Jestem prawie gotowa.

Simon jęczy, jedną ręką sięgając do twarzy. Lambert zerka na niego, a ja w pośpiechu zawiązuję linę na wyciągniętej łapie Pierre’a i zapinam haczyk w pasie.

Skończył mi się czas.

– Lambert!

Odwraca się do mnie, gdy wychodzę zza rzeźby, pochylając się, by przejść jak najbliżej skrzydeł.

– Wiesz, co myślę? – Prostuję się i przytrzymuję linę przy plecach, by nie rozluźniła się przy talii. – Nigdy nie kochałeś Juliane. Sprawiała tylko, że czułeś się lepiej sam ze sobą.

Podchodzę na skraj pasażu, ustawiając się tak, by ukryć przed nim prowadzącą do Pierre’a linę.

– A ona zdawała sobie z tego sprawę. Dlatego wołała Simona. Dlatego wołała mnie.

Tęczówki Lamberta rozszerzają się tak, że jego oczy są niemal całe czarne, a ciało się napina. Nie zauważa, że Simon wykręca się, by na mnie spojrzeć, mrugając szybko, jakby próbował się skupić.

Staję ledwie kilka cali od krawędzi.

– I dlatego nikt nigdy nie był w stanie cię pokochać.

Remi pojawia się na drugim końcu pasażu, a oczy Simona otwierają się w przerażeniu, gdy zdaje sobie sprawę, co się dzieje.

– Nie! – wrzeszcza obaj, gdy Lambert się na mnie rzuca.

Zamiast usunąć się z drogi, obejmuję go.

W końcu sam tego chciałem.



## ROZDZIAŁ 63

Spadamy.

Moje stopy odrywają się od pasażu, a ja obracam się w powietrzu, ostatnie trzy i pół pętli wokół mojej talii odwija się jak szpulka nici.

Szpulka, która może rozerwać mnie na pół.

Odpycham od siebie Lamberta rękami i nogami. Przy trzecim obrocie jesteśmy już na tyle rozdzieleni, że gdy kończy się lina, nie może mnie utrzymać i puszcza.

Zatrzymuję się gwałtownie, podczas gdy siła pędu wyrzuca moje kończyny w dół, a głowa tańczy bezwładnie w przód i w tył jak bicz. Lambert spada siedem kolejnych pięter w dół, lądując na stojaku pełnym pionowych żelaznych prętów. Kilka z nich przebija jego ciało, wydając dźwięki, których wolałabym nie usłyszeć i których nigdy nie zapomnę. Leży twarzą do góry; z jego torsu wystają dwa pręty, a kolejny z szyi.

Jedną dłonią sięga do metalu, który przebił mu gardło, ale ramię również ma przebite, więc palce ledwie się o niego ocierają. Charczy, a na ustach pojawiają się bąbelki krwi, która cieknie również z ran na piersi. Rozgorączkowane niewidzące oczy patrzą w niebo, nie mogąc znaleźć tego, czego szukają, aż w końcu wydaje z siebie zduszony okrzyk i przestaje się szamotać, a jego nadgarstek słabnie i opada na

ramię. Jego ciało robi się bezwładne, wypuszczając długi, drżący oddech.

Jego serce bije raz jeszcze.

I się zatrzymuje.

Zwisam wysoko nad nim, zgięta w pół przez zawiązaną w pasie linę, a z ponownie otwartej rany na lewym przedramieniu krew sączy się aż do czubków palców. Kilka kropli ląduje na twarzy Lamberta i spływa po niej niczym łzy.

– Cat! – krzyczy z góry Remi. – Cat! Nic ci nie jest?

Jęczę.

– Możliwe, że coś złamałam. Żebro. Może dwa. – Gdy przekręcam się, by przenieść napięcie liny z brzucha na plecy, sznur podwija mi się pod pachami.

Przez chwilę ulga, jaką mi to przynosi, sprawia, że zapominam o bólu.

Twarz Remiego pojawia się nad krawędzią portyku, a jego zielone oczy są otwarte tak szeroko, że ze wszystkich stron widzę otaczające je białka. Simon pojawia się tuż obok niego.

– Trzymaj się. Wciągniemy cię z powrotem.

Poddaję się sile grawitacji; moje ręce i nogi zwisają bezwładnie, a ja ledwie zauważam, że powoli unoszę się coraz wyżej. Po chwili czuję dłonie, które chwytają mnie za ręce i zaczepiają się pod pachami, by przenieść mnie na pasaż. Simon odsuwa moje nogi z krawędzi, podczas gdy Remi tuli mnie do siebie, płacząc.

– Dlaczego to, do cholery, zrobiłaś? – szlocha.

– A ty byś tego dla mnie nie zrobił? – pytam.

Oddychanie boli trochę mniej, gdy ciężar mojego ciała nie jest podtrzymywany przez cienką linę.

Oudin przechyla się przez ramię Remiego. Pół twarzy ma opuchnięte od sińców, ale i tak wygląda lepiej, niż się spodziewałam.

– Co się stało? Gdzie jest Lambert?

Remi wyjaśnia wszystko, co widział, podczas gdy Simon ostrożnie bierze mnie w ramiona. Ze zdziwieniem zauważam, że Remi wypuszcza mnie bez protestów.

– Krwawisz – mówię Simonowi, zauważając ranę na jego lewej skroni.

Tam musiał uderzyć go Lambert.

– To nic takiego. – Nachyla się, by mnie przytulić. – Przepraszam  
– szepcze mi do ucha. – Powinienem był wiedzieć, że to on.  
Zawiodłem cię.

Ukrywam twarz w kołnierzu jego koszuli.

– Żadne z nas nie chciało, by taka była prawda. A ty wiedziałeś.  
Błędnie odczytałeś jedynie to, czego chciał.

Simon odsuwa się ode mnie na tyle, by spojrzeć mi w oczy. Skaza  
zniknęła w cieniu jego brwi.

– A czego chciał?

Wzdycham.

– Mnie. Chciał pozostać jedyną osobą, do której mogłabym się  
zwrócić. – Posyłam mu słaby uśmiech. – Ale jego plan nie zakładał,  
że mi wybacysz.

– Jak mógłbym tego nie zrobić? – Głaszczę mój policzek. – Nigdy  
nie poznałem nikogo, kto tak mocno walczyłby, by ochronić tych,  
których kocha.

Moja skóra ogrzewa się pod jego łagodnym dotykiem.

– Pamiętasz to, o czym myślałeś w kuchni? Zastanawiałeś się, czy  
będę cię chronić.

Jego dłoń zamiera.

– Słyszałaś to?

– Tak. – Sięgam do strupa w kąciu jego ust. – Krwawiłeś.

Simon marszczy brwi.

– To niezbyt ładnie, podsłuchiwać czyjeś myśli bez pozwolenia.

– To był wypadek. Nie wiedziałam, co robię. – Tak jakby.

– Hmm... – Simon zerka na Remiego i Oudina, którzy wyglądają  
zza krawędzi pasażu, rozmawiając ściszymi głosami, wpatrzeni  
w ciało Lamberta.

– Pamiętasz moją odpowiedź?

Przenosi wzrok na mnie.

– Dlatego powiedziałaś: „Tak”?

Kiwam głową.

– Mówiłam poważnie. Jeśli tego chcesz.

Gdy nie odpowiada, przesuwam dłonią po jego szczęce aż do krwi  
spływającej mu po policzku.

– Mogę posłuchać tego, o czym myślisz teraz?

Jego twarz się wykrzywia.



- Jeśli jesteś pewna, że chcesz wiedzieć.
- Jestem.

Nie opiera się, gdy wkładam mu palce we włosy, tuż ponad siniakiem na głowie. Na długą chwilę zamykam oczy i nasłuchuję. Gdy znów je otwieram, Simon obserwuje mnie z wyrazem twarzy, który chyba jest nadzieją. Uśmiecham się.

- Chcę tego samego.

Odciąga moją dłoń, kończąc połączenie, ale ledwie sekundę później jego usta lądują na moich, a ja nie potrzebuję krwi, by znać jego odpowiedź.



## ROZDZIAŁ 64

– Ekhem.

Simon przerywa pocałunek, by spojrzeć w górę. Zarówno Oudin, jak i Remi odwracają oczy. Całe szczęście Remi wygląda raczej na zrezygnowanego niż wściekłego, gdy obserwuje, jak Simon pomaga mi usiąść prosto.

– Nie minie wiele czasu, zanim strażnik miejski znajdzie mojego brata. – Oudin przechyla głowę, by zwrócić naszą uwagę na krwawą scenę pod nami. – Musimy ustalić, co powiemy.

– Prawdę – odpowiadam. Mięśnie mojego brzucha bolą tak bardzo, że muszę opierać się o Simona. – Lambert zamordował wszystkie te kobiety, spowodował zawalenie oraz próbował zabić Remiego, Simona i mnie. A teraz nie żyje. Sprawiedliwości stało się zadość.

Oudin unosi brwi.

– A jakie masz na to dowody?

Simon – i ból brzucha – powstrzymują mnie przed nachyleniem się bardziej niż o kilka cali.

– Nie wierzysz w to?

Oudin przewraca oczami.

– Nieważne, co jest prawdą, Koteczku, jeśli nie będziemy potrafili jej udowodnić.

– On ma rację – szepcze mi do ucha Simon, przyciągając z powrotem do piersi. – Średnio u nas z dowodami.

Opieram się o niego, ale nie mogę się odprężyć.

– Czy to, co zrobił Remiemu, nie jest wystarczającym dowodem?

– Nasze słowo przeciwko temu, w co będzie chciał uwierzyć mój ojciec – mówi Oudin. Brzmi racjonalniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– To nie jest bitwa, którą możemy wygrać. Nie, kiedy całą winę ojciec będzie mógł zrzucić na Simona.

– Może tak będzie lepiej – mówi Simon. – Żadne inne niewinne osoby nie zostaną wplątane w ten bałagan.

Odwracam się do niego.

– Nie przyznasz się do tego.

Kręci głową, uśmiechając się łagodnie.

– Nie miałem takiego zamiaru.

Coś mi podpowiada, że zrobiłby to, gdyby wymagała tego sytuacja.

Remi chrząka.

– Wina nie ma znaczenia, jeśli hrabia cię nie znajdzie. Znamy sporo miejsc, w których możesz się ukryć.

Remi nie tylko proponuje, że będzie chronił Simona, on wręcz zachowuje się, jakby taki miał zamiar.

Oudin się zgadza.

– Przez kilka dni się nie wychylaj, a my wyprowadzimy cię z miasta. Myślę, że uda mi się też powstrzymać ojca przed zbyt energicznymi poszukiwaniami.

– W jaki sposób? – pytam.

Oudin uśmiecha się ironicznie.

– Lambert i Juliane nie są jedynymi sekretami, których nasza rodzina wolałaby nie ujawniać. A teraz zostałem jedynym synem. Nie stać go na to, by mnie stracić.

– A więc powiesz mu prawdę.

– Oczywiście.

Być może mój umysł jest przyćmiony zmęczeniem, ale nie rozumiem.

– Kilka sekund temu mówiłeś, że nie uwierzy w winę Lamberta.

Oudin śmieje się ponuro.

– Ależ uwierzy. Po prostu zrobi wszystko, by nikt inny się nie dowiedział.

– Musimy być sprytni – mówi Remi. – Ceną naszego milczenia będzie oczyszczenie mistrza Thomasa z zarzutów i wypuszczenie go na wolność.

Słyszę ruch i głosy, które podpowiadają mi, że zamieszanie, które spowodowaliśmy, jest właśnie badane.

– Przyszedł strażnik – mówię. – Albo przyjdzie za kilka minut. Nie możemy pozwolić, by ktokolwiek zobaczył Simona, nawet z dołu.

– Zajmę się tym. – Remi podnosi się i podaje Simonowi rękę. – Myślę, że najlepiej będzie, żebyś przeczekał w pasażu okalającym centralną wieżę.

Simon ostrożnie opiera mnie o ścianę i przyjmuje jego pomoc.

– Jest ku temu jakiś szczególny powód?

Remi uśmiecha się szeroko, klepiąc pęk kluczy zawieszony na jego pasku tuż obok dwukolorowego warkocza.

– Bo znajduje się za dwojgiem drzwi zamykanych na klucz i będziemy musieli przejść przez centralne żebro sklepienia. To wydaje się stresujące, jeśli nie wiesz, że to w zasadzie najstabilniejsze miejsce, na które można położyć nacisk.

Simon wzdryga się lekko, ale gestem wskazuje Remiemu, by go poprowadził.

– Ty tu jesteś ekspertem od sufitów.

Ten komplement nie pozostaje niezauważony przez Remiego, który kiwa do mnie głową, żebym się nie martwiła. Wie, że nigdy bym mu nie wybaczyła, gdyby Simon został schwytany, ale jego chęć pomocy motywowana jest głównie przez coś innego i to mnie cieszy. Może i miewa problemy z niuansami życia, ale zawsze robi to, co uważa za słuszne. Wiedziałam to, a jednak szybciej uwierzyłam, że to on jest mordercą, niż że jest nim Lambert. Nie jestem pewna, co to mówi na temat moich osądów.

Zupełnie jakby myślał o tym samym, Oudin przesuwa się, by usiąść obok mnie przy ścianie. Zachowuje jednak dystans.

– To po części moja wina – mówi, wpatrując się w gwiazdy. – Wiedziałem, co Lambert czuł do Beatrez. Powinienem być coś powiedzieć, gdy Simon wpisał jej imię na listę.

Odwracam się, by na niego spojrzeć, i krzywię się z bólu w szyi, który spowodował ten ruch.

– Lambert był zakochany w Beatrez?

Oudin parska.

– Połowa znanych mi facetów w którymś momencie swojego życia była w niej zakochana. To była jej... specjalność. – Wierci się niezręcznie. – Bardzo podbudowywała pewność siebie nowicjuszy.

Dziwnie mi patrzeć, jaki jest skrępowany, biorąc pod uwagę jego nieokrzesanie.

– Lambert do niej poszedł?

– Ja to zaaranżowałem. Potrzebował czegoś normalnego po... – Kręci głową, nie kończąc zdania. – Zapłaciłem nawet z góry, by mogła urządzić przedstawienie i zwrócić mu pieniądze. – Delikatnie dotyka spuchniętej wargi. – Oświadczył się jej, ale robiła to większość zadurzonych w niej klientów.

– A niedługo później postanowiła wziąć ślub – mówię.

Oudin przytakuje.

– Był zdruzgotany. Nigdy bym jednak nie pomyślał, że ją zabije.

Simon twierdzi, że większość pierwszych morderstw jest przesiąknięta paniką, w dodatku często nie są one zaplanowane.

– Myślę, że być może sam Lambert się tego nie spodziewał – mówię.

Tak się zaczęło. Lambert widział Beatrez jako kobietę, którą mógłby uratować, ale ona odrzuciła go dla kogoś, kogo status był bez wątpienia niższy, czego nie mógł przeżyć. Gdy ją zamordował, wrócił do dawnego, cichego usposobienia, nadal mając obsesję na punkcie swojej wizji. Był jednak zbyt zraniony, by spróbować ponownie. Oświadczyły go do podjęcia kolejnej próby, ale podczas spotkania z Perrete coś musiało pójść bardzo nie tak, dlatego zabił ją w ataku furii. Z Ysabel i Nichole obrzydzenie i żądza krwi zjawily się szybciej. Emeline została uciszona, zanim zdołała powiedzieć Simonowi cokolwiek o tym, co je wszystkie łączyło. Słońce jedno wie, jak wiele innych kobiet by zamordował, gdyby nie zainteresował się mną.

Byłam o wiele trafniejszą kandydatką, miałam też kilka cech wspólnych z jego rodzicielką. Wychowano mnie nawet w tym samym opactwie. Jego rywalizacja z Simonem o moje względy sprawiła, że

cała sytuacja była dla niego bardziej ekscytująca – Lambert mógłby pokonać zarówno rywala, jak i myśliwego. A jednak w końcu i tak wybrałam Simona.

Sytuacja była taka sama jak w przypadku Beatrez.

– Powiedziałeś, że Lambert potrzebował czegoś normalnego – mówię. – Miałeś na myśli coś, co pomoże mu po śmierci matki?

Oudin kiwa głową, a jego oczy nie wyrażają żadnych emocji.

– Urojenia Juliane były dziwne, ale łatwo było je uznać za bzdury. Z kolei matka roiła sobie o wiele bardziej podstępne rzeczy. A może po prostu my byliśmy na nie podatniejsi. Lambert był jedynym dzieckiem, które kochała, ale ja zrezygnowałem z walki o jej uczucie, gdy zobaczyłem, co ono oznacza. – Drży, przyciskając kolana bliżej, niemal do piersi. – Nienaturalne rzeczy, których synowie nigdy nie powinni robić z matkami.

Nie chcę wiedzieć więcej. Całe szczęście on nie ma zamiaru mi tego wyjaśniać.

– To, że mną gardziła, tak naprawdę mnie ocaliło – kontynuuje. – To smutne, że jeśli chodzi o nas dwóch, moja sytuacja była tą, którą można było nazwać szczęśliwszą.

– Oudinie – szepczę, a on odwraca się, by po raz pierwszy spojrzeć mi w oczy. – Czy Lambert zabił waszą matkę?

– Nie, to zrobił ojciec. – Mężczyzna wykrzywia twarz w grymasie.

– Nie mógł już dłużej się okłamywać na temat tego, co się działo. Sądzę, że wierzył, że to jedyny sposób, by uwolnić Lamberta spod jej wpływów. Ale gdy chciał sprawić, by Lambert zrobił to, czego on oczekiwał, potrafił go jedynie krytykować. Mój brat i tego nie był w stanie znieść.

Dochodzące z dołu krzyki mówią nam, że zauważono ciało Lamberta.

Oudin wstaje, przytrzymując się ściany.

– Myślę, że powinniśmy powiedzieć wszystkim, że Lambert spadł, gdy szukał Simona, ale nie zdradzać, że Simon naprawdę tutaj był. Następnie możemy rozpowiadać, że ten już dawno opuścił miasto. – Podaje mi dłoń, ale gdy widzi, jak bardzo moje są podrapane i obolałe, chwyta mnie za przedramiona.

– Będziemy musieli powiedzieć Remiemu, zanim zejdziemy. – Krzywię się, gdy delikatnie ciągnie mnie w górę. Łatwiej byłoby mi

powiedzieć, gdzie nie mam żadnego zadrapania czy sińca.

Czeka, aż będę gotowa, i puszcza mnie, a jego uprzejmość jest niepokojąca.

– Wyobrażam sobie, że pewnie chętnie byś się teraz napił – żartuję słabo.

Mruga, zaskoczony, ale samym sobą, a nie moimi słowami.

– Ten jeden raz w życiu wcale nie mam na to ochoty.



## ROZDZIAŁ 65

Chociaż powinniśmy udawać żałobę, nie jestem w stanie śpiewać z tłumem, gdy słońce zachodzi za horyzont podczas pogrzebu Lamberta. Podobnie zresztą jak Remi, który stoi obok mnie z uniesionym kołnierzem, ukrywającym ślady stryczka na szyi. Moje dłonie i pozostałe rany już się zagoiły dzięki kamieniom krwi od Athene.

– Miłego życia w piekle – mruczy pod nosem Remi, gdy znika resztką pomarańczowego światła.

Nerwowo rozglądam się dookoła, ale chyba nikt nie zwrócił na niego uwagi – wszyscy są pochłonięci śpiewaniem ostatniej, długiej nuty hymnu.

– Ktoś mógł cię usłyszeć – syczę, gdy żałobnicy się oddalają.

Remi parska.

– Nie podoba mi się to udawanie. Te wszystkie przemowy o tym, jaka to strata dla rodziny i miasta, i o tym, że za bramą pojawiła się dusza pełna światła.

Oficjalnie śmierć Lamberta była tragicznym wypadkiem, do którego doszło, gdy szukał w sanktuarium przestępcy, ale biorąc pod uwagę, jak niewiele czasu minęło od śmierci Juliane, i tak pojawiały



się szeptu, że było to samobójstwo. Oudin im zaprzecza, ale niezbyt żywiłowo. Każde z tych wyjaśnień jest lepsze od prawdy.

– Jeśli chcemy, by uwolniono mistrza Thomasa, musimy pokazać, że jesteśmy gotowi udawać – przypominam Remiemu. – Burmistrz nas obserwuje.

– Nie wydaje mi się.

Chyba muszę się z nim zgodzić. Hrabia Montcuir wpatruje się tępo w zachodzące słońce. Wygląda, jakby w dwadzieścia godzin postarzał się o dwadzieścia lat, ale nie mam dla niego zbyt wiele współczucia po tym, co powiedział mi Oudin.

Żałobnicy szybko wychodzą, tak jak dwa wieczory temu podczas pogrzebu Juliane. Wydaje się, jakby żałoba była tak samo niewygodna dla ludzi jak choroba psychiczna. Jako ostatnia wychodzi rodzina lady Genevieve D'Ecce, a ja ze zdziwieniem zauważam, że Oudin obdarza narzeczoną brata wyjątkową uwagą i przytrzymuje jej dłoń dłużej, niżbym się tego spodziewała.

– Jak myślisz, o co chodzi? – pytam szeptem Remiego.

W odpowiedzi wrusza tylko ramionami.

W końcu wszyscy wychodzą, a hrabia bez słowa wraca do domu. Oudin ze zmęczeniem pociera twarz, idąc nam na spotkanie.

– Mógłbyś mi pomóc? – pyta Remiego. – Porozmawiamy o umowie, którą musiałem zawrzeć. – Jego ciemne oczy spoglądają na mnie. – Cat też powinna zostać, to dotyczy i jej.

Zerkam na niebiesko-fioletowe niebo na wschodzie. Gregor i jego towarzysze wkrótce odbiorą Simona z sanktuarium, zanim księżyc w pełni wzniesie się na niebie na tyle wysoko, by zaświecić ponad sadzawką. Moja obietnica, że dziś dołączę do pieśni, była warunkiem Gregora, na który musiałam przystać, by go uratował, a ja z chęcią wypełnię go z więcej niż jednego powodu.

– Jeśli to nie zajmie zbyt dużo czasu – mówię.

Wchodzimy za Oudinem do środka. Trumna Lamberta została zamknięta tuż przed zachodem słońca, ale wiem, że ubrano go tak, by zasłonić rany, zawinięto mu też szalik wokół szyi. Oudin wychodzi na moment i powraca z młotkiem. Remi proponuje, że przytrzyma gwoździe, podczas gdy jego przyjaciel je przybija.

– Zacznę od dobrych wieści – mówi Oudin. – Dziś zostanie wypuszczony mistrz Thomas.

Niemal zaczynam szlochać z ulgi.

– Dziękuję.

Jednym uderzeniem młotka wbija gwóźdź na miejsce.

– Jeszcze mi nie dziękuj.

Remi daje mu drugi gwóźdź.

– Wyobrażam sobie, że twój ojciec określił warunki wykraczające poza nasze milczenie.

– Nie tylko tobie. – Oudinowi dwie próby zajmuje wbicie gwoźdźnia, za pierwszym zupełnie nie trafiła. – To jeszcze nic pewnego, ale prawdopodobnie w miejsce Lamberta poślubię lady Genevieve.

Nie wiem, któremu z nich bardziej współczuć.

– Jak się z tym czujesz? – pytam. – I ona?

Oudin wzrusza ramionami.

– Nie płakała, więc to już coś. – Wyciąga dłoń, a Remi wkłada w nią kolejny gwóźdź. – Chyba po prostu spróbujemy patrzeć na to pozytywnie.

– To spore poświęcenie – mówi ostrożnie Remi. Chyba chce w ten sposób spytać, czy Oudin ma zamiar porzucić nocne życie.

– To zabawne – rzuca tamten, skupiając uwagę na trumnie. – Ale wcale nie mam takiego wrażenia. Po raz pierwszy w życiu nie czuję, że jestem uwięziony. Gorsze od tego, co działo się w naszej rodzinie, było udawanie, że nic się nie dzieje. Może właśnie to doprowadziło mojego brata do szaleństwa. Wolałem pić i zażywać skonię. – Uderza w gwóźdź z głośnym hukiem, jakby chciał zaakcentować swoje słowa.

„Wszyscy żyjemy w klatkach. I tylko ci, którym dopisuje szczęście, mogą wybrać swoją”.

Oudin podnosi wzrok.

– Oczywiście nasze tajemnice nie zniknęły, ale pozostały w przeszłości. Teraz nie muszę przeżywać każdego dnia w kłamstwie, więc nie przeszkadza mi trzeźwość. W zasadzie to jestem pełen nadziei.

Remi podaje mu następny gwóźdź.

– W takim razie chyba należą ci się gratulacje.

– Dziękuję. Mam tylko nadzieję, że to przetrwa. – Oudin unika mojego spojrzenia, gdy przechodzi do dolnej części trumny. – Nie

tylko na to musiałem się zgodzić.

Czekamy, a on chrząka.

– Jutro muszę poprowadzić polowanie na Simona. – Serce uderza mi w piersi jak zaciśnięta pięść. – Mam tydzień, by wrócić z jego ciałem lub takim, które je przypomina.

Wydaję z siebie zduszony okrzyk.

– Chyba nie chcesz...

– Kogoś zabić? – Oudin wydaje pozbawiony wesołości chichot. – Oczywiście, że nie. Jest sporo trupów, spośród których mogę wybierać.

– Więzienia w stolicy mogą okazać się dobrym miejscem – mówi Remi. – Lutecja jest ogromna.

Oudin przytakuje.

– O tym właśnie myślałem. A jeśli nie więzienia, to szpitale dla żebraków powinny mieć kogoś odpowiedniego.

Kolejne trzy gwoździe zostają wbite bez słowa.

– Czy jest coś jeszcze? – pytam w końcu.

Oudin wzdycha i się prostuje.

– Wiesz, że to nie była twoja wina, prawda?

Jakaś część mnie zawsze będzie się czuła odpowiedzialna, ale przytakuję.

Oudin rzuca młotek na wieko trumny, mówiąc przez zaciśnięte zęby:

– Ojciec wini cię za szaleństwo Lamberta. Mówi też, że ludzie kojarzą cię z Simonem i zawsze będziesz im o nim przypominać. Tak naprawdę to jego skojarzenie. Collis zapomni.

Wzruszam ramionami.

– Mam większe zmartwienia niż to, co myślą o mnie ludzie.

Na przykład władanie magią, seleńską rodzinę i naprawę uszkodzeń sanktuarium.

Oudin kręci głową.

– On nie jest w stanie na ciebie patrzeć, Cat. I zawsze będzie cię uważał za największe zagrożenie, jeśli chodzi o utrzymanie w tajemnicy prawdy o Lambercie.

– Będę się trzymać od niego z daleka. Remi będzie go oprowadzał po świątyni.

– Nie, Cat. – Oudin w końcu na mnie patrzy. – To był trzeci warunek ojca, który musimy spełnić, by wypuścić architekta. Musisz opuścić Collis.



Stoję w cieniu na skraju otwartej przestrzeni Kwatery, obserwując Selańczyków tańczących w świetle pełni księżyca. Tkacze i farbiarze śpiewają, pracując na kołowrotekach i mieszając w kadziach z esencją kwiatu księżycowego. Dziesiątki kamieni księżycowych połyskują w sadzawce umieszczonej pośrodku placu i absorbują światło z nieba. Mija mnie Gregor, trzymający pod rękę jakąś kobietę w średnim wieku. Jego radość ma zapewne sporo wspólnego z oczekiwaniem na moje przybycie, ale jeszcze mnie nie zauważył.

Trzy dni. Mam tylko tyle.

Potem stracę mistrza, Remiego i sanktuarium. Panią la Fontaine i Marguerite. Rodzinę, którą dopiero zaczęłam poznawać.

Zarówno Oudin, jak i Remi zapewnili mnie, że kiedyś będę mogła wrócić, po śmierci burmistrza. Jest już po pięćdziesiątce, więc może to nastąpić niedługo. Albo będzie to trwało kolejnych dwadzieścia lat. Może przeżyć nawet mistrza Thomasa.

– Cat?! – woła czyjś łagodny głos.

Odwracam się i widzę nadchodzącego Simona, wyciągającego rękę do ściany, by łatwiej szło mu się w ciemności. Potyka się na nierównej ulicy, a ja cofam się, by mógł stanąć obok mnie. Ciemny seleński strój, który ma na sobie, zwisa z jego szczupłej sylwetki, a zbyt krótkie rękawy odsłaniają nadgarstki. Z włosów cieknie woda.

– Czyżbyś brał kąpiel? – pytam.

Pochyliła głowę.

– Twoja kuzynka powiedziała, że pył i ptasie odchody uduszą każdego, kto zbliży się do mnie na dziesięć jardów.

– Miała rację – zgadzam się.

Simon spogląda na tętniący życiem plac.

– Chcesz do nich dołączyć?

– Jeszcze nie. Powinniśmy chyba porozmawiać. – Oddalam się od światła księżyca. – Zdecydowałeś już, dokąd pójdziesz?

Kręci głową.

– Mesana jest jedynym miastem, które znam, ale tam na pewno będą mnie szukać.

Kiwam głową.

– Musimy szybko podjąć decyzję.

– My? – Jego czoło się marszczy.

Wyjaśniam warunki, jakie musimy spełnić, by wypuszczono mistrza, w tym moje wypędzenie z miasta.

Simon powoli wypuszcza powietrze.

– Cat, tak mi przykro. Wiem, jak to jest stracić dom i rodzinę. – Bierze moją dłoń. – Czy ktoś już wie?

– Remi. Zapewne właśnie mówi o tym mistrzowi Thomasowi. – Tak bardzo chciałam go dziś zobaczyć, ale jestem pewna, że zrozumie, dlaczego spełniam obietnicę daną Gregorowi. Zresztą i tak pierwsze, co architekt będzie chciał zrobić, to wziąć kąpiel i przespać się we własnym łóżku. Odchrząkuję. – Zdaję sobie sprawę, że nie znamy się za dobrze, ale pomyślałam, że lepiej nam będzie razem niż osobno.

– Trudno się z tym klócić – odpowiada, masując kciukiem wierzch mojej dłoni. – A mnie ucieszy twoje towarzystwo. Mimo że przecież nie chciałem, by tak do tego doszło.

– Ani ja.

– Catrin. – Wuj zatrzymuje się w blasku księżyca, kilka stóp ode mnie. – Idziesz?

W pośpiechu wycieram łzy z oczu.

– Nie jestem w nastroju do tańca.

Gregor rzuca mi współczujące spojrzenie, ale nie naciska, bym cokolwiek wyjaśniała.

– Księżyc będzie tu tylko kilka godzin. Problemy mogą poczekać. – Kiwa Simonowi głową i wraca do tłumu.

Simon patrzy, jak mój wuj odchodzi.

– On ma rację. Powinnaś cieszyć się swoją magią, gdy jest najsilniejsza. A o odejściu porozmawiamy jutro.

Spuszczam wzrok na ziemię.

– Boisz się?

– Mniej niż po śmierci ojca. – Wzrusza ramionami.

– Nie, mam na myśli mnie. Moją magię i to, co potrafię zrobić.

Simon unosi moją brodę do góry tak, żebym spojrzała mu w oczy. Brązowa skaza nie przyciąga już mojej uwagi jak kiedyś. Jest po prostu jego częścią.

– A czy ty boisz się mnie? – pyta. – Moich „darów”?

– Oczywiście, że nie. Znam cię.

Uśmiecha się.

– A ja ciebie – mówi, po czym wychodzi na światło księżyca, ciągnąc mnie za sobą.



## ROZDZIAŁ 66



Minęły moje trzy dni. Każda noc aż do tej była przepełniona pieśniami, opowieściami i lekcjami odbywającymi się przy świetle księżyca, jednak tym razem jest nam potrzebna ciemność, która zamaskuje nasz wyjazd. Mój kamień księżycowy zwisa ze srebrnego łańcuszka na szyi, a nowa bransoletka z kamieniem próżni pozostaje w kieszeni. Nadal trochę się jej boję. Kuzynka twierdzi, że nie muszę tamować magii w przeciwieństwie do większości Seleńczyków, ale powinnam to poćwiczyć, na wypadek gdybym kiedyś potrzebowała jednego zmysłu bardziej niż pozostałych.

Athene podaje mi niewielką torebkę.

– Kilka dodatkowych kamieni księżycowych – mówi. – I kamieni krwi. Ale postaraj się ich nie potrzebować.

Chowam je do kamizelki.

– Dziękuję. Za wszystko.

– Szkoda, że nie mamy więcej czasu. Tak wiele chciałam cię nauczyć. – Wiesz sakiewkę na moim ramieniu, a jej zwykle pełne werwy usposobienie widocznie łagodnieje. – Ale społeczność Seleńczyków w okolicach Londunium szkoli najlepszych medyków. Tam będzie ci dobrze.

Właśnie tam postanowiliśmy się udać. Stolica Brinsulli nie jest bardzo daleko, ale wymaga przedostania się przez wąski kanał, w dodatku ryzyko, że Simon zostanie przez kogoś rozpoznany, jest o wiele mniejsze. Mieszkają tam Seleńczycy i dawni współpracownicy mistrza Thomasa, więc mamy nadzieję znaleźć pracę i miejsce do życia. Głęboko w torbie schowałam list do żony architekta, który przekażę jej, jeśli nadal żyje. Mistrz nie spodziewa się, że wróci do niego po tylu latach, ale ma nadzieję, że przynajmniej mu wybaczy.

Gregor stoi zakłopotany obok Athene. Znów się pokłóciliśmy, gdy nalegał, że powinnam zostać w Kwaterze, a burmistrz o niczym się nie dowie, ale odmówiłam. Wuj uważa chyba, że stawiam Simona ponad swoją seleńską rodzinę. Może tak właśnie jest, ale nie robię tego złośliwie. Kiedy się do niego odwracam, Gregor wyciąga spod koszuli wyszywaną sakwę z księżycowej nici i ją otwiera. Opalizujący blask dochodzący ze środka podpowiada mi, co się w niej znajduje.

– Myślisz, że potrzebuję aż tylu kamieni księżycowych? – pytam, próbując go rozchmurzyć.

Odwraca sakiewkę i wysypuje jej zawartość na dłoń.

– Ten jest inny.

Kamień wygląda tak samo, dopóki nie zaświeci na niego księżyc. Wtedy światło odbija się, tworząc tęczyowy blask zamiast zwykłej białawej poświaty. Gdy przyglądam mu się wyostrzonym wzrokiem, zauważam rozszczepiające się w środku kolory, odbijające się, jakby przechodziły przez niekończący się labirynt. Jest przepiękny.

Gregor zaciska palce wokół kamienia i na kilka sekund zamyka oczy. Po chwili mi go podaje.

– To najrzadszy rodzaj kamienia księżycowego. Na zawsze trzyma w sobie to, co zaabsorbuje.

Przełykam ślinę.

– Czyli co takiego?

– Myśli – odpowiada. – Wspomnienia.

Czuję gęsią skórę na ramionach, gdy wkłada mi kamień do ręki.

– Czyje wspomnienia ma w sobie?

– Moje. – Kiwa głową. – Spróbuj.

Zamykam oczy i zaciskam dłoń, na której znajduje się biała blizna, zastanawiając się, czy powinnam zrobić coś jeszcze, gdy nagle przed



oczami stają mi sylwetki dwóch osób. Kobieta ma falujące kasztanowe włosy i roześmianą twarz, a należący do niej wąski nos widuję w lustrze. Jej oczy są – albo były – orzechowe, tak jak moje, z kolei oczy mężczyzny, który ją obejmuje, są otoczone srebrnym pierścieniem, tym samym, który zdominuje i moje. Wygląda tak, jak zapewne wyglądał młody Gregor, gdyby nie miał na sobie tylu blizn, a jego nos był prosty. Jego uśmiech jest bardziej nieśmiały niż uśmiech kobiety, w którą jest wpatrzony. Pochyliła się, a ona przebiega bladą dłonią po jego ciemnych lokach. Całują się, a tam, gdzie ich skóra się spotyka, zaczyna błyszczeć kolorami srebra i złota.

– Stella – szepcze Gregor. – I Iason.

Łzy pojawiają się niemal natychmiast. Choć Athene mówiła mi, jakie imiona nosili moi rodzice, jeszcze nigdy nie słyszałam, jak wypowiada je mój wuj. Ból w jego głosie podpowiada mi, że to do żałoby, a nie złości był tak długo przykuty, i że to udręka, a nie uraza sprawiła, że siedemnaście lat temu mnie oddał. W pośpiechu, by otrzeć policzki, niemal upuszczam kamień wspomnień.

– Dziękuję.

– Minęło tyle lat, że to niemal niemożliwe, bym pamiętał ich twarze bez małej pomocy. – Zabiera kamień i wrzuca go do sakwy z nici księżycowej. Następnie zamyka ją i wyciąga przed siebie. – Chce, byś go wzięła.

Kręcę głową.

– Nie mogę. To twoje wspomnienie.

– I dlatego mogę ci je podarować.

Zerkam nerwowo na Athene, ale ona potakuje. W końcu przyjmuję prezent od wuja. Kolejne podziękowanie wydaje się banalne, więc przyciskam sakwę do ust, po czym wkładam ją do kieszeni najbliższej serca.

– Będę o niego dbać.

Gregor się uśmiecha, a ja widzę w tym uśmiechu ojca. Następnie podaje ramię Athene i razem bez słowa udają się do Księżycowej Sadzawki.

Remi czeka niecierpliwie na swoją kolej, a gdy tylko wuj i kuzynka odwracają się do nas plecami, podnosi mnie i bierze w ramiona.

– Będę za tobą tęsknił bardziej, niż ci się wydaje, Koteczku.

Ściskam go tak mocno, jak on mnie.

– Obiecałeś, że nie będziesz mnie tak nazywał. – Choć szczerze mówiąc, już mi to nie przeszkadza.

– Tak, cóż, tę obietnicę miałem spełnić pod pewnym warunkiem.

– Stawia mnie z powrotem na ziemi, mruga kilka razy i pospiesznie całuje mnie w czoło, po czym zwraca się do Simona: – Żegnaj, venatre.

Z całą pewnością użył tego tytułu, by wbić Simonowi szpilkę, jednak on tylko kiwa głową.

– Bardzo dziękuję za wszystko, co zrobiłeś.

Teraz przytula mnie mistrz Thomas, a łączy moczą jego brodę i mój kaptur. Nagle to, co mam za sobą zostawić, staje się czymś więcej, niż mogę znieść.

– Chyba nie dam rady, mistrzu – dukam.

– Ależ oczywiście, że dasz, moja droga. – Architekt odchyła się i bierze moją twarz w dłonie. Zauważam trzeci siwy kosmyk włosów wychodzący zza lewego ucha. – A pewnego dnia znów się zobaczymy. Dlatego właśnie mogę cię puścić.

– Kocham cię – szepczę.

Mistrz całuje mnie w czoło, tak jak wcześniej Remi.

– A ja ciebie.

Cofam się, by Simon mógł uścisnąć rękę architekta. Ich spojrzenia spotkają się i zachodzi między nimi jakaś niema wymiana zdań, po której obaj kiwają głowami. Potem schodzimy obrosniętą pnączami alejką na ulicę. Gdy tylko zauważam ścianę opactwa, zdaję sobie sprawę, o czym prawie zapomniałam.

– Zaczekaj! – Zostawiam Simona, pędzę na drugą stronę ulicy aż do zreperowanej bramy i dzwonię dzwonkiem.

Północne modły właśnie się skończyły, a jedna z wracających do łóżka sióstr podchodzi do bramy, chociaż ledwie mnie widzi, gdy mam na sobie pelerynę z nici księżycowej.

– Muszę się pożegnać z Marguerite – mówię.

Siostra idzie po klucze i wpuszcza mnie do środka. Biegnę do celi Marguerite znajdującej się tuż za starym salonem matki Agnes. Nie wybrano jeszcze nowej przeoryszy, więc jej kwatery są puste.

– Marga?! – wołam cicho w drzwiach. Nie poszła na liturgię, ale to nie oznacza, że nie modli się w łóżku. – Śpisz?

Marguerite odwraca głowę na poduszce. Jej oczy błyszczą.

– Cat!

Pędzę w jej stronę, zanim zrobi sobie krzywdę, próbując usiąść.

– Przyszłam się pożegnać.

Marguerite wzdycha.

– Siostra Alix mówiła mi, że opuszczasz Collis, ale nie wiedziałam, że tak szybko.

– Przepraszam, że wcześniej cię nie odwiedziłam. – Głaszczę jej dłoń. – Ale obiecuję, że będę pisać. – Jeśli opactwa mają w sobie coś, co podziwiam, jest to efektywny system przesyłania sobie wiadomości.

– Pisz, proszę. – Marguerite układa się z powrotem na poduszce, a jej oczy po poprzednim wysiłku wydają się chwilowo niewidzące. Bez kamieni krwi jej powrót do zdrowia jest powolny. Wskazuje niewielki stolik przy łóżku. – W szufladzie jest coś dla ciebie.

Otwieram ją, spodziewając się paciorków modlitewnych albo czegoś w tym stylu, ale znajduję tam pokryty zaschniętą ziemią woreczek pełen monet – ten sam, który pięć lat temu zakopałam za szopą w ogrodzie.

– Skąd o tym wiedziałaś?

– Znam cię. – Uśmiecha się z uczuciem. – Weź go. Potrzebujesz pieniędzy.

Mistrz Thomas dał mi więcej, niż będę potrzebować. Kręcę głową i odkładam woreczek na miejsce.

– Ty go zachowaj. Twoje włosy byłyby warte więcej, ale możesz za to kupić nowe krosno.

Marga wzdycha.

– I pewnie cię nie przekonam do zmiany zdania, prawda?

Jej czoło nadal jest zabandażowane, więc nachyliłam się, by pocałować ją w nos.

– Nie ma szans.

Chciałabym mieć więcej czasu, ale za miastem czeka na nas Oudin z parą koni i prawdopodobnie bardzo się już niecierpliwi. Po raz kolejny obiecuję, że będę pisać, ściskam palce Marguerite i szepczę słowa pożegnania, po czym biegnę z powrotem do bramy, dziękując siostrze, która mnie wpuściła.

Pnącza księżycowych kwiatów po drugiej stronie ulicy są usiane kwiatami otwierającymi się na ubywający księżyc, a ich zapach łaskocze mnie w nos. Zza murów słysząc śpiewy, a ja odróżniam pomiędzy nimi baryton Gregora, który brzmi ciężiej niż zwykle. Oparty o mur opactwa Simon prostuje się i zarzuca swoją torbę na ramię.

– Pomyślałem sobie – mówi łagodnym tonem, wchodząc w światło księżyca. – Że gdybyś chciała, przecież mogłabyś zostać tutaj, w opactwie. Hrabia nigdy by się nie dowiedział, a ty mogłabyś odwiedzać rodzinę, kiedy tylko byś chciała.

Kręcę głową.

– Wiesz, że to nie moje miejsce.

– Owszem – przyznaje. – Ale nie jestem też pewien, czy twoje miejsce jest przy mnie.

– Sprawdźmy to razem. – Biorę jego dłoń i splatam nasze palce. – Jesteś gotowy?

Puls Simona odbija się na mojej ręce przez nasze złączone nadgarstki.

– Nie – mówi. – Ale z tobą jestem gotów spróbować.



## NOTA OD AUTORKI



Opisywanie chorób psychicznych nigdy nie jest łatwym zadaniem. Nawet wtedy – a może zwłaszcza wtedy – gdy zna się osobiście ludzi nimi dotkniętych. Postaci Juliane, jej matki oraz ojca Simona nie mają stanowić kompletnej reprezentacji osoby cierpiącej na schizofrenię. Każdy przypadek jest inny, tak samo jak chorujący człowiek, i w dużej mierze zależy od środowiska, w jakim żyje chory. Wiemy jednak, że schizofrenię odnotowywano już kilka tysięcy lat temu. Leczenie różniło się znacznie ze względu na wyznanie, środowisko i znaczenie, jakie chory w nich odgrywał, oraz ze względu na to, czy miał rodzinę, która mogła się nim zająć. Zbyt często te historie są tragiczne i rozdzierają serce wszystkich, którzy stali się ich częścią.

Nawet dziś schizofrenię trudno zdiagnozować, jednak da się ją leczyć za pomocą leków i terapii. Bardzo ważne jest posiadanie wsparcia. Tak jak Juliane, wielu dotkniętych tym schorzeniem to osoby bardzo inteligentne, a nawet świadome, że część ich doświadczeń nie jest rzeczywista. Podczas gdy niektórzy są w stanie odnieść zawodowy sukces, większość ukrywa swoją chorobę przed wszystkimi, nie licząc najbliższych. Bardzo możliwe, że i ty znasz kogoś chorego na schizofrenię, a ja mam szczerą nadzieję, że jeśli

podzieli się z tobą swoją tajemnicą, nie zawiedziesz zaufania, którym cię obdarzył.

Jestem ogromnie wdzięczna Nadhirze Sitarii, która doradzała mi, jak pisać o osobach chorych na schizofrenię, za jej miłe słowa i osobistą ekspertyzę, która pomogła mi opisać tę skomplikowaną materię. Jeśli chcecie poczytać więcej na ten temat, polecam dwa tytuły: *Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem* Olivera Sacksa i *Schizofrenia. Moja droga przez szaleństwo* Elyn R. Saks. Ta druga książka to biografia osoby chorującej na schizofrenię. Jestem wdzięczna, że profesor Saks z taką szczerością podzieliła się wewnętrznymi mechanizmami osobistej podróży. Chociaż ton części urojeń pożyczyłam od niej dla Juliane, były one bardzo podobne do tych, które z zewnątrz widziałam na własne oczy. Ale cytując Forresta Gumpa: „To tyle, co mam na ten temat do powiedzenia”.



Mesana, w której mieszkał Simon, jest wzorowana na prawdziwym belgijskim mieście. Choć część szczegółów wymyśliłam lub zmieniłam, wszystkie są zgodne z duchem jego historii.

Według legendy miasto Geel jest miejscem spoczynku świętej Dymfny, której męczeńska śmierć w VII wieku naszej ery z rąk chorego psychicznie ojca została opisana przez matkę Agnes w rozdziale dwunastym. Od ponad tysiąca lat jej grób jest miejscem pielgrzymek osób szukających lekarstwa na choroby umysłu. Zarówno przed jej kanonizacją w 1247 roku, jak i po niej Kościół katolicki zbudował kilka szpitali dla tych, którzy przybywali tam w poszukiwaniu cudów, a wielu zostało tam pozostawionych przez rodzinę.

Przez wieki Geel stało się znane na całym świecie ze swojego przepełnionego współczuciem zdeinstytucjonalizowanego podejścia do leczenia chorób psychicznych do tego stopnia, że pod koniec lat osiemdziesiątych XIX stulecia ojciec Vincenta van Gogha rozważał wysłanie tam syna. Do dziś mieszkańcy miasta aktywnie biorą udział w troszczeniu się o pacjentów (których nazywa się pensjonariuszami), zabierają ich do swoich domów i zapewniają im stabilność rodzinnego życia.

Paradoksalnie ta tysiącletnia praktyka jest uważana za zbyt rewolucyjną, by można ją było stosować w innych miejscach. W społeczeństwie, w którym „wiedza” ludzi o chorobach psychicznych pochodzi głównie z hollywoodzkich produkcji, piętno jest zbyt duże, by można było się z nim uporać. Zrobiliśmy postępy, ale niewystarczające. Jeszcze nie.



## PODZIĘKOWANIA



Drogi czytelniku, dotarłeś do końca. Dziękuję, że odnalazłeś tę książkę i na kilka godzin wszedłeś w jej świat. Jeśli wybrałeś ją ze względu na to, że podobały ci się moje poprzednie opowieści, to jestem ci winna podwójne, a nawet potrójne podziękowania. To dzięki tobie mogę dalej pisać.

Świat stał się bardzo dziwny. Wiem, że każda książka jest inna, ale tę napisałam w obcym kraju podczas pandemii i niepokoju na rynku wydawniczym... co za surrealistyczne uczucie. W kwestii zdrowia psychicznego wiele zawdzięczam wstawiennictwu świętej Dymfny, której historia znalazła się w tej książce. Idea profilowania psychologicznego przestępców jest bardzo młoda, zaczęto ją stosować dopiero pod koniec XIX wieku. Używanie jej w historii dziejącej się wcześniej jest anachronizmem (nawet jeśli ta książka należy do gatunku fantasy), musiałam więc znaleźć wiarygodny powód, by móc to zrobić. Nie wiem, jak rozwinęłaby się fabuła, gdyby nie moja uprzednia wiedza o świętej Dymfnie, poświęconej jej kaplicy i mieście Geel. Zabawne, jak to wszystko się złożyło. A może nie tyle zabawne, a takie było po prostu moje przeznaczenie. W każdym razie napisanie tej historii było możliwe dzięki świętej



Dymfnie, Świętemu Franciszkowi Salezemu (patronowi pisarzy) i oraz czterem Tomaszom. *Deo gratias*.

Polegałam też bardzo na mojej superagentce, Valerie Noble, która zawsze jest gotowa wszystko naprawić. Do widzenia i pomyślnych wód dla mojego zespołu z Imprintu, a zwłaszcza Erin Stein, Nicole Otto i Johna Morgana – bez was świat wydawniczy nie jest taki sam. Dziękuję również FSG za to, że podnieśli manuskrypt osierocony na ich progu. Specjalne podziękowania dla mojego nowego redaktora, Wesa Adamsa, szczególnie za rozmowy wideo poza godzinami urzędowania strefy czasowej Wschodniego Wybrzeża i podczas długiej podróży przez koreańskie góry. Kolejne podziękowania dla całej ekipy wydawnictwa – designerki Veroniki Mang, redaktorki produkcji Helen Seachrist, adiustatorki Amber Williams, publicystki Brittany Pearlman, menedżerki marketingu Gabrielli Salpeter, korektorek Susane Bishansky i Rosanne Lauer oraz menedżera produkcji Johna Nory – większości z nich nie poznałam osobiście (jeszcze), ale to oni stworzyli i umocowali bazę tej książki. Muszę też wspomnieć o moim absolutnym zachwycie nad okładką Sashy Vinogradovej. Mam nadzieję, że na nią zasłużyłam.

Mam dług wdzięczności wobec Johna Douglasa i jego pionierskiej pracy w profilowaniu kryminalnym dla FBI oraz książek, które napisał na ten temat. Jeśli kiedykolwiek przeczyta tę powieść, mam nadzieję, że nie będzie się krzywił ze wstydu. Dziękuję również społeczności Busan w Korei Południowej, chociaż już rozpada się ona przez to, że jesteście przydzielani w nowe miejsca, i zostaje na nowo zszyta przez świeżo przybyłych. W jakiś sposób stałam się tutaj „wilkiem morskim”, jednak do czasu, gdy ta książka będzie w druku, i ja będę już gdzie indziej. Takie już jest wojskowe życie.

Dziękuję moim rodzicom i teściom za to, że opiekują się naszymi studentami. Wiem, że nie sądziliście, że uczelnia się zamknie, przez co będą musieli się do was wprowadzić, kiedy zgłosiliście się na zostanie ich domową bazą, jestem wam więc dozgonnie wdzięczna. Oni z kolei musieli radzić sobie z pandemią, będąc osiem tysięcy mil od mamy i taty.

Pozostała trójka dała sobie radę w nowym świecie i to w zupełnie innym języku, w szkole tak małej, że każdy rocznik mieści się w jednej klasie, a to wszystko w trakcie trwania pandemii COVID-19.

Jestem z was taka dumna, że radzicie sobie z tym w dobrych nastrojach i polegacie na sobie nawzajem, nawet po drugiej stronie globu.

Michaelu, poświęciłeś dla nas więcej, niż powinieneś. Bez ciebie nic z tego nie byłoby możliwe.